This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Slav 6970.24

HARVARD COLLEGE
LIBRARY

BOUGHT FROM THE

AMEY RICHMOND SHELDON
FUND

UPOMINEK

KSIĄŻKA ZBIOROWA

NA CZEŚĆ

ELIZY ORZESZKOWEJ

(1866—1891).

KRAKÓW.
G. GEBETHNER I SPÓŁKA.

PETERSBURG.
BR. RYMOWICZ.

1893.

Slav 6970.24

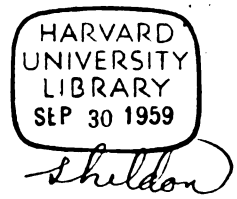

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem Jana Gadowskiego.

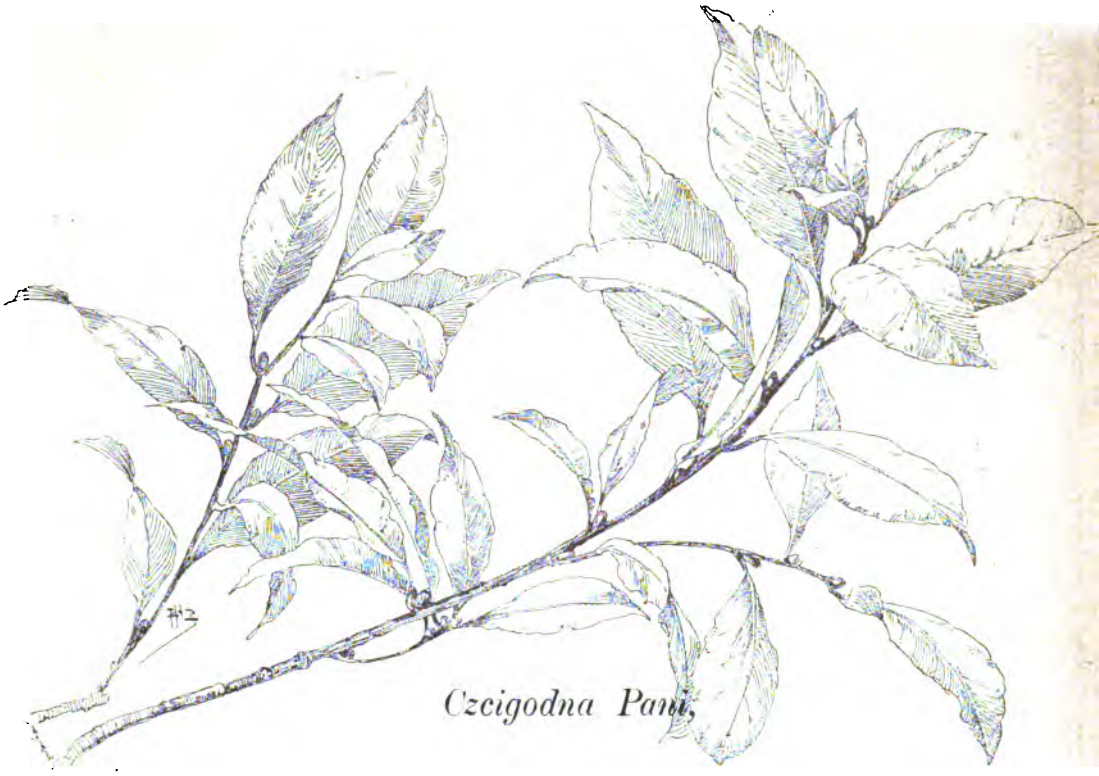

Za potężne siły, któremi podnosiłaś społeczeństwo omdlewające w trudach i walkach życia; za bogate dary, które złożyłaś w skarbcu jego literatury; za promienie, które padły z Twego umysłu na jego ciemną drogę; za uczucia, które pokrzepiającą mocą spłynęły do jego piersi z Twego szlachetnego serca; za balsamy, które położyłaś na jego ranach; za ożywcze drgnienia, które obudziłaś w jego duszy; za ukochanie dobra, prawdy i piękna; za siew obfity i plenny na niwie ojczystej; za działalność płodną, za pracę ogromną, za miłość gorącą; za to, żeś była wielką, jasną i dobrą gwiazdą swej ziemi, dostojną kapłanką świątyni duchowej narodu, kochającą jego córką i wierną służebnicą; za to, że byłaś twórczynią natchnioną, myślicielką głęboką, obywatelką zacną i człowiekiem pełnym: w rocznicę dwudziestopięciolecia Twych zasług, składamy Ci w hołdzie i z serdeczną wdzięcznością ten skromny Upominek.

Pisarze polscy.

SONET.

Jak ptaki, kiedy odlatywać poczną,
Gromadnie ciągną w dal przestrzeni siną,
A horyzontu granicę widoczną
Raz przekroczywszy, gdzieś bez śladu giną,

Tak pokolenia w nieskończoność mroczną
Nieprzerwanemi łańcuchami płyną,
Nie wiedząc nawet, skąd wyszły, gdzie spoczną,
Ani nad jaką wznoszą się krainą?

W chmurach i burzy, czy w blasku promieni,
Podległe skrytych instynktów wskazówce,
Lecą, badając wązki szlak przestrzeni,

Który im znaczą poprzedników hufce
I grę przelotną tych świateł i cieni,
Jakie w swej krótkiej dostrzegą wędrówce.

Kraków. *Adam Asnyk.*

FRASZKI.

1.

Zazdrości godzien los polskich pisarzy,
Bo mogą w przyszłość pozierać bezpieczni:
Niektórych talent wiecznością obdarzy,
A wszystkich innych Estreicher uwieczni.

2.

Sława jest zwykłej podobna roślinie:
Rośnie, gdzie się ją posadzi;
Trwać może długo, lecz na ziemi ginie,
Do nieba nie zaprowadzi.

I rozum mędrców i królów potęga
Styksowej nie przejdą rzeki;
Bo tylko cnota aż do nieba sięga
I tam żyć będzie na wieki.

Lwów. *Leszek Dunin Borkowski.*

1.

APOSTROFA.

A to wam mówię: jedna piosnka szczera
Jest jak ta kropla, która żłobi skały,
I głazów łona kamienne otwiera;
Bo moc jest taka w onej kropli małej,
Że, gdy upadnie na skalne urwiska,
Sama w mgły pryśnie, lecz i kamień pryska.

A gdy uderzy o drzemiące fale,
Coraz to szersze toczyć będzie koła
I skrzesze iskry w zakrzepłym krysztale
I miljon kropli do życia powoła,
Zatarga brzegiem i zagrzmi w głębinie,
Choć sama w fali przepadnie i zginie.

Lub gdy do czary spadnie przepełnionej,
Rozkołysany wir nad brzeg wypędzi,
Zmarszczy krąg, przedtem ciszą wygładzony,
Zawiesi perły, skrzące na krawędzi:
Kryształ się zamgli, niby smutne oczy,
Aż łza się srebrna zerwie i potoczy...

Gdy padnie rosą na kwiaty więdnące,
Może z nich który wskrzesi i odświeży;
Zanim ją spije rozpalone słońce,
Może pył chociaż zetrze z ich odzieży;
A kiedy wsiąknie w twardą ziemię czarną,
Może napoi łaknące tam ziarno.

Jak nie ma w rosie jadu i goryczy,
Tak szczerej piosnki żaden fałsz nie brudzi;

Rosa na kwiatów podziękę nie liczy,
Piosnka nie liczy na podziękę ludzi —
I tylko smutna, gdy ją gromią o to,
Że jest miłością i że jest tęsknotą.

A jednak wierzcie: nie gardźcie wy oną
Piosnką, co taka nieśmiała i cicha,
Co nie potrząsa błyskawic koroną
I tylko szeptem mówi wam — i wzdycha.
W mgłach, które wichry kłębią w siwej chmurze,
Perlą się rosy — ale drzemią burze.

2.

W LESIE.

A na tych srebrnych gałęziach boru
Płoną zachodu róże;
Z za drzew spogląda oko wieczoru
Słońce czerwone, duże.

Po niebie idą światła i cienie,
Bije blask łun od słońca,
Niby rumieniec, niby płomienie
I niby krew gorąca.

Hej, las się pali, las krwią ocieka,
Szkarłatne strugi płyną;
Kruki, czy wrony kraczą zdaleka?
Dym czy mgła mży głębiną?

Co to? Znów żyje siwy las stary?
Co to? Odmłodniał może,
Że takie ognie i takie żary?
O Boże, Boże, Boże!...

Cyt! Przez las cichy, srebrny od szronu
I malowany krwawo,
Idzie wiatr tylko i odgłos dzwonu
I ptactwo leci ławą.

Słońce, jak oko starca czerwone,
O siwej, śnieżnej rzęsie,
Za mgły się chowa, jakieś znużone,
A wiatr łzy — szrony trzęsie...

Pęknie gdzie gałąź, echo trzask niesie;
Bór, zda się, zadrzał stary...
I znów posępnie w posępnym lesie
Zbudzone nikną mary.

Łuna w mgły wsiąka już teraz blada,
Szarzeje zwolna, gaśnie;
Las tylko jeszcze pacierz swój gada,
Nim, rozmarzony, zaśnie...

Warszawa. *Bożydar (Edmund Bogdanowicz).*

BYRON.

Wielbisz ten gienjusz, co śród każdej karty
Tchnie nienawiścią, pychą i zwątpieniem;
Co ruok pieśni, świetny, nieprzeparty,
Kazi samego siebie ubóstwieniem.

A gdy zgnębionych chce targać kajdany,
Współczując Greków znikczemniałej doli,
Depce świętości, a szałem władany,
Otacza zbrodnię blaskiem aureoli.

Nie miał dla świata nic, oprócz pogardy;
Niebiańskich pieni zamarły dlań tony;
Względem samego Boga stał się hardy
Tak, jako anioł z niebiosów strącony.

Lecz z nim przepadła pieśń unicestwienia,
Pieśń samolubna rozpaczy i splinu;
Ożywczem tchnieniem powiał w pokolenia
Gienjusz poezji wskrzeszenia i czynu.

Warszawa.

Stanisław Budziński.

STRZECHY UBOGICH.

Widziałem strzechę rolnika ubogą,
Pełną śród bólu wytrwałości cichej:
Gdy głód zawita na niwie tam lichej,
Krzyż, znak pokory, wyrasta nad drogą;
Gdy ogień pożre i stóg i owczarnię,
Zdwojoną pracą czeladź dzielnie radzi;
Gdy śmierć, włóczęga, o próg ten zawadzi,
Bardziej się żywe do żywego garnie!...

To jedne; inne widziałem śród wioski
Siedziby nędzy, odarte z sił ducha:
Gdy głód na pole sprowadzi posucha,
Klątwę miotają na ten palec boski;
Gdy się pożoga nad siołem rozzłości,
Nadzy ramiona opuszczą bezwładnie;
Gdy się śmierć z kosą pod strzechę zakradnie,
Żywy żywemu źdźbła życia zazdrości.

Błogosławieni cisi i wytrwali!
Praca i wiara życia ich kolczugą;
W niej nad krateru przejdą wrzącą strugą,
Jak feniks silni, żyjący i cali.
Biada tym drugim! Przedwieczna ich dola:
Prometeusza wołać w niebo głosem,
Bezużytecznie znosić cios za ciosem
I jak cień grzeszny znikać z ofiar pola...

Warszawa. *Edward Chłopicki.*

WYCINEK

Z DAWNO ZAPOMNIANEJ POWIEŚCI.

Mnie i tobie krótka droga,
O biedne sieroty!
Pusto; nagi tylko Boga
Znak i z ciernia płoty.

Gdzie mnie wiedziesz? Stój! Zaczekaj!
Pod krzyż?... na rozstaje?
Ach, dla Boga, nie uciekaj!
Już mi tchu nie staje!

Jeszcze chwilkę!.. Przebóg, Panie!
Coś nad krzyżem świeci!
Biegnę, biegnę na spotkanie,
Tam gdzie motyl leci!

Z gwiazd korona, a w koronie
Lice rozaniela
I wyciąga ku mnie dłonie
Matka Zbawiciela!

Halka pada u stóp krzyża,
Głos drży, usta bledną;
Krzyż ramiona swe uniża
Nad sierotą biedną.

I znów głucho w okolicy,
Ten sam śnieg bieleje,
Szron ten sam skrzy na krynicy,
Ten sam wicher wieje.

Tylko nowy grób dodali
Sąsiedni wieśniacy,
Co z za góry powracali
Do ognisk, po pracy,

Bo zziębniętej Halki ciało
Pod krzyżem zostało.

. . . . . .

Bo krzyż ojcem był, co wraca
Z otwartem ramieniem;
Śmierć gościńcem, bo odpłaca,
A motyl wspomnieniem.

Paryż.

Edmund Chojecki.

SONATINA.

LARGHETTO.

Szarą, wątłą ludzkiego żywota
Pani Parka zwija nić powoli;
Zmudną pracą gnuśnie się mozoli,
To znów szybko ją na kłębek mota.
Wieki całe trwa już ta robota;
Coraz krótsze nici idą w koléj,
Coraz więcej szychu, a mniej złota
W tem pasemku nikłem ludzkiej doli.

Pani Parko! nie mdlejąż ci ręce?
Sporoż jeszcze lnu masz na kądzieli?
Przeszły lata młodzieńcze, dziecięce;
Już siwizny szron nam głowy bieli...
Możebyśmy też już spocząć chcieli
Po tej życia tak rozkosznej męce?

ADAGIO.

Raz wraz się sztafaż krajobrazu zmienia:
Życiowych syte prób,
Z widowni świata nikną pokolenia
I cicho schodzą w grób.
O ziemio-matko, pocoś nas rodziła,
Gdy grzebać wszystkich masz?
Pędzisz hen w przestwór jak wielka mogiła,
Jak cmentarz wspólny nasz.
Jak straszny upiór krążysz wciąż po niebie,
Pośród niebieskich ciał,
Wciąż nowe siły dajesz w swoim chlebie
I wciąż do życia wzniecasz nowy szał,
Nęcisz i wabisz, przykuwasz do siebie,
By Stwórca-Moloch dosyć ofiar miał!

A jednak trzeba śmiało naprzód iść,
Mozolnie kończyć życia dzieło wszczęte
I schnąć i padać, jak jesienny liść,
Jak polne kwiaty w pełnej krasie ścięte.
A plon mozolnych owych długich lat,
Co pozostanie po nas tu na ziemi,
W przeobrażeniach swych pochłonie świat,
Lub z popiołami zmiesza rozwianemi.
I oto dola jest tej tłuszczy szaréj,
Co pada jako trawa pokosami,
Wciąż pełna pychy i pełna ofiary;
I tajemnicza wciąż ją przyszłość mami,
Niepomną ziemia czem i czem my sami
Wobec najmniejszej z gwiazd hen nad gwiazdami.

Warszawa.

Czesław (Czesław Jankowski).

KRZYK TANTALA.

W mękach wieczystych, żyw, a jednak w grobie,
Już dłużej wytrwać nie mogę bez krzyku;
Hańba ci, Zeusie! hańba wam, bogowie!
Ogień mam w łonie, jad trucizn w języku
I chciałbym spalić i zniszczyć w tej dobie
Niebo i ziemię, zmieniając w pustkowie
Cały wasz Olimp, o mściwi bogowie!...

Ach, czyliż mogą być szczersze katusze
Po nad katusze głodu i pragnienia?
Ziąb krew mi ścina, żar wnętrzności pali,
W mózgu wre burza; na struchlałą duszę
Idą już, zda się, zimne śmierci tchnienia;
Gdy wtem ockniona, jak gdyby ze stali
Była hartownej, znów rwie się i żali.

Rwie się i żali nie tego, że kona,
Skonać nie mogąc, lecz że jej wydarto
Najdroższe skarby: jasny strop błękitu,
Woń pól jej mleko matczynego łona,
Wód jasnych zdroje!.. A chociaż nie warto
Żyć na tej ziemi bez słońca i świtu,
Żyć jednak muszę. Wśród śmiechu i zgrzytu

Dzikich najgrawań się z mojej niedoli,
Które tu słyszę w tym strasznym Erebie,
Ze wszystkich męczarń, jakie tu przechodzę,
Ta mnie najbardziej dojmuje i boli!
Jak śmiesz więc, Zeusie, chcieć, abym do ciebie
Nie wznosił dłoni w rozpaczy i trwodze,
Pytając: za co mnie karzesz tak srodze?...

Cóżem zawinił? Zaliż to jest zbrodnią,
Żem twój syn, trawion boską wiedzy żądzą,
Zapragnął poznać myśl bogów tajemną?
Wszakżeś sam kazał rozumu pochodnią
Rozświecać drogi tym, którzy tu błądzą;
Wszakżeś sam nie chciał, by mi było ciemno;
Więc za cóż teraz tak mścisz się nade mną?!...

Przecieżem nie chciał być tobie zaprzańcem
I aby jeno poznać cię i zgłębić,
Oddałem własne na ofiarę dziecię!
A tyś mię za to pokarał kagańcem,
Rozkazał głodzić, mordować i gnębić,
Zrobił ostatnim nędzarzem na świecie,
Chociażem, Zeusie, syn twój, syn twój przecie!

O, gdybym nawet zawinił, gdzież miara
Twojego gniewu, gdzież jest litość twoja,
Gdzie miłosierdzie?... Takaż twoja władza?...
Toż w wiecznej kaźni (prawda jak świat stara)
Najhartowniejsza pęka ducha zbroja,
A gdy nadzieja serc już nie odmładza,
Nawet i cnota w zbrodnię się przeradza!

Jeżeli tego nie mając na względzie,
Karzącej dłoni nie cofasz z nade mnie;
Jeżeli gniew twój nie zna żadnych granic;
Jeżeli mścisz się i spychasz tak wszędzie
Wydziedziczonych w coraz głębsze ciemnie
I wszystkie skargi i łzy ich masz za nic —
. . . . . .

To gdzież jest szala, na której się waży
Twój sąd nad światem i co sąd ów znaczy?
Znijdź raczej tutaj, do głębi Erebu
I stąd mu panuj! Niech świat się nie skarzy,
Że chcesz panować śmierci i rozpaczy,
Kiedy on życia pragnie, nie pogrzebu,
Napróżno tobie ufając i niebu!...

Piotrków. *Mirosław Dobrzański.*

DO MOJEJ LUTNI.

POŻEGNANIE.

(Assked till min hyra).
Przekład z Ezajasza Tegnéra.

Żegnam cię, lutnio! W mej ostatniej chwili;
Spocznij już, spocznij, myśmy już skończyli!
Dźwięczna lirenko, mej duszy pociecho!
Koiło troskę, twojej pieśni echo!
W niejednej piersi tyś harmonją grała;
Zamilknij teraz! Pieśń się już urwała!

Spiewałem „Soę", „Frithjofa" nuciłem,
Bogu i ludziom serdecznie służyłem
I żyłem tylko ile pieśni stało!
Drogą żywota, gdzie mnie wichrem gnało,
Serce w niejednej rozdarło się burzy
I u niejednej ukoiło róży,
Że już sam nie wiem, jako się złożyło:
Mąk czy radości, czego więcej było!

Tyś godłem mojem; innego nie miałem;
Tyś tarczą była! ja innej nie znałem!
Z tobą, o lutnio, szliśmy w życia boje,
Świat zdobywały mi piosenki twoje!
Lecz gdy ostatni z mego rodu staję
Nad grobem, łamiąc ten mój herb oddaję.

Duchu mej duszy! Gienjuszu cierpienia!
W niebie poczęta, poezjo natchnienia,
Któraś na ziemi tutaj przy mnie stała,
Harmonją z góry w duszy mojej grała,

Mnie czas już odejść, godzina wybiła!
Byłaś mi wszystkiem, boś mi prawdą była!
Więc ja nad wszystko ukochawszy ciebie,
Śnić nie przestając, będę śnił i w niebie!

Z moich popiołów, na twoje wezwanie,
Poeta kiedyś tu może powstanie,
Aby dośpiewał natchnionym chórałem
Czegom nie zdążył, czego nie umiałem!
By coś wielkiego w Północy utworzyć
I szwedzką chwałę w szwedzkiej pieśni złożyć!

Żegnam cię, pieśni, dla mnie duchem święta,
W życia marzeniach zaledwo poczęta!
Życia, wieczności obrazie wspaniały;
Z żalem was żegnam, pieśni ideały!

Późno! Już późno! Bracia, raz ostatni
Ślę wam od serca ten mój wyraz bratni;

Rozstanie krótkie tu pomiędzy nami!
W proch niech opada korona z laurami
I niech ostatnim już śmierci powiewem
Owiany, zasnę mym ostatnim śpiewem!

Poznań. *Benzelstjerna Engeström.*

SEN O WIOŚNIE.

Przyśnił mi się gaj na wzgórzu,
Tam pod wioską moją,
Gdzie, w zielonych płachtach, brzozy
Jak dziewoje stoją...
Słonko liście szmaragdowe
Nakropiło złotem;
Gaj rozbrzmiewa szmerem, szumem
I ptasząt świegotem...
Spiewa mi coś pieśń znajomą,
Aż się nieba śmieją;
Białe brzozy się do taktu,
Jakby w tańcu chwieją...
Słucham... słyszę... ludzkim głosem
Nucą we śnie drzewa...
Piosnkę w gaju ułożyłem,
Gaj ją teraz śpiewa...
Słucham... słyszę... przypominam,
Serce drży radośnie:
Wszak to piosnka, piosnka moja
O niej i o wiośnie...
Czuję, łza mi jakaś słodka
Po licach się toczy;
Coraz cichsze płyną echa...
Prysnął sen uroczy...

A na jawie śniegi, zima,
Z wiatrem wieją mrozy;
W sercu smutek; w głuchym gaju
Drzemią senne brzozy...

Warszawa. *Marjan Gawalewicz.*

Z POEMATU:

„KRÓLEWSKA PIEŚŃ".

...Piękna Brunhilda, krwi margrafów córa
Tkała dla Leszka pas dzierżgany złotem,
Do hełmu pawie przyczepiła pióra,
Skuła je gwiazdą brylantów — a potem
Twarz jej oblała świeżej krwi purpura
I serce w piersi zabiło z łoskotem,
Gdy, hełm unosząc ku młodzieńca skroni,
Miękki włos Leszka uczuła w swej dłoni.

— „Wracaj!.." szepnęła, dzwoniąc mu nad uchem
Błagalną prośbę, cichym płaczem drżąca,
I jakimś miękkim a lubieżnym ruchem
Na pierś mu padła, jasna, jak miesiąca
Promień... być chciała jego myślą, duchem,
I tak biedz przed nim niby harfa. brzmiąca
I wołać — sama, jak echo, daleka:
— „Brunhilda kocha! Brunhilda cię czeka!"

I słów tych szeptem i dźwięków pieszczotą,
Nektaru kroplą w serce mu się wsączyć,
W pamięci jego utkwić strzałę złotą,
Sny wspólne w jeden, długi sen połączyć
I być pragnieniem jego i tęsknotą
I w pół urwaną pieśnią, którą skończyć,
Choćby na straży stała myśl ostrożna,
Na ustach tylko w splotach ramion można.

— „Wracaj! — szeptała — pozna serce moje
„Dzień, w którym srebrnem zadzwonisz strzemieniem;
„Ja wyjdę pierwsza na spotkanie twoje
„Z puharem wina i złotym pierścieniem,

„Szyszak ci zdejmę z czoła, pas i zbroję,
„Pierś twoją miękkiem otoczę ramieniem....
„I czarów pełne sny ciebie owiną,
„Gdy będziesz usta całował, pił wino!

„Dziś miłość nasza, jak słowik ukryta
„W cienistych gajach, pośród róż się chroni;
„Lecz cię Brunhilda uściskiem powita
„I serce moje pokażesz na dłoni
„Rycerzom wszystkim. — Co to? — ojciec spyta —
„I wiem, że gniewem pryśnie, w ząb zadzwoni,
„Ale ja z tobą wejdę na krużganek
„I powiem: oto mój mąż, mój kochanek!..

„Niech cię nie trwożą margrafa zamysły,
„Ani książęcia nadreńskiego swaty,
„Ja ciebie kocham!...“ Tu w oczach łzy błysły
I płomienniejsze stały się szkarłaty
Ust, podniesione ramiona zawisły
W powietrzu, dłonią chwyciła kraj szaty
I oczom Leszka świecąc piersią białą...
— Aaa!.. zawołała, drżąc — masz!.. bierz mnie całą!“

Rycerz się zachwiał... krwi jasna purpura
Oblała lica uśmiechem promienne;
Nagle nad czołem mu stanęła chmura,
Budząc wspomnienia jakieś, myśli senne...
A potem bladość nadeszła ponura,
A potem jakieś milczenie kamienne,
Okropne... Skronie Brunhildy krwią biły,
Płonęła ogniem, on miał chłód mogiły.

— „Co tobie? — rzekła — zbielałemi usty
Chłonąc duch w siebie i powietrze srebrne,
A twarz jej była podobną do chusty,
Którą jej co dzień podają służebne,
Blada, bez życia... Nagle łez upusty
Pękły — czasami takie łzy potrzebne
Jak zwiędłym trawom rosa, różom deszcze.
Płacząc, krzyknęła w głos: — „Czy kochasz jeszcze?“

Było to rankiem, ledwie przed świtaniem,
Stali w altanie otoczonej winem.
Brunhildy pierś się podnosiła łkaniem,
Płacz ten powieki malował karminem...
Wołała przez łzy: „My się nie rozstaniem,
„Ja cię zatrzymam choć rozpaczy czynem!
„Czyli koniecznie ma być chlubą męża
„Nad miłość przenieść ostry zgrzyt oręża?

„Smutek twej twarzy i posępne lice
„Mówią, jak ciężka chwila to rozstania.
„Nie!... Ja gniotącą zdejmę ci przyłbicę,
„Co brzydkim cieniem czoło twe zasłania!
„Zostaniesz — prawda?.. Patrz mi wprost w źrenice
„Owem spojrzeniem dawnego kochania!
„Żegnać się z tobą, to żegnać z nadzieją...
„Zostań ty!.. oni niech idą, krew leją!..“

Lech drgnął... „Niech idą... krew leją!...“ Z warg drżących
Wypadło słowo z jakiemś brzmieniem głuchem
I widać było z jego ust drgających,
Z rozwartych oczu, że uniósł się duchem
Daleko, mocą jakichś uczuć wrzących.
W tem, jakby ciężkim ktoś trącił łańcuchem,
Powietrze jękiem przeciągłym zadrżało...
Leszek się zachwiał, w ustach krwi nie stało.

I szepnął: „Prawda!.. mnie nie iść tą drogą,
„Kędy niemiecki oręż się posunie.
„Ni tamtą ziemię nadeptać ich nogą,
„Ani mi usiąść gdzie oni — na trunie
„Popiołów własnych... Jesteś stokroć drogą,
„Że mi wspomniałaś o owym piorunie!
„Za nimi moje myśli się nie rzucą,
„Niech idą... Ale czy ty wiesz, z czem wrócą?

„Z pól ojców moich dłoń niemiecka narwie
„Róż jak ty pięknych... znam ja, znam te róże!
„Na ostrzach waszych toporów w krwi barwie
„Może zobaczę jakieś plamy duże,
„Które mi skoczą na czoło i larwie
„Podobny stanę... i oczy zanurzę
„W dłoniach, bo krew ta — chroń mię ręko boska!
„Może zakrzyczy: ...„jam jest krew ojcowska!“

„Na Chrysta twego; który oddał szyję
„Bezsilny w ręce oprawców Heroda
„I na Peruna, który gromem bije
„I w jarzmo czoła swojego nie poda,
„Na słońce klnę się!.. W mem sercu się wije
„Gniazdo os, twojej miłości mi szkoda,
„Jakby dzień jasny uciekał przedemną,
„Czuję ból w sercu, jest we mnie i ze mną!

„Lecz nie w tem ramion rozkosznem objęciu,
„Na twem dziewiczem spoczywać mi łonie...
„Jam jest syn zemsty!.. Przy mojem poczęciu
„Biły już gromy, grzmiało w waszej stronie.

„Wyście zbudzili pierwszą myśl w dziecięciu
„Skrami swych mieczów, że jest moc, co chłonie,
„Jest piorun, który zabija bez jęku...
„Jam moc tę posiadł, ten piorun mam w ręku.

„Pójdę! i gnany wichrowym szelestem
„Zbójeckie wasze roztrącę szeregi
„I zagadają o mnie lasy chrzestem
„Krwi waszej zmyte — i wyjdą nad brzegi
„Fale i powiem falom jak Bóg: jestem!
„I iść im każę — i pójdą jak śniegi
„Białe, długim się wężem rozpierścienią!
„Uderzą burzą na was, w proch zamienią!

„Tyś mię spętała źrenicą błękitną,
„Koralem ust swych, licem pełnem krasy
„I zapomniałem, jaką barwą kwitną
„Kwiaty mej ziemi, jak szumią jej lasy,
„Które topory zbirów waszych wytną!
„Szczęśliwy byłem przy tobie i wczasy
„Rozkoszne miałem... Strącam tę ohydę
„Precz!.. szarpię serce, cierpię... ale idę!

„Ty, jeśli kochasz, nim skrzydła rozwinę,
„Obróć krok chwiejny, gdzie mordu duch płuży —
„Wstrzymaj żelaznych zastępów drużynę,
„Odwróć ich myśli od krwawej podróży,
„Daruj mi jeden dzień, jedną godzinę,
„Bym grot zaostrzył, zamienił w grom burzy,
„Później niech idą w dym i boju zamęt...
„Oto ostatni mój krzyk — i testament!“

Skoczył pomiędzy drzew gęste szpalery
I zniknął złotym pancerzem słoneczny,
Brunhildy stała się twarz bielszej cery,
Trzęsły się nogi pod nią, ból serdeczny
Pierś chwytał... Gasły blaski, cichły szmery,
Przed nią świat kołem w jakiś wir taneczny
Poszedł... Brunhilda krzyknęła okropnie,
Chciała z altany zbiedz — umknęły stopnie...
Padła...

Warszawa. *Kazimierz Gliński.*

WSPOMNIENIE TROK.

Wśród szmaragdowych toni trockiego jeziora
Wspaniale sterczą szczątki starego zamczyska,
Jeszcze groźne i wielkie i jeszcze z nich błyska
Iskra wspomnień, zniszczenia ostatnia zapora.

Słońce, ku zachodowi kłoniąc się z wieczora,
Czerwonym blaskiem dzikie oblewa zwaliska,
Co zdają się powstawać z wieków cmentarzyska
Na kształt zmarłej przeszłości krwawego upiora.

Słońce zgasło. Noc swoje rozpostarła cienie
Nad samotnym pomnikiem witoldowej chwały
I mrokiem się pokryło przeszłości widzenie.

Tak wielkość i potęga, co niegdyś jaśniały,
Gasną w pomroce czasu; — lecz żyje wspomnienie
Wielkich czynów i sławy świeci blask wspaniały.

Ryga. *Walery Gostomski.*

BEZDZIETNI.

(BALLADA Z KOŃCA WIEKU).

Panowie, proszę... już gotów stół!
Siadajcie... no, mówcie sami,
Czyż warto, aby się człowiek truł
Darmo smutnemi myślami.
Gdy kielich pełen, z wszech ludzi szydź
Człek każdy nicość wśród świata;
Ja jeden mógłbym czemś jeszcze być,
Lecz mi się nie chce, u kata!
Kielichy w górę! Bierz smutki czart!
Na hazard rzućmy garść złota!
Żywot tak smutny, więc z wina, z kart
Niech tryśnie lepsza ochota.
Prawdziwa mądrość wyczerpać dział...
Rozkoszy, danej przez losy;
Komu źle w życiu, sam tego chciał,
Że mu tkwią w głowie... niebiosy.
Przesąd ten mącił wesołość wprzód;
Nas niech te głupstwa odbiegą,
Niechaj się trzyma go tępy lud,
Nam jest tak dobrze bez niego.
Może nie całkiem? Ha, kto to wie?
Niejeden twarzą wybladłą
Świadczy, że mu dziś bez wiary źle,
Lecz, co stracone, przepadło!
Przepada wszystko! Szatanie, bierz
Czarowne ułudzeń kwiaty,
Wiem, że sądzonem i mnie jest też
Dożyć... majątku utraty.
Gdy stracę wszystko, w odwodzie mam
Ratunek... u stóp ołtarza;

Poślubię którą z pieniężnych dam,
Choćby córeczkę lichwiarza.
Nazwisko zyska i świetny herb,
W zamian za krocie tysięcy,
A że w tradycji narobię szczerb,
To głupstwo... przesąd... nic więcej!
Tradycja! Która? Bo nie wiem już
Czy ta, co wierzy na słowo,
Czy ta, co wyszła z wiekowych burz
Nam na ozdobę rodową.
Jedna wraz z drugą... ach, bierz je czart!...
Niech nam wesela nie płoszy.
Ten żywot ziemski tyle jest wart,
Ile użyjesz rozkoszy.
Co potem? Mówią, że sądzić Bóg
Ma nas srogiemi sądami.
Nas już nie straszy szatański róg,
Ni jakieś niebo nie mami.
Wszystko się skończy, gdy przyjdzie skon,
Z człowieka będzie garść błota.
Więc dziś użyjmy! Żywota plon
Śmiech, rozkosz,... reszta marnota!
Ten portret stary... kto na nim tam,
Pytacie... niech on powiada,
Żem nie z pod strzechy słomianej cham,
Ale pan z dziada, pradziada.
Ten wąsacz stary... to dziada dziad,
Bigot, jak niesie podanie,
Co noc do trumny na sen się kładł,
A rąbał uszy, mospanie!
Co to u licha? Nachmurzył twarz?
Z oczu tryskają mu błyski?
Jakby chciał mówić: Boże, was skarz!
Rzuć na nich straszne pociski!
Coś puka... Jeszcze tych żartów brak!
Czy tylko mówicie szczerze,
Iż duchy dają żyjącym znak?
Ja w czwarty wymiar nie wierzę.
I gdyby nawet po śmierci żył
Duch gdzieś w przestworzu nieznanem,
Mnie nie przeszkodzi, bym jadł i pił
I tu na ziemi był panem.
Wciąż puka... djabli nadali tam
Nadprzyrodzone te mary!
Widocznie chce coś oznajmić nam;
Czego on żąda ten stary?
Więc, czego pragniesz, wyraźnie głoś
Wiem... o tem zbyt powtarzano...
Wiem... żądasz, byśmy spełnili coś,
Czego wam spełnić nie dano.

Czy chcecie, byśmy snuli tę nić,
Co nieustannie się rwała?
By dla mar próżnych umrzeć i żyć,
Żadna przyjemność, choć chwała.
Może na szumnych tych haseł lep
Łapać się będą z kolei
Wszczepieni w rodów nieznanych szczep
Ludzie dalekich idei.
Lecz na nas próżno woła wasz głos,
Daremnie do nas kołata,
Bo my, jak pusty na polu kłos,
Bezdzietni schodzim ze świata.

Częstochowa. *Bronisław Grabowski.*

WIDZENIA.

(FRAGMENT).

. . . . . .

Nie wiem, kto wyrwał mnie z odrętwienia,
Kto mą istotę na nowo zmienia...
Z letargicznego snu się ocknąłem
Na ostrym szczycie skalistej góry.
Gwiazdy szeleszczą nad mojem czołem,
Chwieją skrzydłami przelotne chmury.
Tu wśród przepaści i w tę noc ciemną,
Potępion będę. Czas mój się zbliża,
Wyrok już zapadł i grzmi nademną:
„Na krzyż z nim! na krzyż! przybić do krzyża!"
Tłum mnie oprawców obległ ponury,
Grobowym głosem śpiewają chóry:

CHÓR I.

Duchu niesforny! Kara cię czeka
Za przekroczenie władzy człowieka.
Za to, że pycha rozumu zdrożna
Sięgała wyżej, niż sięgać można;
Żeś śmiał się wdzierać po za błękity, —
Będziesz do krzyża myśli przybity,
A krzyż ten dotknie niebios wyżyny.

CHÓR II.

Kara cię czeka za twoje winy,
Za to, że z wiedzą swą nieudolną

Schodziłeś głębiej, niż schodzić wolno,
Żeś niedostępne badał odmęty,
Będziesz na krzyżu myśli rozpięty,
A krzyż ten zmierzy otchłanie do dna.

CHÓR III.

Kara cię czeka winy twej godna
Za to, żeś więcej w przestrzeni, w czasie
Starał się objąć, niż objąć da się;
Żeś śmiał wieczności zdzierać zasłony,
Będziesz na krzyżu myśli dręczony,
A krzyż, na którym zniesiesz męczarnie,
Cały stworzenia ogrom ogarnie!

Ucichły śpiewy. Ostatnie dźwięki
Jeszcze drżą smutno, jak wróżba męki;
Porwał je wicher i dalej niesie.
Zwierz się przebudził w głębokim lesie,
Zawył i krwawo ślepiami błyska;
Ozwał się puhacz gdzieś z rumowiska,
W chacie górala, przy boku matki,
W płacz uderzyły zlęknione dziatki;
Tuli niewiasta swe niemowlęta,
Choć również trwożna, bo nie pamięta,
Od kiedy żyje, by w nocne chwile
Dzikich rozgwarów bywało tyle.

Wrą, lecą, płyną posępne tony;
Żaden z nich dla mnie nie jest stracony,
A czy po kniejach wiatr targa liście,
Czy to zaszumi step uroczyście,
Czy wilki wyją, huczą puhacze,
Czy w chacie dziatwa góralska płacze,
W najdalszem echu, w najtwardszej nucie
Pełne żałości jęczy współczucie.

Co to się stanie? Co się wnet stanie?
Co ze mną będzie, Wszechmocny Panie!
Że las, step, wicher, że nocne ptaki,
Lament w powietrzu zawodzą taki?
Miałażby, oto, w życiu natury
Przewyższyć wszystko moja niedola,
Co kiedykolwiek widziały góry,
Co kiedykolwiek widziały pola?
Brzemię martwoty nagle zrzuciwszy,
Stałem się lżejszy od listka, puchu,
I od porannej mgły przenikliwszy;
Najmniejsza moja cząsteczka w ruchu;

Każda krwi kropla, każdy mój atom,
Promieniem myśli mknie ku wszechświatom,
Aż wreszcie ciało gdzieś się rozwiało,
Bez form istota w próżni się miota,
Z ludzkości łona precz wyrzucona,
Z obecnej chwili ogniska
Pchnięta na wieczne wygnanie
W bezdenne czasu otchłanie,
Błędnym płomykiem w nich błyska.
Jak puch, jak liść wśród zamieci,
Bez woli, — i, ach, niestety!
Bez treści, steru i mety
Leci i leci...

W prąd myśli przepromieniony,
Niepowstrzymany w zapędzie,
Minąłem stada łabędzie
Gór, których śnieżne korony
Z planet tysiąca, tysiąca
Srebrzą gwiazdami noc ciemną;
Już ta mirjada iskrząca
Daleko... w dole, podemną.
Mleczną przebyłem już drogę,
Dotknąłem, zda się, już nieba,
Już tu by spocząć mi trzeba,
A nigdzie spocząć nie mogę.
Hej, chmuro, wstrzymaj! Lecz chmura
Szanuje zrządzenia boże;
Hej gwiazdo wstrzymaj mnie która!
Lecz gwiazda wstrzymać nie może
Tyle tu światów jest, tyle!
Hej, świecie, dłonią olbrzyma,
Na jedną wstrzymaj mnie chwilę!
Lecz mnie świat żaden nie wstrzyma.
Ma obłok, mają planety
Wskazany zakres i drogę,
Tylko kierunku i mety
Ja jeden znaleźć nie mogę.

Światy wy, światy! Toż pono,
Przestrzeni macie niemało,
By wędrownicę znużoną,
By Myśl przytulić zbolałą?
A światy rzekną:
„Opieka
„I nasz przytułek jej na nic;
„Z każdego świata ucieka,
„Myśl wytrącona z swych granic.
„Nieprawej swobody chciwa,
„Ściąga też karę niezwłocznie...

„Kto się za świat swój wyrywa,
„Ten w żadnym świecie nie spocznie".

Dalej, a dalej! Jakżeż, — źdźbło marne,
Mdłe tchnienie, promyk znikomy:
Lichem jestestwem swojem ogarnę
Bezbrzeżne dziejów ogromy?
Jak struna harfy myśl wytężona
W przestwór daleki, daleki,
W przeszłość i w przyszłość szerzy ramiona,
Przez wieki... wieki... a wieki.
W chaosie czasów z dwóch stron niknące,
Stulecia stanęły w rzędzie:
Dziesiątki, setki, tysiąc... tysiące...
I kiedyż koniec im będzie?
Wieki — po wiekach, era — po erze:
Wciąż nowe czasów obszary;
A ja się ku nim szerzę i szerzę,
Bez tchu, bez przerwy, bez miary;
A ja, posłany ku nim za gońca,
Z lichego wysnuty wątku,
Już siły tracę, a jeszcze końca,
A jeszcze niema początku!
Wieki, wy, wieki, przyjmcie mnie który:
Niech żyję w jednym okresie,
Bo tych wytężeń strasznej tortury
Myśl moja dłużej nie zniesie.
A wieki rzekną:

„Nasza opieka,
„I nasz przytułek jej na nic;
„Z wszelkich wymiarów czasu ucieka
„Myśl, wytrącona z swych granic.
„Z teraźniejszości ciasnego koła
„W przeszłość, to w przyszłość wciąż rwie się;
„Kto poszedł za nią, ten żyć nie zdoła
„W żadnym już czasu okresie".

Tak świat po świecie myśl mą odtrąca,
Tak wiek po wieku w przepaść ją ciska;
Błędna, lecz światłem szlak swój znacząca,
Wszędzie obecna, a bez siedliska,
Jak puch, jak liść wśród zamieci
Bez woli, — i, ach, niestety!
Bez treści, steru, i mety
Leci i leci...
. . . . . .

. . . . . .
...Wędrówka moja skończona...
Spełnia się najsroższa z kar:

Aż do nicości łona
Niósł mnie pęd zdarzeń, wiódł mnie gwar,
Zmiennych idei, zmiennych wiar;
Rozsnułem się na plemiona,
Na kraje, na pokolenia;
Oplotłem sfery istnienia
Jako pajęcza nić;
Wszystkich złowrogich prawd społem
Piekielne ognie wchłonąłem...

— I muszę żyć!

. . . . . .

Warszawa. *Djoniszy Henkiel.*

1.

NADZIEJE MŁODOŚCI.

Wszystkie mojej młodości nadzieje
Odbieżały mnie w życiu powoli.
Jeśli czasem łzę gorzką wyleję
I zawołam, że serce mnie boli,
Niechaj na mnie ten ciśnie kamieniem,
Kto sam zawsze pewną stąpał nogą,
Pod dźwiganem nie zgiął się brzemieniem,
Nie zawołał, że zmęczył się drogą...

Mnie zaczyna brakować tej siły
I na usta skarga się wyrywa,
Choć wiem o tem, że cisza mogiły
Da sen, w którym dobrze się spoczywa;
Lecz zostanie jeszcze tylu ludzi, —
Niebo, ziemia — te lasy, te pola...
Kto wie: zali w grobie mnie nie zbudzi
Czyja skarga i czyja niedola?

2.

TĘSKNOTA WĘDROWCA.

Dopóki dusza tęskniąca pamięta,
Żeś ty kraina moja — ziemia święta!
Dopóki snów mych zwierciadło zwodnicze
Będzie odbijać słodkie twe oblicze;
Póki się będę modlić mową twoją,
Pamiętać krzyże, co na grobach stoją,
I stare grody twoje, twoje sioła,
Słyszeć głos, który na mnie: — Synu! — woła
I przez przestrzenie dalekie dolata
Wskróś wszystkich dźwięków i hałasów świata
I każe sercu tak uderzać w łonie,
Że wyciągają się synowskie dłonie
Że łza po licu pomarszczonem płynie
W świętej wspomnienia i żalów godzinie:

Jeszcze nie jestem zbrodniarz i przeklęty...
Jeszcze mieć mogę grób w tej ziemi świętej.

Warszawa. *Marja Ilnicka.*

ZWROTKI.

1.

W PÓŁCIENIU.

Wicher śniegiem o szyby nam dzwoni,
Ogień przygasł, siedzimy w półcieniu,
Słodko nam i błogo tak, dłoń w dłoni,
Oko w oko, ramię przy ramieniu.
Nie tak dawno... poczekaj, przypomnę
Owo nasze najpierwsze spotkanie:
Tyś oczęta w dół spuściła skromne,
Jam nie podał ręki na witanie.
Obojętnie skinęliśmy głową
I do innych zwrócili się gości;
Nie zabiły serca nagłą mową,
Nie spojrzały oczy w mrok przyszłości.
I duch żaden nam nie szepnął biały,
Jakie będą losów naszych końce,
Że ty we mnie znajdziesz świat swój cały,
A ja w tobie — mego świata słońce.

2.

BOGATAŚ, ZIEMIO!

Bogataś, ziemio nasza,
Oj bogata!
Złotą się strzechą świeci
Każda chata;
Szmaragdy cichych lasów,
Wód kryształy,
Kwiatów djademy żywe
Cię przybrały.
A pereł, masz najwięcej,
Jasna Pani:
Z ócz naszych tobie płyną
W ciągłej dani.

Lwów. *Iza.*

SERCA JAK SŁOŃCE.

Toć bywa: po jasnem niebie
Kłębi się, toczy przed siebie,
Bałwani czarne chmurzysko
I pędzi prosto na słońce,
Co stoi — myślałbyś — drżące,
Jak rozpalone ognisko.

Na słońce pędzi, jak strzała,
Zda się, już gasić je miała,
Gdy uderzona promieniem
Chmura, co z taką przemocą
Stworzeniu groziła nocą,
Mdłym rozpłynęła się cieniem.

Tak w życiu: zawody, troski
W człowieka pierwiastek boski,
Jak chmury na słońce biją
I — zda się — pogaszą blaski
I światła wszelkie i brzaski,
Co na dnie serc naszych żyją.

A jednak nie wszystkie gasną:
Bywają serca, tak jasno
Płonące wśród serc tysiąca,
Że najczarniejsze przed niemi
Pierzchają troski z tej ziemi,
Jak owa chmura z przed słońca.

Warszawa. *Marjan Jasieńczyk (Wacław Karczewski).*

Z CYKLU:

CIRCULUS VITIOSUS.

1.

ZAGAŚNIJ, SŁOŃCE!

Zagaśnij, słońce! bo na cóż promienie,
Które do serca nie wnikają głębi?
Niechaj do reszty mnie ten lód wyziębi,
Jakim na okół tchnie boże stworzenie...

Dziwnie, że człowiek, co wyszedł zpod ciepłej —
Jak mówią — ręki Mistrza nad mistrzami,
Nawet najmniejszą iskrą nie omami
Bratniego serca i myśli zakrzepłej...

Straszna w tem wszystkiem mieści się zagadka:
Albo człowieka żaden Bóg nie stworzył,
Lub z powszechnego prawa tak wydrożył,

Tak się wypalił duch mój do ostatka,
Że dlań już ognia żadnego nie stanie...
Zagaśnij, słońce! Po cóż rozwiązanie!

2.

PO DESZCZU.

Po deszczu kwiaty odetchły i w górze
Świeżych zapachów pełna atmosfera:
Każdy jej atom snadź kroplę zawiera
Tego balsamu, którym żyją róże...

Chmury rozdarło słońce, ten cud boży,
I świat, co zda się, ze zmęczenia kona,
Zadźwięczał cały, jak posąg Memnona,
Kiedy nań promień swój całunek złoży.

A dusza ludzka, która tonie w krwawéj
Przebojów słocie i wszystkie swe liście
Traci wiosenne, ach! dla Nic wielkiego,

Czyż jest naprawdę lichszą od tej trawy?...
Anioły blasków bytu jej nie strzegą,
I czar wytchnienia znikł dla niej wieczyście!...

3.

ODI PROFANUM VULGUS.

Czemu uciekam od natłoku ludzi? —
Tak mnie niejeden pyta się, zdumiony...
Czyż grzech, co z czoła zrzuca im korony
Bożego piętna, we mnie wzgardę budzi?

Czym jest z tych karłów, co, w dumie niezdrowéj
Wzniósłszy nad miarę serca i rozumu
Kościół dla siebie, drżą, by dotyk tłumu
Tej ich karcianej nie zniszczył budowy?...

Nie! nie! ja w ciemnej swego wnętrza kaźni,
Jak ów pustelnik, wyklęty ze świata,
Z tej się zamykam bolesnej przyczyny,

Aby nie czytać w oczach człeka-brata,
W których swój obraz widzę najwyraźniéj —
Własnej słabości, ach! i własnej winy...

IV.

FLECTAMUS GENUA!

W proch! w proch przed blaskiem, który z serc wytryska,
I serca wzajem zapładnia, że kwitną,
Jako te lilje, patrzące w błękitną
Toń niebieskiego nad nami sklepiska.

W proch! w proch! choć w tobie szatany zazgrzytną,
Choć wić się będzie, jako żmija ślizka,
Ta przemoc złego, która gwałtem ściska
W swoich pierścieniach wszystką żądzę szczytną.

W proch! w proch upadnij!... Zaklęcia daremne!
Świadomość siebie stracił syn człowieczy,
Gdy raz trującej zakosztował cieczy:

Zamiast przed słońcem korną zginać szyję,
Z którego powstał, ach! i którem żyje,
Czci niszczycielki swe — potęgi ciemne!...

Lwów. *Jan Kasprowicz.*

Ducha, gdy tchnieniem najświętszem owionie
Czoło skazańca, — wdeptane w proch skronie.

Głos z nizin bije...
— O błogosławieni
Pokój czyniący nad ludem i światem,
Siewacze ciszy, co idą schyleni,
By zasypywać miłości swej kwiatem
Przepaście czasów, a nic się nie nużą,
Trzymając serce wzniesione nad burzą!
Albowiem oni synami bożemi
Nazwani będą przez ludzkie plemiona,
A z ich posiewu urośnie mir ziemi,
I będzie kawka w swem gnieździe uśpiona,
I wyjdzie tęcza na lądy i wody,
I kainowe odmienią się rody.

Głos z nizin bije...
— O błogosławiony
Duch, co dla prawdy zostaje w ucisku,
A od upału nie miewa uchrony,
Ani zażyje snu przy swem ognisku,
Ni wykołysze swej młodej nadziei,
Ale tak szczwany jest, jak jeleń w kniei!
Albowiem z krzywdy narodzi się prawo,
A z jego męki narodzi się siła,
A na tych drogach, gdzie stopą szedł krwawą,
Kwiat z siebie wyda wyklęta mogiła,
A wiatr zniszczenia, co szatą mu miota,
Rozniesie za nim nasiona żywota.

Głos z nizin bije...
Ja słucham go w ciszy,
I zadumana dziś jestem o Tobie...
A jeśli przyszłość jest, która go słyszy,
Jeżeli wszystko nie kończy się w grobie,
Jeśli istnieje to, co zwiemy cudem,
— Błogosławionaś Ty między swym ludem!

Warszawa. *Marja Konopnicka.*

BŁOGOSŁAWIENSTWA.

EWANGELIA Ś-go MATEUSZA, ROZDZIAŁ V-ty, WIERSZ 3-ci.

„Nie mniemajcie, abym przyszedł rozwięzować zakon albo proroki; nie przyszedłem rozwięzować, ale wypełnić. *Mat. V. 17.*

Błogosławieni
Ubodzy w duchu, dziś upośledzeni,
Jak bydlę w jarzmie tak jęczący w najmie:
Ich będzie państwo, które ja oznajmię.

Błogosławieni,
Którzy się smucą, niczem niecieszeni,
Co życia troski znają, nie rozkosze:
Ich będzie państwo, które ja przynoszę.

Błogosławieni
Cichego serca, życiem nauczeni,
Z pogodą ciężkie dźwigający brzemię,
Albowiem oni odziedziczą ziemię.

Błogosławieni
Ci, co sterani i wydziedziczeni;
Nad nimi prawo znęca się zuchwalcze:
Ich będzie państwo, które ja wywalczę.

Błogosławieni,
Których dłoń wokół miłosierdzie pleni,
Którzy się bracią czują między braćmi;
Ci wezmą chwałę, której nic nie zaćmi.

Błogosławieni
Ci, których czyste serce się nie leni
Miłości służyć i poczciwej sławie:
Ich będzie państwo, które ja postawię.

Błogosławieni
Czyniący pokój i śród nocnych cieni
Szerzący światła moc niepokalaną,
Bo oni synów bożych wezmą miano.

Błogosławieni
Dla sprawiedliwej walki uciśnieni,
Których gna zawiść i oszczerstwo truje:
Ich będzie państwo, które ja zgotuję.

Błogosławieni
Wy wszyscy, którym bluźnią zaślepieni,
I prześladują was za prawdy boże:
Waszem jest państwo, które ja założę.

Berlin. *Józef Kościelski.*

SMUTNA POWIEŚĆ.

(DO PRELUDJI CHOPINA, op. 28, Nr 6).

Czemu mnie witają dzwony
Jęki grobowemi,
Gdy do lubej zatęskniony
Wracam z obcej ziemi?

Czemu dźwięczą tak ponuro,
Gdy sny złote roję?
Czemu niepokoju chmurą
Szczęście mącą moje?

Jakaś skarga wciąż się smutniej
Z dzwonów tych wydziela,
Dziś gdy z duszy mojej lutni
Płynie myśl wesela.

Gdym odjeżdżał, kwiat mi dała,
Niezabudkę małą,
A choć płaczem mnie żegnała,
W łzach jej coś śpiewało.

Lecz z tych dzwonów taka głucha
Rozpacz jakaś wieje,
Jak gdy zwątpień zawierucha
Wszystkie rwie nadzieje.

Spieszy młodzian zatęskniony
Spieszy do kochanki,
Wciąż wyraźniej biją dzwony —
Nie na ślubne wianki.

Już z za drzew bieleje strzecha,
Chłopcu serce płonie,
A tu, jak grobowe echa,
Bije dzwon po dzwonie.

Stanął. Ludzkie słychać płacze!
. . . . . .
Serce pękło mu tułacze,
I nie umilkł jeszcze dzwon,
Gdy już z nią się złączył on.

Kraków. *Edmund Krzymuski.*

FRAGMENT.

I ja pragnąłem również mych tortur udziału,
I ja pragnąłem walki tytanicznej grzmotów,
I ja pragnąłem krzyżów męczeńskiego szału
I miłości potężnych — i wysokich lotów.

Ale przyszedłem na świat w dniach mogilnej ciszy,
Gdy zamarły już echa ostatecznych gromów,
Gdy niebotyczne góry rodzą nędzne myszy
I rozbił się olbrzymów bój na bój atomów.

I tak zamiast mię zaraz dać pod miecz katowski,
Życie niosło mi zwolna swe jadowe bole,
I walki swe nikczemne — i mizerne troski
I miłości fałszywych próżne aureole.

Jak jednostajny potok chłodnych dni jesiennych
Bez tęcz i bez piorunów na szarym błękicie
Na tej bezwładnej glebie moich walk codziennych
Zlodowaciała krew ma i zastygło życie.

Jak krople dżdżu, co febry lód gorący tłoczą,
Płynie mi tych atomów szereg niedościgły;
Jak złośliwe robaki serce moje toczą
I ciało moje kolą jak zatrute igły,

I duszę mą w wieczystych trzymają konaniach,
Których nigdy nie kończy dzwon pogrzebu twardy;
Miljardy ich zginęły w przeszłości otchłaniach
I widzę ich w przyszłości straszliwe miljardy.

Widzę te nieskończone męczeństwa godziny,
Jak Makbet, co spogląda w czarownic zwierciadło
I dostrzega w nim Banka niezliczone syny
I nie dosięgnie w przyszłość dłonią swą opadłą.

Zaledwie jedna igła w tym pościgu wiecznym
W zmęczoną pierś mi wpiła swe żądło mizerne,
Oto druga już ogniem pali mię serdecznym
I z tych ukłuć nicestwa bóle mam niezmierne.

Omdlały tym powolnym atomów pochodem
Pytam, czy nie stanęły już bytu zegary,
Czy jaskinia Eola pokryła się lodem
I marzę nawałnice, wichry i pożary.

Jestem niby ów chińczyk strażą otoczony,
Nędzarz na długie noce wyklęty bezsenne,
Albo człowiek spętany i tak zawieszony
Nad przepaścią, by nie wpadł w jej łono bezdenne.

I tak mi życie całe jest jak kat złośliwy,
Który niemo w powolnych żarzy mię płomieniach,
Lub pająk, co szaremi więzi mię przędziwy
I w ciągle wzrastających pogrąża mię cieniach.

Potem, jak ów skazaniec do ławy przykuty,
Nad którym ostry miecz się kołysze widomy,
Miecz, który powolnemi, lecz stałemi rzuty
Szyderczo ku mej piersi schodzi nieruchomêj.

Lecz nigdy nie uderza śmiertelnym piorunem,
Co jedną krwawą iskrą do grobu układa, —
I zwolna mnie zabija mizernym piołunem
Ta wielka w swem nicestwie małych trosk szkarada.

Napróżno uderzały pulsa me namiętne,
By uciec choćby w ogniach od żywota kału,
Dusi mię to powietrze zatęchłe i mętne
I dziś jam tylko żebrak czynu i zapału.

Warszawa. *Antoni Lange.*

Z TRAGIEDJI:

»BOLESŁAW ŚMIAŁY«.

Cela klasztorna.

(Rok 1110. — Kronikarz GALLUS, młody mnich, siedzi nad rękopisem).

GALLUS.

I cóż mam o tem potomności podać?
Człowiek tak wielki, potężny i możny
Skończył tak marnie!... Może żyje jeszcze?
Nie śmiał Władysław koroną się wieńczyć,
O śmierci brata z pewnością nie wiedząc,
Za namiestnika tylko się uważał
Może on wróci?... Wtedy Bolko trzeci,
Pewno się nieco posunie na tronie,
Aby dać miejsce stryjowi wielkiemu,
I we dwóch razem, dwóch Bolków, dwóch wielkich,
Panować będą całej wschodniej ziemi,
Bo przeciw dwóm tym cóż może się ostać?

(Wchodzi arcybiskup gnieźnieński MARCIN, starzec poważny. — GALLUS wstaje i z uszanowaniem rękę jego całuje).

ARCYBISKUP.

I gdzież stanąłeś w kronice .twej, bracie?

GALLUS (pokazując księgę).

„O ustąpieniu Szczodrego Bolesława"...
Skończyłem rozdział; lecz nie wiem, mój ojcze,
Czy to twym myślom odpowie...

ARCYBISKUP.

Mój Boże!
Bolesław Szczodry! Jakież świetne imię!

Ileż-to myśli, ile wspomnień budzi,
Ileż wspaniałych czynów przypomina!
Widziałem Bolka raz jeden w mem życiu,
Kiedy odchodził... Na rok może przed tem
Biskup wrocławski zlał na mnie święcenia,
A wkrótce potem, pełen nienawiści
Ku wyklętemu, przybyłem na Kraków...
Byłem w kościele. Naraz wieść gruchnęła,
Że Bolko idzie... Nie pomnąc o niczem,
Nie mogąc zwalczyć grzesznej ciekawości,
Biegłem na zamek... Właśnie Bolko schodził
Ze schodów ganku. Głowę miał odkrytą,
Mocno zsiwiałą, oręża żadnego,
Płaszcz mu królewski zwieszał się z ramienia...
Wiatr z długą brodą igrał mu swawolnie...
A była taka potęga w tym człeku,
Taki majestat w całej tej postaci,
I taka duma i tak straszna boleść,
Żem, patrząc szeptał: „to król, to nie zbójca“...
Za rękę trzymał Mieszka maleńkiego...
Przeszli milczący w dziedziniec zamkowy,
I szli ku miastu... Rynek przepełniony
Był tłumem ludu; sądziłem, że miną,
Lecz szli tam prosto... Ach, co tam się działo!
Tłum, gdy go ujrzał, porwał się ku niemu...
W ogólnym ryku zlały się szyderstwa,
Jęki, wołania, przekleństwa i śmiechy...
Co tchu starczyło biegłem do dziekana,
Łzami zalany, wołając o pomoc
Dla króla z synem. Dziekan księży zebrał
I szedł do tłumu, by go uspokoić,
A króla zwolnić od czerni nikczemnej...
Nie śmiałem iść z nim, bo siebie się bałem,
Że nie wytrzymam, że rzucę się z pięścią
Na podłą tłuszczę, bronić wyklętego!
Biegłem naokół... Na błoniu raz jeszcze
Jego dojrzałem. Szedł tak, jak i pierwiej,
Dumny i smutny i nieporuszony...
Tylko na głowie były ślady błota,
I płaszcz królewski był porozdzierany,
I dziecię w strachu więcej się tuliło...

(Gallus nakrywa twarz rękoma. Długie milczenie).

GALLUS.

Gdzież jest Bolesław?

ARCYBISKUP.

Kto wie?... Może żyje...
Może się błąka tam, gdzieś, na pustkowiu,
Może mrze z głodu, od zimna kostnieje,

Burzom oddaje swój chryzmat królewski,
Wiatrom powierza swe myśli i bóle...

GALLUS (zcicha).

Może jest w Rzymie?

ARCYBISKUP.

Tak mówisz?... Mój synu,
Złóż pióro twoje: tyś nie dorósł jeszcze
Do dziejopisa. Wiem, żeś szukał wszędzie
Śladów po Bolku — tych, co pamiętali
Rok siedmdziesiąty dziewiąty; pytałeś
Wszystkich ciekawie, kogo dopaść mogłeś...
I z opowiadań, ze zwierzeń, z półsłówek,
Jakżeś mógł wynieść takie przekonanie,
Że Bolko może pokutę odprawić?
Że jest jej winien? Że tylko w piotrowym
Progu rozgrzeszy go obca mu ręka,
Nie naród własny?

GALLUS (bierze księgę).

Posłuchaj, mój ojcze;
Takem napisał: „Z powodu zaś czego
„Musiał Bolesław król z Polski ustąpić,
„Długoby o tem mówić trzeba było.
„Nadmienię tylko, że, jak chrześcijanin,
„Nie był powinien mścić się na żywocie
„Chrześcijanina, chociażby za zbrodnię.
„Nie miał słuszności Bolesław, skazując
„Na rozsiekanie biskupa za zdradę,
„Bo zbrodnię jedną drugą zbrodnią karał.
„Nie uniewinniam, ni biskupa zdrajcy,
„Ni króla, zdrady okrutnie mszczącego".
Mamże co zmienić?

ARCYBISKUP.

Zostaw tak, mój synu.
Potomność pojmie, uniewinni króla
I nie potępi świętego biskupa.
A ty pisz dalej, na pociechę naszą,
Na chwałę Boga i miłej ojczyźnie.

Warszawa. *Józef Łabuński.*

POWOJE.

Znam kwiaty, którym serce podobne jest moje,
Które złorzeczą nocom, wielbiąc słońca blaski,
Konają codzień, wstając codzień z jego łaski,
Czyś jeszcze nie odgadła tych kwiatów?... Powoje!

Zjawisz się, wejrzysz — giną wszystkie niepokoje,
Korzę się w prochu, święte całuję obrazki,
Rajem mi się wydaje ten step życia płaski,
Znikasz i z tobą szczęścia mego nikną zdroje!...

O! złote moje słońce, zlituj się nademną!
Zmień wyrok, który codzień wskrzesza mnie i grzebie:
Niech się nie budzę próżno, nie konam daremno!

Błagam, nie odchodź, zostań wiecznie na mem niebie,
Albo na wieki pogrąż mnie chyba w noc ciemną,
Niech umrę, nowych światów czekając — i ciebie!

Warszawa. *Juljan Łętowski.*

ELIZIE ORZESZKOWEJ.

Sztuka dla sztuki i rymy dla rymów,
I dźwięków, marzeń i kwiatów wszechświaty
I sny w gwiaździste przystrojone szaty —
Dobre dla karłów albo dla olbrzymów...

Inne są cele, świętszy tleje promień
Dla tych, co orać twardą ziemię muszą!
Im zabroniono: z roztęsknioną duszą
Biedz w światy słońca, blasków i zapomnień...

Trud stokroć cięższy — tułać się po ziemi
I zbierać ziarno dla przyszłych zasiewów,
I kryć swe gniazdo od mroźnych powiewów,

I grzać pisklęta piersiami własnemi —
By potem... cicho pomiędzy swojemi
Umrzeć bez dźwięków, bez kwiatów, bez śpiewów...

Bruksela. *Henryk Merzbach.*

ROMANCA.

Na morskiem dnie, siostrzyczkom wkrąg
Skarży się muszla, wije z mąk;
Nieznany czerw jej łono rwie,
Aż z bólu mrze.
I szepcze jej gwar cichy wód:
O szczęsna, ciesz się, ciesz!
Z męczarni twych — piękności cud,
Z boleści twych — słodyczy miód,
Choć cóż ty o tem wiesz!

I mija czas, jak myśli gon,
W muszli drży perła, mąk jej plon;
Lecz ona o tem nie wie, nie,
I w bólu mrze.
A nad jej trupem brzmi, jak wprzód:
O szczęsna, ciesz się, ciesz!
Z męczarni twych — piękności cud,
Z boleści twych — słodyczy miód,
Choć cóż ty o tem wiesz!

W otchłanną głąb, ze śmiercią w bój,
Rzuca się śmiało nurków rój,
Tej muszli szuka na fal dnie,
Co w bólu mrze.
Kto znajdzie, sławi cny jej płód:
O szczęsna, ciesz się, ciesz.
Z męczarni twych — piękności cud,
Z boleści twych — słodyczy miód,
Choć cóż ty o tem wiesz!

Idealnego piękna kwiat,
Perłę wydziera sobie świat;
Lecz czyliż muszla o tem wie,
Gdy w bólu mrze?
Czyż wie, że zmarłą czci dziś lud:
O szczęsna, ciesz się, ciesz!
Z męczarni twych — piękności cud,
Z boleści twych — słodyczy miód,
Choć cóż ty o tem wiesz!

Tak człowiek też, ów nędzarz-król;
Perłą snadź jest i jego ból,
Snadź czerw mu pierś niepróżno żre,
Aż z bólu mrze;
Snadź przeczuć szept — nie złudą złud;
O szczęsny, ciesz się, ciesz!
Z twych zwątpień, mąk — piękności cud,
Z twych tęsknot, snów — słodyczy miód,
Choć cóż ty o tem wiesz!

Wiedeń. *Miriam (Zenon Przesmycki).*

PARNAS.

Nad mym Parnasem dmie zawierucha,
Blady mnie wita poranek;
Już moja Muza w samowar dmucha,
Już słyszę miły brzęk szklanek.

Gdy duch, szalejąc przez noc do rana,
Na skrzydłach natchnienia wzlata,
Ach, niemasz potem, Muzo kochana,
Jak olimpijska herbata!

Ach, bo ten chłodny ranek poczyna
Trzeźwić poetę — a zatem
Owiń mnie szczelniej, Muzo jedyna,
Mym hamletowskim chałatem.

Zamiast obłoków, które niebiosa
I bogów kryją przed okiem
Cynicznych ludzi — daj papierosa:
Skryję się dymu obłokiem.

Lecz tradycyjny piorun Jowisza
Nie strzeli stamtąd na ludzi,
Na palcach, Muzo, chodź tam... pst... cisza...
Jowisz w fotelu się zbudzi.

Jowisz noc szalał z tobą w snów świecie
I czuje szałów tych skutki...
Wracam ci wolność, kochane dziecię:
Masz wszystkie prawa rozwódki.

Tam właśnie Pegaz rży wiatronogi...
Gdy tęsknisz za uczuć burzą,
Siadaj i szukaj — szczęśliwej drogi!
Świat duży i głupców dużo.

Gdy ty śród wieszczych wyżyn zapału
Nowe rozniecisz jutrzenki,
Były kochanek będzie pomału
Brał papierosa do ręki. —

I poświstując za dymu chmurą,
Pomyśli chwilkę jedyną:
Ty, moja Muzo, ty pójdziesz górą,
Lecz ja już pójdę doliną!...

Sosnowice. *Andrzej Niemojewski.*

PYTANIE.

Ty kochasz! Chciałbyś jednem wielkiem uściśnieniem
Świat ten cały przytulić do swojego łona,
Natchnąć go myślą boską, nieśmiertelnem tchnieniem,
Powołać znów do życia to, co w nędzy kona.

Chciałbyś mu gwiazdę jasną zapalić na czole,
By gęste mgły rozganiać przed jego obliczem,
A myślom jego skrzydła przyprawić sokole,
A ducha jego wiecznym rozpłomieniać Zniczem.

Za taką miłość twoją wężowemi sploty
Świat twe piersi owinie, da trucizny czarę,
Powlecze ciebie na szczyt posępnej Golgoty
I znów powtórzy straszną, wielką krwi ofiarę.

I ty skonasz, jak wielcy mężowie konali!
Lecz czy znów istnieć będziesz w nieśmiertelnym bycie,
W świecie gwiazd, słońc, w promiennej wiecznych świateł fali?
Czy znajdziesz tam odrębne, samoistne życie?

Czy duch twój świat ten cały stamtąd ujrzeć zdoła,
Czy w todze sędziów wobec jego czynów stanie,
Jak duch, zakuty w marmur Fidjasza, Anioła,
Jak myśl, co nowe dziejów ogłasza zaranie?

Czy może się rozpłynie w bycie wszechstworzenia,
Stopnieje w myśli wiecznej, co w naturze gości,
Będzie nutą w harmonji, co wiecznie się zmienia,
Dźwiękiem wielkim, ale bez poczucia wielkości?

I tak ściśle zespolon z istnieniem wszechbytu,
Przy blasku przeznaczenia jaskrawej pochodni,
Będzie wiecznie ze światem trwał skałę z granitu
I będzie cząstką jego — i cnoty, i zbrodni?!...

Warszawa. *Jan Nitowski.*

KOBIECIE.

Dziewico! Byłaś melodiją wdzięczną:
Mistrz, gdyby słyszał tej melodji brzmienie,
Popadłby w zachwyt; i dłonią swą zręczną
Pełne harmonji tocząc z niej strumienie,
Stworzyłby symfonję stu barwami lśniącą,
Niby fontannę, w słońcu tryskającą...

Kobieto! Duch twój, to stłumione jęki,
Urywek pieśni, co gdzieś z wiatrem płynie...
Przechodnia nęcą te urocze dźwięki;
Żal mu tej pieśni, co tak cicho ginie,
Żal mu symfonji, nigdy nie stworzonej,
Żal wielkiej duszy, nigdy niewskrzeszonej.

Wiedeń. *Alfred Nossig.*

JEDYNA.

Bal wre i szumi... djamenty i oczy
Tęczową łuną roziskrzają lice,
Jako sny płyną piękne tanecznice,
Jak wiatr tancerzy tłum hula ochoczy.

Widziałem jedną w tym tłumie dziewicę,
Zdala od tanów, w oknie, na uboczy,
Wśród ciemnych ulic błądziły jej oczy,
Jako dwie czarne smutne żałobnice.

Czemuż nie tańczy ta biała dziewczyna?
Patrzeć w ulice!? cóż tam ciekawego?
Pospólstwo słucha balowych hałasów.

Ach, ona w tłumie tym świetnym — jedyna
Uczuła może, że na bal ten biegą,
Tam, zdołu, głuche przekleństwa parjasów.

Kraków. *Franciszek Henryk Nowicki.*

ROMANS Z IDEAŁEM.

(ELEGJA).

Widzę cię, kiedy brzask otwiera dziecku oczy,
Wpatrzoną w skarbów skarb... w oczach zdrój łez radosny...
Widzę-ć w ostatni dzień, co się nad łożem mroczy,
Jak anielicę swą, wybrankę życia wiosny...
Widzę-ć, gdy idziesz w grób z gwiazdką, co lśni u czoła,
By otrzeć wieków proch, odczytać wieńców wstęgi...
I jeszcze widzę cię, jak przyszłe widnokręgi
Otwierasz mieczem swym płomiennym, archanioła!
W życiu, jak słońca słup, prowadzisz światła drżeniem...
W śmierci otulasz grób posągu cichym cieniem...

Słyszę cię w pieśni sfer wszechświata i wszechczasów!
W słowikach naszych strzech, gdzie czar wciąż lejesz nowy...
We wszystkich dźwiękach pól i gór naszych i lasów,
Gdzie tylko płynie czar najsłodszej sercu mowy...
Słyszę-ć, gdzie lutni gwar, gdzie pełne z miodem dzbany,
Gdzie dźwięczne perły harf spadają w łzach modlitwy,
Słyszę-ć, gdzie śmierci grzmot wstrząsa kurzawą bitwy
I gdzie w westchnieniu duch z otwartej płynie rany...
Żywym twej pieśni cud na ziemi raj odsłania,
A z grobów zrywa sen chorałem zmartwychwstania!

Czuję, że jesteś ty wysoko, tam nademną...
Bo życiotwórczy blask przedziera gęste chmury,
I serce w ciężkim śnie, jak bryłę ziemi ciemną,
Zapala w jedną z gwiazd — i ciągnie gdzieś do góry...

Czuję cię w każdej łzie, co skrą miłości gore,
Czuję cię z ognia fal, gdy zapał zawsze w łonie,
Gdy do uścisku nam z pięści roztwierasz dłonie,
Gdy jad odczyniasz z krwi, gdy leczysz serce chore;
Dobra się każda chęć z ciebie, jak z zorzy, budzi...
Po śmierci żyjesz wciąż w najczystszych sercach ludzi!

Najsłodszy życia czar z twej chwały piją usta!
Tyś ojców naszych cześć! Tyś własną dobrą sławą!
A każda boleść twa, jak Weroniki chusta,
Na piersi spada mi swą świętą twarzą krwawą...
Tyś nieuchwytny blask przez chciwy pazur wroga!
Tyś źródło dobrych serc, nieprzytłumione niczem!
I tyś najczystszych dusz wiecznie płonącym zniczem!
Tyś zdrowie me i moc! Tyś dar najdroższy Boga!
Kto mi cię wydrzeć chce — buntownik to przed Panem,
Zginie, jak prochu garść, rozsiana huraganem!

Kalisz. *Stefan z Opatówka (Stefan Giller).*

Z NIETŁOMACZONYCH POEZJI ŁACIŃSKICH

Macieja Kazimierza Sarbiewskiego.

1.

WIDZIAŁEM ZAWSZE TYLKO KRZYŻE NA ŚWIECIE.

Rzymianin wolen był od kary krzyża,
Bo zgon na krzyżu czci wolnych ubliża;
Lecz ni Rzymianin, ni nikt na tym świecie
Odeń nie wolny, — każdego on gniecie.
A nawet rozkosz krzyżów nam przysparza,
Krzyż jeden tysiąc nowych krzyżów stwarza.
Nie tak lgnie ramię Syzyfa do skały,
Nie tak się w koło wplótł Iksyjon cały,
Nie tak miał blizko Tytyj sępa szpony,
Ni róża z Paestum kolec zaostrzony;
Jak ściśle objął krzyż wszystko i trzyma.
Chcesz go uniknąć? a gdzież krzyżów niéma!
Prędzej cień własny zostawisz zdaleka,
Niż krzyż, przed którym próżno człek ucieka;
Usuń się z ziemi, wznieś się w niebo piórem:
Krzyż cię doścignie i tam pod lazurem!
Siedź na szkarłatach drogich przy biesiadzie:
Pierwszym ochmistrzem krzyż w biesiadnej radzie.
Połóż się do snu: krzyż, co czuwa blizko,
Przy twem wezgłowiu obierze siedlisko.
To ci potwarcza zawiść pierś przytłoczy,
To znów obelga gniewem myśl ci zmroczy,
Dziś czujne troski owładną twą duszę,
Jutro ból srogie zada ci katusze,

Albo gorączka spali ci wnętrzności,
Lub dreszcz przeniknie do szpiku twe kości.
Wszystko chcąc zliczyć, język nie wydoła,
Ni krzykacz Stentor, co stugłosem woła.
We wszystkiem w świecie, co słońce pozłaca,
Co fala rodzi, wszędzie — krzyż i praca!
Berła i godła dostojeństw — to krzyże;
Skarby Midasa krzyżem nazwij szczérze;
Krzyż — złe małżeństwo lub wyrodne dziécię,
Nadzieja, miłość — krzyżów ma sowicie.
Rolnik siew straci a żeglarz okręty,
Wojownik zdrowie, wódz wojenne sprzęty:
To krzyż! jak państwa-królom, skarb-bogatym;
Bogacz o skarby, król drży o rząd światem.
Czemu w koronie krzyż stoi na czele?
Czemu monecie przypadł krzyż w udziele?
Bo wszem królestwem i światem on włada:
Chcesz-li ujść krzyża? nieś go, to ma rada.

2.

TEN JEST, KTÓRY DLA MIŁOŚCI CHRYSTUSA WISIAŁ NA KRZYŻU I ZA JEGO ZAKON CIERPIAŁ KATUSZE.

Prędzej plon bujny okryje morze,
I w głębi jego zapłoną zorze,
Prędzej północnej gwiazdy promienie
Zagaszą cienie,
Niż świat przestanie Twoje pochwały
Sławić, Jędrzeju, w pieśni wspaniałej,
Któremu w niebie krzyż dał bezpieczną
Siedzibę wieczną.
Wdzięczne Ci imię Hermus wyśpiéwa
Falą, co złotem obficie spływa,
Ciebie znać będzie prąd Nilu zmienny
Siedmioramienny.
Chwała Twa nigdy nie przebrzmi z laty,
Bo krzyż ją wyniósł nad planet światy,
I laurem zwycięstw uwieńczył skronie
Święte w koronie.
Tobie się klęcząc dziwiły ludy,
Ciebie daleki Med bez obłudy
Sławi, i Feba bliższy, mieszkaniec,
Indyjskich granic,

Bo, chcąc uświęcić się Pańskim krzyżem,
Stajesz do walki ze wściekłym zwiérzem,
I z sercem słodkiem krzyżowe męki
Cierpisz z złej ręki.

3.

UZBROJONY KRZYŻEM RZUCĘ SIĘ BEZPIECZNIE POMIĘDZY ZBROJNE ZASTĘPY.

Choć się zamętem wzburzy rozhukana
Głąb Nereusza, siedziba mórz pana,
Choć ryczy topiel, którą nawałnica
Wywraca z gruntu i walkę podsyca, —
Ja bez bojaźni straszne zwalczę burze,
Gdy krzyż mi wiosłem i o lekkiem piórze
Ulecę aż na gwieździste lazury
Szlakiem, co z ziemi prowadzi do góry.
Ni mnie Tyfeus wstrzyma, ni sturęki
Gigas, co pragnął posiąść niebios wdzięki,
Ani mi olbrzym Porfirjon przeszkodzi,
Co pniami dębów w nieprzyjaciół godzi.
Ducha mojego nie przerażą drżeniem
Ni państwa Krety, ni w głębi kamieniem
Nakształt wież groźnych najeżona skała
Pod Lilibeum, gdzie Barka bujała.
Z krzyżem uniknę wrogich Plejad mocy
I Akwilonów, co dyszą z północy
Mroźnym podmuchem, i burzy szalonéj,
Co z południowej zaryczała strony.
Krzyż tylko gróźb się Eola nie lęka,
Ni wzdętej fali, która wirem stęka,
Ni też pozwoli, by memi losami
Żagle rzucały nieszczęść manowcami.

Lwów. *Piotr Parylak.*

W ALBUMIE KOBIETY.

Nie mów, że starczy tobie róża biała
Do pocałunków rozkosznej słodyczy;
By poznać pieszczot urok tajemniczy,
Nie mów, że starczy tobie róża biała!

Nie mów, że starczy ci ranek różowy,
Aby zachwytów czerpać siłę nową;
Gdy jutrznia wschodzi barwą purpurową,
Nie mów, że starczy ci ranek różowy!

Nie mów, że starczy tobie wieczór szary
Do marzeń słodkich i rzewnej tęsknoty;
Gdy w mrokach gaśnie promień słońca złoty,
Nie mów, że starczy tobie wieczór szary.

Nie mów, że starczą ci pieśni słowicze,
Aby melodji odczuć rozkosz słodką;
O, rozmarzona ty wiosny pieszczotko,
Nie mów, że starczą ci pieśni słowicze!

Nie mów, że starczy ci piękno przyrody,
By żyć poezji harmonją radosną,
Czary jej w serce na długo nie wrosną:
Nie mów, że starczy ci piękno przyrody!

Nie mów, że starczą ci burze gromowe,
By odczuć trwogi i podziwu dreszcze;
Z piorunów grozy nie odczujesz jeszcze;
Nie mów, że starczą ci burze gromowe!

Nie mów, że starczy ci ziemia cmentarna,
By czuć tęsknotę serdecznej żałoby!
Czas zrówna z ziemią ukochane groby!
Nie mów, że starczy ci ziemia cmentarna.

Nie mów, że starczy tobie serce własne,
By rozpłomienić wszystkie ducha siły!
By dzielnie w piersi tętna życia biły,
Nie mów, że starczy tobie serce własne!

Lecz mów, że serce twe łaknie miłości,
Jak łaknie słońca twórcze ziemi łono,
Żeś jest jej czarów i pieszczot spragnioną;
Lecz mów, że serce twe łaknie miłości!

Lecz mów, że serce twoje wzywa ludzi,
Jak braci drogich, uczuć siłą całą,
By wspólnie z nimi żyło i kochało,
Lecz mów, że serce twoje wzywa ludzi!

Warszawa. *Antoni Pilecki.*

SEN.

Śniło mi się, że, ciało rzuciwszy na ziemi,
Duch mój wzbił się do Nieba skrzydły anielskiemi...
W jednej chwili cudownych blasków oceany
Rozlały się wkoło mnie w bezmiar nieprzejrzany,
I w głąb swą pochłonęły wzrok mój zachwycony,
A słuch wzięły mi dziwnej harmonii tony,
Co, wydane przez świetlnej tej powodzi drżenie,
Łamały ją w tęczowych, dźwięcznych fal pierścienie.
Kołysany w tych dźwięków i tych blasków toni,
Gdy zwolna z niemi ucho oswajam i oko,
Boże wielki! i cóż się mej duszy odsłoni?
Ocean tej światłości, rozlany szeroko,
To blask, którym jaśnieją Świętych Pańskich lica;
Harmonja ta cudowna, co mię tak zachwyca,
To ich głosy, ich mowa!... Widzę, widzę owo
Rzesze ich niezliczone w niebieskiej przestrzeni,
Niby pyłki śród smugi słonecznych promieni
Mżą, iskrzą się, migocą, jak mgłą brylantową.
Lecz dziw! każdy z tych pyłków, czy tuż przy mnie płonie,
Czy rzucony gdzieś w obszar, co mu granic niéma,
Świeci jasny, wyraźny przed memi oczyma
Ludzką żywą postacią, i wyciąga dłonie,
I uśmiechem, słodyczy pełnym i wesela,
Wita mię, jak lubego brata, przyjaciela!
Więc i ja też wzajemnie witam ich radośnie,
A miłość moja ku nim z każdą chwilą rośnie!

O! bo jak ich nie kochać w tej świętej dziedzinie,
Co jest przybytkiem szczęścia przez miłość jedynie?
Jak nie kochać, gdy dusza, wszechwiedzą bogata,
Wie o każdym, czem zdobył wieczność błogą sobie,

Gdy z nich każdy tu świeci w całej cnót ozdobie,
Co świat dźwigały, nieraz nieznane od świata.
Jak nie kochać, gdy wszystko, com ja za żywota,
W chwilach przenajczystszego duszy uniesienia,
Miłował, czcił i wielbił, tu, jak zorza złota,
Każdego z tych wybrańców pańskich opromienia;
Gdy widzę śród tej rzeszy i dobre pasterze,
Co położyli dusze za swoje owczarnie;
I owych bohaterów, co swych ojców wierze
Chrobre piersi na szańce oddali ofiarnie;
I mistrzów, siewców bożych, co od nich nasiona
Prawej mądrości brała serc młodzieńczych niwa;
I tych wieszczów-proroków, których pieśń natchniona
Ku Niebu świętym gwałtem ziemiany porywa
I sprawia, że z miłością, wiarą i nadzieją
Cierpieć, walczyć i umrzeć zą prawdę umieją;
I tych, co skromni, cisi, pokorni i mali,
Błogosławieństwo boskie szerzyli dokoła,
Bliźnim na każdą ranę balsam podawali,
Z łez oczy i ze znoju ocierali czoła;
I tych wreszcie, co z darów ziemi nic nie wzięli,
Od kolebki do zimnej grobowej pościeli
Łamiąc się tylko z nędzą, i bólem, i troską,
Dlatego, że, miłością ożywieni boską,
Woleli krzyż swój dźwigać dla niebieskiej chwały,
Niźli czartu dać pokłon, choćby za świat cały...

Więc nie dziw, że mi tutaj nie tęskno do świata,
Gdzie słońce me najczęściej kryło się za chmurą,
Co i własną mą grzędę pomroką ponurą
Osłaniała przez wszystkie mego życia lata.
Nie tęskno, choć mi zawsze droga grzęda owa,
Bo nad to — gdzież na opis tego cudu słowa?!
I ta ziemia, kolebka moja ukochana,
Świeci w tych rajskich sferach jak fata-morgana,
Jak gdyby w czarodziejskiem zwierciadle odbita,
Świeci jasna urocza dziwnie przemieniona,
Tak, iż z Niebem na równi mię za serce chwyta,
I ledwie, że nie każe wątpić, czy to ona?
Wątpiłbym, gdyby w Niebie wątpić można było,
Gdyby tajniki cudów nie były mi znane;
Lecz, żem jasnowidzenia obdarzony siłą,
To i pojmuję dobrze tę cudowną zmianę:
Wiem, dlaczego tam widzę róże i lilije,
Gdziem za życia spotykał cierniska i głogi;
Dlaczego hymn tryumfu stamtąd w niebo bije,
Gdziem słyszał tylko skargi, płacz i jęk złowrogi;
Dlaczego to, co w prochu zdeptane leżało,
Teraz jasne, pogodne czoło wznosi śmiało;

Dlaczego się całuny w purpurę zmieniły,
A świątyniami smutne stały się mogiły.
Wiem to wszystko, bo jawne dziś mi drogi boże
I prawda Błogosławieństw świętych Zbawiciela;
Bo rozumiem, co ziemi blasków tych udziela,
Któremi i śród blasku Niebios jaśnieć może.

O Panie! jakże wielkie miłosierdzie Twoje!
O jakże nieprzebrane łask Twych świętych zdroje!
Jakże hojna maluczkich cierpień mych zapłata!
Coraz wyżej i wyżej dusza moja wzlata,
Coraz w żywsze zachwyty radości opływa
I szczęścia swego zmierzyć nie może szczęśliwa!
A przecież wiem na pewno, że jeszcze nie na tem
Ma się zakończyć błogość, dla mnie zgotowana,
Że rychło przed Najwyższym stanę Majestatem
I ujrzę, poznam Stwórcę swojego i Pana,
Którego dotąd dla mnie zakryte oblicze,
Chociaż całe Niebiosa jego blaskiem lśnią się,
Choć w każdym z tych wybranych świeci tajemnicze,
Jak słońce w każdej kropli na porannej rosie.
Ujrzę sprawcę tych cudów, com je we wszechświecie
Wielbił, wszędy je widząc, od gwiazd, z Jego dłoni
Sypniętych, jak pył złoty, w bezmierne przestworze,
Do pyłku na motylich skrzydełkach i kwiecie,
Od żywiącej mirjady tworów morskiej toni,
Do kropli wody, życiem kipiącej, jak morze.
Ujrzę źródło, skąd płynie prawda, mądrość, cnota,
Przed któremi tak chętnie biłem kornem czołem,
Źródło świętej miłości, przez którą aniołem
Człek się staje śród nędzy ziemskiego żywota;
Ujrzę Go i z ufnością lubego dziecięcia,
Jak Ojcu najdroższemu upadnę w objęcia!...

Czuję, jak się ta chwila cudu ku mnie spieszy
I z drżenia własnej duszy, co mi niecierpliwa
Coraz szybszym, raźniejszym lotem się porywa,
I z radości wezbranej w całej świętych rzeszy,
Co w mem szczęściu własnego widzi rozmnożenie...
I w jeden okrzyk: Ojcze! całe zlawszy tchnienie,
Ocknąłem się, niestety, właśnie gdy anieli
Z oczu moich zasłonę tajemniczą zdjęli,
Lecz wprzód, nim te, olśnione blaskiem bożej chwały,
Spojrzeć na przenajświętsze oblicze zdołały.

Warszawa. *Adam Pług (Antoni Pietkiewicz).*

TYPY LUDOWEJ POEZJI ROMAŃSKIEJ.

1.

CHANSON BRETONNE.

(Sébillot: Litt. orale de la Haute-Bretagne, Paris 1881).

Powracający z Nantes, tak byłam z sił opadła,
Żem nad brzegiem potoku dla wytchnienia usiadła.
Woda była tak czysta, żem się żywo skąpała,
Jednym dębu listeczkiem osuszyłam się cała.
— Na najwyższej gałęzi słowik nuci a nuci —
„Łatwo śpiewać słowiku, kiedy nic cię nie smuci;
Mnie tam smutno niebodze, bo za jeden róż wianek,
Że mu dać go nie chciałam, porzucił mię kochanek,
Bodaj jeszcze na krzaku było wszystko to kwiecie,
Bodaj krzak ten różany nie był jeszcze na świecie,
Bodaj jeszcze nie była grzęda podeń kopana,
I stal bodaj nie była na motykę sklepana".

2.

ROMANCE GASCONNE.

(I. F. Bladé, Poésies pop. de la Gascogne. Paris. 1881).

Na dolinie, hej!
Stoi klasztor mniszy,
Wiej wietrze, a ciszéj,
Leciuchno wiej!

W klasztornej tam celi mniszka na pościeli
Jęczała, konała, a ksieni pytała:
Czy nie pragnie czego?
— „Pragnę białych jabłuszek i chłopca młodego“.
— „Ha! będziesz je miała, ty mniszko zuchwała;
Ale nie w kościele, ale nie w klasztorze,
Ale na cmentarzu, w śmiertelnej komorze“.

3.

CANSÓ CATALANA.

(Milá y Fontanals: Romancerillo catalan. Barcelona. 1882. Nr 544).

Kazali mi paść owce, baranki cały dzień,
Myślą, że pasę sama, a ja nie sama, nie.
Przechodzi co wieczora młodziutki jeden pan;
Mówi: — „Jak się masz piękna?“ Mówię: — „Dziękuję wam“.
— „Gdyby nie tak maleńka, za żonę-bym cię chciał“.
— „Choć ja mała — mówicie, — niejeden chęć by miał.
Rośnie trawa na łące od wieczora do ranka:
Tak rośnie i dziewczyna, gdy patrzy na kochanka“.

4.

CANÇAO PORTUGUEZA.

(F. Wolf. Studien zur Gesch. der span. und portug. Nationalliteratur. Wien. 1859).

„Aj, kwiaty, kwiaty z zielonej sośniny,
Czyście nie widziały, gdzie jest mój jedyny?“

„Aj kwiaty, kwiaty z zielonego drzewa,
Czyście nie widziały, gdzie mi się podziewa?“

„Aj kwiaty, kwiaty z zielonej gałęzi,
Czyście nie widziały, gdzie jest na uwięzi?“

„Czyście nie widziały, w jaką poszedł drogę,
Ten, co mi przysięgał, a rzucił niebogę?“

5.

SEGUEDILLAS ANDALUZES.

(Zasłyszane).

Twoje usta — dwu firanek purpurowy szlak:
Między dwiema firankami dziewczę powiedz: Tak.
Włosem mię do łóżka przywiąż ukochana:
Choć i włos się zerwie, — doczekam do rana.
W głębi serca noszę kryształowe schody:
Schodzi po nich radość, wstępują zawody.
Lat dziesięć leżałem w grobie, gdy ziemia spytała mię:
Czym cię jeszcze nie zapomniał, a ja rzekłem: jeszcze nie.

6.

CANZUNA SICILIANA.

(G. Pitré: Canti popolari siciliani. I. 48).

Księżyc jest biały, — a ty ciemnolica;
On jest ze srebra, a ty w złoto strojna;
Księżyc nie błyszczy, — tobie skrzy źrenica;
On światło roni, — ty blaskami hojna;
Księżyc się kurczy, — a twój wzrost zachwyca;
Księżyc się ściemnia, — w tobie nic nie gaśnie:
Zatem tyś większa, lepsza od księżyca,
Ty przeciw niemu słońcem jesteś właśnie.

7.

CIURI (STORNELLI) SICILIANI.

(G. Pitré: Nr 662, 684, 657).

Różo w rozkwicie,
Oddaj mi serce swe, ja ci dam życie.
Gałązko naci,
Kto bardziej kocha niż ja, próżno czas traci.
Gwiazdy płonące,

Ile kamieni w moście na potoku,
Tyle ci westchnień posyłam w rozłące.

8.

STRAMBOTTO NAPOLITANO.

(Imbriani: Canti pop. di prov. merid. II. 385).

Dzieweczko moja, pójdziemy do Rzymu,
Pójdziem papieża ucałować nogi;
— „Ojcze nasz święty," — rzeczem, — „nie bądź srogi,
Kochaliśmy się, rozgrzesz Ty nas, Panie".
On na to powie: — „Niech was Bóg rozgrzeszy;
Gdy o mnie idzie, to ja wam nie ganię;
I gdybym tutaj nie był ojcem świętym,
Pierwszy-bym uczył, co to jest kochanie".

9.

VILOTE VENEZIANE.

(Angelo-Dalmadico. Venezia, 1857. I, 15, II, 21).

— I cóż to szkodzi, że nie jestem ładna?
Mój ukochany, który jest malarzem,
Zrobi mię piękną, jako z gwiazdek żadna
I cóż to szkodzi, że nie jestem ładna?

O marynarzu, co mkniesz przez wód szlaki,
Czy nie widziałeś mej lubej dziewczyny?
— „Widziałem ci ją tam na dnie głębiny:
Leżała w bieli i jadły ją raki".

10.

RISPETTO TOSCANO.

(G. Tigri: Canti pop. toscani. Firenze, 1856. Nr 212).

Lilia wam dała nieskażoną białość,
Barwę wam dała na poranku róża;

A zaś fiołek dał wam swą nieśmiałość,
A balsamina zapach, co odurza.
A ja *wam* dałem serce moje własne
I niby w obraz patrzę w liczko jasne;
A ja *ci* serce moje własne dałem,
I w twem się jasnem liczku zakochałem.

11.

STORNELLI TOSCANI.

(Tigri. Nr 10, 82, 95).

Na środku morza z marmuru krużganki;
Przy stole siedzi czternastu rejentów,
Którzy spisują wdzięki mej kochanki.
Kwiecie cytryny,
Chcę zerwać różę, kłuję sobie ręce;
Róża ma do mnie żal, a bez przyczyny.
Kwiecie fasoli,
Widzę twe lice, a serca nie widzę;
Piękne masz liczko, lecz mię nie zniewoli.

Wiedeń. *Edward Porębowicz.*

TRZY POLONEZY.

1.

CHRZEST.

Do kościoła co wśród sioła
Nad drzew cienie dach rozwiesza,
Lud się zbiega dookoła,
I ksiądz proboszcz już pospiesza.

Tam kumowie — otulone
Z szczerą prostych serc rozkoszą
Dziecię nowo-narodzone
Do świętego chrztu przynoszą.

Ksiądz przystąpił do obrzędu,
Zgiął kolana lud pobożny,
Wtem jak piorun, wśród chmur pędu,
Zagrzmiał zewsząd okrzyk trwożny.

— „Spieszcie, spieszcie! tłum pogański
Pędzi ku nam, ot z tej strony,“
I ksiądz ujął za krzyż pański,
Lud się rzucił do obrony.

Po za siołem, w kole chyżem,
Stoją zbrojni; czem kto może,
A na czele kapłan z krzyżem,
Błogosławi w imię boże!

I z zasadzki tak natarli
Na pohańców dzielnie, śmiele,

Że szczęśliwie ich odparli,
Położywszy trupa wiele.

I z odsieczą tejże chwili
Niosąc wrogów sztandar zmięty,
Do kościoła powrócili
Na *Te Deum* i chrzest święty.

Kumem była cała gmina,
A na krzyżmo dziecku dano
Krwawy sztandar poganina,
Jak zesłane z niebios wiano!

2.

ŚLUB.

W białym dworze dookoła
Ruch biesiadny wre w zawody,
Orszak ślubny już z kościoła
Na weselne wrócił gody.

Grzmi kapela, jak przystało,
Toast krąży z krańca w kraniec,
Grono dziewic z miejsc powstało,
Młódź w poważny spieszy taniec.

Wtem się ozwie wśród hałasu
Okrzyk groźny: — „Horda blizka,
Patrzcie jeno tam z za lasu,
To pożaru łuna błyska".

Nagle ustał brzęk kapeli,
Grono niewiast spojrzy dumnie —
Blask dobytych karabeli,
W piorunowej lśni kolumnie!

Aż pan domu rzekł do gości:
— „Otóż, bracie! nam pohaniec
Zagrał mordem naszych włości
I w rycerski zowie taniec".

„Bóg me lata cieszy stare
I snadź ród mój ma w pamięci,

Że przez świętą krwi ofiarę
Jedynaczki mej ślub święci!“

I weselny orszak śmiele
Biegł na boje, jak na gody,
Szlak zatętniał, a na czele
Był pan domu i pan młody.

Każda z niewiast do modlitwy
Klękła kornie w onej dobie
Za pomyślność świętej bitwy
I za żywot blizkich sobie.

3.

ZGON.

Na skalistej, stromej górze,
Stał warowny zamek stary;
Szczyty wieżyc lśniły w chmurze,
Jak przewidzeń sennych mary.

Lecz choć wkoło broń połyska,
Cicho było jak w klasztorze,
Bo rycerski pan zamczyska
Na śmiertelne upadł łoże.

Konający, wśród modlitwy,
Na przedwczesny zgon nie skarżył,
Lecz o śmierci w gwarze bitwy
Jak w młodzieńczych latach marzył.

Wtem na wałach dano hasło,
Zamek zawrzał jak głąb morza
I z źrenicą pół zagasłą
Konający powstał z łoża.

Z dziwną siłą przywdział zbroję,
Ujął szablę, dosiadł konia
I swe hufce wiódł na boje,
Na przyległe biegłszy błonie.

Jak wśród burzy chmura z chmurą,
Z pędem dwa się zwarły szyki —

Szwed ustąpił, nasi górą,
Pędzą pierzchłe najezdniki.

Pośród wrzawy, na uboczu
Konał we krwi pan zamczyska;
W mgle gasnących jego oczu
Sen zwycięztwa ogniem błyska.

I przemawiać zdał się dumnie:
— „Konam w boju, jak przystało,
Cienie przodków spieszą ku mnie,
A ziomkowie wspomną z chwałą“.

Żytomierz. *Jan Prusinowski.*

ZNAŁEM JĄ...

Znałem ją. Na wsi co rana,
Pasła gąsięta na łące;
W spodniczce, bosa, rumiana,
Oczęta miała śmiejące.

Filantrop, co słynął z cnoty
I serca wśród okolicy,
Zajął się losem sieroty
Oddał na pensję w stolicy.

Dziewczyna miała naturę
Łagodną i zdolność wielką;
W lat kilka zdała maturę...
Została nauczycielką.

Znam ją. Na spacer gąsięta
Wodzi jak dawniej, tak samo;
Ale w turniurze, opięta,
Jest piękną miastową damą.

Tylko, że pierś jej żal tłoczy
Za szczęścia spełzłą nadzieją,
Tylko, że dzisiaj jej oczy
Już się, jak dawniej, nie śmieją.

Lwów. *M. Rodoć (Mikołaj Biernacki).*

CREDO.

Wstało nowe pokolenie
Wśród błyskawic i wśród grzmotu
I postępu wznosząc sztandar,
Rozpoczęło od wywrotu.

A na starej baszcie rzesza
Stoi w dumie i spokoju
I rozgłasza ewangelję
Zaklętego w sen zastoju.

I rzekł mędrzec, słysząc burzę
I na twierdzy patrząc wrota:
W dziejach ludzkich zwyciężała
Zawsze średnia droga złota.

Warszawa. *Włodzimierz Stebelski.* *

* Zmarł w Warszawie, dnia 13 grudnia, 1891 r.

BOŻE PTASZKI.

Wzleciał z gniazdka ptaszek mały raz pierwszy w świat boży,
Zwrócił oczka swe ptaszęce do rumianej zorzy —
Pod nim trawka, wonne kwiaty, a nad nim błękity,
Więc, choć ptaszek, dziwne uczuł w sercu swem zachwyty,

Zatrzepotał skrzydełkami i z zielonej błoni
Wzbił się w górę ku niebiosom i piosenkę dzwoni,
Dzwoni piosnkę uroczystą, tęskną i radosną,
O tem niebie, o tych kwiatkach, co na błoni rosną.

A jak wzleciał, tak i leci coraz wyżéj, wyżéj
Czasem tylko do gniazdeczka śmiały lot twój zniży,
I znów w górę podlatuje, tam, ku sinej dali,
Bo tam Ojca, Pana czuje, więc Go pieśnią chwali.

I nie zmilknie piosnka cicha, póki tchu jej stanie,
Nucić będzie ptaszka boża: „chwała Tobie, Panie!“
Nucić będzie, aż tam kiedyś życia, piosnek, syta,
Na spoczynek główkę złoży pośród łanu żyta.

*

Na łan wyszło dziewczę młode w pierwszej życia wiośnie,
Szczęsna patrzy na świat boży i nuci donośnie,
Bo jej dusza nie zna jeszcze cierni, ponęt świata,
Tylko, jak to boże ptaszę, myślą w niebo wzlata.

Pieści ojciec, matka pieści, dziwią się młodzieńce,
Taka u niej jasność oczu, tak żywe rumieńce,
A w serduszku szczęście, cisza, radość i pogoda,
Że tak zawsze pozostanie, marzy dusza młoda.

Wyszła w pole zrywać kwiatki i posłuchać pieśni,
Co jej zawsze zrana ptacy wyśpiewują leśni.
Dziś jednego braknie głosu, co tak słodko nucił:
— Ach! gdzież jesteś, skowroneczku, czemuś mnie porzucił?

Chyli dziewczę główkę na dół po bławatek modry
I wraz z oczu łez bolesnych trysnął strumień szczodry:
Pod bławatkiem pośród żyta skowroneczek leży —
Cóż się stało? patrzy dziewczę i oczom nie wierzy.

Cóż jest ptaszek?!... lecz ten pierwszy zawód w życia drodze
Rozwiał słodkich marzeń roje, zranił duszę srodze,
Ona śniła raj na ziemi, widzi padół płaczu
I poważna myśl się budzi o ziemskim tułaczu.

Ileż przeszło już pokoleń, ile przejdzie jeszcze...
Jak zielony liść, co zeschły jesienią szeleszcze,
Tak jej krasa, wiosna minie, przyjdzie życia zima,
Strudzonego na spoczynek wezwie Bóg pielgrzyma.

Zbladło dziewczę, lecz w jej sercu trwoga nie zagości,
Bo tam płomień wiary płonie i płomień miłości...
Blask ich drogę jej rozświeci śród życia zawieji,
I zakwitnie w duszy cudny, wieczny kwiat nadzieji.

W głębi słyszy głos: „Patrz! świat ten, tak piękny dla oka,
To odwiecznej prawdy tylko znikoma powłoka,
Prawdę kochaj, znikomości zdeptaj cienie marne,
I wytrwale idź bez żalu w szlaki cnót ofiarne.

„Przyjmij szczęście, gdy Bóg zdarzy, lecz patrz w koniec drogi,
A ogarnie duszę twoją pokój niebios błogi;
I twa postać błyśnie światu w anielstwa ozdobie —
Bóg tajemnie wstąpi w duszę i zamieszka w tobie“.

Umilkł głos, dzieweczka stoi, jakby w niebowzięta,
Ptaszka kładzie znowu w zboże, złożyła rączęta,
A modlitwę szepcą usta: „Panie! Twoja-m cała,
Wiecznie będę, jak ta ptaszka, chwałę Twą śpiewała!“

Kraków. *Wincenty Stroka.*

FIAT JUSTITIA.

(MARZENIE).

Nad starym światem straszliwe grzmią burze:
Pęka stalowe niebo w dwoje połów,
W oślepiającej błyskawic purpurze
Migocą twarze strwożone aniołów,
Lecą pioruny, dreszcz grozy w naturze,
Trzęsą się wichry nad gruzem popiołów
Spalonych grodów, pałaców wyrżniętych
Zburzonych zamków i wsi rozpierzchniętych.

Bóg wszechnatury dziś na ludy całe
Wskrzesza umarłe dla prawdy rycerze
I broń słów dzielną i serca wspaniałe
Każdy z wskrzeszonych na przyszłość odbierze,
A ma być czysty, jako okazałe
Słońce w swym blasku i ma przez puklerze
Prawdy zwyciężyć, przez miłość zasłynąć
A przez utratę czci swej własnej zginąć.

I wstały duchy z prochów i podniosły
Półsenne oczy swe ku błękitowi,
Od ramion skrzydła jasne im wyrosły;
Potęgą orłu, bielą łabędziowi
Podobne, płyną skrzydłami jak wiosły,
W twarz się twórczemu spojrzały Duchowi,
A potem głowy spuściły w milczeniu
I Duch rzekł do nich przy wszechświata drżeniu:

„Wstańcie z popiołów, wy, coście przed wieki
Kochali w imię me i zwyciężali!

Daję was światu, co zbywszy opieki
Światła i prawdy, tak się dziś zuchwali
I z wozem kłamstwa pędzi na wir rzeki
I wzgardę cnoty szerzy coraz dalej!
Daję was światu, który nieprzytomnie
Dąży do celu, bo zapomniał o mnie".

„Mógłbym piorunem świat cały zapalić
I zmienić w popiół, obrócić go w nice,
Mógłbym kolumny kłamstw światowych zwalić
I przygnieść niemi ich głowy złolice,
Mógłbym chwast dziki zarazą oddalić
I w gniazdo złości cisnąć błyskawicę,
Ale miłością ja chcę ludy zbawić,
Miłością natchnąć, miłością poprawić"!

„Przez miłosierdzie kieruję tym światem,
Przez miłosierdzie wskrzeszam i wybawiam,
I wybawionych własnym majestatem
Okrywam, karmię i przy sobie stawiam;
Przez miłosierdzie nie karzę bułatem
Czarnych serc ludzkich, ale je poprawiam,
Przez miłosierdzie czas kary odwlekam,
Przez miłosierdzie nawrócenia czekam".

„Ale gdy twarde będą ludzkie serca
I na me słowa przestrogi nie zmiękną,
Gdy przeciw prawdzie powstaną bluźnierce
I na swem kłamstwie stać się nie ulękną,
Kiedy się z ludzi porobią morderce,
I przed swym sędzią w pokorze nie klękną,
Głów nie nakryją pokuty całunem,
Wtedy ja — w tłum ten uderzę piorunem"!

„Wstańcie z popiołów, duchem mym owiani!
Potęgą słowa uzbrajam wam piersi:
Tarczy tej żadne żelazo nie zrani,
Ani miecz przetnie: będziecie najpierwsi
W walce za prawdę w myśl ukrzyżowani,
Lecz waszą myślą wy będziecie szersi,
I choćby ciemność uciskała ducha,
Przyszłość, nie jej słów, lecz waszych posłucha".

„Daję wam w serca miłości zawiązek:
Kochać, za prawdę walczyć, — wasze godła,
Prowadzić ludy — to wasz obowiązek,
Wasze zadanie: zbrodnię, co przywiodła
Świat do upadku, oberwać z gałązek!
Niech się nie pleni ta złość, co go zwiodła!

Wasz cel — rozjaśnić światło, co przygasło,
Sprawiedliwość i miłość — wasze hasło".

„Niech nigdy trwoga nie zajrzy wam w lice!
Niech prawda nigdy z serc wam nie wygaśnie,
Niech siła woli, jako błyskawice,
Zamiarom waszym zawsze świeci jaśnie;
Myśl niechaj wiecznie dąży w okolice
Światła i niechaj nigdy w was nie zaśnie
Ten wielki gienjusz, jakim was natchnąłem,
Kiedym was dźwigał z popiołów — aniołem"!

„Czystość i piękność lica wasze zmyje:
Niech się nie zbrudzi białość waszych skrzydeł!
Bo gdy świat ujrzy brud, co czyny kryje,
On was poczyta za duchy mamideł
I będzie w zbrodnie lgnął, w proch się zaryje
I zdradnych zguby nie uniknie sideł,
Więc się nie brudźcie, nie kalajcie pierzy —
Czystym, prawdziwym i mądrym świat wierzy"!

I znów się ogniem niebiosa rozdarły:
Bóg śród piorunów wszedł w nie w majestacie,
I znów się ogniem niebiosa zawarły,
Świetne płomienie rzucając w szkarłacie,
A potem taka cisza, jakby zmarły
Wszystkie stworzenia w okropnej zatracie:
Bóg chciał, by wszystko przycichnęło plemię,
Kiedy w niebiosa On wstąpił ze ziemie.

A duchy wielkim hymnem się ozwały
I zmartwychwstania pieśń poszła w błękity
I uderzyła w chmury echem w skały —
I znowu echem szła na niebios szczyty,
Aż wreszcie wielki ten hymn i wspaniały
Skonał, ostatnim dźwiękiem w niebo wbity,
I duchy jasne swe skrzydła rozwarły
I lecą trzeźwić świat na półumarły.

Warszawa. *Andrzej Świętochowski.*

SERDECZNA PIEŚŃ.

Serdeczna pieśń, skrzydlaty ptak,
Jak płomień pierś rozpiera,
I rzuca się w powietrzny szlak,
Do życia się wydziera.

Serdeczna pieśń jak gwiazda drży,
Objęta wkoło mrokiem,
I ciemną noc promiennym swym
Ciągle przebija wzrokiem.

Bo życiem jej ciepło i blask
I miłość i cierpienia,
Przeszłości grób, przyszłości świt,
Źródłami jej — natchnienia.

Serdeczna pieśń unosi się
Nad prochy i nad pyły,
Ponury fałsz, zasadzek sieć —
Nie zgnębią lotnej siły!

I nieraz ją brano na strzał,
Szarpano jej purpurę,
Lecz młody duch tylko się śmiał
I dumnie wznosił w górę.

I nieraz tłum ją skrzywdził już,
Nie szczędził głazów, błota,
Lecz ona wśród słonecznych zórz
Stała nietknięta, złota!

I stoi wciąż i prosty lud
Melodją swą kołysze,
Prostaczek wierzy w pieśni cud
I słuch zatapia w ciszę...

I słyszy w niej znajomy głos,
Na sercu składa ręce,
I czuje, że przyszłości los
W serdecznej lśni piosence.

Serdeczna pieśń puka do chat
I zbiera tam słuchaczy,
I z wszystkich bólów, cierpień, strat,
Cudną przyszłość tłómaczy.

Serdeczna pieśń, skrzydlaty ptak
Zna miłość i cierpienie,
Na nowych dni promienny znak
Rozpala swe natchnienie.

Lwów. *Szczęsna (Cybulska).*

BYTU TAJEMNICA.

Jest piękna wielkość w bożem dziele świata:
W porannych świtach i zmierzchach wieczoru
Jest w duszy, która widząc bezmiar, wzlata
W nieskończoności, pragnąc tego wzoru,
Co nie objawił się cały nikomu,
Lecz pięknem jutrzni lub gwieździstej nocy,
Albo potęgą huczącego gromu
Mówi: Jam wielkość! a świat w mojej mocy,
W mocy, co kruszy i w mocy, co nęci,
Co myśl porywa i zmysły upaja;
O! jest w tem piękno! I jest wielkość w chęci,
Co się w zwątpienie po wierze uzbraja,
Ażeby zgłębić tworzenia tajniki:
Poczęcia Alfę i końca wyniki.

W tem wszystkiem piękno! Tak, lecz dusza długo
Nie wytrwa w zimnej dociekań rachubie,
Nie zechce wiecznie być formułek sługą,
Nie poprzestanie na tak nędznej chlubie,
Że, co odkryła, jest odkryciem kształtu,
Lecz nie przyczyny i siły i ruchu...
I w cieśni przez się stworzonego gwałtu
Targa myśl własną, wspomina o duchu,
O tym, co niańki bajały tak miło,
O tym, co skrzydła miał jakieś tęczowe,
Co był bezsiłą, a był jednak siłą,
Co sny urocze wiał na dziecka głowę!
Skoro to wspomni, odpycha zwątpienie,
A starej wierze śle ciche westchnienie.

O, jakże wówczas to piękno człowieka
Wielkie, gdy zdołał dziką skruszyć dumę,
Gdy dziś, jak dawniej, na nowo docieka,
Lecz wyniosłości zdeptał w sobie dżumę,
Głoszącą: Nie znam, a więc niema ducha!
I zaczął wierzyć, że ten, co, jak dziecię,
W nieznane niebo ogniem wiary bucha,
To równą gromom świat ten mocą gniecie.
O! jakże piękny, kto się rozmiłował
W bliźnim, aż zdołał, wbrew próbom bez końca,
Tem czemś nieznanem, co w piersi przechował,
Zdziwić świat, porwać, odkryć nowe słońca,
Wypromienione z spółwiedzy, z spółwiary,
Wżdy nieuchwytne, dobre jednak — dary.

Tu rzekną jedni: Duch twój nie ma bytu,
To tylko mrzonki rozkiełzanej postać;
I rzekną inni: Duch prawdy z błękitu
I z nim my chcemy aż do śmierci zostać.
A więc ci pierwsi, co tak nieomylni,
Czemuż nie mówią, skąd ten ruch w ich głowie,
Którym tak wielcy, a tacy bezsilni?
Bo, że jest, wiemy, lecz czem jest, któż powie?
Czemuż ci drudzy, co pełni są wiary,
Przecząc przeczeniu, połamali skrzydła,
I nie są więksi, niż dawne Ikary,
I na duch badań włożyć chcą wędzidła;
I w rozdwojeniu trwa tajemnie życie:
Więc gdzie rdzeń prawdy, tu? czy tam w błękicie?

A wszakże bez nas prawdy-by nie trzeba,
A wszakże bez nas nie wstałyby waśnie,
Aniby chciał ten: atomów — ten: nieba,
Aniby żyły nauki lub baśnie;
Ani ruch wieczny nie wiedziałby o tem,
Że tych drgań jego jest jakaś przyczyna,
A jeśli tak jest, to pozwólcie lotem,
Co z wiary w bóstwo ku niebu się wspina
Lecieć bez końca i wierzyć bez końca!
A tym, co w ziemię zapatrzeni — dążą,
Pozwólcie badać, stwarzać nowe słońca;
Prawdy ich nowe ich samych powiążą,
Aż je pozrywa wieków nawałnica,
I bodźcem znowu będzie — tajemnica!?

Lwów. *Teofil Szumski.*

PRELUDJA.

1.

Idzie na pola, idzie na bory,
Na łąki i na sady,
Na sine wody, na śnieżne góry,
Na miesiąc idzie blady;
Idzie w niezmierną otchłań wszechświata,
Skąd pył dróg mlecznych prószy,
Idzie błękitna, cicha, skrzydlata —
Muzyka mojej duszy.

2.

Przyszła, stanęła w myśli mojej blada,
Jak widmo senne,
A przed tem widmem cały świat upada
W głębie bezdenne.

Upada z całą swą walką, cierpieniem
W głębie bezdenne,
Przed jednym bladym i znikomym cieniem,
Jak widmo senne.

Kraków. *Kazimierz Tetmajer.*

WIOSNA.

Wiosno! wiosno! maj rumiany
Z zimowego wstał noclegu,
Las zaszumiał rozśpiewany,
Białych motyli jak śniegu...

A tam, niby ptaszę śpiewne,
Niby wiotki motyl w bieli,
Stawiając nóżki niepewne
Na mchów zielonej pościeli,

Śród róż, muszek i słowików,
Dziecię wyciąga rączęta
Do was, swoich rówieśników,
Do was motyle, ptaszęta...

* * *

Wiosno! ach tyżeś to jeszcze,
Którą widzę, czuję, słyszę?
Z wami się napowrót pieszczę,
Leśni moi towarzysze?

Tam róży krzak, a nad nim biała
Mgła skrzydełek się trzepocze:
To wy! — Tam olcha omszała
Ukrytem gniazdkiem szczebiocze:

To wy! Mej izdebki ciemnej
Próg roztwiera się przedemną,
Ach z wami w lot, w błękit jasny,
W drzew starych kryjówkę ciemną.

Szumem, śpiewem pierś mi brzęknie,
Skrzydła mi na barkach rosną...
Ach, żyć! na świecie tak pięknie!
Żyć i kochać! Wiosno! Wiosno!

* * *

Lecz cóż to? naprożno rwę się
Do was, do życia, do pieśni,
Do schadzek rozkosznych w lecie,
Z wami, o moi rówieśni.
Naprożno! otom w pół drogi,
Złamany, z omdlałym duchem
Jak więzień z kulą u nogi,
Stanął, targając łańcuchem.
Cóż to? wszakżeście ci sami,
Których witałem przed laty;
Temi samemi tęczami
Odzianyś, gończe skrzydlaty,
Na róż i narcyzów szlaku.
Tą samą nutą po rosie
Mknie pieśń twa, leśny śpiewaku:
Poznałem ciebie po głosie.
Z wschodzącem słońcem tak samo
Nowe wkładacie sukienki,
A ja? — Ja żebrak pod bramą
Bliższy tej waszej jutrzenki.

* * *

Wiosno! losów widzę wolę!
Próżno — u przeznaczeń proga
Splątały się nasze dole:
Niejedna była nam droga.
Wy, o towarzysze mili,
W powtórnym wiosen rozkwicie
Kochaliście tylko, żyli:
Jam — tworzył miłość i życie!
Jam ziemskie, bezkształtne bryły
Rzeźbił i krasą odziewał;
A jeśli serca zabiły
W nich — tom krew swą w nie wlewał!
Dlatego głazem na grzbiecie
Każda mi wiosna przeżyta
Cięży i do ziemi gniecie.
— I nie dla mnie to, co świta!

Paryż. *Kazimierz Waliszewski.*

ARAB I WIELBŁĄD.

(BAJKA).

Są czasem dziwne stworzenia —
Weźmy, naprzykład, wielbłąda:
Spokojny i cierpliwy, dola go nie zmienia,
I, by gasić pragnienie, pić niezawsze żąda.

Arabowi w podróży
Przez rozległe pustynie zabrakło raz wody,
Ze znużenia, z pragnienia wzrok omdlenia mruży,
I cierpi, choć silny i młody...

Tymczasem jego wielbłąd kroczy raźno daléj,
Nie mdleje, nie upada, ni na los się żali;
Ochrania go od cierpień w najgorętszej dobie
Zdrój, który nosi sam w sobie.

— „W sobie... — powtarza Arab, jak słowa namaza,
W sobie..." — i kiedy chwyta rękojeść żelaza,
Rzekł wielbłąd do niego w spokoju:
— „Biada, kto w dobie skwarnej nie ma w sobie zdroju,
Próżno wtedy pustynię życia przejść się kusi,
Nawet blizki już celu swojego — ledz musi".

Warszawa. *Józef Waśniewski.*

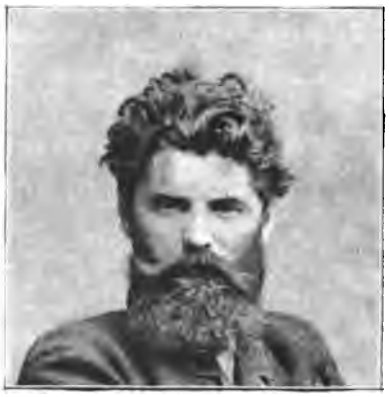

FATYMA.

Wśród nagiej, bezbrzeżnej pustyni zbłąkana,
Pod grozą niechybnej zagłady,
Jak szereg milczących widm — szła karawana,
Za którą zamiatał wiatr ślady.
I oto po długich wysiłkach i trudzie,
Od dawna bez wody kropelki,
Upadły wielbłądy, pokładli się ludzie,
Wołając: Bóg wielki! Bóg wielki!
Lecz cichły wołania i jęki wśród tłumu
Tonących w piasczyste topiele,
A piaskiem gorącym powiewy Samumu
Zatkały ich suche gardziele.
Jak wichry po niebie, jak fale po morzu,
Gdy z więzów rozkiełza je burza,
Latają po żółtem pustyni przestworzu
Ruchliwe pagórki i wzgórza.
Już wpadły na obóz!... Zpod zaspy pokrowca
Już ledwie gdzie-niegdzie wygląda:
Tu ramię, tam zawój biednego wędrowca,
A ówdzie garb juczny wielbłąda.
Dzień wreszcie się skończył, przygasły upały,
Noc gwiazdy zatliła w eterze,
Samumy, jak sępy, hen gdzieś odleciały
Na swoje nieznane nocleże.
Chłód nieco ocucił omdlałych: słabemi
Rękami się grzebią zpod piasku,
I jęcząc, daremnie probują wstać z ziemi,
Ach, może skonają do brzasku.
— „O, Allah, o Allah! — ozwały się głosy
Wśród ciszy nocnego pomroku —

„O, Allah, daj wody... choć kroplę daj rosy!
Litości, o wielki Proroku!“

Znękana, jak inni, sił zbieram ostatki
I w lawie sypiącej się grzebię,
Nareszcie powstałam... I słyszę głos matki:
— „Fatymo! idź ciągle przed siebie!
„Idź córko, aż dojdziesz pustyni wybrzeży:
„Tam góra jest, strome urwiska,
„Zpod skały, w ukryciu, tam czysty i świeży
„Zdrój wody żywota wytryska.
„Ten zdrój nie wysycha ni latem, ni zimą,
„I mocy cudownej nie traci, —
„Zeczerpnij i przynieś tej wody, Fatymo,
„Dla matki spragnionej i braci“.
Posłuszna rozkazom, puściłam się w drogę.
Ach, prowadź mię, prowadź; Arjelu!
Bo wątpię, czy trudy podróży tej zmogę,
Ach wątpię, czy dotrę do celu!
I szłam tak przed siebie, bezsilna, mdlejąca,
Krok chwiejny stawiając nieśmiało;
Przedemną pustynia leżała bez końca,
A niebo gwiazdami mrugało.
Wciąż idę, lecz czuję, jak sił mi ubywa
I nogi zaledwie się wleką,
Potykam się często, zataczam półżywa, —
Do źródła tak jeszcze daleko!
Już mącą się myśli, zginają kolana —
I oto w rozpaczy i strachu
Upadłam!... O bracia, o matko kochana!...
Niedobry, okrutny Allachu!...
Leżałam bezwładna, gdy w głębiach pomroku,
Co przestwór pustyni obleka,
Ujrzałam mgłę jakąś w postaci obłoku
O kształtach olbrzymich człowieka.
Ów człowiek obłoczny z półświateł, półcieni,
Jak chmura już zbliża się zdala,
Co chwila wyraźniej wypływa z przestrzeni
I kształty pewniejsze ustala.
I rośnie co chwila tych kształtów potęga,
Już postać się wzniosła ogromnie,
Już głową w zawoju do nieba dosięga
I idzie wprost do mnie, wprost do mnie!
W zadumie, z poważnem idzie do mnie licem,
Zapatrzon gdzieś w przestrzeń oczyma,
A z nieba zlatuje rój gwiazd wraz z księżycem
I czoło otacza olbrzyma.
— To Allah! to Allah!... — szepnęłam i trwogą
Śmiertelną zabiło mi łono:

Ach! on mię nadepce olbrzymią swą nogą
I będę jak robak zmiażdżoną!
Lecz on się pochyla, podnosi omdlałą
I rzecze: „Uspokój się w trwodze!
„Wołania twe, córko, me ucho słyszało
„I oto z pomocą przychodzę:
„Ja cząstki wszechmocy w malutkiej iskierce
„Twojemu dziś sercu udzielę;
„Moc twórcza, cudowna ożywi to serce:
„Ukochasz — i będziesz módz wiele".
To rzekłszy, do serca się dotknął mojego
I nagle uczułam w swem łonie,
Że prądy wzmożone krwi świeżej w niem biegą
I jakaś niezwykła moc płonie.
Uczułam, żem silna, odważna, jak męże,
A serce, miłością wezbrane,
Wierzyło, że trudy najcięższe zwyciężę
I wody żywiącej dostanę.
Puściłam się tedy przez piasków roztopy
Po nagiej, bez końca przestrzeni,
Nie bacząc na ciernie krwawiące me stopy,
Na ostrza sterczących kamieni;
Nie bacząc na wycia w pobliżu szakali,
Na hyen skomlenia, lwie ryki,
Szłam ciągle, wciąż dalej przed siebie i daléj
W pustyni bezludnej i dzikiej,
Aż przyszłam nareszcie do celu... Już świtu
Rumieniec zakwitał na niebie,
Gdy weszłam na górę, stanęłam u szczytu
I okiem rzuciłam za siebie.
Przedemną płaszczyzna leżała przebyta,
Ginąca gdzieś w mgłach widnokręga,
A na niej przez całą jej długość wykwita
Barwista, wijąca się wstęga.
I okrzyk zdumienia wydało me łono:
Ujrzałam z wyżyny wyniosłej,
Że z piasku, gdziem nogą stąpała skrwawioną,
Na śladach mych kwiaty wyrosły!...

Kijów. *Włodzimierz Wysocki.*

Z TRAGIEDJI:

»DOMICJAN«.

PRETORJANIN I JULJA.

PRETORJANIN.

. . . . . .

Tu wszyscy wierzą w dobroduszność moją,
Nikogo myśli me nie niepokoją —
Domicjan nawet na mnie nie spogląda
Zpodełba. Juljo, ciebie on pożąda!...
O jak to strasznie duszę moją trwoży,
Bo w wyuzdanem sercu Domicjana
Nieukrócony szał się nie ułoży,
Dopóki, bogi, złote Twoje ciało
Jak kwiat nie uschnie od całunków pana.

JULJA.

Bodajby wprzódy zeschło, skamieniało!

PRETORJANIN.

Poczekaj — słyszysz — to jest chód Tytusa!
O, tam się skryjmy.
(Wychodzą do bocznej komnaty).

DOMICJAN (wchodzi szybko z eunuchem).

Klnę się na Febusa,
Że łżesz! A widzisz, że ich niema? Żmijo!...

EUNUCH (z uśmiechem).

Są tam — i słodkie pocałunki piją,
A ty, cezarze, żłopać musisz męty,
Jak zwykły żołdak, ha! ha!

DOMICJAN.

Pies przeklęty!

EUNUCH (przebiegle).

A może nie on — wtedy to kto inny.
Jak zbadać prawdę? Jeśli on niewinny,
To wiem kto rywal twój, Minerwy synu.

DOMICJAN.

Więc rzuć domysły, a weź się do czynu!
Nasamprzód jego zbadaj zapytaniem
Podstępnem, prawdę zręcznie wymóż na nim.

EUNUCH.

Do wyznań m o j e słowa go nie skłonią.

DOMICJAN.

Ochoty nie mam jego badać o nią...
Lecz mam wyborną myśl, zupełnie nową:
Weź togę moją, chustkę muślinową
I mój pióropusz przywdziej djamentowy,
A brodę osłoń sobie do połowy.
Wyznanie mądrze wyduś z niego, sowo!
A grdykę ściśnij, bo masz głos piszczałki.
Udawaj zręcznie; zmrok ci dopomoże.
(wychodzi).

EUNUCH (sam, przywdziawszy szaty Domicjana).

Chociażby Djana ci usłała łoże,
Nie skusisz Julji. Prędzej mnie, eunucha
Pohańbionego, ciało jej usłucha.
(przygląda się sobie)
A mam cezara minę, bez przechwałki,
W tym pióropuszu, w ciemnej tej odzieży. —
Na razie-m zwrócił oko Domicjana
Na tego chłopca, dobrze, że nie wierzy,
Tem łatwiej teraz wmówię w nikczemnika,
Że ona w innym srodze zakochana;

A wtedy Julja niech czem prędzej zmyka
Z kochankiem swym w świat, daleko od kraju!
(woła)
Ha, Saturninus! słyszysz, pójdź hultaju,
(Pretorjanin wchodzi)
Pobladłeś bardzo... Ano, zbliż się do mnie,
(wyciąga miecz)
A teraz padnij na kolana skromnie,
I szczerze wyznaj, — co twą zmniejszy winę, —
Żeś ty rozkochał w sobie tę dziewczynę?
A co? jak twarz się twoja śmiesznie płoni.

PRETORJANIN.

Za tobą groźne włóczą się saturny
I ciągną dla mnie i dla niej dwie urny.
Więc nim nad głową mą twój miecz zadzwoni,
Opowiem ci, że miłość moja do niéj
Tak wielką jest jak jej nienawiść, panie,
Do ciebie!

EUNUCH (do siebie)

Cezar Julji nie dostanie.
(głośno)
O tej miłości nie mów ani słowa
Nikomu, ani słówka, Saturninie,
Bo święcie z karku zleci twoja głowa,
I jej też, jej krew niewinna popłynie.
(na stronie)
On nie tknie Julji — dziwnie się jej lęka.

DOMICJAN
(wpada na scenę, uderza Eunucha sztyletem i krzyczy).

Kopuła świata niechaj się rozpęka
I niechaj Olimp ujrzy przerażony,
Że wziął na siebie Eunuch świętą postać
Minerwy syna!
(skinieniem ręki każe wyjść Pretorjaninowi).

PRETORJANIN (wychodząc, mówi).

Bardzo dziwne sprawy...

DOMICJAN i EUNUCH (na ziemi).

DOMICJAN (do leżącego).

I cóż udało ci się zeń wydostać?...

EUNUCH.

Nie on to wcale — byłem zaślepiony.

DOMICJAN.

A widzisz!

EUNUCH.

Boli!...

DOMICJAN.

Cios był nazbyt krwawy:
Nie chciałem zabić. Więc nie on ją kocha?

EUNUCH.

Nie umie kochać jego dusza płocha,
To inny — tylko *ja* znam jego miano.
Straszliwe znoszę męki; zabij, rano!
Uh, zimno biega po mych kościach mrowiem.

DOMICJAN.

To imię, powiedz, błagam, mów!

EUNUCH (zdziera chustkę ze szyi).

Nie powiem.

(kona).

Warszawa. *Daniel Zgliński.*

CZĘŚĆ II.

PROZA.

PRZYSŁOWIA POLSKIE I KRYTYKA.

Od chwili, gdy w literaturze polskiej po raz pierwszy zwrócono uwagę na jeden z najpiękniejszych przejawów twórczości ludowej, na jedną z nitek owej „przędzy myśli i kwiatów uczuć“ ludu, na przysłowia, upłynęło już przeszło trzy wieki. Jakkolwiek *Proverbia polonica* Rysińskiego, uważane w literaturze polskiej za pierwszy zbiór, wyszły dopiero w 1618 r., to jednakże wiadomo, że już w drugiej połowie XVI wieku autor zbieraniu ich się poświęcał i tylko skromność Rysińskiego i obojętność na sławę autorską sprawiły, iż z wydrukowaniem ich się ociągał.

Dzieło Rysińskiego jako osobne, samym tylko poświęcone przysłowiom, niewątpliwie może być uważane za pierwsze; wszakże wiele wokabularzy XVI w., między innemi dwa znane mi z lat 1580 i 1608, zawierają tak znaczną liczbę przysłów, iż niepodobna wątpić, że rozumiano już wówczas wartość przysłów dla języka i nauki, a przedewszystkiem ceniono je na równi z aforyzmami i przestrogami dla sentencjonalnej, pouczającej ich treści. W lat kilkanaście po Rysińskim ukazały się *Adagia* Knapskiego, później nieco po nich prace Zawadzkiego i Żeglickiego. Od chwili wydania tych dzieł, które dla badacza przedmiotu tego za podstawowe uważane być muszą, literatura paremjologiczna rozszerza się i wzbogaca już to mnóstwem prac oddzielnych, już to przyczynków, umieszczanych najczęściej w gramatykach i podręcznikach, nauce języka poświęconych.

Gdy się rzuci okiem na tę tak obszerną literaturę, której bibljografja (wliczając i artykuły w pismach) uczyniłaby z parę set pozycji, zastanawia niezmiernie mała liczba prac naukowych, poświęconych historji powstania przysłów, zwłaszcza historycznych i obyczajowych, wyświetleniu ich źródła, znaczenia i zastosowania, dziś bardzo często różniącego się od dawnego, i wogóle objaśnieniom tych przysłów, których źródło zostało zaciemnione pomroką wie-

ków i zasłonięte nieprawdziwemi podaniami, nie już z fantazji ludowej zaczerpniętemi, ale przeważnie utworzonemi przez autorów bezkrytycznych, niemniej jednak rwących się do wyświetlania kwestji niejasnych niefortunnemi domysłami, bez zrozumienia, iż taka działalność jeszcze bardziej je zaciemnia.

Pierwszą obszerniejszą próbą naukowego opracowania przysłów było dzieło K. W. Wójcickiego *(Przysłowia narodowe, Warsz. 1830 i 31 r.)*. Mimo wielkiego zasobu pracy, jaką autor w to dzieło włożył, jest to jednakże próba tak słaba, nierozwinięta i bezkrytyczna, iż więcej rozpowszechniła błędnych objaśnień niektórych przysłów, niż wyświetliła stron ciemnych. Upłynęło lat kilkadziesiąt, zanim na niebie literackiem ukazała się silniejsza i trwalszym blaskiem świecąca gwiazdka; była to praca A. W. Darowskiego *(Przysłowia od nazwisk i miejscowości. Poznań, 1874)*. Dzieło to założeniem, opracowaniem źródłowem i krytycznem, a nie siłącem się na rozwiązanie ciemnych zagadek drogą bałamutnych domysłów i fałszywych twierdzeń, wywołało wiele cennych a uzupełniających przyczynków i komentarzy: Walickiego, Karłowicza, Lubicza, i jest dotąd jedynem głębszej wartości naukowej dziełem, które można śmiało postawić obok niejednego z lepszych specjalnych opracowań którejkolwiek obcej literatury. Darowski wyświetlił w swem dziele początek niektórych najpowszechniejszych przysłów, dotąd nieznany lub opacznie tłómaczony.

Lecz zamiarem moim nie jest skreślenie choćby pobieżnego rysu bibljograficzno-krytycznego, gdyż wymagałoby to obszernego studjum; chciałbym tylko zwrócić uwagę na widoczną u nas pewną, że się tak odważę nazwać, opieszałość w pozbywaniu się z literackiego inwentarza etnologicznego wielu przestarzałych, bałamutnych, a żadnej, choćby najlżejszej krytyki naukowej nie wytrzymujących bajeczek, podań lub mylnych twierdzeń, przywiązanych do źródła powstania niektórych przysłów polskich i na potrzebę zastąpienia ich nowemi komentarzami, uznanemi przez powagi naukowe i bezsprzecznie, na ściśle naukowej podstawie, rozwiązującemi węzły wielu ciemnych kwestji, węzły, rozplątywane dotąd tak niezręcznie, że bywały jeszcze bardziej zacieśniane.

Przed dwoma laty prof. Józef Przyborowski, rozbierając obszernie początek wyrażenia „do siego roku“ *(Bibl. Warsz. r. 1889)*, niezmiernie bałamutnie i na tle podaniowem wysnuwany, zauważył z naciskiem, iż pomimo wyświetlenia etymologji tego życzenia przez Karłowicza już w r. 1882 w *Kalendarzu Wileńskim*, dotychczas jednakże fałszywy komentarz błąka się jeszcze po pismach i dziełach. Czemu przypisać, że pomimo uznania i rozpowszechnienia, jakiego doczekała się praca Darowskiego, znaczenie wielu przysłów, których prawdziwy początek wyświetliła, ignorowanem jest przez naszych pisarzy, a mylne komentarze dawniejsze wciąż za prawdziwe są podawane. Czyż to nie godne zastanowienia, że tak nieudolną i wprost z pierwotną treścią przysłowia niezgodną bajeczkę o Filipie ze wsi Konopie, o owym szlachcicu, który jakoby miał na sejmie się wyrwać, a w rzeczywistości nigdy się nie „wyrywał“, dotąd znaleźć można we wszystkich prawie książkach dla młodzieży, w wypisach polskich; że niedawno spotkałem się z nią nawet w przypiskach do „Pana Tadeusza“, *(wyd. Macierzy polskiej)*, pomimo, że treść tej bajeczki jest w logicznej sprzeczności z pisownią w „Panu Tadeuszu“, Mickiewicz bowiem wyraz *konopie* pisał przez małe *k*, nie poczytując wcale wyrazu tego za nazwę miejscowości. Ileż to jeszcze razy słyszeć i wyczytać dziś można, że „Sas“ w przysłowiu: „jeden do sasa, drugi do lasa“ oznacza Augusta II Sasa, a „las“ Stanisława Leszczyńskiego, chociaż to nie ma żadnego związku z historją, czego dowiódł niezbicie już przed 20 laty Darowski cytatami z autorów XVI w.

Nie rozbierając przyczyn tego bądź co bądź ciekawego zjawiska, o którem prof. J. Przyborowski mówi, że „ma ono do pewnego stopnia znaczenie psychologiczne, bo pokazuje dotykalnie, jak trudno jest wydrzeć ludziom wyobrażenia najprzewrotniejsze, jeśli one pochodzą ze szkoły lub zaszczepione zostały przez osobistość uchodzącą za powagę naukową“, przejdę pobieżnie historję kilku powyżej wzmiankowanych przysłów, zestawiając mylne dawniejsze komentarze z obecnemi prawdziwemi, i odsyłając po obszerniejsze i wyczerpujące wywody do źródeł.

Życzenie *do siego roku* do zbiorów przysłów poskich wprowadził pierwszy Wójcicki *(Przysł. nar. I. 200)* i objaśnił (cytując z kalendarza polskiego na r. 1714, której to jednakże cytaty w żadnym kalendarzu na rok ten nikt odszukać nie zdołał), że powstaniu życzenia tego dała powód niejaka Dorota, czyli zdrobniale Dosia, niewiasta niezwykłej bogobojności i cnoty, która doczekała się przeszło stu lat wieku. Życzono więc sobie wzajemnie, aby takiego podeszłego wieku, w szczęśliwości spędzonego, doczekano, czyli *Dosiego* (!) roku. Prócz tego wyjaśnienia, a raczej zaciemnienia kwestji, dzięki Wójcickiemu najbardziej rozpowszechnionego, krążą jeszcze i inne, niemniej fantastyczne, wszystkie jednak fałszywe.

Tymczasem w wyrażeniu *do siego roku*, *siego* jest dopełniaczem staropolskiego zaimka wskazującego *si*, spotykanego w najstarszych pomnikach języka polskiego. Życzę ci *do siego roku* znaczy więc: życzę ci doczekania *tamtego przyszłego* roku, a nie Dorociego lub Dosinego roku. O życzeniu tem pisali obszernie: Karłowicz (w *Kalendarzu Wileńskim* E. Orzeszkowej na r. 1882), a najbardziej wyczerpująco prof. J. Przyborowski („Dosia“ wobec nauki, *Bibl. Warsz. r. 1889*).

Pana Filipa z Konopi wcielił do zbiorów Rysiński, jednakże w formie zupełnie różnej od obecnie używanej. W centurji XVI jego „Przypowieści“ z r. 1618 czytamy: „wymknął go, jak Philipa z konopi“. W tej formie i zastosowaniu przysłowie to należy już do rzędu t. zw. zmarłych; w dzisiejszej zaś t. j. „wyrwał się, jak Filip z Konopi“, znajdujemy je po raz pierwszy w bardzo cennem a prawie nieznanem dziele niewiadomego autora p. t. „Flores trilingues“, wydawanem w r. 1702 w Gdańsku. Niefortunną bajeczkę zaś o szlachcicu Filipie zawdzięczamy ks. Bened. Chmielowskiemu, autorowi *Nowych Aten* (Lwów, r. 1745, cz. I), który ją albo własnym stworzył konceptem, albo też ze słyszenia zapisał. Chcąc objaśnić powstanie przysłowia, mówi on na str. 75: „Filip ze wsi własnej Konopie, będąc za Augusta I posłem na sejmie piotrkowskim, w swoim odezwał się interesie; krzykniono: Panie Filipie z Konopi, wyrwałeś się, jako pisze Cnapius in Adagiis“. Powoływanie się Chmielowskiego na dzieło Knapskiego naprowadza na myśl, iż bajeczkę tę podsunął mu ktoś, zapewniając, iż ją w Knapskim wyczytał, gdzie, jako żywo, niema śladu ani przysłowia, ani jego wykładu. Mimo tak widocznego fałszu, koncept Chmielowskiego powtórzył Ambr. Grabowski *(Przypow. dawnych Polaków)*, później Wójcicki *(Przysł.* III. 146), a z ich dzieł rozpowszechnił się on po całej literaturze.

Prawdziwym ojcem tego przysłowia nie jest jednakże sejmikowy krzykała Filip, ale najpospolitszy, tchórzliwy szarak, czyli zając, przezywany w wielu okolicach Filipem, w wielu zaś Jaśkiem, Maćkiem, Szczepanem, tak samo jak bociana zowie lud Wojtkiem i t. p. Wskazuje to sama pierwotna forma przysłowia, mianowicie: „wymknął go...“ t. j. spłoszył, wygnał, wypędził tak, jak zająca, ukrywającego się w konopiach przed okiem psów i myśliwych. W tem samem znaczeniu i tejże formie używa przysłowia tego, bodaj czy nie pierwszy, Rej w „Zwierzyńcu“, str. 110, pisząc:

Cóż wżdy się z nami dzieje, iż tak nic nie dbamy,
Jako Philip w konopiach prawie ulegamy.

Powszechnie dziś używana forma „wyrwał się“ powstała ze stopniowej zmiany pierwowzoru: „wymknął go“ zamieniło się na „wymknął się“, a to ostatnie na synonim „wyrwał się“. Dzisiejsze zastosowanie przysłowia jest zupełnie odmienne od pierwotnego: mamy tedy tutaj dwa przysłowia różnego znaczenia, choć wyszłe z jednego źródła. Tak więc widzimy, że „Filip“ nie był posłem sejmowym, ani „konopie“ nazwą wsi, jak to dotąd jeszcze słyszeć można. Przeciwko panu Filipowi o niezasłużony rozgłos walczył piórem pierwszy Darowski (str. 110), po nim obszerniej i wyczerpująco dr. Józef Rostafiński *(Legenda o Filipie z Konopi)*.

„Jedno sa sa, a drugie do lasa“, tak brzmi u Rysińskiego (cent. V) przysłowie, które dzisiaj zamieniło się na: „jeden do sasa, a drugi do lasa“. U Zawadzkiego *(Gemmae latinae, str. 52)* czytamy: „jeden sasa, drugi do lasa“. Przysłowie to nie mogło powstać za czasów Augusta II i St. Leszczyńskiego, czego szeroko, bo aż na 18 stronicach dowodził Wójcicki (III, str. 84—102), a za nim inni, z tej prostej przyczyny, iż jest od wypadków owej doby daleko starszem. Jedna cytata z autora XVI w., który przysłowia tego użył, wystarczy do zrozumienia, skąd wzięło początek. Ks. Gilowski w „Postyllach“ czyli kazaniach, drukowanych w roku 1579, pisze na str. 127: „trudno ma wóz dobrze iść, kiedy jeden stary wół ciągnie dobrze sa sa, a drugi młody do lasa, potrzeba sworności“. — O przysłowiu tem pisał obszerniej Darowski (str. 45).

Taką jest historja trzech powyższych przysłów, których początek rozmaicie, a zawsze fałszywie dotąd wykładano, nie zwracając uwagi na wyniki nowszych, ściślejszych poszukiwań, które na nie prawdziwe światło rzuciły. Ramy artykułu tego nie pozwalają mi przytaczać więcej przykładów; to pewna wszakże, iż między przysłowiami polskiemi mało jest takich, których nieznanego początku nie strojonoby w podaniowe lub historyczne szaty, gwałtem do danego przysłowia przykrajane, chociażby wcale do niego nie pasowały. Mniej lub więcej zręcznie utworzone podanie, z ust do ust podawane, przez wieki krążyć może w narodzie i za prawdziwe uchodzi; z chwilą jednakże, gdy umiejętna i sumienna krytyka niezbitemi dowodami je obali i odmówi mu wpływu na powstanie jakiej myśli lub wyrażenia, ujętego później w przysłowie, winniśmy starać się o zastąpienie go wykładem nowym, uznanym i czyste ziarno prawdy zawierającym.

Pan „Filip“, który nigdy światła nie widział, a więc i sejmu; „Dosia“, która, jeśli sto lat przeżyła, doznała już przez to nie małego dowodu łaski opatrznościowej, i inni tym podobni bohaterowie za wykreślenie ich z ksiąg pamięci ludzkiej żadnego do nas żalu mieć nie będą.

Warszawa. *Samuel Adalberg.*

OPINJA ŚWIATA.

Nic zmienniejszego, nic lekkomyślniejszego, nic bardziej nieuchwytnego, nic wreszcie mniej mającego podstaw, nad to, co się nazywa opinją świata.

Ci, którzy wyrokują o żyjącym człowieku, sądzą go najczęściej zaślepieni uczuciem przyjaźni lub niechęci, sympatji lub antypatji, powodowani miłością własną, wspólnością lub sprzecznością interesów, lub mierzą go miarą swojego *ja;* bardzo często świat ocenia człowieka według kilku faktów lub jednego tylko, najpospoliciej z powierzchownych i pozornych cech i oznak, a nawet z form zewnętrznych.

Wszystko staramy się zbadać, nim sąd o czem wydamy, pragniemy nawet rzetelnie nasze badanie przeprowadzić, uczynić jaknajgruntowniejszem, bo z wielu powodów chodzi nam o gruntowność sądu. Tylko żyjący człowiek wyjęty jest z tej ogólnej zasady i rzadko kto, nim sąd wyda, stara się bezinteresownie samą istotę ocenianego człowieka poznać.

I taki to jest sąd bliższych.

Dalsi zaś, ci, którzy nie znają osobiście pacjenta opinji, sądzą go z odgłosu odgłosów, z tego, co wydobędzie się na jawnię publiczną, sądzą według prądów chwili, zmiennych i chyżych jak czas, według stronnictwa frakcji, towarzystwa, kółka, do którego należą, według warstwy społecznej i towarzyskiej, stanu, rzemiosła i t. d.

Możnaż się spodziewać sprawiedliwego sądu opinji świata? Można; ale trzeba umrzeć i czekać tysiąca lat... a i to jeszcze...

Lwów. *Jan Amborski.*

Niema wdzięczniejszej roli nad serce naszego chłopa, aby tylko umiejętna, kochająca i wytrwała ręka wzięła się do jej uprawy, a zaiste stokrotny plon wyda.

Warszawa. *Antoszka (Antonina z Peldów Šmiškova).*

Z LITERATURY PAMIĘTNIKOWEJ.

Literatura pamiętnikowa, a w szczególności autobjograficzna, dostarcza materjałów niezbędnych dla historyka, cennych, aczkolwiek nie tak często, ani szczęśliwie uwzględnianych, dla psychologa. Jestto wszakże materjał zarazem pociągający i zdradny; aby z niego prawdę istotną wydobyć, obadwaj: psycholog i historyk, winni sobie ręce podać do tej roboty. Zachodzi tutaj mianowicie taka komplikacja nieunikniona, szczególne koło błędne, że im wybitniejszą jest osobistość pamiętnikowa a tem samem ciekawsza jego opowieść, z tem większym rozmysłem, logiczniej bodaj lub barwniej, lecz zarazem dowolniej, układają się w niej wypadki.

Jedno jest przecie miejsce w tego rodzaju utworach, gdzie i z bezpieczeństwem większem i z przyjemnością wolno zaufać pamiętnikarzowi: kiedy do młodych lat swoich sięga po wspomnienia. Bywa wtenczas i szczerszy i dokładniejszy nawet, a co za tem idzie, prawdziwszy. Sprawdzał to każdy, ktokolwiek często karty pamiętnikarza przerzucał, bez względu na kart tych pochodzenie. Tak, nigdzie nie jest bardziej pouczającym św. Augustyn, niż kiedy w upokorzeniu kreśli obraz burzliwej w Kartaginie młodości, i pierwszej przyjaźni, i duchowych walk pierwszych. Grzeszny Jan Jakób, jeśli wolno zestawić dwa kontrasty również blizkie może jak jaskrawe, we wstępnych wyznaniach najmniej kłamie. Zapalony jego wielbiciel, Józef Wybicki, że swojskich poszukam sprawdzianów, niezbyt często pobieżny, szczegółowo rozpowiada, jak za Plutarchem zasiadywał się u Załuskich, lub też zatrzymuje się z lubością nad pobytem berlińskim i pierwszem z piękną Kunegundą spotkaniem. Ośmdziesięcioletni Koźmian nie zapomina o medalu *diligentiae*, jaki mu na egzaminie publicznym przypięto do piersi; szary i mało sympatyczny Matuszewicz żywo maluje szkolne sprawy i sukcesy. Podobnież sztywny Talleyrand przyjemną sprawia niespodziankę czytelnikowi „Pamiętników“, kiedy z upodobaniem do lat dziecinnych powraca i opisuje fotel i suknię koronkową swojej babki, pani

de Chalais, u której się chował, kiedy miał lat pięć. Zgrzybiały i zgnębiony ks. Adam rozgrzewa się i wypogadza, gdy pałacyk powązkowski staje mu w pamięci; wielomównie wspomina wówczas zabawy chłopięce, wyraźniej od współczesnych maluje minioną generacją i daje, mimowoli prawie, niezrównany obraz obyczajowy.

W poważnem spostrzeżeniu ułamkowem, do którego bezliku możnaby mnożyć przyczynków, kryje się może jakaś racja wyższa i niepospolita. I czyż właśnie nie kryje się ona pod tą prawdą banalną, że młodość jest przyjemna? Albowiem wydaje się być własnością ogólną wrażeń przyjemnych, za jakimś może wyjątkiem, potwierdzającym regułę, że są słabsze a bardziej długotrwałe od równoległych wrażeń przykrych, które posiadają natomiast wyższy stopień napięcia i łatwiej zacierają się w pamięci. Może to nawet jedyna między niemi nieuchwytna różnica przedmiotowa. Tym sposobem pamięć nasza, zwłaszcza, gdy we własną, osobistą, przeszłość spoglądamy, staje się jak owe krzywe zwierciadła, w których odleglejsze przedmioty łagodniejszemu ulegają skrzywieniu.

Warszawa. *Szymon Askenazy.*

Z DRAMATU »ATTYLA«.

Plac przed domem Attyli. — Noc. — Refleks od ogni czerwonych, palących się poza placem, oświeca od czasu do czasu twarz mówiącego.

ATTYLA sam.

Szkoda, że tu niema mojego wieszczbiarza, onby mi wytłómaczył sen tej kobiety, sen też mój, który śniłem ja przed godziną. Kobieta śniła, że mnie chcieli zabić... słudzy moi! wierni moi! Czemuż to nie?

Mnie się śniło, że trzymałem świat na swojej dłoni — ot tak. I plułem na niego i podrzucałem go w górę, niby tacę jaką, tacę czerwoną, bo był od śliny mojej cały krwawy. Na tacy stał Aecjusz i wziąwszy się pod boki, śmiał się ze mnie, ach śmiał się wołając: „Atla głupi!“ Aż ten świat i Aecjusz, i co było na tacy, wszystko to mi spadło, niby skała na głowę i zmiazdżyło mnie, spłaszczyło samego tak, że stałem się jako taca owa duża, płaski!... i pluć na mnie zaczęli drudzy potem tak, że stałem się jako taca owa cały krwawy. Co ten sen znaczy? Co sen tej kobiety? i wróżby wczorajsze mojego wieszczbiarza?

(Po chwili z dziwnym śmiechem)

Ha, ha, ha!... Atlo, ty bać się zaczynasz,
Aecjusz miał ci prawo powiedzieć, żeś głupi,
Boś głupi! głupi! naprawdę głupi!
— Tobie bać się? Atli bać się?...
— A czemu nie?

— „Atlo, strzeż się“, mówił mi wczoraj mój wieszczbiarz. „Żmija jakaś wkoło szyi twojej się obwinie i ukłuje cię żądłem swojem w tej chwili, gdy się ty nachylisz ku niej ustami“.

„Na kościach psów ochłapy mięsne drżały... Szczur pysk otwierał kiedy go spalono... Atlo, strzeż się!“

(Po dłuższym przestanku)

Wyczytałem to w pergaminach i słyszałem od mądrych ludzi, że na świecie ciągle było jedno i jedno: burza i cisza naprzemiany... nic więcej. Burza, to znów cisza!... znów burza! znów cisza!...

Tfy! paskudztwo!... A tożby powinno coś być w pośrodku. Jakieś połączenie! Żeby człek nie zwarjował!...

Nic z tego niema... Jedno tamto tylko... Tfy...

No, to i może... po burzy, czem ja jestem — po tym świście bicza, którym ja świat smagam — ta Roma, którą smagam, ten świat, który smagam, doczekają się, że Atla król Hunnów się zwali?

(Śmiejąc się dziko)

He, he, he, i świnia, co się zwie Romą, znów ryj swój z pod krwi tej, com ją rozlał, podniesie? Ten szlam brudny, wodnisty, który ja zamiatam, znowu pod nogi ludzi podpłynie, obejmie ich do pasa, do szyi, pod gębę — i... i będzie znów cisza, jako była przedtem?

I moje zdrowe drzewo, o zdrowych gałęziach, które chciałem, zniszczywszy ten szlam, zaszczepić, padnie samo w te brudy... w tę Romy kulturę... i... i będzie znowu cisza, jak głosi pergamin.

— „Atlo, strzeż się!"...

A czegóż ja się strzedz mam, niech mi kto powie? ...Toć rzecz jasna, te sny wszystkie, te wróżby wieszczbiarza. Owa żmija przecie, co mnie ma ukąsić, toć nic innego, jak ta dziewka moja, ta Ildyka, ślicznotka, którą wraz sobie biorę! Oj, obwinież się ona wkoło szyi mojej!... obwinie jako żona!... i będzie mnie całować! Miłość ma żądło... tem żądłem chuć jest... zwyczajnie kobieta... to i widzisz, mój mądry!... Wieszczba twoja się spełni... rzetelnie spełni!... Tylko... czego ja strzedz się mam tego wszystkiego? I owszem, i owszem... niech mnie ona ukłuje! tem żądłem niech mnie najmocniej ukłuje! I owszem, owszem wcale ja nie od tego...

Znów kobiecie tej tam śniło się, tej wieszczce, że mnie słudzy moi, moi blizcy zabiją.

Rzecz dobra!... kto zabije? Czy czasem nie mój Ernak?... mój synek maleńki? mój konik drogi. A jak on mnie dziś ściskał, jak mnie całował, kiedym wrócił z drogi, a on mnie witał. (Z dziwną czułością) Mój Ernaczek!... mój szczurek!... moje pocieszenie!... (Po chwili) Więc... kto zabije, jeżeli nie on? Bo on, kiedy zły jest, a ja się z nim bawię, to mi grozi zawsze, że mnie uśmierci... I bije mnie — tak bije — po głowie bije! Ha, ha, ha, więc kobiety tej sen znów się ziści.

(Myśli długo — potem)

Tysiąc miast jeszcze stoi niezburzonych. Tysiąc zburzyłem. Lecz tysiąc stoi jeszcze.

Aecjusz jeszcze żyje...

Żyć nie powinien.

I Roma jeszcze zdrowa...

Zdechnąć powinna!...

Nie! ja nie umrę... mnie jeszcze nie pora... Jutro zaraz się zbiorę na nowe łowy. Krwią zaleję znowu cały ten chlewek, co od Słupów Herkulesa aż po morze Egejskie się ciągnie... Pokaż Atlo, jak ty umierasz!... Pokaż!

(Znowu po przestanku)

Ot... róg wezmę — zatrąbię — znak dając, żem wstał już. I kiedy lud mój granie to posłyszy, powtórzy je najpierw w tem mojem mieście. Pójdzie

ono potem od siedziby do siedziby, koleją przez ziemię, aż do brzegów morza, gdzie je już tylko same morskie foki i białe niedźwiedzie na lodach pojmą.

I Aecjusz je usłyszy i spyta: kto trąbi?

— „Atla — odpowiedzą mu tam w Rawennie — Król Hunnów wstał ze snu, na swoje wesele, więc taki znak dają, że on się zbudził".

(Bierze róg do ust, mówiąc) Graj! (Trąbi i odpowiada mu zaraz mnóstwo rogów z po za ogrodzenia placu. — Attyla wsłuchuje się chwilkę w tę muzykę, potem mówi znowu z widoczną dumą) A co? (Po chwili) I mnież to umierać?...

(Wbiegają tłumnie ze wszech stron z pochodniami w ręku dworzanie).

Włocławek. *Bogumił Aspis.*

KILKA SŁÓW

O BARANACH HISTORYCZNYCH I DZISIEJSZYCH.

Kiedy mi, małemu dziecku, opowiadano o królu Kraku, że miasto nasze uwolnił od strasznego smoka, pożerającego setki ówczesnych baranów, czułem się zobowiązanym do wielkiej wdzięczności dla tego pana głównie ze względu na baranów, do których już od wczesnego wieku miałem wielką sympatją i życzliwość.

Później jednak przekonałem się, że nie miałem znowu tak wielkiego powodu być wdzięcznym IMci Panu Krakowi, bo jakkolwiek dzięki jemu smok już nie pożerał moich ulubionych baranów, ale je za to pożerały inne smoki mieszkające w mieście, ubrane w surduty, kapelusze i, o zgrozo, w jedwabne suknie i mantyle.

Dla nich to setki baranów padały w szlachtuzie pod rzeźnickim nożem. Różnica była tylko ta, że gdy dawniejszy smok miał siedem czy dziewięć głów (bo tego jeszcze nowsze badania historyczne nie skonstatowały dokładnie), to dzisiejszy smok ma tysiące głów, a co gorsza tysiące żołądków, w których, jak w grobowcach, spoczywają ciała poćwiertowane moich ulubionych niewiniątek.

Gdym podrósł trochę i dojrzał na umyśle, dowiedziałem się ze zgorszeniem, że oprócz owych czworonożnych ulubieńców moich, istnieją także barany dwunożne, stworzone na obraz i podobieństwo boskie, a które także mają swoich amatorów, co je strzygą i zarzynają dla własnej korzyści.

I dla tych baranów uczułem w sercu wielką litość, jak wogóle mam ją do wszystkich istot słabszych, uciemiężonych i wyzyskiwanych. A czyż jest stworzenie bardziej wyzyskiwane od barana? Począwszy od owego biblijnego barana, pradziadka wszystkich późniejszych baranów, którego anioł przedstawił Abrahamowi do zarznięcia w miejsce jego syna, Izaaka. Bardzo to ładnie było ze strony anioła, że nie pozwolił dla jakiegoś widzimisię zabijać, tak *mir nichts dir nichts* Izaaka, skoro ten był całkiem niewinny. Ale, pytam się, co zawinił ten poczciwy baran, że go na śmierć skazano.

Od tego czasu tak weszło w modę poświęcanie baranów za inne stworzenia, że nawet taki świątobliwy patryarcha jeden, drugi, jak przeskrobał co Panu

Bogu, to dla przebłagania Go, zamiast siebie ukarać: uciąć sobie kawał nosa, ucha albo bodaj końca palca, lub zrobić coś podobnego, — brał sobie barana i dawaj, rznąć go Panu na ofiarę za swoje winy.

Za przykładem patryarchów panowie królowie Judy i Izraela, także, jak się posprzeczali ze sobą, zamiast się wyzwać na rękę, ubierali w szyszaki i pancerze trzody dwunożnych baranów swoich i pędzili je na siebie, żeby się wzajem zarzynali.

No a u nas? Iluż to baranów na sejmikach i elekcjach na skinienie tego lub owego smoka, brało się do szabel i kaleczyło sobie baranie głowy. I teraz gdzie spojrzeć, czy na polityczne stronnictwa, czy na literackie obozy, artystyczne upodobania, wszędzie spotykamy trzody baranów, które pędzą na oślep za swojemi przewódcami i gotowe się rzucić naprzód i tratować, bo taka już natura barana, że tchórz w pojedynkę, w kompanji gotów pędzić nawet w ogień. Widziałem raz takie stado baranów pędzące w płomienie. Chwyciłem najbliższego za kudły i przytrzymałem, aby choć jego jednego ocalić. Ale kopnął mnie w piersi kopytami tak mocno, że się przekopystrzyłem na ziemię, a mój baran, jak się nie wyrwie, jak nie poleci — prosto w ogień. — Od tego czasu, miły Boże, iluż-to dwunożnych baranów kopało mnie, gdy im chciałem zrobić dobrze! To mnie jednak nie wyleczyło ze słabości do tych poczciwych stworzeń i dziś jeszcze, gdzie mogę, chwytam je za kudły, za ogon, gdzie się da, i odciągam od ognia i smoków.

A że w pismach Twoich, zacna Pani, wyczytałem także dużo współczucia dla biednych baranów i chęci ratowania ich, więc pozwól, że w dwudziestopiątą rocznicę Twojej zacnej i skutecznej działalności przeciw różnym smokom społecznym, ośmielę się poświęcić Tobie tych kilka słów o moich baranach.

Kraków. *Michał Bałucki.*

Słowami Józefa Szujskiego, (Wydanie zbiorowe, Serja III, Tom I, str. 146) wypowiem myśl, której pracą życia całego usiłowała służyć autorka „Meira Ezofowicza“, „Nad Niemnem“ i t. d.

„Pierwszym artykułem wiary naszej jest powołanie wszystkich do pracy obywatelskiej, bezwzględna kompetentność każdego stanu, stronnictwa, wyznania. Siła narodu albowiem polega na przyjmowaniu i asymilowaniu, a nie na wyłączaniu i odrzucaniu. Chlubą narodu jest pozyskiwanie nowych obywateli“.

Warszawa. *Dr. Ignacy Baranowski.*

MYŚLI ODERWANE.

Każdy człowiek jest żywym kwitem, wydanym jego matce na przebyte przez nią cierpienia.

Z dziesięciu ludzi, śpieszących na głos wołającego: „ratunku!“ dziewięciu podąża tam przez ciekawość.

Jeden ze współczesnych poetów hiszpańskich powiedział: „*todos los justos por un bueno*“ (wszystkich sprawiedliwych za jednego dobrego). Miał on naturalnie na myśli fanatyków sprawiedliwości, a więc szaleńców, w których mniemaniu, nie sprawiedliwość istnieje dla ludzi, ale ludzie dla sprawiedliwości. Ponieważ zaś życie samo jest wielkiem okrucieństwem tak dla „sprawiedliwego“, jak i dla jego bliźnich, i ponieważ konsekwencje „sprawiedliwości“ są tylko przepełnieniem miary okrucieństw, więc prawdziwie *sprawiedliwym* może być tylko człowiek dobry i przebaczający, przebaczający, stosownie do swego charakteru, albo nietylko sobie, ale także innym, albo też nietylko innym, ale także sobie.

Poczucie sprawiedliwości może być właściwe tylko człowiekowi, na wskróś demokratycznie usposobionemu.

Prawdziwe wolnomyślicielstwo, prawdziwa demokracja, prawdziwy altruizm — możliwe są tylko we wzajemnem połączeniu.

Dążność do zachowania właściwości plemiennych i wstręt do tępienia narodowości są polem, na którem mogą się zejść i podać sobie po bratersku ręce szlachetni konserwatyści ze szlachetnymi postępowcami: jedni pragną istotnie zachowywać, konserwować; drudzy szanują wolność jednostek i plemion.

„Wielcy ludzie“, z gatunku kanibalów, są dla narodów bardzo kosztowną zabawką. Dobrobyt, zdrowy rozsądek, moralność... wszystko to składa im się w ofierze.

Akcje z głupoty ludzkiej są najpewniejszemi. Stowarzyszenia, oparte na takich akcjach, będą istnieć wiecznie.

Gawiedź (t. j. ludzkość) najłatwiej daje się porywać i entuzjazmować gienjalnym egoistom, t. j. indywiduom, które tylko swoją korzyść mają na widoku. Motywa egoistyczne są dla niej odrazu zrozumiałe; dla jakich zaś tam idej abstrakcyjnych ma ona zmysły zamknięte. To nam objaśnia powodzenie Napoleonów i innych tego rodzaju opryszków, dla których miljony ludzi poświęcały życie i wszystkie dobra swoje.

Za największych w oczach tłumu uchodzą ci, co streszczają w sobie dzikość awanturniczą i dezorganizacyjną końca przeszłego i początku bieżącego stulecia, Bismark zaś — dzikość uorganizowaną współczesnej nam epoki.

Są dwa egoizmy: egoizm zadowolenia z siebie i egoizm smutku. Pierwszy jest wrodzony, drugi rozwija się wskutek cierpień i nieszczęść. Pierwszy robi ludzi szczęśliwymi, drugi nieszczęśliwymi.

Pochlebstwo jest potęgą.

Nasza obecna nerwowość jest krokiem do zdziczenia... Rozwój umysłowości daje tylko wtedy rękojmię postępu w uspołecznieniu, kiedy towarzyszy mu uspokojenie temperamentu i wzmocnienie charakteru.

Najbardziej imponuje ludziom powodzenie. Miarą powodzenia mierzy ogół wartość człowieka.

Pewnik filozofji polskiej: Tańczę, więc jestem.

Najbezmyślniej bywają oceniane wyroby literackie: od wiersza lub stronicy. Perła, ziarno, kawałek złota lub kawałek kału są jednakowo opłacane, mają jednakową wartość, byle posiadały te same rozmiary.

Jeżeli, pod względem zdolności zainteresowywania żądnych coraz nowych wrażeń czytelników, Eliza Orzeszkowa ustępuje niektórym innym mniej lub więcej głośnym opowiadaczom, to za to pod względem głębokości myśli, pod względem obywatelskości, pod względem poważnego pojmowania zadań społecznych, stoi ona bez zaprzeczenia najwyżej z pomiędzy wszystkich powieściopisarzy polskich.

Gdyby taki n. p. Meir Ezofowicz był napisany w jednym z języków bardziej rozpowszechnionych, zostałby bez wątpienia zaliczony do pierwszorzędnych arcydzieł literatury wszechświatowej.

Dorpat. *Jan Baudouin de Courtenay.*

W czasach ostatnich urządzano niejednokrotnie pochody historycznych grup i postaci dla uczczenia chwil ważnych; wskrzeszały one widomie pamiętną przeszłość. Gdybyśmy mogli w dniu dzisiejszym utworzyć pochód podobny, jakażby wspaniała procesja rozpostarła się przed naszemi oczami! Powstałe z myśli twórczej przepływały-by w orszaku świetnym antyczne postaci cezarów, patrycjuszów i wodzów, iskrzyłyby się zbroje legionów, nadchodziłby tłumny plebs, i zamyślone dzieci rzymskiej Judei, i harde załogi wolnych synów morza — piratów, i niewolnicze szeregi atletów...

A dalej — zalegliby szeroko gościniec posłańcy od światów naszych: Z „Nad Niemna“ i z „Nizin“, z „Onwilu“ i „Ongrodu“, z szlacheckich dworów i chaty „Chama“, z dzielnic żydowskich i magnackich pałaców, ze stron sercu blizkich i z dalekiej obczyzny.

Płynęłyby i płynęły te wielkie fale ludzkie w szeregu zwartym, a tak szerokim i długim, że ledwieby go oko olśnione dosięgło.

Dorpat. *Janina Baudouin de Courtenay.*

„Wielcy ludzie“, mówi przypowieść indyjska, „są jak wielkie drzewa: dają cień innym, a same stoją w słonecznej spiekocie; dla innych rodzą owoce, ale nie dla siebie“. I my mamy potężne drzewo takie w Nadniemeńskiej krainie; cześć mu więc, wdzięczność i chwała!

Dorpat. *Romualda Baudouin de Courtenay.*

Z PAMIĘTNIKÓW NAUCZYCIELA.

...Było to dom arystokratyczny, po mieczu i po kądzieli, a zwłaszcza po kądzieli chwalebnie bardzo zapisany w naszych dziejach. Było w tym domu dwóch chłopców, od dziesięciu do dwunastu lat mniej więcej; mieli guwernantkę, Angielkę i guwernera starego Francuza, umieli zatem mówić po angielsku i po francusku, każde z nauczycieli wlało w nich mowę swego narodu, tylko, na nieszczęście, ani ojciec, ani matka, ani nikt inny nie wlał w nich mowy ojczystej. Żaden z tych chłopców nie umiał po polsku, albo raczej, żeby w niczem prawdzie nie uchybić, trzeba powiedzieć, że ci potomkowie dawnych hetmanów i kanclerzy mówili trochę po polsku, ale z wielką trudnością i z takim akcentem, jakby mówił jakiś cudzoziemiec, który dla osobliwości kilka wyrazów naszego języka wymawiać się nauczył.

Otóż ja miałem tych małych Polaków oswoić trochę z językiem polskim, przyzwyczaić ich do dźwięków, które dotychczas prawie obce były dla ich ucha. Nie myślano jednak z tym językiem polskim wielkich robić ceremonji, ani zaprzęgać chłopców do porządnej nauki. Broń Boże! O dwunastej w południe kończyli oni swoje lekcje z nauczycielami, którzy ich w rozmaitych przedmiotach i rozmaitych językach europejskich kształcili, i o tym czasie aż do śniadania mieli godzinę wolną, przeznaczoną na wypoczynek i użycie świeżego powietrza w domowym ogrodzie. Na tę godzinę wolną miałem ja przychodzić i rozmawiać z nimi po polsku. Jak widzicie, nie wiele się tem zaszczytu mowie ojczystej robiło i malcy nie wielkiego też mogli nabrać wyobrażenia o przedmiocie naukowym, który tak na szary koniec się spychało.

Obaj chłopcy byli ładni, jak amorki, i tem chwycili mię odrazu za serce. Ale przy tem byli żywi, jak iskry, i swawolni jak młode źrebki. Kiedy w południe wybiegli na ogród, ani sposób było utrzymać ich choć chwilę na miejscu. Naturalnie, wysiedzieli się już i pewnie wynudzili przez parę godzin, więc teraz chcieli sobie powetować i pobujać swobodnie na wolnem powietrzu. W każdym kącie było ich pełno, tylko nie przy mnie, biegali na wszystkie strony, gonili się, bawili z psem, przez sztachety zaczepiali ogrodniczków od sąsiadującego

z ich domem ogrodnika, odzywali się do guwernera lub do guwernantki, gdy się które z nich na chwilę pokazało, tylko mnie unikali, jak zapowietrzonego. Byłem przeszkodą w ich zabawie i mówiłem do nich językiem, który im sprawiał trudność i którego pewnie z tej tylko przyczyny nie lubili. To wystarczało, ażeby się trzymali odemnie jak najdalej. Rozumiałem to i po części usprawiedliwiałem ich przed sobą w duszy, ale mimo to sytuacja moja była arcy-nieprzyjemna. Byłem tam po to, ażeby z nimi rozmawiać, a nie mogłem tego robić, bo mi prawie zawsze brakowało interlokutorów. Nawoływania nie pomagały, bo albo ich nie słyszeli, albo nie chcieli słyszeć, albo, w najlepszym przypadku, odpowiedziawszy mi jedno lub dwa słowa, znikali w drugiej stronie ogrodu. Męczyłem się bezczynnością i niemożnością wypełnienia swego obowiązku, jak każdy człowiek, który widzi, że wszelkie jego usiłowania na nic się nie zdadzą. Guwernantka i guwerner przychodzili mi czasem w pomoc, upominając chłopców, by ze mną rozmawiali, ale i to nic nie pomagało, a ten stary Francuz, który często siadywał zdaleka pod drzewem i w milczeniu coś rozpamiętywał, musiał sobie nieraz pomyśleć:

— Ci Polacy to bardzo lichy naród; ich cywilizacja, język i literatura muszą być djabła warte, jeśli ci, których stać na to, chcąc dzieci swe wykształcić na ludzi, robią je najprzód cudzoziemcami...

Kraków. *Adam Bełcikowski.*

NAJWYŻSZE TONY LIRYKI STAROPOLSKIEJ.

Czy to prawda, co niektórzy arystarchowie głoszą, że „poezji oryginalnej przed Mickiewiczem w Polsce nie było,“ że on pierwszy czarodziejskiem dłoni swej dotknięciem z lutni narodowej potężne a niesłyszane dotąd wydobył dźwięki? Tak... edycja wileńska pism Adamowych (1822—1823) jest w dziejach poezji, a szczególniej liryki naszej, nader ważną epoką. Słusznie widzimy w niej poranek owego dnia, który bogactwem barw a harmonją tonów kołysał ducha przez pół wieku blizko i podartą siermięgę nędzarza blaskami purpury królewskiej złocił. Cała spuścizna po Zygmuntowskiej, Jezuickiej i Stanisławowskiej dobie nie wytrzyma porównania ze żniwem dwunastolecia, które trwa od r. 1822 do 1834. Pomniki tej chwili, mnogie a okazałe, wznoszą się wysoko, niby świątyń szczyty, ponad skromne budowle długich łanów przeszłości. Nie będziemy się tu zastanawiali nad czynnikami, które w zaraniu XIX wieku uskrzydliły ducha poetów. Powiemy tylko, że tak zwany romantyzm, jaskrawa przeciwstawnia encyklopedyzmu, był u nas nietylko prawowitym jego następcą w porządku dziejowo-psychicznych zjawisk, ale i bezpośrednim wykwitem silnego uczucia, zrodzonego na łożu katastrof. Ziemia, krwią uznojona, bujne wydała plony... Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że liryka nasza od roku 1822 jest już nawskróś oryginalna, a skromne trzech stuleci ubiegłych wiano żadnych pereł drogocennych w sobie nie kryje. Związek między dniem wczorajszym a dzisiejszym jest zawsze ścisły, potęga umysłów ludzkich rozmaita, a jak z dodatnich warunków nie korzystają mierności, tak nad ujemnemi odnoszą przewagę natury wyjątkowo uzdolnione.

Gdyby nam szło wogóle o potężne wyrazy głębokiego uczucia, znaleźlibyśmy ich niemało w kronikach, dyjarjuszach sejmowych, płodach publicystyki, w różnych, jednem słowem, odgłosach piśmiennych dalekiej przeszłości; ale mając na względzie zarówno treść jak i formę, szukać będziemy najwyższych tonów liryki wyłącznie pośród dzieł, ujętych w pewne karby artystyczne. Przejrzyjmy kolejno zwierciadełka, odbijające w sobie najsilniej sferę uczuć erotycznych, rodzinnych, religijnych, socjalnych i patryjotycznych.

Jako śpiewak miłości, ze szczególną mocą przemawia do nas językiem starej Romy Jan Kochanowski w elegji trzeciej księgi pierwszej. Uwikłany w sieci zdradliwej syreny, żywemi kolorami maluje stan swego ducha:

„Miłości, za cóż mię udręczasz tylu klęski?
I tu i owdzie pchniesz, tak silnie, tak zdradziecko!
. . . . . .
Pod twardą dolą twą zniszczało życie moje,
Bez folgi jarzmo rznie i ciśnie kark żelazem...
Niechże zapomnę mąk, niech serce uspokoję!
Ja nienawidzę jej! — dlaczegóż kocham razem?“

Był czas, kiedy młody pieśniarz doznawał wzajemności. Chwila ta minęła. Płocha córa Francji na kogo innego czułe rzuciła spjrzenie, a poetę trawi ogień niezaspokojonej żądzy. „Stoi za progiem drzwi i próżno w nie kołace“... To gniew, to miłość miota nim naprzemiany. Ucieka z miasta na wieś, kryje się w gęstwinę leśną, napróżno:

„Do miasta wrócę znów, — żegnaj zielony lesie!
Przykro mi w gajach żyć — precz wioski, — precz mi zdroje!
I miasto nudzi mię — i życie — umrzeć chce się —
Zdradny miłości bóg zamroczył chwile moje“...[1])

Współczesny Kochanowskiemu, o dwadzieścia kilka lat młodszy, a wcześniej zmarły, Mikołaj Sęp Szarzyński, przekazał potomności jeden tylko jęk zranionego serca — głęboki, choć tajemniczy i eklezjastycznym okrzykiem stłumiony:

„I niemiłować ciężko i miłować
Nędzna pociecha, gdy żądzą zwiedzone
Myśli cukrują nazbyt rzeczy one,
Które i mienić i muszą się psować“.

Żywsze odgłosy namiętnych wzruszeń (bez przymieszki uczuć religijnych) dobywają się od czasu do czasu z piersi Szymona Zimorowicza (wiek XVII), któremu „wściekła Lachezys“ w wiośnie żywota „kosą podcięła nogi:“

„Rozyna mi w taneczku pomarańczę dała,
A potym i wianeczek dać przyobiecała;
Ale gdym jej pomagał wesołego tańca,
W ogień się obróciła ona pomarańcza“...
. . . . . .
Teraz wiem, co jest miłość: nie Wenus łaskawa
Spłodziła ją, lecz lwica na pustyni krwawa“...

Szczęśliwe chwile w miłości — miękkim idylicznym językiem opiewa Szymon Szymonowicz (1558—1629) w swoich *Kołaczach* i *Zalotnikach*. Andrzej Morsztyn (w. XVII) jest najpłodniejszym i najstrojniejszym z pośród erotyków staropolskich; ale nie znajdujemy u niego ani jednej strofy, któraby nas wzruszyła. Braku istotnej siły uczucia i siły wyrazu, żaden dowcip, żadne nie zastąpi pozowanie. Wiek XVIII nie dostarczył Polsce erotyka, nietylko Kochanowskiemu i Zimorowiczowi, ale nawet Morsztynowi równego; Karpiński i Kniaźnin jużto ckliwe, jużto wątłe z lutni swej wydobywają tony.

---

[1]) Przekład Wł. Syrokomli.

Uczucie rodzicielskie natchnionego znalazło wieszcza w osobie Jana z Czarnolasu. „Treny na śmierć Urszulki“ opromieniają swemi blaskami cały widnokrąg poezji staropolskiej. Na traktat nie mamy tu miejsca. Tyle ich już zresztą napisano! Powiemy tylko, że gdyby żale Kochanowskiego dla pamięci ludzkiej zginąć miały bezpowrotnie, a jakie dwadzieścia wierszy ze skarbca pieśni-łez wolno było uratować, to wybralibyśmy, jako najwymowniejszy „tren VII“ („Nieszczęsne ochędostwo, żałosne ubiory“...) i zakończenie X-go (od słów: „Gdzieśkolwiek jest...“).

Zpomiędzy licznej drużyny lenników Jana Kochanowskiego Wacław z Potoka (w. XVII) jako twórca *Perjodów* (pieśni żałobnych na śmierć poległego pod Międzybożem w roku 1673, syna, Stefana) jest najsamodzielniejszy. Treny autora *Wojny Chocimskiej*, przeciążone balastem erudycji szkolnej, monotonne, suche, pełne niesmacznych metafor, wadliwemi wreszcie rymami grzeszące, zdumiewają niekiedy bezdenną głębią uczucia rozpaczy i wielką potęgą słowa:

„Ach, Stefanie, mój synu, łzami i okupem
Niewrócony! — Tyści to domu mego słupem!
Niechajże razem z tobą, tak straszną ruiną,
Żywot, zdrowie i wszystkie me pociechy giną.
Ślepym jest: śmierć mi twoja wyłupiła oczy;
Trudno patrzeć, komu śmierć źrenice wytoczy;
Nic nie widzę przed sobą — tylko grób i mary;
Próżno mi przyjaciele kładą okulary
Świeckich pociech“...

. . . . . .

„Bo żywot i bez *niego* mej fortuny koła —
Próżność nad próżnościami — próżność, — próżność zgoła“.

Na bladej kanwie echa eklezjastycznego snuje poeta, nietylko właściwe trenodje, ale i chłodne refleksje filozoficzno-religijne, daleko wyraźniej, niż u Kochanowskiego cechą wyznaniową napiętnowane.

Czysta, monoteistyczna ekstaza, niezależna od pobudek egoistycznych, rodzinnych, narodowościowych, znalazła potężny wyraz w jednym hymnie pięknym: „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?“ Wzniosłe pojęcie Boga-ojca, którego żaden „kościół nie ogarnie“, obok dziewiczej prostoty duchowej a pokory, rodzącej uczucie wdzięczności za otrzymane od niego „łaski“, odbija się tu jasno i wspaniale w przejrzystych kryształach języka i pełnych akordach wiersza trzynastozgłoskowego.

Szczera stanów uciśnionych obrona, właściwa wielu satyrom i różnego nastroju pracom publicystycznym, uwydatnia się ze szczególną siłą: u Modrzewskiego, Skargi, Opalińskiego, Leszczyńskiego, Staszyca, Niemcewicza i Kołłątaja. W sferze właściwej liryki znajdujemy uroczy jej wyraz u Szymonowicza. Kwieciem, który tu wypada uszczknąć do wieńca, jest słynny przyśpiewek Pietruchy:

„Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego“.

Zmienia on kształt swój pięciokrotnie, a błyszczy niby zwierciadło kryniczne zdrowej logiki prostego człowieka, — brzmi śpiewem uwięzionej ptaszyny, mknącej ze skargą ku słońcu.

Innym tonem, odmiennym stylem, ale podobną skalą uczuć społecznych

i tym samym nawet rytmem przemawia później Karpiński („z okoliczności wyzwolenia poddanych").

„W nędznej chacie zrodzeni, nędzę spadkiem wzięli;
Chlebem łzami skropionym zła dola je dzieli, —
Chlebem, który tysiącznym okupują trudem:
Pracują równo z bydłem, a zowią się — ludem".

Zarówno przyśpiew Symonidesowy, jak podana dopiero co strofa, graniczą pod względem osnowy i celu z satyrą; ale nastrój i efekt stawiają je w rzędzie płodów czystej liryki.

Pozostaje nam jeszcze podkreślić najwyższe w literaturze staropolskiej tony pieśni narodowościowej. Niwa ta przeróżnem zbożem, kwieciem i chwastem bujnie zarasta. I nic dziwnego: atmosfera Rzeczypospolitej szlacheckogminnowładnej usposobić musiała odpowiednio całą rzeszę piśmienniczą; stąd pierwiastek państwowy na wskróś poezję naszą przenika, tak dalece, że zaledwo można zacytować pieśniarza, któryby się w politykę nie bawił. Charakterystyczną cechą tej przędzy jest nadmierne wysławianie dalekiej przeszłości i satyra chwili obecnej, przeplatana odami ku uczczeniu świeżych tryumfów bojowych. Najpiękniejsze kwiaty na łanach liryki patryjotycznej wyrosły przy schyłku XVII wieku i w ciągu pierwszych lat po trzecim rozbiorze państwa. Mamy tu głównie na myśli „Psalmodję" (1693) i „Barda polskiego" (1795). Autorowie — Wespazjan Kochowski i ks. Adam Jerzy Czartoryski — oddaleni od siebie na przestrzeń całego stulecia, różni wychowaniem, sferą towarzyską, potęgą umysłu i charakteru, wiedzą i przekonaniami filozoficznemi, wiernie tłómaczą ducha swego czasu i równie wysoko naród swój w pieśni podnoszą. „Psalmodja" przedstawia nieujętą w karby wiersza, według wzoru starohebrajskiego skreśloną, wiązankę trzydziestu sześciu ustępów. Autor mówi w niej o Bogu, o przeznaczeniu człowieka, o swym narodzie i o sobie samym. Jest to pod względem myślicielskim utwór metafizyczno-moralno-historyczny. Jako poemat (schodzący nieraz do poziomu prozy) stanowi połączenie pierwiastku epicznego z lirycznym i dydaktycznym. W związku tym przeważa liryzm. Znaczna ilość psalmów służy za wyraz uczuciu patryjotycznemu w ścisłej harmonji z ekstazą religijną. Noszą one na sobie wymowne piętno mesjanizmu, poglądu, według którego naród-wybraniec, zależny od woli bożej, kroczy po szlakach mistycznych do wytkniętego przez Opatrzność celu. Tu i owdzie napotykamy przebłyski szczerego natchnienia. Gdy w szóstym dziesiątku XVII wieku straszna a pełna powikłań burza srożyła się nad Rzecząpospolitą, autor pisał:

„Zeszli się królowie i głowy koronowane w radę przeciwko Polsce i przeciwko wolności... Ale ten, który państwom prawa stanowi, naśmieje się z nich i uczyni, że w szyderstwie pozostaną, którzy nad jedynaczką naszą przewodzić usiłują. Owom ja Jehowa jest, który na wolę puszczam i w niewolę podaję... Jam jest zwierzchnością nad dziedzictwem mojem, a jako serc ludzkich prostotę tak i pól sarmackich równiny zdawna ukochałem".

W dobie najazdu Osmanów, zakończonego wzięciem Kamieńca i traktatem buczackim, wyciąga dłoń błagalną ku sferom nadziemskim i woła o pomoc głosem, który chce przeniknąć do tronu Jehowy, wzruszyć go i do działania pobudzić:

„Dokądże, o Boże, naród ten urągać będzie?... Czemuż, Panie,

zatrzymujesz rękę od posiłku wiernych? Czemu nie wyciągniesz prawice Twojej na ratunek w Tobie ufających? Powstań, o Boże, rozsądź sprawę naszę; wspomnij na hańbę ołtarzów Twoich!...“

Poeta, wraz z kadzidłem chwały, śle ku niebu jęk zwątpienia i wyrzutu... Wawrzyny dopiero wiedeńskie rozradowały i uczuciem dumy napełniły serce wieszczka:

„Wypadajcie, młodsi i kto broń w ręku uniesie, na zdjęte strachem nieprzyjacioły, a wy, starcy, z niebitną gawiedzią, tryumfalny hymn zaczynajcie. I uczyńcie okrzyk wesoły, jako po wygranej bitwie i niech publicznej radości ogniami Stefanowa rozjaśnieje wieża!...“

Czytając to, wyobrażamy sobie, że Kochowski (który zresztą, jako twórca wiersza p. t. „Bando na Arjany“, nie zasłużył na wdzięczne u potomności wspomnienie), olbrzymim krokiem przeskakuje przestrzeń, dzielącą go od poetów epoki Mickiewiczowskiej, podaje im dłoń braterską i słowem, niby chlebem się dzieli.

Rzućmy wreszcie okiem na „Barda polskiego“, najpiękniejszą z liryk w literaturze staropolskiej. Autorem jego jest ks. Adam Jerzy Czartoryski (syn generała ziem podolskich), mąż, którego życie streszcza w sobie niemal całą historję wstrząśnień politycznych i zarazem dolę odrodzenia umysłowo-moralnego naszej społeczności w ostatnich latach XVIII i pierwszych XIX stulecia. „Bard Polski“ zostaje z natchnieniami drużyny filareckiej w daleko bliższej niż „Psalmodja“ łączności [1]). Autor żywemi barwami kreśli obraz skonu Rzeczypospolitej, boleje nad niedolą swego społeczeństwa, pyta: *dlaczego, za co cierpimy,* i w głębi umysłu wzburzonego żadnej nie znajduje odpowiedzi; bo teraźniejszość grobowym przytłacza pierś kamieniem, a dalsza przeszłość przed oczyma ducha w obłoku jaśnieje świetlanym.

„Za cóż to, rzekł, — za jakież ojców ciężkie zbrodnie
Gniew Jehowy dosięga nas, nieszczęsne syny?
Porwawszy w dłoń bezbożną zniszczenia pochodnię,
Czyśmy kiedy szli gnębić bezbronne krainy?
Śmierć bladą i głód, i grzech, i rozpacz, i łkanie,
Okiść smoły piekielnej, potrząsając na nie?
Czy niewinny w kajdanach, czy ufny zdradzony?
Czy przeciw nam cierpiących powstały miljony
I rzekły: Oni z bliźnich śmieją się męczarni —
Podbijacze bez serca, tyrani bezkarni
Zabójce szczęścia ludów — prawa ich zdeptali —
Niech się piorun kar boskich nad Polską zapali!?
Lecz nie, — to nasza ziemia; tu naród nasz stary
Żył od wieków; tu ojców groby i obszary!
Cudzego nigdy chciwi, swojego zbyt hojni,
Żyć, przestając na swoim, chcieliśmy spokojni“

[1]) Utwór ten, składający się z sześciu ustępów, raz tylko wydrukowany w „Skarbcu historji polskiej“ (1840, t. I, 465—489), należy dziś jeszcze do najmniej znanych płodów literatury naszej. „Złota przędza“ pomieściła z „Barda polskiego“ dwa niecałe epizody. Wyjątki i streszczenia są w T. IV Dzieła Dębickiego *Puławy*, str. 206—219.

Od czasu do czasu w sercu „Barda“ i jego towarzysza „Młodzieńca“, którzy odbywają wędrówkę po ziemi krwawej a nagiej, budzi się słaba iskierka nadziei; tylko w rozdziale piątym („Starzec“) rozpacz straszna, śród potopu gwałtownych klątw i żalów, huczy orkanem bezwzględnej zagłady. Ostatnie słowo poematu zdradza zwrot ku mistycznym kresom, ku „wyższemu życiu, co górnie na świat spoziera, do nieba tęskni, na niebie się wspiera“... Uczucie głębokie o kolorycie mesjanicznym, styl barwny i fantazja wcale nie uboga, na gruncie realnym przędzę swą snująca, oto charakterystyczne cechy „Barda polskiego“.

Regiestr najwyższych tonów liryki staropolskiej możnaby jeszcze kilku wybitnemi zjawiskami uzupełnić; ale nie pozwala na to szczupłość miejsca. Najwcześniej (jak z powyższego przeglądu widzimy) zdobyło się na potężny wyraz w poezji uczucie rodzicielskie — wiek XIX dorzucił do tej skarbnicy jedną tylko, droższą od poprzednich perłę, „Ojca zadżumionych“. Znacznie później zamanifestował swą siłę zapał patryjotyczny w związku z religijnym. Erotyzm, pilnując głównie Teokrytowych i Tybullowych torów, błądzi w zaklętem kole wrażenia zmysłowego lub cichym świergotem skowronkowi przedrzeźnia. Wyzwolą go dopiero z tych szranków „promieniści“. Czysta ekstaza religijna (trudna do uprawy i zaniedbana niemal przez potomnych) nie stwarza nic lepszego nad dziękczynny hymn Jana z Czarnolasu, a współczucie dla „roboczego brata“ (jak nazywa włościanina ks. Adam Jerzy Czartoryski) w zarodkowych dopiero i drobnych pojawia się kryształkach. Bądź co bądź, lutniści na gruncie starej Rzeczypospolitej zrodzeni i wychowani, przekazali wyzutym z dziedzictwa materjalnego potomkom dość okazałą natchnień lirycznych spuściznę, a praca ich zostaje w ścisłym związku z pracą następców.

Warszawa. *Antoni Gustaw Bem.*

ILUMINATORKI RĘKOPISOW.

PRZYCZYNEK DO HISTORJI PRACY KOBIET.

Wiadomo powszechnie, że do czasu wynalezienia druku, przepisywaniem dzieł historycznych i naukowych zajmowali się przeważnie księża. Mozolnej tej pracy podjął się zwłaszcza zakon Benedyktynów, założony w pierwszej połowie VI-go wieku, krzewiąc w taki sposób wiedzę za pośrednictwem licznych swych klasztorów. Już reguła rzeczonego zakonu wkładała na alumnów obowiązek skromnego przepisywania i przyozdabiania dzieł, jako „pracy miłej Bogu". Wywiązywali się Benedyktyni z owego obowiązku nadzwyczaj gorliwie, a mnóstwo rękopisów, przechowanych do dziś dnia w cenniejszych bibljotekach publicznych, świadczy o niezmordowanej ich pilności i rzeczywistym artyzmie.

Mało przecież komu znanem jest, że zmudnemu zawodowi przygotowywania rękopisów, w odległych nawet wiekach, z równem zamiłowaniem i starannością poświęcały się także i kobiety. Ślady ich działalności w tym kierunku napotykamy już u Greków i Rzymian. Strabon, Polux, Diogenes Laertius i inni pisarze wspominają, że niewiasty podejmowały się często honorowej tej czynności. Cajus Plinius starszy, który zginął podczas wybuchu Wezuwiusza w Pompei (79 roku po N. Chr.) nadmienia, że słynne dzieło Varrona „Alebdomades", zawierające życiorysy sławnych ludzi, ozdobione było około 700 portretami, malowanemi po większej części przez niewiastę, nazwiskiem Lalia, z miasta Cisie, w Azji Mniejszej, wykształconą w tym zawodzie w Grecji i Rzymie.

Nie ulega wątpliwości, że w V i VI stuleciach wiele kobiet uprawiało sztukę pięknego pisania i przyozdabiania ksiąg miniaturami Za dowód tego może np. służyć, założony przez św. Cezarjusza (zm. 542 r.) w mieście Arles, klasztor dla zakonnic, w którym, pod przewodnictwem siostry założyciela jako ksieni, istniała formalna szkoła pisania i malowania. Przebywające w tym klasztorze zakonnice obowiązane były codziennie po parę godzin zajmować się przysposabianiem dzieł liturgicznych. Wzmiankowana szkoła nabyła wkrótce wielkiego rozgłosu.

W XIII wieku z klasztoru zakonnic w mieście Alascyk wyszło również dużo rękopisów treści religijnej.

Nawet niektóre klasztory męskie zaopatrywane były w tego rodzaju prace, ręką zakonnic przygotowane. Z owego jednak i z dalszych okresów, aż do

XII wieku, zbyt mało można obecnie napotkać rękopisów kobiecych, zaledwie pojedyńcze z nich kartki pargaminowe posiadają bogatsze bibljoteki. Natomiast, z późniejszej epoki, okazy dzieł pisanych i iluminowanych przez zakonnice, w znaczniejszej liczbie przechowane są dotychczas w wielu bibljotekach i skarbcach kościelnych. Z pomiędzy nich, zasługuje na uwagę, znajdujący się w księgozbiorze kościoła św. Bartłomieja w Frankfurcie nad Menem, prześliczny rękopis pergaminowy z r. 1154, zawierający homelie, cały pisany i ozdobiony miniaturami przez zakonnicę, Gudę, z klasztoru Schwartzenthaum, o czem przekonywa napis zamieszczony obok jej wizerunku w literze O „Guda pecatrix mulier scripsit et pinxit hunc librum“ Prawie jednocześnie, wsławiła się jako znakomita artystka-iluminatorka inna zakonnica, mianowicie Herrada z Landsberga, która od 1167—1195 r. była ksienią klasztoru Hohenburg w Alzacji. Napisała ona i ozdobiła licznemi miniaturami wielką encyklopedję p. t. „Hortus deliciorum“. Herrada, poczytywaną była za jedną z najuczeńszych niewiast i najdzielniejszych artystek owego czasu. Powyższe dzieło jej służyło w ciągu kilku wieków za główne źródło, w celu obeznania się z obyczajami, życiem domowem i uzbrojeniami, istniejącemi w XII wieku. „Hortus deliciorum“ zdobił słynną bibljotekę strasburską, lecz w 1870 r. podczas bombardowania Strasburga przez Niemców, zniszczony został wraz z całym prawie księgozbiorem tamtejszym.

Do nader pilnych i wydoskonalonych w sztuce ozdobnego pisania i malowania zaliczyć także należy żyjącą około 1215 r., zakonnicę klasztoru w Mallerstorf, Lenkardję. Znała ona dokładnie języki: niemiecki, grecki i łaciński i napisała ozdobnie wiele dzieł w tych językach dla swego klasztoru.

Sławę wzorowej kaligrafki i miniaturzystki zjednała sobie w XIV wieku Margarita Scheiffarts, zakonnica klasztoru w Schillinx. Napisała ona dla swego klasztoru wielki mszał, odznaczający się wytwornem pismem i prawdziwie artystyczną malaturą. Że dzieło to było rzeczywiście jej utworem, przekonywa wzmianka skreślona własną jej ręką na ostatniej karcie: „omnis pictura ac floratura istius libri depicta ac florata est per Margaretam Scheiffarts de Meirrode quondam filia in Borschen, regularissa in Schillinx“. Piękny ów rękopis przechowuje muzeum starożytności w Peszcie.

W pierwszej połowie XVI stulecia zasłynęły jako iluminatorki dwie szczególniej zakonnice: Katarzyna z Norymbergi, która w r. 1545 ofiarowała swemu rodzinnemu miastu antyfonał w ośmiu tomach in folio, wielu wykwintnemi miniaturami ozdobiony, owoc własnoręcznej w ciągu lat dwunastu z wielkiem poświęceniem dokonanej pracy; drugą zaś iluminatorką z tej epoki była siostra Agnieszka, ksieni klasztoru Quendlinburskiego, po której pozostało kilka rękopisów, tchnących prawdziwym artyzmem.

Z chwilą wynalezienia druku, w wieku XV, sztuka ozdobnego pisania nie zupełnie jeszcze upadła; zmieniła ona tylko od tej pory swój kierunek, ograniczając się przeważnie do sporządzania modlitewników, mszałów i kalendarzy, na użytek monarchów i arystokracji, którzy wtedy zamiłowania do pięknych rękopisów bynajmniej nie porzucili. Zdaje się, że nawet w XVI wieku prace tego rodzaju, zpod pióra i pędzla artystów wychodzące, pożądany stanowiły nabytek, król bowiem francuski Henryk II założył 1570 r. w Paryżu oddzielną akademję, mającą kształcić wyłącznie w sztuce ozdobnego pisania i malowania. Z czasem jednak, wobec szybszego i tańszego wytwarzania dzieł drukowanych, udoskonaleń na tem polu i połączenia sztuki typograficznej z rysunkową i malarską, rękopisy, jako przygotowane zbyt powolnie i kosztownie, wytrzymać współzawodnictwa z drukiem nie mogły i coraz rzadziej się pojawiały. W wiekach

XVII i XVIII, ozdobne pisanie stosowano już prawie wyłącznie do różnych dyplomów, przywilejów i t. p., oraz w rzadkich wypadkach, do modlitewników. Rękopisy tych ostatnich, noszące po większej części cechę pamiątek rodzinnych, lub w dowód szczególnej czci ofiarowane, sporządzane bywają i w naszych czasach, nawet przez kobiety. O kilku właśnie znanych nam pracach tego rodzaju wypada wspomnieć w zakończeniu naszego szkicu.

Jedną z nich jest modlitewnik na pergaminie formatu in folio, pisany przez zmarłą niedawno generałową Natalję z Bispingów hr. Kicką, ofiarowany przez nią papieżowi Piusowi IX. Zawiera on właściwie kopię ogłoszonej przez tegoż papieża w 1858 r. bulli o Niepokalanem Poczęciu N. Marji Panny, z dodatkiem okolicznościowych modlitw. Karta dedykacyjna przedstawia ofiarodawczynię, klęczącą przed papieżem i wręczającą mu egzemplarz rzeczonego rękopisu. Na każdej karcie znajduje się wizerunek Matki Boskiej, przypominający słynne cudami, szczególniej na Litwie, obrazy tego rodzaju. Marginesy ozdobione są portretami osób i miejscowości historycznych; owe portrety odznaczają się wielką dokładnością, a jako kopiowane z autentycznych współczesnych malowideł, mają nadto, obok artystycznej, i archeologiczną jeszcze wartość. Stronnic we wskazanym rękopisie jest 33 wraz z dedykacją; oprawę artystyczną, z drzewa rzeźbionego, pokrywają autentyczne medale polskie. Odpisy powyższej bulli ofiarowały również papieżowi Piusowi IX następujące panie:

Hr. Marja z hr. Tyzenhausów Aleksandrowa Przezdziecka (zm. 3 Maja, 1890 r. w Warszawie) złożyła w darze tekst bulli, wypisany na tablicach pergaminowych, formatu małego, in folio. Na pierwszej stronnicy, zawierającej dedykację, przedstawioną jest ofiarodawczyni z dwoma synami, wręczająca egzemplarz swego dzieła Piusowi IX. Każdą stronicę tekstu ozdabia wizerunek Matki Boskiej, według wsławionych cudami obrazów, przeważnie w różnych miejscowościach Królestwa Polskiego znajdujących się. Marginesy pokryte są podobiznami osób historycznych, świętych i ważniejszemi wypadkami z ich życia, oraz arabeskami. Wszystkie rysunki, wykonane przez ofiarodawczynię własnoręcznie i według jej pomysłu, robotą miniaturową na różne kolory, stanowią wogóle całość artystyczną niezwykle piękną i mozolną. Oprawa, wykonana w Paryżu przez Fromont Meurice, podług szkicu hr. Przezdzieckiej, wyobraża srebrną tarczę Sobieskiego w karpią łuskę, a na każdej łusce krzyżyk maltański, złoty. Oprawa ta jest prawdziwem arcydziełem złotniczej i introligatorskiej roboty.

Idalja z Sobańskich hr. de Broël-Plater ofiarowała odpis bulli, również na pergaminie, formatu małego, in folio. Każdą stronicę ozdabia także, jak powyższe egzemplarze, wizerunek Matki Boskiej z obrazów słynących cudami, lecz wyłącznie na Inflantach polskich znajdujących się. Marginesy pokryte są kwiatami polskiej flory, ułożonemi z wielkim gustem i artystycznie wykonanemi. Wreszcie, od hr. Działyńskiej z hr. Zamojskich otrzymał Pius IX kopję bulli, wypisaną na pergaminie w formacie małego folio, ozdobioną wizerunkami Matki Boskiej z obrazów cudownych w Wielkopolsce. Egzemplarz ten jednak bliżej nie jest nam znany.

Powyższe odpisy bulli o Niepokalanem Poczęciu N. Marji Panny wraz z innemi ofiarowanemi Piusowi IX z różnych krajów, artystycznemi kopjami tejże bulli, zachowane są w oddzielnej sali Watykanu, zwanej salą bull, ułożone w szafach lub oszklonych gablotkach.

Warszawa. *Mathias Bersohn.*

PIEŚŃ LUDOWA

NA PRZEŁOMIE NASZEJ POEZJI.

Słusznie zauważono, że w żadnej literaturze nie było tak długiego i tak stanowczego rozbratu pomiędzy poezją ludu a twórczością klas oświeconych, jak u nas. W wiekach średnich byłaby może zabłąkała się czasem pieśń z dworów rycerskich do zagród kmieciów i możeby też echa piosenki ludowej odbiły się o baszty zamkowe, ale ołowiana pokrywa łaciny była owym murem granicznym, rozdzielającym dwa obce sobie światy. A gdy nareszcie język polski przebił się przez ów mur, było to w czasie, kiedy obie klasy rozdzieliła już groźna przepaść. Rozdwojenie to trwało w naszej literaturze dziewięć wieków... Dawna poezja, wzgardzona przez możnych, schroniła się pod wiejską strzechę. Druga powstała pod wpływem obcej oświaty i stała się wyłączną własnością klas uprzywilejowanych. Te dwie literatury żadnego niemające ze sobą związku, jedna, rodzima, krajowa, druga, obca, przesiedlona, rosły długo obok siebie, nic o sobie nie wiedząc. Doznawały nawet wprost przeciwnego losu, bo kiedy druga literatura kwitła, o pierwszej, nieujętej drukiem, najuczeńsi nawet ludzie nic nie wiedzieli. Tamta w początkach była dziełem samych księży, z czasem stała się literaturą szlachty; ta była własnością niepiśmiennych, nieoświeconych na książkach kmieci. Między poezją ludową a drukowaną zachodził ten sam stosunek, jaki zachodzi między rodzicami a ich synem włościańskim, który wyszedł na pana, a wstydząc się swego pochodzenia, zrywa wszystkie węzły z rodziną... Literatura nasza, wyludowiwszy się i przyjąwszy cywilizację stanu wyższego, do którego przeszła, wstydziła się swego dawnego pochodzenia, zarzuciła nawet mowę ojców, którą na salonowy zamieniła język. Pogasły do reszty stare tradycje ludu, rozstroił się i poszedł między rupiecie stary ów bardon, którym niegdyś chwalono Boga w kościele, lub zagrzewano walecznych do boju. Dopiero po kilkuwiekowym śnie, przetarłszy oczy, ocknął się naród i spostrzegł, że tulił do łona umarłe w pieluchach dziecię imaginacji... Wskrzesiła je do życia pieśń

ludowa. Literatura kopalna, jak nazwał pięknie Mickiewicz poezję ludową, leżała przez długie wieki odłogiem. Była ona, jak woda podziemna, wiadoma wszystkim, ale niedostępna. A jak dopiero za dni naszych mechanika potrafiła dobrać się do niej i wytoczyć na wierzch, tak dopiero z początkiem tego wieku zdołano wytopić z surowego kruszcu tradycji ludowej szczere złoto poezji. Literatura klasyczna poczynała się w gronie osobników odstrzychnionych zupełnie od reszty narodu i do tego jedynie grona dążyła, była więc literaturą jednej kasty, jednej koterji. Utworzona pod wpływem przyczyn istniejących za obrębem większości narodu, nie lgnęła do narodu, ani on do niej. Przygnieciona na samodzielności narodowego rozwoju małpowała muza polska najchętniej Francuzów, rozumowała z Wolterem, deklamowała z Kornelem, wyprowadzała w kontuszu spazmujących kochanków Zaryna, a gdy zaczynała schodzić z tych wyżyn do tłumu, nuciła wśród okropnej nędzy swych włościan rozkosze pasterskiego życia na słomianych dudkach z Wergilego. Po wytrawieniu jednak ograniczonej liczby myśli i kęsów prawideł, wyniesionych z tej szkoły, nastąpił w niedostatku nowych pokarmów głód i śmierć literatury.

Dopiero teraz, po długiem błąkaniu się w kole obcych pojęć i wyobrażeń, literatura polska, oderwana od swej przeszłości, swej przyrody miejscowej i żywiołów swojskich, zwraca się do źródeł ludowych, do poezji ludowej i samodzielnym ożywiona duchem, rozwija się i zakwita. „Krakowiaki i górale“ Bogusławskiego byli pierwszą niewyraźną zapowiedzią nowego kierunku. Spotkał ich los skowronka, który przed wszystkiemi ptakami letniej doby wita pierwszą bryłkę roli, wyglądającą z pod osłony śnieżnej. Zagłuszony niejedną jeszcze burzą, ustąpić musi pierwszeństwa świetniejszym w śpiewie braciom. I sztuka Bogusławskiego zgasła w cieniu jaśniejszych gwiazd, które rozświeciły horyzont naszej poezji. „Wiesław“ Brodzińskiego był niby zorzą, ukazującą narodowi ową stronę nieba, w której zejdzie słońce prawdziwej poezji.

Między operą Bogusławskiego a napisaniem „Wiesława“ upłynęło trzydzieści lat snu, zamarcia ducha narodowego. Był to stan przejścia z gąsienicy do motyla, stan poczwarny nowej poezji. Pierwszy Brodziński, pochwyciwszy przerwany wątek, przyłożył wprawniejszą do tej kopalni rękę, a głos jego nie był długo głosem wołającego na puszczy. Myśl ludowa nie trafiła od razu, rozchodziła się powoli, ale gdzie raz przyjęła się, tam już jak każda wielka prawda, zakorzeniła się na zawsze. Pragnienie nawiązania nici łączących poezję z twórczością ludową było wyrazem przekonania wielu światłych ludzi na początku XIX w. „Zgorzkła obca słodycz“ — wołał Zorjan Dołęga Chodakowski — „bez miary używana, czuć się już daje utęsknienie do prostych i ojczystych pokarmów; zbierzmy je skrzętnie, a czas, sprawca wszystkiego, może wyda nam nowego Bojana“. „Na równinach słowiańskich — wtórował Lach Szyrma — na polach naszych przodków, między naszą bracią, nastręczają się nam skromne kwiaty zachwycenia, zbierajmy je troskliwie“. I młodzież wileńska, jak tego dowodzą ballady Zana i piosenki Czeczota „przebijała się przez ten las dziewiczy“; pomagali jej w torowaniu drogi starsi wiekiem i doświadczeniem. „Gdybyśmy chcieli być troskliwymi, — powiada profesor Leon Borowski — w wyszukaniu pieśni gminnych, nietylkobyśmy głębiej zdołali przeniknąć właściwy, poetycki sposób myślenia i czucia przodków naszych, lecz możeby się odkryły starożytne powieści, dumy religijne i historyczne podania, godne iść w porównanie z pięknemi balladami angielskiemi i poezją trubadurów“.

Brakło jeszcze gieniusza, któryby te odosobione głosy skupił w jedno ognisko i wyprowadził literaturę na kwietną ścieżkę poezji. Był nim Mickie-

wicz. „Wiesław“ Brodzińskiego — to pierwszy fijołek, witający duchową wiosnę rodzinnej poezji. Poezje Mickiewicza — to wieniec najpiękniejszych letnich róż, wykwitłych na rodzinnych piaskach. Nie znajdując w wyjałowionej fantazji wyższych warstw społecznych, nie tylko osnowy, ale nawet formy poetycznej, sięgnął Mickiewicz do żywej tradycji ludowej, aby stąd zaczerpnąć barw i kształtów do swoich utworów. Prostota i naturalność pieśni ludowej, wyróżniające ją od sztucznych, patentowanych wyrobów z fabryki klasycznej, były tym cudownym zdrojem, odmładniającym zestarzałą poezję. Nasza poezja romantyczna wzięła początek nie w naśladowaniu Niemców, ani Szkotów, ona wyszła świeża i piękna z żywego pnia poezji ludowej. Nie zagraniczne kaktusy i aloesy, ale nasze polskie kwiaty z Pól Nadniemeńskich zawoniły i ubarwiły nasz literacki kwietnik. Poeci klasyczni nie uznawali godnem swej uczoności zwrócić uwagę na te proste kwiaty, uczuwali wstręt szlachecki ku tej poezji krwią i potem pospólstwa przesiąkłej. Umiejętna ręka uczonych, zaprawiana na łacinie i francuszczyźnie, nie tknęła pieśni gminnością, pogaństwem i światowością oddychających, były one dla nich martwym głazem, który ożywić i nowym natchnąć duchem było zadaniem wielkiego romantyka.

Literatura nasza zanim się skąpała w nurtach pieśni ludowej była podobną do owych kunsztownych kwiatów z pod nożyc maszyny wyszłych, a napuszczonych klejem i farbami; nie splotły się one z uczuciem narodu i do niczyjej pamięci nie przylgnęły; porodzone martwe, spoczywają, pochowane w książnicach snem wiecznym. Tymczasem poezja ludu, kryjąca się, jak iskra w krzemieniu, rosła świeża jak rosa, kwitła jak lilja i stała się dla naszych poetów szkołą, w której się rodzimej poezji wyuczyć mogli. Nawykli do obcych natchnień i do obrazów pod obcem niebem odmalowanych, mieli oni przeciążone skrzydła i oko duszy do patrzenia przez szkła nawykłe. U tego źródła odzyskują dawną siłę i czerstwość, tu składają z siebie wypłowiałą liberję i, wracając na łono nutury, jednają sobie powszechną miłość. Do tych obczyzną nasiąkłych poetów możnaby razem z romantykami zawołać, jak do owego rycerza z La Manchy: „Po co szukać tak daleko pani swoim myślom i trudzić się, żeby wrócić potem do swej wioski z bliznami poniewierki, kiedy tu pod waszym bokiem i kochanka taka piękna i trud nie przepracowany i tyle poezji na każdej grudce tej ziemi, pod cieniem każdej drzewiny“.

Życie ludowe ze swym bezpośrednim, przyrodzonym sposobem zapatrywania się i poczucia było ową granitową skałą, na której stanął gmach poezji romantycznej. Jest to życie, które się nie wyrzekło ziemi, ani nad nią zawieszonego nieba, ani przywiązanych do nich przesądów, lecz owszem w tem wszystkiem, jak w świecie sobie właściwym, żyje i porusza się swobodnie. Stąd wypływa charakter tej poezji naiwny, uczuciowy, fantastyczny, czasami ciemny, lecz niemniej prawdziwy, bo wiecznie odbijający wyobrażenia ludu. Poezja ta odbiła się przedewszystkiem stokrotnem echem w pieśniach Mickiewicza; dusza jego nasiąkła balsamiczną wonią powietrza wiejskiego i, jak owo cudowne narzędzie muzyczne, odezwała się dźwiękiem pól ojczystych.

Ten zwrót do ludu, do jego mowy prostej, do jego uczucia i fantazji nie podobał się szkole dawnej klasyków. Okrzyknęli go za napad barbarzyństwa. I w rzeczy samej, był to napad na klasę cywilizowaną, bezsilną już i jałową, lecz jak burza oczyszczającą atmosferę. Zbliżenie się to do ludu, choćby tylko na chwiejnym gruncie fantazji, wykryło na dnie ducha nieznane dotąd siły. Podjęciem tych wyklętych pierwiastków i rozbudzeniem dla nich zamiłowania ogółu, zrobili romantycy pierwszy wyłom w twierdzy.

Znaczenie ich wystąpienia polega właśnie na tem, że wywalczyli uznanie dla potępionej fantazji, przeciwstawiając ją suchemu racjonalizmowi. Była to, jak trafnie ocenił Chmielowski, zdobycz równoznaczna z odkryciem nowej części świata. Romantycy odnosili się do wyobrażeń ludowych głównie jako artyści. W posusze abstrakcji klasycznych, spragnieni świeższych barw i kształtów, rozścielają oni na miejsce dawnych, spłowiałych i zużytych nowe i świeże tkaniny. Jako środek artystyczny, działał ten natrysk orzeźwiająco; znudzonych jednostajnością pomysłów oczarował bogactwem i nowością, suchej i bezbarwnej alegorji przeciwstawił świat żywy i malowniczy, a zjałowiałą i obumarłą fantazję poetów pobudził do życia, uczynił lotniejszą i bardziej indywidualną.

Dla romantyków, puszczających się na pełne morze nierozwiązanych zagadek bytu, była cała ta mglista, cudowna tajemniczość widzeń ludowych, zdających się wiązać świat widzialny z niewidzialnym i otwierać perspektywę w „świat wieczny", nietylko pożądanym materjałem sztuki, ale także kluczem do nowego na świat poglądu. Racjonalistom, wyobrażającym sobie świat bez duszy, w kształcie wielkiego zegara, który obiega popędem ciężaru, przeciwstawiają oni świat idealny, świat uczucia i wiary, świat ducha, któremu, rzeczywiście, bliżsi byli prostaczkowie, niż ówcześni mędrcy, uzbrojeni w szkła nauki. Włościanin pod przewagą kultury łacińskiej, usunięty na stronę, niemający udziału w sprawach narodu, zachował wiele zdrowych pierwiastków, które klasy uprzywilejowane zatraciły. To też, gdy po długich wiekach obłędu naśladownictwa — to łaciny, to francuzczyzny — zwrócono się do ludu, zebrano tu plon obfity. To, co w łonie poezji stanowiło nowy żywioł, to także w dziedzinie sztuki i umiejętności nowe rozbudziło życie.

I rozległ się głos wybrany inteligencji za ludem i nabrał siły, gdy postawiono na widowni nieznane skarby wyobraźni i dano sposobność zajrzenia w głąb serca ludu. I cóż nam odkryła z tego zaczarowanego świata poezja romantyczna? Jakie zalety pokazała w poezji ludowej wogóle? „Czem jest lud polski, tem jego poezja — powiada jeden z epigonów romantyzmu — prostą, wijącą się przy ziemi, jakby do niej przyrosłą". A jak w ludzie tkwiła moc duszy, byle kto umiał ją odnaleść i podnieść, tak i w pieśniach i podaniach ludu są bogate i zdrowe zasoby dla poety, byle umiał wyłuszczyć ziarno z pokrywającej je łupiny i dopomógł zasadzić je w ziemię, aby urosło i wydało owoce.

Ta zarodkowa siła pieśni nie spoczywa na wyżynach myśli, przyrosłej do gleby i nie podnoszącej w górę swego oblicza, ale ukrywa się gdzieś w głębinach uczucia. W pieśniach ludu czystszy, niż gdzieindziej, wytryska strumień narodowego uczucia. Są one tą arfą eolską, w której odbrzmiewają uczucia całego plemienia, bo poeta sielski wciela w słowa i przelewa w melodje to tylko, co tli i wre w sercach całego ludu. Treść ich różnobarwna, jak kolory tęczy bledsze i jaśniejsze, a jak tęcza w wyobrażeniach ludu pije rada wodę z rzek, tak one biorą coraz nowe siły z nieprzebranej krynicy uczuć. Poezja ludu, to druga mowa, łącząca wspólnem ogniwem wszystkie jego członki porozdzielane granicami państw, różnicami praw kultury i niechętnych sobie wyznań, niby powietrze, które to wszystko przenika i ożywia. W prostaczych przysłowiach promienieje nie jedna zapomniana lub wzgardzona przez cywilizację prawda żywota. Złożona na dnie tradycji ludowej, nie jest ona martwą literą, nie krępuje rozumu, nie wiąże skrzydeł fantazji, lecz owszem, jako żywa, do działania umysł na podobieństwo zagadki podnieca.

W poezji ludowej składa lud nietylko „swych myśli przędzę i swych

uczuć kwiaty", ale także pierwsze promyki moralności. Ta, jak kwiat, znikoma i lekka, jak słomka, literatura jest wymownem, a wiernem zwierciadłem narodu. Duch jego odbija się w niej, jak piasek, na dnie źródlanej wody. Mimo dziwów, cechujących te baśnie, mimo szatę cudzoziemską, w którą się ustroiły, mają one własną etykę, filozofję i sztukę dla tych, którzy znaczenie ich odczuwać umieją. One „stoją na straży narodowego pamiątek kościoła", pełno w nich wspomnień i zabytków z pogańskiej doby, sterczących jakoby złomy z rozbitych posągów bożyszcza. Piękność ich polega głównie na czystości i prawdzie uczucia, prosto z serca płynących, na owym naiwnym wdzięku, niepodobnym do naśladowania, jak niepodobna naśladować naiwnych ruchów dziecka.

Nieumiejętna w doborze słów dla wydania myśli, niezręczna w przystroju uczuć, umie jednak pieśń ludowa wyspowiadać się jasno i pięknie ze wszystkiego, co jej leży na sercu...

Lwów. *Dr. Henryk Biegeleisen.*

O NIEWYDANYCH LISTACH

HETMANA ŻÓŁKIEWSKIEGO.

NOTATKA BIBLJOGRAFICZNA.

Mamy kilku badaczy, których usiłowaniom zawdzięczać należy, że wielka postać Żółkiewskiego, którego uwielbiali swoi a cudzy szanowali, przedstawia się na tle ogłoszonych pism hetmana bardzo wydatnie. Należy się spodziewać, że gdy wszystkie pisma Żółkiewskiego, dotychczas porozpraszane po różnych bibljotekach publicznych i prywatnych, będą zebrane i ogłoszone drukiem, naówczas i Żółkiewski, i epoka, na tle której działał, niezmiernie zyszcze na oświetleniu.

Jednym z takich pracowników w tym kierunku jest Seweryn Gołębiowski. Ogłosił on w Bibljotece warszawskiej (1852. IV. 141) wyjątek ze swej pracy o hetmanie, a we wstępnem słowie zawiadomił, że ma przygotowanych i niebawem drukiem ogłosi 130 listów Żółkiewskiego, nigdzie dotychczas nieogłoszonych, i że do tego zbioru włączył i te listy, które różnemi czasy przez różne osoby już były wydrukowane. W lat kilka po tej zapowiedzi, gdy Bielowski przygotowywał się do ogłoszenia pism Żółkiewskiego, a nie doczekawszy się zapowiedzianej przez Gołębiowskiego edycji, odwołał się do niego i do Zawadzkiego, (który o nabyciu na własność zbioru Gołębiowskiego i o prędkiem wydrukowaniu go publicznie ogłosił), aby pozwolono mu korzystać z rękopisu, a jeżeli druk jest zaniechany, aby mu ten rękopis sprzedano dla włączenia go do dzieła, którego druk Bielowski właśnie rozpoczynał. Te zabiegi pozostały bez odpowiedzi. Dlaczego Gołębiowski, a właściwie Adam Zawadzki nie ogłosił tego zbioru drukiem, nie wiemy. Dzięki p. Feliksowi Zawadzkiemu, dzisiejszemu właścicielowi firmy, rękopis powyższy powiększył nasze zbiory i dlatego jesteśmy w możności kilka słów o nim powiedzieć.

Zbiór Gołębiowskiego składa się z dwóch kajetów formatu arkuszowego,

pisany jest bujnym charakterem, z ciągłą przez oba kajety paginacją. Zawiera stronic 516. Pierwszy kajet zawiera w sobie życie hetmana na 290 stronicach, składające się z trzech części. Poprzedza je dedykacja J. I. Kraszewskiemu. Znajdujemy tu wiele listów, podanych już to w wyjątkach, już w całości, różnych osób współczesnych Żółkiewskiemu, pisanych już to do hetmana, już o nim. Kajet drugi zawiera listy Żółkiewskiego. Listów podano tylko 92, a i z tej liczby należy kilka wyłączyć, gdyż z przedruków zostały skopiowane. Ponieważ Gołębiowski w Bibljotece warszawskiej, jak zaznaczyliśmy wyżej, podał, że do druku przygotował 130 listów nieogłoszonych drukiem, przeto nie umiemy wytłómaczyć, dlaczego w rozpatrywanym obecnie zbiorze wielu z nich nie znajdujemy. To tylko pewna, że nasz rękopis jest całością skończoną, i że nie nosi na sobie śladu, aby z niego zostało coś usuniętem w późniejszym czasie.

Rękopis Gołębiowskiego był dwa razy cenzurowany w Wilnie. Pierwszy raz 10 czerwca 1853 roku, a zatem w kilka miesięcy po ogłoszeniu z niego wyjątku w Bibljotece warszawskiej; drugi raz 23 maja 1859 roku, zatem na skutek odezwy Bielowskiego, o czem wyżej wspominaliśmy. Ta druga data cenzury świadczy, że Adam Zawadzki myślał serjo o drukowaniu, lecz z przyczyn nam nieznanych zamiaru nie uskutecznił.

Zbiór Gołębiowskiego, będący naszą własnością, stracił obecnie dużo na wartości, albowiem książę Lubomirski ogłaszając w roku 1866 „Listy Żółkiewskiego“ pomieścił między niemi 45 listów, tych właśnie, które się w naszym zbiorze znajdują. Jakkolwiek nie podaje książę bliższych szczegółów wyjaśniających źródło, z którego czerpał, a zawiadamia tylko, „że przypadek podał w jego ręce szereg nieogłoszonych listów“, mimo tego jesteśmy pewni, że rękopisu Gołębiowskiego nie miał w swem rozporządzeniu, bo w takim razie przedrukowałby i te listy, o których poniżej wspomnimy. Tu dodam uwagę, że pisownia w moim zbiorze jest dzisiejszą, gdy tymczasem książę Lubomirski podał ówczesną.

Po wyłączeniu z mego zbioru tych listów, które zostały z druków skopjowane, jak również ogłoszonych już później przez Bielowskiego i Lubomirskiego, następujące nie były dotychczas ogłoszone drukiem:

I. Dwadzieścia siedem listów, pisanych do Jana Zamojskiego, a mianowicie: 1) z Grodziska, z daty 16. I. 1582 roku; 2) z Kałuszy 30. VII. 1584; 3) z Zamościa 2. XI. 1584; 4) z Białej Cerkwi 4. II. 1585; 5) ze Starzysk 10. VIII. 1590; 6) z Gródka 15. II. 1591; 7) ze Starzysk 11. VIII. 1591; 8) ze Starzysk 6. IX. 1593; 9) z Chmielnika 11. IV. 1594; 10) z Wierzbowiec 17. V. 1594; 11) z Dołhego 11. VII. 1595; 12) z Chołubkowic 31. VII. 1595; 13) z Sokołowej 11. VIII. 1595; 14) z Białej Cerkwi 13. IV. 1596; 15) z Winnik 26. I. 1597; 16) z Zamechu 1. XI. 1597; 17) z Lasek 7. II. 1598; 18) z Kobyłowłóki 4. V. 1600; 19) z Chocimia 2. VI. 1600; 20) z Kałuszy 15. XII. 1600; 21) z Turzynki 8. II. 1601; 22) z Gródka 25. II. 1601; 23) z Winnik 16. V. 1601; 24) ze Lwowa 30. VII. 1603; 25) z Żółkwi 8. IX. 1603; 26) z Żółkwi 13. IX. 1603; 27) z Lublina 16. VI. 1604.

II. Osiem listów do różnych osób, a mianowicie: 28) do Firleja ze Starzysk 2. XI. 1592; 29) do księdza Jana Tarnowskiego ze Starzysk 2. XI. 1592; 30) do Konstantego księcia Ostrogskiego z Krzemieńca 22. II. 1596; 31) do tegoż z Chodorkowa 30. III. 1596; 32) do Samuła z Chodorkowa 30. III. 1596; 33) do Piotra Tylickiego z Kamieńca 28. V. 1600; 34) do Ghazi Giraja z obozu nad Niestrem 24. VI. 1600; 35) do kniazia Kiryka Rożyńskiego bez daty i miej-

sca jeden list, który się zaczyna od słów: „Miłościwy Książe, zachętne i łaskawe“... kończy się: „list J. M. Pana hetmana posyłam“...

Powyższy list do Różyńskiego był pisanym najprawdopodobniej z Chmielnika, w kwietniu 1594 roku, albowiem w liście do Jana Zamojskiego z Chmielnika pod datą 11 kwietnia 1594 roku wspomina Żółkiewski, że pisał do Różyńskiego, przesyłając mu list Zamojskiego.

Wilno. *Dr. Józef Bieliński.*

URYWEK Z NIEWYDANEJ KOMEDJI.

Wszyscy wchodzą. DROBISZ i BRZOSTOWIECKI zostają sami. Brzostowiecki siedzi w fotelu, Drobisz chodzi zirytowany. Chwila milczenia.

DROBISZ (po chwili).

Zapalisz cygaro?

BRZOSTOWIECKI.

A masz dobre?

DROBISZ.

Ujdą. (częstuje; zapalają).

BRZOSTOWIECKI.

Przepraszam cię, jeżeli deranżujemy was w czemkolwiek.

DOBISZ.

Ale dajżeż już pokój z tem deranżowaniem; nie robicie nam żadnej różnicy, no i koniec... Zły tylko jestem na moją żonę... wiedziała, o co mi chodziło, tymczasem zamiast mnie wytłómaczyć, to... ach, te kobiety!

BRZOSTOWIECKI.

Jeżeli się nie mylę, to stosunek matrymonjalny między wami jest naprężony.

DROBISZ.

Jak dziś miałeś próbkę, tak jest nieustannie; żebyś ty wiedział, jakie ja nieraz muszę znosić z jej strony wybuchy, tobyś się zdumiał! Niech się schowa Otello...

BRZOSTOWIECKI.

Nie zauważyłem w jej słowach nic takiego, coby...

DROBISZ.

Bo nie rozumiesz się na tem; to wszystko, co mówiła z powodu tego pokoju, było tylko zamaskowaną sceną zazdrości; takie sceny są dla mnie chlebem powszednim.

BRZOSTOWIECKI.

To mnie dziwi... bójże się Boga! wszakże wy we dwoje macie przynajmniej jakie sto lat.

DROBISZ.

No, przeholowałeś, ale istotnie, nie wiele brakuje... i w dodatku, za parę miesięcy mamy obchodzić srebrne wesele.

BRZOSTOWIECKI.

Kiedy tak, zaczekajcież jeszcze pięć lat, to będziecie mogli święcić jubileusz trzydziestoletniej wojny.

DROBISZ.

Ha, ha, ha... dobre jako koncept, ale nie umotywowane (przypomniawszy sobie) Ale!... (dobywa z kieszeni pakiecik i kładzie na kominku).

BRZOSTOWIECKI.

Cóż ty robisz?

DROBISZ.

Zastawiam łapkę na moją żonę.

BRZOSTOWIECKI.

Jakto, łapkę?

(Antosia, która weszła przed chwilą jakby szukając czegoś, bierze z kominka torebkę podróżną, którą Helena położyła tam, rozbierając się.

DROBISZ (szczypiąc ją w policzek).

Ty pokuso!... czekajno, masz pomadkę (kładzie jej do ust. Antosia odchodzi spoglądając nań zalotnie; n. s.). Moja żona bardzo mądrze robi, że nie trzyma takich pokojówek. (Do Brzostowieckiego) Uważasz, ona pasjami lubi cukierki.

BRZOSTOWIECKI.

Antosia?

DROBISZ.

Nie! moja żona!... ale ponieważ jest ogromnie oszczędna, więc nie mogę jej niemi obdarzać w zwykły sposób, bo robiłaby mi grymasy i nadto musiałbym usłyszeć reprymendę za pozwolenie sobie niepotrzebnych wydatków; ale, uważasz, niech tylko jej gdzie podłożę, zje wszystko, jak powiada, przez łakomstwo, do którego jakobym ją kusił... za co swoją drogą, znowu czeka mnie nowa bura.

BRZOSTOWIECKI.

Ależ to jest poprostu sielanka... jakże to pogodzić z tem...

DROBISZ.

Z tem, co nazwałeś wojną? ha, ha, ha!... bo też to nie jest wojna, broń Boże! jest tylko prześladowanie jednej strony przez drugą.

BRZOSTOWIECKI.

Któreż z was jest stroną prześladowaną?

DROBISZ.

Naturalnie, ja... ale znoszę cierpliwie i z pobłażaniem wszystkie gromy, wiedząc aż nadto dobrze, że są one tylko następstwem chorobliwej czułostkowości i zbytku przywiązania.

BRZOSTOWIECKI.

I, że sam jesteś winien, dając do tego powody.

DROBISZ.

Powody, powody!... dużo-by o tem mówić... przypatrz mi się, to zrozumiesz.

BRZOSTOWIECKI.

Przypatruję się i nic nie rozumiem.

DROBISZ.

Na ile lat ja wyglądam?

BRZOSTOWIECKI.

Aha! fanfaronada... może sobie pochlebiasz, ale naprawdę wyglądasz na tyle, ile masz.

DROBISZ.

Ho, ho, bratku, mówisz to umyślnie.

BRZOSTOWIECKI.

Ale czego się to łudzić!... starzejemy się, starzejemy, to trudno... ja to czuję.

DBOBISZ.

Ty może, ale ja nie; a zresztą, chociażby i tak było, to nie zaprzeczysz, że kobiety starzeją się prędzej... nam lata nie szkodzą tak, jak im, owszem, powiem ci, że... no, nie zawsze i nie wszystkim, ale, czasem przeciwnie...

BRZOSTOWIECKI.

Chybaby się przewrócił naturalny porządek rzeczy.

DROBISZ.

Możesz mieć przykład ze mnie; lubiłem zawsze i lubię kobiety pasjami... to moja słabość...

BRZOSTOWIECKI (półgłosem).

Ktoby to tego nie lubił.

DROBISZ.

A widzisz! I w tobie zadźwięczała czuła struna. We mnie uważasz, sam ten wyraz: kobieta, porusza wszystkie fibry... pomimo to, jako młodzieniec byłem skromnym i nieśmiałym, brakło mi przedsiębiorczości... każda piękność przyoblekała się w moich oczach w jakiś majestat i imponowała mi... Teraz sam nie wiem, jak się to zrobiło, ale na starość zmieniłem się całkiem i to

one właśnie dokonały tego przeobrażenia; powiadają, że z siwą brodą do kobiety, to tak jak z jeżem do psa, tymczasem to nieprawda.

BRZOSTOWIECKI.

Co? nieprawda? szczęśliwe złudzenie!

DROBISZ.

Tylko pozwól! Mnie, czy uwierzysz, za młodu trudno było zawiązać najniewinniejszy stosunek, jeżeli chciałem coś zyskać kontrabandą, bez wywieszenia sztandaru celów legalnych... mówię, naturalnie o kobietach ze świata, nie z półświatka... bo z temi... no!... Dziś, uważasz, najsłynniejsze piękności zstępują dla mnie z piedestału i... pozwalają się emablować (ciszej do ucha) wręcz powiem, obcałowywać... jak mnie żywym widzisz.

BRZOSTOWIECKI (ironicznie).

I na tem też się pewnie kończy.

DROBISZ.

No, zapewne... pojmujesz, że skandalów sobie nie pozwalam.

BRZOSTOWIECKI.

Dawniej, od tego się zaczynało... ale słuchajno, ty tak sobie mówisz o tem bez ceremonji, jak gdybyś był wolnym; to mogło uchodzić niegdyś, ale, jak tylko jesteś mężem, basta!

DROBISZ.

I tak też było przez długi czas... ale ponieważ z kolei już dawno z żoną basta, więc...

BRZOSTOWIECKI.

Aha! to tak... ale, wiesz co, że te względy, jakiemi się cieszysz u pięknych pań, powinnyby ci otworzyć oczy.

DROBISZ.

Na co?

BRZOSTOWIECKI.

Oczywiście, nie mają cię za nic, uważając, że przestałeś być niebezpiecznym... jesteś wężem kusicielem, ale któremu żądło odjęto.

DROBISZ (po chwili).

Wiesz ty co, że mnie samemu przychodziło to nieraz na myśl... (po chwili żywo) no, więc widzisz... w rezultacie, jest to sobie najniewinniejsza w świecie zabawka, bo zawsze jednak co żona, to żona... ale wytłómaczże to jej! czy ona potrafi i zechcę to zrozumieć.

BRZOSTOWIECKI.

Mnie się zdaje, że i ty sam także udajesz na tym punkcie głupiego... przepraszam cię...

DROBISZ.

Nic nie szkodzi...

BRZOSTOWIECKI (spostrzegłszy wchodzących Romana i Julję).

Pst! . . . . . .

DROBISZ (po chwili).

Wracając do tego, o czemeśmy mówili, wiesz, co ci powiem? zastanawiałem się nieraz nad powodami tych wiecznych między nami nieporozumień i zdaje mi się, że znalazłem jedyny, racjonalny.

BRZOSTOWIECKI.

Jakiż?

DROBISZ.

Oto ten, że nie mamy dzieci.

BRZOSTOWIECKI.

Jakto, żona robi ci o to wymówki?

DROBISZ.

E, to nie... ale, uważasz, dzieci są najlepszym cementem spajającym małżeństwo... to jest fakt!... bez nich to się zawsze jakoś coś rozłazi, jakby było nie dobrze sklejone.

BRZOSTOWIECKI.

Jest na to sposób, rozejść się... Czy wiesz, że i o was mówiono, jakobyście się mieli rozłączyć.

DROBISZ.

Jakto! co ty gadasz? słyszałeś to? bajka, plotki babskie, słowo honoru daję!... rozłączać się z kobietą, z którą się przeżyło ćwierć wieku, nigdy!... czy na to, żeby truć się niepewnością co do jej losu? żeby być ustawicznie prześladowanym myślą o jej osamotnieniu? mieć przed oczyma łzy, które wylewa? Jezus Marja! czyż mógłbym to znieść? a, nie, nie!... na to trzebaby nie mieć Boga w sercu!

BRZOSTOWIECKI.

No, co do łez, to rozmaicie możnaby sądzić, bywają łzy wylewane ze złości... Zresztą mówi się tu tylko o małżeństwach, które się nie kochają.

DROBISZ (gorąco).

Ale kiedy ja kocham moją żonę! Kochamy się oboje... i, gadajcie sobie co chcecie, powiadam wręcz, że pominąwszy wyjątki wyzute ze czci i wiary, każde małżeństwo skojarzone na podstawie wzajemnej skłonności, kocha się! musi się kochać!... swary, a nawet kłótnie niczego nie dowodzą... Nie mówię, naturalnie, żeby wiecznie gruchać, jak para gołębi, ale przez wspólne pożycie wyrabia się przywiązanie; przecież to do zwierzęcia, które się chowa, do fagasa, co nam buty czyści, człowiek się przywiąże, a cóż dopiero do żony, towarzyszki w dobrej i złej doli (po chwili) tylko dzieci, dzieci koniecznie! ach jakbym ja to kochał!

BRZOSTOWIECKI.

No, jak ich niema, to trudno.

DROBISZ.

Prawda, cóż robić! . . . . . .

Kraków. *Józef Bliziński.*

BACZNOŚĆ!

„Duchowy żołądek dziecka może znieść wiele, lecz na to, czego się w dzisiejszych czasach od młodzieży wymaga, potrzeba mieć prawdziwie strusi żołądek", powiada jeden z myślicieli. Dlatego nie ta szkoła jest najlepszą, w której uczniowie najwięcej wiadomości nabywają, lecz ta, w której wykształcenie zdobywa się drogą samodzielności. Z tej przyczyny ten mistrzem w nauczaniu, kto swych uczniów tak zająć umie, aby im samodzielna praca nie była ciężarem lecz przyjemnością.

Gdzie tedy szkoła jest tylko miejscem bezczynnego słuchania, a kształcące umysł ćwiczenie i siłę ducha rozwijąca praca nie znajdują należytego zastosowania, tam szkoła nie jest zakładem błogosławionym, lecz miejscem zastoju, w którem obok niedołęstwa umysłowego kiełkuje skarłowaciałość charakteru, za czem wślad widmo upadku społecznego bieży.

Baczność, nauczyciele!

Tarnopol. *Władysław Boberski *).*

---

*) Zmarł w Tarnopolu dnia 26 listopada 1891 roku.

PRZYSZŁE LOSY LUDZKOŚCI.

Jakkolwiek przyszłe losy ludzkości w ludzkich spoczywają rękach, wszakże usiłowaniami naszemi nie możemy przemienić kierunku, w jakim pochód dziejów się odbywa. Różne plany i reformy, obliczane w przeszłości na przewroty, które miały spowodować w przyszłości, i przedsiębrane w pewnym kierunku z wyrachowaniem na konieczne ich następstwa, wobec jakiegoś koniecznego, bo bardziej zgodnego z przyrodą człowieka, biegu rzeczy, przeminęły bez spodziewanego skutku i poszły w zapomnienie. Różne ideje, które panowały niegdyś wśród ludzkości, ustępowały miejsc jedne drugim, nie wskutek ich logicznego ze sobą związku, ale zupełnie niespodziewanie.

Z chaosu uczuć i pojęć świata starożytnego wyłoniło się przecież chrześcijaństwo, które było najzupełniej sprzecznem zarówno z temi uczuciami, jak i z pojęciami; niepodobna też utrzymywać, żeby było ono logicznem następstwem wierzeń starożytności, i że zostało wyrozumowane tylko, bo wiele jego pierwiastków, jeżeli nie wszystkie, starsze są od niego. Zwycięstwo idei chrześcijańskiej nad ideją starożytnego barbarzyństwa, zaprzeczającego praw jednostki, nie może być uważane ani za logiczne następstwo jednej idei po drugiej, ani też tembardziej za konieczne następstwo idei, według której ukształtowało się społeczeństwo starożytne.

Pochodowi dziejowemu ludzkości wcale nie przewodniczy jedna jakaś ideja. Rozwój jej dziejowy zależy od wypadków. Każdy ostatni jest następstwem wszystkich poprzednich, a wraz z niemi przyczyną tych wszystkich, które po nim nastąpią. Jeżeli jest pewien kierunek, w którym ludzkość odbywa swój ruch z przeszłości ku przyszłości, jest to tylko przekątna równoległoboków, wyobrażających siły (uczucia i pojęcia), działające wśród ludzkości wciąż w różnych kierunkach. Można je określić dopiero po przejściu pewnego okresu history-

cznego. W jakim mniej więcej lub mianowicie kierunku pójdzie ludzkość w bliższej lub dalszej przyszłości, oznaczyć tego niepodobna ostatecznie, bo pewna ideja może być jedną tylko z wielu sił, jakie wśród ludzkości działają jednocześnie w różnych kierunkach. Najsprzeczniejsze prądy uczuć, namiętności i przekonań działać mogą w różnych kierunkach na ludzkość jednocześnie, a żaden z nich nie może wywrzeć stanowczego, bo wyłącznego, wpływu.

Wielkie w tym względzie ma znaczenie dwoistość przyrody człowieka. Przedewszystkiem jesteśmy zwierzętami i objawiamy to wciąż postępkami naszemi. Jednocześnie z tem posiadamy cechy wyłącznie już ludzkie, odróżniające nas od zwierząt i polegające na możliwości kierowania się w postępkach naszych pobudkami, powstałemi w nas dzięki życiu społecznemu. Dwie te najsprzeczniejsze cechy, t. j. samolubstwa zwierzęcego i życzliwości ludzkiej ku innym, łączą się w każdej ludzkiej istocie w jedną całość, i te to cechy wszelkie stanowcze przepowiednie w stosunku do przyszłości, wszelkie nadzieje nasze i oczekiwania, czy to najbardziej ponure, czy jaknajradośniejsze, sprowadzają do połowy wartości prawdopodobieństwa, bo o ile jest prawdopodobnem i możliwem ciągłe uszlachetnienie ludzkości, o tyle też i jej obyczajowe cofanie się, wyradzanie się i powrót do stanu pierwotnego.

Dowody czerpane z przeszłości mają takąż samą wartość i znaczenie. Przedewszystkiem niepodobna utrzymywać, że ludzkość stale postępuje. W pewnych względach możnaby tak twierdzić, ale faktem jest, że w każdej danej chwili wszystkie złe i dobre strony dążą do dalszego rozwoju. Wszystko dąży do postępu. Wiedza ludzka robi olbrzymie postępy, ale oddala to ją od gnuśniejących w ciemności mas ludzkich. Wzrasta dobrobyt jednostek, ale też wzrasta wciąż i nędza mas. Moralne nasze doktryny nie przeszkadzają wcale rakowi rozpusty toczyć coraz bardziej organizmu społecznego.

Rozwojowi idei wolności obywatelskiej towarzyszy najstraszniejsze wyuzdanie wśród tłumów. Im się lepiej poznaje człowieka, tem więcej przypomina on bryłę, ulegającą prawu bezwładności, bo, uległszy raz pewnemu ruchowi, szedłby w tym kierunku ciągle, gdyby nie spotkał na swej drodze przeszkód. Przekonywa to, że zamiast mówić o postępie ludzkim, należy mówić o rozwoju, o ewolucji.

Nauka o rozwoju, o przemianach, jakim ulega człowiek z biegiem czasu, jest zaprzeczeniem nauki o postępie. Nic niema stałego wśród ludzi: wszystko ulega przemianom, przeobrażeniom i metamorfozie, czyli nic niema stałego, oprócz ruchu. Jedno z pewnością twierdzić można o przyszłości, mianowicie, że ludzkość nie pozostanie nigdy w stanie nieruchomości, spokoju, czyli zupełnej i ciągłej równowagi, ale zawsze ulegać musi i będzie ulegać przemianom.

Chodzi tedy o to — jakim?

Jeżeli na drodze rozwoju ludzkość postępowała dotychczas, może więc postępować i nadal w przyszłości. Czy musi, czy będzie stanowczo postępowała, niepodobna twierdzić stanowczo. Bo jeżeli droga, którą możemy nakreślić jako przeciętną wszystkich dotychczasowych jej ruchów, polegających na zboczeniach to w jedną, to w drugą stronę, na ustawicznem błąkaniu się w różnych kierunkach, ma jednak pewien kierunek, to jest ten ostatni wyrazem ruchów ludzkości w. przeszłości, ale tylko idealnym, oderwanym, bo jest algebraiczną sumą, zależną od ilości plusów i minusów sumą składników, których wartość nie jest ścisła, ale tylko przybliżona, przypuszczalna. Koniecznego ruchu ludzkiego w przyszłości, jako prawdopodobnej sumy składników, które zachodzić będą w przyszłości, niepodobna oznaczyć, bo składników tych nawet przewi-

dzieć nie możemy. Jedno można twierdzić bez obawy popełnienia błędu, mianowicie, że jeden ruch wyłącznie zapanować nie może nad wszystkiemi innemi, bo te ostatnie wywierają nań wpływ swój stanowczo, zmieniając go do niepoznania we względzie skutków, jakie mógłby za sobą pociągnąć, gdyby działał sam jeden. Przeto człowiek-zwierzę, dzięki dwoistości swej przyrody, musi się wciąż wahać pomiędzy dążnością do uszlachetniania się i dążnością do powrotu do stanu pierwotnego, bo nie może przestać być ani człowiekiem, ani zwierzęciem. Mając zaś na względzie różnice, zachodzące pomiędzy pojedyńczymi ludźmi, gdyż pewne jednost... więcej są ludźmi, aniżeli zwierzętami, inne zaś więcej są zwierzętami, aniżeli ludźmi, a także, że „historję robią“ nie pojedyńczy ludzie, ale gromady ludzkie, — zrozumiemy łatwo, że gry wypadków, które nastąpić mogą w przyszłości, ani stworzyć, ani przewidzieć nie można. Chociaż każdy pojedyńczy człowiek na przyszłość ludzkości wpływ swój osobisty wywiera bezwarunkowo, uczestnicząc jako cząstka w ruchu całości i nadając lub zmieniając kierunek, w którym się ten ruch odbywa, bo albo ją popycha naprzód, albo ruch jej powstrzymuje, albo w jakikolwiek inny sposób na ruch ogólny oddziaływa: współdziałanie z jednemi lub przeciwdziałanie innym nie może pozostać bez skutku względem kierunku, w którym się ludzkość porusza, bo nie jest to obojętnem, czy się do wytworzenia pewnego kierunku dążenia czynnie przyczyniamy, czy się bodaj tylko od udziału w pewnym ruchu ludzkości uchylamy.

Wobec wszelkich rozmyślań nad przyszłemi losami ludzkości winniśmy zawsze pamiętać o tem, że chociaż prawdą jest, iż z biegiem dziejów człowiek przeciętny postępuje ustawicznie, iż się coraz bardziej uspołecznia i szlachetnieje, a więc możnaby uważać uobyczajenie, uspołecznienie i uszlachetnienie za przyszły kierunek, w którym pójdzie, lub pójść może ludzkość; prawdą jest także, iż w każdym przeciętnym człowieku mieszka zwierzę, które się łatwo budzi, i że upadek moralny, skłonność do powrotu, do stanu pierwotnego, skłonność do cofania się przy sprzyjających warunkach, które są bardzo liczne, wciąż się daje spostrzegać wśród najbardziej ucywilizowanych społeczeństw i odbywa się daleko prędzej i łatwiej, aniżeli uobyczajenie człowieka. W ten sposób prawdopodobny ruch ludzkości w przyszłości polegać może, zarówno na postępie jej ku lepszemu, jak i na dążeniu do cofania się, to jest na tem samem, na czem polegał dotychczas. Jaki będzie skutek ostateczny zbiorowych usiłowań ludzkich ku urządzeniu życia według przekonań, zależnych od chęci i uczuć, a nawet, czy może być ostateczny skutek tych usiłowań i jego wyraz, pewien niezmienny, stan społeczeństwa ludzkiego, któryby istniał już dalej bez przemiany? Co do pierwszego pytania, pozostajemy w zupełnej niewiadomości; co do drugiego, nasuwają się wątpliwości. To jedno jest pewnem, że ludzkość nie może pozostawać w stanie wiecznej nieruchomości.

Dążność ludzka ku lepszemu, ku możliwej doskonałości, jest formułą ruchu, nie odznaczającego się ścisłością. Wszelkie ideje i urządzenia są złe lub dobre, nie same przez się, ale w stosunku do ludzi. Stąd wszelkie zdobycze postępowe w pewnej epoce są ważne dopóty, dopóki trwają te warunki, wśród których ludzkość postąpiła w pewnym kierunku. Jeżeli przeminą te warunki, to odpowiedne ideje i urządzenia społeczne, których one były objawem, stają się już albo obojętnemi, albo wcale niepotrzebnemi, albo nawet szkodliwemi, wychodzą przeto z użycia, idą w zapomnienie, bo przemijają przyczyny, które je wywołały do życia, a z któremi dla tego pozostawały one w ścisłym związku. Ideje i obyczaje, powstałe gdzieindziej lub dawniej, stają się niezrozumiałemi

później, lub wśród innych społeczeństw, dziwnemi, bo ich nic do życia nie wywołuje.

Wobec przytoczonych argumentów jasną jest rzeczą, że o przyszłym ustroju ludzkości nic stanowczego powiedzieć nie można, chociaż należy przewidywać, że i przeszłość i obecność wpływ swój nań wywrzeć musi: wszystkie pragnienia i nadzieje, wszystkie wstręty i obawy ludzkie. Od każdej boleści i radości przeszłej musi zależeć przyszłość ludzkości, gdyż w świecie ludzkim nic nie ginie ostatecznie, tylko się przeobraża i przemienia, ruchy bowiem wszelkiej całości z duchów cząstek się składają i od nich zależą. Jaki tedy obraz przedstawiać będzie przyszła ludzkość, marzyć tylko o tem możemy, żywiąc zarazem przekonanie, że urzeczywistnić się tam mogą wszystkie nasze sny o szczęściu, wszystkie nawet utopje, obok urzeczywistnienia wszystkich obaw naszych co do zwierzęcej przyrody człowieka. Nie może to być ani raj, ani piekło. Będzie to coś, do zrozumienia czego potrzeba wyobraźni umiejętnej. Nie będzie to raj, bo stanąć temu na przeszkodzie mogą złe instynkty człowieka; nie będzie to znów i piekło, bo stanie temu na przeszkodzie wszystko, co jest w naturze człowieka lepszego, co się w nim wyrabia powoli w przeciągu wieków, dzięki życiu społecznemu, umożliwiającemu powstanie ideału możliwej lepszej przyszłości, spoczywającej w rękach ludzkich.

Odesa. *Feliks Bogacki.*

PAMIĘTNIK NIEMORALNEJ KOBIETY.

FRAGMENT Z NIEWYDANEJ POWIEŚCI.

Młoda kobieta pisała. Na małem, filigranowem biureczku, stojącem przy samem oknie, porozrzucane były arkusze jednakowego formatu i jednakowym czytelnym charakterem zapisane. Nierówne ustępy, przedzielające od czasu do czasu wiersze w różnych miejscach stronnicy, świadczyły, że pracę swą pisząca często przerywała, że choć ją systematycznie prowadziła, zasiadała jednak do pisania w różnych porach dnia, kiedy czas i inne może warunki na to pozwalały. Widocznie był to dziennik czy pamiętniki. Wiemy, że nieznajoma była mężatką; zwierzenia więc rzucane na papier nie mogły być pensjonarską rozrywką budzącego się do życia rozfantazjowanego umysłu, który nie jest w stanie pomieścić w sobie tłumnie gromadzących się, przelotnych, krótkotrwałych wrażeń. Dziennik ten musiał raczej zawierać ścisłą kontrolę myśli i czynów, którą prowadzić mogła tylko kobieta rozumna, myśląca i... nieszczęśliwa. Wyższe organizacje duchowe w szczęściu tylko czują potrzebę zbliżenia się do ludzi, którzy chętniej dzielą uśmiech niż łzę; niedola wyrabia w nich pewną delikatność pobłażliwą, stroniącą od zetknięcia się z codziennym egoizmem, i zamykającą się w pewnej kwarantannie nieszczęścia, która złemu dalej szerzyć się nie pozwala.

Wszystko zresztą, co otaczało piszącą, zostawiało po sobie jakieś dziwne wrażenie klasztornego odosobnienia. Ten gabinecik o jednem oknie z ciemnem obiciem w duży ciężki deseń, meble, modne wprawdzie, ale pokryte równie ciemną bronzową materją; na ścianach za całą ozdobę dwa portrety olejne wybornego pędzla, przedstawiające kobietę i mężczyznę w dość podeszłych latach, i pyszna sztychowana kopja Gwido Reniego głowy Chrystusa na chustce, wszystko to składa się na jakąś atmosferę surowości i zaparcia dziwnie odbijającego od młodej zupełnie twarzy piszącej kobiety.

W istocie sprzeczność stanowiła tu tylko młodość, bo rysy tej twarzy, nacechowane marmurowym spokojem, raziły ostrym wyrazem, którego na pierwszy rzut oka dokładnie niepodobna było ocenić. Mogła to być duma nieprzystępna, mogło być chwilowe skupienie ducha, odtrącające od siebie wszelkie zetknięcie ze światem zewnętrznym, mogło być nareszcie cierpienie wtłoczone gdzieś na dno serca i trzymane tam na uwięzi siłą żelaznej woli.

Za tem ostatniem przypuszczeniem przemawiały szczególniej oczy głęboko w orbitach zapadnięte i tlejące jakimś ogniem wewnętrznym, który przeświecając niby przez białe ściany alabastrowej urny, rozlewał na całą twarz łagodny światłocień, zacierający zupełnie wadliwy rysunek owalu i pewien nieład w konturach. Te rysy, które pojedyńczo wzięte nie wytrzymałyby żadnej krytyki, skupione ręką natury w taką a nie inną całość, miały własność zaciekawiania, którego stopień i natura zależały od siły zmysłu obserwacyjnego, rozwiniętego w patrzącym. Ktokolwiek jednak był tym obserwatorem, doznawał koniecznie jednego ogólnego wrażenia: czuł się wobec nieznajomej bardziej obcym, aniżeli wobec każdej innej pierwszy raz widzianej kobiety, — spostrzegał, że go od niej coś więcej dzieli, niż mur zwykłych względów towarzyskich, czuł się przykro onieśmielonym, i nie mogąc się oprzeć chęci poznania młodej kobiety, pragnął jednocześnie spoglądać na nią z jaknajdalszej odległości.

Odległość działała tu w sposób niezwykły; zamiast zaokrąglać nieprawidłowości rysunku, uwydatniała je bardziej, bo patrzący wychodził ze sfery działania tej pary wielkich, czarnych źrenic, których promienie zdawały się zakreślać pewne zaczarowane koło.

Wtedy dopiero spostrzedz można było, że twarz nieznajomej nie była piękną, że nos był niekształtnie do góry wzniesiony, że górna warga ust, grubsza znacznie od dolnej, nieproporcjonalnie na nią zachodziła, słowem, że całość daleką była od ideału linji i kształtów. A jednak kto raz widział tę fizjognomję niepospolitą i uderzającą jakimś nieokreślonym majestem, temu z trudnością przychodziło wyrugować ją z pamięci.

Są takie niepiękne kobiety, do których bezkarnie zbliżyć się nie można.

Słowa George Sand „że kobiety brzydkie, jeśli się podobają, rozbudzają nierównie gwałtowniejsze namiętności, aniżeli skończone piękności", — zawierają zarazem wielką prawdę życiową i wielką zagadkę psychologiczną.

Istota nasza duchowa, łaknąca nieskończoności, wiecznie goniąca za nieznanem, doznaje pewnego odrętwienia na widok każdej piękności skończonej... a z tego kontemplacyjnego odrętwienia rzadko wyradza się trwałe i głębokie uczucie. Miłość jest przedewszystkiem cudownym aktem twórczym, i najczęściej cofa się przed gotowemi ideałami. Jeśli między dwiema kochającemi się istotami niemożliwy jest proces wspólnego idealizowania nawet braków i usterków, jeśli w procesie tego idealizowania, jedno drugiemu nic swego użyczyć nie może, uczucie może się stać uwielbieniem, adoracją, ale przestanie być miłością. Tak tylko wytłómaczyć można ten dziwny fakt, że czynne i ruchliwe natury męzkie namiętniej przywiązują się do wad, aniżeli do zalet w kobiecie. Miłość potrzebuje domyślać się tego, co być może, szukać tego, co jest, stwarzać to, czego niema — potrzebuje działać — w bezczynnej kontemplacji gnuśnieje i umiera.

Jedno spojrzenie na nieznajomą przekonywało, że należy do kategorji kobiet, których piękność może być tylko dziełem tego arcymistrza i potężnego twórcy, co zwie się *uczuciem*... Czy spotkała je na drodze życia nieznajoma?... dowiemy się może, popełniając niedyskrecją, wczytując się przez

ramię piszącej w tajemnice pamiętnika: „Więc to dziś rocznica, — kreśliła z gorączkowym pośpiechem — nieznajoma... rocznica, dzień uroczysty, który nawet urzędownie obchodziłam z przyjaciołmi mego męża. Kiedy rzucam okiem poza siebie, nie chce mi się wierzyć, że to tylko trzysta sześćdziesiąt pięć dni upłynęło; kiedy spojrzę przed siebie dreszcz mię przejmuje na myśl, ile to jeszcze dni oddziela mię od spokoju niczem niezamąconego...

Spokój... spokój... mój Boże, czy ja mam dziś prawo wyraz ten nakreślić. Rok temu, kiedy opuszczałam dom rodzicielski, czyniłam to bez żalu, uciekałam od cudzej kontroli nad każdą myślą moją... do cudzego ogniska biegłam po spokój... Czegóż ja dziś żądać mogę?... i jak inaczej nazywa się spokój, do którego dziś wzdycham?... Śmierć! Panie przedwieczny ulituj się nademną i przebacz, jeśli bluźnię!...

. . . . . .

Śmierci wzywają tylko ludzie nieszczęśliwi. Więc ja jestem nieszczęśliwą!... Alboż ja wiem!... alboż życie dało mi punkt porównania, alboż ja mam wyobrażenie o tem, co jest szczęście? Niema go podobno na tej ziemi, niema go szczególniej w małżeństwie, bo przecie ja go szukałam wszystkiemi pragnieniami mojej istoty, szukałam uczciwie i sumiennie... napróżno.

. . . . . .

Może źle szukałam... Cóż to jest szczęście... Określono mi je jako zadowolenie wewnętrzne wypływające ze spełnienia obowiązków... Ja je spełniałam wszystkie, ach wszystkie... i czuję, jak gorycz straszna gromadzi mi się w sercu i wybucha w tem jednem rozpaczliwem pytaniu: Czy taki jest cel nierozerwalnego związku mężczyzny i kobiety?

. . . . . .

Szereg dni spędzonych tak, jak ja je spędziłam, począwszy od chwili wyrzeczenia przed ołtarzem jednego krótkiego wyrazu, nazywa się małżeństwem. Suma tych wszystkich wrażeń, których mąż mój przy mnie doznaje, nazywa się miłością... Jakież miano nadać temu co się do niedawnej jeszcze chwili składało na moje wewnętrzne usposobienie?... jest to przyzwyczajenie.

. . . . . .

„Tak, miał dziś słuszność ten okropny człowiek, z którym tak chętnie Alfred przestaje, a na którego widok nie wiem, dlaczego ja drżę cała, kiedy wyrzekł do mnie z dziwnym uśmiechem.

— Tak pani, bywa rozmaite szczęście na tym świecie... Pani naprzykład.. jesteś szczęśliwą przez nawyknienie... Nałóg łaskawa pani, to całe małżeństwo.

Prawie to samo słyszałam od ciotki Elfrydy, która powtarzała:

— Przyzwyczaisz się!...

. . . . . .

I przyzwyczaiłam się... choć mi to nie łatwo przyszło... Kiedym przestąpiła te progi, które na zawsze mojemi stać się miały, owionęła mnie jakaś zimna, przejmująca atmosfera... Zadrżałam pod wrażeniem tego strasznego chłodu... rozpacz mię ogarnęła. Myśl jedna, jedyna, nieodparta żadnemi rozumowaniami, zaświtała w rozgorączkowanym mózgu: „Uciekać, uciekać... pod ten dach, którego nigdy nie powinnam była opuszczać". Chciałam postąpić krok ku drzwiom... nogi się podemną zachwiały... Czułam jak mię otoczyły herkulesowe ramiona człowieka, który z łagodnym, pobłażliwym uśmiechem wyrzekł, patrząc w moje wystraszone oczy:

— Uspokój się, Natalko... jesteś w moim... w twoim domu... w objęciach twojego męża...

Szalona! byłam w jego domu, w jego objęciach, za późno, za późno...

Rok upłynął od owej pamiętnej chwili, a w ciągu tego długiego roku zapytywałam nieraz sama siebie:

— Dlaczego i poco ja jestem w domu tego człowieka?

. . . . . .

— Ja cię kocham, Nataljo, mówił mi okrywając ręce pocałunkami, w których była jakaś przestraszająca gwałtowność... ja cię kocham powtarzał rok temu siedząc w tym samym pokoju i przyciskając mię do piersi... i mnie też trzeba kochać... przysięgłaś mi to przed Bogiem.

— Przysięgłam przed Bogiem... trzeba kochać... spojrzałam z przestrachem na tego, który w kilka godzin po tej przysiędze już mi obowiązki moje przypominał... Był blady... wzrok jego był dziwnie zmącony, usta wykrzywione jakimś niezdecydowanym uśmiechem. Dreszcz trwogi i innego strasznego uczucia obezwładnił moją i tak bezsilną istotę... zamknęłam oczy, by nie widzieć tego spojrzenia zamglonego i straciłam przytomność.

. . . . . .

Od tego czasu oczy mego męża były barometrem jego usposobienia. I dowiedziałam się, czem jest miłość w małżeństwie... nauczyłam się poświęcać siebie samą dla spełnienia obowiązku — wszak nic nad to prostszego... tak mię uczyła religja, — tak do mnie w domu przemawiano. Ciało moje zahartowałam w marmur, pieszczoty przyjmuję jak lunatyczka, która po przebudzeniu się nic nie wie, co się z nią przedtem działo; do martwoty moralnej, z którą mię prowadził do ołtarza, dołączyłam martwotę fizyczną, i to zapewne nazywa się przyzwyczajeniem... To też dziś już nie zapytuję:

— Na co ja jestem w domu tego człowieka?

. . . . . .

Kto wie, czy taki stan nie jest właśnie szczęściem w małżeństwie. Kto wie, czy ja od życia nie wymagam niemożliwych rozkoszy? Cóżbym odpowiedziała, naprzykład, temu, ktoby mię zapytał:

— Czego ci brakuje kobieto?

Przed dwoma miesiącami zakłopotałoby mnie to pytanie... Dziś mam gotową odpowiedź...

. . . . . .

Po podróży zagranicę, odbytej z ojcem, uczułam w sobie stanowczą jakąś zmianę. Jechałam leczyć się z tej dziwnej bezsilności, z tego odrętwienia, którego źródła, jak dziś widzę, szukano wszędzie, tylko nie tam, gdzie należało; jechałam złamana, nie wierząca w nieomylność doktorów, niechcąca zresztą ani wierzyć, ani się wyleczyć. Życie było mi obojętnem, tak, jak wszystko, co z niem miało jakikolwiek związek; jedyną istotną radością w tej podróży było towarzystwo ojca.

Gdym się przy nim znalazła w wagonie sama, nieokreślona tęsknota pierś mi ścisnęła, z nim byłabym jechała na koniec świata i... nie wracała więcej. Wiele, niezmiernie wiele, w tem uczuciu było namiętnego przywiązania córki, ale nie było też ono wolne od spoczywającego gdzieś na dnie serca zadowolenia, że przy moim boku nie widzę tego, który przez dziesięć miesięcy ani na krok mię nie odstępował.

. . . . . .

Wpływ, jaki ta podróż na mnie wywierała, był istotnie piorunujący. Z początku mąciło się okropnie w tej biednej głowie, dla której dach rodzinny był całym skończonym światem. Strwożona, nie pojmowałam, co się ze mną

działo, coś się przekształcało w najtajniejszych głębiach mej istoty; wyrywała m się do tego tajemniczego prądu, który kipiał wszędzie koło mnie, wabił nieznanemi mi dotąd ułudami, czarował rozpościerającemi w coraz dalszej, sinej odległości, — nieograniczonemi widnokręgami. Czułam, że mi w piersi coś topnieje, że mi z oczów spada jakaś łuska. Zaciekawiona, rozbudzona, olśniona, widziałam przed sobą niezrozumiałą dla mnie potęgę... życie.

. . . . . .

Życie me było mi nawet dotychczas zagadką, nie wiedziałam zupełnie o jego istnieniu. Jeśli w sferach oderwanych kazano mi się zastanawiać nad jego celem, to o rzeczywistości tak olbrzymiej, tak zawikłanej nie dano mi najmniejszego pojęcia.

Ta różnorodność stosunków między narodami i w każdem oddzielnem społeczeństwie, — ta kombinacja interesów i zadań między pojedyńczemi indywiduami, była z początku nad siły mego zastanowienia. Ostrocizna w objawach życia prześladowała oczy mojej duszy różnobarwnemi płatkami, ścigającemi mię nawet we śnie, jak tego, co długo patrzył na światło. Miałam w pewnych chwilach wzrok zasnuty mgłami nagromadzonemi z niezdrowego bagniska edukacji ciotczynej. Stopniowo jednak jasne promienie słońca przedzierały się przez te grube tumany, — poza któremi zaczęłam przeczuwać świat inny, wielki, majestatyczny, potężny, prawdziwe dzieło boskie, — i życie pełne twórczej energji, pracy, pełne wiary w teraźniejszość i ufności w przyszłość.

. . . . . .

Sama, o własnej sile, możebym zmysły postradała w tym odmęcie... Przykładać tak na każdym kroku ciasny, mizerny, domorosły schemacik do wszystkich stosunków ludzkich, do wszystkich symptomatów życia, obcinać, co za szablon przerastało, — dopełniać, czego brakło, — byłoby pracą herkulesową. Ojciec mi w niej pomagał z całym młodzieńczym zapałem, bo on także nie był wolen od pływów, które na mnie tak pochłaniająco działały... I dziwna rzecz — bardzo często kończyło się na zniszczeniu schematu. Zakłopotanie wtedy mojego drogiego rodzica było wielkie... a argument zawsze ten sam:

— Jesteś mężatką... kobietą obowiązkową... możesz dziś przyglądać się życiu ze wszystkich stron.

Te słowa, jakkolwiek przez takie usta wynurzone, brzmiały dla mnie jak *memento — mori*... ostrzegały mnie, że z tem życiem ja biedna nie mam nic wspólnego.

. . . . . .

Rozbudzona, jakby wskrzeszona działalność wszystkich moich władz, wyrywała się w różnych kierunkach. Znajomości zawierane w podróży zaczęły mię zajmować... przypatrywałam się ludziom zdziwionemi oczyma, jakbym ich pierwszy raz widziała... Przyjmowałam udział w ich troskach lub radości... jakieś dobre instykty budziły się gdzieś na dnie mego wyschniętego serca; jakieś wybuchy tkliwości szybko pierś moją podnosiły, doznawałam nieokreślonego uczucia zadowolenia, zdawało mi się żem wszystkich współpodróżujących jednakowo kochała... Było mi dobrze, lekko i swobodnie.

. . . . . .

Rozmów słuchałam z niesłychanem zajęciem. I obijały się o moje uszy rzeczy tak straszne, jeśli je było zestawić z tem wszystkiem, czegom się dotąd nasłuchała, a wychodziły z ust tak pogodnie uśmiechniętych, komentowane były spojrzeniem tak czystem i szlachetnem, żem sobie z przestrachem zadawała pytanie:

— Czy może być, ażeby czoła piękne i rozumne ludzi, co to wszystko głoszą, naznaczone już były piętnem potępienia?

Słyszałam jak dziewice jaśniejące urodą, ze śmiechem, który dźwięczał niby dzwonek głoszący hymn młodości, mówiły o szczęściu... słyszałam, jak młode matki, wpatrując się w modre oczęta swych niemowląt, śpiewały im półgłosem do snu piosenkę szczęścia...

— Mój Boże, powtarzałam z trwogą w sercu i z zarodem wątpliwości w umyśle, czyż ty ich nie nauczysz, że to wszystko marność, tymczasowa pielgrzymka, że ich udziałem cierpienie?

Świat... życie... szczęście... te trzy wyrazy oplotły mnie niby zwoje węża laokonowego... Gorączkowo pragnęłam światła... rozproszenia ciemności... Zaczęłam wątpić...

. . . . . .

Nie mogąc rozumieć ludzi, zwróciłam się do książek... W dziejach szukałam tajemnicy napotykanych sprzeczności. Dlaczego ten naród żyje inaczej, niż tamten, dlaczego co innego kocha, co innego nienawidzi, w co innego wierzy, gdy mię uczono, iż wszystkie są dziećmi jednych rodziców? Dlaczego niemożna tym miljonom piersi nakazać wzdychać do jednakowego Boga, do jednakowych ideałów, do jednego szczęścia... Jakim sposobem z tylu różnorodnych dźwięków powstaje jeden akord, w którym niema niepotrzebnego tonu?... Więc po za dotykalnemi formami, w które człowiek oblókł pojęcia o początku i przeznaczeniu swojem, istnieje jakaś ogólniejsza, bardziej jeszcze oderwana ideja, która mieści i godzi w sobie te wszystkie sprzeczności... więc w tem co mnie nauczono, jest tylko odrobina prawdy, nie cała, bezwzględna, nietykalna prawda?

Na wszystkie te pytania odnajdywałam tysiące odpowiedzi komentujących się wzajemnie. Ludzie z coraz innych społeczeństw, przesuwający się przedemną jak w latarni czarnoksięskiej, zwyczaje, obyczaje, wszystko to było niezrównaną ilustracją do dzieł historycznych, które pochłaniałam, jakby przeczuwając, że na przetworzenie całej mojej istoty mam tylko te dwa miesiące czasu. Tysiące szczegółów z doby mego kształcenia się domowego nagle obudzało się w mej pamięci. Porównywałam, wnioskowałam, rozumowałam... myślałam...

Od tego czytania obłęd mię czasem napadał; ściskałam pałającą głowę w dłoniach, i w obcowaniu z naturą szukałam wypoczynku.

. . . . . .

A natura uczyła mnie po swojemu... Rzecz dziwna, że wobec najmajestatyczniejszych jej widoków nie doznawałam tego uczucia pognębienia i przeświadczenia o własnej nicości, o którem tyle razy mi opowiadano... Widząc, jak na stromym, zwieszonym nad przepaścią cyplu skały gazella szukała sobie trawki, śledząc lot orła w lazurach okalających różowe Alp wierzchołki, stojąc u podnóża gór niebotycznych, lub dumając nad niezmiernemi morza obszarami, nie zazdrościłam gazelli ani orłowi, ja, która myślą sięgnąć mogłam wyżyn dla nich niedostępnych, nie rozpływałam się w uczuciu mej nicości, ja, której trzeba było tylko busoli do żeglowania po oceanie nieskończoności. Natura, jak tkliwa matka, przytulała mię do swego łona, kojąc wszelkie bóle zwątpienia, karmiła mię, niby mlekiem, uzdrawiającem powietrzem i pierś moją napełniała nieznanem mi dotąd zadowoleniem z życia. Oddychałam swobodnie, upajałam się rozkosznemi woniami, któremi wszystko około mnie oddychało... Sam na sam z naturą doznawałam nieśnionych nigdy rozkoszy... nie obawiałam się tej sa-

motności, nie obawiałam się grozy, którą niekiedy zdaje się ona chcieć przytłaczać słabego człowieka... We wszelkich jej objawach widziałam tylko formy życia drgającego we wszechświecie. Odnalazłszy wszędzie to tętno, czułam się owładniętą przeświadczeniem nierozerwalnej łączności z życiem. Uczucie to wychodziło na jaw w rzewnem wzruszeniu, które mi łzy z oczów wyciskało... Potrzebowałam złożyć hołd temu bóstwu odwiecznego i nieskończonego życia. Modlitwa moja była bez słów... składałam ręce i, utkwiwszy załzawione oczy w siną nieskończoną oddal, jednem z głębi serca westchnieniem korzyłam się wobec tajemnic życia... Powoli spadał z mej piersi gniotący ją od tak dawna ciężar... chciałam żyć... żyłam...

. . . . . .

Wtedy dopiero pojęłam sztukę... po życiu w naturze, po życiu w społeczności, był to najwyższy stopień życia... w ideałach. Jakże różną była ta kraina, po której prowadziły mię najpotężniejsze gienjusze świata od wyśnionego niegdyś przezemnie królestwa, do którego na skrzydłach nieokiełznanej fantazji chroniłam się przed życiem i przed sobą samą! Przeczuwałam, że sztuka nie jest ucieczką od życia, że zrywać z niem nie może pod karą utracenia jedynej i niezbędnej podstawy. Zaczęłam rozumieć różnicę między drobną, codzienną, małą *powszedniością*, a wielką, wszechstronną i niedokładnie pojmowaną *rzeczywistością;* z trzech ogniw życia: natury, społeczności i sztuki, ja się czułam środkowem: sama wychodziłam z natury, ze mnie, z człowieka brała początek sztuka, między nami panuje cudowna solidarność... a ta solidarność to właśnie zupełne, skończone, doskonałe życie.

. . . . . .

Nie mogę zapomnieć pewnego spotkania w nowej pinakotece mnichowskiej. Stałam przed płótnem wyobrażającem „Śmierć Wallensteina“... stałam zdumiona, oczarowana, niemal przygnębiona tą sceną mistrzowską w swej prostocie... Nie mogłam sobie zdać sprawy z tej tajemniczej potęgi talentu, która artyście daje możność tak ograniczonemi środkami wywoływać trwałe, niezatarte wrażenie... Całe życie będę pamiętać ten obraz i komentarz wygłoszony przez jakiegoś nieznajomego, który wraz ze swoim, widocznie młodszym od siebie, towarzyszem, w głębokiej zadumie przypatrywał się malowidłu z drugiego kąta sali. Artysta przedstawił alkowę na wpół przysłoniętą ciemną firanką, z poza której rysuje się wspaniałe łoże. Przed łożem na poprzek leży rozciągnięty trup wodza, na który spogląda ponuro jakaś postać z twarzą w części rondem kapelusza, w części płaszczem przysłonięta... oto wszystko. Malarz z zadziwiającą śmiałością odrzucił na bok zwykłe efekty, które mógł z tego faktu wydobyć; zamiast sceny pasowania się Wallensteina z napastnikiem, zamiast gromady sprzysiężonych, zamiast krwi i żelaza, zamknął nieporównanie wyższą dramatyczność w chwili po spełnieniu zbrodni. Ukośne spojrzenie na ciało wodza, postaci wysuwającej się jak cień z komnaty Wallensteina, jakby dla przekonania się, czy nie drgają w nim jeszcze jakie resztki życia, od którego zawisły losy Europy — to cała filozofja tej dziejowej chwili, traktowanej przez artystę z prawdziwą mistrzowską skromnością.

Gdy tak w niemej zadumie przywoływałam przed oczy główne epizody wojny trzydziestoletniej, posłyszałam urywek rozmowy między dwoma nieznajomymi, podziwiającymi arcydzieło pędzla.

— Dlaczego — spytał młodszy — przed tem płótnem byłbym zdolny spędzać całe godziny w zachwycie, którego nie jest w stanie obudzić we mnie Madonna sykstyńska?

— Bo jesteś dzieckiem swego wieku, odrzekł starszy z smętnym uśmiechem.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że niby celnik nowożytny, nie wejdę do królestwa ideałów.

— Bynajmniej... Zaznaczam tylko fakt, żeś, jak większa część nowego pokolenia, zimny wobec ideału Rafaela.

— Jestże to niższość, czy wyższość nasza?

— Ani jedno, ani drugie, ale poprostu różność.

— Różność ludzi, czy ideałów?

— Rozumie się, że ideałów. Sprzęż sobie kiedykolwiek dla zabawki bilans dziejowy, przekonasz się, że człowiek nie zmienia się wcale, bo suma materjalnych i duchowych pierwiastków we wszechświecie jest zawsze jedna i ta sama. Ale zmieniają się formy bytu, — a więc i ideały. Sztuka, tak jak historja, nie powtarza się. Ideały religijne minęły i nigdy już nie wrócą. Brak im podstawy, bez której istnieć nie mogą: wiary. Przejrzyj wszystko, cokolwiek wydała najświetniejszego sztuka dzisiejsza na polu malarstwa religijnego i porównaj z jedną z tych długich, chudych, bezcielesnych prawie postaci i średniowiecznych świętych, bezimiennego pędzla. Rozśmiejesz się z rysunku, wzruszysz ramionami na koloryt, ale schylisz czoło przed wyrazem wzniesionych oczów, z których świeci to, co dla ciebie na zawsze zagasło... zachwyt ascetyczny.

— A cóż my mamy na miejsce tej wiary, która cuda takie stworzyła?

— My mamy przekonania, nie gorsze, według mnie, od wiary, skoro za nie również cierpieć potrafimy.

Młodzieniec, widocznie artysta, pokręcił głową z powątpiewaniem, a spuściwszy ją potem na piersi, rzekł smutnie:

— Ja nie wchodzę w to, co lepsze lub gorsze, ale w czem silniejszy pierwiastek natchnienia.

— A któż ci powiedział, że go nie mają przekonania?

— Chodźmy, chodźmy stąd, — rzekł zcicha ojciec, starając się uprowadzić mnie z sali.

Jakaś gorączkowa ciekawość przykuwała mię do miejsca, i dziwnie mi w uszach brzmiał spokojny, mierzony głos nieznajomego, w którym dźwięczała tylko siła bez śladów uniesienia.

— Daj trzydziestoletnią wojnę za temat ówczesnemu malarzowi i artyście naszej doby, zakończył nieznajomy, będziesz miał dwa obrazy jak dzień i noc do siebie niepodobne: z pierwszego mówić będzie do ciebie religja, z drugiego historja. Nie potrzebuję dodawać, który z tych dwóch ideałów jest waszym ideałem. Wiem, że będziecie malowali i religijne obrazy, ale wzory mistrzów-wiary zostaną dla was niedoścignione, tak jak w rzeźbie nie osiągniecie nigdy doskonałości starożytnych... Inaczej być nie może.

Byłabym jeszcze dłużej słuchała tej rozmowy, która dziwne we mnie struny poruszała, gdyby ojciec przemocą prawie nie wyciągnął mnie na ulicę. Wychodząc z sali, spojrzałam na nieznajomego. Wrażenie było przelotne, ale trwałe; spostrzegłam twarz bladą, zmęczoną i piękną jakimś niezwykłym, duchowym odblaskiem... Było coś tycjanowskiego w tej głowie na wpół łysej, na którą padał z góry przez okna galerji promień słońca, połyskliwie cieniując piękną, ciemną brodę, przy której zacieniała się jakaś ogólna nieprawidłowość rysów... Nie wiem dlaczego obejrzałam się jeszcze razy kilka... Jestem pewna, że spotkawszy nieznajomego, natychmiast-bym go poznała.

. . . . . .

Jeszcze kilka miesięcy takiej wędrówki w pośród natury, ludzi i dzieł

sztuki, a byłabym bezpowrotnie potargała więzy, któremi od dzieciństwa umysł i serce mi oplątywano. Niestety, przeznaczeniem mojem było znać tylko pasowanie się z najróżnorodniejszemi prądami życia, które się koło mnie krzyżowały, niszcząc wzajemnie swe siły, a mnie w jednym punkcie wśród wzburzonych jego fal utrzymując. Otrzymałam list od Alfreda — trzeba było wracać do domu.

Do domu!... do siebie... którejże z młodych kobiet serce silniej nie zabije na te wyrazy, zamykające w sobie cały świat wymarzonych rozkoszy! Moje serce także nie zostało spokojnem, ścisnęła je trwoga nieokreślona; zabiło gorączkowo, ale obawą jakiejś walki między tem, co niedawno w niem się zrodziło, a tem, co zastanie koło siebie. Mimowoli przypomniałam sobie tę stanowczą chwilę mego chmurnego żywota, kiedy mię oddawano pod opiekę ciotki Elfrydy. Czułam, że coś stracę, że strata będzie niepowetowaną, a nie wiedziałam dokładnie, czego powinnam żałować. Nagły powrót do domu pozostawił mnie w mgłach niewyraźnych przeczuć, po za któremi już zaczęłam inne, prawdziwe odgadywać światy. Gdyby te przeczucia miały były czas skrystalizować się w jasne, określone pojęcia, stanęłabym przynajmniej uzbrojona do walki, kiedy już walka miała być jedyną treścią mego istnienia. Ale wracałam słabsza jeszcze na duchu, słabsza dręczącem rozdwojeniem, targana między pół snem pół jawą, podobna do istoty pogrzebionej w śnie letargicznym, która na chwilę łudzi się nadzieją ratunku i powtórnie obumiera w stokroć sroższych męczarniach.

. . . . . .

Nie mogę zamilczeć o wydarzeniu w Szwajcarji. W tych dwóch miesiącach podróży, zdawałoby się, że każdy dzień miał być dla mnie jakąś pełną znaczenia nauką.

Stałam z ojcem na Moście Djabelskim. W sercu było mi tak ponuro jak na dnie przepaści, nad którą zwieszona patrzyłam na fale wodne rozpryskujące się po skałach. Posępna przyroda nie przemawiała już do mnie tym samym, co dawniej, językiem. Fatalistyczne instynkty, jak stado sępów, mózg mi obsiadły; gdziem tylko spojrzała naokoło siebie, widziałam na tych czarnych wiekowych opokach śmierć wypisaną wyraźnemi głoskami.

— Ojcze — zagadnęłam — dlaczego przepaść przyciąga?

— Jak wszystko, — co nieznane, odrzekł spokojnie, trzymając mię silnie za rękę.

Ta odpowiedź ugodziła mnie w samo serce, jednym wyrazem, określając całe dwa miesiące moich szamotań się samej z sobą.

— Więc wszystko, co nieznane, jest przepaścią? — zapytałam, trwożnie się wpatrując w pogodne oczy ojca, gdy krzyk w przeciwnym końcu mostu przerwał naszą rozmowę.

Oboje szybkim ruchem zwróciliśmy się ku stronie, skąd krzyk pochodził. Około krawędzi mostu stał młody, piękny mężczyzna, podtrzymujący zemdloną, również młodą kobietę, której głowa bezwładnie zwisła mu przez ramię.

Podbiegłam ku pięknej parze, ofiarując flakonik z angielskiemi solami. Młoda kobieta wkrótce przyszła do siebie, a gdy otworzywszy oczy, ujrzała się w objęciach swego towarzysza, dziecinnie trwożnym ruchem przytuliła główkę do jego piersi, i zcicha wyszeptała:

— Zlękłam się śmierci... mnie przy tobie tak dobrze... jam taka szczęśliwa...

Oczy dwojga młodych ludzi spotkały się w wyrazie niemego, nieopisanego zachwytu.

— Miłość odciąga od przepaści, — rzekł ojciec z pewnym naciskiem, odchodząc od zakochanych.

— A gdzie jej niema?... spytałam ze zniechęceniem, spuszczając ręce.

— Tam jest obowiązek odparł sucho, jak gdyby pragnąc przerwać niemiłą rozmowę.

. . . . . .

Obraz na Moście Djabelskim i ostatnie aforyzmy wypowiedziane z tego powodu przez ojca ścigały mnie do samego domu. Im bliżej czułam się tych progów, które się mojemi nazywały, tem duszniej mi było w piersiach, tem widoczniej niknęły jeden po drugim wszystkie zbawienne skutki dwumiesięcznej fizycznej i moralnej kuracji. Stan gorączkowy powracał, silniejszy może, niż przedtem. Sny, straszne jakieś, nużące, dręczyły mię po całych nocach. Jeden, najdziwniejszy, do dziś dnia pamiętam. Zdawało mi się, że stoję na Moście Djabelskim. Koło mnie zjawił się nagle Alfred i przemocą usiłował mnie uściskać. Wyrywałam się z jego objęć, i biegłam na drugi koniec mostu, słysząc za sobą ciągłą pogoń. Oparłam się nareszcie o poręcz dla obronienia się od napaści, ale uczułam nagle, jak dwie silne ręce popchnęły mię w przepaść przez parapet. W tem szybkiem spadaniu z góry na dół było coś przerażającego. Ale jakież było moje zdziwienie, gdy, lecąc z tej zawrotnej wysokości, na połowie drogi spostrzegłam stojącego mężczyznę, który jedną ręką sam trzymał się wątłego krzaku, chroniąc się przed upadkiem z gładkiego prawie cypla skały, drugą wyciągnął dla ratowania mnie od śmierci. Gdy tak całym ciężarem coraz szybciej ku przepaści leciałam, opasało mię nagle to zbawcze ramię i wtedy spostrzegłam, że tym, który mię wyratował, był nieznajomy z monachijskiej galerji obrazów. Jeszczem nie zdołała ochłonąć z wrażenia po tym niespodziewanym widoku, kiedy nieznajomy puścił z jękiem gałązkę, której trzymał się dotąd konwulsyjnie i oboje runęliśmy w spienione nurty.

Zamknęłam oczy, pewna będąc, że nadeszła moja ostatnia godzina. Płynęliśmy oboje przeciwko prądowi, nieznajomy, pracując rozpaczliwie jedną ręką, ja, czując, że krępuję jego ruchy, i że przyczynię się do prędszego zatonięcia... Otworzyłam oczy i spojrzałam w górę... nad krawędzią mostu, na niesłychanej wysokości spostrzegłam twarz Alfreda, który ze strasznym uśmiechem przypatrywał się naszemu pasowaniu się ze śmiercią. Nieznajomy słabł coraz bardziej i już widziałam otwierającą się przed nami otchłań wodną, kiedy dostrzegłam pływający przed nami koniec jakiegoś sznura, ginącego gdzieś we mgłach wysoko.

— To może od dzwonu na trwogę — powiedziałam na wpół do siebie na wpół do mego towarzysza.

Ożywiona tą nadzieją targnęłam za sznur z całej siły i w istocie usłyszałam odgłos dzwonu. Ale nie były to zwykłe spiżowe dźwięki wzywające na pomoc. Do moich uszów, dręczonych już szumem dostającej się potrosze wody, dolatały jakby wydzwaniane wyrazy, które systematycznie na trzy tempa się powtarzały:

— Mężatka, mężatka, mężatka...

A tam na górze temu szyderczemu dzwonieniu wtórował głośny śmiech Alfreda.

Straszna, śmiertelna trwoga owładnęła mię, jakby w tej chwili rozpoczęło się moje konanie.

Żelazny uścisk mego towarzysza wolniał widocznie... ja coraz szybciej za sznur dzwonu pociągałam, który coraz głośniej niepokoił okoliczne echa, wołając:

— Mężatka, mężatka!

Aż wynurzyła się z wody jakby postać ciotki Elfrydy, która wprost ku nam płynęła. Twarz jej była groźna, nienawiścią tchnąca. W ręku miała różaniec, którego krzyż silnie ścisnąwszy, samemi paciorkami krwawo czerwonemi zamierzyła się na nas.

Czułam, że to śmierć się przybliża. Ale umrzeć trzeba było w każdym razie, bo nieznajomy ostatka sił już dobywał.

Jeszcze targnęłam za dzwon, który słabo tylko raz jęknął:

— Mężatka!

I uczułam uderzenie w głowę, które mię przytomności pozbawiło. Zimna fala twarz mi oblała, a tam pod wodą rozległ się świst jakiś przeraźliwy...

Obudziłam się... Byłam na stacji... byłam w domu. Po rozpalonych policzkach spływała mi woda, którą stojący przy mnie ojciec starał się mię cucić z omdlenia. Przez okno wagonu widziałam oczekującego uśmiechniętego Alfreda... Sen się skończył... rzeczywistość miała być dalszym jego ciągiem.

. . . . . .

„Miłość odciąga od przepaści" — mówił ojciec — wytykając jakoby w tych słowach nową drogę życia... O, Bóg mi świadkiem, żem po niej pójść pragnęła. Modliłam się o miłość jak o zbawienie, a czułam, że modlitwa moja jest jakby bez przedmiotową, że nie wiem sama o co ręce składam do Boga miłości. W sercu czułam straszną próżnię, w myśli nie stworzyło się nawet pojęcie o tem, jak to się kocha. Mąż mój zresztą zdawał się bynajmniej nie dostrzegać tego braku... on *kochał,* i to mu wystarczało!

Ileż to razy przedsiębrałam uczciwą próbę z samą sobą, ile razy chciałam wzbudzić w sobie to, co się nazywa miłością! Przeczucie mi mówiło, że ci dwoje młodych na Moście Djabelskim kochali się; patrzyłam więc długo w oczy Alfreda starając się choć w przelocie schwycić w jego spojrzeniu wyraz, z którym młody człowiek powitał powracającą do życia towarzyszkę.

Jakże strasznie byłam karaną, jak odmiennie były tłómaczone moje intencje... Na usta Alfreda występował dziwny jakiś pół uśmiech, oczy zachodziły szklistą powłoką... chciałam się wyrwać... uciekać... napróżno...

. . . . . .

Jam nie kochała męża, to już nie ulegało żadnej wątpliwości. W dniu, w którym ten pewnik jasno i niezbicie stanął mi przed oczyma, możnaby powiedzieć, że jakiś chwilowy spokój wstąpił w moją duszę. My biedne, zawsze niedołężne niemowlęta, które żadnego udziału we własnych losach nie bierzemy, mamy zawsze gotowe recepty na życie.

— Tam gdzie niema miłości, jest obowiązek.

Precz ze wszystkiem, co nie jest obowiązkiem. Dalej na dno serca westchnienia za życiem pełnem doskonałości, złożonem z miłości i wiedzy, dalej do najskrytszych kątów mózgu na wieczne przechowanie te zasoby nagromadzone przez dwumiesięczną pracę wytrwałą. Wszystko to nieznane, to przepaść, to grzech. Rzuciłam się na kolana do modlitwy... O ja nieszczęśliwa!... modlitwa nie przychodziła... usta szeptały wyrazy bez związku, w których dusza najmniejszego nie brała udziału.

Boże, Boże, co ze mną będzie!... jam straciła zdolność do modlitwy nałogowej, do modlitwy, praktyki, a inaczej modlić mi się nie wolno. Myśl moja nie może już z zachwytem błądzić po tych laurowych pałacach, gdzie On w niezrównanej chwale, w majestatycznej obojętności króluje wpośród aniołów...

Ja Go szukam koło siebie w życiu mojem, w mojem nieszczęściu, ja go zapytuję dla czego, dla czego?... i nie mam odpowiedzi.

O pocom ja oczy otwierała, poco patrzyłam, poco widziałam, kiedy z dawną ślepotą tak mi było spokojnie tak zacisznie... oddajcie mi dawną martwotę, dawny spokój.

Naprożno... Fatalność sprawiła, że zanim jeszcze stałam się inną, już tą samą być nie mogłam. Fatalność!... To zabójcze pojęcie, nanowo i z większą, niż kiedykolwiek siłą zapanowało nademną. Tylko dziś, rozbudzona i w pewnym stopniu rozwinięta indywidualność moja, silnie przeważający element myślowy, nadały mu odmienną jakąś barwę: była to potworna mieszanina greckiej *ananke* i wschodniego fatalizmu, ubrana w mistyczną szatę Śgo Augustyna. Głębokie przekonanie, że byłam przeznaczoną na cierpienia, obudziło uśpione na chwilę pragnienie zadawania sobie męczarni i moralnych maceracji. Przyszedł mi do tego w pomoc, jak zwykle, jeden nędzny paradoks:

— Przed podróżą moją — mówiłam do siebie — wypełnianie obowiązków przychodziło mi bez żadnej trudności. Stan apatji, odrętwienia, w jakim się wtedy znajdowałam, nie dopuszczał żadnych cierpień, żadnej walki, żadnego zaparcia. Dziś co innego, dziś poznałam zwodnicze ułudy innego życia, innego świata. Cała moja istota wydziera się chwilami do tej egzystencji. Odepchnąć od siebie te wszystkie pokusy, wyrzec się tego, co nie jest domowem ogniskiem, grzać się przytem ognisku, choć w niem żaden ogień nie tleje, z uśmiechem przyjmować pieszczoty męża, którego się nie kocha, skrępować serce, by za silnie nie biło, przykuć myśl na uwięzi, by nad *przepaści* nie wzlatywała, podsycać walkę między starem i nowem *ja*, aby bólu na całe życie starczyło, — słowem: poświęcić się z zupełną wiedzą o ogromie dopełnionej ofiary, — oto będzie najwspanialszy hołd złożony *obowiązkowi*.

I krwawiłam własnemi rękami moje serdeczne rany, rozdzierałam dobrowolnie moją istotę moralną, doznając przy tem dziwnego uczucia graniczącego z rozkoszą, kąpałam się w cierpieniu, a jeżeli w tych szalonych zapasach siły mię zdradziły, padałam na kolana przed tą zakrwawioną głową Chrystusa błagając o niedoścignione szczęście śmierci męczeńskiej.

Tak przeszły dwa długie miesiące, tak nadszedł dzień dzisiejszy, który jest powodem, że rzuciłam po za siebie okiem na ten okres czasu dowolnie rokiem zwany, a dla istot mnie podobnych zawierający całe wieki udręczeń. A co widać przedemną?

. . . . . .

Przedemną widać najstraszniejszą klęskę, jaką człowiek widzieć może... przedemną rutyna w nieszczęściu, powolna utrata godności w cierpieniu, zgryźliwa drobiazgowość w boleści, rozpacz ujęta w karby życia codziennego, potem coraz łatwiejsze tranzakcje z sumieniem i wyrobienie sobie sztucznego organu oddychania w tej atmosferze, przeciwko której walczyłam tak zawzięcie. Ha, stanę się może szczęśliwą przez przyzwyczajenie!

Warszawa. *Władysław Bogusławski.*

PRAWO MAXWELL'A.

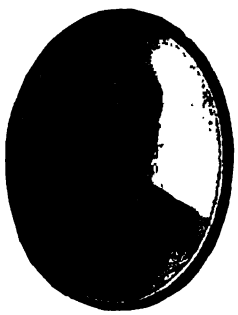

Błądziłby ten, ktoby przedstawicielom nauki ścisłej odmawiał wyobraźni i tych wogóle składników inteligencji, które warunkują powodzenie twórczości artystycznej. Gmach nauki jest wzniesiony nie samą wiedzą (scientia), tak jak i w katedrze św. Piotra nie same są tylko kamienie, lecz i równie ważna, jeśli nie ważniejsza od nich, myśl ludzka.

Żywa, twórcza wyobraźnia, niecofająca się przed najśmielszem porównaniem, sprowadzająca do jednorodności najodleglejsze i najsprzeczniejsze napozór zjawiska, była zawsze właściwością tych umysłów, które najściślejsze odłamy nauki tworzyły, lub na nowe i płodne posuwały tory. Tam, gdzie poeta lub artysta z profesji widzi spoczynek, martwotę i wszelki brak ruchu, tam uczony, za pozbawionego wyobraźni i polotu uważany, dostrzega ruchy zawiłe, o prędkościach przechodzących częstokroć wszelkie zmysłami oceniane. Tam, gdzie oczom człowieka, którego ogół uważa za obdarzonego żywą wyobraźnią, przedstawia się zupełna jednorodność, tam uczony dostrzega rozmaitość bez granic, bez końca. Ta przestrzeń, która otacza drut telegraficzny i która dla każdego jest jednolitem ciepłem lub zimnem, suchem lub wilgotnem powietrzem, dla uczonego jest różnorodnością, przetkaną myrjadami linji siły, posiadającą w każdym punkcie inne własności, inną energję, inną władzę wykonywania pracy.

Lecz czemże się różni wyobraźnia uczonego od wyobraźni artysty? Tem chyba, że pierwszej towarzyszy i towarzyszyć musi niewiara i krytycyzm do ostatnich posunięte granic, podczas gdy wiara ślepa zdaje się być zawsze towarzyszką drugiej. Uczony z obowiązku musi dowodzić i przekonywać, bądź to rachunkiem, bądź doświadczeniem, że pomysł jego jest słuszny, że wytwór jego wyobraźni jest obrazem przyrody. Rachunkowa lub doświadczalna kontrola i nigdy za duży szereg sprawdzianów i dowodzeń, obranych z wszelkiej djalektyki i deklamacji — oto jedyne rekomendacje, za pomocą których wytwór wyobraźni do gmachu nauki wprowadzić można.

Dzięki niezmiernie żywej a krytycznej wyobraźni twórczej Bernoulli'ego

(XVIII w.) i Maxwell'a (w ostatnich czasach), wznieśliśmy się w poznaniu gazów bardzo wysoko, bo oto, zakładając, że cząsteczki tych ciał poruszają się z dużemi prędkościami, i że są sprężyste, potrafimy już dziś rachunkiem przewidzieć własności gazów, a przewidywania nasze sprawdza doświadczenie, tak jak przewidywania astronomów sprawdzają się na sklepieniu niebios, czy to w zaćmieniach, czy w ruchach komet.

W tej, na wielkiej grze wyobraźni wzniesionej, kinetycznej teorji gazów, największe zasługi położył James Clerk Maxwell, umysł, którym przez długie wieki ludzkość chlubić się będzie. Jemu zawdzięczamy odkrycie prawa dotyczącego ruchów cząstek gazu, prawa, które z jego nazwiskiem w nauce jest związane.

Treści jego w całej rozciągłości przytaczać tu nie mogę, lecz postaram się dać o niem pojęcie, wystarczające do objaśnienia tego, co przy końcu powiedzieć zamierzam.

Gdybyśmy zdołali w kwarcie gazu (dajmy na to, wodoru) zamknąć cząstki posiadające zupełnie jednakowe prędkości, to na zasadzie praw mechaniki taki stan rzeczy trwałby bardzo krótko. Wskutek wzajemnych uderzeń jedne ze spotykających się cząstek zmniejszałyby swą prędkość, inne powiększałyby ją i już po pewnym czasie mielibyśmy wielką rozmaitość cząstek, z których pewne poruszałyby się bardzo prędko, inne zaś bardzo powolnie. Każdy obserwowany przez nas gaz taki właśnie przedstawia stan rzeczy: są w nim cząstki, bogacze o niezmiernie wielkich prędkościach; cząstki, nędzarze o prędkościach bardzo małych, a największość, szary tłum cząstek ożywia prędkość średnia, ani stosunkowo zbyt wielka, ani też zbyt mała. Lecz nie myślmy, aby dana pojedyńcza cząstka stale właściwą jej prędkość zachowywała, bo gdy cząstka o dużej prędkości spotka cząstkę poruszającą się powolnie, to w starciu tem pierwsza utraci, a druga zyska, jak tego chcą prawa uderzeń ciał sprężystych.

Otóż prawo Maxwell'a określa ściśle, ile z ogólnej liczby cząstek gazu posiada pewną określoną prędkość. Prawo to możnaby nazwać statystycznem prawem rozdziału prędkości, a uważać je należy za wynik prawa sprężystości. Głosi ono, że stan taki, w którymby wszystkie cząstki posiadały jednakową prędkość, z natury rzeczy musiałby być nietrwałym, i że musi się prędzej lub później zamienić na taki stan, w którym bardzo prędkich równie, jak i bardzo powolnych cząstek jest niewiele, a najwięcej cząstek o pośrednich prędkościach, i że taki tylko stan, osiągnięty po bardzo długim czasie, może być trwałym.

Prawo Maxwell'a da się zastosować i do społeczeństw. Podstawmy w poprzedniem rozumowaniu zamiast prędkości, zamożność, zamiast gazu społeczeństwo, a otrzymamy prawo rozdziału bogactw w społeczeństwie. Czy ono jest dla społeczeństw ilościowo takiem samem, jak prawo rozdziału prędkości dla gazów, to rzecz mniej ważna. Jest ono prawdopodobnie innem, bo prawa zamiany bogactw są inne, niż prawa zamiany prędkości w uderzeniu ciał sprężystych. Jakościowo jednak panuje wśród społeczeństw prawo zbliżone do Maxwellowskiego. Bardzo bogatych i zupełnie biednych jest niewielu, ludzi o przeciętnej zamożności jest najwięcej, ilością zaś jednych i drugich stale niewątpliwie rządzą prawa.

A jeśli podział bogactw nie jest właściwy i prawu nie odpowiada, to równie w gazach, jak i śród ludzi stan taki nie może być trwałym i wtedy wzajemne spotkania cząstek w gazach, a wpływ jednych jednostek na drugie w społeczeństwach, są dążeniem do osiągnięcia stanu Maxwellowskiego, który

jednak dopiero po nieskończenie długim przeciągu czasu w zupełności może być osiągniętym. Im bardziej jednak stan nietrwały jest różnym od stanu Maxwellowskiego, jedynie trwałego, tem szybszem jest dążenie do jego osiągnięcia.

Prawo Maxwella dotycze tylko gazów jednolitych lub jednorodnych mieszanin gazów niedziałających na siebie chemicznie. Gdy jednak do masy jednorodnego gazu wtargną obce cząstki, wówczas prawo Maxwella ustaje, następuje reakcja chemiczna, która naturalne dążenie do jedynie trwałego stanu Maxwellowskiego czyni niemożliwem. Chcąc więc w takim razie stan Maxwellowski osiągnąć, trzeba przedewszystkiem obce cząstki gazu działającego usunąć.

Warszawa. *Józef Jerzy Boguski.*

UNIKANIE CHOROBY ZAKAŹNEJ.

Badania ostatnich czasów, ugruntowane na trwałych podstawach biologicznych dają nam ważne wskazówki co do sposobu, w jaki najczęściej szerzą się choroby zakaźne. Ani w powietrzu, ani w wodzie, ani w ziemi nie znaleziono w większości wypadków zarazków, choroby wywoływać mogących; gdy zaś je znajdowano, to tylko wyjątkowo, przez czas bardzo krótki, lub też w razie, gdy bezpośrednie sąsiedztwo chorego umożliwiało dostawanie się zarazków do wody i powietrza. W wodzie znajdowano zarazki najczęściej w postaci osłabionej lub zgoła niedziałającej, jeżeli zaś złośliwemi się okazały, to już po upływie dwóch do trzech dni złośliwość owa znikała, najczęściej równocześnie z życiem samego zarazka. Troskliwe badania powietrza, wykonywane u nas i za granicą, wykazały również, że formy złośliwe w powietrzu się nie znajdują, lub tylko w blizkości chorych, i to w tych chorobach, których zarazki mogą przez czas jakiś zachować zdolność do życia, będąc w zawieszeniu. Zarazki w ziemi znajdowane wogóle są dla ludzi w wyjątkowych tylko razach szkodliwe, gdy większa ilość ziemi dostanie się pomiędzy tkanki głębiej leżące; najczęściej zaś zarazki te szybko umierają. Różne czynniki zewnętrzne, jak: brak lub nadmiar wilgoci, zbyt nizka lub za wysoka temperatura, a najbardziej promienie słoneczne, już w krótkim czasie, bo nieraz po kilku godzinach, zabijają bardzo nawet szkodliwe zarazki.

To też chcąc uniknąć chorób zakaźnych, nie należy obawiać się czynników atmosferycznych, ziemi, wody i powietrza, ale unikać bezpośredniego zetknięcia się z chorymi i ich wydzielinami. Nie należy przez to rozumieć, ażeby unikać zbliżania się do chorych; nawet pielęgnując chorego, jesteśmy w możności uniknąć choroby zakaźnej, jeżeli zachowamy czystość rąk i ubrania, oraz jeżeli nie będziemy przy chorych przyjmowali pokarmów i napojów.

Warszawa. *Odo Bujwid.*

WSPOMNIENIE O J. I. KRASZEWSKIM.

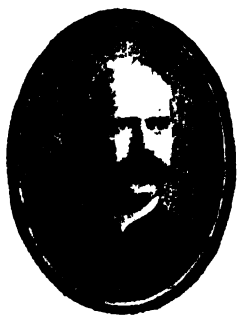

Znaną jest powszechnie bajeczna płodność literacka Kraszewskiego. Przeglądając wydany przez prof. Estreichera wykaz prac jego, trudno nieomal uwierzyć, że ta cała bibljoteka jest dziełem jednego człowieka, który prócz książek, oddzielnie wydawanych, zasilał swemi pracami wszystkie prawie czasopisma polskie, a prócz tego nadzwyczaj rozległą prowadził korespondencję.

To atoli mniej znaną jest rzeczą, że obok tej olbrzymiej naukowej i literackiej działalności miał Kraszewski dosyć jeszcze czasu, aby zajmować się pracami więcej mechanicznemi. Z własnych wspomnień dwa tego przytoczę przykłady.

Na początku roku 1871 drukowałem w drezdeńskiej drukarni Kraszewskiego rozprawę moją doktorską, traktującą o źródłach do abdykacji Jana Kazimierza i elekcji Michała Wiśniowieckiego. Jakkolwiek byłem mu nieznany i obcy, zajął się Kraszewski drukiem rozprawy tak gorliwie, jak gdyby drukarstwo było wyłącznem jego zatrudnieniem. „Papier, pisze mi w jednym z pierwszych listów, musi być dobry, wydanie piękne i poprawne. *Pierwsze korekty my zrobimy tu (ja sam),* ostatnią, Pan, *a rewizję po niej, ja*". Była to pierwsza wogóle korekta, jaką mi wypadało robić; nie byłem obeznany z jej techniką i dlatego trzeba mię było w ciągu druku pouczyć, jak się korektę robić powinno. Wypisuje tedy Kraszewski własnoręcznie i przysyła mi „informację co do znaków korekty" z przykładami. A na to wszystko miał czas w chwili, kiedy drukował kilka dzieł własnych i kiedy, jak pisze, był „chory i przygnębiony śmiercią córki i innemi kłopotami".

W kilkanaście lat później nieszczęsny proces zaprowadził go do twierdzy Magdeburskiej. Pracował tam, w więzieniu, nad historją cywilizacji w Polsce, do której potrzebny mu był wydany w roku 1643 Jarzemskiego wierszowany opis Warszawy pod tytułem: „Gościniec". Posłałem mu go do Magdeburga. Po niespełna dwóch tygodniach odsyła mi książeczkę i pisze pod dniem 6 lutego 1885 roku: „Z najgłębszą wdzięcznością pospieszam z odesłaniem cennej książeczki. *Sam ją całą przepisałem.* Dla mnie i dla mej historji

cywilizacji jest to nieoceniony materjał, chociaż trudno jest znaleść coś tak źle i głupio i niezgrabnie napisanego. A jednakże jest to rzecz w najwyższym stopniu ciekawa i ważna!"

Egzemplarz Kórnicki Jarzemskiego jest jedynym dotychczas znanym, braknie w nim, niestety, kilku kartek. Drugi egzemplarz znajdował się podobno w bibljotece Chreptowiczów w Szczorsach. Kraszewski domyślał się istnienia trzeciego egzemplarza w bibljotece Petersburskiej. Starał się o uzupełnienie defektów i obiecywał przysłać do Kórnika odpis brakujących kartek, gdyby je otrzymał. Starania jego były jednakże daremne. Dnia 5-go czerwca 1885 roku donosi mi, że „Jarzemskiego nigdzie ani śladu".

W dniu 21 czerwca 1885 roku pisze w sprawie innej książki, i to Podróży pani de Guebriant do Polski, dziękuje za przysłane różne książki i kończy słowami: książki są teraz jedyną moją pociechą, („Buecher sind jetzt mein einziger Trost"). Korespondencja bowiem nasza, podczas pobytu Kraszewskiego w twierdzy Magdeburskiej, toczyć się musiała ze względów policyjnych w języku niemieckim.

Na tem urwała się nasza korespondencja. Dalsze losy Kraszewskiego są znane, nie wiemy atoli, jaki los spotkał jego historję cywilizacji w Polsce. Sądzę, że ogół światłej publiczności byłby wdzięczny za wiadomość o stopniu obrobienia, w jakim ją autor pozostawił, a jeszcze wdzięczniejszy za wydanie tej spuścizny literackiej po tak znakomitym i nad wszelki wyraz zasłużonym pisarzu.

Kórnik. *Dr. Zygmunt Celichowski.*

UDZIAŁ KOBIET

W ŻYCIU DUCHOWEM SPOŁECZEŃSTWA NASZEGO.

Pierwsze objawy samoistnej, wyższą dążnością nacechowanej działalności kobiecej, spotykamy w XIII w. śród grona księżniczek, u których właściwa naturze niewieściej uczuciowość przybiera formę ascetycznej pobożności, łączącej się zwykle z uczynkami miłosiernemi. Miłość Chrystusa jest źródłem, z którego wypływa współczucie dla biednych i cierpiących. Grzymisława, Salomea, Kunegunda, Jolanta, Jadwiga otworzyły kobietom polskim dziedzinę życia duchowego, wpuściły promyk ideału do dusz ciemnych. Klasztory żeńskie (Norbertanki w Strzelnie 1190 r., Klaryski w Skale i Sączu od 1258 r.) jako wyraz budzących się w sercach kobiecych wyższych aspiracji, powstają współcześnie z pierwszymi przytułkami (szpitalami) dla biednych i chorych (w Sandomierzu 1222 r.). Budzące się życie duchowe, pod wpływem uczuć religijnych, wymagało odpowiedniego pokarmu. Łacina, nieprzystępna dla ówczesnych kobiet, nie nadawała się przytem dla wyrażania potrzeb serca. Uczucie szuka formy bezpośrednio je oddającej (wykrzyk, śpiew, muzyka) a jeśli przybiera formę pojęciową, to tylko język ojczysty może być jego wiernym tłómaczem.

Wobec trudności, jaką przedstawiało zarówno wyrażanie piśmienne, znakami alfabetu łacińskiego, nieznanych łacinie brzmień polskich, jak i odnalezienie lub wytworzenie polskich form wyrazowych na nowe pojęcia religijne, moralne i t. p. jedynie gorliwość religijna, stanowisko wysokie i zamożność pobożnych niewiast mogły stać się skutecznym bodźcem dla ówczesnych duchownych, do podjęcia niesłychanie mozolnej pracy, nad przełożeniem i napisaniem po polsku modlitw, psalmów a zapewne i choć kilku żywotów świętych. Że prace takie dokonywane były zwykle dla pobożnych księżniczek, świadczą znane nam szczegóły, tyczące się późniejszych, przechowanych dotąd zabytków.

Zgodnie z opinją współczesnych lingwistów polskich, dostrzegających w psałterzach: florjańskim i puławskim przeróbki oparte na dawniejszym znacznie przekładzie, podaje nam żywot św. Kunegundy, napisany w początkach

XIV w., iż ta księżniczka, fundatorka klasztoru Klarysek w Sączu (w którym zakończyła życie 1292 r.) miała zwyczaj odmawiać po dziesięć psalmów „in vulgari“ a więc po polsku.

Najdawniejszy z dochowanych większych zabytków polskich, Psałterz florjański został wygotowany, wedle wszelkiego prawdopodbieństwa, dla jednej z księżniczek z końca XIV w.

Znalezione dotąd modlitewniki z XV w. były przeważnie dla kobiet układane. W rękopisie bibljoteki peszteńskiej, wydanym 1870 r. pod tytułem: „Modlitwy Wacława“ tylko środkowa część jest ułożoną dla mężczyzn, pierwsza zaś i trzecia dla kobiet. Najwięcej znany zabytek, ogłoszony jako modlitewnik św. Jadwigi (w Poznaniu r. 1823) należał do jakiejś Nawojki (a może Jadwigi córki Jagiełły) żyjącej w XV w. Inny zbiór modlitw (ogłoszony przez Wisłockiego) należał do zakonnicy, siostry Konstancji. Najważniejszym krokiem w rozwoju piśmiennictwa polskiego w XV w. był przekład całkowity Biblji, dokonany przez Andrzeja z Jaszowic w Korczynie (ukończony 1455 r.) na żądanie królowej Zofji, żony Władysława Jagiełły.

Też same uczuciowe, religijne bodźce kierowały Jadwigą w jej zabiegach o utworzenie uniwersytetu krakowskiego.

Dwa najpierwsze druki polskie zostają w związku z potrzebami duchowemi kobiet wyższego ówczesnego świata. Wietor, wydawszy „Rozmowy Salomona“ 1521 roku, poświęca je Annie Kmitowej (z domu Tarnowskiej). Druga polska książka: „Żywot Chrystusa“ została przełożoną przez Baltazara Opecia dla Elżbiety ks. lignickiej (córki Kazimierza Jagiellończyka). Andrzej Glaber z Kobylina ogłaszając w polskim przekładzie „Problemata“ Arystotelesa, poświęca pracę swą Jadwidze Kościeleckiej. W przedmowie domaga się dla kobiet prawa do wyższego wykształcenia, wbrew opinji ówczesnych mężczyzn, którzy dozwalali kobietom tylko „modlitew a paciorków“. Pierwszy większy utwór Reja: „Żywot Józefa“ poświęcony jest królowej Izabelli (siostrze Zygmunta Augusta).

Humanistyczna oświata nie wywierała bezpośredniego wpływu na kobiety, jednakże podnosząc poziom umysłowy mężczyzn, ogładzając obyczaje, wpływała na ich towarzyszki pośrednio, drogą przykładu i rozmowy. Głębiej, bo bezpośrednio wpłynął na dusze kobiece prąd nowych ideji religijnych. Zmiana obrządków dokonana w tylu kościołach, żywe dysputy toczące się na zebraniach towarzyskich, liczne pisma w języku polskim, wszystko to musiało zainteresować pewną część kobiet, zamożniejsze mieszczanki i wielkie panie przedewszystkiem. W tym razie musiała wystąpić u wielu kobiet pewna praca myśli, polegająca na porównywaniu obrządków i zasad nowych z dawnemi. Liczne pisemka podsuwały gotowe już argumenta za i przeciw. Siłą skłaniającą (i to nietylko kobiece dusze) ku nowym zasadom był ideał moralny, promieniejący z kart podsuniętej teraz wszystkim Ewangelji, ideał działający na serca i wyobraźnie. Obudził on w duszy kobiecej chęć wypowiedzenia wypełniających ją myśli i uczuć. Dwie pierwsze autorki polskie: Zofia Oleśnicka i Regina Filipowska, noszą nazwiska dwu zagorzałych propagatorów nowych pojęć religijnych: Oleśnickiego Mikołaja z Pińczowa i Hieronima Filipowskiego z Chrzcięcic. Czy to były ich żony, czy bratowe, niewiadomo.

Biorą one widocznie udział w działalności kółka reformatorów małopolskich, przygotowującego, obok innych prac zbiorowych, zbiorowo także układany kancjonał.

Pieśń Filipowskiej, znana Wiszniewskiemu jeszcze, zaginęła; utwór Ole-

śnickiej przechował się w całości. Przystąpienie do tego kółka Reginy Bużeńskiej, podskarbiny koronnej (1572 roku) upamiętnił Trzycieski pieśnią, w której wypowiada w imieniu tej pani dziękczynienie Bogu za doznaną łaskę.

Reakcja katolicka (po 1572 roku) korzysta wielce z czynnego poparcia kobiet w sprawie zwracania do katolicyzmu, zakładania bractw, fundacji pobożnych i miłosiernych. Głos Skargi znajduje żywe echo w sercach kobiecych. Znaczenie kobiety jako czynnika w życiu społeczeństwa wzmaga się szybko.

Humanizm i z Włoch przyjęta ogłada obyczajowa przygotowują w sercach męzkich grunt dla rozwoju idealizmu miłosnego. Uczucie to uczyni kobietę panią serc męzkich, utoruje jej drogę, nietylko do udziału w życiu towarzyskiem, ale do przewodnictwa w zebraniach, dając władzę nad sercami, umożliwi wpływ na całą działalność mężczyzn polityczną i literacką zwłaszcza. Miłość Zygmunta dla Barbary, poezje miłosne Kochanowskiego i Szarzyńskiego są pierwszemi zwiastunami nowej epoki w dziejach kobiety polskiej. Świadomość swej potęgi i znajomość środków (ubiór, kokieterja, ogłada umysłowa) zacznie ona zdobywać w ciągu XVII wieku. Na tronie zasiądzie wtedy Marja Ludwika górująca rozumem i energją nad małżonkiem i całem prawie otoczeniem. Wiadomo, jaką przewagę posiadała Marja Kazimiera nad swym bohaterskim mężem. Odbiciem tego znaczenia kobiety w literaturze jest bogata poezja miłosna i romans. Poeci ówcześni piszą niekiedy wyłącznie dla kobiet („Nadobna Paskwalina“ Twardowskiego, po części i „Psyche“ Morsztyna).

Czasy saskie, epoka zaniku życia duchowego u szlachty polskiej, wysuwają na pierwsze miejsce kobietę górującą nieraz umysłowo w życiu rodzinnem i towarzyskiem i zajmującą opuszczone przez mężczyzn stanowiska. Obok Drużbackiej, całe grono zapomnianych dziś już autorek bierze się do pisania lub tłómaczenia przynajmniej. Inne poprzestają na czytaniu, i to nie tylko romansów. Urszula Radziwiłłowa, autorka wielu sztuk dramatycznych (wydane w Nieświeżu 1754 r.) czyta dzieła historyczne, prawne, geograficzne, gromadzi bibljotekę (do 9,000 tomów). Teresa Załuska, starościna rawska, sama prowadzi proces o zagrabiony majątek (1732—1740), sama staje w sądach i zdumiewa swą wymową, znajomością prawa i bystrością umysłową. Jedną z jej mów (? 1732 r.) jako wzór pomieścił Danejkowicz w swej „Swadzie polskiej“ (1745 r. t. I). Uczony astronom berliński, Bernouilli, opisując swój pobyt w Warszawie 1778 r., wylicza długi szereg polskich literatek.

Krasicki, z ironją odzywający się o pretensjach kobiet do uczoności, zaznacza przecie w znanym wierszu przewagę osiągniętą przez kobiety. Wraz ze świadomością tej potęgi i z ogładą francuską, kobieta zaczyna przyswajać sobie nowe pojęcia filozoficzne, polityczne, społeczne, zaczyna interesować się sztuką, nauką, życiem publicznem, odczuwać piękno natury a stopniowo i miłość dla ziemi ojczystej.

Uczucia narodowe przebijają się już w poezjach Drużbackiej; księżna Izabella Czartoryska i jej córka, Marja ks. Wirtemberska, dadzą tym uczuciom wyraz w działalności praktycznej i pismach.

Harmonijne zespolenie uczuć religijnych, narodowych i miłosnych, znajdujących następnie swe uzupełnienie w macierzyńskich, będzie teraz cechą ideału kobiecego, którego apostołką staje się pierwsza świadoma swego zadania wychowawczyni polskich kobiet: Klementyna Tańska (Hofmanowa). Jak poprzednio królowe i księżniczki tak teraz skromne nauczycielki będą torowniczkami życia duchowego i społecznej działalności kobiet.

Ostatnim momentem tego stopniowego rozwoju jest wprowadzenie ko-

biety polskiej na wyżyny życia duchowego: w dziedzinę myśli filozoficznej, wiedzy naukowej, twórczości artystycznej tudziesz pracy narodowej i społecznej. Torowniczką była tu skromna nauczycielka, Narcyza Żmichowska, u której właściwa kobiecie uczuciowość spotęgowała się w entuzjazm, dający zarazem polot umysłowi sięgającemu w sferę najwyższych zagadnień myśli ludzkiej i niezwykłą energją woli kobiecej zwracającej się do działalności społecznej i politycznej.

Ten pobieżny zarys przekonywa, iż cechą charakterystyczną rozwoju duchowego kobiety polskiej jest przewaga uczuciowości, przy stopniowem rozwijaniu się nowych jej form i czynników. Wobec gorączkowej dążności kobiet dzisiejszych do przyswajania rozległej, różnorodnej wiedzy, wobec zużywania zasobów entuzjazmu i energji na kształcenie umysłu jedynie, nie zaszkodzi przypomnieć, iż zarówno właściwości organizacji kobiecej jak potrzeby obecnej epoki, wskazują iż w sercu kobiety, w zasobach dodatnich uczuć, jakie rozwijać i pielęgnować powinna, leży główna siła i podstawa znaczenia jej jako potężnego czynnika rozwoju społecznego i narodowego.

Warszawa. *Bronisław Chlebowski.*

AFORYZM PEDAGOGICZNY.

Dlaczego to tak mało matek ma posłuszne dzieci? — pyta A. Ch. Jessen — Bo niewieścia natura składa się z samych sprzeczności. Ileż to bywa wybuchów, łajań, pogróżek, gdy się pojawi nieprzyzwoitość! A jakąż widzimy pobłażliwość, gdy się to powtórzy w najbliższym czasie! Jakimże to gniewem unosi się matka nad błądzącem dzieckiem i jak łatwo ulega namiętności, jakież to nazwy i słowa bez miłości i godności swojej nieraz z ust swoich wypuszcza, a jakże znowu po krótkiej chwili umie milczeć, całować, pieścić się i przymilać! Codziennie, co godzina czuje dziecko słabość matki, a wskutek tego błądzi pod względem pojmowania i pełnienia swoich obowiązków...

Kraków. *Józef Chmielewski.*

NATURALIZM

I NAJŚWIEŻSZE KIERUNKI ARTYSTYCZNE.

Coraz częściej w pismach francuskich, a za niemi i w naszych pojawiać się zaczynają zdania, że naturalizm w krótkiem swojem, bo 25-cio letniem zaledwie, istnieniu już się przeżył, że ustąpić musi miejsca nowemu jakiemuś kierunkowi twórczości artystycznej.

Na czem ten nowy kierunek ma polegać; jakie mają być jego zasady i jaka metoda, dotychczas nikt, o ile wiem, nie kusił się określić; widać tylko z wielu przeglądów literackich, że wśród poetów i powieściopisarzy objawia się niezadowolenie z Zoli i jego szkoły, oraz pragnienie utorowania sobie dróg odmiennych.

Jedni więc toną w mistycyzmie, lubując się jego nieokreślonemi, lecz uroczemi dla dusz subtelnych i marzycielskich przestrzeniami bez granic; inni starają się utrwalić w kreacjach artystycznych przelotne, często napozór nieuchwytne całkiem stany swej duszy, wywołane bodźcem wewnętrznym, czy zewnętrznym, zyskując tym sposobem dla uczuć osobistych, dla subjektywizmu nowe w poezji uprawnienie, które naturalizm, odtwarzający zewnętrzne, zaobserwować się dające objawy, zakwestjonował.

Jeżeli te zjawiska literackie, wynikłe przedewszystkiem z opozycji przeciwko panującemu w powieściopisarstwie francuskiem naturalizmowi, zechcemy oprzeć na jakiejś podstawie teoretycznej; to znajdziemy ją w tej zasadzie, oddawna już wygłaszanej, ale przez psychologją spółczesną wszechstronnie rozwiniętej, że my w gruncie rzeczy nie poznajemy i nie możemy poznać rzeczy, jakiemi one są po za nami, lecz jedynie tylko stany naszej duszy, przez owe rzeczy wzbudzone, czyli innemi słowy, nasze wrażenia i wzruszenia.

W rozwinięciu tej zasady i zastosowaniu jej do twórczości artystycznej można utrzymywać, że najmozolniejsze nawet starania, by się w granicach przedmiotowego odtwarzania utrzymać, nie zdołają wywołać zamierzonego skutku odbicia świata rzeczywistego, jakim on jest pozewnątrz nas, będą to bowiem zawsze tylko odbicia naszych wrażeń i wzruszeń, uwolnione, co prawda,

od cech przypadkowości, oparte na całym szeregu spostrzeżeń, czy, może nawet, doświadczeń, ale bądź co bądź przepojone naszemi poglądami, uczuciami i przyzwyczajeniami.

Sam naturalizm nie przeczy temu bynajmniej. W znanej jego formule, wypowiedzianej przez Zolę, cząstka świata, zanim znajdzie uzewnętrznienie w dziele sztuki, musi przejść przez temperament artysty, t. j. uledz przetworzeniu podmiotowemu. Naturalizmowi nie chodziło o wykluczenie całkowite subjektywizmu z zakresu twórczości artystycznej, lecz jedynie o trzymanie go na wodzy za pośrednictwem ścisłych, dokładnych spostrzeżeń i doświadczeń, o ile te drugie były możliwe. Takie żądanie było wynikiem wzmożenia się wpływu nauk doświadczalnych oraz protestu przeciwko dowolności w tworzeniu charakterów i sytuacji, dowolności, której mnóstwo przykładów znaleść było można w okresie romantycznym.

Gdy atoli w pismach naturalistycznych „tworzenie“ ustąpiło miejsca „odtwarzaniu“; gdy zwłaszcza mniej od Zoli utalentowani naśladowcy coraz częściej i w coraz wstrętniejszy sposób zaczęli nietylko już prozę, ale po prostu brudy życia na pokaz wywlekać i chlubić się z doskonałego odtwarzania błota i gnoju; zrodzić się musiała nowa opozycja, równie naturalna i równie konieczna, jak dawniejsza; a w głosie tej opozycji czuć potrzebę powrotu do szlachetniejszych, idealniejszych natchnień, których źródło, oczywiście, nie jest pozewnątrz nas, ale w nas samych, w duszy naszej.

W parnej, wszystkiemi wyziewami kuchni życia przepełnionej atmosferze odczuto konieczność dopływu świeżego powietrza z krainy uczuć, wzruszeń, wzlotów, porywów, któreby nas przeniknęły innemi wrażeniami, aniżeli te, jakich doznajemy wobec „Brzucha Paryża“; boć człowiek nie mięsem jest tylko.

Wymaganiu takiemu musi się niewątpliwie stać zadość.

Ale czy to znaczy, że zdobycze osiągnięte w artyzmie przez stosowanie metody naturalistycznej mają się w niwecz obrócić, mają być zupełnie zapomniane, a subjektywizm w znaczeniu romantycznem miałby tryumfować? Bynajmniej; nic się nie powtarza w dziejach bez zmiany, jak nic znowuż absolutnie nowego niemasz pod słońcem.

Nie samowola fantazji może być w przyszłości kierowniczką twórczości poetyckiej, gdyż potrzeba ścisłego badania siebie i innych zbyt silnie zakorzeniła się w umysłach spółczesnych, aby im wystarczyć mogły pierwsze lepsze majaczenia rozgrzanej głowy. Nie egotyczne uczucia mogą być w przyszłości zasadniczemi motywami w rozwijaniu tematów, bo konieczność wglądania w podstawy życia społecznego zbyt potężnie jest uznawaną i odczuwaną, ażebyśmy się mogli zadowolnić samolubnemi wylewami serca choćby gienialnej jednostki.

Ani mistycyzm, ani impresjonizm literacki nie wydają mi się prawowitemi następcami naturalizmu, są to bowiem objawy duchowe, więcej mające pokrewieństwa z dobą minioną, aniżeli z przyszłą; będzie nim, zdaniem mojem, „uduchowiony realizm“, w którym nabytki szkoły naturalistycznej w tem, co w nich jest trwałego, będą święcie przechowane, ale odrzucone zostanie dobrowolne zacieśnienie widnokręgu umysłowego, w którym przesuwają się pospolite, brutalne, głupie, niegodziwe, wstrętne zjawiska, a spotęguje się dążenie ku lepszym, idealniejszym pragnieniom, będącym wyrazami duszy, „której wszystko mało“, jak powiedział nasz Mikołaj Sęp Szarzyński.

W naszej literaturze nie było, o ile wiem, krańcowych objawów naturalizmu literackiego; u nas od czasu „Pana Tadeusza“ w mniejszym lub większym stopniu, stosownie do skali talentu piszących, ów „uduchowiony realizm“

znajdował zawsze gorliwych zwolenników. Raczej zamało jeszcze aniżeli zadużo zrobiono u nas w kierunku dokładnego obserwowania rozmaitych warstw społecznych, tak, że poczynający powieściopisarze wiele mają do zrobienia w tem, co ich poprzednicy przygotowali. Znać oni powinni, co się dzieje na polu literatury powszechnej, ale niech się nie pozwalają łatwo porywać hasłom i nawoływaniom, które gdzieindziej dają się zrozumieć z powodu przewagi jednego kierunku, lecz u nas byłyby tylko wynikiem powierzchownego, bo nie wywołanego rzeczywistemi faktami, lub potrzebami, naśladownictwa.

Swoboda w twórczości jest nietylko pożądaną, ale konieczną; lecz swoboda to — nie samowola, ani tem mniej — swawola. Stały kanon estetyczny, czy go wysnuje się z dzieł starożytności klasycznej, czy z naturalizmu spółczesnego, byłby niewątpliwie zawadą na drodze rozwoju duchowego, ale powodowanie się czysto podmiotowemi urojeniami nie może wydać dzieł pierwszorzędnej wartości.

Niema zresztą obawy o to, nikt nie jest tak silnym, ażeby się oparł działaniu przeszłości i otoczenia.

Warszawa. *Piotr Chmielowski.*

SPÓR SERBOW O POLKĘ.

W tomie I, na str. 159 „Novej Zety“, czasopisma serbskiego, wychodzącego w Cetynji, p. W. R[adojewicz] wydrukował następującą piosnkę ludową serbską, zapisaną w Nowem, w Czarnogórzu, którą podajemy w oryginale i dosłownem tłómaczeniu:

DVOJE COBANČADI.

Ovce čuva mlad' Jovane
Dvije godine,
Pored njega dobra poljka,
Dobra djevojka.
Kad nastade tréce ljeto,
Treća godina,
Oprema se mlad' Jovane,
Doma da ide.
Progovara dobra poljka,
Dobra djovojka:
„Ja ću s tobom, mlad' Jovane,
„Mladi čobane“.
„Ne mož'š sa mnom, dobra poljko,
„Dobra djevojko,
„Široko je ravno polje,
„Prošetat' ga ne'š;
„Visoka je Šar planina —
„Pregazit' je ne'š;
„Duboka je Bimber voda —
„Preplivat' je ne'š;
„Srdita je majka moja —
„Ugodit' joj ne'š“;
Opet veli dobra poljka,
Dobra djevojka:

DWOJE PASTERZY.

Owce pasie młody Janek
Dwa lata,
Obok niego dobra Polka,
Dobra dziewczyna.
Gdy nastaje trzecie lato,
Trzeci rok,
Zbiera się młody Janek,
Aby iść do domu.
Przemawia dobra Polka,
Dobra dziewczyna:
„Ja chcę iść z tobą, młody Janku,
„Młody pasterzu“.
„Nie możesz iść ze mną, dobra Polko,
„Dobra dziewczyno,
„Szerokie jest równe pole —
„Przejść go nie zdołasz;
„Wysoka jest Szar płanina*) —
„Przebyć jej nie zdołasz;
„Głęboka jest Bimber woda —
„Przepłynąć jej nie zdołasz;
„Gniewliwa jest matka moja —
„Nie zdołasz jej dogodzić“.
Znowu mówi dobra Polka,
Dobra dziewczyna:

*) Płanina znaczy płaskowzgórze, jak u naszych karpackich górali.

„Prešetaću ravno polje,
„Cv'jeće beruči;
„Pregaziću Šar planinu,
„Vjence pletući;
„Preplivaću Bimber vodu,
„Lice mijući;
„Ugodiću majci twojoj
„Tebe ljubeći".

„Przebędę ja równe pole,
„Kwiatki zbierając;
„Przebędę ja Szar płaninę,
„Wieńce splatając;
„Przepłynę ja Bimber wodę,
„Lica myjący;
„Dogodzę ja matce twojej,
„Ciebie kochający".

Do piosnki tej dołączył autor przypisek, w którym mówi, iż nie wie, czy wyraz „poljka" pochodzi od Polski, czy od pola; sądzi jednak, że prędzej od pola, niż od Polski.

Z powodu tego przypisku p. M. W. Weselinowicz zamieścił w tymże tomie „Novej Zety" na str. 266 następującą uwagę, której obchodzącą nas bliżej część podajemy w dosłownem tłómaczeniu: „Mnie się zdaje, iż wyraz „poljka" nie pochodzi od pola, a tem mniej od Polski, lecz, że jest to żeńskie imię chrzestne. Tak było na imię dziewczęciu, które pasło owce i należało je pisać Poljka a nie poljka.

Poljka jest formą zdrobniałą greckiego imienia chrzestnego Poliksenja, które przyjęło się u Serbów. I tak: około Morawy i Szumadji powszechnie znanem jest imię Poleksija, a od tego zdrobniała forma Pola, około Wordaru, Poliksenija i zdrobnienie Poljka, a około Jenicy Wordaru jeszcze i Sena. Mnie samemu znana jest jedna taka Poljka w pewnej zamożnej rodzinie w Peczu, w północnej starej Serbji, a podobnych zdrobnień imion chrzestnych, które powstały z imion obcojęzykowych i zyskały prawo obywatelstwa w języku, pełno jest pomiędzy Serbami".

Wywód p. Weselinowicza wydaje nam się najzupełniej słusznym. Przemawia za nim i to, że pasterz również jest nazwany po imieniu w pieśni, a więc i pasterce takżeby wypadało być nazwaną po imieniu. Lud pod tym względem dość jest konsekwentnym. Na potwierdzenie swego wywodu przytacza też jeszcze p. W. w przypisku cytatę z W. Karadżycza (Rječnik, str. 532), który wykłada Polę, jako zdrobnienie Poleksiji. Możnaby też jeszcze zestawić to zdrobnienie z podobnemi zdrobnieniami i w innych językach słowiańskich, n. p. z naszemi Pola, Polka z Paulina; Tola, Tolka, Antolka, z Teofila albo Antonina i t. d.

Wywód ten jednak nie wydał się prawdopodobnym p. Radojewiczowi, który odpowiedział na niego w głosach publicznych, w tomie II „Novej Zety" w r. b. na str. 78. Obrona p. R. w tym wypadku wydaje nam się chybioną; przytaczamy ją tutaj jednak, ponieważ ważną jest dla nas z innych względów.

Pan R. tak pisze: „Nie przeczę, iżby wyrazu Poljka nie można było uważać za zdrobniałe imię chrzestne; zmuszony jednak jestem wypowiedzieć swoje zdanie. Ponieważ pieśń zapisałem z ust dziewczyny Stany Kukawiczówny, zapytałem więc jej, co rozumie pod wyrazem „poljka"? Odpowiedziała na to: „Jest to dziewczyna, która strzeże ojcowizny (baštine), albo, która żyje w polu". Jak się zaś przekonałem z ust większej liczby osób, którym jest znana pieśń wzmiankowana, to im nikt, nawet p. W. nie jest w stanie wybić z głowy poljki w znaczeniu dziewczyny, która strzeże pól, zasiewów, lub która mieszka, która ma dom (koja je nastanjena kućom) w polu. Krótko więc mówiąc, wyraz poljka ma dwa znaczenia: 1) Poljka, imię własne, chrzestne (podług p. W.); 2) poljka, kobieta, która strzeże pól, zasiewów, lub która mieszka, której dom stoi w polu, według słoworodu ludowego".

Tyle p. Radojewicz. Pozwalam sobie jeszcze dodać tutaj słów kilka od siebie.

Wuk Karadžicz w swoim „Srpskim rječniku“ podaje wyraz poljak, który znaczy: stróż polny. To samo znaczenie ma również według niego w Hercegowinie wyraz poljar. Nadto kolega mój, p. Radicz, udzielił mi jeszcze wiadomości, że wyraz „poljak“ również w znaczeniu stróża pól (głównie kukurydzanych) znanym jest w Chorwacji, we wsi Marcińska wieś.

Nam się zdaje, że pochodzenie owej poljki jest inne, a widać to jasno, skoro się porówna inne odmianki tej pieśni. Przytaczamy tutaj dwie. Pierwszą, pochodzącą z okolicy Werbowca, a zapisaną w roku 1838 przez L. Vukotinovića, bierzemy z Dragoljuba (Zagrzeb, 1868, II, str. 822); drugą podaje p. R. F. Plohl Herdvigov (Hrvatske narodne pjesme î prîpovjedke, Waraždyn, 1868, str. 49).

Pierwsza brzmi tak:

Široko je dreno-polje (sic),	Szerokie jest drenopole,
Polje široko.	Pole szerokie.
Njega čuva drenopoljka,	Jego strzeże drenopolka,
Lepa devojka.	Ładna dziewczyna.
Onud jaše mlado momče	Tamtędy jechał młody chłopiec
Na vranom konju.	Na wronym koniu.
— Pomož, Boże, drenopoljka (tak),	— Boże, pomóż, drenopolko,
Lepa devojko! itd.	Ładna dziewczyno! itd.

Druga zaś tak się zaczyna:

Gorsko cvěče mi je pole	Górskie kwiecie pole mi
Čělo pokrilo;	Całe pokryło;
Nje mi bere Drenopolka,	Bierze mi je Drenopolka
Lěpa děvojka.	Ładna dziewczyna.
Onud jaše mladi junak	Tamtędy jechał młody junak
Na mladom konju.	Na młodym koniu.
— Tiho jaši, mladi junak,	— Jedź wolno, młody junaku,
Idem ja s tobu itd.	Pojadę i ja z tobą itd.

Widzimy z tych odmianek, że w pieśni tej występuje stale „drenopolje“, i „drenopoljka“, co jest skróceniem z Adrjanopol i Adrjanopolka, powstałem przez upodobnienie drugiej części niezrozumiałego dla ludu wyrazu greckiego „polis“ do dobrze znanych, rodzinnych: polje, poljka. Ten sam proces z nazwiskami, złożonemi z x greckie polis odbywa się u nas i u Ukraińców. Słyszałem żołnierza, który utrzymywał, że służył w Staropolskiej, zamiast w Stauropolskiej gubernji. Prof. M. Sumców słyszał między Ukraińcami o Staropilju zamiast Stauropolu: tutaj siłą atrakcyjną był wyraz piła (porówn. Wisła III, 415).

Poljka w pieśni z Novej Zety powstała, jak sądzę, tą samą drogą, przyczem jednocześnie z upodobnieniem greckiego „polis“ do chorwacko-serbskiego „polje“ nastąpiło skrócenie nazwy z przodu (porów. J. Karłowicz: O imionach własnych polskich miejsc i ludzi, str. od 20).

Zagrzeb. *Stanisław Ciszewski.*

WSPOMNIENIE Z NAD BOSFORU.

Za bytności mojej w Konstantynopolu w r. 1888, w rozmowie z ówczesnym prezesem tamecznego „Towarzystwa polskiego wzajemnej pomocy“, podniosłem myśl postawienia biustu Adama Mickiewicza na frontonie domu, gdzie zmarł nasz wieszcz.

Dom pierwotny tam już nie istnieje, na jego miejscu zbudowano inny, w którym się znajduje obecnie odpowiednia tablica pamiątkowa.

T. T. Jeż, w czasopiśmie „Kraj“ (nr. 46 z r. 1885) w artykule „Szczegóły o śmierci Mickiewicza“, tak opowiada o owym domku pierwotnym: „Mickiewicz zamieszkał w domu drewnianym na Jeni-Szeri, przedmieściu przylegającem do Pery, w dzielnicy położonej w nizinie. Wynajął sobie pokój jeden obszerny, pokój będący zarazem sypialnym, bawialnym i jadalnym, od niejakiego Rudnickiego“.

W izbie tej, „więcej niż skromnej“ w maleńkim tym domku“, jak mówi Karol Brzozowski (w swoich „Wspomnieniach o Mickiewiczu“, drukowanych w powołanym numerze „Kraju“, zmarł Adam Mickiewicz 26 listopada 1855 roku. Ś. p. Henryk Gropler zakupił domek ów za 100 funtów tureckich w złocie (2300 franków). Podczas nieobecności Groplera w Stambule J. Ratyński zarządca kopalń groplerowskich zburzył pamiątkowy ten dom i postawił na jego miejscu nowy murowany dla siebie; poczciwiec nie chciał, aby próżno stał plac i sądził, iż w ten sposób lepiej utrwali pamięć poety, jak to objaśnia p. M. K. Borkowski w swym artykule „Polacy w Turcji“ („Głos“ z 18 grudnia 1886 r. nr. 12). Gropler przez pobłażliwość dla Ratyńskiego nie chciał niszczyć nowozbudowanego domu, umieścił tylko na nim *tablicę z napisem, iż tam mieszkał i zmarł Mickiewicz.*

Dnia 17 Marca 1889 r. na posiedzeniu „Towarzystwa polskiego wzajemnej pomocy“ prezydujący wniósł projekt postawienia biustu Mickiewicza w domu, gdzie zmarł poeta, co przyjętem zostało większością głosów w zasadzie.

Gdy przyszło jednak do obliczenia kosztów tego więcej niż skromnego pomnika, projekt wykonania go upadł na posiedzeniu Towarzystwa pomienionego, w dniu 17 sierpnia tegoż roku, jak o tem świadczy wyciąg z protokułów w sprawozdaniu z czynności Towarzystwa za rok 1889.

Wobec tego, gdy skromne środki biednej kolonji naszej w Carogrodzie nie pozwoliły urzeczywistnić pięknego zamiaru, czyż nie powinniśmy podać dłoni pomocnej.

Zechciejmy a myśl stanie się czynem!

Warszawa. *Stanisław J. Czarnowski.*

OSTATNI.

— Bój się Boga, panie Jacenty, a dokąd to? Na taki chłód w waszej kapocinie! do reszty was pokrzywi.

— Nic to, pani Feliksowo, jak Pan Jezus dopuści, to jakoś dojdę i nic mi się złego nie stanie.

— Ej nie gadajcie! Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Gdybyście chociaż do południa cieplejszego słonka poczekali.

Jacenty przekrzywił głowę, która mu się w karku sztywnie obracała, zmrużył jedno oko, popatrzył na słońce, uśmiechnął się i zamamlał bezzębnemi ustami. Z wielkim trudem podniósł do góry trzęsącą się rękę, widać chciał coś pokazać na niebieskim zegarze, ale zniedołężniała prawica odmówiła posłuszeństwa i drżąc a idąc zygzakiem, opuściła się ku piersiom.

Feliksowa jak niosła balję, tak ją postawiła na ziemi i patrzała, litościwie kiwając głową.

— Gdzież się to pan Jacenty wybrał?

— Do katedry, pani Feliksowo, do katedry. — I nachylając się ku niej, szepnął z tajemniczym uśmiechem:

— Pasterz dziś celebruje... sam pasterz dobrodziej; czy to pani Feliksowa nie wie?

Znać trafił w bolesną strunę.

— A co mam wiedzieć! — wybuchła impetycznie — Albo to ja wiem, co robi się na świecie? Albo to ja mogę żyć jak ludzie, czy pomodlić się kiedy, czy co? Wrzeszczy ot siedmioro — ręką ku domostwu wskazała — to jeść, tamto pić, jedno tego, drugie owego... zatracenie boże! A niechno tamten przyjdzie, to jeszcze mi wszystkie garnki poprzetrąca, wyje, wyliże, a co się da, z domu wywlecze. Ot, taka dola przeklęta! Djabli wiedzą, czego rodziła się...

Jacentego jakby pchnął żelazem.

— A bójcie się Boga! A Mateczko Ostrobramska! W imię Ojca i Syna... Tak się nie godzi, pani Feliksowo. A gdzie „bądź wola Twoja?“ Czy to w nieszczęściu pomoże sobie człowiek, jak zacznie gniewać się na sądy boże?

Feliksowa ochłonęła nieco.

— Ej, pan Jacenty to zawsze tak; ale człowiek grzeszny nie zawsze może wytrzymać.

— Bo trzeba mieć więcej mocności serca. Kiedy nieszczęście na kogo się zaweźmie, to co tu poradzić? A jak wszystko ofiaruję Panu Bogu i powiem sobie: wola Jego święta; byle tylko w tej niedoli w poczciwości dotrwać i na zło jakie się nie skusić, — to jakoś lżej i światlej robi się na sercu.

Feliksowa uczuła się wzruszoną.

— Wiadomo, panie Jacenty, że z was pobożny człowiek i uczciwy, jakich mało. A jakże tam wasza Anusia?

Po obrzękłej twarzy Jacentego przeszedł dreszcz bolesny.

— Chora, biedaczka, chora! dziecina ta moja... Wczoraj i dziś już nawet z łóżka wyjść nie próbuje. Kaszel ją dusi, strach!

— Cóż doktor powiedział?

Twarz starego skrzywiła się jeszcze boleśniej.

— A co on powie? Dawajcie mleko, dawajcie mięso, wyprowadźcie się z tej dziury, woda ciurkiem po ścianach leci. Już to prawda, leci, leci...

— Oj te doktory! Strasznie mądre na pańskie choroby.

— To też pomyślałem sobie: ludzie nie pomogą, a jak Pan Bóg zechce, to pomoże. I postanowiłem sobie: pierwszy raz, jak tylko pasterz celebrować będzie, pójdę! Czy mogę, czy nie mogę, a pójdę! Całą mszę na klęczkach przetrwam, choćbym tam padł! Może Matka Najświętsza poratuje, ulituje się nad tą dzieciną.

— No, jeśli takie zrobiliście postanowienie, to już idźcie, bo, uchowaj Boże, spóźnicie się jeszcze.

Zabrała się do odejścia, ale zwróciła się i jeszcze za nim popatrzała.

— Może dać co na szyję? chuścinę jaką? Zimny wiatr akurat zawieje.

Jacenty uśmiechnął się błogo.

— Poczekajcie, macie tu ot tę szmatkę!

Odpięła od fartucha kolorową szmatę, może pieluszkę dziecka, — i obwiązała nią troskliwie szyję paralityka.

Jemu do dobrych, dziecięcych oczu łzy nabiegać poczęły.

— A widzi pani Feliksowa, niema to opieki bożej? Tak mi tu paskudnie dmuchało za kołnierz; myślałem: jakże to będzie? A oto jak jest Bóg dobry i ludzie dobrzy. Ten, co karmi ptaszęta i przyodziewa lilje polne...

— Oj, lilja! — przerwała sentencję Feliksowa i z uśmiechem, który mimowoli stał się figlarnym, obrzuciła wzrokiem postać Jacentego.

Biednaż-bo to była postać — okrutnie biedna. Zgarbiony, skrzywiony starzec, z obwisłemi policzkami, ledwo poruszającym karkiem i trzęsącemi się, obrzękłemi jak poduszki rękami, które czyniły go zupełnie niedołężnym.

Niedołężnym, więc i nędzarzem. Z ramion zwisała szafirowa wypłowiała kapota, suto bronzowemi łatami upstrzona, które chroniły ją od zupełnego w proch rozsypania się. Siwe rzadkie włosy pokrywała czapica, pamiętająca może jego młodość, a obówie pokrzywione, zszargane, znacznie większe było od nóg, któremi, nie stąpał, lecz suwał. Słabe ręce nie mogły utrzymać kija, chód stawał się chwiejnym a żółwiowym. Był żywym wyrazem pojęć, które obejmujemy słowem „nędzarz", był wizerunkiem, który do każdego serca mówi: ulituj się! i skargą, która do społeczeństwa woła: twój wytwór!

Sunął się krok za krokiem, potrącany przez przechodniów, którym co chwilę zawadzał, a chłodny wiatr kwietniowy szarpał jego sukmanę i długie włosy rozpraszał dokoła twarzy. Jednak, jakkolwiek przykrym był chłód i droga

uciążliwą, ta biedna skrzywiona twarz nic nie straciła ze swej zwykłej pogody. Jasno i łagodnie patrzyły błękitne oczy i dobrotliwy uśmiech nie schodził z ust. Szeptał różaniec, ściskał w ręku szkaplerzyk i myślał sobie w duchu:

— Pomoże Najświętsza Matka, uratuję Anulkę — byleby tylko sił starczyło dotrwać w intencji. — I modlił się żarliwie.

Dopełzł tak jakoś do katedry. Ale tam trudniej już było, bo tłum zebrał się wielki; wszystko, co żyło, pobożni i ciekawi biegli popatrzeć na wielką uroczystość. Biedak przeląkł się na razie, zwątpił, czy potrafi docisnąć się do ołtarza, aby w obliczu świętych obrazów i w obecności pasterza votum swoje wykonać. Myślał, że gdy będzie się modlił gdzieś w kątku, jego ofiara straci na swej doniosłości.

— To tak, jakbym Anulkę w kąt przed Panem Bogiem schował — mówił do siebie, i wierzył, że gdy tam przed ołtarzem padnie na kolana, to będzie tak jakby Anulkę złożoną we własnem sercu przed oblicze Boga na rękach podniósł. Przeciskał się więc jak mógł przez tłumy, a ten i ów, widząc niedołężnego starca, usuwał się z drogi i pomagał iść dalej.

Dotarł zatem, jeśli nie do ołtarza, to do pierwszych rzędów ławek. Odwiązał chustkę z szyi, na posadzce rozesłał, bo lubił, aby czysto było koło niego, i z wielkim trudem probując to jednej, to drugiej nogi, klął. Dostał z kieszeni książkę ze sczerniałemi od przewracania kartami i ledwo trzymającą się w zszarganej oprawie, różaniec o wytartych paciorkach i blaszanym krzyżyku zawiesił na ręku i modlić się zaczął. Chciał się przeżegnać, kilkakrotnie rękę do czoła podnosił, ale nie mógł dosięgnąć. Za to głośno i dobitnie powtórzył słowa przeżegnania.

Czy modlił się kto tak szczerze w tym kilkotysiącznym tłumie? Może niejedno serce łkało łzami, może niejeden duch leciał uniesiony zachwytem, ale pewno nie było tak pokornej, prostej, a ufnej modlitwy. Kornie pochylony, z rękami złożonemi lub przesuwającemi zwolna ziarnka różańca, jednę po drugiej, odmawiał modlitwy z rozłożonej na ławie książki. Odmawiał wszystkie: litanie i koronki, za zmarłych i za chorych, przed bierzmowaniem i po bierzmowaniu, o deszcz i o pogodę, lecz w sercu miał tylko jedno błaganie: Nędzarz jestem, aleś Ty ojciec, zostaw mnie moją Anulkę! Tak całą mszę przeklęczał; nawet i kazanie, bo wstawać i znów klękać, przechodziło jego siły.

Byli jednak tacy, którym ten nędzarz pokorny strasznie kłuł w oczy. Do ich rzędu należała pani Izabella. Nie mogła pogodzić się z myślą, aby podobne indywiduum zalegało przednie miejsce na tak doniosłej uroczystości. Uważała to poprostu za sprofanowanie nabożeństwa, irytowała się i, mimo daru modlitwy, jakim czuła się dziś obdarzoną, doświadczała dywersji.

— Szwajcar jest bez żadnej uwagi — mówiła w duchu, oglądając się za stróżem kościelnego porządku, i dalej szeptała — *O doux Jésus, tes peines ont assiegé mon âme!* — miała bowiem zwyczaj od wielkiego święta modlić się z francuskiej książki. Nieraz podczas mszy, w trakcie najwznioślejszych modłów, półgłośna modlitwa starca strącała ją z wyżyn ekstazy. Czuła jak przez tego wykoszlawionego prostaka — pijaka może — jej dusza utraca stopniowo całą woń wzniosłego nastroju i dar doskonałej modlitwy, leci w przepaść znicestwienia. A ona tak wiele rachowała na dzisiejsze nabożeństwo! Jeszcze z wieczora poleciła swej wychowance zbudzić siebie wcześnie i mieć już w pogotowiu wszystko, od bielidła, do rzymskiego różańca.

— *Adelinetto* — mówiła — jutro będziemy pięć godzin w kościele! Od ósmej do pierwszej — pięć, *precisamente*... — Od powrotu z Rzymu miała zwyczaj używania włoskich końcówek.

Jakoż o wschodzie słońca siedziała już przed źwierciadłem, a Adelinetta urządzała jej starannie fryzurę.

— Ostrożnie, *cara mia*, — skarżyła się jękliwie — rozrzucisz ten fiok do reszty! Jesteś niezręczna, *francinletto*, niezręczna jak niedźwiedź... Moja mopsiczka potrafiłaby lepiej. Ach, idź już! robisz mnie to na złość, już widzę!...

Poprawiony pukiel wracał jednak prędko dobry humor.

— Nie masz pojęcia, jak ojciec Juljan zważa na wszystko — tłómaczyła się z chwilowego uniesienia. — „Szata niewiasty to kielich kwiatowej korony — mówił mi raz — czem treść wznioślejsza, tem obsłonki wytworniejsze“... Ach, ojciec Juljan, ojciec Juljan! Powiedz mi szczerze, czy ci się nie zdaje, że on jest aniołem? Dziś będzie z kadzidłem asystował pasterzowi. Uważałaś, jak mu do twarzy w szafirowej wstędze? *Un ange, je vous jure, angelo...*

Ileż starań w pobożnej intencji dołożyła dziś do każdego zwoju wdzięcznie pudrem przesypanych włosów! Adelka co najmniej z dziesięć razy musiała układać jej nad czołem rąbek czarnej koronki, owej koronki, którą niegdyś ręka Ojca świętego dotknęła przy błogosławieństwie.

— Czy ci się nie zdaje, że jestem za bladą? — z niepokojem pytała wychowanki, — Na miłość boską trochę różu! Na chwałę Marji.

I na pokład bielidła szedł drugi, subtelniejszy, różu.

— Odrobinę — zalecała — *une nuance, nuancino.* Bladość przystoi tylko mężczyznom; kobieta powinna mieć to tchnienie niewinności na licu.

Po kilkogodzinnej przed źwierciadłem pracy jest już wreszcie gotową. Ogląda siebie raz jeszcze w zwierciadle, poprawia, nastrzępia, odmuchuje, każe się spryskać heliotropem, ulubiony zapach księdza Juljana, i wziąwszy książkę oprawną w kość słoniową, pobożnie płynie do drzwi. Lecz tu, jak piorunem rażona, zatrzymuje się w przerażeniu.

— Różaniec! *Mio rosario...* — woła boleśnie — Jesteś roztrzepana jak ostatnia subretka!

Adelka rzuca się po różaniec.

Zapomnieć tej insygnji — wolałaby nie iść wcale.

Jest to długi na parę łokci sznur paciorek, wielkich jak orzech włoski. Święty Ojciec pobłogosławił go w Rzymie własnoręcznie. Przy pomocy Adelki zarzuca różaniec przez ramię, poczem dwa razy okręca dokoła ręki. Wygląda jak „słowianin w pętach rzymianina“.

— Niewolnica świętego Dominika, — objaśnia z błogim uśmiechem Adelce, której figlarne płomyki zaczęły skakać w oczach.

Przedstawić teraz sobie taką subtelną, wzniosłą duszę, tuż obok pokrzywionego Jacentego. Bo nieszczęście mieć chciało, że znajdywali się obok siebie tylko poręczą ławki przedzieleni.

— *O doux sauveur, Tu vois ma misère*, — modliła się składając ręce na przezroczach owiewającej jej biust koronki i ukradkowem spojrzeniem goniła za postacią księdza Juljana. Gotów spostrzedz ją w towarzystwie tego... szpitalnika. *Horreur!*

Ów oberwus, który wcisnął się do arystokratycznych ławek, doprowadzał ją teraz do grzechu, obdarł, jak złodziej, z najczystszego zapału modlitwy. Miała tyle spraw polecić niebu; teraz mogła tylko modlić się o jedno: aby ten „łaciarz“ zniknął gdzieś, zginął, zapadł się pod ziemię.

Oczywiście, modlitwa ta nie była wysłuchaną. Nabożeństwo dobiegało końca, a modły starca nietylko nie ustawały, lecz zdawały się być coraz żarliw-

szemi. Z wielkim wysiłkiem składał w pięść obrzękłe palce i bił się w piersi. — „Bądź miłościw!“ — wołał wpółgłośno ze skruchą pochylając głowy, a ciszej z głębi serca szeptem dodawał: „Anulkę zbaw, Anulkę“...

Lecz oto msza się skończyła. Jacenty zaszamotał się, dźwigając, wszystkie członki czuł bólem dotknięte, ale otucha napełniła stroskane serce.

— Kiedy się udało całe nabożeństwo przeklęczeć, to już widać Pan Bóg przyjął ofiarę. Teraz, aby tylko przyjąć błogosławieństwo biskupa.

Ofiara nie byłaby zupełną, gdyby po nabożeństwie nie dotarł do ucałowania ręki biskupiej, będzie to trochę trudno, bo ludzie cisną się wtedy bez pamięci, ano — za łaską bożą jakoś może i to się uda.

Wcześnie zatem, nie czekając aż ruszą się wszyscy, zabrał się i wywędrował zprzed oblicza storturowanej pani Izabelli. Odetchnęła biedaczka. A on, ani domyślając się przyczynionych mąk, podążał z czystem sumieniem ku środkowi kościoła. Klęczały już tam w sznur wyciągnięte szeregi, wolną drogę zostawiwszy w pośrodku. Oczekiwanie dochodziło do natężenia; każdy, wychylając się naprzód spoglądał ku ołtarzowi, czy prędko biskup nadejdzie?

Jacenty, któremu dotąd szczęście sprzyjało, potrafił znaleźć miejsce w pierwszym szeregu, w samym środku kościoła. Przy pomocy litościwego sąsiada opuścił się na klęczki, złożył ręce, jak do pacierza, i czekał.

— Nędzarz ze mnie wielki — rozmyślał — wedle duszy i wedle ciała nędzarz, na ziemi *musić* ja ostatni. Ale przed progami niebieskiemi i mnie wolno stanąć z innymi. Pan nasz, Zbawca, dozwolił maluczkim przyjść do siebie, a toć ja chyba najmniejszy. Całe życie wielkiej rozkoszy nie zaznałem, a i ludzie nieraz skrzywdzili, nie pamiętaj im, Chryste, a na stare lata choroba i utrapienie. Ale Chrystus pożałuje mnie, choć ja ostatni, zmiłuje się. Toż i teraz dodał mnie sił nadspodziewanie; może i dziecinę moję podźwignie... Zmiłuje się Chrystus... Byle tylko biskup pobłogosławił, zawszeć to śmielej człowiekowi jak go przeżegna ręką święconą.

Obrzękła, skrzywiona twarz oblokła się wyrazem wielkiej pogody i bezgranicznej ufności. Tok jego myśli został nagle przerwany. Tłumy jakby prądem silnym pchnięte, rzuciły się od ołtarzy ku wyjściu. Powstał ścisk, gwar tłumiony, szmer tysiącznych stąpań. Jacenty poczuł się nagle ściśniętym zewsząd i kołysanym w różne strony. Była chwila, że się zląkł, aby go nie powalono i nie zdeptano. Krzepił się, jak mógł, a jednocześnie robił wszelkie wysiłki, aby stanowiska swego nie opuścić i być gotowym do ucałowanin ręki biskupiej. Oto już widzi pasterza jak w licznej asystencji kapłanów i kleru, pełen majestatu, przechodzi środkiem rozstąpionych tłumów. Idąc, pochyla się na prawo i białą, pierścieniem zdobną ręką przesuwa się z ust do ust klęczącego ludu, a jednocześnie końcami warg powtarza słowa błogosławieństwa. W Jacentym aż serce bić przestało. Gdyby tylko w porę dosięgnąć tej ręki. A dla biednego paralityka zadanie to nie małej pracy. Chociaż biskup jeszcze daleko, on, ułożywszy przed sobą na posadzce czapkę, książkę, różaniec, aby mu nie zawadzały, podnosi ręce, aby już były w należytej wysokości do ujęcia dłoni pasterza. Ale wysiłek parogodzinnego klęczenia i wzruszenie, które go coraz żywiej opanowywa, czyni te nieszczęśliwe ręce bardziej niedołężnemi, niż zwykle. Drżą, aż dygocą, a takie stały się ciężkie i sztywne, że rady im dać nie może. Co podniesie od piersi to znowu bezwładnie opadają, jakby ołowiem nalane. Pot mu wystąpił na czoło a usta jak do płaczu drżeć poczynają. Oczy jasne, dziecięce, obracają się z niepokojem dokoła, jakby pytały wszystkich: cóż będzie ze mną? I tu wejrzenie jego spotyka się z wejrzeniem jakiejś dostojniczki, która nie wiedzieć jakim

sposobem znalazła się obok niego. Gdy klękał miał tylko samych szaraczków koło siebie, teraz z tłumem napłynęli inni.

— Wielka jakaś dama — myśli z namaszczeniem i strzeże się, aby łatana jego sukmana nie dotknęła szeleszczących jedwabiów, boi się odetchnąć głębiej wobec woni heliotropu, który wydziela się z niej, jak z kwitnącego krzewu. Patrzy na nią zalękniony, spiorunowany jej pełnem zgrozy spojrzeniem. Bo pani Izabella w sąsiedzie swym z przerażeniem poznaje wstrętnego „łaciarza". Byłaby uciekła, gdyby jakakolwiek ku temu przedstawiała się możność. Ale biskup już się zbliża a ksiądz Juljan pierwszy postępuje za nim. W pani Izabelli krew zastygła ze zgrozy. Oczy, te magnetyczne oczy anioła wpierw padną na tego nędzarza a przy nim ją zobaczą! Wysuwa się trochę naprzód, ale ten bezwstydny śmie aż tu wyciągać swoje koszlawe ręce. Jacenty, widząc zbliżającego się biskupa, zapomniał o wszystkiem innem, a uniesiony gorącem pragnieniem, pochylił się naprzód, ręce wyciągnął i z wejrzeniem pokornem, litości błagającem, wpajał się w twarz nadchodzącego. Zdało mu się, że w tem błogosławieństwie, w tem ucałowaniu ręki leży jego zbawienie, życie jego Anulki.

— Zmiłuj się Panie! — wołało jego serce ścieśnione wielkim bólem, a wstrząśnięte do głębi — od oblicza Twego nie odrzuć mię, niech nie będę ostatni...

Ręka biskupa zbliżyła się do ust obok klęczącego.

Teraz jego kolej nadchodzi. — Zmiłuj się! — powtórzył raz jeszcze i drżące ręce do ręki biskupa wyciągnął.

Ale tu zaszedł wypadek, którego najmniej się spodziewał. Nagle zprzed oczu zniknął mu biskup, księża, kościół i tłumy, przed nim stanęła czarna chmura jedwabiu, koronek, wstążek; woń heliotropu zalała go. Mrugnął oczami, nie mogąc na razie zrozumieć, co się stało. Ale w następnej chwili wszystko już było na miejscu, miał znowu światło przed oczyma. Miał światło i spostrzegł, że biskup o kilka kroków oddalił się już od niego. Spojrzał obok, pani Izabella klęczała rozmodlona, z rękami złożonemi na piersiach, oczyma ulatująca ku niebiosom.

Jacenty głowę na piersi spuścił i zamyślił się głęboko. Ci wielcy nawet przed obliczem Boga chcą być pierwszymi. Chcieliby, aby nędzarz, który całe życie męczy się w niedoli, który nie ma nawet tyle, co niegdyś miał Łazarz — okruchów z ich uczt, — który zasypia, aby zapomnieć, że żyje, a budzi się pytając, po co żyje? chcieliby, aby ten nędzarz nie miał nawet jednego promyka, coby mu serce czasem ogrzał.

— Ostatni... — szeptał bezzębnemi, staremi wargami — ostatnim ci ja był i jestem. Takim się urodził i takim zemrę. Taki to już porządek świata, — a może ja nie wart niczego lepszego...

Spojrzał na panią Izabellę.

— Jakaś poczciwa kobieta, modli się jak anioł. Nie pamiętaj-że jej Panie, odpuść! I jej i mnie odpuść. Każdyby tak samo... Ostatni!

Ale żałość nie dała się uśpić.

— Anulko moja... dziecino!... — wyszeptał boleśnie, pohylił głowę i zapłakał gorzkiemi łzami...

Kraków. *Wanda Dalecka.*

CO LEPIEJ?

W społeczeństwie takiem jak nasze, gdzie lud jest głodnym, obdartym, ciemnym, a inteligencja często bezradną wobec ucisku i przemocy, praca na niwie społecznej jest obowiązkiem każdego.

Ale w spełnianiu tego obowiązku zasada „osiągania największych rezultatów przy najmniejszym wydatku sił", przewodniczyć musi właśnie dlatego, że pole tak rozległe, tak mało uprawne, że od pracy u podstaw zaczynamy.

Czy da się przeto wynaleźć zasada ogólna, która pracownikowi na niwie społecznej przyświecać powinna, czy jest punkt wyjścia dla usiłowań jego, a raczej, gdzie go szukać? W sobie czy w społeczeństwie?

Czy tak jak każe chrześcijańska etyka, etyka słabych, spójnie działających, mieć wzrok nieustannie zwrócony na potrzeby i dążenia bliźnich, siebie dla nich poświęcić, o sobie zapomnieć, sobą nieraz pogardzić, gdy indywidualność zbyt silnie wystąpi i z praw swoich zażąda rachunku?

Gdyby można było nieomylnie odgadnąć wszystkie potrzeby społeczeństwa, ocenić, które z nich są najważniejsze i wytknąć drogę postępowania dla całych stuleci, zatrata swojego *ja*, oddanie i poświęcenie sił swych i środków byłoby użytecznem, owocnem, celowem. Ułatwićby mogło pochód naprzód, ukoić ból, wzmódz sumę szczęścia ogółu. Jednostka, zginęłaby może, ale nie napróżno. Któż jednak zaręczy, że ocena jednostkowa, a nawet zbiorowa nieomylną tu będzie, że z pośród tysiąca nędz zapobiegamy najbardziej dotkliwej i powszechnej, że z dróg różnych wybieramy właściwą? Sądzę, że wątpliwość ta nie jest obcą żadnemu umysłowi krytycznemu.

Sprobujmy jednak spojrzeć w siebie, ocenić swe siły, chęci, dążności instynktowe, zbadać najlepszą, a często nieświadomie choć potężnie narzucającą nam się cząstkę naszego *ja*. Nie brońmy się temu najgłębszemu popędowi naszej istoty, nie brońmy go i nie zamykajmy nań uszu i oczu, a odpowiedź wyczytamy niechybnie. Nie będzie to może wskazanie najważniejszej potrzeby społecznej, ale oświeci nas, co my ludziom dać możemy. Jaką stronę naszego *ja* rozwiniętą, wszechstronnie wydoskonaloną złożyć nam przyjdzie na ołtarzu

publicznego dobra, piękna, użyteczności... Dając ją, ofiarowaliśmy niewątpliwie najwięcej, bo i możność nasza się zwiększy, siły wzmogą, skrzydła nam urosną, gdy zamiast kształtować się według modły ustanowionej, podejmować pracę wytkniętą przez ogół, iść w kierunku przezeń wskazanym, posłuchamy naszych indywidualnych natchnień.

Kto ich nie ma, komu wszystko jedno, w którą zwrócić się stronę, ten niech wlewa swe życie według formy stawianej mu za ideał. Ale dla osobników silnych, które zarówno budować jak i niweczyć mogą z większą od innych potęgą, czyż nie byłoby samobójstwem naginać się w kierunku dla zdolności ich i usposobienia nieodpowiednim? W interesie ludzkości i własnego społeczeństwa samobójstwa takiego popełniać im nie wolno. Rozwój indywidualności najszerzej i najswobodniej pojęty: oto hasło ich życia, a nie przystosowanie się do ogólnego typu, przycinanie skrzydeł, aby uderzały w takt za innemi. Wśród silnych tych indywidualności jedni pociągną za sobą masy, stworzą szkołę lub partję polityczną, inni pozostaną samotni, niedostępni, niezrozumiani, ale tak jedni jak drudzy nie przestaną być sobą, snuć będą myśli, tworzyć czyny, które nowe drogi społeczeństwu wskazać mogą.

Wszak nie do nas należy sąd ostateczny, czy postąpili oni słusznie? Czy w naszych warunkach wolno im było iść drogą powolniejszą lecz pewną, przyszłość rozstrzygnie. Ja stawiam tylko pytanie: co lepiej?

Warszawa. *Dr. Zofja Daszyńska.*

KOBIECOŚĆ W WYCHOWANIU.

Środki w wychowaniu kobiety powinny być szczególne, do natury kobiecej przystosowane, ale cele ogólno-ludzkie. Kobiecość jest pewnego rodzaju indywidualnością. Traktować ją przeto należy tak, jak traktujemy wszelką indywidualność w wychowaniu. Powinniśmy uszanować ją w tem, co jest w niej prawdziwego, ogólnie moralnego i dającego się pogodzić z ideałem człowieka; ale nie możemy jej pozostawiać w jej pierwotnej jednostronności i ograniczoności, tem mniej wolno nam tę jej pierwotną jednostronność popierać i przez wychowanie wzmacniać. Powinniśmy przeciwnie uzupełnić ją, podnieść i zbliżyć do ogólno-ludzkiego typu tak, iżby zdolną się okazała wejść w towarzystwo różnorodnych, a odmiennych od niej indywidualności, w sercu swem miejsce znaleść dla celów i uczuć wszystkim wspólnych, rękę do wspólnych prac przyłożyć. Kobiecość służyć powinna tylko za punkt wyjścia, ale nie za cel i kres w wychowaniu kobiety. Podobnie jak nie wychowujemy żadnego z mężczyzn na męża, pana domu lub ojca i nic więcej, tak też kobiety wychowywać nie możemy na gospodynią, żonę lub matkę.

Warszawa. *Jan Władysław Dawid.*

DUALIZM WIEDZY.

W rozwoju wiedzy zauważyć się daje nieustający dualizm, którego źródło tkwi głęboko w istocie ducha ludzkiego, stanowiącego z jednej strony integralną część przyrody, z drugiej zaś przeciwstawiającego się tejże przyrodzie, jako byt samodzielny. Dualizm ten, noszący w filozofji nazwy empiryzmu i racjonalizmu, objawiający się pod różnemi postaciami we wszystkich dziedzinach twórczości, z niezwykłą siłą występuje w tak spokojnej na pozór i wolnej od wszelkich walk i sporów nauce, jaką jest matematyka, ilekroć do jej dziedziny twórczość wynalazców wprowadza nowe pojęcia lub gdy idzie o teorją powstania pojęć matematycznych w ogólności.

Mniej obeznanym z rozwojem tej gałęzi wiedzy jedną i jedyną wydaje się droga, jaką postępuje matematyka, a jest nią droga ścisłego rozumowania, na prawidłach logiki oparta. Ma wszakże matematyka i treść bogatą, którą w formie wyidealizowanej wnosi do swej dziedziny już to ze świata zewnętrznego, już to z umysłu. W tworzeniu właśnie tej treści, w konstrukcji form matematycznych występuje owa dwoistość kierunku myśli ludzkiej. Według empiryzmu, opierającego się na doświadczalnym początku wszelkiego poznania, matematyka tworzy swe pojęcia na podstawie doświadczenia, pewniki zaś jej tylko w doświadczeniu swe uzasadnienie znajdują; racjonalizm matematyczny, przeciwnie, w samym duchu ludzkim widzi jedyne i wystarczające źródło tworzenia pojęć, oraz dostateczną podstawę dla pewników. Dla empiryzmu twory matematyczne są więc tylko wyidealizowanemi obrazami rzeczywistości; dla racjonalizmu są formami, w które ujmować należy koniecznie przedmioty i zjawiska zewnętrzne. Dla empiryka formy matematyczne mają racją bytu o tyle tylko, o ile służyć mogą do badania związków zachodzących pomiędzy wielkościami fizycznemi; dla racjonalisty spekulacja matematyczna ma znaczenie samodzielne, jako otwierająca nowe dziedziny poznania, stwarzająca nowe formy myśli. Empiryzm, zmuszony właściwościami metod matematycznych, godzi się z takiemi tworami, jak liczby ujemne, niewymierne, urojone, nieskończe-

nie małe i t. p. lecz uważa je już to za znaki pewnych działań, odbywających się w rzeczy samej na wielkościach rzeczywistych, już to za pewne symbole posiłkowe lub przechodnie, których ostatecznie pozbyć się można lub należy przy stosowaniu matematyki do badania zjawisk przyrody. Dla racjonalisty liczby powyższe są tworami, mającemi takie samo prawo bytu w nauce, jakie mają liczby rzeczywiste, całkowite i dodatnie. Empiryk w geometrji nie wychodzi nigdy po za szranki, jakie wyobraźni ludzkiej nakłada przestrzeń trójwymiarowa płaska zjawisk fizycznych; racjonalista, przeciwnie, nie zadawalnia się zwykłą przestrzenią, lecz buduje sobie w umyśle przestrzenie ogólniejsze, wielowymiarowe, niepłaskie, niewyobrażalne, ale pojęciowo ściśle określone.

Gdy w filozofji dualizm, o jakim mówimy, wyradza się często z jednej strony w krańcowy materjalizm, z drugiej zaś w głęboki mistycyzm, w matematyce, jako nauce formalnej, sprzeczność tych dwóch kierunków łagodzoną bywa, rzec można, przez samą naturę metod i zadań nauki. Prawdy matematyczne są i muszą być niezależnemi od poglądu na istotę jej tworów, który jest ważny przedewszystkiem dla teorji poznania, dla filozofji wiedzy, ale nie może wpływać na to, by prawdy uznane przez empiryka, racjonalista za fałszywe poczytywał lub odwrotnie. Uogólnianie pojęć matematycznych jest równą dla obu koniecznością. Tak n. p. na pojęcie nieskończenie małych godzi się jedna i druga strona, bez względu na pogląd zasadniczy o istocie tego pojęcia, bo ta forma matematyczna jest niezbędnem i skutecznem narzędziem badania. Rozmaitości wielowymiarowe, będące wynikiem racjonalnego kierunku, są dziś uznawane przez takich empiryków, jak Helmholtz, który należy nawet do pierwszorzędnych twórców tej nowej gałęzi nauki. Liczby nadskończone, wprowadzone niedawno do nauki przez G. Cantora, nie pozyskały dotąd uznania empiryków, ale pozyskają je niezawodnie, jeżeli potrafią wykazać swą użyteczność w badaniach fizykalnych. Owszem, ów dualizm działa nawet ożywiająco i pobudzająco na postęp matematyki, bo samodzielni badacze, opierając się na właściwych sobie poglądach filozoficznych, starają się o odpowiednie doskonalenie metod dochodzenia prawdy, lub sposobów dowodzenia twierdzeń, tą lub inną drogą otrzymanych. Przykładem tego są najnowsze metody badania takich matematyków, jak G. Cantor, Dedekind, Kronecker i inni.

Tak więc matematyka w technice swojej godzi przeciwieństwa obu kierunków, i stąd to, będąc jedną z najidealniejszych umiejętności, jest zarazem najsilniejszą podporą postępu wiedzy fizycznej; stąd postęp mechaniki, astronomji i fizyki jest ściśle związany z rozwojem pojęć i metod matematyki i, odwrotnie, z rozwoju nauk fizycznych matematyka czerpie pobudkę do własnego doskonalenia się. Z pomiędzy licznych przykładów na potwierdzenie tego zdania wybierzemy dwa dobrze znane. W starożytnej Grecji metodami matematyki były przeważnie metody geometryczne, astronomja przeto miała charakter geometryczny, teorja układu planetarnego była teorją geometryczną i pozostała taką aż do czasów Newtona. Dopiero takie wielkie odkrycia, jak geometrji analitycznej Descartes'a i rachunku różniczkowego Leibniza i Newtona, skombinowane z pierwszorzędnemi odkryciami w mechanice Galileusza i Huygensa, dały umysłowi ludzkiemu narzędzia do odtworzenia ruchów planetarnych w obrazie rachunkowym, pozwalającym na badanie wielu subtelności, do których nie nadawała się metoda czysto geometryczna. Z drugiej strony zadanie fizykalne o dźwięczeniu strun dało bodziec do utworzenia ważnej teoryi szeregów trygonometrycznych i posłużyło tym sposobem do pogłębienia i rozwinięcia teorji funkcji matematycznych.

Bliższe zastanowienie się nad ścisłym związkiem matematyki i nauk fizycznych doprowadza nas do następującego wniosku:

Postęp wiedzy ścisłej charakteryzują następujące momenty:

1. Konstrukcja form matematycznych, do której podstawę dają obserwacja i doświadczenie.

2. Łączenie i kombinowanie tych form za pomocą odpowiednich działań matematycznych i porównywanie wyników tych działań z doświadczeniem.

3. Uogólnianie form i działań.

4. Stosowanie wyników badania uogólnionego do faktów doświadczalnych.

Warszawa. *Samuel Dickstein.*

Z ŻYCIA LUDÓW W AUSTRJI.

Proces historyczny, jaki się w Austrji przed oczami naszemi rozwija, jest jednym z najciekawszych. Siedmnaście narodowości, różniących się pochodzeniem, odmiennemi pojęciami praw i obowiązków, pogodzić i połączyć pod jednem berłem, trzymać w spójni jednakowemi dla wszystkich prawami, jednakową sprawiedliwością i jednością celów, jest to zadanie, jeżeli nie wykraczające z obrębu możliwości, to przynajmniej niesłychanie trudne.

Znana jest wszystkim współczesna historja monarchy austrjackiego. Wstąpienie na tron dzisiejszego cesarza dokonało się wśród krwawych bojów, jakie właśnie staczały z sobą ludy, mające żyć w braterstwie i zgodzie. Wszystkie ludy podniosły się przeciw jednemu i wszystkie zasady poszły do boju z jedną: z zasadą germanizacji, ale Niemcy zwyciężyli i przez lat 12 dzierżyli berło pierwszeństwa.

Kiedy wszyscy, będący u steru, wmawiali w siebie i w świat cały, że narodowości przez nich rządzone czują się szczęśliwemi, bo nareszcie zrozumiały, iż rząd powinien być niemiecki, nauka i cywilizacja niemiecka, administracja, armja, marynarka niemiecka, jeden tylko cesarz Franciszek Józef myślał inaczej, i następujące jedne po drugich klęski przekonały, że on jeden miał słuszność.

Po krwawej bitwie pod Solferino, której naocznym był świadkiem, szlachetny monarcha przekonał się, że otoczenie jego prowadzi monarchję do zguby i samej dynastji nieszczęśliwy los gotuje, postanowił więc zerwać całkowicie z przeszłością i przeciwko wszystkim wyrzekł, że federacja ocali Austrję.

Niemcy z arcyksiężną Zofią, matką cesarską, na czele, ustąpić musieli, ale gdzie było szukać ministrów, którzyby to szaleństwo, jak je ówczas nazywano, podjęli się przeprowadzić? Kto zrozumieć zdoła cesarza i przyjmie na się odpowiedzialność za cały nowo wytworzony systemat?... Mimo to wszystko ogłoszony został słynny Dyplom Październikowy (r. 1860), zapowiadający ustrój

federacyjny monarchji, na którym pod podpisem cesarza jedno tylko nazwisko figuruje, nazwisko Agenora Gołuchowskiego.

Ale ten tryumf uciśnionych nie trwał długo, zawyli ze wściekłości nieprzyjaciele Słowian, Niemcy podali rękę Węgrom i uniemożliwili rządy Gołuchowskiego. Ten sam los spotkał w pięć lat później Belcredie'go. Niemcy zostali panami placu i po dawnemu z przyjaciołmi swymi Węgrami obezwładniali dobre zamiary cesarza. Niecnej tej polityce Opatrzność zgotowała zasłużoną nagrodę. W dniu 3 czerwca 1866 roku pod Sadową skończyło się wszechwładne panowanie Niemców w Austrji, a oddzielenie Węgrów od związku z ludami monarchję składającymi, utorowało drogę do niedoskonałego, co prawda, federalizmu, którego dzisiejszy rząd jest jakoby forpocztą.

Gdy po nastaniu nowej ery zadawano sobie ustawicznie pytania: czy ten zwrot w polityce jest szczery? czy pod rządami następcy nie gotują się groźne niespodzianki? młody Rudolf odczuwał te wszystkie wątpliwości, miotające umysłami i czy to z zamiarem dania odpowiedzi, czy też idąc za popędem natchnienia, odpowiedział, nie manifestem, nie proklamacją, bo do tego nie miał prawa, ale jako człowiek kochający wiedzę, dał poznać swoje przekonania dziełem naukowem. Nie domyślał się, że ono stanowić będzie jego testament polityczny, a jest wcieleniem programu politycznego całej dynastji.

Dzieło to nie jest jeszcze należycie ocenione, a powinnoby sobie na to i u nas zasłużyć: toż sześć miljonów rodaków naszych żyje pod berłem Habsburgów. Tytuł jego jest następujący:

„Monarchja Austrjacko-Węgierska w słowie i obrazach".

Chcąc mówić o tem wydawnictwie naukowo-literackiem, wypada przedewszystkiem wspomnieć jego twórcę. Arcyksiążę Rudolf, następca tronu austrjackiego, był od dzieciństwa wysoko kształcony, aby mógł kiedyś zająć godnie trudne stanowisko, jakie mu los przeznaczał. Wielkie zdolności umysłowe ułatwiały mu naukę. Przed laty kilkunastu opowiadał mi profesor Syrski, założyciel ogrodu zoologicznego w Tryeście, ten sam, który arcyksięciu wykładał nauki przyrodnicze, że ten cesarski jedynak był jednym z najpilniejszych i najmilszych uczniów. Niedługo też potem młody arcyksiążę zdobył sobie w świecie uczonym imię niepospolitego naturalisty. Skończywszy nauki, przechodził różne stopnie wojskowe, pracował, jako urzędnik w namiestnictwie, żeby się obeznać ze sprawami cywilnemi. W r. 1881 mającego zaledwie lat 23 ożeniono z belgijską królewną, Stefanją i młoda para po ślubie zamieszkała jakiś czas w Pradze, w królewskim zamku na Hradczynie. Wśród tego chwilowego od gwarów dworskich odosobnienia Rudolf czytał i rozmyślał dużo. Stare mury Hradczyna przemawiały doń wymownie całą Czech przeszłością. Z okien swoich widział tę drugą górę przedhistorycznej pamięci, Wyszehrad, gdzie we mgle wieków unoszą się poetyczne podania o królowej Lubuszy, a z dołu, zponad brzegów Wełtawy dochodziły jego uszu głosy czeskiego ludu, co potrafił wskrzesić prawie przepadający w zapomnieniu swój język, stworzyć literaturę i mimo prześladowań i trudności wcisnąć do każdej chaty elementarz i pióro, tę potężną broń nowszych czasów. Niewątpliwie wtedy jeszcze lepiej zrozumiał tę nową drogę liberalnego rozwoju, na jaką wstąpił jego ojciec, i odczuł, że tak dalej rozwijać się i postępować trzeba, aby państwo było, nie sztucznym różnych plemion zlepkiem, ale prawdziwie federalną monarchją. Chcąc stworzyć austrjacką ojczyznę, trzeba pierwej wszędzie uszanować tę prawdziwą, tę każdemu bliższą a ukochaną, co się zapisała na kartach historji.

Wśród takich i tym podobnych spostrzeżeń i rozmyślań powstał w umy-

śle Rudolfa projekt literackiego wydawnictwa niepospolitej wartości, które gorąco ukochał i z zapałem sobie właściwym prowadził aż do śmierci. We wstępie własnego pióra tak nam pobudki swoje objaśnia:

„Studjum nad ludami żyjącemi wewnątrz naszej monarchji nietylko jest wielkiej ważności polem działania dla uczonych, ale ma jeszcze praktyczną wartość z tego względu, że przeprowadzi do ukochania wspólnej wszystkim ojczyzny. Przez coraz głębsze wpatrywanie się w rysy i właściwości pojedyńczych grup etnograficznych, w ich wzajemną materjalną od siebie zależność, będzie wzrastać i umacniać się to uczucie solidarności, które łączyć powinno wszystkie ludy naszej monarchji. Jeżeli zaś który z nich przez swój język, obyczaj i odmienny w części rozwój historyczny, czuje się niejako odosobnionym wśród innych części składowych, tego sam fakt uszanowania jego indywidualności i należnego jej uznania nakłoni do zgodnego pożycia. Będzie to dla niego pobudką do szukania odtąd w monarchji Austro-Węgierskiej jakiego duchowego punktu ciążenia".

Arcyksiążę zwierzał się w poufnych kółkach z wypiastowanego przez siebie planu dzieła, które, jak mówił, będzie nietylko obrazowem przedstawieniem składowych części monarchji, ale i wykazaniem stanowiska jej w politycznym ustroju świata, oraz jej misji cywilizacyjnej. „Badania te — dodawał — będą zarazem wielkiego wpływu na moje wykształcenie, rozszerzając widnokrąg moich pojęć".

Do redakcji powołał arcyksiążę Maurycego Jokaja i radcę Hailena. Miano rozpocząć od Wiednia i Austrji Niższej, ale jednocześnie rozpoczęto i od Węgier, żeby uczynić zadość dualizmowi. Stu przeszło uczonych i literatów, stu siedmdziesięciu kilku artystów stanęło do tej pracy obok arcyksięcia. Każdy mu szczegółowo wykładał swe plany, a każdego porywał on i zachwycał. „Niech też wiedzą za granicą — mówił — jakie to wielkie zasoby są w naszych krajach koronnych". I zaprawdę, dla utalentowanego pióra i ołówka materjał nie lada znajduje się w tem państwie obszernem, gdzie winnice stykają się z gleczerami, gdzie północne wiatry wstrząsają czarnemi borami jodeł i świerków na Górach Kruszcowych, w których tyle skarbów zaklętych, a od południa południowy klimat najświetniejszą roztacza roślinność. Tu rosną niebotyczne sosny, dęby, buki, tam cyprysy i palmy. Tu równiny, wzorowo uprawne, złocistemi kłosami zbóż falują, dalej Wieliczka swą kryształową sól wydaje, a Tryest wabi cudzoziemców do swego portu i, ożywiając handel, podnieca przemysł. Od wschodu tworzą jakoby mur graniczny Siedmiogrodzkich Alp szczyty, a w ich wnętrzu i sól, i złoto; w ich lasach dziewiczych trudny do wytropienia niedźwiedź się ukrywa. Wśród szczytów Alp Styryjskich i Tyrolskich wzlatują orły i sokoły, dalej na północy dzika koza skacze po urwiskach karpackich.

Wielki miłośnik nauk przyrodniczych, arcyksiążę brał na siebie opisy niektórych miejscowości, ich fauny i flory. W miarę, jak który kraj koronny miał być opisywany, zamierzono przybierać z łona jego literatów i artystów, ażeby każdy naród organami, z łona swego wybranemi, mógł malować swoją przeszłość i swoje pragnienia, swój stan dzisiejszy, swój klimat, obrządki, zwyczaje i stroju swego narodowego podał pochodzenie. Cześć, zaprawdę, należy tu wyrazić, tej bezstronności programu.

Otrzymanie pierwszego rękopismu i pierwszego rysunku do ilustracji nieopisaną radością napełniło arcyksięcia. Dnia 1-go grudnia 1885 roku poszedł w świat pierwszy zeszyt pięknie ilustrowany i dwa razy na miesiąc punktualnie wychodziły następne zeszyty, aż do 77go. Wydawnictwo zostało tak

sympatycznie przyjęte, że wkrótce pokryły się wielkie koszta i zaczął się zbierać kapitał rezerwowy.

Na ostatniej sesji w początkach 1889 roku arcyksiążę wypowiedział redakcyi, jakie prace wykonać zamierza w ciągu lata tegoż roku i obiecał dla zeszytu z dnia 1go kwietnia opis południowej Dalmacji, gdy wtem dnia 30 stycznia rozeszła się z błyskawiczną szybkością przerażająca wieść: Rudolf nie żyje!...

W miesiąc, czy więcej po tym, pełnym grozy, dniu w Peszcie, na posiedzeniu węgierskiej akademji umiejętności opowiadał M. Jokaj, redaktor węgierski, że kiedy w r. 1888 z powodu pomnika, postawionego w Buda-Peszcie dla Stefana Szechenego, przedstawiono arcyksięciu próbę rysunku, wyobrażającego samobójstwo Szechenyego, arcyksiążę powiedział: „Rysunek piękny, ale go przyjąć nie możemy, gdyż samobójstwo jest rzeczą niegodną człowieka; pozostawia zawsze na nim plamę i nie trzeba, żeby kto pomyślał, że przedstawiamy to, jako wzór czynu bohaterskiego.

Jeżeli to prawda, że ten, z którego ust wyszły te słowa, sam sobie życie odebrał, co myśleć o tem wszystkiem? Człowiek byłżeby tylko rozbitkiem na falach losu, wytrącającego mu ciągle z ręku ster i busolę?... Ale któż zna dziś całą prawdę z tego dramatu w Meyerlingu? Jedni zapewniają, że było tu samobójstwo, drudzy przeczą zupełnie; kiedyś najniespodziewaniej może ta ciemna zasłona się odchyli; teraz my widzieliśmy tylko jakiś zamęt w obyczajowym i społecznym porządku, straszny tuman namiętności przeleciał i po nim, jak po burzy, spadł nieszczęścia piorun. Jeden grób przybył w podziemiach Kapucyńskiego kościoła w Wiedniu, a w monarszych pałacach, w których, jak się to często patrzącym z dołu wydaje, ma gościć radość i szczęście, zostało nieświadome dziecko, napróżno dopytujące się o swego rodzica, młoda żona ze złamanem życiem, matka zrozpaczona aż do wpadania w obłęd, ojciec boleścią przybity, napróżno ukrywający łzy, jako niegodne mężczyzny i monarchy.

I poważni mężowie obu redakcji załamywali ręce w smutku głębokim: „Niema naszej gwiazdy, co dalej robić?...

Wiedziała co robić owdowiała arcyksiężna Stefanja i poprosiła cesarza, aby jej pozwolił poświęcić swoje usiłowania dalszemu prowadzeniu ukochanej przez męża pracy, być protektorką wydawnictwa, złączyć się ze wszystkiemi kolejami jego dalszego istnienia.

Cesarz najżyczliwiej do tego żądania się przychylił, mówiąc, że trwalszym od marmuru i kruszców pomnikiem dla Rudolfa jest to jego dzieło.

Idzie tedy wydawnictwo dalej, wziąwszy za dewizę słowa, wyrzeczone przez cesarza, a powtórzone przez arcyksiężnę Stefanję do mężów, co przy niej do rady stanęli: „Dzieło będzie prowadzone dalej według ducha i myśli Rudolfa“.

Teraz właśnie z krajów Przedlitawji drukuje się Karyntja i Kraina, których ludność słowiańska dostarcza ilustratorom ślicznych obrazków malowniczym swym strojem narodowym. W tym szeregu Galicja ma nastąpić szesnasta z kolei. Oczekujemy z żywem zajęciem, kto z Polaków będzie powołany z tej prowincji dla odtworzenia jej życia historycznego i umysłowego. Może nam wytłómaczy lepiej i dobitniej, niż objaśniano dotąd, dlaczego ta piękna prowincja, największa w całej Przedlitawji (ma 78.497 kilometrów kwadratowych, kiedy największe po niej — Czechy — mają tylko 31.956 kilometrów kwadratowych), posiadająca wielkie kopalne bogactwa, z małym wyjątkiem grunta uro-

dzajne, obejmująca w sobie tę sławną Ruś Czerwoną, gdzie niegdyś każdy przybysz znajdował obfity chleb dla siebie, jest dziś tak mało pod względem przemysłu rozwiniętą, tak biedną wobec innych części monarchji.

Byłoby bardzo pożądane, aby obraz tego stanu zwrócił uwagę tych, do których to należy i dał hasło do ogólnych usiłowań poprawy, ulepszeń i postępu.

Marienbad. *Józefa ze Śmigielskich Dobieszewska.*

SANATORJA LEŚNE.

Najprostsze żywioły przyrody są zarazem najskuteczniejszemi lekami.

Do liczby potężnych, a dotąd należycie nie wyzyskanych środków leczniczych, należy klimat leśny, a w szczególności leczenie za pomocą pobytu w wielkich obszarach leśnych. Pod klimatycznem leczeniem pospolicie pojmuje się dotąd wysyłanie chorych nad brzegi morskie, wyniosłe góry, lub wogóle do miejscowości znacznie cieplejszych. Doświadczenie jednak przekonało, że lubo z takich odległych deportacji, znaczne można odnieść dla zdrowia korzyści, to jednak w ogromnej liczbie przypadków klimat miejscowy, w którym się człowiek urodził i rozwinął, całkowicie wystarcza do osiągnięcia celów leczniczych, że nawet w wielu razach przedstawia on pewną wyższość nad klimatem obcym, częstokroć zbyt rażącą różnicę w porównaniu ze swojskim przedstawiającym.

Nauka, która na podstawie faktów wykazała, w jakich mianowicie chorobach klimaty zagraniczne dadzą się całkowicie przez miejscowy zastąpić, nazywa się „klimatoterapiją swojską“, a bezstronność wyznać nakazuje, iż twórcami jej byli nie lekarze, lecz pacjenci. Prawda, że nie posiadamy ani mórz, ani też gór szczytami niebu sięgających, w którychby liczne sanatorja w różnych punktach kraju urządzić można, ale w zamian za to posiadamy wysokopienne lasy, gdzie sosna, świerk i jodła od wczesnej wiosny do późnej jesieni woń balsamiczną roztaczają, wytwarzając atmosferę, która mnóstwu chorych uratowała życie, a zdrowym nawet sił dodała. Rzecz dziwna, że gdy wszelkie inne klimaty, jako to: morski, nadmorski, klimat wielkich lądów, klimaty górskie różnych części świata i różnych wysokości, były przedmiotem wieloletnich studjów, to badania nad klimatem leśnym prawie całkowicie zaniedbanemi zostały, po dziś dzień bowiem nie posiadamy o nim ścisłych naukowych wiadomości. Badano wprzód, jak widzimy, rzeczy dalsze, odległe, a tego, co jest nam bliższe, co jest prawie pod ręką, co wreszcie najpiękniejszą strefy naszej ozdobę sta-

nowi, zbadać i poznać przepomniano. Bo czyż kraje, całe z lasów złożone, ze swą wieczną zielonością, ze swem ożywczem powietrzem i spokojem, tak niezbędnym dla każdego, kto zdrowie odzyskać pragnie, nie są pięknemi?

Własności lecznicze klimatu leśnego polegają na tem, iż zmiany temperatury wśród lasów nigdy nie są tak gwałtowne, jak w przestrzeniach bezleśnych, i noce w nich są znacznie cieplejsze, zaczem idzie, iż klimat leśny jest łagodniejszy i równiejszy; że największe upały w przestrzeniach leśnych znoszą się daleko łatwiej, niż tam, gdzie niema lasów, że ilość ozonu czyli tlenu, w stanie czynnym będącego, w głębi lasów stale jest większą, co pod względem leczniczym jest niesłychanie ważnego znaczenia. Jeżeli do tego dodamy, że wszelkie drzewa iglaste, a z takich przeważnie lasy nasze się składają, wydzielają z siebie ogromne ilości żywicznych cząstek, tak niezbędnych przy leczeniu chorób piersiowych, że lasy chronią od wiatrów i nie dopuszczają pyłu, w którym się unoszą bakterje chorobotwórcze, to dojdziemy do tego przekonania, że pobyt w lasach musi zbawiennie na zdrowie oddziaływać.

Wielkie, iglaste lasy posiadają wszelkie zdrowotne warunki, jakich od każdego leczniczego klimatu wymagamy, a prócz tego grają rolę olbrzymich balsamicznych inhalatorjów, których nic zastąpić nie zdoła. Kraj nasz posiada jeszcze, na szczęście, lasów dostatek, chodzi więc o to, abyśmy z nich nietylko pod względem handlowym lub przemysłowym, lecz i sanitarnym zechcieli skorzystać.

Da się to osiągnąć przez zakładanie licznych leśnych sanatorjów, urządzanych w ten sposób, aby one i dla ludzi mniej zamożnych były dostępne; a wtedy w niedługim czasie przekonalibyśmy się, jak wielkie skarby lecznicze w naszych spoczywają lasach, jak dotąd nie umiano z nich korzystać, i o ile zbytecznem jest szukanie zdrowia po zamorskich krainach, gdy własne lasy mogą dać wszystko, czego tylko dla odzyskania zdrowia potrzeba.

Warszawa. *Dr. Henryk Dobrzycki.*

W KWESTJI RÓWNOUPRAWNIENIA KOBIETY.

Faktem jest niezaprzeczalnym, że idea równouprawnienia kobiet, jest wytworem nowoczesnym, płodem cywilizacji XIX wieku. Gorące walki, jakie w imię równouprawnienia czy też emancypacji pięknej połowy rodu ludzkiego toczyły się lub toczą w literaturze oraz prywatnych lub publicznych rozprawach, obce były minionym stuleciom. Okoliczność ta każe nam mimowoli szukać przyczyny tego nowego prądu w warunkach życia społecznego, wytworzonych w wieku bieżącym.

Walki społeczne, mające na celu wyzwolenie jednych klas społecznych zpod przewagi innych, stanowią główną treść rozwoju ludzkości i objawiają się mniej lub więcej jaskrawo w każdej epoce historycznej. Co więcej, różnice cywilizacyjne tych epok polegają głównie na kierunku tej walki, na idei, która jej sztandar stanowi, na przyjęciu w niej udziału tych lub owych klas społecznych.

W najbliższym nam wieku XVIII walka ta przybrała charakter polityczny; klasy prawnie upośledzone wystąpiły przeciwko przywilejom, w imię zasady równości wobec prawa. Wielkie wypadki dziejowe, których widownią była w końcu zeszłego stulecia Francja, stanowią epilog tej walki, której idea przewodnia, idea prawnej równości ludzi, weszła już do katechizmu społecznego i politycznego ucywilizowanego świata.

Ten jednak nie długo cieszył się pokojem. Nowe, do tej pory zapoznane żywioły społeczne, rozwinęły sztandar bojowy. Klasy pracujące, t. zw. stan czwarty, dopominały się gwałtownie praw dla swej żywicielki, zażądały emancypacji pracy. W wirze tej walki pracy z kapitałem, walki ekonomicznej, ozwały się pierwsze głosy za równouprawnieniem kobiety.

Wykrycie związku przyczynowego obu tych zjawisk nie będzie trudnem, jeżeli przypomnimy sobie jedno z kardynalnych praw socjologicznych, nie przez wszystkich wprawdzie świadomie uznawane, nie mniej jednak wyraźnie w całym rozwoju cywilizacji w oczy bijące. Prawo to sformułować można najdobitniej w niepopularnem wyrażeniu: *siła przed prawem*, niepopularnem, bo inaczej

rozumianem w mowie potocznej, niż je pojmuje nauka. Według pojęć potocznych siła i prawo występują jako dwa wrogie sobie żywioły: siła jako brutalny oprawca, prawo, jako gnębiona niewinność. Nauka socjologji widzi w nich pojęcie pokrewne, wzajemnie się dopełniające. Siła jest podstawą, źródłem, prawo jej rezultatem, koroną. Gdzie niema siły, nie może powstać prawo, i na odwrót każdą faktycznie istniejącą siłę musi ostatecznie uwieńczyć prawo, to jest powszechne jej uznanie i uświęcenie.

Gdy w zeszłem stuleciu szalała burza społeczna na gruncie politycznym, kobieta pozostała na uboczu.

O prawa walczyły między sobą stany, nie dążąc do zmian w swym ustroju wewnętrznym. Żądano dla stanu trzeciego takich praw, jakie miały stany uprzywilejowane i niczego więcej. O prawach kobiety nie pomyślano, bo nie wykazała ona siły na polu działalności politycznej. Wybryk rozszalałego pospólstwa sadzał ją wprawdzie na ołtarzu, ale umysł przewodników ruchu daleki był od przyznania jej udziału w wywalczonych prawach.

Gdy jednak w wieku bieżącym walka przeniosła się na grunt ekonomiczny, gdy za siłą, dla której upomniano się o prawa, uznano pracę, wtedy i kobieta na pole walki wkroczyła. I ona bowiem stanowiła cząstkę tej nowo wznoszącej się ku wyżynom prawa siły, i ona mogła wskazać po za sobą całe stulecia zasług na polu ekonomicznem. Gdy świeżo rozbudzony do szerszego życia żywioł wygłosił światu: „pracuję, więc jestem“ — i kobiecie nie można było odmówić udziału w tym okrzyku bojowym.

Jeśli tym sposobem kwestją emancypacji kobiet uznamy za odłam ogólnej walki ekonomicznej, stanowiącej cechę charakterystyczną rozwoju cywilizacyjnego XIX stulecia, to i rezultat jej i drogi do niej prowadzące przestaną być problematem. Im więcej w działalności kobiet ujawni się panującej nad obecnym ruchem siły ekonomicznej, im większe będą jej zasługi na tem polu, tem krótsze drogi do praw, tem obszerniejszy będzie ich zakres. W każdym zaś razie postęp w tym kierunku prędzej doprowadzi do celu, aniżeli abstrakcyjne rozumowanie o równości obu płci lub wywody porównawcze z budowy czaszki lub składu chemicznego mózgu.

Warszawa. *Karol Dunin.*

SŁÓWKO O MORFOLOGJI.

W dziedzinie nauk, tak dobrze jak i na polu życia codziennego, doznajemy przykrego uczucia, gdy się spotykamy z rozdźwiękiem pomiędzy formą a treścią, z niezgodą pomiędzy nazwą a własnościami danego przedmiotu, danej istoty, lub danej gałęzi wiedzy.

W wielu wypadkach jesteśmy zmuszeni godzić się z koniecznością i przyjąć niekonsekwencję albo sprzeczność jako zło konieczne, nie dające się usunąć, tak n. p. nazywamy ptaka białym, jakkolwiek kolor jego pierza jest popielaty (Motacillo albea); czynimy to wszakże dlatego, że według praw przyjętych w zoologji, nie możemy już zmienić raz wprowadzonej nazwy gatunkowej.

Inaczej jednak rzecz się ma, gdy chodzi o nazwę nadaną pewnej gałęzi wiedzy, lub o nazwę użytą dla oznaczenia całego działu biologji: tutaj żadne prawo nas nie krępuje, jesteśmy zupełnie wolni usunąć nazwę, jeżeli znajdziemy, że ona nie odpowiada treści, albo zastosować treść, odnośnie do tego, co ma nazwa wyrażać.

W takim wypadku jak dopiero co wymieniony, znajdujemy się wobec nazwy naukowej, dzisiaj bardzo popularnej, bardzo modnej, z którą się spotykamy na każdym kroku; nazwą tą jest: Morfologja. Wprowadzoną ona została do nauki w celu oznaczenia kilku ze sobą połączonych gałęzi biologji. Nazwa ta jest w niezgodzie z treścią, morfologja ma bowiem oznaczać naukę o formach organizmów, lecz wbrew swej nazwie traktuje i o formach i o czynnościach życiowych organizmów.

Czy ci, co się nazwą morfologji posługują i ją ciągle mają na ustach, są tego punktu niezgody świadomi, trudno powiedzieć, lecz jeżeli są świadomi, to przypuścić wolno, że przyzwyczajenie musiało w nich przytępić uczucie słuszności, jak to nieraz ma miejsce i w życiu codziennem, gdzie się zwykle bardzo prędko oswaja z największą niesprawiedliwością, bo do niej się przywyka, o niej milczy, o niej zapomina.

Uświadomić sobie jednak od czasu do czasu każdy stan anormalny, każdy akt niesprawiedliwości, każdy rozdźwięk pomiędzy formą a treścią, jest rzeczą pożyteczną, a nawet konieczną, już dlatego samego, ażeby przytępione uczucia słuszności nie zamarły w nas zupełnie.

Otóż i mnie na drodze walki o słuszność i sprawiedliwość niech wolno będzie krok mały uczynić, poświęcając słów parę w celu uświadomienia, że nazwa morfologji nie oznacza tego, co oznaczać powinna, że treść tej nauki stoi w sprzeczności i z jej nazwą i z jej definicją naukową.

Od początku rozwoju wiedzy przyrodniczej zaznaczyły się mniej lub więcej wyraźnie różnice pomiędzy sposobami badań, dokonywanych nad istotami żyjącemi, wskutek czego prędko wytworzyła się potrzeba uskutecznienia podziału wiedzy na dwie gałęzie: na anatomję i fizjologję.

Anatomja ma zadanie badać formy organów i organizmów. Fizjologja ma zadanie badać czynności życiowe organów i organizmów.

W ten sposób tworzyły się dwa działy biologji, przez co nauka o organizmach rozpadła się na część fizjologiczną i część morfologiczną. Obok anatomji i fizjologji, czyli obok nauk traktujących o osobnikach rozwiniętych powstały nowe gałęzie wiedzy, a mianowicie nauka o rozwoju form i czynności organów i organizmów, zwana *organogenją* i nauka o formach i o czynnościach życiowych komórek, czyli *histologja*. Każda z tych obu wymienionych nauk przedstawia, tak samo jak i nauka o organizmach rozwiniętych, dwie różne strony: stronę fizjologiczną i stronę morfologiczną. Logicznie postępując, musielibyśmy każdą z tych nauk podzielić na dwie części: na część fizjologiczną i na część morfologiczną, i pierwszą odnieść do fizjologji, drugą do anatomji, tego jednak nie uczyniono, lecz ryczałtem obie nauki wcielono do anatomji. W prędce potem utworzoną została nazwa morfologji, mająca służyć dla oznaczenia anatomji organizmów rozwiniętych wraz z historją rozwoju i histologją.

Pod nazwą morfologji uczeni rozumieją dzisiaj: anatomję osobników rozwiniętych, anatomję i fizjologię rozwijających się osobników i anatomję i fizjologję elementów organicznych czyli komórek. Naturaliści, pracujący obecnie nad fizjologją zarodków albo nad czynnościami życiowemi komórek, nazywają siebie morfologami, pewna część z pomiędzy nich bardziej skrupulatnych, nadaje sobie nazwę fizjologicznych morfologów, zaś naukę przez siebie uprawianą mienią (jak to czyni n. p. Dr. Jacques Loeb) fizjologiczną morfologją. Dalej posuniętej niekonsekwencji chyba już być nie może.

Czy milczenie wobec takiego stanu rzeczy jest słusznem, czy usunięcie nazwy „morfologji“ nie jest logicznie wskazanem? na to pytanie odpowiedzieć powinni morfologowie fizjologiczni i morfologowie morfologiczni.

Lwów. *Dr. Benedykt Dybowski.*

ŚWIĘTO »WULID».

Cywilizacja ma dużo dobrego w sobie: niepodobna temu zaprzeczyć, pomimo sofizmatów Jana Jakóba i wielu innych. Ma jednak i wiele stron ujemnych, o czem nie wątpił nawet ś. p. Monsieur de la Talisse.

Pomiędzy stronami najbardziej ujemnemi cywilizacji, jest jej dążność do zacierania barw, kolorytu miejscowego krajów, cech oryginalnych, indywidualności tak narodowej, jak osobistej. Pod jej niwelacyjnym wpływem, wszystko staje się tuzinkowem, banalnem, pospolitem.

Pod jej wpływem świat dąży do umundurowania ogólnego. Architektura, stroje, zwyczaje, natura nawet w swej roślinności, w parkach, ogrodach, w ujętych w karby rzekach, obdarzonych szosami górach, wszystko dąży do wzorowania się na jeden model. A wszystkiemu winna para i druk.

Gmach ambasady niemieckiej w Konstantynopolu jest ostatnim wyrazem cywilizacji. Kulturkampf wysoko podniósł chorągiew swoją: panuje ona na najwyższem wzgórzu, przegląda się w falach Złotego Rogu i wskazuje, czem malowniczy Bosfor będzie kiedyś.

Może to i lepiej. Manja zwiedzania krain niedostępnych przestanie kiedyś trapić awanturniczą ludzkość. Gdy się okaże wtedy, że wszystkie wydoskonalone sposoby mobilizacji nie mają racji bytu, to nawet najwygodniejszym balonem nie będzie się miało ochoty wznosić w obłoki, aby spaść o tysiące mil w oddali, gdzie?... w Japonji? na wyspach Tahiti? czy na Madagaskarze?

Na co? po co? kiedy tak Japonja, jak Tahiti i t. d. zupełnie ten sam charakter będą miały, co n. p. Berlin.

Mężczyźni już teraz w tych malowniczych krajach zaczynają nosić cylindry; cóż będzie później? W cylindrach i „cache-poussierach“ nie będą przecież ciekawi. Kobiety w kapeluszach przerażająco brzydkich, pochodzących z fabryki niemieckiej i w sukniach z łódzkich perkali też interesujące nie będą.

Ulice proste, na kwadraty podzielone, kamienice podobne do strasznych rekrutów na mustrze, rzędem ustawione, równe, proste i niezgrabne, to miasta przyszłości od wschodu do zachodu.

Tygrysów i lwów nawet do zoologicznych ogrodów nie stanie; agawy,

banany, palmy kokosowe i bambusy tylko jako karłowate praprawnuki dawnych, na wolności żyjących roślin, w cieplarniach będziemy oglądać.

Ach, ta cywilizacja!

Gdybym była szachem perskim, kazałabym wszystkim cudzoziemcom i cudzoziemkom na wstępie do ziemi mojej przybrać strój perski; a tym, którzyby się osiedlili w moim kraju i domy budować chcieli, rozkazałabym budować je tylko w stylu krajowym. Tak samo w Japonji, w Indjach, u Zuluan, u Hotentotów, w Algierze, w Arabii, wszędzie!

Możeby się zapobiegło wtedy banalności, tej banalności, która przygniata, zamęcza, zanudza, zabija fantazję, sztukę, natchnienie, zmysł estetyczny, która nas wypędza ostatecznie i nieubłagalnie „z krainy marzeń, snów".

Ani wiemy, ani umiemy ocenić szczęścia naszego, że należymy do dzisiejszego pokolenia.

Żyć za sto lat?... Nie!

Gdyby mnie Opatrzność w XXI stuleciu znowu zesłać chciała na ten świat, to błagałbym Ją na kolanach, aby mnie raczej na umarły księżyc posłała. Wracać do ludzi? tylko jeszcze o cały wiek zeszpeconych, nudniejszych i mniej estetycznych? Wracać do świata, z którego wymazano wszystko, co mogło stanowić urok albo niespodziankę dla oka? Do strzyżonych parków? Do cywilizowanych łabędzi, krów i psów? Do sztywno zarysowanych, naśladujących dywany, klombów? Do tej natury, którą nożycami i grabiami zmuszają, by imitowała *nasze*, ludzkie pomysły? Do altanek? Do żywopłotów? do festonów na drutach?

Imitacja! Imitacja!

„Królestwo moje" za oryginalność, za indywidualizm!

Ale dokąd ja to zajechałam?

Tak daleko od przedmiotu, o którym chciałam pisać, że już doprawdy nie wiem, jak skleić całość, bo tego, co mam powiedzieć, niepodobna związać z tem, co już powiedziano.

Przy bardzo dobrej woli, gdy naciągnę nitkę i bardzo ją wyprężę, to może mi się uda jako tako zeszyć wszystko razem.

Obawa skutków niwelujących cywilizacji pochodzi stąd, że mogłabym już nie widzieć tych cudnych rzeczy, które widziałam, a które tak napełniły umysł mój, tak wspomnienia moje niemi przesiąkły, tak żywo je widzę, gdy oczy zamknę, a tak lubię oczy zamykać, aby je widzieć.

Roztargniona dziś jestem; ale gdy o Wschodzie opowiadać przychodzi, to tyle obrazów staje naraz w oczach, że zanim jeden naszkicować potrafię, już widzę i drugi i dziesiąty i setny; a wszystkie urocze!

Choćby tylko owo bambusowe drzewo i te listki lekkie, kołyszące się bez wytchnienia, przegarniające promienie słoneczne. Tyle światła w tych smukłych gałązkach, a tyle marzeń, złotych marzeń, niewyraźnych, półsennych, zawieszonych na tych delikatnych prątkach! Choćby ów wachlarz z bananów, przyczepionych półkolem do jednej łodygi, jak palec do dłoni.

Ich zapach, to wspomnienie Wschodu; ich złota, jasna barwa, to wspomnienie słońca południowego!

Co rano drzwi do mego buduarku się otwierały i wsuwał się po cichu czarny Ali, niosąc na tacy, bananowym liściem pokrytej, ten złoty owoc Wschodu, a strój szafranowy i turban żółtawy Alego co rano godny był pędzla, i uśmiech jego od ucha do ucha i zęby białe i oczy czarne aksamitne. Tak mu ładnie w fałdzistej sukni, z bananami w ręku, z turbanem na głowie.

.Gdy ostatni turban na cylinder zamienią, to przyjdzie się powiesić.

A Wulid? Właśnie o święcie Wulid opowiadać dziś chciałam.

Wieczorem pozapalano tysiące kolorowych lampek na placu Esbekich, a Allah zapalił najpiękniejszą na szafirowem niebie, w kształcie złotego różka; aby ucieszyć wiernych, obchodzących święto narodowe, Mahomet wyprosił u Allaha, że im zawiesił godło narodowe na gwiaździstym stropie.

Namioty wznoszą się dokoła Esbekich, jeden obok drugiego, a każdy piękniejszy od ambasady niemieckiej nad Bosforem. Namioty wielkie jak pałace, jeszcze większe, niż świątynie, złotem i srebrem tkane, ze szkarłatu ściany, a ze świateł sufity.

Na cześć Allaha dzwonią wierni w cymbałki i w dzwonki, przygrywają na piszczałkach i przyśpiewują w takt; a w tej muzyce tęsknota bezbrzeżnej pustyni i poezja Wschodu; tylko cywilizacji w niej niema, ani metody, ani rutyny: takiej za sto lat nie będzie!

Na cześć Allaha tańczą wierni w kółko, a jasne ich suknie fruwają w powietrzu, niby nocne motyle, które się do tylu świateł zleciały.

Na cześć Allaha skaczą w takt wierni, klaszcząc w ręce, skaczą bez końca, biją pokłony do ziemi bez miary, aż się ćmi w oczach, aż się w głowie mąci i krzyczą ponurym głosem do taktu: „u-hu, uhu!“ aż się straszno robi.

W innym namiocie siedzą dzieci Wschodu, skupione, jedno obok drugiego. Długie, czarne brody, zielone, żółte i białe suknie, albo złociste i srebrzyste kaftany i szarfy wzorzyste. Obok poważnych bród czarnych, cudne, najczystsze profile arabskie, a wszyscy mają oczy wlepione w siwego starca, który im opowiada w języku ojczystym dzieje z czasów Harun Al-Raszyda. Oblicza wschodnie grają tysiącem wrażeń, które w nich budzi starzec o zielonym turbanie.

Zielony turban! snadź stary z Mekki powraca. Z zazdrością i szacunkiem patrzą wierni na niego. Mówi; raptem szmer cichy, potem głośniejszy, zamienia się nareszcie w okrzyk tryumfalny: „El Kahira! El Kahira“.

Miasto zwycięskie Kair!

Może im starzec o zdobyciu miasta tego na cześć Allaha opowiada.

Każdy namiot pełen, tętni w nim życie; zgiełk, ruch, wrzawa, ale nie ta nasza uliczna, trywialna, połączona z turkotem powozów na bruku; to życie Wschodu, pełne uroku, malowniczości, zapachu kwiatów cytrynowych i magnolji.

Znowu namiot przepyszny; na wstępie, na nizkim stole, wykładanym kością słoniową, bukiet. W bukiecie, wszystko co Allah stworzył, by oczy wiernych rozkoszować. Wszystkie barwy i zapachy i kształty. Schylam głowę, by mu się lepiej przyjrzeć; prawie równocześnie Nubijczyk, w zielonych, złotem haftowanych szarawarach i złocistym kaftanie, wyjmuje bukiet z wazonu, mnie go podając. Tak mu pan jego Hassan-basza rozkazał.

Trudno mi było unieść bukiet tych rozmiarów, a jednak nie chciałam się dać wyręczyć. Nie wiedziałam, co mi było milszem: nosić ten czarujący pęk kwiatów, czy spotkać się z jednym z tych bajecznych baszów, których cywilizacja i emancypacja kobiet wkrótce ze świata wytępi, z jednym z tych, dla których dość jest, by kobieta rzuciła okiem zachwytu na cokolwiek, żeby to jej oddanem było.

Uśmiech podłużnych, rozmarzonych oczu arabskich, ręka w ukłonie zdjęta z czoła i na sercu położona, to wszystko codzienne, wschodnie, konieczne, a takie piękne!

Dalej wielki namiot wojskowy; tam pusto, choć od świateł także jasno,

jak we dnie. Tylko młody porucznik angielski, Mister Prinsep, honory w nim robi. Ma na sobie mundur albjoński i fez wschodni; umundurowani „czarni“ gotują dla nas kawę i inne delicje.

Trzymam w ręku filiżaneczkę bardzo małą, ale bardzo piękną; czarny w niej napój; pewnie kawa. Gdzie tam! Coś, czego stanowczo połknąć nie mogę. To ekstrakt cynamonowy. To także wschodnie; dowód, że co wschodnie, to piękne, ale nie zawsze dobre.

Inaczej utrzymuje Miss Munroe. (O Allahu, czemuż w tym wschodnim obrazku zakłócają harmonją „miss“ angielskie!)

Miss Munroe wypiła do dna, do ostatniej kropli napój cynamonowy i dowodzi, że to delicje, naturalnie, z ręki pięknego oficera, Mister Prinsepa. Wszyscy o tem wiedzą, że urocza Miss Munroe niezwyciężone dotąd serce zostawi w zwycięskiem mieście „El Kahira“, gdy wróci do mglistej ojczyzny.

A on, porucznik Prinsep? On tylko flirtuje: flirt „for ever“...

On się też kocha, ale we Wschodzie, mianowicie w wielbłądach, i lubię go za to. Komenderuje całym bataljonem wielbłądów, t. j. „czarnej artylerji“. Za każdym czarnym żołnierzem do garbu wielbłąda armatka błyszcząca przyczepiona. A tak czarni, jak ich garbate wierzchowce, bardzo godną mają minę.

Mister Prinsep, to pierwszy Anglik, który pasuje do obrazu, kwadruje z wielbłądem, nie detonuje na tle wschodniem, na czele czarnej artylerji. Kocha swego wielbłąda, na nim wizyty składa, przywiązuje go do sztachet, a sam flirtuje we wnętrzu wilii.

Wille europejskie w Kairze! Horrendum!! Samo wspomnienie mieszkań zachodnich przecięło widzenie Wschodu.

Szkoda! tak mi tam dobrze było.

Ale też po co mieszać poruczników angielskich i młode „miss“, gdy się święto Wulid opisywać chciało?

Lwów. *Estcja.*

MYŚLI.

Nic bardziej nie zabija ducha, nad ciągłe obcowanie z ludźmi małymi; zabijają oni poczucie wielkości, tak jak nizki parkanik zasłania sobą wieżę Marjacką, gdy tuż przy nim staniemy.

W zimie, gdy mróz i zawierucha ogarną wędrowca, nie wolno mu pod groźbą śmierci ustać w drodze. Naprzód! tylko naprzód musi dążyć. Tak samo w życiu moralnem.

Pedantyzm robi z człowieka książkę; duch żywy wyprowadza i z książek ludzi.

Przeciwnicy emancypacji upośledzonych warstw społecznych, którzy przyznając im zdolność do rozwoju, żądają usunięcia ich na dziś z areny publicznej w imieniu teraźniejszej ich niższości, przypominają owe matki, które nie chcą pozwolić dzieciom kąpać się tak długo, dopóki nie będą umiały pływać.

Noweliści naturalistyczni są w metodzie podobni do bakterjologów; powinni jednak pamiętać, że dla badacza hodowla bakterji nie jest celem.

Naczelne nasze władze psychiczne: uczucie, rozum, wola, były kolejno wystawione na walkę ze strony zmieniających się kierunków literackich. Klasycyzm zabijał uczucie, romantyzm godził w rozum, negatywny, pesymistyczny realizm i analiza psychologiczna rozkładają wolę. Jeden tylko Mickiewicz w czasie najwyższej swej potęgi umiał powyższe trzy siły psychiczne harmonijnie pogodzić; po nim posiadą to zdrowie duchowe jeden tylko talent w naszej literaturze, i to talent kobiecy...

Kraków. *Wilhelm Feldman.*

AFORYZM.

Jak prawdziwą wartość charakteru jednostki, tak i wartość społeczną całej klasy stanowi świadome dążenie do osiągnięcia dóbr ludzkości w dziedzinie etycznej, prawdy i sprawiedliwości, nieugięty hart i wytrwałość, coto nie łamie się ani przed obojętnością, ani nieprzyjaźnią otoczenia. Może się zdarzyć, że w namiętnej walce codziennej, zagłuszającej często głos sumienia i niweczącej pojęcie słuszności, zwycięstwo chwilowe będzie po stronie siły pierwotnej, nieokiełznanej rozumem i jasnowidzeniem społecznem; lecz tylko zamącony wzrok lub nadszarpana żywotność może zwątpić o ostatecznym celu, do jakiego zmierza ludzkość.

Lwów. *Herman Feldstein.*

SŁOWKO O ALCHEMJI.

„Ars sine arte, cujus principium mentiri, medium laborare et finis mendicare“ — tak pisał o alchemji Lemery w roku 1675. Tem mniej dziwić się można, że śród szerokiego ogółu pozostała alchemikom sława oszustów, szalbierzy, wydrwigroszów. Rzetelne wszakże badania dziejów alchemji odkrywają coraz więcej stron jasnych. Kto dziś na alchemją patrzy jedynie jako na zwyrodnienie prawdziwej nauki, w grubym pozostaje błędzie. Alchemicy na swoje czasy tak byli uczeni, jak my, chemicy, dziś jesteśmy. Ludzie ci, którzy wiekowi naszemu zostawili:

„Śród pstrych obrazów słabe światła ślady,
Śród mroku błędów prawdy płomyk blady“,

właśnie tym, choćby słabym, płomykiem prawdy zasłużyli sobie na wdzięczną u potomności pamięć. Że byli pomiędzy nimi oszuści, toż przecie nauce ich hańby to nie przynosi, gdzież-bo oszustów niema?

Alchemja zostawiła nam w spuściźnie obfity skarb dobrze zbadanych zjawisk chemicznych, których teoretyczne wyjaśnienie, coprawda, blado wygląda wobec dzisiejszych naszych na przyrodę poglądów, bez których jednak tak prędko obecnego poziomu naszej nauki nie bylibyśmy osiągnęli. Że dziś prawdziwiej w naturę wglądamy, że lepiej ją pojmujemy, toż mamy to tylko do zawdzięczenia udoskonaleniu metod badania, metod, które wyrosnąć mogły jedynie na gruncie badań wieków ubiegłych. Gmach teorji alchemicznych runął bezpowrotnie, lecz nigdzie indziej jak tylko na jego gruzach mógł powstać gmach dzisiejszej naszej wiedzy chemicznej, piękniejszy i doskonalszy.

Warszawa. *Maksymiljan Flaum.*

LEGENDA O PIŁACIE.

Biada wam, uczciwi i dobrzy ludzie, którzy służycie nieprawdzie i podłości! Biada wam, czy służycie w złej lub dobrej wierze.

Nie, trzykrotnie biada tym, którzy służą w dobrej wierze! Są oni bowiem, jak złote kajdany na niewolniku, jak owce, szarpiące żywe mięso.

Są, jako Piłat, oddający Chrystusa na umęczenie i publicznie umywający ręce na znak swej niewinności.

Obraz to godzien najwyższej wzgardy, największego gniewu bożego. Wiecie-li, jakim był los Piłata?

Piłat oddał Chrystusa żydom na umęczenie i rzekł: „Jam nie winien! Samiście tego pragnęli". A następnie wziął wodę, umył publicznie ręce i poszedł na obiad, jak gdyby nic się nie stało.

Stało się jednak, że na widok jego pierzchało wszystko, niby na widok zjadliwego gadu.

Słudzy, niewolnicy pierzchali przed nim. Nawet nie ulękły niczem weteran-legjonista zadrżał na widok swego władcy i pierwszy raz w życiu zbiegł z posterunku.

Piłat jednak zwrócił swe kroki na wyniosły dach pałacu, gdzie w wieczornym chłodzie siedziała jego żona. Na widok męża, zdjęta nieświadomym, tajemniczym przestrachem i obrzydzeniem, krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się z dachu w dół głową. Zanim doleciała do ziemi, głowa jej rozprysła się o ostry gzyms pałacu.

Piłat atoli szedł do pokoju, gdzie w kolebce, puchem wysłanej, spało jego jedyne dziecię niemowlę. Gdy jednak ojciec pochylił nad niem twarz, dziecię szeroko otworzyło oczęta, posiniało i westchnęło głęboko. Za minutę ciałko jego było już zimnym, sztywnym trupem.

I położył Bóg piętno na pierś Piłata, przeklął jego życie i jego śmierć, jego duszę i jego ciało, gorzej, niż Kaina.

Albowiem Kain, zabiwszy brata, nie umywał rąk ze krwi, czuł swą winę, uciekał, krył się.

Ten zaś, który prawdę czystą oddał w ręce katowskie, odpychał od siebie odpowiedzialność za czyn swój. Prawda więc wszystka odstąpiła od niego; wszystko, czem żył, pysznił się i oddychał, opuściło go na zawsze.

Rodzina jego znikła, niby cień marny. Cezar z hańbą wypędził go ze służby. Nawet miasto ojczyste, do którego się był schronił, wypchnęło go ze swych ścian.

Długie lata błądził po świecie, włócząc za sobą brzemię nienawiści i wzgardy ludzkiej.

Wreszcie postarzały przedwcześnie, schorzały i nędzny, usiadł koło wielkiego gościńca, błagając przechodniów o kawałek chleba.

Na widok jego jednak nawet najlitościwsze serca stawały się twarde, jak głaz. Nawet czyste dziewice i litościwe matrony rzucały weń kamieniami.

A gdy wreszcie umarł, ktoś hakiem wziął za nogę jego trupa, wrzucił do jamy i przyrzucił piaskiem i kamieniami. Lecz oto następnego dnia trup leżał na poprzedniem miejscu, ziemia go nie przyjęła do swego wnętrza.

Ściągnęli wówczas przechodnie kupę cierni, bodiaków i gałęzi, rzucili na nią trupa i żagiew podłożyli. Kupa jednak spłonęła, a trup w pośrodku jej pozostał zimny, jak głaz nietknięty.

Wówczas uwiązali mu kamienie młyńskie na szyję, na ręce i na nogi, i rzucili w odmęty morskie. Od ciężaru kamieni pourywały się jednak sznury konopne.

Trupa jednak głębia morska nie przyjęła do swego wnętrza. Jako hańbiące piętno naszej planety, pływa on i dotychczas po oceanie.

Lwów. *Iwan Franko.*

PRZEBACZENIE.

„I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“. Z pewnością, dobrze jest mieć odpuszczone winy; lecz podobno, i trudno, i niebezpiecznie — odpuszczać. Społeczność winowajców swoich za przekroczenie ustaw karze i posuwa się w surowości aż do odbierania im życia. Karząc, broni się ona przed rozpanoszeniem zbrodni i przed anarchją. Nikt nie przeczy, że obrona ta jest potrzebną, nikt nie podaje w wątpliwość jej pożytku. Kościoł, podobnie jak państwo, wymierzał surowe kary na łamiących przepisy ustaw kanonicznych. Nawet ideologowie, którzy potępiają zasadę kary, nie stawiają na jej miejscu zasady przebaczenia; radzą oni ubezwładniać zbrodniarzy. Otóż, ubezwładnić człowieka, odjąć mu, w ten lub inny sposób, po jednym złym uczynku moc czynienia tego, do czego popychają go uczucia lub skłonności, nie znaczy to już przebaczać. Zły czyn miałby tu swoje, ograniczające swobodę człowieka, następstwo; tymczasem przebaczenie jest zawieszeniem skutku winy. Stała się i nie ma dla sprawcy swego następstw zewnętrznych, jakby się nie stała.

Społeczność karze ludzi, za krzywdy, wyrządzane innym ludziom. Nie wszystkie jednak krzywdy podpadają pod przepisy praw karzących. Jeśli mnie ktoś okradł, pójdzie do więzienia; jeśli mnie złośliwie obmówił, jeśli mi nie wyrządził przysługi, której się spodziewałem, jeśli mi zagrodził drogę do sławy lub majątku, choć mógł ją zostawić wolną; jeśli mnie w potrzebie opuścił przyjaciel, jeśli mnie zdradziła kochanka, jeśli syn zawiódł nadzieje ojca — trybunały nie ukarzą ich za to. Ale ja jednak cierpię; ja ojciec, przyjaciel, kochanek doznałem krzywdy, której naprawić nic już nie zdoła. Mamże się mścić czy przebaczać? Jeśli ja nie zapłacę, nikt za mnie nie wyrówna tego rachunku. Czy pomimo to mam być pobłażliwym? Czy kiedy sędzia publiczny karze za winy, które jego samego nie bolą, ja mam odpuszczać takie, które mnie zraniły? Czy, raz odpuściwszy, nie dam zachęty do wyrządzenia mi krzywdy powtórnie? Czy zamiast przebaczenia nie mam raczej obowiązku powściągania złośliwych popędów, które mi wchodzą w drogę, odpłacając doznane krzywdy według pogańskiej zasady „ząb za ząb“?

Przebaczaj, mówi religja. Mówi tak, lecz sama grozi grzesznikom karami. Według jej zasad pokuta i skrucha mogą im wprawdzie zjednać odpuszczenie; ale przecież potrzebna jest pokuta i skrucha. Toć i może przyszłoby łatwiej przebaczyć, gdyby winowajca żałował za krzywdę, albo mi ją nagrodził. On jednak nie zawsze to robi i nie zawsze to może; a kto odemnie żąda zawsze przebaczenia, wymaga więcej, niż od bóstwa, którego miłosierdzie ograniczone jest przez sprawiedliwość. Karać — jest to i mścić się i bronić się zarazem. Choćby nie była zakazaną zemstą, musi być wolną obroną. Gdybym zawsze odpuszczał krzywdy, stałbym się łatwą pastwą złości ludzkiej. Ale jeślim choć raz nie odpuścił, już to jest tryumf twardego prawa odwetu, przed którem się ugiąłem.

A więc nie przebaczenie, lecz odwet? Bynajmniej. Odpuszczenie bywa wprawdzie i trudne, i niebezpieczne. Nie jest ona zasadą bezwzględną; społeczność i człowiek pojedyńczy muszą się bronić przed krzywdami. Niema też obawy, żeby kiedykolwiek ludzie posunęli wzrost swego miłosierdzia aż do granic, za któremi zaczyna się bezbronność. A skoro tak, to niezawodnie niebezpieczeństwa miłosierdzia są mniejsze od jego dobrodziejstw. Przebaczać, to czynić dobrze nawet tym, którzy nam źle czynią. Mogę nigdy nie dojść do bezwzględnej w tem doskonałości; potrzeby, interesa, skłonności moje mogą mi tu stawać na przeszkodzie. Nie mniej, jeślim już tę zasadę przyjął, jeślim się nią napoił, zastosuję ją z pewnością od czasu do czasu, co się przyczyni do powiększenia liczby dobrych uczynków, jakie w życiu spełnię lub przynajmniej do zmniejszenia ilości złych. Staram się przebaczać, staram się oszczędzać ludziom cierpień; mniejsza z tem, że ludziom, przez których ja sam cierpię, ale zawsze ludziom. Gdyby i oni starali się przebaczać, i gdyby im się to choć niekiedy udawało, zmalałaby wogóle suma przykrych wrażeń w życiu zbiorowem, które też przez to stałoby się dla wszystkich lżejszem. Jeden człowiek dobry w tłumie przewrotnych musi zginąć, niby owca w stadzie wilków. Dlatego też w interesie każdego leży, aby wszyscy naokoło byli dobrzy i uczynni. Jakoż, dopóki są, nie potrzebują nawet myśleć o przebaczeniu. Ale jeśli im raz nie starczyło dobroci lub prawości, jeśli wojownicze instynkta przemogły i ludzie zranili mnie, ja wówczas przebaczając, stwierdzam przed samym sobą i przed nimi, że czynienie ludziom dobrego jest najwyższym moralnym obowiązkiem. Obowiązek ten złamali moi winowajcy; przebaczenie moje przypomni im to. Jeśli obowiązek ów wogóle szanują i starają się wykonywać, to zapomnienie będzie im na przyszłość lepszym bodźcem do hamowania złośliwych w sobie popędów od doznanej kary czy zemsty, za którą mogłaby pójść nowa z ich strony na nas zemsta i kara — i tak bez końca.

Karanie w szkole stanowi środek wychowawczy, stanowi go potrosze i w szerszem, społecznem pojęciu kary. Świat ludzki pełen jest nędzy moralnej i zepsucia. Jedną i drugą tępić, przed skutkami ich bronić się — społeczność ma niezaprzeczone prawo. Ale do zemsty i do karania człowiek jest już z natury łatwy; czynienia dobrze i przebaczania musi się uczyć. Niechże się uczy. Przebaczenie to jedno z najpiękniejszych prawideł moralnych. Gdybyśmy je chcieli stosować choćby tam tylko, gdzie to czynić możemy bez wielkiego niebezpieczeństwa dla swoich interesów, jużby ubyło stosunkom ludzkim wiele plamiących je skaz. Gdybyśmy chcieli zawsze je mieć na myśli, cały poziom naszego życia wznosić by się musiał. Przebaczenie pokrewne jest poświęceniu. Kto odpuszcza winowajcom, ten nie płaci złem za złe; a kto złem za złe nie płaci, to prawie jakby płacił za nie dobrem. Niechże tedy kościół, społeczność,

jednostki grożą karami i karzą, gdy to im się wydaje koniecznem; przebaczenie jest mimo to od karania wyższe w porządku moralnym. Karać może każdy, przebacza tylko szlachetny. Dobry cierpi, gdy karze; zły cierpi, gdy przebacza. Mamy wprawdzie prawo bronić się przed wylewem ludzkiej złości i stawiać jej tamy; lecz posiadamy prócz tego przywilej przebaczania uraz. Dziś jest to przywilej dusz wybranych; lecz, korzystając z niego, te dusze wybrane i w sobie wzmacniają i w innych sieją zarody prawości. Nie przeszkadzajmy im w tem, bo, gdy kara nie zawsze powściąga złość ukaranego, odwet zawsze zostawia plamkę na sercu mszczącego się.

Warszawa. *Jan Gadomski.*

ZE WSPOMNIEŃ AKTORA.

Zaangażowawszy się do Teatru krakowskiego, odwiedzałem często rodzinną wioskę, odległą o mil trzy.

Gdym przybył do chaty mojego ojca, wnet krewni, sąsiedzi zjawiali się jeden po drugim, niby to niechcący, lub z urojonym jakimś interesem, a to dlatego, ażeby zblizka zobaczyć *ciaracha*, który przez długi czas gdzieś w świecie się *curał*[1]) i znów ni stąd ni z owąd we wsi się zjawił.

Z początku nieufni i podejrzliwi trzymali się zdala, a choć się z czasem oswoili ze mną i chętnie gawędzili o różnych rzeczach, jednak ta jakaś dziwna podejrzliwość co do mej osoby nie ustawała; w każdem ich słowie, geście, spojrzeniu tkwiła jakaś tajemnicza, ale zarazem wstydliwa ciekawość. Pojąć nie mogłem, o co im chodzi, aż pewnego razu jeden z nich, czerwieniąc się jak burak, zadaje mi następne pytanie:

— Powiedzcie wy mi, panie Jonie... cem wy to jezdeście w onym Krakowie?

— Jakto, czem jestem?

— No dyć!... bo to my wiemy, że w miastach są kupcy, kamienicniki, prefesory, sędzie... rózne rzemieślniki i fabrykanty... jest wojsko i urzędniki... kuzdy jest cemsik!... a wy cem jezdeście?...

— Ja?... ja jestem aktorem.

— Achtór?... a cóż to to?

— Hm... co? Mam kondycję w tak zwanym teatrze.

— Tryjater?... a cóż to niby jest?

— Oh... to już trudno!... ja wam tego słowami nie wytłómaczę... jest to takie zajęcie, które trzeba widzieć, żeby je zrozumieć.

Wtedy mój interlokutor, rumieniąc się jeszcze bardziej, bąka nieśmiało:

— Darujcie, ale jo kiedyś byłem na Scepańskim placu... i pytołem się przekupki, co to jest tryjater?... a ona pedziała, że to komendyje.

— No tak... jedni to nazywają komedjami, drudzy teatrem, lecz to wszystko jedno.

---

[1]) Tyrał... Mieli na myśli moją kilkoletnią włóczęgę prowincjonalną.

— Wszyćko jedno? Oh! to już wiem, co to jest!...

— Wiecie?... — pytam się zdziwiony.

— No dyć! — odpowiada — jeśli komendyje, to wiem!.. widziałem je!

— Widzieliście?... kiedy?

— Ano bedzie temu... zaraz... — tu jął sobie przypominać w sposób chłopom właściwy — Zaroz, zaroz... Banasikowa krowa się ocieliła... Wojtek złomoł radło... a ten... zaroz, zaroz... aha!... bedzie temu akurat lat dwadzieścia pięć. Zgodziłem sie na flis... Oh, bo za młodu flisok był ze mnie co sie nazywo. Mieliśwa płynąć ze solą do Zawichosta... naładowaliśma krypy u Podgórza[1]) i puscoj!... cóz kiej wody brak... ani rus płynąć... do dom takze wrócić nie było mozna, bo zgoda była na obowiązek... zreśtą strawne[2]) płacą, to siedź i cekój az woda przybierze... tak tyż i było... bonowałem se po onym Krakowie, kiejby jaki pon!... roboty zodnej, ino spacyry to po Kaźmierzu, to po Stradomiu... kaj kto chciał! Roz pomnę przysedem na plac pod Zamek... wiecie kaj?...

Skinąłem głową na potwierdzenie, nie przerywając mu ani jednem słowem opowiadania, on zaś ciągnął dalej:

— Otóz przysedem na ten plac jakoś przed wiecorem... patrzę jakoś buda!... Ki cort! myślę se... ze ziemi wyrosła, cy co?... wcora nic a nic nie było na placu, a dziś jest taki gmach!... Przeżegnałem się po chrześcijańsku, i zdziwiony pytom się jednej przekupki, co niedalecko tamoj siedziała:

— Pani!?... a ona pedo:

— No?... Wskazuję jej budę i pytom:

— Cóz to to?... a ona mi na to:

— Idź, chamie, to uźrys... Idź, idź, myślę se... abo to tam puscą?... oblozłem oną budę naokolusieńko... Kataryna grała jaz nogi wiergały... wtem patrzę... jakieś okienko, a w nim jakaś pani... podchodzę i pytom: Pani?!... a ona: No?... jo znów się pytom: a mozna tam wliźć do onej budy? a ona na to: kup bilet to wlizies... Kupić?... a cóz to kostuje? A ona pedo: sześć starych grajcarów (12 groszy). Stuk grosa myślę se... skoda marnować... ale z drugiej strony znowu se tak myślę: idzies na ten flis... zwiedzis siła świata... płynies to Wisłą, to Norwią... Muchowcem... zawadzis to o Warsawę, to o Brześć to o Gdańsk... a gdy wrócis na jesieni do dom, wszyscy się pytają: cóześ w świecie widzioł?... a ty godos... umhu!...

Waguję se tedy to tak, to owak... wreście wyjonem piniądze i kupiłem bilet... wlozłem do środka na okrutny chór... patrzę... a tam jedna *psio-krew* na *ciukach*[3]) chodziła!...

Po tej długiej opowieści zwraca się do mnie i zapytuje:

— Cy i wy, panie Jonie, takim samym *ciukowcem* jezdeście?...

— Co?

— No?... cy takie same komendyje pokazujecie?

— Ja?... uchowaj Boże!

— Jakto? przecież to, com widzioł, były komendyje... a wy jezdeście tyz w komendyjach?...

Masz djable kaftan!... pomyślałem teraz ja z kolei... mają mnie tutaj za akrobatę... jak tu z tego wybrnąć?... Co im tam wtenczas naopowiadałem jaka jest różnica między teatrem a wędrownym cyrkiem, trudnoby mi było

---

[1]) Podgórze, miasteczko na prawym brzegu Wisły przy Krakowie.

[2]) Strawne, tygodniowa płaca na życie.

[3]) Ciuki, duże palce u rąk.

w tem miejscu opisać... mówiłem o ciele, o duszy i o zabawie i o nauce, wszystko napróżno!... Wtem przyszła mi szczęśliwa myśl zapytać się ich, czy nie znają jakiej historyjki?... Wszyscy, jak jeden, znali powiastkę o Śtej Genowefie, znałem ją i ja! Określiwszy im w przybliżeniu, jak teatr wygląda, scenizując na prędce w myśli sytuacje, malując słowami akcję sceniczną odegrałem przed nimi całą Śtą Genowefę!... Trzeba było widzieć ich twarze, ich oczy... a zwłaszcza słyszeć ich wykrzyki, aby zrozumieć, jakie wrażenie wywarł w ich umysłach ten zaimprowizowany przezemnie teatr!

Następnie odegrałem im w ten sam sposób „Okno na trzeciem piętrze“ Korzeniowskiego; poczem mój interlokutor rzekł:

Teroz rozumiem dobrze, co jest tryjater... Jest to niby tak: Dziwne a ciekawe historyje mozno opowiedzieć i mozno pokazać... jedne są pisane i te się cyto... drugie są gadane, te się pokazuje... akurat tak samo, jakbym jo obocył coś ciekawego i potem moim somsiadom com widzioł, opedzioł, abo tyz im oną dziwotę na ocy pokozoł... to, co im opowiem, bedzie historyjką pisaną, a to, co pokozę, tryjatrem!... a kiedy takie historyje jak Śta Gerowefa, abo ta hrabina, co na kochanka pistolet porwała, żeby czci mężowskiej bronić, tryjater pokazuje? to robi dobrze... i nie powinien się nazywać komendyjami... jeno skołą abo tyz inacej!

Warszawa. *Jan Galasiewicz.*

FANTAZJA CZY WYOBRAŹNIA TWÓRCZA?

Czystość języka polega na określaniu pojęć i rzeczy właściwemi wyrazami. Ile razy spotykamy wyraz źle użyty, twierdzić możemy, że używający go nie rozumie znaczenia jego, albo nie dba o jasność mowy. W mowie potocznej wybacza się błędy przeciwko czystości języka, przeciwko logice stylowej, a nawet przeciwko najpospolitszym zasadom gramatycznym: pośpiech unieważnia je; wybaczyć też można wszelkiego rodzaju błędy w czasopismach codziennych, lubo drukowany błąd większy jest od wygłoszonego, — ale w rozprawach naukowych błąd miejsca mieć nie powinien. Nic nad to prostszego, a jednak cały szereg piszących posługuje się od lat dziesiątków wyrazem przeszczepionym z obcego języka, który w polskim nie to oznacza, co w niemieckim, a co gorzej, zamiana ta jest szkodliwą, gdyż usuwa z użycia wyraz polski, właściwie rzecz określający. Chcę tu mówić o wyrazie *fantazja* używanym zamiast *wyobraźnia twórcza.*

Przyczyną tego niewłaściwego posługiwania się szkodliwym surogatem jest raz to, że ci, którzy to czynią sami, zwykle nic nie tworząc, o procesie tworzenia mają bardzo ograniczone wyobrażenie, a powtóre, że wiadomości co do nazw odpowiednich czynności tworzenia zaczerpnęli z książek niemieckich, z estetycznych rozpraw obcych, samodzielnego ani samorodnego, na własnych estetycznych i twórczych pojęciach i zdolnościach opartego zdania nie mając, czyli, iż szli drogą niewolniczego naśladownictwa, nie rozumiejąc i nie rozumując znaczenia tego, czego w duszy własnej nie posiadali. Urosły i uróść musiały z tego błędu szeregi innych, urosło wynaturzenie odpowiednich pojęć.

Przypomnijmy sobie, co zwiemy *fantazją* w życiu. Fantazja — jest to pewien stan niezdrowy, gorączkowy wyobraźni, skutkiem którego, człowiekowi dotkniętemu tym stanem, wydaje się, iż jest czemś więcej, niż to ma miejsce w rzeczywistości, zdaje mu się, iż jest ósmym cudem świata, że dla okazania tej mniemanej wyższości, wystarcza butnie nastrojona mina, kapelusz na ucho ukośnie

włożony, głos podniesiony, ruchy gwałtowne. Równolegle z oznakami zewnętrznemi fantastycznego usposobienia idzie zmienność postanowień, lekceważenie zasad porządku towarzyskiego i społecznego, hołdowanie egoistycznym zachciankom i t. p. Jest to więc stan graniczący z obłędem, a nazwa ta, jaką nosi, pochodzi od greckiego bożyszcza Fantasos, syna marzeń sennych, obłędnych. Zobaczmy teraz, jakie szkodliwe następstwa wypływają z tego błędnego pojęcia, że chcąc tworzyć, potrzeba mieć *fantazją* lub, co gorzej, *fantazje*.

Oto wielu ludzi mniema, jakoby zdolność tworzenia wymagała podniecenia *fantazji* szczególnemi jakiemiś sposobami; według nich środkiem najlepszym jest prowadzenie życia fantazyjnego, nieokiełznanego, a przysłowie *poetis pictoribusque omnia,* albo przynajmniej *multa, licent,* należy wykładać w taki sposób, w jaki go sobie tłómaczy tak zwana cyganerja: że nawet już nietylko wesołe swobodne towarzystwo uważać wypada za wyborny środek ożywiający i podniecający, ale nawet rozpalające napoje, że najfantastyczniejsze wybryki są właśnie wybornym wykładnikiem twórczych zdolności, i że one to kierować powinny tą pracą, jako z natury swej nienormalną, zatem wymagającą wprawiania się w rozmaite anormalne stany sztucznej ekstazy.

Niewątpliwie twórczość nie jest stanem normalnym *wszystkich,* ale gdzie jest istotna, tam nie potrzebuje sztucznych podniecań; idzie w parze z potęgą umysłu i uczuć, z podniosłością dążeń, z charakterem tęgim, gdyż te właśnie dążności i uczucia zapładniają *wyobraźnią twórczą*, która jest organem rozwijającym i doprowadzającym do dojrzenia ziarna idei i uczuć. Jeżeli zaś owoce wypielęgnowane na łonie tego organu mają być zdrowe i pożyteczne, on sam zdrowym być musi. Jak spokojnie w kielichu lilji lub w różowej obsłonce kwiatu jabłoni pyłki owoce do rozwoju doprowadzają, tak normalnie i bezwiednie w prawdziwej, zdrowej wyobraźni twórczej rozwijają się nasiona poezji słowa, postaci i dźwięków.

Nie przychodzi to rodzenie wprawdzie bez bólów serdecznych, bez gorącego krwi wrzenia, ale takiem musi być każde rodzenie, w najbardziej normalnym, codziennym objawie, a jak to obchodzić się powinno bez wszelkich podnieceń, jak one wszelkie podniecenia szkodzić muszą i przedwcześnie spadnięcie owocu sprowadzać, tak i tamto, chociażby było jaknajsilniej płomienne, żywe i ogniste, musi owoc dotrzymać do chwili dojrzałości, aby go wydać na świat zdrowym.

Czy zaś ujemne przymioty charakteru, na jakie cierpią dotknięci fantazją, chorobliwością wyobraźni, mogą nosić w sobie zawód twórczości zdrowej?... czy *fantazja* jest, lub być może, bądź to źródłem twórczości bądź organem wyrabiającym jej zarody? stanowczo utrzymuję, że nie... ponieważ jest ona chorobliwym, gorączkowym stanem wyobraźni twórczej. Utrzymuję przeciwnie, że wszystko, co się tworzy, co się tak rozwija, jak się rozwijać powinno, wytwarza się za pośrednictwem wyobraźni twórczej i *w niej, pod wpływem i za podnietą idealnych natchnień, gorących uczuć, podniosłych dążności ducha;* że zgodniejszem jest i z samą naturą faktu tworzenia i z naturą języka polskiego, gdy się mówi o twórczości estetycznej, mówić, iż dzieje się ono za pośrednictwem wyobraźni twórczej, a nie przy pomocy *fantazji.*

Warszawa. *Wojciech Gerson.*

ZASADY MOJEJ ETYKI.

Posiłkując się rachunkiem prawdopodobieństwa uwidocznić można zasadę treści następującej:

„Choćbyśmy usunęli wszystkie przyczyny popełniania błędów, pewne, nie zdołamy wszakże usunąć ich przyczyn niepewnych, od których już zabezpieczyć się nie można".

Gdyby więc jakaś istota, obdarzona nawet wysokiej potęgi rozumem, skierowała wszystkie jego siły ku temu, by uniknąć popełniania błędów, zdołałaby zaledwie zniweczyć ich przyczyny pewne, nie uwalniając się bynajmniej od popełniania błędów losowych.

Przeciwnie, istota obdarzona uczuciem podniosłem, zgadując pod wpływem tegoż właściwe drogi, może się kierować tak szczęśliwie, że przyczyny błędów niepewne równoważyć się będą z temi właśnie ich przyczynami pewnemi, które występują czynnie, o ile rozum zachowuje się biernie; skoro zaś przyczyny błędów wynikowe z niepewnych i pewnych są żadne, błędy będą również żadne.

Stosując powyższe wywody do człowieka, spostrzegamy łatwo, że możność osiągnięcia doskonałości daną by była tylko temu, ktoby godził wymagania rozumu z pragnieniami uczucia, lub nawet i temu, ktoby kierował się samem uczuciem, ale nigdy człowiekowi, kierującemu się wyłącznie rozumem.

Determiniści, jako zwolennicy wyłącznego panowania rozumu, zasady swojej etyki gruntują na wynikach nauk przyrodniczych. Wolno mi też było, w zasadach mojej etyki, opierać się na wynikach rachunku prawdopodobieństwa, nauki nie mniej godnej uznania od nauk przyrodniczych, a może wyższej o tyle, że obejmującej obie dziedziny przyczyn: pewnych i niepewnych, i wolnej od przygodnych hypotez.

Warszawa. *Władysław Gosiewski.*

Z DZIENNIKA PRZYSZŁEJ NARZECZONEJ.

(KILKA ZNALEZIONYCH KARTEK).

...I myśl moja i serce domagają się odpowiedzi na tysiące pytań, których rozwiązać nie umiem... I myśl i serce wykazują ze straszną słusznością, że rola moja na świecie i w rodzinie ma wielkie podobieństwo do piątego koła u wozu. Mama sypiać nie może, zastanawiając się nad moją przyszłością i nad rozwiązaniem pytania: kto mnie nareszcie weźmie, czy — okropność! — nie zostanę... starą panną!

Ojciec pracuje tylko na to, aby do jakiegoś tam już uciułanego dla mnie posagu dodać parę tysięcy; ma to ułatwić „wydanie mnie". Brat, zawsze wesoły i uśmiechnięty spogląda na mnie tak, jak gdyby chciał powiedzieć: nieszczęśliwa istoto, pozornie tylko „królujesz", a faktycznie czekać musisz na jakąś niewiadomą i nieznaną ci istotę płci męzkiej, której będziesz miała szczęście się podobać i która cię wziąć zechce z posagiem, a może dla posagu zaregestruje do swego majątku, jako własność, a z czasem — kto wie? — może się tobą znudzi, porzuci... Smutne to, bardzo smutne — niestety! jednak prawdziwe. Nie jestem dzieckiem, mam dziś już dwudziesty drugi rok (mama nie pozwala mi się do tego przyznawać, a chcąc mnie utrzymać w niewiadomości, zapewnia, że w metryce zaszła omyłka...) widziałam wielu ludzi — szczęśliwych bardzo mało, nieszczęśliwych daleko więcej — podkradałam się do bibljoteki ojca, który jest lekarzem i do książek brata, czytałam prawie wszystkie książki i broszury, jakie za swych studenckich czasów przynosił do domu — i wiem więcej, daleko więcej, aniżeli wolno wiedzieć pannie na wydaniu. W przeddzień ślubu mama nie będzie potrzebowała nic mi wyjaśniać, do niczego przygotowywać... Boję się nawet, czy pozory „niewinności myśli" zdołam zachować do końca.

Dotąd udawało mi się wybornie: w oczach mamy jestem „naiwną". Uważa to za największą zaletę. Dlaczego?... Jako więc kobieta-człowiek, — choćby brat mój miał się ze mnie wyśmiewać, — mam przecież prawo coś wiedzieć, uczyć się, dowiadywać, chcieć, pragnąć, kochać nareszcie, nie po to kochać,

i wtedy kochać, gdy się przedstawi okaz, który mamie się podoba, jako „dobra partja“, ale kochać tak szczerze, tak podniośle, żebym przez tę miłość ducha mego z więzów nieświadomości uwolnić mogła!...

Nie umiałabym może tego umotywować, wyjaśnić, wytłómaczyć, gdybym się nawet czegoś podobnego podjęła, możebym naraziła się na śmieszność, ale czuję to całą istnością moją, że pragnę kochać, że będę umiała godnie prawdziwą głęboką miłością za miłość odpłacić. Ale nie tego pokocham — o nie! — któryby mnie „wziąć“ raczył, nie tego, który dbałby całe życie o powiększenie mego posagu i swego majątku, nie tego, któryby dbał o komfort, popisy przed światem, o błyszczenie, zaszczyty, tytuły i wstążeczki — nie, stokroć nie! — ale tego, któremu mogłabym powiedzieć:

Chcę przez twą wiedzę mój umysł rozszerzyć,
I słowo twoje chować jak przysięgę,
Chcę z tobą marzyć, i tęsknić, i wierzyć
W ducha niezłomną potęgę.
... Chcę z tobą podzielić
Gorzki chleb trudu, i łez, i boleści,
Chcę oczy twoje w dniach smutku weselić...

Ale dość, dość!... Kiedym się tego wiersza na pamięć uczyła i używałam jego ustępów w celu przekonania brata, że i my, kobiety, mamy prawo do życia ludzkiego — roześmiał się, odezwał się z pogardą o poezji wogóle i dodał: wszak to kobieta pisała?... Odchodząc do swej ładnej rozwódki, pogwizdywał walca z „Gasparone“...

Nieraz już zastanawiałam się nad tem, dlaczego brat mój, — skończył przecież uniwersytet, — czytał wiele, musiał również wiele myśleć, dlaczego brat mój tak lekko, wesoło na świat spogląda?... Czy może on do wyjątków należy? Może inni poważniej patrzą na życie? Badałam, porównywałam i doszłam do przekonania, że takich, jak on, właśnie jest najwięcej, a ci w dodatku są najlepsi. Gdzież jest ten, któryby „swoją wiedzą umysł mój chciał rozszerzyć“, któryby wierzył w ducha niezłomną potęgę?...“ Szukałam dokoła, szukałam długo, bardzo długo — nie znalazłam...

Jeśli zaś — zaczynam na serjo roztrząsać! — tacy jak Kazio są najlepsi, jeśli pomimo to, jak przynajmniej zapewniają, świat postępuje, czego dowodem mają być telefony, fonografy, jakieś nowe armaty i t. p. strasznie mądre wynalazki, jeśli więc, słowem, wszystko w porządku, czegóż więc, z jakiej racji, w jakim celu ja, mała, drobna istota, ja kobieta, stokroć gorzej, bo „panna na wydaniu“ niepokoję się, rozpaczam i jak się okazuje, pragnę niemożliwości? Wygląda to tak, jak gdybym uważała się za najlepszą i najrozumniejszą?... Może te właśnie pragnienia są dowodem mojej niedojrzałości umysłowej? Może mama ma słuszność, kiedy mówi: „jak wyjdziesz za mąż, będziesz miała dom własny, dzieci — wszystkie *wiersze* z głowy ci wylecą!“

Dwóch rzeczy mama nie lubi, uważając je dla panny za zgubne: *wierszy* t. j. poezji, mają one bowiem człowieka wogóle, a pannę mianowicie czynić niezdolnemi do życia i *filozofji* t. j. wszelkiej nauki, wszelkiego rozumowania, które nie prowadzi do t. z. szczęścia, a owo szczęście dla mnie, zdaniem mamy, jest byt zapewniony, stanowisko w świecie, eleganckie mieszkanie i stroje, wyjazdy do wód za granicę, a może... może dom, majątek ziemski, willa i konieczne już wtedy powóz, konie... Prawdziwie bankierska idylla!... Uważa to mama za rzecz bardzo naturalną, która mi się niejako z racji urodzenia, po-

chodzenia (boć jestem szlachcianką, inaczej nie byłabym panną na wydaniu) i z racji czegoś tam jeszcze należy. Przyszły mój właściciel, zwany inaczej mężem, biorąc mnie z dobrego domu, tem samem przyjmuje na siebie obowiązek „uszczęśliwienia“ mnie w taki mianowicie sposób.

Czemu mam to przypisać, że nic z tych rzeczy i myśli, które powinny mnie interesować, bawić i zajmować, wcale mnie nie obchodzi? Dlaczego mama powtarza ciągle, że teraz właśnie powinnam się „wybawić“, dopóki „nic nie mam na głowie?“ Dlaczego bale i stroje wcale mnie nie zajmują? Dlaczego nudzę się na wszelkich rautach i spacerach, które — wiem o tem dobrze — są pretekstami do pokazywania mnie ludziom? Ach, mój Boże, czy znajdę kiedy odpowiedź na te pytania?... Nie uważam się bynajmniej ani za lepszą, ani za mądrzejszą, ani za ładniejszą od wielu innych, jestem po prostu tylko od nich różną. Koleżanki z pensji opuściły szkołę z wielką radością, porzuciły książki i kajety na zawsze, uśmiechają się, wdzięczą, stroją, szukają mężów. Kilka z nich już ma dziś „byt zapewniony“, znalazły właścicieli. Zapytałam się jednej z nich, czy szczęśliwa? Otrzymałam z początku wymijającą odpowiedź, z której nic wnosić nie było można. Później jednak na pytania moje może trochę natrętne, chociaż nie próżną ciekawością się powodowałam, dowiedziałam się, iż „myślała, że to co innego, że dopóki była panną, przynajmniej bawiła się, o niczem nie myślała, a teraz ciągle się ją o coś pytają, radzić sobie nie umie, mąż z jej gospodarstwa niezadowolony“... Ze wszystkiego widać było, że zawiodła się biedaczka, że mąż jej, poczciwy, pracowity, choć nie przerastający przeciętnych ludzi ani głową, ani sercem, nawet niema pojęcia, że ta, o której rękę się starał i posiadł ją nareszcie, w swych snach dziewiczych, marzyła o swym małżonku, jak ta, która mówiła:

Chcę żyć z twej pracy i z twojego potu;
Chcę, byś był moim cieniem, mojem echem,
Odpowiedzialnym za mnie niewolnikiem...

Mąż jej wprawdzie pracował, ale nie był i nie chciałby być ani jej „cieniem“ ani „echem“, a tembardziej „niewolnikiem“.

Biedaczka, zawiodła się!...

Jedną z moich koleżanek, która z pensji wyszła za mąż dzięki znacznemu posagowi i znaczniejszemu jeszcze zastępowi bardzo blizkich, bardzo niemłodych i bardzo bogatych krewnych, mąż zdradzał prawie nazajutrz po ślubie. Cóż w tem dziwnego? Nie kochali się nigdy wzajemnie: on ożenił się dla pieniędzy, ona oddała mu rękę dla nazwiska... I ta się zawiodła!

Mogłabym takich — z małemi warjantami — przykładów przytoczyć bardzo wiele. Rozglądając się dokoła pośród znajomych lub znanych ze słyszenia, widzenia i dalszych stosunków, nigdzie nie znajduję małżeństwa, na które patrząc, mogłabym powiedzieć: takbym żyć chciała!... Podobno źle to bardzo, gdy niczego nikomu człowiek nie zazdrości; ja właśnie niczego nikomu nie zazdroszczę, ale dlatego tylko, że... nie mam czego!... Większość małżeństw jest zwyczajnym interesem handlowo-przemysłowym, mniejszość znaczna, zwykłem spełnieniem pewnych przyjętych i uświęconych zwyczajów czy obyczajów społecznych, które mężczyzna w pewnym wieku spełnić powinien, czy musi... Wolę o tem nie pisać, bo czuję, że potrącam o materję drażliwą, z którąbym rady dać sobie nie umiała. Ale wiem doskonale, co chciałabym powiedzieć. Użyję porównania: prarodzicowi naszemu Adamowi było podobno w raju bardzo nudno, niedobrze, brakowało mu czegoś, a że towarzystwo ta-

kich samych jak on mężczyzn nie mogłoby mu wystarczyć i braku tego zapełnić, dostał więc towarzyszkę, która zarówno pod względem duchowej jak i cielesnej organizacji bardzo się od niego różniła. Czy jasno?... Boże drogi, jakże z tego wybrnąć?!... Aha, już wiem! Mężczyzna w pewnym wieku, bez kobiety, jako istoty żywej, jako organizmu, który go dopełnia, obejść się nie może — żeni się więc...

Aż mi włosy na głowie powstają, jak sobie pomyślę, coby mama powiedziała, gdyby przeczytała to, co piszę?!...

Okropność!...

Ale są jeszcze najliczniejsze związki, które na każdym kroku spotykamy: ona wychodzi za mąż, bo zapracować na siebie nie umie, on się żeni, bo potrzebuje gospodyni w domu, którąby o nim pamiętała. To już jest targ zwyczajny, umowa, w której panem położenia jest mężczyzna, warunki dyktuje i wymaga biernego spełnienia rozkazów...

Takich małżeństw najwięcej...

Czy są inne? Czy są takie związki małżeńskie (jakie wyrażenie prawne, kontraktowe!... Mimowoli nasuwa się na myśl intercyza ślubna), w którychby dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, po to się łączyli i dlatego, że „jego ideały i jego cele są jej ideałami i jej celami" i że powiedzieli sobie wzajemnie:

Pracujmy razem, by rozświt dnia biały
Prędzej zabłysnął na ziemi!...

Może się mylę, zawsze radabym się mylić, ale nawet o związku takim nie słyszałam nigdy... A więc prawdą ma być niezłomną, nieprzepartą, że co ma żyć w pieśni, musi zginąć w rzeczywistości?

A więc rodzice moi mają słuszność, gdy mówią, że książki po to się pisuje, aby ludzie wolne chwile mieli czem zapełnić? A więc ideały, to mrzonki, czcze pragnienia, bezpodstawne poloty ducha po krainach marzeń?... A więc to życie nasze po za zadowoleniem wszystkich wymogów ciała, po za funkcjami żywotnemi, jest próżnią, niczem, czczością, którą dopiero marami wyobraźni zapełniać potrzeba, złudzeniami, fantazjami?... A więc nauka, sztuka, uczucie, a więc ideały, wszystko co wzniosłe i piękne, wszystko co wielkie i szlachetne — to mrzonka?!...

Rozumem pojąć tego nie mogę, serce się oburza, myśl się plącze... Jeśli to ma być prawdą, jeśli po za interesem, po zadowoleniu pięciu zmysłów ciała — niemasz nic, nic, nic... czczość, pustka... jeśli to ma być prawdą — stokroć lepiej nie istnieć wcale, nie czuć, nie cierpieć i nie doznawać zawodów na każdym kroku!

Więc — umrzeć?!...

O nie! Ja żyć chcę, ja żyć pragnę, ja żyć muszę, czuję to wszystkiemi siłami ciała mego i duszy, ja kochać chcę aż do poświęcenia, dążyć do ideału aż do ostatnich sił, ja kochać muszę, pragnę...

— Układasz poemat! — odzywa się we mnie jakiś głos szatana. — Układasz poemat, tworzysz obrazy fantastyczne, mary wyobraźni, nikłe, mgliste, niepochwytne... Nie rozkosze szczęścia są waszym udziałem, marne robaki ziemi, o nie! Marzenia o szczęściu wynalazłem po to, abyście głową tonąc w obłokach, nawet ziemskie rozkosze wiecznym głodem, wiecznem pragnieniem szczęścia sobie zatruwali!... Wam wolno tylko iść za głosem namiętności i instynktu!...

Namiętność i instynkt!...

Dzięki ukradkiem przeczytanym książkom pisanym nie dla kobiet (dla nas specjalnie wydają „żurnale“, dzieła pani Lucyny Ćwierczakiewiczowej i książki do nabożeństwa), wiem, co to jest namiętność i rozumiem instynktu znaczenie. Są to dwie siły jak noc czarne, dwie siły szatańskie, piekielne, rozsiane na ziemi pośród ludzi po to, aby ich dręczyć aż do ostatniego tchnienia. Głosom ich oprzeć się nie sposób: żaden normalnie rozwinięty człowiek, jeśli choć raz w życiu w jego piersi gorętszym płomieniem wybuchnęło uczucie, nie miał, mieć nie mógł zupełnego spokoju. Im organizacja jego wyższa, umysł podniośliejszy, serce gorętsze — tem łatwiej ulegnie pokusie, która mu pod postacią cudowną złudnie piękną zawsze się ukaże. To jest źródło udręczeń wszystkich mistrzów sztuki, tych nieszczęśliwych Prometeuszów przykutych do skały życia. Oni cierpią, oni są nieszczęśliwi, a tem nieszczęście ich boleśniejsze, że stwarzają dla duchowo sobie podobnych roje złudnych obrazów, które z krainy niedostępnego ideału nigdy na ziemię zejść nie raczą. Źródło głodu ducha — błogosławione i przeklęte zarazem...

Tak, szatan ma słuszność! Namiętność i instynkt, dwie te siły i one właśnie, tylko one, kojarzą nasze małżeństwa. Namiętność zapewnia przynajmniej jednę chwilę najwyższego szczęścia, ale instynkt działa z wyrachowaniem, z matematyczną ścisłością, domaga się wykonania swych praw, od których uchylić się niepodobna, ze stanowczością inkwizytora. Namiętność ma przynajmniej pozory szczęścia, instynkt — żadnych.

Żeby istnieć, musisz jeść, pić, oddychać, chronić się od zimna, żeby ród twój istniał, musisz się ożenić! Pod ciężarem przymusu, którego źródłem jest instynkt, człowiek schyla głowę, wkłada na siebie kajdany i... świat się odradza. Żyć myślą nie każdemu jest dane: trzeba być na to magnatem ducha, ale żyć ciałem, żyć pięciu zmysłami musi każdy... Ten, co myślą żyje, nie dba o to, czy z krwi swej i kości zostawi potomka, bo egoizm obcy jego sercu, bo on kocha wszystkich bliźnich, nie pytając o ich początek, bo udręczenia jego ducha, bo męczarnie jego myśli zapładniają duchy pokrewne, które z nim razem dążą do słońca prawdy, dobra i piękna! Ten, co ciałem żyje, ciało mieć musi na względzie, ciało, tylko ciało... o, jak nieszczęśliwą musi być ta kobieta, której ciało ma uczynić zadość prawom natury!...

I wiedząc to wszystko, ja, ja pragnąca kochać tak szczerze i święcie, tak podniośle, tak ogromnie, ja miałabym oddać się któremu z tych, którzy chcą w ten sposób ród swój, nazwisko swoje utrzymać na świecie, bo sami nic, nic literalnie po sobie zostawić nie są zdolni? Wiedząc to, ja miałabym służyć tylko za narzędzie może tylko cielesnych rozkoszy?... Nigdy, przenigdy!

Śmierć raczej...

A jednak ja tak kochać pragnę, tak pożądam miłości, że nie znam, pojąć nie mogę wyższego pragnienia... Czyżby i tutaj działać miały: namiętność i instynkt?... Nie skończyłabym chyba nigdy, gdybym zechciała sporządzić najprostszy bodajby tylko wykaz tych pytań, na które odpowiedzi napróżno szukam dokoła. Książki nauczyły mnie wiele, bardzo wiele, — mówię to bez przechwałek, bo zresztą przed kim miałabym się popisywać? ale może dlatego, że nie umiałam i nie mogłam korzystać z nich systematycznie, może dlatego, że źle do nich byłam przygotowaną, może nareszcie dlatego, że musiałam je czytać ukradkiem, ale powtarzam, nie dały mi one rozwiązania, któreby mnie zadowolnić mogło. Gdybym nie była kobietą, człowiekiem, łaknącym życia, domagającym się od niego szczęścia, chociażby krótkotrwałego, ale w każdym razie szczęścia, gdybym była jedynie umysłem czystym (wyczytałam to określenie

w jakiejś bardzo grubej i bardzo uczonej książce) możebym się zadowolniła temi budynkami ułożonemi ze skutków i przyczyn, które uczeni wznieśli. Wprawdzie gmachom tym służy za podstawę wielkie, niezmiernie wielkie: „dlaczego?“ ale tyle dają materjału do myślenia, że zanim się dojdzie do tej podstawy, starość zaskoczy, a śmierć człowieka sprzątnie i zmiecie ze świata. Ale — umysłem czystym nie jestem: mam ciało, serce, nerwy, czuję i myślę, pożądam i pragnę. Zagadki się mnożą, pytania rosną — odpowiedzi łaknę.

Radabym sama przed sobą wyjaśnić ostatecznie, czy troszcząc się, niepokojąc, cierpiąc po prostu — troszczę się i niepokoję o siebie tylko, czy o wszystkie (do mężczyzn, królów stworzenia, krainy i dziedziny wdzierać się nie śmiem) do mnie podobne istoty, stojące na rozdrożu niejako, przed drogowskazem, na którym dwa są tylko napisy: namiętność, a więc szał chwilowy, a po nim żal minionych wrażeń, i instynkt, a więc „będziesz dobrze najedzoną, będziesz jeździć w karecie, gdy zostaniesz... żoną?“

Zapewne, że punktem wyjścia (i to wyrażenie przejęłam z książek) dla moich własnych pragnień i pożądań jestem ja sama, boć pragnienia własne własnemi być muszą. Ale i teraz się nie chwalę jakąś godną pochwały miłością bliźnich; myśląc o sobie i odczuwając głęboko potrzebę kochania, myślę zarazem o mych rówieśniczkach, a dalej o wszystkich kobietach, które ciężkie jarzmo męzkiej władzy (nazywa się to: opieką męzką!) dźwigają. Nie wiem dla czego o tych mianowicie? Może dlatego, że ich widziałam, znam najwięcej, a zresztą i najwięcej ich być musi. Toć to są właśnie ofiary wszędzie obecnego instynktu! Po dwóch krańcach i w równej od tego środka granicy stoją: na dole ofiary namiętności — nieszczęśliwe kobiety upadłe, na górze — ideały, innemi słowy, to czego niema, co istnieje tylko „im Dichters Lande“... Jeśliby nawet gdzieś kiedyś jakoś istniała taka kobieta — byłaby wyjątkiem... Zapomniałam jeszcze o jednej kategorji płci naszej: o zakonnicach, siostrach miłosierdzia, o poświęcających się. Może się mylę — ale wyłączam je z szeregów, bo ich nie rozumiem wcale... Przypuszczam, że są to organizacje złamane, jakaś zachodzić w nich musi przewaga jednego pierwiastku nad drugim, brak im zrównoważenia sił fizycznych z duchowemi, na niekorzyść pierwszych. Często gra tu rolę strach, lęk, obawa niewiadomości i niepewność przyszłości, a często cierpienie... Czołem przed niemi, czołem przed ich zasługami, podziwiam je — ale naśladować-bym nie umiała: ja chcę kochać, ja muszę kochać...

A więc?...

A więc jestem przekonaną, że troszczę się o siebie, ale i o innych nie zapominam, uważając się za małą cząstkę tej ogromnej reszty innych.

Przekonanie to dodaje mi siły i odwagi. Z tem większym uporem (tylko nie kobiecym, nie!) z większą stanowczością domagać się będę odpowiedzi na moje tysiączne „dlaczego“ i tem goręcej pragnąć będę...

Czy można napisać?... A więc tak, szczerze otwarcie, wobec samej siebie, wobec sumienia własnego, z ręką na sercu powiadam: tem goręcej pragnąć będę miłości!...

Petersburg. *Henryk Gliński.*

WYPRAWA PO STAROŻYTNOŚCI.

Przed laty kilkunastu czytelnicy *Kurjera warszawskiego* znaleźli następującą w jego szpaltach wiadomość: „Ktoby posiadał do zbycia starożytne narzędzia i przedmioty kamienne z kraju naszego pochodzące, raczy zgłosić się z niemi do redakcji Kurjera, gdzie w dniu jutrzejszym pomiędzy godziną 3-cią a 4-tą po południu znajdować się będzie i nabywać je jeden z badaczów naszej zamierzchłej przeszłości".

Była to godzina, w której członkowie redakcji pokrzepiali swoje ciała posiłkiem doczesnym i dlatego obrałem tę porę na moje posiedzenie, aby nikomu nie przeszkadzać. Przybywszy o trzeciej nie zastałem już nikogo w niezbyt wielkim i niezbyt widnym pokoju w dziedzińcu na 1-szem piętrze, przy teatralnym placu. Usiadłem więc w redaktorskim fotelu i nie taję, że byłem mocno zaciekawiony, jak wiele i jakiej wartości zabytki dziś zdobędę. Od lat już dziesiątka gromadziłem materjał do obrazu pierwotnej kultury całego kraju, do odźwierciedlenia owej epoki najstarszego osiedlenia, z której nie mamy ani kronik, ani hieroglifów i ruin, ani żadnych innych świadectw oprócz grobów i narzędzi z kamienia i kości wyciosanych. W wędrówkach moich po kraju znalazłem wiele miejscowości pierwotnych siedzib ludzkich i różne wyroby tych najstarszych jego mieszkańców. Na karcie jednak owej rozległej równiny, na której wyrósł naród, świeciły się jeszcze białe szerokie smugi niezapełnione niczem. Sięgałem więc na wszystkie strony po drobne choćby światełka z owych mglistych pra-wieków, i dzisiaj byłem pewien, że wycieczka moja do Kurjera, po owem ogłoszeniu przyniesie mi jakie zdobycze z nieznanych miejscowości.

Siedziałem poważnie, spoglądając co chwila to na drzwi, w których nikt się nie ukazywał, to na zegar redakcyjny, który wybił kwadrans na czwartą. W korytarzu poczubili się chłopcy z drukarni, ale do drzwi nikt nie zapukał. Grobowa cisza panowała w redakcji. Wybiła godzina wpół do czwartej. Różowe widmo moich nadziei wypędzał i opanowywał szary duch zwątpienia. Nikogo widocznie nie zajmowały czyjeś badania naukowe, nikt nie interesował się odległą przeszłością, nie przyniósł niczego do zbycia, ani do pokazania, nikt nie

udzielił mi żadnej wiadomości o jakim zabytku z dawnych czasów. Gdy zegar wybił trzy kwadranse, przyznaję, że w dziedzinie archeologii i badań nad pierwotną kulturą kraju uczułem się jakoś osieroconym wśród mojego społeczeństwa i z kwaśną miną spojrzałem już w stronę kapelusza, parasola i rękawiczek, gdy oto na schodach dało się słyszeć ciężkie stąpanie. Drzwi otworzyły się z łoskotem i ukazał się na progu typ warszawskiej, wcale zresztą przystojnej kucharki dźwigającej na prawej ręce kosz obwiązany chustką, naładowany czubato. Jakaś błoga radość rozpromieniła mi serce.

— Czy to tutaj jest ten pan, co skupuje starożytności kamienne? — zapytała głosem rezolutnym.

— Ja właśnie jestem, proszę pokazać, a kto to przysyła? — i rozpromieniony nadzieją bogatych plonów spojrzałem ciekawie na napełniony jakimś ciężarem kosz potężny i na karjatydę, która go przyniosła.

— To przysyła moja pani z Piekarskiej i druga pani z przeciwka i jeszcze trzecia pani, co mieszka w suterynie, a wszystkie razem kazały żądać od pana za to dwa złote.

Tyle starożytności za dwa złote! To rzecz niesłychana, lecz i podejrzana zarazem — pomyślałem — gdy sługa, aby nie tracić czasu poczęła energicznie wydobywać z pod chustki i mimo mego protestu ustawiać na stole redakcyjnym „starożytności kamienne“ ale, niestety, były to: garnuszki różnego kształtu, a najwięcej od śmietanki, kubki, imbryczki od kawy i inne jeszcze naczynia a wszystkie bez uszu, dziobków, szczerbate i z dziurami. Było to całe muzem z dziedziny klasycznego naturalizmu.

— Ależ, moja panno — rzekłem śmiejąc się i podrażniony zarazem — twoja pani nie wiedziała wcale, o co chodzi. Ja takich starożytności nie kupuję, weź je i odnieś swojej mądrej pani.

— A cóż pan jeszcze żąda, żeby za dwa złote było tyle całych i dobrych, przecież to naczynia kamienne a nie zwyczajna glina bez polewy. Zresztą ta pani z przeciwka to powiedziała mi w końcu, że jakby pan dał złotówkę, to mogę także sprzedać panu, bo śmieciarki dawały za to tylko sześć groszy.

— Ja nie dam ani grosza i proszę o zabranie w tej chwili wszystkich skorup! — Kucharka ani myślała być posłuszną.

— Ta pani, co utrzymuje garkuchnię w suterynie, to powiedziała na ostatku, że jak ci nic za to dać nie zechce, to mu zostaw bez pieniędzy a z powrotem nie przynoś. Więc po cóż mam dźwigać ten ciężar, do śmietnika na Stare Miasto.

Położenie moje stało się prawdziwie komicznem. Co chwila mógł ktoś nowy przyjść do przybytku redakcji i ujrzeć ją przemienioną na garkuchnię ze Starego-Miasta. Na moje szczęście nikt nie przyszedł w tej chwili. Zastąpiłem więc drogę cofającej się do drzwi kucharce i zapowiedziałem stanowczo, że jej nie wypuszczę, aż skorupy swoje zabierze do kosza. Sługa warszawska nie zmieszała się wcale, nawykła widocznie do nieposłuszeństwa, i spojrzawszy na mnie drwiąco, zaczęła się namyślać, co ma robić. Czas naglił, nie było innej rady: dałem dwa złote tej dziewczynie, by zabrała ze sobą czerepy, a potem chustką od nosa wytarłem okrągłe ślady z popiołu i sadzy, które po garnkach i imbrykach pozostały na zielonem suknie. Na szczęście było już wszystko w porządku, gdy ukazała się w redakcji jejmość wysoka, chuda, koścista, średniego wieku, w ciemnej sukni z torebką krzyżowej roboty w ręku.

— Czy mam przyjemność mówić z panem archeologiem? — zapytała.

— Tak pani, jestem nim właśnie na usługi — odrzekłem.

Tu koścista pani zaczęła bardzo szybkim, wymownym i żartobliwym a przytłumionym głosem opowiadać dzieje swojego życia, niepowodzenia materjalne, rozmaite zajścia drastyczne ze złym i niewiernym mężem, nieszczęścia rodzinne i w końcu, gdy usiłowałem nawrócić niepospolity potok jej wymowy do przedmiotu, wyjęła z torebki przycisk marmurowy, z ułamaną gałką i rogiem, kubek alabastrowy do cygar, bez podstawy i nieśmiało ukazała jeszcze pod rąbkiem chusteczki marmurek do ostrzenia brzytew i scyzoryków po owym niegodziwym mężu. Nastąpiły z mojej strony objaśnienia, że takich starożytności kamiennych nie zbieram, a konferencja z panią zakończyła się w ten sposób, że w torebce wymownej jejmości znalazła się moja trzyrublówka a za piecem redakcyjnym przycisk, kubek i marmurek złamany.

Gdybym nie miał w naturze krótkiego nosa, to miałem ochotę napisać, że z nosem na kwintę spuszczonym wychodziłem czemprędzej z redakcji Kurjera, postanawiając nigdy w życiu nie próbować więcej powiększania moich zbiorów starożytności w podobny sposób. Gdy oto zastąpił mi drogę we drzwiach drab sążnisty w wytartym paltocie, ze szramą pod okiem i sińcami, a obejrzawszy się dokoła pustego pokoju, zapytał, czy to ja kupuję starożytności?

— Tak, panie, a jakież pan przyniósł zabytki?

— Ja nie przyniosłem żadnych, — odparł drągal z silnym oddechem szpagatówki — ale służę u jednego pana, który ma całą skrzynię starożytności do sprzedania, lecz jest chory i leży w łóżku, więc tylko kazał bardzo prosić, aby pan pofatygował się do niego dziś wieczorem z pieniędzmi i wszystkie te ciekawości zakupił od niego.

Tu, improwizowany lokaj opisał mi, że pan jego mieszka za Wolskiemi rogatkami, gdzieś jak można było sądzić, daleko i w miejscu dość odludnem koło cmentarzów.

Wszystko wydało mi się podejrzanem, ale pomyślałem sobie jednak: a nuż znajdę tam co ciekawego dla mych badań? więc nie powinienem cofać się przed niebezpieczeństwem, które może tylko jest urojeniem. Jakoż powiedziałem drabowi, że przybędę. Przez ostrożność atoli nie udałem się tego wieczora, ale nazajutrz w południe. Wskazany szczegółowo opis drogi i mieszkania zaprowadził mnie do starego domostwa, położonego prawie w polu. Uchyliłem drzwi pierwszej izby, która służyła za kuchnię a była przerażająco czarna, brudna i pusta. Nie znalazłszy w niej nikogo, otworzyłem drzwi do izby następnej. Był to niby pokój, ale fatalnie odrapany i niechlujny. W jego rogu siedział na starej sofie mężczyzna młody jeszcze, z ręką owiniętą i zawieszoną na temblaku. Nie wyglądał wcale na chlebodawcę tamtego famulusa, ale raczej na kolegę, lub herszta podobnych opryszków.

— Czy to pan posiada starożytności kamienne? — zapytałem.

— Tak, panie, — odrzekł chory gospodarz, — niech pan siada, mam je w zachowaniu na górze, ale jestem słaby i otworzyć skrzyni nie podołam, lecz lada chwila nadejdzie mój służący.

— Cóż to są za przedmioty, — zapytałem.

— A to widzi pan takie bożki kamienne, które wykopałem w dalekich stronach.

Tu widocznie zaczął się mieszać mój gospodarz i po tych słowach zniecierpliwiony nieobecnością służącego, kulejąc wyszedł przed dom wyglądać, czy nie powraca jego kamrat. Miałem chwilę swobodną do przyjrzenia się ścianom i sprzętom całej izby. Na stole leżały rozrzucone stare karty, niedopita flaszka siwuchy, resztki niespożytego mięsiwa, kilka cygar w pudełku. Nad tapczanem

wisiało modne palto, nowy cylinder, złote binokle, w kącie stała elegancka laseczka, obok potężnej czeczotki. Z pod poduszki wyglądał zagadkowo koniec jakiegoś grubego drewnianego trzonka. Uchyliłem nieznacznie róg onej i cóż się oczom moim przedstawiło? Łeżał topór, jakieś dłuto i pęk wytrychów na rzemyku. Nie było tu co robić dłużej! Gospodarz, chwiejąc się na nogach, nalegająco zatrzymywał mnie we drzwiach domu, zaręczając, że służący jego zaraz przyjdzie i całą skrzynię bożków na strychu pokaże. Odpowiedziałem mu, że taka mitologja, prowadzi prosto na „Pawiak“ i wyszedłem, nie pożegnawszy się z kolegą archeologiem.

Jeżewo. *Zygmunt Gloger.*

SŁOWKO OD SOCJOLOGA.

Każde społeczeństwo składa się z kilku odrębnych światów, każden zaś człowiek rodzi się, żyje i myśli tylko w jednym z nich, o innych nie śni mu się nawet. Dla każdego z nas świat własny jest miarą wszystkich innych, i tą miarą mierząc, wydajemy sądy nasze, oczywiście, zawsze wobec tych innych światów stronnicze.

W nowszym czasie dopiero powstała nauka, której widnokrąg obejmuje wszystkie światy społeczne i która stara się każden z nich pojąć jako wynik rozwoju koniecznego, niezależnego od woli jednostek, ale ulegającego stałym i niezmiennym prawom natury. Największą trudnością, z jaką *socjologja się* spotyka, jest to, że drogi z jednego świata społecznego do drugiego nie są tak łatwe do przebycia, bo choć powierzchni ich się dotykamy, do wnętrza ich obcemu przeniknąć trudno.

Istnieje bowiem pewna, jednostkom nieświadoma, karność hasłowa, która czyni, że należący do odrębnych światów nie wyjawiają tego wnętrza uczuć i mniemań przed obcymi, tych niezbadanych tajników, które jedynie mogą nam wytłómaczyć odrębne zjawisko społeczne.

Tu socjologji w pomoc przychodzi natchnienie poetów takich, jak Orzeszkowa, dziwną intuicją odgadująca najgłębsze myśli i uczuć tajniki, z których płynie odrębne życie różnych światów społecznych. Tacy poeci — jest ich bardzo mało — roztaczają przed nami obrazy blizkich nam światów, któreby jednak bez nich na wieki zostały dla nas obcemi i nieznanemi. Na czele tych prawdziwie natchnionych powieściopisarzy stoi u nas dzisiaj Orzeszkowa, a zasługi jej tem większe, że światy, które nam odsłania, leżą wśród nas. To też powieści jej są wielką skarbnicą nietylko sztuki, która wyższego celu nie zna nad odtwarzanie rzeczywistości i prawdy, ale nieocenionym zbiorem materjałów dla *socjologji*. A nie chodzi tu tylko o zaspokojenie ciekawości próżnej badaczów, ale o szerzenie *światła*, rozpraszającego ciemności, w której się wylęgają społeczne uprzedzenia i zawiści. Niechże mi więc wolno będzie imieniem Socjologji szczery Jubilatce złożyć hołd na tem miejscu.

Graz (Hradec). *Dr. Ludwik Gumplowicz.*

KROL MOKA.

Minęły wieki legend, ale postacie bratnie tym, które ich bohaterami bywały, zdarzają się jeszcze tu i owdzie, czasem tam, gdzieby się ich najmniej spodziewać można, jak naprzykład pomiędzy bubisami.

Bubisi, to autochtoni wyspy Fernando Poó, najprozaiczniejsi, najpotulniejsi i najleniwsi z pośród „dzikich synów wolnej przyrody", jak się stale zawsze mówi o murzynach w tym specjalnym reporterskim stylu, który każdą warszawiankę nazywa „uroczą", każdego lutnistę „sympatycznym", a każdego wioślarza „dzielnym".

Niema chyba plemienia w Afryce, na którem kilkudziesięcioletnie obcowanie z białymi tak żadnego, literalnie żadnego, nie wycisnęło piętna, jak na bubisach.

Bubis dzisiejszy jest zupełnie tym samym bubisem, który na widok pierwszych białych ludzi, na ziemię tę wstępujących, uciekł trwożnie w te nieprzystępne góry, jakiemi całe wnętrze Fernando Poó się jeży, tam zbudował chatę palmową i, bez oporu, bez walki, zostawiwszy przybyszom wolność rozpanoszenia się na wybrzeżach i równinach pięknej swej wyspy, zamieszkał wśród przepaścistych jej stoków i paprociowych lasów.

Gdy przezwyciężywszy trwogę i przekonawszy się, że nie wszyscy biali polują na czarnych, aby ich związać i sprzedać na okręt handlarzom niewolników, zszedł z gór i zetknął się z nieznanym żywiołem, cywilizacja europejska wywarła na nim wrażenie tylko następującemi przedmiotami: wódką, tytoniem, bronią palną, kotlasem stalowym, drobnemi paciorecznkami i bawełnianą tkaniną najgorszego gatunku w błękitną i czerwoną kratkę.

Od owego czasu, w założonem przez anglików mieście Clarence (dzisiejszem Santa Isabel Hiszpanów) potworzyły się liczne faktorje, porozkładały na swych półkach najróżniejsze wyroby europejskiego przemysłu, najponętniejsze

świecidła i fraszki, na widok których omdlewają z zachwytu serca innych afrykanów, ale bubis pozostał na nie obojętnym.

Więcej nawet, jest on do tego stopnia zachowawczym, że gdy raz pewna faktorja, chcąc zrobić konkurencję, zaczęła sprzedawać indentycznie te same przedmioty po niższych cenach, żaden bubis nie chciał ich kupować i szedł tam, gdzie je po dawnemu mógł nabyć.

Jest w tem plemieniu jakiś nieprzeparty wstręt do wszelkiego postępu, który tłumi w nim nawet ciekawość i chęć naśladownictwa, tak silnie zazwyczaj u czarnych rozwinięte.

Codziennie widzieć można szeregi tych wątłych, czerwoną farbą *(N'tola)* umazanych postaci, z twarzami pokiereszowanemi szkaradnie w podłużne nacięcia nożem, co u nich zastępuje tatuowanie i nadaje im podobieństwo do przygotowanych do smażenia siekanych kotletów, jak dążą ze swych jaskółczych siedzib, kobiety przodem, obciążone koszami z olejem palmowym, jamsem i bananami, dalej dzieci, niosące jaja w łykowych króbeczkach, wreszcie mężczyźni z ustrzeloną antylopą, gołębiem, wiewiórką lub żywą kurą, wiszącą u końca zarzuconego na ramię góralskiego kija, i kalabasą wina palmowego w drugiej ręce. Cały ich przemysł i całe źródło dochodu zamyka się w tej defiladzie.

Plantator, który za drogie pieniądze musi sobie sprowadzać robotnika z Krumańskich wybrzeży i często widzi się pozbawionym rąk do pracy, napróżno kusiłby bubisa sutem nawet wynagrodzeniem, by się jął kotlasa i czyścił mu zarastające pole.

Bubis gardzi zarobkiem, który się trudem zdobywa. Na co mu to? Jedna antylopa zastrzelona z rana, ot tak, dla przyjemności, bo bubis jest namiętnym myśliwym, dostarczy mu w mieście butelkę rumu i główkę tytoniu, w domu żona *(moisu)* ugotuje mu jamsu z olejem palmowym: często trafi się do tego kawałek wężowego mięsa, wielki specjał bubiski, i czarny Djogenes nie pojmuje, czegoby więcej mógł pragnąć, o co się troszczyć. Jeżeli ciuła pieniądze, to chyba na kupno fuzji, a ten sprawunek stanowi epokę w jego życiu.

Rzecz prosta, iż przy tak ograniczonych ideałach i potrzebach, przy niesłychanie słabo rozwiniętej inteligencji i ślamazarnym temperamencie jest on najnieszczęśliwszą, a zarazem najbezbarwniejszą istotą pod słońcem.

A przecież z pośród tych ludzi powstał i żyje człowiek, który jest szlachetnym myślicielem, mądrym prawodawcą, dzielnym administratorem, sprawiedliwym sędzią i którego otacza aureola dziwnej, pełnej poezji tajemniczości. Jest nim król Moka.

Zanim on po śmierci poprzedniego *Kokoroko,* czyli króla, objął najwyższą władzę, bubisi pomimo swej potulności wiedli ciągłe pomiędzy sobą kłótnie, do najmilszych zaś rozrywek należało napadanie znienacka mieszkańców jednej wsi na drugich, czemu życie wśród gąszczy wybornie sprzyjało.

Europejczyk, tak bezpieczny na wybrzeżach, nie mógł zapędzić się w góry, żeby niezostać napadniętym, zbitym niemiłosiernie, ograbionym, a częstokroć i zamordowanym. Mieli przytem ci ludzie, tak miękkiego serca, że psy swoje, gdy małe, noszą na ręku, mieli parę zwyczajów tak potwornych i okrutnych, iż pióro wzdryga się przed ich opisem.

Ale oto zjawia się król Moka i wszystko się zmienia.

Kradzież i kłamstwo, te dwie „cnoty“ etyki murzyńskiej dostają od niego nazwę zbrodni i na równi z zabójstwem i rozbojem podlegają karze śmierci.

Nad wykonaniem nowych praw czuwa ustanowiony przez króla sąd

wędrowny, *boala*, złożony z najrozumniejszych i najuczciwszych poddanych Moki. W pewnych epokach roku *boala* wychodzi z królewskiego siedliska i poprzedzana przez heroldów, dmących w rodzaj trąbki, zwanej *bututu*, podąża do najbliższej wsi *(besé)*. Mieszkańcy jej wytaczają przed nią wszystkie swe skargi, spory i krzywdy, a starają się robić to jaknajprędzej, bo przez cały czas pobytu boali we wsi ciężar utrzymania sędziów na nich spoczywa.

Wymierzywszy sprawiedliwość, *boala* wędruje do następnej *besé* i tak obchodzi całą wyspę, przy dźwiękach *bututu*, odgrywającej tu rolę trąby archanioła w minjaturze. Po powrocie obowiązaną jest zdać ścisły raport ze swej działalności królowi, który tym sposobem wie wybornie, co się w jego państwie dzieje, choć sam osobiście nigdy go nie odwiedza. Dziś po dwudziestu latach jego rządów bubis, któryby kradł, kłamał lub rozbijał jest po prostu fenomenem.

Zdumieć się trzeba nad wpływem tego niewidzialnego władcy, zdumieć jeszcze bardziej nad wzniosłością i czysto chrześcijańską moralnością pojęć człowieka, do którego nie doszło nawet echo wyobrażeń cywilizowanego świata.

Bo bubisi tradycyjną swą nienawiść białych i trwogę przed nimi zachowali dotąd w sposobie życia swych królów.

Ciekawych w tym względzie szczegółów nasłuchałam się z opowiadań niejakiego George Scott'a, ucywilizowanego bubisa (bo i takie wyjątki, acz niesłychanie rzadkie, trafiają się), który przy zwiedzaniu góry Clarence Peaku służył nam za tłómacza i pośrednika w stosunkach z krajowcami, a w krytycznej chwili podle nas opuścił na hańbę swej misjowanej cywilizacji.

Ten George Scott, ten bubis ubrany po europejsku, zmuszający się do picia piwa (którego murzyni nie cierpią), bo to jest napój białych, ożeniony w anglikańskiej misji i nazywający pompatycznie swą żonę „Mrs Scott", ten góral z urodzenia, a udający, że mu trudno piąć się po górach, ten typ w wysokim stopniu ujemny i śmieszny, jak większość niby cywilizowanych murzynów, stawał się sobą, naiwnem dzieckiem natury, ubierającem w nadprzyrodzone kształty wszystko, co kocha, w co wierzy i co mu imponuje, ilekroć wspomniał święte nazwisko króla Moki.

I na niego, pomimo, że się wyemancypował i zerwał z tradycją, działał przecież potężny urok tego imienia, tak dobrze, jak gdyby jedynym jego strojem był kapelusik z łyka i przepaska z paciorków.

Pamiętam jeden nocleg w górach, kiedy siedząc przy ognisku nad brzegiem straszliwej przepaści, George Scott wygrywał na fujarce własnego pomysłu, bardzo sztucznie wydrążonej, i opowiadał mi cudacką swą angielszczyzną z rodzajem religijnego namaszczenia o królu Moce.

Oto mniej więcej jego słowa:

„Na południowej stronie wyspy w samym środku, pomiędzy wschodnią zatoką, zwaną *Bjapa*, a zachodnią *Bdoko* stoi wielka płaska góra, a w niej otwór głęboki, tak obszerny, że w nim cała wieś wygodnie zabudować się mogła. To *Ryaba*, miejsce święte, siedziba króla Moki. Tam on mieszka ze swemi żonami i dziećmi, a chaty sług, domowników i przyjaciół otaczają jego domostwo. Król sam jest wysoki, tak wysoki, że o głowę najwyższych przerasta. Długa broda, zapleciona u końców, spada mu na piersi. Ramię jego jest siły nadzwyczajnej, a wzrok dosięga mrówki wędrujące po pniu najdalszej palmy. Chodzi nago i przepasuje się tkaniną z kory drzewnej. Nie widział on nigdy nietylko białego człowieka, ale nawet brzegu morskiego, dlatego, że stamtąd biali ludzie przybywają. Biali dużo złego ze sobą przynieśli, więc król nie chce znać nic,

co od nich pochodzi. Nie używa soli do swych potraw, bo sól to przysmak białych, nie pije wódki, bo wódka z białymi przywędrowała, jada wyłącznie to, czego wyspa dostarcza; nigdy o jego uszy nie obił się wystrzał broni palnej, a usta jego nie dotknęły tytoniu białego człowieka. Ale gdyby się dowiedział, że który z jego poddanych krzywdę białemu człowiekowi wyrządził, ukarałby go srogo, bo sprawiedliwość króla Moki nie rozróżnia kolorów skóry. Wszyscy bubisi kochają go jak ojca i posłuszni są ślepo jego rozkazom, ale mało kto po za jego najbliższemi oglądał go, bo dostęp doń trudny, nawet dla czarnych. Chyba, że kto wyjątkowo skrzywdzony przywędruje ze skargą: wtedy zawsze posłuch otrzyma. Niedawno, przed trzema laty, gubernator hiszpański chciał się koniecznie do niego dostać i namówić go, by dzieci swoje do misji katolickiej oddał. Wyprawił więc posłów z bogatemi podarunkami, ale Moka podarunki odrzucił, a na usilne żądanie osobistego widzenia się z nim, odpowiedział dumnie przez swoich ludzi, że „od gubernatora do niego tak daleko, jak od niego do nieba".

— A jednak — zarzuciłam Scottowi, — znam dwóch białych, którzy nigdy nie kłamią, a którzy zapewniali mnie, że widzieli króla Mokę we własnej osobie.

Scott uśmiechnął się chytrze.

— Nie kłamią oni, a przecież go nie widzieli — odparł. Widzieli brata jego, który bardzo do niego podobny i którego krewni królewscy, złakomiwszy się czasem na podarki, pokazują tym, co go koniecznie chcą widzieć. Ale sam król Moka nie wie o tem i wpadłby w srogi gniew, gdyby się dowiedział.

Umilkł, i po chwili zakończył określeniem wysoce charakterystycznem w ustach murzyna:

— Król Moka jest człowiekiem prawdy.

Zadumałam się.

Więc w tym świecie istot nieoświeconych, u których instynkta zastępują miejsce uczuć, a zaspokojenie najpierwotniejszych fizycznych potrzeb starczy za wszelkie ideały, w tym świecie tak poziomym, tak tępym, zdołał wytworzyć się i żyje kult człowieka, który ani siłą zbrojną nie gnębił, ani przepychem bogactw nie olśniewał, ani szczodremi dary nie jednał, ale pierwszy, cudowną intuicją wiedziony, wsparł swój tron dziki, w wygasłym kraterze samotnej afrykańskiej góry ukryty, na tych najwspanialszych postumentach, które może dopiero szczyt cywilizacji kiedyś europejskim tronom pobuduje: na sprawiedliwości, prawdzie i pokoju.

Santa Maria de Fernando Poó. *Hajota.*

PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW NAUKI.

Jeżeli badacz rozwoju ludzkości sięgnie myślą na kilka tysięcy lat przed naszą erą, to jego oko duchowe ujrzy na dostrzegalniach Babilonu, na wieżach tajemniczych świątyń Egiptu mężów, poświęcających całe swoje życie obserwacji nieba. Lazurowe sklepienie z miljonami jego świateł od zarania dziejów zwracało na siebie uwagę człowieka. Do niego zwracał się kapłan egipski, gdy mu chodziło o zwiastowanie chwili wylewu karmicielki rzeki; na niem wróżbita chaldejski odczytywał wyroki bogów; ku niemu zwracał wzrok swój mieszkaniec dalekiego Wschodu, czatując na strasznego smoka, wroga gwiazdy dziennej. Zawsze i wszędzie człowiek uważał niebo za symbol trwałości, za siedlisko bogów nieśmiertelnych.

Gdy z upływem czasu berło wiedzy przeszło do rąk Greków, badanie nieba przybrało inny zupełnie charakter. Długo wprawdzie w umyśle tłumów gromo-władny Jowisz panował na niebie, lecz filozof grecki bardzo wcześnie przestał się zajmować miłostkami lekkomyślnych bogów i bogiń, a natomiast żywo go zajmowała harmonja ruchów ciał niebieskich. Wielcy myśliciele Grecji badali przyczyny ciekawych ruchów sklepienia nieba i gwiazd błądzących, starali się wymierzyć odległości i wielkości planet, a nawet wyznaczyć położenie gwiazd stałych. Zawiłym był układ Ptolemeusza. Sfery, cykle i epicykle, jak dziś wiemy, nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, lecz pomimo to prace badaczy greckich stanowią podwalinę wspaniałego gmachu astronomji. Obserwacje Hipparcha i jego odkrycia stanowią świetną kartę w dziejach królowej nauk.

Kiedy w następstwie ślepy fanatyzm ogniem i mieczem wytępił wszystkie zdobycze ducha ludzkiego, wtedy wrodzona człowiekowi chęć poznania przyszłości na gruzach prawdziwej nauki wzniosła nowe świątynie, fałszywym wprawdzie bogom poświęcone, lecz pomimo to w nich przechowywała się iskra świętego ognia wiedzy, z której w następstwie wystrzelił jasny płomień prawdziwej nauki. Astrologja przekształciła się w astronomję. W epoce odrodzenia ludzkość nietylko odbudowała starożytną astonomję, lecz jeszcze dzięki

gienjuszowi naszego nieśmiertelnego rodaka zrobiła niezmiernie ważny krok naprzód, poznawszy prawdziwą budowę świata. Kopernik rozpoczął szereg tych wielkich mężów, którzy ludzkość pchnęli na nowe tory. Wskazawszy prawdziwe stanowisko ziemi we wszechświecie, astronom polski uczynił wszystkie cykle i epicykle niepotrzebnemi. Zawiłe napozór biegi planet stały się prostemi.

Lecz chciwy wiedzy umysł ludzki i na tem wielkiem odkryciu się nie zatrzymał, poznawszy prawdziwy bieg ciał naszego układu, chciał jeszcze zbadać prawa rządzące tym biegiem. Gienjalny astronom Kepler, posiłkując się znakomitemi obserwacjami swego mistrza, Tychona Brahe, z nadludzką prawie cierpliwością próbując hypotezy po hypotezie, wykrył nakoniec prawa, rządzące ruchami planet i ich księżyców. Prawa Keplera, stanowiące najważniejszy krok do ustalenia nauki o panowaniu stałych praw w przyrodzie, można uważać za najważniejszy pomnik potęgi umysłowej człowieka.

I na tem wielkiem odkryciu umysł ludzki nie zatrzymał się w swoim zwycięzkim pochodzie ku zdobyciu prawdy. Już Kepler starał się zbadać przyczynę zmuszającą planety do krążenia około słońca, lecz, będąc z natury mistykiem, szukał jej w duchach, zamieszkujących słońce. Po nim i inni badacze tą kwestją się zajmowali, lecz dopiero gienjalnemu myślicielowi angielskiemu udało się podać hypotezę, która i po dziś dzień panuje w nauce. Tą hypotezą jest siła ciążenia powszechnego. Newton, obserwując spadanie ciał na naszej planecie, starał się rachunkiem wykazać, że ta sama siła, która przyciąga ku ziemi spadające jabłko, jest też przyczyną wiecznego krążenia księżyca około naszego globu. Udowodniwszy tę prawdę, Newton przyjął, że wszystkie ciała przyciągają się wzajemnie w stosunku prostym mas i odwrotnym kwadratów odległości i z tego prawa, drogą rachunku, wyprowadził prawa Keplera. Prawo Newtona nietylko daje nam możność wyznaczenia biegu planet i komet, odkrywania ciał niebieskich drogą czysto rachunkową, lecz jeszcze rządzi samowładnie w całym przestworze niebios. Na skinienie potężnej siły ciążenia wznosi się łono oceanu, krążą planety i komety, na jej rozkaz pląsają bliźniacze gwiazdy i zmienia się postać nieba gwiaździstego.

Olśniony blaskiem tego cudownego odkrycia umysł ludzki przez długi czas poczytywał je za prawo święte, za natchnienie boże, lecz gdy pierwsze upojenie minęło, krytyka na nowo ropoczęła swoją syzyfową pracę. Z początku nieśmiało, lecz później coraz głośniej rozlegało się pytanie: w jaki sposób odbywa się przyciąganie pomiędzy ciałami odległemi i niczem ze sobą niezwiązanemi? Gdy widzimy dwa ciała działające na siebie z odległości, zawsze szukamy związku pomiędzy niemi, doświadczenie bowiem uczy nas, że w takich razach zawsze istnieją pręty, nitki lub inne jakieś ciała pośrednie, łączące ze sobą dane ciała. Gdy np. przeprowadzony dzwonek od jednego miejsca do drugiego, to łączność pomiędzy punktami odległemi utrzymuje albo drut, albo powietrze ściśnione, lub też prąd elektryczny. Otóż, opierając się na licznych obserwacjach, niektórzy uczeni, a liczba ich z każdym dniem wzrasta, twierdzą, że i w przypadku przyciągania się ciał z odległości zawsze istnieje jakiś środek dla oka niewidzialny, który dane ciała ze sobą łączy. Tym środkiem, o ile się zdaje, jest eter, roznoszący fale świetlne i elektryczne. Eter ten składa się z nieskończenie licznych cząstek biegnących z niezmierną szybkością i we wszystkich kierunkach. Jeśli śród tego gradu cząstek eteru wyobrazimy sobie dwa ciała materjalne, to możemy dowieść, że wypadkowa uderzeń na powierzchnie ciał od siebie odwrócone jest większą, niż wypadkowa ciśnień na powierzchnie ku sobie zwrócone, przez co ciała do siebie się zbliżają i tym spo-

sobem przyciąganie wzajemne ciał, które według hypotezy Newtona jest jakiemś zjawiskiem tajemniczem, znajduje tłómaczenie mechaniczne.

Teorja elektryczna światła Maxwella czyni powyższe przypuszczenie bardzo prawdopodobnem, tak, że blizkim jest dzień, w którym badawczemu umysłowi człowieka uda się nakoniec rozjaśnić jedną z największych tajemnic przyrody: działanie z odległości.

Ta kartka z dziejów nauki najlepiej nam dowodzi bezzasadności twierdzenia, że człowiek nigdy nie będzie w stanie dotrzeć do prawdziwej przyczyny zjawisk. Epigonowie Hipparchów, Kopernika, Keplerów, Newtonów, Galileuszów i Maxwellów, uzbrojeni w zdobycze długich wieków, odkryją nam prawdy, o których nie marzyła najbujniejsza fantazja.

Warszawa. *Dr. Karol Hertz.*

Z »LOGIKI EKONOMJI«.

I.

Dwie tylko drogi wiodą do poznania prawdy: naukowe jej wyjaśnienie i artystyczne odtworzenie. Żadnej z tych dróg nie należy pomijać, lecz gdzie, jak w ekonomji politecznej zarówno dedukcyjna, jak indukcyjna metoda badania wskutek skomplikowanych, a zmiennych warunków organizacji społecznej do złudnych najczęściej prowadzą wyników, tam plastyczny, prawdą drgający obraz życia społecznego na pierwszy plan się wysuwa.

Rdzeń zjawisk ekonomicznych nie tkwi bowiem ani w stosunkach rzeczy do rzeczy, ani w stosunkach ludzi do rzeczy, ale w stosunkach ludzi do ludzi.

Abstrakcje ekonomiczne, jak: „siła robocza“, „kapitał“, „wymiana“, „renta“ — to potężny oręż w ręku uczonego, który umie się nim posługiwać.

Lecz jeżeli abstrakcja „siły roboczej“ zasłania przed badaczem oblicze wyczerpanego nadmierną pracą najmity, jeżeli po za „kapitałem“ nie dostrzega on charakterystycznych rysów zabiegłego, a żądnego zysków przedsiębiorcy, a po za „wymianą“ trawionego złotą gorączką ażiotera; jeżeli wreszcie pojęcie „renty“ nie wskrzesza w jego wyobraźni apatycznej, a nieugiętej postaci landlorda, rugującego czynszowników z ich siedzib — to pod stopami tego uczonego brak pomostu, po którym możnaby przejść bezpiecznie ze świata abstrakcji w świat rzeczywistości.

Społecznych tych typów nie odszuka ekonomista w naukowych monografjach, lecz niechaj weźmie do ręki utwory wielkich mistrzów pióra, jak: Dickens, Balzac, Orzeszkowa, Tołstoj, Zola, a staną one jak żywe przed jego oczy i życie społeczne, życie mas odzwierciedli się przed nim w całej pełni. To też zapoznanie się z dziełami tych pisarzy jest dlań również obowiązkowem, jak przestudjowanie Ricarda lub Marxa, i obowiązek ten, będący często źródłem najwyższej umysłowej rozkoszy, spełniać należy bez względu na

wstręt, jaki budzić mogą niektóre plugawe sceny „Germinal'a“ lub na uprzedzenie, jakie żywić by można ku mistycyzmowi autora „Wojny i Pokoju“.

II.

Zarówno syntetyczna jak i analityczna dedukcja znalazły w Smithie, Ricardo, Rodbertusie i Marxie — wysoce utalentowanych, gienialnych nawet przedstawicieli. Jeżeli pomimo tego prace tych uczonych nie doprowadziły do wyników, mogących pod względem ścisłości i zgodności z prawdą wytrzymać porównanie z rezultatami badań przyrodniczych, to wina leży tu, nie w nieumiejętnem stosowaniu tych metod, lecz w nadmiernych trudnościach zadania. Dla pokonania tych trudności nie dość byłoby całego legjonu uczonych, łączących gieniusz analityczny Marxa z olbrzymiemi zdolnościami Rodbertusa do syntezy i abstrakcji; trzebaby jeszcze, aby około tego legjonu stanął również liczny zastęp ekonomistów, posługujących się indukcją z takiem samem mistrzowstwem, z jakiem Ricardo, Marx i Rodbertus używali metod dedukcyjnych.

. . . . . .

III.

Niepodobna wątpić, że nauka o energji i w dziedzinie społecznej zajmie kiedyś to naczelne miejsce, które w dziedzinie przyrodniczej słusznie a bezsprzecznie dziś jej przynależy. I tu również, niezależnie od poszukiwań *stałych* przyczyn, doprowadzających do *stałych* następstw, koniecznem jest zbadać warunki, w których pewne formy energji ciepłotnej, świetlnej, elektrycznej i t. d. rozpatrywane być winny jako *czynna lub możebna energja ruchu społecznego.*

O bezpośredniej zamianie lub równoważności tych form dziś jeszcze nie może być mowy. Niedaleką jest jednak, być może, chwila, w której energja ruchu społecznego da się sprowadzić do energji ruchu biologicznego, lub przynajmniej, w której określone zostaną warunki wywołujące równoważną zamianę tych form. Bez względu jednak na to, kiedy mianowicie poszukiwania powyższe doprowadzić będą mogły do pożądanych rezultatów, należy pracę w tym kierunku już dziś rozpocząć. Należy zbadać warunki, w których energja układów otoczenia przechodzi w biologiczną energję jednostek, a biologiczna energja jednostek w czynną lub możebną energję ruchu społecznego...

IV.

Wysoce niewłaściwem jest owo nadużycie przeczącej formy pośredniego udowadniania, z którem w krytyce i polemice ekonomicznej na każdym niemal kroku się spotykamy...

W dziedzinie ekonomji walka o prawdę bardziej jest zażartą, aniżeli w każdym innym dziale wiedzy, a polemiczna ta zajadłość na ścisłość rozumowania najfatalniejszy wpływ wywiera.

Sprowadzanie do absurdu poglądów przeciwnika (reductio ad absurdum) oto ulubiony w tej walce oręż, lecz, niestety, nieraz stokroć więcej absurdu tkwi w argumentacji krytyka, aniżeli w poglądach, które usiłuje obalić. Dokładne

streszczenie cudzych zapatrywań nie jest tu, przyznać trzeba, zbyt częstem zjawiskiem, a do wyjątków już należy zgodna z ogólnym duchem pracy interpretacja tych poglądów oraz gruntowne uzasadnienie przyczyn, dla których wypadałoby je odrzucić. Niesumienność lub niedokładność cytat, rozciąganie użytych przez autora terminów ponad właściwe im granice, powierzchowne zbijanie jego zdań, bądź wnioskami całkiem wadliwie ze zdań tych wyprowadzonemi, bądź też faktami pozornie tylko im przeczącemi — oto niezbyt budujące, a powszednie niemal zjawisko w polemice i krytyce ekonomicznej.

Im silniejsze wrażenie teorja jakaś ekonomiczna obudzi, im gorętszych znajdzie zwolenników, tem bardziej zacięty wywołuje opór, a wraz z zaciętością oporu zmniejsza się sumienność i gruntowność skierowanych przeciw niej występów polemicznych...

V.

Zwrot ku prawom myślenia będzie, sądzimy, ze wszech miar dla teorji ekonomji korzystnym. Tylko w logice bowiem zyskać można trwałą podstawę do krytycznego badania i uniknąć dowolności znamionującej często zarówno tych ekonomistów, którzy nowe uogólnienia pospiesznie tworzą, jak i tych, którzy dawniejsze lekkomyślnie obalają...

Logika ekonomji nie zastąpi wprawdzie twórczości naukowej, lecz skieruje ją na właściwe tory, uchroni niejednokrotnie myśl ekonomiczną od zbaczania na manowce i wyświetli przyczyny, dla których w tym lub innym wypadku zboczenie takie nastąpiło.

Warszawa. *Zygmunt Heryng.*

NOC W SEWILLI

Z WIELKIEGO CZWARTKU NA WIELKI PIĄTEK.

...Pomimo drugiej po północy, na *Sierpes*, głownej ulicy w Sewilli, przecisnąć się trudno. Istny jarmark! Tłumy ludzi, podobne do mrowiska rozgarniętego kijem, tłoczą się środkiem, szumne, jak potok górski. Mężczyźni, *Caballeros*, w czarnych, sukiennych płaszczach, bez rękawów, z pelerynkami, podszytych czerwoną lub żółtą podszewką pluszową, w nizkich *sombreros* filcowych, osłaniających smagłe, ogorzałe twarze, bez zarostu najczęściej, z cygarami w ustach. Kobiety, *Sennoras*, ubrane czarno, skromnie, bez kapeluszy. Jedne — i tych najwięcej — w czarnych, koronkowych chusteczkach, gustownie upiętych, często spadających aż na ramiona, z czem wszystkim bardzo do twarzy; inne bez żadnych dodatków, z gołą głową, tyle tylko, że każda jak gdyby uczesana przez fryzjera. Niektóre mają po kwiatku, wpiętym we włosy. Po kwiatkach tych, różach albo kameljach, poznaje się t. z. *cigarittanas*, czyli robotnice ze słynnej fabryki cygar, unieśmiertelnionej w Bizetowskiej *Carmen*.

Dodać winienem, że nigdzie, na całej kuli ziemskiej, nie spotykasz tak często i tyle pięknych kobiet, co tu, w Sewilli.

Każda prawie, jeżeli młoda, ładna. Niejedna poprostu prześliczna. Zarzucić można im tylko brak rozmaitości. Wszystkie jak gdyby córki jednej matki: brunetki, o cerze śniadej, oliwkowej, matowej, z lekka okraszonej rumieńcem, z oczami czarnemi jak węgle, przecudownie oprawnemi. Wszystkie, choć drobne, nie wysokie wzrostem, odznaczają się cudownemi kształtami, z „piersiami jawnemi", jakby powiedział Kochanowski, drobną rączką i maleńką nóżką. Wobec takich przymiotów, nie dziw, że Sewilla, dumna ze swoich czarnobrewych cór, słynie jako *paraiso habitado por demonios*, czyli raj, zamieszkały przez demony. Nigdzie też amor nie jest tak czynnym, jak tu, nad brzegami Gwadalkwiwiru.

I teraz nie próżnuje. Przeciwnie, sądząc z pozoru, uwijać zdaje się ra-

żniej, niż kiedykolwiek. Nie zważając, że to *Wielki tydzień*, że przed dwiema godzinami zaczął się Wielki piątek, najsmutniejszy dzień w roku, dzień pokuty, nie zważając na to, co chwila napina łuk, a strzały jego t. j. płomienne, wyzywające spojrzenia, czarnych, demonicznych oczów, zatrute kokieterją, chybiają rzadko kiedy, przeszywając serce, o ile nie utkwią w... pugilaresie. Zalotne *cigarittanas*, które, zauważyłem, najczęściej przechadzają się po dwie, trzymając się pod ręce, miotają na wszystkie strony znaczące, powłóczyste spojrzenia, które rzucone z za wachlarza, zpod długich, gęstych rzęs, posiadają władzę magnesu. Mężczyźni, jak w danym razie, grają rolę opiłek żelaznych. Kończy się na tem, a raczej, powiedzmy otwarcie, zaczyna się od tego, że rozrzutny Don Juan, po chwili rozmowy, proponuje *un refresco*, czyli napój orzeźwiający, jakiś *Elixir d'amour*.

Zerlina zgadza się, bo czemu, ciekawym, nie miałaby się zgodzić, i zaczyna się stary, jak świat, starszy, niż Salamonowa *Pieśń nad pieśniami*, duet miłosny, zaczynający się jak w arcydziele Mozarta od nieśmiertelnego: *La ci darem la mano*. I tak na całej linji, od jednego końca *Sierpes* aż po drugi. Tym sposobem zapełniają się wszystkie kawiarnie, wszystkie *cervezerias*. Gdzie spojrzeć, wszędzie ścisk, wszędzie gwarno, wszędzie jak w wędzarni, pełno dymu, który widziany przez szyby okien, wystarcza w zupełności, żeby nie wstępować nigdzie.

Na *Plaza de la Constitution* taki sam, widzę, panuje tłok, jak na *Sierpes*. Na trotuarach, na trybunach, ustawionych po prawej stronie, wzdłuż gmachu ratuszowego, na całym placu, jak sala koncertowa, zastawionym krzesłami, po wszystkich domach, malowniczy stanowiących czworobok, w oknach, na balkonach, na dachach nawet, czerni się ruchliwe mrowie ludzkie. W powietrzu słychać jednostajny, burzliwy gwar tysiąca krzyżujących się rozmów, śmiechów, wrzasków, pisków, wykrzyków przekupniów. Jedni, roznoszący wodę do picia, drą się na całe gardło: *del agua!* drudzy znów, głosem również jak tamci, donośnym, polecają: ten owoce, ten ciastka, ten karmelki, ten to, ten owo. Hałas i krzyk, jak w szkole, podczas pauzy.

Sam plac *de la Constitution* nieporównany w swoim rodzaju przedstawia widok. Ta zbita masa ludu, te latarnie gazowe, podobne do topazów; te domy nierówne, wązkie, trzy lub cztero piętrowe, o dwóch, a najwyżej trzech oknach frontu, nie grzeszące czystością, a przypominające nasze „Stare Miasto" warszawskie; to mnóstwo balkonów, te ogródki, przy wielu oknach, te okiennice drewniane, pomalowane na zielono, a kontrastujące z jasnemi, białemi lub blado niebieskiemi ścianami; te okna oświetlone i pootwierane na rozcież; te grupy widzów, przeważnie kobiet, w oknach i na balkonach, i ta wieża katedralna, *la Giralda*, maurytańska w dolnej, a renesansowa w górnej połowie; wszystko to, jako obraz rzucony na tło pogodnej nocy księżycowej, skąpany w seledynowych blaskach miesięcznych, składa się na całość fantastyczną poprostu, która z chwilą ukazania się procesji, przeobraża się we wspaniałą wizję wieków średnich, widzianych na jawie, choć zdaje się, że to sen, choć wierzyć się nie chce chwilami, że to rzeczywistość, a nie ułuda.

Właśnie nadciąga procesja. Wychodzi ze *Sierpes*, skąd słyszę, dolatują dźwięki orkiestry, pomięszane ze śpiewami. Nad czarnem morzem głów dostrzegam długi, w nieskończoność ciągnący się korowód chorągwi, krzyżów, latarni różno kolorowych, pochodni; ponad tem wszystkiem zaś, w głębi ulicy, niby okręt płonący, unosi się jakaś jasność promienna, od której aż łuna bije dokoła. Co to jest? Nie wiem. Nawet odgadnąć nie umiem. Zobaczę. Tymczasem, jak mogę, tak się przeciskam przez tłum, ażeby stanąć w pierwszym szeregu. Udaje mi się to ostatecznie, tak, iż z miejsca, które zająłem, widzę wszystko,

jak na dłoni. Sąsiadką moją jest cudowna, czarnobrewa *sennora*, z dzieciątkiem na ręku, widocznie młoda matka, na którą poglądając od czasu do czasu, mam złudzenie, iż patrzę na jednę z Madon Murilla. Sąsiedztwo to, choć do pozazdroszczenia, nie przeszkadza mi przypatrywać się, i studjować zarazem, przeciągającej procesji.

Olbrzymi łańcuch postaci i kształtów, nigdy nie widzianych, nawet w marzeniu sennem, przesuwa się koło mnie, krocząc zwolna, majestatycznie. Na czele orszaku idzie kilkudziesięciu rycerzy, cali w zbrojach, od stóp do głowy, jedni z odsłoniętemi, drudzy z pozapuszczanemi przyłbicami. Wspaniałe pióropusze, z białych albo zielonych piór strusich, powiewają na chełmach. Miarowemu odgłosowi kroków wtóruje brzęk zbroi, podobny do brzęku kajdan. Patrząc na te tarcze srebrzyste, bogato rzeźbione, a połyskujące pod światło, różowe od latarni gazowych i niebieskawe od księżyca, na te miecze kolosalne, dobyte z pochew, na te lance i halabardy kołyszące się w powietrzu, zdaje mi się, że widzę zbrojnych towarzyszów Godfryda de Bouillon, zmierzających do Jerozolimy, na zdobycie grobu Chrystusowego. Za nimi, dwoma wyciągniętemi sznurami, ze świecami w ręku, boso, albo w sandałach drewnianych, stukających po bruku kamiennym, w fjoletowych habitach, znaczonych białym krzyżem, ciągną ponure, zakapturzone postacie, przypominające czasy „Świętej Inkwizycji". Twarze zakryte: w miejscu, gdzie oczy, wycięte dwa otwory, wielkości okularów. Ostrokończaste kaptury, wysokie na metr, podobne do czapek astrologów lub czarnoksiężników średniowiecznych. Dziwna, bo dreszczem przejmująca powaga wieje od tych „braci" zamaskowanych, tajemniczych. Mimowoli wyobrażasz sobie, że cię prowadzą na stos. Orkiestra gra *Marsza pogrzebowego* Chopina. Środkiem idą — nie wiem, jak ich nazwać — w czerwonych komeszkach, w których wyglądają jak kaci, niosąc chorągwie, krzyże, rzymskie sztandary z literami S. P. Q. R., te ostatnie otulone czarną albo fjoletową krepą. Dalej widać heroldów, w pysznych, teatralnych kostjumach, z długiemi trąbami mosiężnemi, z których zwieszają się podłużne, złotą bramowane frendzlą, chorągwie aksamitne. Za heroldami postępują niewiasty jerozolimskie, w białych, muszlinowych strojach, niosąc olbrzymie, pożółkłe liście palmowe. Pośrodku, na osiołku, jedzie Pan Jezus, świetnie ucharakteryzowany. Lecz, oto mała przygoda. Osiołek, aż dotąd idący spokojnie, z obwisłemi uszyma, przystanął nagle i ani rusz dalej. Jeździec, ów rzekomy Pan Jezus, zniecierpliwiony — widocznie pasjonat z natury — zaczyna co sił uparte stworzenie walić piętami po bokach, na co osioł, również jak jeździec zniecierpliwiony, postanawia pozbyć się niemiłego ciężaru; w tym celu zaczyna wierzgać zadniemi nogami, rzucać się na prawo i na lewo, przyczem rży w niemożliwy sposób. Na widok ten, w najwyższym stopniu zabawny, otoczenie całe wybucha śmiechem homerycznym.

Wogóle zauważyłem, że ludność tutejsza, patrząca na procesję, jako na spektakl, tak samo jak się przygląda barbarzyńskiej walce byków — czyniąc to bez szczególnego namaszczenia religijnego — jak to ma miejsce w Krakowie naprzykład, w święto Bożego Ciała — korzysta z każdej sposobności, żeby się bawić. Dla nich *Semana Santa* jest karnawałem, tygodniem próżniactwa, wesela, hulanki i pijatyki. Wyznaję, że w katolickiej Hiszpanji, ojczyźnie świętej Teresy, Ignacego Loyoli i Torquemady, więcej się spodziewałem znaleść zapału religijnego i pobożności. Tymczasem przekonałem się naocznie, że wszystko to, tak samo jak w pogańskich Włoszech, polega na obrządku, na ceremonjach, na formach, przemawiających do zmysłu wzroku, do wyobraźni, żądnej grubych, dekoracyjnych efektów, kiedy dusza i uczucie pozostają nietknięte. Nareszcie

zbliża się pierwsza *Parroquia* czyli arka, dźwigana przez kilkunastu drabów, ukrytych pod spodem. Pod baldachimem, wspartym na wysokich kijach złocistych, widać figurę, wyobrażającą Najśw. Pannę, otoczoną lasem świec, obwieszoną brylantami i kosztownościami dam sewilskich, w koronie wysadzanej drogiemi kamieniami, w olbrzymim płaszczu aksamitnym, nabijanym srebrnemi gwiazdami, płaszczu, którego ogon spływa aż na sam dół, niesiony przez żywe anioły. Anioły te przedstawia sześć urodziwych dziewic — z arystokracji podobno — w białych chitonach greckich, z włosami rozpuszczonemi i z prawdziwemi skrzydłami łabędziemi, wyrastającemi z ramion. Z boku idą chłopcy z kadzielnicami. Z tyłu za owemi aniołami, idą księża w bogatych, starych ornatach, biskup w pysznej infule, z pastorałem w ręku.

Ta figura Bogarodzicy, cała w płomieniach świec, te kolje brylantowe, obwieszone dokoła szyi, w których załamujące się światło gra kolorami tęczy, ta jasność mistyczna, bijąca od całej arki, niby gloria, ci aniołowie skrzydlaci, ten biskup, ci księża i ten dym kadzideł, gęstemi kłębami unoszący się do góry, przesycony zapachem mirry, wszystko to rozsiewa czar jakiś, który sprawia, że mężczyźni, jakby na dany znak, obnażają głowy, a kobiety, zwłaszcza stare, przyklękają. Niektóre biją się w piersi. Szmery ustają i cisza zalega dokoła. Wśród ciszy tej niczem niezakłóconej, melodyjne *pianissimo* z *Marsza pogrzebowego* Chopina takie czyni wrażenie, iż zdaje ci się, że słyszysz chóry anielskie, przelatujące w powietrzu, ponad głowami tłumu i śpiewające *Gloria, gloria in excelsis Deo...*

Dalej, za orkiestrą, widzę nowe, zakapturzone bractwa, nowy korowód krzyżów, chorągwi, pochodni, lamp różnokolorowych, sztandarów... Na końcu, w głębi *Sierpes*, ukazuje się jeszcze jedna *parroquia*, przedstawiająca zdjęcie z krzyża; za nią druga, trzecia. Wszystko zmierza ku katedrze, gdzie J. E. kardynał ma pobłogosławić procesję.

Warto zobaczyć, jak się ta ceremonja odbędzie. Tą myślą powodowany, opuszczam *Plaza de la Constitucion*, co mi nie przychodzi tak łatwo; ostatecznie jednak, wydostawszy się z natłoku, wpadam w jedną z bocznych uliczek, prowadzącej na plac katedralny.

Im bardziej w głąb, tem mniej życia, mniej ludzi; po domach ciemno, balkony oszklone lub przysłonięte charakterystycznemi żaluzjami, puste; latarnie, z powodu nocy księżycowej, niepozapalane. Cicho, tylko od strony ratusza, podobne do szumu morza, dochodzą odgłosy ciżby gwarzącej. Jednocześnie, z innej strony, z ulicy równoległej, którą ciągnie procesja, słychać brzmienie trąb i bębnów: znowu jakiś marsz żałobny, ale już nie Chopina.

Z odgłosami temi, przytłumionemi oddaleniem, mieszają się miękkie, melancholijne dźwięki gitary; grającego jednak, pomimo, że musi być niedaleko, nie mogę dostrzedz. Na ulicy, jakby wymarłej, ani żywej duszy.

Widzę go. W jednem z *patio*'ów czyli w jednem z niewielkich podwóreczek, będących właściwością i ozdobą Sewilli, oświetlonem kolorową lampą maurytańską, siedzi młoda para: on i ona. Co za jedni? Skąd się tu wzięli? Narzeczeni, młode małżeństwo, czy kochankowie? Nie umiem powiedzieć. On gra na gitarze, ona przytulona do niego, słucha. Posłucham i ja, a przytem, słuchając, z lubością popatrzę na ten obrazek idylliczny.

Podwóreczko, na sposób arabski, wyłożone płytami marmurowemi. Pośrodku, obstawiona kwiatami, bije fontanna. Plusk wody, dźwięki gitary i ten niemy duet miłosny! Co za *chant d'amour* przepyszne! Zobaczyć coś podobnego można tylko w romantycznej Sewilli.

Na zegarze katedralnym, niedaleko stąd, bije trzecia. Przypmoinam sobie kardynała... Ech, jeszcze czas! Zanim procesja dociągnie do katedry, ja mogę postać tu, przy tych drzwiach ażurowych i, nie widziany przez nikogo, lubować się widokiem tych dwojga ludzi, którzy, zamiast pójść na procesję, woleli zostać w domu...

Zachwycony tym nokturnem hiszpańskim, z oddechem zapartym w piersiach, z sercem bijącem, wsparty o kamienną framugę drzwi, w cieniu, rzuconym od balkonu z pierwszego piętra, stałem tak, nie wiem jak długo. Wiem tylko, że przyszedłszy na plac przed katedrą, ujrzałem wspaniały ołtarz, ustawiony w jednym z portyków świątyni, przed ołtarzem zaś, jarzącym się mnóstwem świec, ociekających woskiem roztopionym — jak na obrazach Benliure'a — ujrzałem czerwonego, jak rak, kardynała, otoczonego mnóstwem duchowieństwa; wszyscy w jedwabnych, fjoletowych sutannach.

Właśnie nadchodziła procesja, ta sama, którą już raz, przed godziną widziałem na placu konstytucji.

Nawiasem mówiąc, każde miasto hiszpańskie, najmniejszych nie wyłączając, ma swoją *Plaza de la Constitucion.*

Na widok Najśw. Panny, z ust ludu, przeważnie ze starych kobiet złożonego, wyrywa się okrzyk zachwytu. Widzę kilka bab, które jak gdyby ujrzały cud, wpadają w ekstazę hysteryczną, bełkocząc niezrozumiałe wyrazy, wyjąc jak hjeny. Nic podobnego nie widziałem, jak żyję.

Kardynał tymczasem, młody, przystojny mężczyzna, z długą, czarną brodą, schodzi ze stopni ołtarza, ażeby się pokłonić Bogarodzicy oraz pobłogosławić „wiernych". Zauważyłem, że schodząc, ziewnął ukradkiem. Nic dziwnego: trzecia po północy. Tłum, którego zmysł obserwacyjny nie sięga tak daleko, pada na kolana, korząc się przed pąsowym kapłanem. Tu i owdzie, pomiędzy zgromadzeniem, odzywa się jeden, drugi, dziesiąty głos, zawodząc hymn do Matki Boskiej. Po chwili, jakby zadanym impulsem, śpiewa tysiące piersi, męskich i żeńskich, zgrzybiałych i młodych. Pieśń ulatuje ku niebu, ku gwiazdom, pospołu z dymem kadzideł, a pucułowaty księżyc, z góry poglądający na wszystko, zdaje się uśmiechać... Szczególna rzecz, ale mi księżyc ten przywodzi na myśl nalane, okrągłe oblicze Renan'a i jego uśmiech, dobroduszny, lecz ironiczny zarazem.

Warszawa. *Ferdynand Hösick.*

HALA JURASZKÓW.

Jura wyszedł z chaty i zatrzymał się nad ścieżką wijącą się ze skalistego brzegu, stromo na na dół do potoku.

Jura był starym góralem wiślańskim. Nie znać po nim było, że liczył już lat 80, bo trzymał się jeszcze krzepko. Jego bujne siwe, prawie białe włosy, okalając twarz wygoloną, inteligientną, spadały w długich puklach na kark i ramiona.

Podniósł głowę i zdawało się, że patrzy wysoko gdzieś, ku lewej stronie.

Czy podziwiał ten cudownie piękny krajobraz owej perełki Beskidów zachodnich? Czy rozkoszował się widokiem tej czarującej dolinki pod źródłami Wisły, zwanej Hala Juraszków, otoczonej stromemi skłonami gór Baraniej i Cieńkowo, pokrytemi bujnym bukowym i świerkowym lasem, z pod którego kokieteryjnie wychylała się chatka góralska, w sąsiedztwie willi, służącej za schronisko myśliwym podczas polowania na głuszce?

Może więcej go obchodziło, nad budynkami położone, małe uprawne pole, i łąka zielona, albo niżej w głębokim cieniu z szelestem płynący potok górski spieszący połączyć się z białą Wisełką.

Może zachwycał się niezwykłym, w tej chwili fantastycznym widokiem gry światła i cieni?

Niestety! Stary Jura z tego wszystkiego nie widział nic, gdyż był ociemniały od lat kilku. W pamięci tylko zachował ten obraz, na który patrzał przez lat 70.

Dlaczego Jura obrócił głowę ku wschodowi, gdzie wysokie szczyty góry Baraniej zajaśniały w promieniach wieczornego jesiennego słońca?

Bo ze słabego blasku w zgasłych źrenicach chciał odgadnąć, czy słoneczko jeszcze świeci.

Staruszek wyciągnął rękę z kijem i domacując się ścieżki, powoli zeszedł na dół aż na drogę, ponad szumiącym potokiem Juraszków.

Skierował następnie kroki na prawo, trzymając się starannie prawej stromej drogi i dotykając kijem wystających skał i pojedyńczych buków. Unikał zbliżenia się ku lewej stronie, bo wiedział, że tam grozi mu niebezpie-

czeństwo spadnięcia do głęboko pod obmurowaną drogą bez poręczy szumiącego potoku.

Tak doszedł Jura do miejsca, gdzie potok Juraszków wpada do białej Wisełki, i tam przy rozstajnych drogach, tuż przed mostem, usiadł pod starym, na wpół spróchniałym bukiem. Nie widział przeciwległych stromych, skał, prostopadle wznoszących się do ogromnej wysokości, uwieńczonych cienistym lasem, ale słyszał grzmot niedalekich wodospadów i łoskot rzucającej się przez głazy na dół białej Wisełki.

Zadumał się staruszek.

Od czasu do czasu wydobywała mu się łza ze zgasłych oczu. Zapewne w ciągu długiej drogi życia znalazł nie mało cierni, ale góral nie płakałby, gdyby nie doznał nadzwyczajnego smutku.

Dziś bowiem była rocznica wielkiego jego nieszczęścia. Dziś przed 12 laty stracił jedyne pozostałe mu na starość dziecko, córkę ukochaną. Haniak*) była urodziwą, hożą dziewuchą, z jasno-blond włosami, uplecionemi w bujny długi warkocz, z ciemno-szafirowemi oczami, z miłością spoglądającemi na ukochanego ojczulka, z ustami, na których igrał uśmiech wesoły. Pielęgnowała staruszka, jak ongi nieboszczka matka, i rozweselała go śpiewem.

Ach, jak ona ładnie śpiewała!

Ale cóż, poznała i pokochała Pawełka z pod „Czarnego".

Weselisko miało się odbyć na Śty Michał. Haniak była szczęśliwą.

Ale niestety! Pawełka powołali do wojska i zapędzili do Bośnii.

Haniak codzień wieczorem siadywała pod starym bukiem, gdzie żegnała się z Pawełkiem i tam oczekiwała jego powrotu. Śpiewała, ale tak żałośnie, że krajało się od tego serce starego.

Pawełek nie wrócił.

Poległ w wojnie z Bośniakami.

Gdy wieść o tem doszła do Hali Juraszków, ogarnął wszystkich smutek wielki; a Haniak z rozpaczy straciła zmysły.

Wybiegła z *chaty*, rzuciła się na ziemię pod starym bukiem i leżała długo, jakby martwa, a gdy stary Jura przyszedł, aby ją podnieść, zerwała się i w szalonym pędzie, przebiegłszy most, znikła w gęstwinie, tam nad wodospadami.

Szukano jej do późnej nocy, ale napróżno. Nad ranem drwale przynieśli na Halę Juraszków okropną nowinę, że w falach dzikiej Wisełki, pod skałą, naprzeciwko starego buku, Haniak leży z roztrzaskaną głową, w podartem ubraniu.

Pochowali ją, a stary Jura ociemniał.

Odtąd co dzień przychodzi płakać pod starym bukiem, a gdy chłopiec nowego gazdy na Hali Juraszków późno wieczorem zbliża się, aby go odprowadzić do domu, Jura mawia:

— Cicho — nie przerywaj — Haniak śpiewa!

— Ależ to woda tak huczy — chodźcie do chałupy.

— Jeszcze nie — aż Haniak skończy śpiewać!

*) Właściwość mowy Wiślan, znaczy: Hanusia.

Warszawa. *Bogumił Hoff*

HEKLING czy HEJKING?

Wiadomo z dziejów, że w chwili poddania Kamieńca w 1672 roku, kiedy delegaci wracali z obozu tureckiego, gdzie przyjąć musieli warunki, narzucone sobie przez zwycięzcę, major od armaty, albo mówiąc dokładniej, dowódzca artylerji zamkowej, dowiedziawszy się o tem, przejęty rozpaczą, wpadł do lochów, gdzie były prochy złożone, podpalił je i wysadził większą część fortecy w powietrze, naturalnie i sam znalazł zgon pod jej gruzami. Otóż nazwiska tego Kamienieckiego bohatera nie znaliśmy dokładnie. Ks. biskup Lanckoroński, jeden z uczestników i świadków upadku miasta, nazwał go *Heklingem*; tak go nazwał jego kolega broni, komendant lwowski, pułkownik Łęcki, tak go wreszcie nazywa współczesny nieznany korespondent. Makow w swojej *Relacji* najwięcej zbliżył się do prawdy. Majorem owym, według niego, był *Hejnking*. Ale oto w paczce starych papierów, które mam przed sobą, znajduję kwit oryginalny, ręką owego bohatera pisany, i z niego się dowiaduję, jako dowódca „od armaty" imć pan *Hejking*, pożyczył u imć pana Jerzego Wołodyjowskiego, stolnika przemyskiego, trzydzieści złotych d. 29 octobris 1669 roku. Rachunek nie musiał być uregulowany, kiedy kwit pozostał; fascykuł bowiem, na jaki się powołuję, pochodzi z archiwum głośnego obrońcy kresowej warowni „Hektora polskiego" który tu także głowę złożył, podczas wybuchu, spowodowanego podpaleniem prochów przez Hejkinga. Tego ostatniego nazwał p. Sienkiewicz, jeszcze inaczej: kazał mu być *Hetlingem*, kazał mu być młodym, bogatym, szczęśliwym mężem pięknej kobiety, niedawnym przybyszem na kresy. No — p. Sienkiewiczowi wszystko wolno... w powieści: toż nikt od niego wymagać nie będzie, by się na źródła powoływał, choć by z nich czerpał pełną garścią. Jeszcze niejeden żółtodzioby młodziutki krytyk, krótkim ogonkiem *pośmietiuszki* zacierać skrzętnie zechce ślady, po których szybowała myśl autora, zapożyczając materjału, dla napisania historycznej powieści. Wierni jednak prawdzie, winniśmy dodać, że Hejking był kawalerem i to starym, synem jednego z puszkarzy, utworzonego tu cechu, jeszcze za panowania Zygmunta III; rodził

się w Kamieńcu stąd to wygórowane przywiązanie do zamku, który znał od dzieciństwa. Ubogim był — zdaje się na to kwit powyższy wskazywać; czy pięknej powierzchowności? nie wiemy, ale, że piękny moralnie to pewna; tylko wielki charakter, z wielką miłością i boleścią połączony, może popchnąć do tak rozpaczliwego, ale jednocześnie do tak wzniosłego czynu.

Kamieniec Podolski. *Dr. Antoni J. (Józef Rolle).*

DALECYŚMY...

Dalecyśmy wielce od klasycznych Greków, chociaż razem z całą cywilizowaną Europą urośliśmy i my na ich właściwie, podanej nam przez Rzym chrześcjański, kulturze; chociaż i dziś jeszcze zostajemy pod urokiem tchnienia ich ożywczego z poza grobu, co parę tysięcy lat już liczy!

Ale dalecyśmy przedewszystkiem, bo zapatrzeni na nich w uwielbieniu bezgranicznem, dziecięcem, nie umieliśmy dotąd zbliżyć się do nich po mężku, wytwarzając własny też świat upostaciowań rodzimych naszych ideałów, tak harmonijny, jednolity, jak świat piękna klasyczny.

Istotnie, jaka to oryginalność, jaka ścisłość, jaka jedność w świecie artyzmu Hellenów: wszystko się tam wzajem wspiera, ożywia i stanowi skończoną w sobie harmonijną całość. Co do treści, zdawałoby się, że jeden jedyny wspaniały myt narodowy, religijno-historyczny, im przyświeca, i myt ten opromienia wszystkie dziedziny twórczości, wszystkie sztuki zarazem. Co poda religja, czy historja, to postaciuje poezja, a za nią inne sztuki piękne: bogowie Olimpu, bohaterowie Maratonu stają się zarówno ich wszystkich przedmiotem. Podobnież co poezja sama na idealnych swych wyżynach stworzy, to przywdziewa natychmiast szaty plastyczne w zakresie innych działów estetycznego piękna, czy poda im rapsody Homera, czy wytworzy późniejsze z czystej fantazji.

Więcej jeszcze, mają Grecy na wszystko ustalony symbol, emblemat, wszystko ma u nich formę stałą, wyraz i obraz, zarówno myt religijny, jak fakt dziejowy.

W tym zaś w swoim świecie piękna i przez ten świat czuli się oni nawet unicestwieni już politycznie przez Rzym, niepokonanymi; a gdy dalej, i ideały ich straciły moc religijną, kultura narodu stała jeszcze samą estetyczną onych potęgą.

Dalecy tedy jesteśmy wielce od synów klasycznej Hellady!

A jednak, nasza droga, wobec ostatecznego celu, jakim być musi zdobycie sobie z czasem pełniejszej harmonji w chaosie naszych rodzimych ideałów, którymi nas wciąż darzy życie, tyle poezja, co dzieje, nasza droga, powiadamy, może być pod pewnym względem do ich drogi podobną.

Wymagalnik to dla nas moralny, zresztą!

Mniejsza, iż u nas tymczasem, mimo cały postęp lat ostatnich, dotąd nie widać znamion wyraźnych świadomego zwrotu ku zdobyciu pożądanej równowagi w świecie piękna, ku bardziej harmonijnemu ustosunkowaniu między dziedzinami samych sztuk pięknych, jako takich, bez względu już na charakter ich motywów — rodzimy, czy zapożyczony. Wyjąwszy poezji, wciąż swe siostrzyce dominującej absolutnie, sztuki piękne u nas rozwijają się bez należytego oparcia się na gruncie swojskim, pod promieniami ideałów swojskich, a zatem nie tak organicznie, nie tak harmonijnie i samoistnie, jakby należało. Brak jednostajnego kierunku w całej umysłowej kulturze naszej, — niezaprzeczony. Ale i o to mniejsza.

Nie odrazu też i starożytni Grecy zdobyli sobie ową skończoną harmonję w świecie swego artyzmu: droga postępowego ich usamoistniania się, unaradawiania zapożyczonej od starszych ludów kultury, była długą.

Dlaczegoż i my, jak oni, nie moglibyśmy mieć swego własnego samoistnego świata piękna, wolnego z czasem zupełnie od naśladownictwa?

Rozumiejmy się tylko należycie. Na samoistność absolutną geneza kultury naszej nam nie pozwala. Oczywiście zatem, tylko o samoistność względną chodzić nam może, o stopień wyższy jej potęgi, taki, jakiego zdobycie możliwe jest dla każdego cywilizowanego narodu, co został współspadkobiercą skarbów wielkiego dziedzictwa klasycznego.

Powie nam kto może, iż dla wytworzenia sobie samoistnego świata piękna my nie posiadamy najpierw tak bogatego religijno-heroicznego mytu, co dał z siebie pierwsze, a niewyczerpane źródło, z którego tryskały wszelkie późniejsze Hellenów kreacje, — powie, że nasza mytologja słowiańska tak uboga!

Ależ niepotrzebne nam to zupełnie! Myt, jaki się sam swobodnie w nieogarniętych przestworzach poezji narodu układa i układać będzie, z postaciowanych przez nią idei i ideałów życia, zupełnie-by nam wystarczył; a cóż dopiero, gdy do tej skarbnicy, przez wieszczów wciąż zasilanej, dodamy cały świat pamiątek z dziejów społeczeństwa, przedstawiających nie mniej, jak klasyczne, nieprzebraną moc motywów dla twórczości artystycznej!

I to nam wystarczy; dla zapewnienia samoistności w świecie piękna, dość nam tego bogactwa, jakie posiadamy w naszej poezji i historji.

Poezja nasza przedstawia najbogatszą skarbnicę ideałów i postaci estetycznych narodowego żywota i przeświadczenia, ona też zawsze i najzdolniejsza do tworzenia w charakterze i duchu rodzimym. Towarzyszki jej w przestworach piękna, inne sztuki, winny iść tylko w jej ślady, a nie pozbywając się samoistności odpowiednich sobie form, czerpać pełną dłonią z jej krynicy i przeobrażać gotową treść idealną, przez nią podawaną, uwalniającą zupełnie od zbytecznego obcych bogów kultu.

Ale tego nie dosyć! Nie dosyć, że ideały, postacie, myty, stworzone przez poezję, o ile w duchu rodzimym poczęte, powinny być przyswajane przez inne działy artystycznej twórczości: one same jeszcze zmierzać winny ku stałemu oddziaływaniu wzajem, by, zasilając się bez przerwy zdobywanemi z osobna skarbami, ujednostajniać swe ideały i przez to zbliżać się do pożądanej harmonji jedności w całej dziedzinie piękna. Kultura estetyczna naszego społeczeństwa, jak i kultura wogóle, by być samoistną, rodzimą, musi mieć za główną podstawę jego własnej przeszłości dzieje, historję narodu, po nad którą sztuka unosi się, jak opromienienie estetyczne.

Ani robi to ujmy doktrynie sztuka dla sztuki, nie upośledza realisty-

cznego obrazowania w powieści etc., ale z drugiej strony nie dopuszcza też najmniejszej wątpliwości co do stanowczej, obok tego i ponad tem, wagi, w zakresie twórczości artystycznej, pierwiastku historycznego.

Co więcej, niezależnie od prawa pierworodztwa, przynależnego ideałom ogólnie ludzkim, wszechhumanitarnym, sztuka u nas na podstawie historycznej oprzeć się winna i dlatego, ponieważ jej celem życiowym, uznawanym w głos czy nieuznawanym, upotężniać i podnosić pięknem swem przeświadczenie narodu, które przecie gruntuje się na świadomości jego istoty w przebytych kolejach ubiegłego życia. Przeświadczenie zaś to, świadomość własna narodu jest nietylko wyrazem stopnia rzeczywistej wewnętrznej jego siły w danej chwili, ale i samą siłą czynną, potęgą etyczną zarazem.

Warszawa. *Aleksander Jabłonowski.*

PRO PAUPERO.

Świetne jest nasze Corso w Alejach Ujazdowskich, zwłaszcza podczas „letniego karnawału“ w Warszawie. Wykwintne damy w kapeluszach strojnych w pęki sztucznych kwiatów, w spaczonych kostjumach od Hersego, rozparte na miękkich poduszkach powozów, raczą napawać się świeżem powietrzem, płynącem od Belwederu i Łazienek. Piękni, młodzi panowie na folblutach harcują na popis, używają ruchu, odświeżają organizm.

Później cały ten strojny i lśniący świat modny wyjedzie za granicę, do wód, w góry, do morza, będzie się rozkoszował widokami przyrody, pił pełną piersią orzeźwiające powietrze gór lub słone morza wyziewy.

Nawet i średnio-zamożni ludziska wywiozą swe rodziny na parę wakacyjnych miesięcy, choćby w okolice Warszawy, choćby do Otwocka, Płudów lub Moczydła.

Lecz czem odświeżą swe wątłe siły i pokrzepią zbolałe płuca ci, których twarda, nieunikniona praca na kawałek chleba, przykuwa do murów miasta, spiekłego żarem, dusznego od niezdrowych wyziewów, przepełnionego tym ulicznym kurzem, który stokroć gorszy jest od piaszczystego pyłu pól, bo zawiera miljony cząstek nawozu, zarodki chorób, rozkładowe miazmaty? Jakiem to powietrzem oddychają wyrobnicy, zamieszkujący podziemia, rzemieślnicy, pracujący w parterowych izbach, tych kominów istnych, jakiemi są liczne budynki Warszawy, zaledwie wysoko, w górze wyzierające na świat otworem kilkudziesięciu stóp kwadratowych? Na dno tych kominów, do izdebek, przy ziemi położonych nigdy nie zagląda słońce.

A cóż mówić o nędznym proletarjacie żydowskim, tem nędzniejszym, że z długiego nawyknienia o czystość nie dbającym? Wszak wiadomo, że w niektórych domach mieszka i żyje niewytłómaczonym sposobem po kilka tysięcy

biednych żydów, a nieraz w jednej niewielkiej izbie gnieździ się po parę całych familji.

Ci wszyscy o wyjeździe z miasta ani zamarzyć nie mogą. Cóż im zaś daje miasto za podatki, które na równi z innymi mieszkańcami ponoszą? Do ogrodów publicznych nie mają wejścia, nieliczne skwery zbyt rzadko porozrzucane, zaopatrzone w niedostateczne ławki, w małej części są przystępne dla nich, lecz wcale dla ich dzieci, chociaż te zaprawdę równe mają prawa do bytu, do zabawy, do używania świeżego powietrza, jak dzieci rodziców możnych.

Błogosławionym niech będzie ten, kto pomyślał o kolonjach letnich dla ubogich dzieci, kto parę tysięcy biednych małych istot wyrywa może przedwczesnej śmierci lub przynajmniej wlewa w nie odporną dzielność przeciw chorobom, które dziesiątkują biedaków.

Tego jednak nie dosyć. Ofiarność publiczna skierowana w tę stronę nie powinna słabnąć na chwilę, lecz owszem potężnieć coraz bardziej, a gdy wymiary jej wzrosną stokrotnie, wtedy z zadowoleniem będziemy mieli prawo powiedzieć, że samopomoc społeczeństwa zaradziła złemu, jeżeli nie w zupełności, to przynajmniej w znacznej mierze.

Po za tem jednak zarządy miast wielkich a zwłaszcza zarząd Warszawy, mają do spełnienia wielki obowiązek. Półmilijonowa ludność nie ma ani jednego „ludowego ogrodu“, do którego przystęp byłby dozwolony każdemu, wprost najbiedniejszemu mieszkańcowi; okólniki dla dzieci z największym trudem wyrabiają sobie prawo bytu, dziś jeszcze silnie przez niektórych przedstawicieli władzy kwestjonowane; starsza młodzież niema ani jednego placu wśród miasta na gry i zabawy hygieniczne przeznaczonego. Całe wreszcie miasto, przepełnione kamienicami, niedostatecznie zlewane wodą, przesiąkłe kurzem i wyziewami, pomimo ostrych przepisów policyjnych, jest i długo nie przestanie być niebezpiecznem siedliskiem chorób przeróżnych, dopóki nie uzna, że powietrze, ruch, zieloność są to tak ważne czynniki publicznego zdrowia, iż nie ma ofiar zbyt wielkich, których by ponieść nie należało dla zapewnienia wszystkim mieszkańcom pełnej tych czynników używalności.

Nie macie placów dosyć, więc burzcie domy dla ogrodów, tak jak niedawno wycinaliście ogrody dla murów. Wytwarzajcie szerokie ulice, a nadewszystko korzystajcie z każdej dotąd wolnej piędzi ziemi, by na niej założyć ogród dla ubogich, wirydarz lub okólnik. Wyparte z centrum domy przeniosą się na krańce Warszawy lub po za jej granice — tem lepiej, im przestrzeń zajęta w ten sposób będzie większa, im obficiej przeplecione zostaną domy zielonością, tem zdrowiej.

Tak wołam nietylko ja sam oddawna, ale woła wielu hygienistów, filantropów, obywateli. Ratujmy zdrowie ludności, otoczmy możliwie dobremi warunkami wzrost pokoleń, boż to przecież największy kapitał każdego społeczeństwa.

A nadewszystko pamiętajmy o biednych i najbiedniejszych, którym Bóg zarówno jak bogatym, darował wodę i powietrze. Czyliż cywilizacja jest po to, aby im te dary boże odbierała?

Warszawa. *Edmund Jankowski.*

URYWEK ZE WSPOMNIEŃ AFRYKAŃSKICH.

W połowie 1888 roku przygotowywałem jedną z większych wycieczek. Celem jej było przejście łańcucha gór Kryształowych i dostanie się o ile możności w głąb tajemniczego kontynentu. Przygotowania podobne są dosyć kłopotliwe i długie. Nietylko bowiem potrzeba mieć znaczną ilość towarów poszukiwanych w danej okolicy, jak: broni, prochu, tkanin, tytoniu etc. przeznaczonych na podarki i zakup żywności, lecz, co trudniejsze, zrekrutować kilkudziesięciu tragarzy, którzyby mieli odwagę zapuścić się wraz ze mną w kraje nieznane, zamieszkane przez plemiona ludożercze Fan, Angata i inną dzicz podobną, broniącą obcym przystępu.

Kusząc dobrą zapłatą, zdobyłem po długich namowach 40 krajowców Bulu, plemienia z brzegów rzek Utamboni i Utongo, dalej kilkunastu moich ludzi Krumanów, wreszcie kilku przyjaznych kacyków Mpangue, którzy ofiarowali się jako przewodnicy i tłómacze. Ogółem karawana liczyła przeszło 60 osób — i w tym komplecie wyruszyłem.

Pomiędzy kacykami Mpangue był jeden, wyróżniający się piękną postawą, olbrzymim wzrostem i inteligentną, myślącą twarzą. Sulla, naczelnik miasta Ilundu, w pobliżu którego wybudowałem swą stację, od pierwszej chwili poznania zaczął mi okazywać szczerą życzliwość, stawał zawsze w obronie, łagodził nieuniknione zatargi z chciwymi sąsiadami. Sam nie prosił nigdy o podarki: najwyższą dla niego nagrodą była rozmowa ze mną o krajach „taugani“, t. j. białych. Wieczorami, przy świetle księżyca, przybywał w towarzystwie małego brata, siadał cicho na werandzie przed domem i pokornym głosem pytał: „Ujani, czy dziś zechcesz rozmawiać ze mną? Opowiedz mi co o swym kraju!“...

Opowiadałem chętnie; rozmowy te przenosiły myśl moją daleko, głuszyły choć na chwilę tęsknotę za ziemią rodzinną i drogimi...

Sulla wypytywał, jak dziecko, o wszystko: o religję, urządzenia społeczne białych, prowadzenie wojen, sposób wyrobu różnych towarów, musiałem

mu tłómaczyć różne zjawiska atmosferyczne — słowem: był niewyczerpanym w rzucanych zapytaniach. Oczy świeciły mu gorączkowo, często przerywał wykrzykami: „Taugani! jacyście wy szczęśliwi, że macie tyle pięknych rzeczy! Wiecie wszystko! My, jak dzieci bezrozumne! O, Ujani, — dodawał, żegnając — gdy będziesz powracał do swego kraju, zabierz mnie z sobą!“

Powoli człowiek ten szczerze przywiązał się do mnie, towarzyszył mi wszędzie, powtarzał, że pragnie dać dowód przyjaźni. Nie przeczuwał, że da najwyższy w owej wycieczce...

Nie będę jej opisywał, powiem tylko, że po niezliczonych przeszkodach, zatargach, często zbrojnych, z naczelnikami wiosek mijanych po drodze, noclegach w lesie, wśród gąszczów, gdzie bezpieczniej niż w miastach, dotarliśmy do jednego z najliczniejszych szczepów Fan, kraju zwanego „Undele“.

Wieść o przybyciu karawany białego rozeszła się lotem błyskawicy; jak wszędzie, tak i w Undele fetyszerzy podburzyli naród, i wioski wszystkie wysłały zbrojnych wojowników; zebrał się tłum parotysięczny, który rozłożył się obozem nad brzegiem małej rzeczki, stanowiącej granicę kraju. Dalszą więc drogę miałem zamkniętą.

Bębny sygnałowe uprzedziły nas, iż wróg przejście strumienia będzie uważał za wypowiedzenie wojny. Mając za słabe siły, aby iść przebojem, rozłożyłem się również obozem, postanawiając probować układów, podarkami przejednać wrogów.

Przygotowałem dwa kuferki pełne najpiękniejszych tkanin, kilka fuzji. Kto miał być jednak pośrednikiem? Kto odważy się zanieść te dary do obozu nieprzyjacielskiego? Ludzie moi odmówili stanowczo, żądali odwrotu, grożąc, że zostawią mnie samego; bunt ogarnął wszystkich, nie wiedziałem teraz, gdzie groźniejszy nieprzyjaciel: w Undele, czy we własnym obozie...

Sulla stał oparty o drzewo, nic nie mówiąc; naraz zbliża się powoli, podnosi swą miotełkę — rodzaj berła — w górę i odzywa się w te słowa: — „Nikczemni! chcecie opuścić taugani wtedy, gdy niebezpieczeństwo mu grozi? Czy nie płaci wam dobrze, waszym kobietom, dzieciom nie daje lekarstw, a zmarłym podarków, które rzucacie do grobów? I teraz wśród nas nie ma nikogo życzliwego? Nie! Sulla mu dowiedzie, że nietylko w słowach jest przyjacielem!“...

Skinął na swego brata, porwali dwa owe kuferki; na odchodnem rzucił mi jeszcze: „Jeżeli nie wrócę, pamiętaj, Ujani, o mej matce!“...

Cała ta scena trwała tak krótko, że zanim obecni zdążyli wraz ze mną podnieść protest, Sulla z małoletnim bratem zniknęli w gąszczu, a w kilka minut byli już na przeciwległym brzegu...

Gorączkowo wyczekiwaliśmy ich powrotu... W godzinę może, krzyk i lament w moim obozie był zwiastunem nieszczęścia... powracał brat Sulli, lecz sam!...

Z jękiem rozpaczy biegło ku mnie biedne dziecko, niosąc w rękach ciepłą jeszcze głowę brata!... Nie! nie zapomnę nigdy tej sceny! Oczy zabitego przyjaciela, otwarte szeroko, widzę do dziś dnia!...

Gorące pragnienie zemsty opanowało nas wszystkich, rozpytywaliśmy o szczegóły. Napróżno Sulla starał się usposobić dobrze wrogów, składał im dary, przyrzekając większe, gdy biały wstąpi w ich kraj. W odpowiedzi zostali skrępowani, fetyszerzy odcięli głowę nieszczęśliwego posła, i oddali ją przerażonemu dziecku, mówiąc: „Jesteś wolnym! Wracaj do obozu taugani i powiedz, że i jego czeka los podobny, jeżeli przejdzie rzekę!“...

Współbracia Sulli wykonali zaraz przysięgę zemsty. Był to uroczysty widok, gdy dziecko owe wstąpiło z ponurą powagą w koło i kładąc rękę na talizmanach dżudżu, przysięgło również, iż dotąd nie zazna spokoju, dopóki nie odnajdzie mordercy brata...

Po tej ceremonji oddalili się wszyscy już bez pytania, zawrócili do miast, aby tam pokazać głowę zmarłego i zebrać zaraz silną wojenną drużynę. Pozostawszy w lesie, sam tylko z krumanami, musiałem również powracać. Smutny to był odwrót, wzrok zmarłego ścigał mnie ciągle. — „Jeżeli nie wrócę, pamiętaj o matce!“ — brzmiały mi w uszach ostatnie słowa biedaka...

O ile możność pozwalała, zaopiekowałem się rodziną zmarłego, brata zabrałem do siebie. Wkrótce potem rozpoczęła się wojna. Ilundu napadło na Undele, spaliło osadę, zabiło kilku wrogów; może do dziś dnia trwa wzajemna vendetta. Dla mnie śmierć Sulli jest tą czarną plamą na tle wspomnień ostatniej podróży, plamą, którą czas chyba nie prędko wymaże z pamięci.

Warszawa. *Leopold Janikowski.*

SALVE NATURA!

Gdy długo kołysane nadzieje zawiodą mię, a marzenia prysną — jak mydlane bańki i nic już z życiem i mrowiskiem ludzkiem wiązać mię nie będzie, wtedy pomknę między turnie i wirchy niebotyczne rozmawiać z srebropłynnemi potokami, poić słuch szmerem i hukiem wodospadów i wchłaniać wonie bezbrzeżnego kobierca górskich kwiatów. Śród tych gojących balsamów i kojącej muzyki — dusza z pewnością odetchnie radośniej i pocieszy się.

Może i zapał do czynu zamieni się w chłód apatji i stanę się zużlem, na nic nie przydatnym, a posępny gienjusz wieku, siejąc dokoła zatrute ziarno smutku i goryczy, i mój umysł zrobi podobnym owej jałowej wydmie piasczystej, co to nie rodzi nic, prócz karłowatego zielska... Wtedy ucieknę nad brzeg jeziora, co swem modrem, jasnem i przezroczem okiem wyziera z kotliny tatrzańskiej, i będę w głębie jego zadumane patrzył godzinami, szukał odbicia chropawych skał i kędzierzawych borów, soczystych hal i lazurowego stropu nieba. Tam duch ocknie się z letargu i choć nie dla innych, żyć będzie mógł dla siebie, znowu wrażliwy i czuły, znów czarodziejskiemi snami pieszczony, znów pełen barw świetlanych, wiosenny i odrodzony...

Jeżeli ci, którym w kornej daninie składam najlepszą cząstkę swego jestestwa, odepchną mię, jako natręta, moją dobrą wolę i poświęcenie wyszydzą, i skromne te dary rozrzucą po ziemi, jak śmiecie; jeżeli na tęsknotę ku nim odpowiedzą uśmiechem ironji, a najbiedniejszy z nich, najbardziej maluczki za kęs chleba kamieniem mi zapłaci, i będę bez ziemi, ogniska i bliźnich, jako wygnaniec i przybłęda, wtedy schronię się na krawędź lasu, zdala od pysznych i przemądrzałych. Niechaj rażą szyderstwem i drogę do serc swych najeżają ostremi głazami; widok łanów bezmiernych ból mój złagodzi. Równina zbóż i łąk ze swemi chatami, gdzie nie pytają jeszcze: skąd, z jakiej krainy przyszli twoi praojcowie, lecz podejmują cię jak brata, bo człowiekiem jesteś, stanie mi

się światem daleko godniejszym miłości. Można go czcić i miłować: nie zdradzi i nie zelży.

W łonie były niegdyś pożary, wzniecone źrenicą kobiety. Dziś przygasły i tleją już tylko niedojrzaną iskrą, którą przywala stosem popiołu myśl przetrawiona, otrzeźwiała i dobru ogólnemu oddana. Stanęła ona pod sztandarem bojowym wieku i stłumiła porywy, zdławiła pragnienia. Jeśli pierś kobiety nanowo tchem gorącym iskrę tę rozdmucha w płomyk, wówczas, gdy na głowę padać zaczną szrony starości, i duch uspokojony na nowo jęknie tęsknotą niewczesną, ucieknę od pokusy i błądzić będę śród kraterów przygasłego wulkanu; uczuję pod stopami, jak się bezsilnie miota i drży wnętrze tytana, i zamiast dawnych płomieni ujrzę, jak osłabiony wyrzuca jeno od czasu do czasu kłęby gryzącego dymu na śmiech i zabawkę ludzi, co niegdyś przed ogniowym jego oddechem drżeli. On będzie obrazem własnej mojej istoty i sprawi, że pojmę siebie samego lepiej, że zrozumiem nicość i komizm spóźnionych wybuchów i zamiast rozweselać ludzi westchnieniami, zgniotę w sobie, zduszę, zuchwałą iskrę na zawsze, wystudzę uczucia swe na zgliszcza, które podmuch rozsądku rozwieje potem na cztery wiatry. Bracie przygasły! — zawołam — jednaki nasz los, zawrzyjmy przymierze! Nikt do czeluści twej nie zajrzy i nie obaczy kipiącego w niej jeszcze żaru, lecz powie, spojrzawszy na twój krater, że — kopcisz. I w głąb mojej piersi żadne oko ciekawe nie zajrzy i rozsadzających ją płomieni nie obaczy, lecz powie, żem stary. Jednakośmy samotni: ty gniewną swą paszczą, bo przez obłoki ku niebu ziejesz, ja myślą posępną nad szare tło ludzi uciekam. Ty wielki, ja robak niedojrzały, lecz czyż dwojga stworzeń, przez ludzi wzgardzonych nie łączy naturalne przymierze? Zawrzyjmy je, a będę cię odwiedzał i przynosił echa z ziemi, co pojmuje głos tłumów, a na głos jednostek jest głucha...

Widziałem raz olbrzymią połać granitu, polerownego jak stal. Tworzyła taras nad doliną i uderzała oko przedziwnemi deseniami żył, w których nie brakło żadnej z siedmiu barw tęczy. Wiły się one i plątały, jak gdyby ludzką, swawolną wymalowane ręką. Często wpatrywałem się w nie, jak dziecko, zdumione i ucieszone cackiem, które ogląda po raz pierwszy... Kiedym w lat kilka potem wstąpił na tę samą ślizką powierzchnię, nie poznałem jej. Granit czernił się zdala krętą, jak rzeka na mapie, linią, która ciągnęła się przez całą jego długość. Zaciekawiony przybiegłem: to była rozpadlina, wązka, ale bezdenna przepaść. Snadź opoka pod naporem tajemnych sił pękła. Zajrzałem w głąb i gwałtownie rzuciłem się wstecz całym tułowiem. Ostrożniej raz jeszcze zajrzałem i posłyszałem cichy plusk. Uporczywy wzrok mój przebił mroki otchłani i dostrzegłem daleko pod sobą strugę szarawą, która, kotłując się, waliła wściekle w kamieniste boki swego łożyska; później wyśledziłem, że to odpływ wielkiego lodowca, świeżo utorowany... Zaś bliżej powierzchni i światła, tuż prawie podemną, wyrastały ze szczelin wątłe gałązki buczyny; dwie na wprost siebie, równej prawie wielkości, zdały się wyciągać ku sobie wielkie łodygi, by je spleść w jeden miłosny uścisk. I już wyobraźnia moja widziała je złączonemi w niedalekiej przyszłości... Niestety! w rok potem bezdeń była szersza, a młode wyrostki, choć większe, jeszcze większą, niż dawniej, przedzielone próżnią... Więc żałość i rozczarowanie ogarnęły mnie i pomyślałem o przyjaźni, najcenniejszym ze wszystkich klejnotów uczucia, najbardziej szczerym i rozumnym. Nieraz już przedtem w dumaniach samotnych zdejmowała mię złowroga obawa, czy mi losy i ludzie nie wydrą tego skarbu. Nie! to niemożebne! wołałem w duchu. Duch ma swoje opoki, których żadna siła nie zdru-

zgocze! A dziś przekonałem się, że opok bezpiecznych niema, granit, który mógłby dźwigać na sobie całe światy, pękł, a dwa brzegi uciekają od siebie, a pomiędzy niemi taka straszna czeluść, że postawiono nad nią barjerę i góral stróż trzyma wpół wędrowców, chcących do wnętrza jej zajrzeć...

Rezygnacja jest echem bólu i niemocy, ale i sama jest mocą; więc może jej zbraknąć na zasadzie odwiecznych praw przyrody, gdy zmaleje hart ciała. Jeśli potężny magnes ziemi zacznie to ciało ciągnąć ku sobie, jako prawowitą własność i owionie mię owym wyziewem śmierci, co to ciska na łoże i niedołężnym czyni, nie dam się zamknąć w czterech ścianach sypialni i przekształcić w egzotyczną roślinę, którą hodować trzeba pod kloszem, albo szkłami cieplarni. Nie przykuję do siebie i nie pogrzebię żywcem żadnej miłosiernej istoty, ażeby dzieliła ze mną duszną atmosferę leków, ale ostatnim woli wysiłkiem wyrwę się z kleszczów choroby, każę się zawieść nad brzeg oceanu i tam dogorywać będę, cały wpatrzony w bezmiar żywiołu. Gdy on zawyje burzą i zacznie miotać pod niebiosa spiętrzone wały, gdy brzegi zagrzmią złowieszczym jękiem, gdy pomruk bezgranicznego potworu dojdzie mię, jakby z pod serca globu, wylękły i przerażony, — zapomnę o własnem cierpieniu. I oto, bardziej chyży, niż owa struchlała myśl moja, orkan opadnie, ołowiane na niebie chmury rozproszą się, wyjrzy z za nich czysty błękit, a złote słońca promienie udobruchają rozkiełznany żywioł, głaszcząc go i pieszcząc ciepłem i światłem. Niezmierzone, zielone, wilgotne cielsko morza jeden sygnał wichru wprawił w konwulsje, a teraz znów jeden pocałunek umitygował. Potwór, większy od nieskończoności samej, słucha praw wyższych, jak potulny niewolnik, a moje ciało, pyłek niosący mojego ducha, śmie walczyć z niemi...

A wtedy spojrzę po przylądkach i żwirach nadwodnych: rozjuszone bałwany opluły je szumowinami i szczątkami okrętów, miast pływających, co wiozły po toni tysiące istności krzepkich, zdrowych i nadziei czynu pełnych. Gdy o tych narodach pomyślę, które w mgnieniu oka pochłonął zdąsany Neptun, zmaleje własna moja osoba, zrozumiem, co znaczy prawdziwa rozpacz i boleść, przeczuję, jakie mogą być jej rozmiary i, próżen dziecięcej myśli, że ja, człowiek, jestem całym światem, — nie będę się bał, lecz domagał śmierci w imię samej sprawiedliwości!...

Salve natura!

Warszawa. *Cezary Jelenta.*

WIĄZANKA UWAG ZIEMIANINA.

Sztuka i piśmiennictwo danego kraju takiemi są, jakiemi w warunkach życia być muszą. Malarz, poeta, autor, mówca, publicysta, satyryk, biorą wzory z otoczenia i odtwarzają je według uzdolnień: pędzlem, dłutem, ołówkiem, żywem słowem lub piórem. Wprawdzie rodzą się z tego łona bastardy, płód nieprawy, jakiemi były i zdarzają się ciągle: panegiryki, obłudne apologje, złośliwe paszkwile, oszczerstwa, rzeczy rozmijające się z celem społecznym, - - odzwierciadlają tylko onego smutny charakter...

Zadaniem prawdy jest regulowanie wszelkich zboczeń ducha ludzkiego i ona pomimo swej ostrożności, tak jak silny specyfik w porę zadany organizmowi, uzdrawia niemoce duchowe... Kto badał dzieje umysłowości, ten wie, że w chwilach najkrytyczniejszych przemawiano najsilniej. Nie przypadkiem się znaleźli: Focyon, Juvenalis, Voltaire, Rousseau, Swift, Rabener i tysiące innych przywołujących rodaków do upamiętania; a nasi mistrze pióra i weredycy wszystkich wieków nie zjawili się też niby *Deux ex machina* na padole Piasta i Giedymina!... Gwiazdy te pierwszej wielkości, ze względu na wygłoszone prawdy, miały i mają swych drobnych satelitów; bo skoro się znalazł który w pasie ich ciążenia, siłą atrakcji musi tam już krążyć, wierny prawu przyrody. My, maluczcy, możemy być mądrymi jeno mądrością mistrzów, lecz niestety! ich zasady zbawcze nauczyły nas mało, nawet po szkodzie; bo według słów serdecznego Syrokomli: „Zastygliśmy w wadach tradycyjnych i nałogach“... Dziś jeszcze bezczelna pochwała więcej się nam podoba niż szczera prawda, wbrew orzeczeniu Mędrca Pańskiego „Pocałuj wargi tego, co mówi słowa prawdziwe“ (proverbia). Na takie słowa miotano u nas obelgi, zacząwszy od Długosza aż do Staszyca i Kraszewskiego.

Tymczasem wciąż źle z nami. Lud wiejski, chociaż wolny i uwłaszczony, nie wyrobił jednak w sobie oświaty i poczucia obywatelskiego, mając mało

wzorów do naśladowania; najbliżej zaś jego stojąca inteligencja, bawiąc się zawsze w panów, zawiniła w dziejach kapitalnie i teraz owocem wielkopańskości jest sumaryczne obdłużenie większej własności, ustawiczna ruina fortun i co za tem idzie — upadek godności i charakterów. Jedyną deską zbawienia może, być moralne przetworzenie się ziemian w duchu pracy uczciwej, umiejętnej przy warunkach zabiegliwości i oszczędności rzetelnej. Ojciec i matka przy zielonym stoliku — to zgorszenie dla dzieci! Lenistwo, które Kraszewski trafnie nazwał *„rdzą na umyśle“*, pycha lub *bierność* w rodzicach względem ideałów swojskich, to potok jadów trujących puszczony we wrażliwe serca młodszego pokolenia, a tego tak wiele wszędy w kraju biednym!... Niech synowie i córki widzą pracę rodziców w pocie czoła, ich ład i porządek, ich gorące uczucie i prawość w życiu, a sami pokochają trud i swojskość żarliwie; potrafią już wtedy utrzymać się i gospodarzyć na ojczystym zagonie i nie wypuszczą piędzi ziemi z rąk umiejętnych.

Źle z nami! Kraj, jak szeroki, pokryty całunem bierności, — istna pustynia śmierci!... Ohydne sobkowstwo zamyka serca i szkatuły na rygle stalowe, hultajstwo płynie przez brzegi „naczyń poważnych“ i plami wszystko dokoła... przez dziurawe nałogi przecieka czas drogi i pieniądze w ręce czyhających pasożytów, a jak się zdarzy potrzeba społeczna, to zaledwo setny obywatel (*de nomine*) skąpo obdarzy mizerję swojską... Nie wahajmy się powiedzieć głośno, iż niezależnie od pozorów, na tle *bierności* u nas: chciwość, rozrzutność, lekkomyślność i pycha są typami najpowszechniejszemi, a dach obywatelski zjawiskiem wyjątkowem! Leszczyńskich, Staszyców, Działyńskich, Baworowskich, Zamojskich, Moniuszków, Walewskich (świeżo zgasły) nam trzeba, a wieleż ich było i jest?!... Powtarzam: źle z nami!

Nietylko, że już nie mamy grosza do stracenia, lecz nawet szelągi zdobywać potrzeba w mozołach, aby z *nich*, według mądrej uwagi biskupa Warmińskiego, zrodziły się stopniowo trwałe bogactwa krajowe (satyra III). Któż nie zna owych wstrętnych parjasów ziemiaństwa, którzy, przez niedołęstwo i lekkomyślność potraciwszy fortuny naddziadów, napełniają bruki, poddasza i szpitale miejskie, ku przestrodze tych, co jeszcze nie opuścili zagona i penatów rodzinnych. Stokroć smutny i pouczający to widok, a jednak ogół nieopatrzny ziemian zdaje się nie pojmować groźnej przyszłości, skoro jedni po dawnemu hołdują tytułomanji, obczyźnie, złotemu cielcowi, nieustannym rozrywkom; inni uprawiają karciarstwo, tracą czas drogi, zadłużają się, wszyscy zaś niemal niecierpią prawdy szczerej, bez ogródek...

Żaden komunał domorosły o potrzebie zachowania, a więc i oszczędzania samych siebie, nie ostoi się wobec rozsądku. Bogdajby każda prawda wywoływała zawsze restytucje w czynach obywatelskich.

Marne są słowa i czyny oglądające się bojaźliwie na teraźniejszość, gdyż człek prawy tylko dla przyszłości działać powinien całem sercem, kładąc prawdę w osnowę swych obowiązków (Orzeszkowa w „Niwie“ za rok 1874, str. 632). Mówmy więc sobie prawdę śmiało, nie zaprzątając się zgoła niewczesnemi skrupułami i fałszywym wstydem przed obcymi, którzy nas wtedy uszanują bardziej.

Pracy obywatelskiej pole leży u nas odłogiem; gdy ktoś rzetelnie cnotliwy umiera i stanowisko jego zawakuje, zawsze rodzi się strach poważny o to, czy się znajdzie godny następca, chociaż duch obywatelski powinienby się objawiać w najgorętszej konkurencji o zaszczytną ze wszech miar rolę mecenasów, dobroczyńców, opiekunów wszelkich spraw żywotnych w kraju. Wprawdzie

miewaliśmy i mamy zachwycające przykłady cnoty narodowej i te czyny są chlubą nietylko naszą, lecz wogóle całej ucywilizowanej ludzkości; tem niemniej, nie mówiąc o ujemnościach typowych, często nawet ofiarność nasza nosiła na sobie charakter dziwactwa, graniczącego prawie z niedorzecznością. Panowie nasi zwykle mają *pieniądze dla siebie* lub niemi szafują fantastycznie, zapisując setki tysięcy franków chociażby na akademję paryską... gdy tymczasem w kraju ucząca się młodzież pracuje o głodzie; literaci, autorowie, artyści, nie znajdują poparcia, a dzieła ich ducha najczęściej są skazane na butwienie w domowych archiwach. Zaprawdę, smutny, bezbrzeżnie smutny widok!

Zamość pod Mińskiem litewskim. *Aleksander Jelski.*

WSPOMNIENIE.

Dwadzieścia pięć lat dobiega, a zdaje mi się, że to tak nie dawno!...

Pomiędzy wielu listami, nadchodzącemi prawie każdą pocztą do redakcji „Tygodnika ilustrowanego“ której wówczas przewodniczyłem, otrzymałem w pierwszych dniach czerwca 1866go roku jeden rekomendowany.

Pismo adresu było wyraziste, oryginalne, podobne nieco do Matejkowskiego. Dla grafologa zwiastować ono mogło charakter wytrwały i energiczny; wewnątrz zaś mieściło się niewielkie opowiadanie prozą, pod tytułem „Obrazek z lat głodowych“, podznaczone całkiem nieznanem tedy w literaturze naszej nazwiskiem niewieściem. Do utworu tego dołączoną była prośba, nieśmiała o jego ocenę i wydrukowanie, „jeśli wart druku“.

Zacząłem czytać z obowiązku więcej, niż w nadziei znalezienia czegoś godnego uwagi; ale po pierwszych zaraz kilkudziesięciu wierszach uderzyły mnie: głębokie uczucie, szczerość przekonania, obrazowanie żywe i barwne, słowem zadatki niepospolitego talentu, niepewnego jeszcze siebie, obracającego się w formie trochę szablonowej, lecz bądźcobądź, wielce na przyszłość obiecującego.

Odpisałem nieznajomej serdecznie, zachęcająco i pracę jej wydrukowałem w dwóch numerach „Tygodnika“ z 23go i 30go czerwca 1866go roku.

„Obrazek z lat głodowych“ ogarniał dziedzinę mało jeszcze wtedy w piśmiennictwie polskiem wyzyskaną: stosunek chaty włościańskiej do dworu, chłopa do pana (rzecz bowiem dzieje się na Litwie, przed zniesieniem pańszczyzny), przeciwstawienie dwóch światów, tak blizkich siebie, a tak mało się znających, z których jeden szary, gruby, znękany ciężką nieraz dolą — drugi świetny, wytworny, rozbawiony.

Na początku zaraz znajdujemy ustęp kilkowierszowy, charakteryzujący cel i dążność całości, apostrofę do pięknych pań i panów zwróconą:

„Z błyszczących wyżyn waszych — mówi autorka — czy spojrzeliście kiedykolwiek w dół, nizko, w głąb owych warstw społeczności, które, ciemne,

nędzne, z piękna odarte, pracują ciężko? Czyście widzieli jakie cierpienia nurtują na tych dnach głębokich, jakie męki rozdzierają łono tej mętnej dla żywych ludzi?...

We wsi — przytaczam suchą treść tylko opowieści — przyszły lata głodowe. Zamożni niegdyś gospodarze stali się żebrakami; wymierały chaty całe; padło też ofiarą głodu dwoje narzeczonych: śliczna Hanka Harwarówna i parobczak Wasyl..... A tymczasem w białym, jasnym dworze młodzi państwo, niedawno pobrani, dobrzy oboje, bo nie biją, bo nie łają, wesoło czas pędzą na zabawie, nie wiedząc prawie o panującej wokół klęsce, na zimę zaś w daleką wyjeżdżają podróż.

Autorką tego drobiazgu, cechującego już poniekąd kierunek dalszej jej działalności, a będącego literacką jej pierwociną, była późniejsza twórczyni „Nad Niemnem“ i „Chama“, — *Eliza Orzeszkowa.*

Bez żadnej więc z mojej strony zasługi, zbiegiem tylko przypadkowych okoliczności, zostałem „literackim ojcem chrzestnym“ pani Orzeszkowej, którem to mianem znakomita powieściopisarka w listach swoich czasem zaszczycać mnie raczy.

Warszawa. *Ludwik Jenike.*

W WAGONIE.

Lat temu pięć, czy sześć, bawiąc w Wiedniu, odebrałem od „Ogniska Polskiego“ w Pradze Czeskiej zaproszenie na jakąś uroczystość doroczną.

Pojechałem.

Gdy konduktor zamknął ostatecznie drzwi wagonu, było oprócz mnie w tym samym przedziale jeszcze czterech podróżnych.

Jeden z nich, nizkiego wzrostu, krępy, pękaty, ubrany w szary płaszcz, umieścił się w rogu przy oknie i zaledwo pociąg ruszył, nasunął daszek jasnej, jedwabnej czapeczki na czoło i usiłował zasnąć.

Naprzeciw mnie spoczywał wysmukły brunet z głową jastrzębia. Czarne, żywego połysku oczy błyszczały nad zagiętym, suchym nosem, pod którym strzępiły się małe wąsy, zakręcone w górę. Było coś rycerskiego, męskiego, w tej sympatycznej twarzy, przypominającej oblicza wojowników z wieków ubiegłych.

Nieznajomy przypatrywał mi się uważnie przez kilka chwil, potem zapytał wprost:

— Wy nie Niemiec?

— Nie, panie, Polak.

— Polak?

Przyjazny uśmiech ozdobił jego artystycznie wykrojone usta.

— To my pobratymcy — zawołał — bo ja Kroat, a ci panowie — wskazał na dwóch innych — także swoi. Ten oto jest Serbem, a tamten Dalmatą.

Po tych słowach, wyciągnęło się do mnie troje rąk, z których każda ściskała moją serdecznie. Padło kilka nazwisk... byliśmy znajomymi.

Próbowaliśmy porozumiewać się, każdy własnym narzeczem. Nie szło. Dźwięki były podobne, etymologja ich wspólna, ale tak się jakoś w odmiennych warunkach pomieszały, że nie mogliśmy dojść do ładu.

— Więc mówmy ogólnosłowiańskim językiem — zaśmiał się Kroat — kiedy nie możemy sobie inaczej poradzić.

Rozmawialiśmy z sobą po niemiecku.

Mimo gwary obcej, rozwinęła się ożywiona dysputa. Kroat, Dalmata i Serb malowali stosunki swoich krajów, wypytując mnie o położenie nasze. Najgłośniej i najczęściej odzywał się Kroat, najrzadziej ociężalszy Serb, ale i tego zajmował każdy szczegół. Po godzinie byliśmy, jak członkowie jednej rodziny, którzy się po wielu latach gdzieś przypadkiem spotkali.

A w rogu przy oknie ruszał się niecierpliwie piąty podróżny, ów pękaty jegomość w szarym płaszczu. Chciał spać, ale rosnący z każdym kwadransem gwar płoszył oczywiście sen z jego powiek. Przewracał się z boku, na bok, mruczał coś pod nosem, kilka razy spojrzał w naszą stronę gniewnie, nie śmiał jednak poprosić o milczenie. Zanadto wojowniczo wyglądał Kroat z głową orlika.

— To Niemiec — rzucił Serb pogardliwie.

Gdy pociąg stanął dłużej na jakiejś stacji, Niemiec zgarnął swoje manatki, a przywoławszy konduktora, zażądał... spokojniejszego wagonu.

Mówił po czesku.

— Pobratymiec! — wołał za nim Kroat. — Wracaj, bracie, na gawędę do swoich.

Ale „swój“ uciekał, jak gdyby go kto ścigał. Gonił za nim tylko wesoły śmiech słowiański.

— Wiecie co — odezwał się Kroat, gdy pociąg w dalszą ruszył drogę. — Kiedyśmy teraz sami w dobranem towarzystwie, swoi, zróbmy sobie uciechę.

— No, no, a jaką? — pytaliśmy.

— Oto wiozę do Pragi, na wystawę rolniczą sześć wyborowych butelek z moich winnic. Wysączymy jedną!

— Brawo, bardzo dobrze, dawaj!

Kroat wydobył zpod ławy złocony kosz, z którego wyglądało sześć mchem porosłych gąsiorków.

Jeden z nich przechodził niebawem z rąk do rąk, a kiedy jego zawartość zmieszała się z naszą krwią, ożywiło się tempo rozmowy.

— Dawaj drugą! — zawołał Dalmata. — Lepiej wypić szlachetny trunek w gronie przyjaciół, aniżeli wieść go na jakąś tam głupią wystawę.

— Ma rację — potwierdził Serb.

Kiedy dojeżdżaliśmy do Złotej Pragi, wracała do kosza szósta butelka, ale próżna. Całowaliśmy się już wszyscy z dubeltówki.

A mnie zdawało się, że zabłądziłem gdzieś do jakiegoś dworu polskiego starej daty, gdzie jeszcze ludzie miód i wino pijali, nie troszcząc się o jutro.

Warszawa. *Teodor Jeske-Choiński.*

WSKAZÓWKI.

„Niewiasta się wężowi skusić dała“
„Niewiasta łeb węża starła“.

Dwa te urokiem poetycznym owjane fakty wyjaśniają rolę, jaką kobieta odegrywa w odniesieniu do węża.

Do węża, uosobienia grzechu, będącego źródłem wszystkiego złego, wszelkich niedomagań i niedoborów, cierpień i klęsk, plag i bólów.

Startym stopą niewiasty łeb jego został, snadź jednak nie doszczętnie. Jak się zdaje, łeb ów, mocno na razie przydeptany, odrętwiał chwilowo i przytomność stracił; przyszedł wszelako do siebie, odżył, i broi na nowo.

Oh! jak broi.

A zawsze przez niewiastę.

Pomiędzy nim a niewiastą ustawicznie toczy się walka.

Niewiasta raz kuszeniem jego ulega, znów łeb mu przydeptuje. Raz górą on, znów górą ona.

Zapasy pomiędzy nim a nią ciągną się dalej nieustannie, bez wytchnienia, we wszystkich zakresach, na jakie w upływie wieków rozpadła sią działalność ludzka.

W pierwocinach bytowania człowieczego działalność ta ograniczyła się troską o jabłko; stopniowo się atoli rozwijała, różniczkowała, komplikowała i obecnie w ludzkości uspołecznionej, na państwa, rasy, narody, ludy, rody, rodziny, klasy, stany, warstwy, fachy, kandycje podzielonej, przybiera postacie rozmaite. Wąż sprawy nie zasypia. Mimo czujność i baczność, mimo spotęgowanie onych wszelakiemi, jakie doświadczenie wskazuje, sposobami, mimo rogatki i warty „Straszliwa żmija wkrada się do sadu“ i niewiasta raz po raz, albo się jej uwodzić daje, albo też łeb jej ściera na polach stosunków i potrzeb społecznych, politycznych, towarzyskich, materjalnych, moralnych, narodowych, rodzinnych, naukowych, artystycznych i — *li-te-ra-ckich.*

Genewa. *T. T. Jeż.*

SĘDZIULKO.

(SYLWETKA).

Typ to już prawie zaginiony — coś niby z mamutowych pozostałości.

A jednak... tak niedawno jeszcze, któż z nas nie pamięta choćby jednego z owych poczciwych, podążających w dnie targowe ze wsi do miasteczek, w których dawne Sądy pokoju, posiedzenia swoje odbywały.

Wlokły zwykle staruszka, dwa dobrze już pełnoletnie deresze, bielejące przy pyskach, jak gdyby je był golarz upudrował.

Ciężkie łby zwieszone ku ziemi, wpół otwarte wargi, zpomiędzy których długie płaskie zęby wystawały; nierozczesane grzywy i ogony między uda wtulone świadczyły o braku wszelkiej kokieterji, którą konie do pewnego wieku, w wyższym nieraz stopniu od kobiet nawet, posiadają.

Weterany te, chodzące w zgodnej parze od lat już kilkunastu, miały jednak sobie zawsze coś nowego do powiedzenia; przez całą drogę poruszały dolnemi wargami, strzygły uszami raz mniej, to znów więcej, w miarę ożywiającej się pogawędki. Czasem tylko, gdy mucha, bąk, lub inny jaki owad naprzykrzony, pozwoliły sobie zamącić błogi ich spokój, lub przerwać poczętą gawędkę, deresze stuliwszy uszy, oganiały się pyskiem, lub machały ogonami na znak protestu przeciwko nieznośnym natrętom.

Na koźle koczobryka, nieokreślonej barwy i fasonu, kiwał się stary woźnica, w rzetelnie wypłowiałej liberji, z kaszkietem na sam nos prawie naciśniętym, dzierżąc, więcej dla zwyczaju niż z potrzeby, lejce i bat, bez których to insygnji, deresze byłyby się wybornie obeszły. Drogę do miasteczka i sądu znały one tak już dobrze na pamięć, że w noc najciemniejszą byłyby sędziulka z pewnością pod sam przybytek Temidy zawlokły.

Ilekroć droga wiodła przez piaski lasem i zagajami porosłe, deresze, lubiące widocznie balsamiczną woń żywicy, z truchcika przechodziły w stępo, którego im ani pan sędzia, ani jego woźnica, za grzech poczytywać nie myśleli

Między panem a starym sługą zawiązywała się wtedy pogawędka, potrącająca czasem nawet o sprawy, jakie pod rozsądzenie przyjść miały.

Stary Walenty, do którego protekcji często się delinkwenci udawali, pro-

sząc o „*pogadanie ze sędzim*“, napomykał wtedy okolicznie, tak coś tam, zlekka, na korzyść forytowanej przez siebie strony.

Sędziulko milczał, ale słuchał, posiadał bowiem wielką umiejętność cierpliwego słuchania, zaletę tak nieraz rzadką u ludzi. Na pozór nic sobie niby ze słów Walusia nie robił, ale w umyśle ważył zdanie prostaczka, bo dopiero, gdy stary gawędziarz, rozgadawszy się na dobre, huknął w kamień, lub wystające korzenie drzew, Sędziulko, podskoczywszy na siedzeniu, wołał niby gniewnie, pocierając głowy:

— Ot lepiejbyś Walenty do stu par djab... patrzył przed siebie i przed konie!...

— Nie szkodzi, jaśnie panie — uspokajał stangret — nic im nie będzie.

— Ale mnie się o budę kapelusz spłaszczył! — dodawał zniecierpliwiony, nie wspominając już nawet o głowie.

— Nie szkodzi, jaśnie panie — odpowiadał stary — *kapelusz* się wyprostuje, a taki Matusz Woźniak ma *rację* — i snuł dalej na temat Woźniaka przerwaną chwilową gawędę.

Sędziulko przestawał niby słuchać, dla okazania tego Walentemu zaczynał sobie pogwizdywać, przyglądać się drzewom przydrożnym, które znał jak rodzone swe dzieci, to znów ponosił do oczów gazetę, w którą się niby wczytywał. Walusia nie zrażało to jednak ani trochę, gadał i gadał o sprawie Mateusza Woźniaka i jak gdy kropla wody z dachu w jedno miejsce spadająca i kamień zwolna wyżłabia, tak też uwagi Walusia, powtarzającego całą drogę jedno w kółko, często nie bez pewnego wpływu na los samej sprawy pozostawały. Wiedział o tem dobrze ludek okoliczny, kochający Sędziulka jak ojca, zwykle też przez cały czas posiedzenia sądu koczobryk nieokreślonej barwy bywał jak forteczka jaka obleganym przez interesantów, podpytujących Walusia, azali *o ich sprawie pogadał ze Sędzim*.

Kiedy późnym już wieczorem wracali z sądów do domu, łatwo z miny woźnicy można było wyczytać, czy sprawa jego protegowanego w łeb wzięła, lub była wygraną. W pierwszym razie, chmurny i zamyślony, nie odzywał się wcale do pana. Zły, że go minęła obiecywana *funda za pogadanie ze Sędzim*, leciał jak szalony, uderzał w kamienie i gałęzie, mścił się na biednych dereszach, które za otrzymywane baty oglądały się żałośnie na starego przyjaciela, jak gdyby przemówić doń chciały:

— Bój się Boga, Walusiu, cóżeśmy ci winne za wyrok Sędziulka!

Natomiast, gdy sprawa wyszła po myśli Walentego, minę miał gęstą, oczy uśmiechnięte... Sędziulka otulał derką, żeby sobie *nogów* nie zaziębił, do koni przemawiał łagodnie, zagrzewając je ciepłem słowem, do lepszego chodu, a kamienie i gałęzie omijał tak ostrożnie, że pana przez całą drogę na jedno nie naraził stuknięcie.

Tak przejeździł zacny Sędziulko większą część swego żywota; co mu czasu od sąsiadów zbywało, to mu go pochłoniały rady familijne, opieki nad sierotami, sądy polubowne, honorowe, na których rozwijał cały swój talent oratorski i skarby złotego serca, godząc zwaśnionych i zapobiegając rozlewowi krwi.

— Krew wasza — mawiał — to własność kraju, grzech więc szafować dla wybryków i buty młodzieńczej!

Oddany aż do zaparcia służbie publicznej, gospodarował Sędziulko na swój sposób. Nad jedną z facjatek starego modrzewiowego dworu wystawała wieżyczka, przypominająca gołębnik raczej niż basztę; z niej-to obserwował Sędziulko przez lupę, jak woły, zamiast orać, w rowie się pasły, jak konie drze-

mały w bronie, gdy tymczasem parobcy i fornale wygrzewając się na słońcu, słuchali dźwięków skrzypki, na której im karbowy eks-organista przygrywał.

— Dobrze, że trochę bydlątkom folgują — mawiał wtedy sobie — dobrze, że też sami o swych biedach zapomną — dodawał uradowany, ciesząc się tym sielankowym widokiem.

Ale nikt się nie dziwił, że u Sędziulka roboty w polu zawsze opóźnionemi bywały, i że coraz bardziej szwankowała gospodarka, zdana na łaskę ludzi i na opiekę boską.

To też, gdy strudzonemu ziemską pielgrzymką sen wieczny zamknął powieki, spadkobiercy nie bardzo się po nim obłowili. Za to nie było w okolicy człowieka, któryby nad mogiłą zacnego starca nie westchnął z serca...

Szkoda naszego Sędziulka!...

Jordan.

ZNAMIONA LITERATURY.

Ktokolwiek się zastanawiał nad całością naszej literatury, ten powinien był dostrzedz, iż nosi ona na sobie pewne znamię ujemne, którego nie widzimy na literaturach innych narodów.

Literatury: francuska, niemiecka, angielska, przedstawiają ciągłą, bezustanną i w swojej duchowej podstawie jednolitą produkcję narodowego gienjuszu, która pomimo rozmaitych zboczeń i zwrotów, pomimo chwilowych wytchnień i nowych porywów, jest ściśle w sobie spojoną i w swojej epoce ostatniej ma postać ciągle się rozszerzającej pracowni, na której czynność wywierają swe wpływy wszystkie epoki poprzednie. We Francji ustawiczne korzystanie z sukcesji po poprzednikach jest tak dalece powszechnem, że nawet najmniejszy z fejletonistów częstokroć obok rażącej nieznajomości wszystkiego, co obce, nietylko zna dokładnie całą własną literaturę bieżącego i ubiegłego stulecia, ale wie także, co Montaigne, Rabelais i Froissart zostawili po sobie. Na najnowszych, a zarazem najwięcej zawziętych przeciwnikach, tak romantyków, jak i klasyków, widzimy dowodne ślady, że wzięli w siebie tak jednych, jak drugich, a nawet, że studjowali pisarzy kościelnych. Każda nowa szkoła we Francji posługuje się wprawdzie spuścizną, wziętą po przodkach do swoich celów, ale ją wzięła, strawiła, przerobiła i obraca na użytek powszechny. W Niemczech, gdzie właściwa wiedza jest jeszcze więcej upowszechnioną, niżeli we Francji, każdy ukształcony człowiek urobił ją sobie na pisarzach wszystkich naukowych systemów i czasów. Tym sposobem nic w tych literaturach nie ginie, skarbnica duchowych zdobyczy społeczeństwa obejmuje wszystko, co kiedykolwiek gienjusz narodowy stworzył, a społeczeństwo nietylko te nabytki posiada, ale ma zarazem wciąż się odżywiającą świadomość ich posiadania.

U nas epoki literatury także następują po sobie, ale nie dziedziczą po sobie i nie zlewają się z sobą na jednej i tej samej duchowej podstawie, tylko

każda następna jest przedewszystkiem zasadniczą negacją poprzedniej. Tak nasi klasycy nie wzięli w siebie ani ducha, ani form literatury Zygmuntowskiej, nie usiłowali nawet nawiązać z tą epoką, chociaż tak swoją, tak wielką i świetną, tylko szukali wzorów dla siebie, bądź w literaturze łacińskiej, bądź u klasyków francuskich. Ich przewodnicy wydali nawet otwartą wojnę tej epoce: Trembecki, chociaż się uczył języka na tamtoczesnych pisarzach, drwił z sarmatyzmu, którym określał wszystko, co swojskie, a Osiński nie dopuszczał nawet idei narodowości w literaturze. Był to zaród śmiertelny w ich duszy, bo społeczeństwo, nie będące ciągle świadomem swojej przeszłości, jest jak człowiek bez pamięci, zdolny jeszcze tylko do pracy fizycznej i niewolniczej. Mimo to klasycy położyli niezaprzeczone zasługi około literatury, bo zachowali język i wprowadzili weń nowe zwroty i formy, nawiązali bliższe, duchowe stosunki z europejską kulturą, zostawili po sobie dzieła, niemogące wprawdzie służyć jako wzory co do wykonania, ale pełne idei, a w każdym razie byli ważnem i samoistnem ogniwem w łańcuchu ogólnego rozwoju.

Romantyzm, chociaż sam także z zagranicy do nas wniesiony, zaledwie zaczął swoje pierwiosnki rozwijać, uderzył przedewszystkiem na szkołę klasyków. Ich dzieła zostały ogłoszone jako nie mające żadnej wartości. Prócz Mickiewicza, który pilnie ich czytał, nikt z młodszych romantyków nawet do nich nie zaglądał, a kiedy romantyzm zlał się zupełnie z ideą demokratyczną, to ogłoszono je za szkodliwe i wydano nawet na nie wyrok zapomnienia i śmierci. Sam jeszcze pamiętam te czasy, kiedy w pewnych sferach nie można się było przyznać do tego, że się czyta Trembeckiego albo Koźmiana i trzeba ich było czytywać ukradkiem. Cała powódź ówczesnych utworów romantycznych nie wzięła w siebie ani jednej formy, ani jednej myśli, ani jednego oddechu ze szkoły klasycznej. Klasycy zapomnieli, a romantycy zmazali wszystko, co było przed nimi: i jedni i drudzy zaczynali od siebie.

Niemal to samo stało się z romantyzmem, kiedy w literaturze rozległ się naturalizm, opierający się na pozytywizmie, a także z zagranicy do nas wniesiony. Zasługi romantyzmu są daleko cenniejsze, niż klasycyzmu: ale kto ma wielkie zalety, miewa częstokroć i wielkie wady. Romantyzm ma wiele grzechów na swojem sumieniu: jego intuicyjna filozofja była równie pretensjonalną, jak naiwną zabawką, jego demokratyczna idea grzeszyła śmiertelnie swoją wyłącznością, jego poezja podniosła się z czasem zanadto wysoko ponad rzeczywistość, aż w końcu, wprowadziwszy zdrowe uczucie miłości ojczyzny w stan chorobliwy, w jakąś epilepsję miłości, wywołał romantyzm straszliwą burzę, która obaliła wszystko, co w społeczeństwie stało na nogach i z całego żyjącego stworzenia zostawiła tylko korzenie, których szalejące orkany nie mogły wydrzeć z wnętrzności ziemi. Ale romantyzm położył niespożyte zasługi około literatury: on rozbił ów kunszt rzemieślniczy, który klasycy nazywali poezją, a zastąpił go powołaniem sztuki w jej poetyckiem pojęciu, on puścił ciepłą krew ludzką w obieg po wyschłych żyłach narodowego piśmiennictwa, on sięgnął jedną ręką w nietkniętą dotąd głąb podań ludowych, a drugą w przeszłość wszystkich czasów i wieków, on stworzył niezliczoną ilość kształtów i form idealnie pięknych i zrobił z języka muzyczne narzędzie o nieskończonej skali akordów i tonów, on stworzył całą literaturę, której dusza żywiąca stała się duszą społeczeństwa, on wreszcie stworzył sztukę pisania, która aż do jego czasów była tylko rzemiosłem.

Mimo to, bezpośrednio po burzy uderzono nań z prawej strony i z lewej, jako na złego ducha, który, ściągając szalone swe ideały na ziemię, był

tylko zbrodniczym zwodzicielem społeczeństwa, i potępiono ryczałtem wszystko, co przyniósł ze sobą. Zabrawszy się do wymiecienia istotnie bezpożytecznych, chociaż błyszczących rupieci i śmieci, wymieciono za jednym zamachem najcenniejsze ozdoby ducha i najdroższe naszemu sercu pamiątki. Postawiono zarazem zasadę, że tylko odtwarzanie tego, co oko widzi i czego ręka ludzka dotyka, może być celem prawdziwej sztuki i tylko z takich reprodukcji powinna się składać cała literatura. Zapomniano o tem, że nie to jest dziełem sztuki, co tylko działa na zmysły, ale to, co przez zmysły działa na umysł, nie to, co umysł do materji obniża, ale to, co go ponad materję podnosi, i nadano sztuce cel czysto zmysłowy. Odrzucono odwieczne pojęcie, że celem poezji jest podnoszenie rzeczywistości do ideału i nadawanie ideałom form takich, w którychby mogły zstąpić na ziemię i żyć między ludźmi, i ograniczono jej powołanie do mechanicznego kopjowania widzianych objawów bez względu na to, że te objawy są czasem nietylko brzydkie, lecz obrzydliwe, i że nietylko nie podnoszą umysłu czytelnika, ale go przytłumiają. Naturalizmowi nie chodziło o to, ażeby sprawił moralne wrażenie, tylko, ażeby wywołał nerwowe wzruszenie, a chociaż pomiędzy jego utworami znajdują się mistrzowskie dzieła plastyki i realnej prawdy, i na tem polu położył on niezaprzeczone około sztuki zasługi, to przecież myśl, która mu przewodniczy, jest zasadniczą negacją tej myśli, która przewodniczyła romantyzmowi, a właściwa istota jego myśli tonie w tej ogólnej materji, która nie zna różnic ras i cywilizacji i uważa siebie samą jako początek i koniec całego świata. Naturalizm jest w błędzie, ale ten błąd podniósł do absolutnej zasady, zamknął epokę romantyzmu na rygle żelazne i zaczął także od siebie.

Jak wogólności rzadkim jest u nas człowiek, co umie grosz składać do grosza, kapitalizować dochody i tworzyć majątek, tak i społeczeństwo nasze nie składa swoich duchowych nabytków i nie tworzy duchowego skarbu narodu. Któż może temu niedostatkowi zaradzić? Tylko krytyka. Ale nie tacy krytycy, co rozpatrują książkę ze stanowiska swego własnego stronnictwa i tylko w tym celu, ażeby jej ułomności wykazać, a jej zalety przemilczeć. Takich krytyków od dawna już niema we Francji i w Niemczech; ukształcona opinja publiczna wysiekła ich rózgami solonemi, szyderstwem i pogardą i napędziła ich do rot polemistów, do których z powołania należą; zostali tylko ci, co dzieła ludzkiego gienjuszu rozpatrują ze stanowiska prawdziwej sztuki i ogólnego pożytku. Tak samo i u nas: im więcej będzie takich krytyków, co staną na takiem stanowisku wyniosłem i obok błędów i niedostatków wskazywać będą ogółowi miododajne kwiaty, znajdujące się we wszystkich literackich utworach, z jakiegokolwiek pochodzą oboru, to i ogół nauczy się zbierać te miody i składać je do swojej skarbnicy i będą szkoły i prądy czasowe w literaturze, ale wszystkie będą kontynuacją swych poprzedników, i będzie je wiązał nieprzerwany łańcuch ze sobą, łańcuch składający się z ogniw rozmaitego kształtu i barwy, lecz stanowiący całość jednolitą, bo kuty z jednego i tego samego metalu.

Paryż. *Zygmunt Kaczkowski.*

MIŁOŚĆ I PRACA.

„Nad miłość i pracę co świętsze?“ — pytał nasz lirnik serdeczny, a samem tem pytaniem jednę i drugą w blasku promiennym postawił: słusznie choć zbyt bezwzględnie podobno. Boć wszakże miłość, przez rozmaitość źródeł, z jakich wypływa, przez różność ideałów, które stawia przed sobą, odmienne cechy przybiera, wszak praca pracy, przez swe pobudki i cele, bynajmniej nierówna, nie na każdej są wyciśnięte stygmata o jej świętości świadczące: muszą więc być jakieś wyjątkowe, co do tych wybranych się liczą.

Lecz jakie?...

Przecież nie owo uczucie każdemu sercu wrodzone, powszednie, obejmujące swoich najbliższych jedynie; nie owo, co się cofa, gdy nie jest szczodrze spłacone, co kłamie sobie, gdy zmuszone ciężką próbę przetrwać; co pierzcha trwożliwie, gdy się ma mierzyć ofiarą.

Przecież nie owe wielkie zachody podejmowane dla marnych życia drobnostek; nie owe trudy ponoszone dla nagromadzenia majątku na własne rozkosze wobec niedoli współbraci; nie owe mozoły, którym celu pięknego nie wytknęła miłość, źródłem pobudek szlachetnej pracy będąca. Miłość i praca za wyjątkowe uznane, jak dwie siostrzyce muszą być z sobą ścisłą wspólnością złączone, bo tylko jedna drugą cechą świętości naznacza, a niewątpliwie znajdą się one razem na niwie zdawna odłogiem leżącej, gdzie wpośród chwastów i cierni w zupełnej ciemnocie błąka się tysiące istot łaknących tego wszystkiego, co budzi, oświeca, uzacnia ducha ludzkiego. Bo oto na tej niwie stanęła garstka ludzi dobrej woli; okiem miłości objęli grunt zaniedbany i owych głodnych a ciemnych, i w imię podwójnej tej miłości do ciężkiej pracy się wzięli. Jedną myślą wiedzeni, rozdzielili rolę między siebie, każdy stanął ochotnie na swoim zagonie i wzięli się do dzieła gorliwie.

Jedni wypleniają z gruntu dzikie zioła i chwasty; drudzy w pocie czoła uprawiają jałową ziemię; wszyscy na jej zasiew znoszą wszystkie zasoby swo-

jego serca i wiedzy; wszystkim godzina za godziną życia upływa w tej pracy, która tajemniczym węzłem łączności ziemię i ludzi związała. Więc każdy chwast z roli wyrwany oczyszcza grunt serca twardo spiącego; każdy kwiat na grządce wykwitły przenika to serce wonią budzącego je piękna; każdy kłos na zagonie wyrosły zasyca głód duchowo łaknących; każda kropla znoju, co użyźnia niwę, zasila nędzę maluczkich; każda łza bólu dusznego, co na tę niwę upada, staje się pryzmatem, w którym odbija się wszystko, co jest wielkiem i pięknem, a stoi bardzo wysoko...

I pomału niejedno już oko przejrzało i wpatrzyło się w świat nieznany sobie dotąd, pomału niejedno ucho otworzyło się na głos prawdy niesłyszanej nigdy; pomału duch pracowników ożywia bezduszne dotąd istoty. Są to cudownie piękne owoce, a takie nie wyrastają w atmosferze samolubnych uczuć i mozołów: wydać je mogła tylko taka miłość, co nie zna granic dla siebie, a karmi się i wzmaga ofiarą i poświęceniem; tylko taka praca, co z duszy pracowników najczystsze złoto dobywa na uszczęśliwienie i uszlachetnienie ogółu.

Taka to miłość i taka praca jedynie ma prawo stanąć między najwyższemi świętościami ziemi i takie w osobie swej przedstawicielki „Nad Niemnem“ rozsiewającej ich skarby, domagają się gorąco wyrażonego uznania i należnego im hołdu.

Warszawa. *Józefa Kamocka.*

A. B. C.

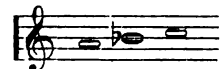 i t. d. jest podstawą oświaty, a więc szczęściem rodzaju ludzkiego.

Eliza Orzeszkowa, przez lat 25 snując abecadłem mowy ojczystej na kanwie literatury naszej, utworzyła szereg dzieł, bogatych treścią, głębokością myśli, a nacechowanych zacną, obywatelską dążnością.

Takie dzieła, rozbudzając w czytelnikach zamiłowanie do piśmiennictwa, przyczyniają się do podnoszenia ogólnej w kraju oświaty, stają się jego chlubą, jego chwałą. Z tego też powodu imię Orzeszkowej jest nam drogie. Świeci ono na szczytach naszej literatury blaskiem szczerego złota, niby skarb Nibelungów.

Nawet Niemcy, tak dumni z bogactwa swojego piśmiennictwa, w miarę jak wczytują się w tłómaczone na ich język powieści Orzeszkowej, z uszanowaniem poczynają się wyrażać o talencie naszej autorki. Tylko wymawianie jej imienia jest dla nich ciężką sprawą. Po pierwszej zaraz samogłosce, utykają i ruszyć się z miejsca nie mogą. Więc też bywa, iż niektórzy z nich zapytują mię: jak się powinno wymawiać? Uczę ich chętnie. Niekiedy, choć z trudnością, nauka się udaje. Reszta zaś, wzorem Prusaków, przekręcających na swój sposób odwieczne nazwy słowiańskie, imię Orzeszkowej tak dalece germanizuje, iż z czasem poznać go nie będziemy mogli.

Drezno. *Maurycy Karasowski*).*

*) Zmarł dnia 20 Kwietnia 1892 roku.

SIEROTA W PIEŚNIACH LUDU.

Kto chce poznać najpiękniejsze i najrzewniejsze tony poezji ludu naszego, niechaj zajrzy do tych jej utworów, które mówią o sierotach. Z miłem zdziwieniem przekona się, że prostacza muza wiejska wznosi się tu na takie szczyty uczucia i formy, których nie każdy znakomity nawet poeta dosięga. Obok wyrazu uczuć prawdziwie wszechludzkiego miłosierdzia, wycieniowanych do niezwykłej delikatności i tkliwości, uderza w pieśniach tych wyjątkowo piękne obrazowanie i wysoce artystyczne wplatanie wątków mitycznych, dośpiewujących w niebie, przed tronem boskim, te pragnienia i te pożądania, którym twarda konieczność świata odmawia spełnienia.

Zresztą nie należy temu się dziwić. Współczucie dla wdów i sierot należy do najwcześniej rozbudzonych uczuć w dziejach etyki. Przez lat tysiące uczucia te miały czas przesiąknąć do wszystkich warstw społecznych i stać się aksjomatem powszechnym, niezbitym i nigdy nie zbijanym, prawdziwie podstawowym.

W krótkim zarysie obecnym pragnę podnieść niektóre tylko pasemka bujnej przędzy, osnutej przez lud na temacie sieroctwa. Starać się będę jaknajmniej sam mówić: piosnki niech przemawiają.

Spytajmy je nasamprzód, jaka dola czeka dziecię bez rodziców? Kto się niem zaopiekuje?

Sieroty, sieroty, dużo was na świecie!
Dziwują się ludzie, gdzie się podziejecie.
— Wy się nie dziwujcie, gdzie się podziejemy:
Idzie woda rzeką, to nią popłyniemy.
Wy się nie dziwujcie, gdzie się obróciemy:
Wieje wietrzyk światem, z nim powędrujemy.

— Sieroty, seroty, na was to świat stoi;
Kto wam krzywdę zrobi, Boga się nie boi.

Bo też sierota zostaje pod szczególną opieką Boga, Pana Jezusa, Najświętszej Panny i dobrych ludzi.

— A któż mnie teraz w sieroctwie ogarnie?
Ogarnie mnie Pan Bóg i wszystka rodzina.

— Kaj ja się podzieję, jak osierocieję?
Najświętsza Panienko, mam w Tobie nadzieję.
Najświętsza Panienko, Tyści matka moja,
Pocieszże mię, pociesz, jeśli wola Twoja!

Szeroka jest ręka u Chrystusa Pana;
Pobierą nas ludzie, choć nie mamy wiana.

Niebo tak pamięta o sierotach, że w dzień ich, sobotę, zwany „dniem sierockim", deszcz prawie nigdy nie pada, a słońce, choć krótko, ale zawsze zaświeci, bo w dniu tym „sieroty koszulki swoje suszą".

Najboleśniej, najdotkliwiej jest osieroconej dziewczynie, gdy za mąż wychodzi, a nie ma ani ojca, ani matki, którzyby ją wedle zwyczaju pobłogosławili. Nazywa się to „sierockie wesele". Starszy drużba w oracji swej tak wtedy o niej mówi: „Obejrzawszy się wokoło siebie, nie ujrzała tu rodziców będących, lecz w grobie odpoczywających". Piosnka ją pociesza, mówiąc:

Sierota się żeni, a sierotę bierze:
Ludzie rozmawiają, Pan Jezus się śmieje.

Lecz zarazem nakazuje, aby wspomniała o zmarłych rodzicach w tej najważniejszej życia chwili, szczególnie, aby westchnęła do matki kochanej:

Matusiu, matusiu, kajżeś się podziała?
Jenoś się na wieki murawką odziała!

Wątek ten, w wyobraźni ludu, przybiera kształty plastyczne. Dziewczyna nietylko rzewnem wspomnieniem do „ojców" bieży: podąża ona, według słów pieśni, na murawę grobową, łkaniem budzi śpiących pod nią, wzywa na swe wesele i słyszy głos boleśnej odmowy. Pieśni o tem należą do najpiękniejszych, powiem nawet, najpiękniejszemi są ze wszystkich ludowych.

Poszła sieroteczka, po świecie tułając,
Po świecie tułając, swej matki szukając.

— Wstańcie, matusiu, z grobu,
Pobłogosławcie córusi do ślubu!

Piele dziewczyna, swój wianek piele,
Do domu się nie śpieszy;
Niema tatula, ani matuli,
Z kimże się tu ucieszy?

Przyleciał do niej zza morza ptaszeczek
I przyniósłci jej lelijowy kwiateczek.
— Powiedzże mnie, ty, lelijowy kwiecie,
Ech, czyli żyją, czyli nie żyją
Moja matula na świecie?
— Ech już nie żyją, uboga sieroteczko,
Poszli ze świata, jak na niebie słoneczko.
— Pan Bóg wysoko, matka daleko,
Rodzina nie ku temu;
Ej rozpaśćby się, ej rozpącby się
Od żalu sercu memu!

— Marysiu moja, obróć się dokoła,
Czyli tutaj jest rodzina twoja?
— A jestci ona, co jej tu potrzeba;
Matuli niema, bo poszła do nieba.
Przyjdź, matulu, z nieba, bo cię tu potrzeba!
Wesele nam wyprawisz i nas pobłogosławisz.
Matulu moja, siądź w rogu stoła,
Niech cię przeprosi córusia twoja.

— Ni zezuleńki, ni tatuleńka,
A dzisiaj, dzisiaj mi go potrzeba!

— A widzisz, ty sieroteczko, ty malutkie dzieciąteczko,
Haniok ten jaworek,
A za tym jaworkiem stoi tam kościołek;
Ułamże se gałązeczkę na tym jaworeczku
I grzebaj piaseczek po matczynym grobie.
— A któż to tam dudni po tym moim grobie?
— A ja też, matusiu, puśćcież mię do siebie!

Matka nie może ani wstać z grobu, ani przyjąć dziecka do siebie, bo „czemżeby tu żyło, coby jadło i piło?“ A jednak bieży wnet przed tron boży i błaga:

— A widzisz, ty Boże, jak dzieciątko płacze,
Bo nie jego tatulo wesele mu sprawia.
A spuśćże mnie, Boże,
Z drobnym deszczem do ziemi,
Z cichym wiatrem do sieni,
Niechże ja zobaczę swego dziecka wesele.

W innych pieśniach naszych dziewczę bieży na grób matki, nie żeby wezwać ją na wesele, lecz żeby się poskarżyć na swą dolę i na złą macochę; najczęściej Pan Jezus spotyka dziecinę, napastowaną przez psa złego, „ogania sieroteczkę kawałeczkiem chleba“, wskazuje jej drzewa cmentarne, każe z nich dwie gałązki ułamać, zbudzić niemi snem wiecznym uśpioną matkę i jej się poskarżyć.

— Ja to, ja, matulu! weźcież mnie do siebie,
Bo mi na tym świecie wiecznie źle bez ciebie.

Tu sierota opisuje szczegółowo złe postępowanie macochy: „Gdy mię ubiera, po ziemi mię włóczy; gdy myje, nakręca mi szyję; jak chleba daje, to wprzód wyłaje; swoim dziateczkom na półmiskach daje, mnie, sieroteczce, ledwo w skorupeczce; swoje dzieteczki w pościółkę układa, a mnie, sieroteczce, kamiuszczków nakłada!“

Fantazja ludowa nie zatrzymuje się na tym obrazie. Oburzona matka wstaje z grobu i idzie do dawnego domu swego; gdy weszła, światło koło niej zajaśniało; dzieci ją poznały, witają, skarżą się, jeść proszą; ona najmłodszego, głodnego i zziębłego synka własną piersią ogrzewa i karmi; ale musi wracać do grobu; więc nakazuje dziatwie, żeby matki drugiej słuchały, zgorszenia nie dawały i ucieka na cmentarz. Macocha słyszy gwar i psów szczekanie, zrywa się w trwodze, budzi męża, powiadając, że widzi jeszcze ten palec, którym jej groziła „nieboszczka jego miła“; że była tu w jasności i dzieci pieściła; że po jej oddaleniu się przybyła Boża Rodzicielka, zbliżyła się ku łożu i palcem groziła, mówiąc, żem „nad zwierzę okrutniejsza“. Pod wpływem podwójnego widzenia tego mięknie twarde serce macochy. Oddaje się ona cała „Królowej niebieskiej“; przyrzeka, że dzieci mieć w niej będą odtąd matkę, a w domu zgoda zawsze panować będzie.

Pieśni innych ludów słowiańskich nie ustępują w piękności i rzewności naszym, gdy chodzi o sierotę. Podobne do naszych tego rodzaju znajdują się w obfitości w literaturze ludowej czeskiej, ruskiej itd. I tam głębokie współczucie dla doli sierocej wywołało tony zpod serca i śliczne obrazowanie. Śmiało więc wyrzec można o gminie polskim i słowiańskim słowami Ozeasza proroka: „W tobie sierotka znajduje miłosierdzie“.

Warszawa. *Jan Karłowicz.*

»HISTORIA MAGISTRA VITAE«.

Jak rozumieć to określenie, ile w niem mieści się prawdy? Oto co od pierwszego usłyszenia zaprzątało nasz umysł. Historja przedstawia się nam nasamprzód jako epopeja wszechludzka, której bohaterami społeczeństwa całe: ucząc się jej, wybieramy sobie między bohaterami tych, dla których mamy więcej podziwu, sympatji, porównywamy między sobą; zajmuje to wyobraźnię nierównie przyjemniej niż algiebra, bo historja ma swą stronę dramatyczną, i któryż młodzieniec, cokolwiek poważniejszy i podkształcony, nie porzuci najpopularniejszego nawet romansu dla monografji Bartoszewicza lub Szajnochy? Dowiaduje się wiele przytem rzeczy, ale koniec końców gdzie jest właściwie to „magisterium“ historji w stosunku do życia, ta jej życiowa utylitarność w zdaniu powyższem zawarta? Przykłady? Ależ to przesąd z czasów Odrodzenia. I naprawdę, czyżby obumarła przeszłość mogła stanowić jakikolwiek wzór dla teraźniejszości żyjącej, i to żyjącej w wielu warunkach tak odmiennych, że jeden starczyłby na sparaliżowanie wszystkich korzyści wzoru? Przy ciągłym ruchu i postępie żywiołów historycznych każda społeczność rozważać musi warunki własne i z niemi się tylko liczyć, czyniąc to, co sumiennie i logicznie uznaje za dobre i konieczne dziś, nie pytając o wczoraj ani nawet o jutro, bo jutro powstaną inni o swojem znowu *dziś* myśleć obowiązani: tak przynajmniej bywało ciągle w ciągłej ewolucji społeczeństw, które sobie wytworzyły byt silny. Chociaż więc historja z osłonek artystycznych wydrze się i poświęci je dla żywiołu krytycznego, prostując fakta, wyobrażenia uzupełniając nowemi odkryciami i wiadomościami, jeszcze ona nie tłómaczy swego pożytku praktycznego w zastosowaniu do życia, tak jak wytłómaczyć się mogą umiejętności przyrodnicze i matematyczne. Więc chyba nie byłaby historja umiejętnością w znaczeniu ścisłem?

Pytanie to było dosyć często rozbierane w ostatnich czasach, pomimo świetnych dzieł historycznych (Macaulay, Gervinus, Thierry), radykalizm zwła-

szcza naukowy, z pogardą traktujący przeszłość, wzdragał się z dopuszczeniem jej do grona. Historja zatem stanęła na tym punkcie, że albo musiała zejść z planu naukowego i zawisnąć między umiejętnością a literaturą, albo metodami swemi charakter naukowy usprawiedliwić.

To ostatnie nie było dla niej trudnem. Jeżelić do warunków życia ludzkości należy wiedza i poznanie, to w pierwszym rzędzie stać musi poznanie samego człowieka: od tego też są nauki o metodach tak ścisłych, jak antropologja i etnologja, dla których tedy historja jest dalszym ciągiem, używotnieniem, rozwinięciem najwyższem. Antropologja, to historja naturalna człowieka; etnologja zaś ma za przedmiot fakta przypadkowe, wynikłe z okoliczności układających ludzi w grupy oddzielne, zgodnie z popędami towarzyskiemi, a zostające w związku z antropologją o tyle, że stanowią część wspólnej treści ludzkiej lub przybierają kształty specjalne i znamienne w każdej z pierwotnych gałęzi rodu ludzkiego. Jakiekolwiek przyczyny wytworzyć mogły te różnice, tak wydatne, typowe, dzielące grupę od grupy (n. p. Europejczyka od plemion chińskich lub afrykańskich) zmuszeni jesteśmy przypuścić, że przyczyny te musiały przez długie czasy wywierać i prawie wyczerpać działalność swą w epoce, do której historja środkami swemi sięgnąć nie jest zdolną. Jeżeli jednak chodzi o znamiona odznaczające Greka, Żyda, Germanina, Słowianina i tyle innych plemion, których warunki rodowe tak wielki miały wpływ na wytworzenie wypadków dziejowych, toć oczywista, że tylko do specjalnego działu, a mianowicie do historji, należy wyświetlenie w całości lub w części, jakim sposobem plemiona te powstały, doskonaliły się, wątlały albo i zgasły.

Tu rola naturalisty jest już podrzędną, chociaż niemniej jego poszukiwania i określenia służą historykowi za oparcie w jego badaniach. Pod tym względem następuje wzajemność: Uważmy bowiem, że plemię od plemienia różni się nie samemi tylko cechami fizycznemi, podpadającemi pod zmysły: nierównie tu ważniejszą rolę odgrywają cechy moralne, popędy, skłonności i podatności umysłowe, prawdopodobnie związane z odpowiedniemi modyfikacjami organizmu, które może kiedyś anatomja wykryje, choć i wtedy zależność jednych od drugich pozostanie dla nas tajemnicą.

Owoż historja wyświadcza tu niesłychaną przysługę etnologji, a pośrednio i antropologji, skoro zwłaszcza przy pomięszaniu się plemion w biegu dziejowym, zdarzają się odcienia takie, których istnienie, a przynajmniej ważność, wymyka się zpod sposobów poszukiwania właściwych etnologowi i naturaliście, gdy tymczasem historja, poprzez długi szereg wieków uwydatniając pewne właściwości ducha i temperamentu moralnego ludów powołanych do życia dziejowego, przychodzi z pomocą etnologowi i naturaliście, stawiając przed nimi jakoby zwierciadło delikatniejsze i czulsze, zdolne odbijać u typów i ustrojów różnice, któreby inaczej były trudne, a nawet zgoła do uchwycenia niepodobne.

Naukowe zatem stanowisko historji zdaje się być już przez to samo uzasadnionem: jest to trzecia potęga służąca do poznawania człowieka, tem przyjemniejsza dla umysłu, że brnąc po piaskach i wertepach poszukiwań, rozrzuca po drodze kwiaty. Ludzie też wielce ciekawi byli tych kwiatów historycznych daleko wcześniej, niż pomyśleli o etnologji i antropologji. Na tę drogę weszła ona dopiero dzięki postępom nauki, dzięki temu zwłaszcza, że niektórzy utalentowani pisarze, nietyle pobudzeni odkryciami w dziedzinie etnologji, ile własnem natchnieniem gienjuszu historycznego, zdołali uwydatnić przeważny wpływ rasowości nawet w najbliższych nam epokach.

Historja rozpoczyna dzieło swe tam, gdzie ją porzucają nauki przyro-

dnicze (antropo- i etnologja) ale granica tego rozdziału trudną jest do oznaczenia. Jeżeli bowiem za punkt wyjścia dla historji obierzemy zaczątki cywilizacji, to co pod tem określeniem rozumieć będziemy? Już nawet w tych samych zaczątkach, w których choćby zarodkowo przejawi się pojęcie prawa, zmuszające czynić ustępstwa z popędu samolubnego, historyk musi się spotkać z etnologiem. Właściwie zatem z zadań historji wykluczonemi być by powinny te tylko grupy, które nie okazują żadnych zdolności do cywilizacji, do żadnego postępu od chwili, gdy się skrystalizowały w stan zaledwie sięgający poza naturę zwierzęcą; gdziekolwiek zaś powstają instytucje, początkiem swym i rozwojem dowodzące ruchliwości umysłu i postępu, gdzie wyrastają samodzielne pomniki i przejawia się zdolność łączenia towarzyskiego ze społeczeństwami innemi, słowem, gdzie obok natury, życie ulega pewnym kierunkom sztucznym, tam otwiera się szczuplejsze lub szersze dla historji pole. I tu wszakże znamię, jakie natura *na swych dziełach wyciska*, a nie pozwala ginąć mu w tworach sztuki ludzkiej, musi być wykazane we wszystkiem, co dotyczy dziejów człowieka, tembardziej, iż ono dąży do zacierania się w miarę jak do życia wchodzi pierwiastek sztuczny i jak ono oddala się od trybu pierwobytnego.

Ale nigdy znamię to nie zaciera się ze szczętem, i ponieważ nie cały ród ludzki jednoczesny pochód odbywa w kulturze, przeto nie tu, to owdzie odnaleść można wskazówki pierwotnego rdzenia. Stąd też od historyka wymaga się nietylko sprężyn poruszających cywilizację ale i poczucia natury oraz pewnej znajomości sposobu jej tłómaczenia; ta zaś wymagalność na miejsce pierwiastku metafizycznego od czasu Vico aż do Hegla panującego w filozofji historji, wprowadziła ostatniemi czasy pierwiastek naturalistyczny, ba, nawet wytworzyła szkołę historyczną naturalistyczną, która wprawdzie nie obeszła się bez nadużyć; ale nadużycia nadużyciami, a grunt gruntem. Nie udało się naturalistykom wszystkiego w rozwoju cywilizacji, takiej a takiej, wytłómaczyć otoczeniem, klimatem, warunkami tellurycznemi, ale niemniej pewnem jest, że dwukrotny pojaw wielkich wybuchów gienjuszu ludzkiego, w Helladzie i Italji, przypada na epokę ustalenia się w jeden typ wielu ras zmieszanych. Ażeby uniknąć nadużyć, a przejść pomiędzy metafizyką a naturalizmem, należy spoglądać na rozwój historyczny w jego całości; rozważać nietylko punkt wyjścia, ale okres ostateczny i wydarzenia spotykane na drodze; rozróżnić czego źródło odnosi się w czynach narodu do realnych potrzeb fizycznych, lub do jego namiętności, fantazji.

Nie jest to zgoła figurą krasomówczą, jeżeli filozofowie, czy to dawni, czy nowożytni, porównywają naród do organizmu pojedyńczego, który zjawia się, odbywa okres niemowlęctwa, mężnieje, kwitnie, choruje, leczy się, albo niedołężnieje i zamiera. Jeden zamiera w zaczątku, inny długo nie może się doczekać starości. Porównanie jeszcze i w drugim punkcie uzasadnione, że jak człowiek pojedyńczy, tak i społeczności, nietylko wyrabiają się według pierwiastków przyrodzonych, ale i czerpią z wyrobienia ogólnego. Jakoż, im dalej sięgamy wstecz, tem więcej w cywilizacji różnych narodów znajdujemy znamion odrębnych, prądów szczególnych, według tego lub owego pierwiastku przeważającego, oraz według szczególnej formy, jaką on przybiera.

Jakież to naprzykład różnice zaznacza Herodot między ustrojem egipskim a helleńskim? Cechą dopiero ery iście nowoczesnej jest epoka, w której ogólny prąd cywilizacyjny, siłą swego rozwoju zmierza do zatarcia odrębnych rysów każdego systematu narodowego lub szczegółowego, do tego stopnia, że narody uciekać się muszą do coraz większych wysiłków, ażeby pod naciskiem tego prądu nie utraciły żywotnych cech swej fizjonomji.

Nigdzie też wydatniej nie występuje naturalne prawo walki o byt. Pominąwszy fakta zdobyczy zbrojnych, przed kilku jeszcze wiekami nie było na świecie języka angielskiego; a ileż to on na drodze pokojowej, handlowej, emigracyjnej, języków pochłonął, ile chłonie dotychczas, rozsiadając się w pięciu częściach świata, niektóre pod wyłączne swe panowanie zagarniając. Ileż to prawodawstw narodowych wyrugował, jak shołdował sobie, mniej lub więcej przysłonięty kodeks francuski; ile żywiołów towarzyskich, literackich tego narodu przeszło w tok literatur obcych, ze szkodą ich pierwiastków własnych, pogłębionych lub unieruchomionych. Co to ma znaczyć znane wyrażenie: *les Français du Nord?* Czyż mamy mnożyć przykłady; każdy aż nadto przekonany jest o dążnościach dzisiejszego wieku do ujednostajnienia cywilizacji.

Jednakże ten prąd ogólno-cywilizacyjny, wrogi organizmom słabym, jest synonimem tego, co nazywamy postępem, kosztownym, ale nieustającym i nieuniknionym. Plącze się gdzieniegdzie przekonanie, przez Vicona jako teoremat metafizyczny postawione, że nic nowego pod słońcem, że wszystko obraca się w kółko; co byłoby zaparciem postępu ogólno-cywilizacyjnego, z pozostawieniem cywilizacji szczegółowych, które chwilowo błyszczą i nikną. Jużciż niezaprzeczenie, że po zagaśnięciu pochodni wielko-cywilizacyjnej, jaką była grecka i rzymska, musi zapanować chwilowy mrok, ale czy na długo, i czy nie jest on zapowiedzią jeszcze większego blasku?

Powszechnie wieki średnie nazywano wiekami barbarzyństwa w porównaniu z epoką rzymską. Nic bardziej płytkiego i fałszywego. Nawet w najciemniejszym wieku X., jedno z drugiem wziąwszy, więcej było po Europie rozsianych ziarn cywilizacji niż za Augusta lub Antoniusza. W zamian za wykwintną literaturę i sztukę, przychodzi mnóstwo wynalazków pożytecznych, wcale albo mało znanych świetnej starożytności, jak: młyny, zegary, szyby, dzwony; powstają szkoły, nietylko po wielkich miastach, jako zabawka magnacka, ale wszędzie przy kościołach i klasztorach; mnożą się rękopisy czytelniejsze i wogóle kształtniejsze od starożytnych; baronowie nie umiejący czytać trzymają kanclerzy i pisarzy, którzy wygotowują ich niezliczone przywileje i rozporządzenia; wykwita nowa poezja, studja i klasyfikacje roztwarzają zaczątki umiejętności przy pewnej metodzie, stanowiącej przedbłysk ducha nowoczesnego. Wkracza zwłaszcza zgoła nieznane światu starożytnemu uczucie: miłosierdzie, i iści się w postaci rycerzy błędnych, przytułków, szpitali; niemoc i słabość zyskują obowiązkową opiekę, i t p.

Jeżeli zatem w biegu czasów powtarzają się nawet zjawiska historyczne, to powtarzają się z odmianami świadczącemi, że oprócz przyczyn powtarzania opartych na tożsamości natury ludzkiej, istnieje przyczyna nieustającego postępu: mogą więc cywilizacje pojedyńcze wznosić się, słabnąć i upadać (i historja wytłómaczy nam: dlaczego?), niemniej doskonalą się nieustannie narzędzia cywilizacji ogólnej, a jakiekolwiek pewna społeczność na drodze porzuci, znajdzie się zaraz inna, która je podniesie i przystosuje, tak, iż społeczności te, według słów starego poety: *quasi cursores vitae lampada tradunt.* Tego prawa ludzkości, w którem względny postęp cywilizacji szczegółowych, przypuszczający upadek, kojarzy się z bezwzględnym postępem cywilizacji ogólnej, nie wykryje etnologja: ono jest udziałem historji.

Z tego prawa nieustannego postępu cywilizacji, wykrytego przez historję, jaki się wyprowadza wniosek, co do jej stosunku z ludzkością? Widzieliśmy, że historja nie ma co robić tam, gdzie ludzkość nie przekroczyła granic życia zwierzęcego. Przypuścić też możemy, że przy ciągłym postępie ludzkość urządzi

się tak, iż sam postęp stanie się niemożliwym; jest to zapewne punkt spotkania się dwóch linji równoległych, możliwy teoretycznie w matematyce, w dziejach ludzkich idealny. W miarę tylko zbliżania się do takiego ideału, rola historji redukowałaby się do gazety urzędowej, mieszczącej rozporządzenia, wykazy statystyczne, zmiany ministrów i t. p.; czyli historja przestałaby być historją w znaczeniu właściwem, a jednak życie szłoby dalej, tylko już bez historji, tak jak szło bez historji u pierwiastków ludzkości, lubo przecież i w jednym i w drugim razie jakieś fakta byłyby do zanotowania. Jeżeliby zatem można porównać budowę społeczeńską do budowy gmachu, to miejsce historji właściwej byłoby tam, gdzie się zwozi cegły, wznosi rusztowania, gdzie ludzie przy robocie męczą się i giną a gmach idzie coraz wyżej. Stanął, i historja zamknięta, pozostaje go tylko konserwować, co jest rzeczą administracji i dyplomacji.

Tak, pomiędzy temi dwoma stanami, etnologicznym i idealnym, mieszczą się istnie historyczne okresy społeczeństw ludzkich, okresy, w których instytucje religijne i polityczne odegrywają rolę główną, czasy wojen i zdobyczy, powstawanie i upadek państw, wzrost i upadek dynastji, kasty, rządy arystokratyczne albo ludowe. To właśnie aż do naszych czasów najbardziej zwracało uwagę dziejopisów, czy historją traktowali jako artyści, czy jako filozofowie, albowiem obraz tych wielkich scen przejmuje nierównie więcej, niż etnologiczny porządek historji, i niż często ukryty ruch prądu ogólno-cywilizacyjnego, który czekał aż do naszych czasów, nim zaczął oczom wszystkich pokazywać swą moc nieprzepartą.

To wszakże godnem jest zaznaczenia, że dzisiaj im więcej zbliżamy się do tego porządku rzeczy, w którym historja społeczeństw ludzkich mogłaby się ograniczyć obrazem postępowego rozwoju cywilizacji i instytucji społecznych, tem więcej opinja publiczna zdaje się przywiązywać wagi do cech etnologicznych, do różnic rasy, języka, narodowości. Po chętnem poddawaniu się pod strychulec niwelacyjny, wprowadzony przez postęp ogólny, nastąpiła jakaś reakcja, dosyć nawet gwałtowna, jakaś zazdrość o cechy plemiennego indywidualizmu. Nie mówię już o społeczeństwach politycznie silnych; ale te nawet, których odrębność plemienna do niedawna żadnemu dyplomacie na myśl nie przychodziła, odgryzają się i krzyczą: Prowansale, Flamandy, drobne grupy słowiańskie, niedogryzione przez cywilizację germańską, madjarską i włoską, Litwini, Rusini, Baskowie nawet, wołają: jesteśmy! W oczach wielu też osób ten zwrot etnologiczny w historji jest bardzo poważny, a co w agitacjach tegoczesnych uważa się za rzecz najrealniejszą, to potrzeba restytucji w wielkiej rodzinie ludzkiej porządku opartego na pobratymstwie krwi lub tradycjach, głos krwi naśladujących, porządku nadwerężonego przez kaprys polityki, wypadki wojenne lub ścieśnienia religijne. Nie przesadzając znaczenia tej myśli, ani nie przypisując jej wartości bezwarunkowej, która nie należy do prawd porządku praktycznego, przyznać jednak trzeba, że odtąd ona jest prawdziwą, a czasem jeszcze prawdziwszą stać się może. Wprawdzie, jak to nadmieniliśmy przedtem, nie jest rzeczą cywilizacji postępowej wzmacniać cechy etnologiczne i odciski ich żłobić; ona, przeciwnie, zaciera je i wyruguje ostatecznie te, które bezwarunkowo nie są niewzruszonemi; ale ponieważ postęp cywilizacji prędzej jeszcze zużywa rożnice biorące początek z instytucji politycznych i przypadków historycznych, musi przeto nastąpić epoka, gdy wartość cech etnologicznych wzrośnie w gruncie, lubo mówiąc bezwarunkowo, zwątleje, tak, jak mamy świeży tego przykład na Irlandczykach, którzy, zatraciwszy (w największej części) jednę z wielkich cech etnologicznych: język, wszelkiemi siłami odzyskać chcą byt

indywidualny na podstawie etnologicznej. I zdaje się, że teraz właśnie Europa wkracza w okres tej walki odwiecznej, do rozwinięcia się której w odpowiednich rozmiarach przeszkadza sprawa innego rzędu, również świeżo powstała, a raczej wznowiona, sprawa rozterki pomiędzy pracą i kapitałem, znana pod nazwą socjalizmu.

„Mistrzynią" życia nazwał filozof starożytny historją zapewne w znaczeniu stosunku skutków do przyczyn, co jako umiejętne katalogowanie faktów przydatnych do indukcji przy wydaniu sądu o wzroście lub upadku społeczeństw byłoby wcale nie do odrzucenia. Dość rozebrać kwestję zupełnego zniknięcia Rzymian, a przetrwania Greków, ażeby wyciągnąć z historji naukę bardzo przydatną. W tem samem też źródle znaleść możemy wytłómaczenie dlaczego Grecy, przetrwawszy, nie mogli jednak przetrwać w tej postaci, w jakiej ich pozostawiają wieki starożytne. Tutaj to właśnie daje się spostrzegać jak na dłoni owa nieprzełamana działalność prądu ogólno-cywilizacyjnego, który, niepytany, nieproszony, wkracza w dziedzinę cywilizacyj szczegółowych i łamie ich instytucje jako zużyte, które ustąpić muszą przed jego potęgą. Czy i sama społeczność ma zarazem ustąpić? Nie, a przynajmniej niekoniecznie: zależy to od siły i chwili; w każdym razie modyfikować się musi.

Takim faktem najwyższego znaczenia był dla Grecji Chrystjanizm, który pozbawił ją najwyższej charakterystyki: mitów. A przecież fakt ten, który wyszedł, nie z łona Greków, nie z ich cywilizacji, a życie ich wewnętrzne głęboko wstrząsnął, nietylko ich nie pozbawił rdzenia istotnego, ale nawet uległ pewnym do istoty ich zastosowanym modyfikacjom, wzajemnie istotę ich modyfikując: Grecy bizantyjscy, to już nie helleńscy; Grecy p. Trykupisa czy Delianisa, to już nawet nie bizantyjscy, ale zawsze Grecy. Gdyby przyszło na tem plemieniu studjować trwałość społeczną, to pomimo klęsk politycznych, tępienia ludności miejscowej i napływu obcej, widzielibyśmy naprzód, przez znakomitą przeszłość poprzedzoną, jedność uczucia narodowego we wszystkich klasach społecznych, wierność dla tradycji religijnych i gorliwe pielęgnowanie mowy ojczystej; następnie tę szczęśliwą okoliczność, że plemię pozostało u tych samych ognisk, które pierwotnie zaludniło i wypełniło szeregiem dzieł, pomników cywilizacji własnej.

Dlatego też dyplomacja dzisiejsza niejednokrotnie korzysta z nauki danej przez historją i stosuje ją do swoich celów.

Jest coś trwalszego w społecznościach, niż system polityczny: to narodowość, która, utraciwszy nawet w nim swe zabezpieczenie i pozostawiona sama w sobie, jeszcze zdolną jest się utrzymywać. Nie należy jednak przesadzać tych warunków trwałości, z których składa się narodowość, bo nic absolutnie trwałego pod słońcem, a jeżeli społeczność porównać można do organizmu żyjącego, to ten wyczerpuje się przez życie samo. Historja uczy tylko jak trwałość tę rozciągać i oddalać chwilę zagłady, którą zawsze poprzedza rozstrój systematu politycznego. Ten zaś jest jak budynek, który, lubo z dobrych materjałów wzniesiony i podtrzymywany, ulegając jednak powolnemu działaniu czynników atmosferycznych, butwieje, w jednych klimatach później, w drugich wcześniej; albo też trzęsienie ziemi zmiata go odrazu. Odkrycie nowych czynników kultury, nowe środki przemysłowe i transportowe, nowe zbiorowiska mineralne, albo naodwrót, wyczerpanie dawnych źródeł bogactwa, wpływa na przenoszenie się środkowisk ludności, na powstawanie pewnych państw, poniżenie innych, na zmianę systematu ich sił.

Tych przyczyn pomyślności lub osłabienia narodów, przyczyn oddziały-

wających na politykę, lubo, właściwie mówiąc, od polityki niezależnych, nie należy mieszać z temi, które tkwią właśnie w starciu sił politycznych i nieraz rozstrzygają o losie społeczeństw, czego nie przewidzi żadna teorja socjalna, żadna historjozofja. Przewidywać jednak można wiele na zasadzie wskazówek historycznych; a jeżeli często nadużywano filozofji historji, tak jak i wszelkiej innej, jeszcze to nie racja twierdzić, że pod lub nad historją właściwą niema filozofji historji; bo czemużby nie miała ona jej mieć, jeżeli każda umiejętność posiada swoję. Umiejętność regestruje i uogólnia fakta, filozofja wyciąga z nich prawa.

Na drodze faktów historycznych ujawnia się ta okoliczność, że kiedy narzędzia cywilizacji ogólnej udoskonalają się wciąż, to właściwością rzeczy znamionujących każdą cywilizację szczegółową jest wzrost i zanik w przebiegu wieków, zupełnie na podobieństwo organizmów żyjących, jakim natura wyznacza koniec nieunikniony. Ponieważ obserwacja fakt ten wielokrotnie poświadcza, musimy go zatem uznać za prawo historyczne, tak, jak za prawo przyrodzone uznajemy, po obserwacji, fakt układania się płynów do poziomu.

Życie więc historyczne, według tego prawa, jest tylko ciągłym przepływem i przeobrażaniem się społeczeństw ludzkich, a niepoślednią zasługę historyka stanowi wykazanie przyczyn i pochodu tych przeobrażeń dziejowych, powolnych lub nagłych. Smutna jest zapewne dla żyjących myśl, że kiedyś zmartwieć muszą te wszystkie formy społeczne, w jakich się dziś przedstawia to życie jego bieżące, które ukochał i w którem mu tak dobrze. To wszakże jest w tej myśli pocieszającem, że jeżeli społeczność zdoła utrzymywać swój rozwój na stopie normalnej i nie pozwoli się zaskoczyć katastrofie przypadkowej, to współcześni nie uczują boleśnie skutków przeobrażania się pod wpływami czasu i prądów ogólno-cywilizacyjnych; owszem asymilacja odbywać się może bez wstrząśnień, prawidłowo i według praw natury, tak, że na miejsce dawnego pierwiastku, z którego życie uchodzi, wstąpi nowy prawie niepostrzeżenie. Ale biada nieopatrznym, którzy bez powodu, w pełni żywotnych sił ustroju, przez lekceważenie podstaw bytu, siłom obcym prądowi ogólno-cywilizacyjnemu dopuszczą odbywać na sobie wiwisekcje.

Warszawa. *Kazimierz Kaszewski.*

DO CHARAKTERYSTYKI JONGLEURÓW.

W społeczeństwie średniowiecznem brakłoby postaci bardzo znamiennych i licznych, gdybyśmy je sobie wyobrażali bez żonglerów. Nazwa ich jest zromańszczonym wyrazem łacińskim *joculator*, które oznacza żartownisia; trzeba jednakże grzeczną tę nazwę na grubsze imię błazna zamienić, dodać do tego znaczenie aktora, tancmistrza, śpiewaka, linoskoka, skomoracha, czyli niedźwiedziowoda, magika albo prestigitatora, powieściarza, nowiniarza i nie wiem jakie jeszcze, aby objąć wielostronność ich sztuki. Zajmowali się wszystkiem, czem ubawić, rozweselić mogli publiczność wiejską, miejską, zamkową. Byli oni niejako teatrzykami, wędrującemi i chodzącemi gazetami zarazem. Włócząc się bezustannie, od wsi do wsi, od miasta do miasta, od zamku do zamku, zaglądając do wszystkich kątów, wszystkiego ciekawi, wstępując do wszystkich karczem i gospód, zbierali wszędzie nowinki i plotki, publiczne i prywatne, i pierwsi roznosili je na różne strony. Domyślimy się, jak pożądanem było ich przybycie osamotnionemu na zamku baronowi, jak chętnie słuchano ich opowieści i nowin. U nas także obcymi nie byli, a nazywano ich rybałtami, albo knejlarzami, albo też igrzecami, którego to starego a ładnego wyrazu i my w dalszym ciągu w znaczeniu żonglera używać będziemy.

Mimo tak wielostronnego artyzmu, sława, jakiej swojego czasu używali, była niepochlebna, nawet zła, nawet bardzo zła. Posądzono ich o wszystkie niemal grzechy główne: obżarstwo, pijaństwo, kłamstwo, kosterstwo, łakomstwo i inne jeszcze, świadczą zaś o tem, pomiędzy innemi, niektóre starofrancuskie *fabliaux*, czyli powiastki, z których tutaj dwie opowiedzieć zamierzamy. Opowiemy z pamięci, tekstów nie mając pod ręką.

Zdarzyło się, że Pan Bóg znowu był ciekawy zobaczyć, co też ludzie porabiają, a wziąwszy na się postać ludzką, stanął na ziemi. Tu spotkał igrzeca, a słusznie myśląc, że w jego towarzystwie najlepiej przypatrzy się sprawom ludzkim, przyłączył się do niego jako igrzec towarzysz. Razem tak pątnując,

doszli do miasta, gdzie równocześnie odbywano pogrzeb i wesele. Igrzec przyjął wezwanie na wesele, gdzie miał bawić gości, Pan Bóg przyłączył się do pogrzebu. Igrzecowi na weselu nie brakło jadła i napitku, a że go także obdarowano sowicie, więc zadowolony ze siebie wracał do gospody, śmiejąc się po cichu z nieudolności swego towarzysza, który na pogrzeby chodzi. Zastał go w domu, ale jakże się zdziwił, gdy mu tenże sto złotych byzantyńców jako swój zarobek pokazał. Jakim sposobem? — oto wskrzesiłem umarłego. Jak chętnie byłby chciał igrzec nauczyć się sztuki tak dobry dochód noszącej! Tymczasem dał mu zgłodniały towarzysz byzantyńca, prosząc go, aby zgotował jaki posiłek. Igrzec kupił koźlę, a że był biegły i w kucharskiej sztuce, więc sprawił i upiekł je dobrze; tylko, że nerki jako przysmak, zjadł pokryjomu. Gdy zasiedli do stołu, spostrzegł Pan Bóg ubytek i zapytał, gdzie się nerki podziały? Igrzec ze spokojnem zdziwieniem odrzekł: nerki? W tym kraju koźlęta nerek nie mają. Pomrukiwał w dodatku, udając obrażonego. Umilkł na to Pan Bóg, domyślając się dobrze, co się z nerkami stało.

W następnem mieście zdarzył się znów pogrzeb i wesele jednocześnie. Igrzec chciwy pieniędzy, wybrał dla siebie pogrzeb, prosząc, aby go towarzysz nauczył sztuki wskrzeszania. Dał mu Pan Bóg wskazówki, a sam poszedł na wesele. Igrzec pewny siebie, głośno oświadczył nad grobem opłakanej rodzinie, że wskrzesi zmarłego, jeżeli mu sto zapłacą byzantyńców. Chętnie przyrzekli, choć nie dowierzali, przeczuwając oszusta, tylko zbyt bezczelnego, gdy w tak smutnej chwili urągał niejako wyrokom bożym. Igrzec zabrał się do dzieła, używał zaklęć, słów niezrozumiałych, ruchów dziwacznych, wreszcie zawołał gromkim głosem na zmarłego, aby wstał: umarły ani się ruszył. Powtórzył wezwanie raz, drugi, trzeci: również bez skutku. Oburzenie zdjęło obecnych, o żałobie zapomnieli na chwilę, za bluźnierstwo doraźną zabrali się wymierzyć karę. Turbowany, zimnym zlany potem, igrzec już ostatnią widział przed sobą godzinę, gdy wtem zjawił się Pan Bóg i rzekł mu do ucha: powiedz, kto zjadł nerki, a ocalę cię i wskrzeszę zmarłego za ciebie. O, zatwardziałe sumienie żonglera! Nawet w tej groźnej chwili przysięgał na swoję duszę kuglarską, że nerek nie zjadł. Zasmucił się Pan Bóg, ale mimo to umarłego wskrzesił i sto byzantyńców otrzymał. Gdy do gospody wrócili, Pan Bóg rzekł, że postanowił rozstać się z towarzyszem. Zarobione pieniądze podzielił na części, ale nie na dwie tylko na trzy, co żonglera bardzo zdziwiło. Rzekł mu tedy Pan Bóg: jedna dla mnie, druga dla ciebie, trzecia dla tego, kto zjadł nerki. Na widok sporej kupki czerwieńców zaślniły oczy igrzeca i od razu obudziło się w nim sumienie. Z pewną skruchą tedy i z pewnem zawstydzeniem rzekł: Stary jestem, kłamać mi już nie przystoi, więc wyznam prawdę: oto ja zjadłem nerki. Taką treść ma *„fabliau du jongleur qui a mangé les rognons“*.

Inny *fabliau* opowiada, jak się igrzec w piekle zachował. Nie wiemy, czy to był ten sam, który zjadł nerki, a który chyba się od piekła nie wywinął, nie wiemy też, jak się nazywał, czy *Bries-verre*, czy *Porte-botte*, czy *Franche-côte*, czy też *Bries-tête*, czy może *Quatre-oeufs*, tyle pewne, że to był żongler i że go któryś z djabłów przywlókł do piekła. Przedstawiony Lucyperowi jako igrzec, a chcąc się w łaski jego dostać, ofiarował się śpiewać, grać na skrzypcach, tańczyć, chodzić na rękach, kozły wywracać, co wszystko jednak Lucyper odrzucił, nie chcąc dopuścić, aby się w piekle bawiono. Skazał go wreszcie na to, aby palił ustawicznie pod największym kotłem, w którym się potępieńcy smażyli. Z tej to służby igrzec tak się wywiązywał gorliwie i dokładnie, że zyskał sobie uznanie i pochwałę naczelnego czarta. Gdy tedy wszyscy djabli mieli

wykonać generalną wyprawę na ziemię, jak to od czasu do czasu było u nich zwyczajem i dziś jest podobno jeszcze, powierzył Lucyper straż całego piekła żonglerowi. Spostrzegł to święty Piotr z wysokości niebios, a znając dobrze duszę żonglerską, postanowił korzystać ze sposobności. Udał się tedy do piekła, wdał w rozmowę z żonglerem, pytając, czyby dla rozrywki nie zechciał zagrać w kości. Na wspomnienie tej gry ulubionej, obudziła się w igzecu cała dawna namiętność kosterska i gotów na wszystko, jedno tylko miał zakłopotanie, a mianowicie: brak pieniędzy. Nie szkodzi, rzekł święty Piotr, ja wstawię na każde rzucenie byzantyńca, a ty duszę jednę z kotła. Zgoda, rzekł igrzec bez namysłu. Grają tedy, a grają zawzięcie. Żongler nie wygrał jeszcze ani jednego czerwieńca, gdy już i połowy dusz w kotle nie było. Grają dalej, bo święty Piotr uwziął się ani jednej duszy djabłom nie zostawić. Rzeczywiście wygrał i zabrał wszystkie, odchodząc. Zafrasowany igrzec po niewczasie, z trwogą oczekiwał powrotu djabłów, którzy też własnym oczom wierzyć nie chcieli, zobaczywszy kotły próżne. Złożyli radę jak ukarać żonglera, wymieniali najsroższe katusze, ale w końcu przemogło zdanie, że to istota bardzo niebezpieczna dla całości państwa piekielnego i że jaknajspieszniej pozbyć się jej należy, odtąd zaś żadnego żonglera do piekła nie przyjmować. Wyszturhali tego nieboraka za bramę piekielną, gdzie go święty Piotr błąkającego się ujrzał i z litości do nieba boczną furtką wpuścił.

Jeżeli tę powiastkę igrzec jaki w obronie swego stanu ułożył, to przedstawiając go w hyperbolicznej i niepoprawnej lekkomyślności, nie był bez dowcipu.

Lwów. *Maksymilian Kawczyński.*

UBEZPIECZENIE ROBOTNIKÓW.

Nie trzeba koniecznie należeć do obozu socjalistów, ażeby przyznać, że zarobek robotnika, wogóle wziąwszy, starczy zaledwie na opędzenie w normalnych warunkach niezbędnych jego potrzeb. A cóż dopiero się dzieje w stanie anormalnym, jeżeli zachodzi wypadek, stawiający robotnika w niemożliwości pracowania! Choroba, kalectwo, starość, brak zajęcia, wreszcie śmierć zastają zwykle robotnika i jego rodzinę bez żadnych zasobów, bez żadnych oszczędności, któreby pozwoliły jako tako przetrwać ciężką chwilę.

Gdzież w takiem położeniu znaleść przytułek i pomoc? Do niedawna jeszcze dobroczynność publiczna była jedynem, nader niewystarczającem, a natomiast, wielce upokarzającem schronieniem dla człowieka pracy, w ostatnich dopiero czasach, uchylać dla niego zaczęto wrota instytucji ubezpieczeń. Ażeby jednak przez nie się przedostać, trzeba przez długi szereg lat opłacać składki asekurujące, a kto ma ten wydatek ponosić?

Sam robotnik, odpowiadają ekonomiści, którzy w samopomocy widzą jedyną dźwignię, zdolną podnieść moralny i materjalny byt klasy roboczej. Własna praca i własna oszczędność: oto źródła, z których robotnik wyłącznie czerpać powinien środki dobrobytu i pomyślności — źródła to niewyczerpane i nigdy nie wysychające!

Gdyby źródła te rzeczywiście były niewyczerpane, to nie istniałaby wcale kwestja robotnicza, zrodziły ją właśnie brak środków i łatwość ich wyczerpania. Obliczono, że gdyby robotnik sam opłacać musiał wszystkie składki na najskromniejsze chociażby ubezpieczenie siebie i rodziny od licznych wypadków zagrażających jego życiu i dobrobytowi, to cały zarobek na toby nie starczył; dla zapewnienia sobie jutra, musiałby dziś z głodu umrzeć.

Jasno więc jak na dłoni, wyprowadza stąd wniosek szkoła przeciwnego obozu, że ciężar ubezpieczenia robotnika spadać powinien na pracodawcę.

Nie bardzo to jednak tak jasne, jeżeli się rozważy, że pracodawca nie jest panem, ale sługą publiczności, że nie może nakładać na wyroby swoje cen

dowolnych, ale zadawalniać się musi temi, które konkurencja wytwarza. Opłacanie przez pracodawcę wszystkich składek asekuracyjnych za robotnika pociągnęłoby za sobą powiększenie kosztów produkcji a w następstwie tego podrożenie wyrobów; droższe zaś towary są dostępne dla mniejszego koła spożywców, zakłady fabryczne, nie mając spożywców, musiałyby zredukować produkcję, to znowu pociągnęłoby za sobą odprawianie robotników, lub zmiejszenie ich płacy, w ostatecznym zatem rezultacie zamierzone dobrodziejstwo stałoby się klęską dla klasy roboczej.

Skoro tak, konkludują znowu inni, to nie pozostaje nic innego jak odwołać się do pomocy państwa; rządy do kas swych sięgać powinny dla zabezpieczenia od nędzy najsilniejszej klasy narodu.

Czy jednak kasy rządowe są tak bardzo zasobne? Czy dużo znajduje się państw, które dla opędzenia swych potrzeb nie są zmuszone uciekać się do pożyczek?

Państwo każde o tyle jest bogate, o ile bogaci są jego obywatele; kasy państwowe o tyle są zapełnione, o ile zapełnić je są w stanie podatki od obywateli ściągane. Że struna podatkowa nie daje się naciągać do nieskończoności najlepszy dowód w tem, że rządy nie mając możności w drodze opodatkowania znaleść potrzebnych funduszów, tak często uciekać się muszą do pożyczek. Gdyby państwa w interesie klas roboczych nakładały na swe ludy uciążliwe podatki, któreby dotknęły nietylko dochód, ale i kapitał narodowy, to za zmniejszeniem się kapitału musiałoby pójść zmniejszenie się pracy i produkcji narodowej, co znowu padłoby całym ciężarem na klasę robotniczą, poszukującą pracy i z niej żyjącą.

Jakżeż więc tu rozwiązać trudny ten dylemat? Czy nie znajdując nigdzie odpowiednich funduszów, oddać robotnika na pastwę głodu i nędzy?

Bynajmniej, — trzeba tylko wziąć rozbrat z wszelką doktryną i nie przykrajać sukienki dla społeczeństwa wedle teorji jakiejś z góry powziętej: nie należy ani przeceniać, ani lekceważyć żadnego z czynników, składających skomplikowany organizm społeczny. I robotnik i pracodawca i państwo, każde z nich posiada pewne siły i zasoby, pewną sferę działalności, praw i obowiązków; sprzągnijmy to wszystko razem, a wóz zpewnością z miejsca ruszy.

Przykład tego dają najnowsze instytucje ubezpieczeń robotników; jakkolwiek na gruncie niemieckim wyrosłe, ani śladu w nich pojęć abstrakcyjnych. Nie pociągnięto, ani nie odepchnięto w imię tej lub owej teorji jednego lub drugiego czynnika społecznego, nie zwolniono jednego od obowiązków, ani nie przeciążono drugiego: i robotnik i pracodawca i państwo do utrzymania instytucji ubezpieczeń robotników przyczyniać się powinny, stosunek zaś każdego z nich zależy z jednej strony od stopnia ciążącego na nim obowiązku, z drugiej od wysokości posiadanych przez niego funduszów. I tak, choroby, którym podlega robotnik tak samo, jak każdy inny człowiek, nie mają po większej części związku ze sposobem jego zatrudnienia, przeto w tej gałęzi ubezpieczona składka ciąży w większej części na samym robotniku, a w mniejszej tylko na pracodawcy.

Natomiast nieszczęśliwe wypadki przy pracy są po większej cześci wynikiem wadliwej konstrukcji maszyn, lub braku dozoru, składki więc na ubezpieczenie od tych wypadków płaci sam pracodawca. Nakoniec ubezpieczenie, inwalidów pracy i starców jest obowiązkiem i samego robotnika, który z niego korzysta i pracodawcy, u którego w usługach robotnik wiek i zdrowie sterał i wreszcie państwa, które nie powinny dopuścić, aby ludzie, którzy całe życie

ciężko i uczciwie pracowali, na starość głód cierpieli, a ponieważ ten rodzaj ubezpieczenia wymaga nadto wielkich funduszów, przeto do ich utworzenia wszyscy przykładać się są zobowiązani.

W ten sposób uorganizawana instytucja ubezpieczeń robotników nie usunie wprawdzie w zupełności kwestji socjalnej, ale bez wątpienia wiele do jej złagodzenia się przyczyni.

Warszawa. *Józef Kirszrot-Prawnicki.*

TOPOGRAFJA GRECJI.

Pod wpływem widoku topograficznej karty Grecji bezwiednie nasuwa się myśli zapytanie: co zespolić mogło pierwotnych mieszkańców helleńskiej ziemi, we wszystkich kierunkach rozdzielonej przez górskie pasma i sterczące szczyty, które, niby placówki straży granicznej, żelaznym okalające kordonem, rozłączają od wieków sąsiadujące bratnie plemiona?

To zamknięcie, odosobnienie oddzielnych prowincji, stanowiących od wieków jednę organiczną, niepodzielną całość, do tego stopnia szczelne jest i niewzruszone, że nawet potoki nie mogąc sobie na powierzchni ziemi ujścia znaleźć, jakby dla zmylenia górskiej straży, wyżłabiają podziemne odpływy.

W oddzielnej kotlinie uwięzione helleńskie plemiona, odrębnemi rządzone prawami, nietylko wytwarzają miejscowych bogów i bohaterów, ale nadto historją plemienną zamiast narodowej. Możnaby więc sądzić, że nieubłagana Ananke naprzód na karcie Grecji wypisała wieczne rozłączenie plemion wielkiej jednolitej narodowości.

Cóż więc później za złotych peryklesowych rządów zespolilo po całym obszarze półwyspu rozproszone maleńkie i słabe plemiona w jednę potężną panhelleńską całość, co skłoniło pod grozą srogiej kaźni w karne roty zeszerogowanych Doryjczyków do podania bratniej dłoni z obcej cywilizacji dumnym jońskim plemionom? Gdzież kryje się tajemne źródło potężnego prądu, który w oddzielnych górskich zakątkach długo tłumione iskierki rozdmuchał w świetny i święty płomień patrjotycznego zapału, mającego własność przelewania w słabych tytańskiej mocy termopilskich bohaterów?

Cóż więc ich zespoliło?

Od innych krajów przez morze odosobniona Grecja jest półwyspem, którego brzegi skaliste, ulegające zaciętej i odwiecznej z morskiemi falami walce, otworzyły dostępne, do każdej prowincji przenikające, głębokie zatoki i przystanie.

Co góry rozłączyły, to niezmierne brzegowe rozwinięcie znów łączy.

Stara to i często powtarzana prawda, że potrzeba jest twórczości matką. Niewolnik, któremu swobodę słowa odjęto, stwarza mowę migową, mieszkaniec

Lakonji lub Beocji górską granicą od Tessalczyka oddzielony, na wolnem dla wszystkich morskiem przestworzu szuka z bratniemi plemionami połączenia. Na chwiejnej więc łodzi, wśród raf i morskich odmętów, opływając ojczyste kresy, helleński pieśniarz z brzegu na brzeg, od przystani do przystani przewozi echa bohaterskich legend i poetyczne opisy dalekich kraju zakątków. Dzięki piratyzmowi ciche szmery gminnych piosnek zlewają się w jedną wspaniałą falę cyklu homerycznej rapsodji, które za sprawą plastycznych opisów wzajemnie zaznajamiając oddzielne plemiona, silniej je zespalają niż najsubtelniej ukute administracyjne więzy. Z chwilą też, kiedy w ustach Hellenów zabrzmiała jednolita mowa, z powierzchni półwyspu topograficzne i polityczne znikają granice. Według bowiem pojęć Hellenów barbarzyńcą, cudzoziemcem, obcym był tylko ten, kto nie władał homeryczną mową, kto za pomocą ojczystych dźwięków nie był zdolny myślowo złączyć się z trzydziestoma plemionami, osiadłemi na przeciwległych krańcach rodzinnej ziemi.

Upatrywanie takiej potęgi w dźwiękach mowy, przypisywanie słowu władzy zespolenia tego, co sama przyroda rozłączyła, wydawać się może płodem wybujałej fantazji, czczą idealistyczną hipotezą; a jednak dziś jeszcze podobnie jak ongi łódka pirata, na łączność duchową rozdzielonych plemion niezaprzeczony wpływ mają żelazne koleje, które dzienniki i książki przewożąc, społeczno myślową jedność podtrzymują. Jedna karta książki, jeden opis nad błękitną wstęgą rzeki, szeroko rozciągnionej ziemi, myśl i uczucia czytelnika przenosi od gór do morza.

Topograficzne ukształtowanie Grecji mieściło w sobie zarodek dwóch biegunów przeciwnych pierwiastków: patrjotyzmu i kosmopolityzmu. Snać pierwszy z nich ludowi swemu przeznaczyli olimpijscy orędownicy, kiedy górskie zapory niweczą siłę homerycznej pieśni. Społeczeństwo świadome potęgi tego łącznika ustanawia kult ojczystej mowy — a podczas olimpijskich rocznic składa w hołdzie mistrzom słowa wieniec wawrzynów.

Warszawa. *Kazimierz Kleczkowski.*

CZYTELNICTWO W GALICJI.

Kto nas czyta? to jest nie nas w ściślejszem znaczeniu, których nikt nie czyta, ale nas w rozumieniu literatów piszących rzeczy piękne, uprawiających sztukę, rozrzucających myśli po szerokim świecie, co chwila ginące jak kłosy i ziarna zboża zwożonego do stodół? Co za koło stanowią czytelnicy pisarzy popularnych? od których zapożyczają poglądy, uczucia; kto są ci, co z bijącem sercem wezmą do ręki każdą świeżo wydaną książkę i będą z autorem wznosili się w wyższe sfery, żyli obowiązkiem, jaki on uznaje, cieszyli się jego nadziejami, trwożyli jego obawą?! Oto pytania, które sobie każdy głębszy zadaje pisarz, a rzadko kto rozwiązać może. Są i tacy, co je sobie stawiają, aby wiedzieć komu schlebić, jak inni, chcą poznać kogo naprawić, do czyich narowów lub do czyich uczuć przemówić, bo są spekulanci i mistrze. Najczęściej pisarz zna tę sferę czytelników, z której wyszedł, ów stan średni, inteligencję mającą aspiracje, sięgające najczęściej dalej, aniżeli środki i żądną wrażeń ze świata opromienionego zupełną swobodą materjalną, jakiej czytelnikowi a zwykle i pisarzowi dotkliwy brak w życiu. Mniej chętnie patrzymy w dół, szukamy ciemnych obrazów, bo te każą myśleć o tem, że życie ma obowiązki i trudne zadania. Czasami pisarz i te zadania życia zaznacza, budząc najczęściej drażliwości i żądania tak nieziszczalne, jak te marzenia złotego nieba, swobody nieobuzdanej materjalnej, życia bez trosk, które istnieją również w imaginacji. Czy podnosząc takie pytania, nie warto spytać, kto nas czyta?

Liczba czytelników klas średnich i wyższych mało uchwytna u nas, gdzie brak zbiorowych usiłowań. Ma o nich ogólne wyobrażenie wydawca i księgarz, ale nie posiadamy środków ściślejszego jej zliczenia. Za granicą pełno czytelń zbiorowych, ludzie grupują się razem, wspólnie zgromadzają zasoby i pomagają sobie wzajemnie do kształcenia. U nas zbiorowa praca nawet tam, gdzie nie natrafia na przeszkody, mało rozwinięta. W Galicji czytelnie dla klas średnich są rzadkie, tworzą się niemal wyłącznie przy instytucjach umysłowej pracy.

Natomiast powstaje nowy wielki zastęp czytelników, dla których czytelnia jest instytucją, zaczynającą odgrywać ważną rolę.

Czytelnia ludowa w Galicji nie powstaje jeszcze z własnej, miejscowej inicjatywy, tworzą ją filantropijne stowarzyszenia, które powstawać zaczęły w ostatnim lat dziesiątku. Zakładają je dwa główne w Krakowie i we Lwowie istniejące towarzywstwa oświaty ludowej, a prócz tego kilka pomniejszych tego rodzaju towarzystw, założonych w Tarnowie, Rzeszowie i paru innych miastach. Czynność towarzystw prowincjonalnych bardzo słaba, zaledwo dają znaki życia. Nie możemy o nich podać bliższych szczegółów, brak im środków i energji w działaniu: że jednak na tej drodze otwiera się szerokie pole dla pisarskiej pracy, świadczy o tem rozwój towarzystw oświaty we Lwowie i w Krakowie.

Towarzystwa te mają podobny sposób działania. Główne ich zadanie polega na zakładaniu bezpłatnych wypożyczalni książek po wsiach i miasteczkach. Przy takiej wypożyczalni gorliwsi kierownicy miewają popularne odczyty z dziedziny moralnej, czy historycznej lub pogadanki o sprawach bieżących, o rzeczach, rolniczych i t. p. Takie czytelnie i wypożyczalnie coraz więcej szerzą się, stają się coraz pożądańsze, zyskują coraz szersze koła czytelników, łaknących nowych książek. Czytelni takich krakowskie towarzystwo, rozciągające swą działalność przeważnie w Galicji zachodniej, posiada 420; a towarzystwo lwowskie 150, nie licząc małej liczby czytelń, założonych przez towarzystwa prowincjonalne i osoby prywatne. Jest to zatem poczet około 600 czytelń rozrzuconych siecią po kraju i roznoszących ziarno wiedzy do chat włościańskich. Czytelnie te skupiają się około Krakowa i Lwowa, rozsiane promieniami od obu stolic kraju, a rozprzestrzeniające się stopniowo po całej Galicji. We wschodniej połowie kraju obok tych czytelń polskich jest przeszło 400 czytelń ruskich; razem więc w Galicji istnieje z górą tysiąc czytelń ludowych.

Krakowskie towarzystwo oświaty posiada w swoich czytelniach z górą 60.000, lwowskie dwadzieścia kilka dziełek. Ostatnie lata, mianowicie w Towarzystwie krakowskiem zaznaczyły tak znaczny postęp, że rok rocznie liczba czytelń wzrasta o jaką setkę a liczba książek o kilkanaście tysięcy. Wypożyczających książki krakowskie towarzystwo obliczało w r. 1889 w połowie swoich czytelni na 20.000, we wszystkich więc czytelniach było ze 35.000 czytelników. Towarzystwo lwowskie nie podaje liczby czytelników, ale winno ich być co najmniej 15.000. Najczęściej jednak czytanie odbywa się głośno dla całej rodziny, a nawet sąsiadów tak, że koło korzystających z czytelń jest o wiele większe, aniżeli wypożyczających książki i o ile przypuszczać można, przechodzi 250.000. Koło to z rokiem każdym rozszerza się i rozszerzać nie przestanie. A czytelnicy coraz mniej są zadowoleni z małych niemal dziecinnych książeczek naszej literatury ludowej, łakną oni szerszej wiedzy, proszą o książki poważniejsze, obszerniejsze; zajmuję ich dzieje kościoła i kraju, zajmują sprawy bieżące, myśli i życie religijne pierwszych chrześcjan i przodków. Dla literatury otwiera się nowy niezmierzony zastęp czytelników, dotychczas zamknięty i niedostępny, otwiera się szeroki świat potrzeb i pracy. Niektóre pisma szanownej jubilatki dostają się i w te sfery, wkrótce znajdą tam szerszy odbyt powieści historyczne Sienkiewicza, Kraszewskiego i innych, jak już wyjątkowo i dziś tam dochodzą. Świat ten ma swoje także odrębne wymagania. Czy wiedząc, że łaknie, nie zechcecie poznać jego potrzeb? Czy was ci czytelnicy mniej pociągają aniżeli inni?? Sprobujcie tam poprosić o gościnę!!

Kraków. *Józef Kleczyński.*

DWA ŻYWIOŁY NARODOWOŚCI.

Dwa czynniki społeczne najpotężniej wpływają na skrystalizowaną świadomość tego najwspanialszego tworu ludzkości, jakim jest naród. Są to przynależność etnograficzna i kultura pojęta w najszerszem znaczeniu. Bywają one albo w sprzeczności albo w zgodzie. Ważnem jest z wielu względów wiedzieć, który jest silniejszy. Wprawdzie zdawałoby się, że etnografja, stwierdzająca wspólność gwary, wspólność obyczajów i zwyczajów i wspólność budowy ciała, przeważa setnym ciężarem potęgę kultury. Tymczasem nieuchwytne i nie dające się żadną fizyczną mocą i przemocą przeciąć jej wpływy, sięgają tysiącznemi nitkami w przeszłość i ze znanych oraz z nieświadomych podań czerpią siłę spajającą przeróżne różnice etnograficzne w nierozerwalne jedno narodowe. Prawda ta nie powinna nas odwieść od badania naszych stosunków etnograficznych, lecz przeciwnie jak najmocniej do nich zachęcić. Ale przy światłem jej zrozumieniu usuniętą będzie jednostronność niedorzeczna wszelkich pojęć, stawiających jakieś kresy etnograficzne kulturze i narodom. Proszę szukać etnograficznych granic celtyckich, łacińskich, saskich, duńskich i t. d. w narodzie angielskim, albo takichże etnograficznych podziałów narodowości angielskiej, francuskiej, holenderskiej po całej kuli ziemskiej pomiędzy szaro- i czarnoskórymi, w których najbieglejszy fizjolog nie dopatrzy kropli krwi europejskiej, lub wreszcie w znanym nam żyjącym konglomeracie różności lackiej, litewskiej, rumuńskiej, żydowskiej, germańskiej i Bóg wie już jakiej.

Dublany. *Stanisław Kłobukowski.*

FRANEK I JEGO KURA.

Kucharka Katarzyna miała już swoją zwykłą taktykę. Godząc się do nowej służby, nie wspominała, iż ma syna. Pracowała tylko bardzo gorliwie, gotowała smacznie, robiła, co do niej należało, a przed panią jak trusia milczała. Państwo byli nią zachwyceni.

Wtedy to dopiero pojawiał się w kuchni za piecem 8-letni Franek, jak gdyby pojmujący już swoje położenie i zdający się mówić:

— Przepraszam was wszystkich bardzo, że ja żyję na świecie. Ale cóż robić? Doprawdy, to nie moja wina.

Państwo patrzyli na niego przez palce. I Franek rozkwaterowywał się na dobre. Zajmował miejsca doprawdy nie wiele. Sypiał na kufrze, na który Katarzyna układała specjalnie dla niego uszyty sienniczek cienki, jak dla psiaka. Zakrywał się jej starą zimową kiecką.

Przez cały dzień słychać go nie było. Siedział w kącie za piecem i strugał nożem drewko, czasami w starym naparstku matki robił babki z piasku. A kiedy matka, będąc w złym humorze, szturchnęła go nieraz, lub krzyknęła „ucz się!“ — znosił wszystko z filozofją: brał do rąk zbrukany elementarz i powtarzał bez końca: B-A Ba, B-A Ba, myśląc, co prawda, zupełnie o czem innem, a raczej nie myśląc o niczem. Był to oryginał skończony. Dość spojrzeć było na niego. Choć miał lat ośm, wyglądał najwyżej na lat sześć. Mały był a cienki, jak szczapa. Nogi i ręce miał jak dwa piszczele, głowę nieforemną, piersi wklęsłe, brzuch wydęty — ot, jak zwykle dziecko oddane na mamki, a które uparło się, aby nie umrzeć. Buty w rzadkich uroczystościach matka mu wkładała. A były one zwykle kupowane na wyrost, zbyt duże i ciężkie. I Franek dziwnie w nich nogi stawiał, a stąpając, wysoko je do góry podnosił, stukał przytem i uśmiechał się i brzuch jeszcze więcej wypinał.

Chodził zwykle w zbrukanem i wyrośniętem ubranku niebieskiem aksamitnem z pozostałemi już niewieloma mosiężnemi guziczkami, które matka kupiła dla niego u jakiejś tandeciarki.

I śmieszny był ze swoją brzydką, śniadą twarzyczką i wielkiemi szaremi oczami.

Kiedy matka rankiem na targ wyszła, pan domu, stary emeryt zaglądał do kuchni i mówił mu, udając surowego:

— A sprawuj mi się tu dobrze, rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiadał butnie, z głową do góry podniesioną, wymawiając wyraźnie literę *r* i kładąc akcent na ostatniej zgłosce.

Wyruszać na krok z kuchni było surowo zabronionem. Sadowił się więc w swoim kącie i godzinami wyśpiewywał cienkim głosikiem, zadowolony: la-la-la, póki lokaj, sprzątający pokoje, nie wychylił, zniecierpliwiony, głowy z poza drzwi z rozkazem:

— A nie przestaniesz mi ty wyć, ty, brzdącu?

Matka zbyt złą dla niego nie była. Biła go, bo biła niekiedy — od czegóż była matką? Słówka czulszego do niego w życiu nie przemówiła, nie uśmiechnęła się. Taka już była jej natura, lecz kochała go po swojemu. Dziwna była ta sucha, bez piersi, śniada dziewczyna z ostremi rysami małej twarzy, z małemi oczami, wązką wargą, wysmukła, małomówna, ponura, mrukliwa, wiecznie w tej samej, ciemnej spódnicy, z chustką niedbale zarzuconą na gładko zaczesanych, lśniących czarnych włosach. Po wielu latach tułaczki od służby do służby złamanego grosza nie odłożyła, mały jej kuferek był pusty, pościel nędzna, choć jak wół roboczy od rana do nocy pracowała, a wódki do ust nie brała.

Lecz Franek wygadał się raz przed lokajem, iż posiada na wsi jeszcze małego braciszka, na którego matka wciąż pieniądze posyła.

I niktby nie odgadł, iż w tej wązkiej, wyschłej piersi łopotało serce spragnione ciągłych wzruszeń. Jej szorstka ręka łaknęła ciągłego uścisku ciepłej dłoni. Cała istota lgnęła do miłości, jak do słońca. Nie pomna na cierpienia, zawody, jakie w życiu przechodziła, żyła w ciągłej pogoni za miłością, z wyciągniętemi wiecznie ku niej ramionami, niezmęczona, nienasycona. Poświęcała jej się cała. Stawała się niewolnicą każdego swego kochanka, owieczką drżącą na jego spojrzenie, patrzała mu w oczy, usługiwała mu, oddawała mu jadło, całe swoje zasługi.

A pracowała wtedy, a krzątała się... żyła! Katarzyna była zakochaną! I dokoła cała kuchnia zmieniała swój charakter. Rądle na półkach błyszczały jak złote. Kwiaty w doniczkach zakwitały. Ogień na kominie buchał weselej. I Franek w swoim kącie uśmiechał się zadowolony. Lecz kochankowie ją opuszczali. I na raz kuchnia opustoszała. Nie lśnił już w kącie mosiężny kask strażaka, ani niebieska bluza stróża z domu sąsiedniego.

Nie miała już komu wpatrywać się w oczy, wsłuchiwać się w dźwięk mowy, nie miała już komu usługiwać, poświęcać się.

A zdarzało się, iż nieczuły lokaj nie chciał grać roli pocieszyciela. I grymas powracał na wązkie usta Katarzyny. Garnki jej z rąk wylatywały. Znikały z okien firanki i kwiaty w doniczkach więdły. Nie świeciły już rądle, nie lśnił na podłodze żółty piasek. Ogień na kominie gasł wcześniej i śród popiołów i perzyny czadziły spalone węgle... I Franek w swoim kącie drżał ze strachu. Matka szturchała go co chwila bez powodu. I cała kuchnia ciemna napełniała się hukiem garnków, trzaskiem drzwi, przekleństwami, złorzeczeniami. I smutno tu się stawało, pusto, ponuro...

Naraz zjawił się pretendent, i to bardzo poważny: obiecywał się żenić. Katarzyna będzie więc już miała kogoś raz nazawsze na własność. Będzie mężatką, nawdzieje czepiec i obrączkę. Usłyszy swoje imię i nazwisko

wymawiane w kościele. Ksiądz połączy ich stułą. Kumoszki nazywać ją będą Łukaszową...

I znowóż cała kuchnia zawrzała stukiem przesuwanych stołków, szelestem mioteł i szczotek do szorowania. I znowu zaświeciły rondle, zażółcił się piasek na podłodze, zabieliły się firanki u okien.

Na stołku przy rozpalonym kominie z butą szacha perskiego siedział *on*, władca, słońce kuchni, i jak słoń wsuwał w siebie podawane sobie bułki, bochenki, zmiatał naładowane talerze i miseczki.

W kuchni było ciepło, jasno, przyjemnie. A on, czując z jakiem uwielbieniem jest słuchany, opowiadał, opowiadał bez końca.

Aż z kąta nieraz dolatywało cieniutkie: hi, hi Franka.

— Stulisz tam gębę? — strofowała go matka, zajęta zmywaniem garnków lub cerowaniem bielizny, przy świetle kinkieta, ustawionego w moździerzu.

A on mówił wciąż dalej...

Był to chłop barczysty, ze zdrowemi zębami, z kosmatą blond brodą, i olbrzymiemi czerwonemi rękami.

Nie z jednego już pieca chleb jadał. Obecnie był bez zajęcia. Utykał na nogę, którą zwichnął przy robotach kanalizacyjnych. Teraz tłómaczył zwykle szeroko Katarzynie i wszystkim swoim znajomym, że towarzystwo kanalizacyjne zapłaci mu za stratę tej nogi 15 tysięcy rubli.

Piętnaście tysięcy — suma bajeczna! tak wielka, iż wyobrazić jej sobie prawie nie można.

Lecz Katarzyna miała to już do siebie, że kiedy kochała, wierzyła we wszystko, co każdy z jej władców jej mówił, ślepo, jak w Ewangelję. Całemi wieczorami gęba mu się nie zamykała. Z powodu obfitości czasu miał bardzo rozgałęzione stosunki. Umiał więc przeróżne dykteryjki, anegdotki. I śmiał się głosem olbrzyma, lub sylabizował głośno Kurjera.

A na dźwięk jego tubalnego głosu Katarzynie o mało serce nie wyskakiwało. Coraz częściej myślała teraz o ślubie. Za oszczędzone pieniądze kupiła sobie do gospodarstwa kurę, która już od kilku tygodni chowała się w kuchni pod łóżkiem.

Ta kura był to dla Franka fakt nie lada, tworzył epokę w jego życiu. Miał powierzone nad nią panowanie. A matka, wychodząc na targ do miasta, przypominała mu codziennie:

— A nie wypuszczaj mi kury, bo ci łeb urwę!

Teraz rozpoczynały się w kuchni rządy Franka. Dotychczas siedział niemy w kącie, a kura spała pod łóżkiem. Lecz matka drzwi za sobą zatrzasnęła i Franek z miotłą wsuwał się pod łóżko i wykrzykiwał:

— A sio, a sio!

I kura, zbudzona ze snu, wystraszona, wybiegała na środek kuchni.

Była to zwykła kura miejska, która nigdy nie widziała słońca, nie oddychała powietrzem. A jeśli w sercu jej nawet roił się ongi jaki butny rycerz w żółtych butach, w pancerzu z pysznych piór, serenadujący pod oknem swoje boskie: ku-ku-ry-ku! — było to już tak dawno, tak dawno...

Teraz chuda, wymokła, ze swojem pierzem o mieszających się nieharmonijnie barwach centkowanych, szarych i żółtawych, niezgrabna w chodzie z gołem szklanem oczkiem, z czerwonym grzebieniem, podobnym do niemodnego na oczy nasuniętego kapelusza, stanowiła istny typ starej panny egzaltowanej, wiecznie skrzywionej i uskarżającej się bez powodu, ustawicznie swoim: kua, kua, kua... aż uszy bolały.

— Pódź tu — krzyczał teraz na nią Franek w swojej roli władcy — masz!

Oddawał jej całe śniadanie: poskubany chleb i kawałki sera.

Jej się ani śniło słuchać go. Nie chciała jego śniadania. Przytem uważała sobie za obowiązek udawać obrażoną za to, że ją obudził i dreptała po kuchni, uskarżając się i gderząc bez końca.

— Pódź tu, ty ślepa wrono — krzyczał Franek, śmiejąc się do rozpuku z tego przezwiska.

— Kua, kua, kua — odpowiadała kura, wchodząc nazad pod łóżko.

— Nie chcesz, nie chcesz? Poczekaj, ja ci tu dam — rzekł, włażąc pod łóżko z wielką miotłą.

A ona nerwowa histeryczka podniosła naraz taki gwałt, jak gdyby pułk huzarów czychał na jej cnotę. Zaperzona wleciała nie wiedzieć poco na łóżko, potem na stół, stamtąd na szafę.

— Ach! ty, ty... krowo holenderska — zawołał Franek, nie umiejąc dobrać przezwiska — ty, ty świnio!

Aż się zmarszczył, taki był rozgniewany na nią, iż do tego stopnia nie zna się na żartach.

— A sio, a sio! — bronił się już mniej śmiało.

Lecz ona, niezgrabna zrzuciła w zapale szklankę, która rozprysła się o ziemię ze stukiem na kawałki.

Drzwi się otwarły. Weszła z olbrzymim koszem matka. W kuchni zapanowała już cisza. Franek siedział z książką w kącie, kura, jak gdyby nic, siedziała pod łóżkiem.

— Mamo! — ośmielił się bąknąć po chwili — szklanka się zbiła.

— Kto ją zbił? — huknęła wybuchając.

— Nie ja, jak Boga kocham! Sama się zbiła.

Dostał kilka razy w łeb, lecz nie zdradził tajemnicy kury. To już była kwestja do załatwienia pomiędzy nimi obojgiem. Lecz skarżyć na nią nie chciał.

Tak mijały dnie, tygodnie. Matka codziennie wychodząc do miasta, powierzała opiece Franka kurę, i on ze znaną już gorliwością obowiązki swoje spełniał i wnet po wyjściu matki rządy swoje zaznaczał.

Lecz Łukasz już od kilku dni nie przychodził. Katarzyna chodziła jak bez głowy. Wszystko jej z rąk wypadało. Stukała drzwiami, talerze i stołki podczas mycia aż trzeszczały.

Teraz wychodząc do miasta, klnąc pod nosem, stłukła szybę u okna wielką szczotką do zamiatania.

— A pilnuj tam kury! — z przyzwyczajenia rzuciła Frankowi na odchodnem.

Trzasła drzwiami i wyszła. Dzień był pogodny, słoneczny. Franek był jakoś różowo usposobiony, nawet kura, przywołana już za pomocą miotły z pod łóżka, wyszła stamtąd jakby w lepszym humorze.

Franek, w wytartych spodeńkach, bosy, klęczał teraz na podłodze i bawił się z nią jak z małym pieskiem. Włożył do ust kawał bułki a ona, drepcąc, to zbliżała się do niego, to oddalała, nie ze strachu, lecz ot tak z figlów...

I Frankowi zdawało się, że widzi nawet uśmiech na jej fizjognomji. Naturalnie, był to tylko półuśmiech osoby, mającej sobie za obowiązek być wiecznie zadąsaną.

Taką już miała naturę. Trzeba jej było to wybaczyć ze względu na to, co w życiu przechodziła. Boże Wielki! Więziono ją w koszach, wożono w ciasnych kojcach na targi. Ba, nawet czychano już nożem na jej życie!

Lecz Franek czuł, że poza tem wszystkiem ona, choć przyznać się do tego nie chce, ma do niego pewną słabość.

I teraz strzeliło mu naraz coś do głowy, pochwycił ją wpół i jak zacznie tulić, całować po piórkach, po dzióbku i szeptać pieszczotliwie:

— Moja kurka, moja kureczka, ty, ty moje złotko kochane!

Kura w pierwszej chwili zgłupiała. Lecz przyszedłszy do przytomności, wyrwała się z całych sił z jego objęć, oburzona, zawstydzona.

I poprawiając sobie wymiętoszone piórka, kręcąc czubem i łebkiem, gdakała, gdakała bez końca, jak, gdyby czyniąc mu wymówki dąsała się i zdawała się mówić:

— Nie lubię takich głupich żartów. Co zanadto, to nie zdrowo. Proszę mi w tej chwili przestać się śmiać.

A on nie mógł opanować śmiechu. Taką miała minę srogą, taką zarazem komiczną.

I na raz przyszła mu ochota jeszcze raz ją pochwycić, i postawić sobie na ramieniu, jak gołębia. Lecz kiedy chciał się do niej zbliżyć, ona, cała trzęsąca się, napuszona i oburzona, stała się na raz tak groźną, aż Franek trochę przestraszony cofnął się.

Ale zaraz po chwili począł przywoływać ją najczulszemi przezwiskami i prośbami, wreszcie jął częstować przechowanym dla niej ukradkiem specjałem: kaszą z wczorajszego obiadu, najpiękniejszemi ziarnkami grochu, gotowanemi kartoflami.

Ona patrzeć na niego nie chciała, i, stojąc napuszona w końcu pokoju, powtarzała w kółko swoje żale, wymówki, krzywdy, urazy.

Mówiła coś o zerwanych już z nim na zawsze stosunkach. Zbliżyć się do niego za nic w świecie nie chciała. Lecz on się uparł: musi ją pochwycić; rozgniewała go w końcu jej przesada.

— Nie chcesz, nie chcesz? Poczekaj, ja ci tu zaraz dam.

Poczęli się gonić! Ona na łóżko, on na łóżko, ona na stół, on za nią na stół.

Naraz uszczęśliwiona dojrzała stłuczoną szybę i jednym rozpaczliwym susem *frr* wyfrunęła przez okno.

Franek osłupiał. Nic podobnego do głowy mu przedtem nie przyszło. Chciał krzyczeć, lecz coś mu w gardle stanęło.

Przebiegł nieprzytomny prawie wszystkie pokoje. Lokaja nie było.

Wyruszyć z kuchni przecież mu nie wolno. Matka nawet buty schowała. Lecz wobec ważności faktu otworzył drzwi i myśląc sobie: niech się dzieje co chce, wybiegł bosy, bez czapki, bocznemi schodami na podwórze. Wszystkie oficyny nieporuszone stoją w tem samem miejscu co i dawniej, słońce świeci, ptactwo świergocze, jak gdyby nic... A kury nie ma.

Dokoła pusto i głucho. A niebo nad nim takie ogromne, a on czuje się taki maleńki!

Na podwórzu jakby makiem zasiał. Stróż wymiótł już, widocznie, rynsztoki. Nie było też ani jego, ani żadnej sługi, ani żywego ducha w żadnem oknie.

— Co tu robić, co robić?

Dokoła cisza.

I Franek, rozglądając się wśród tej pustki, podnosi do góry głowę i nagle spostrzega kogo? Ją, kurę, która siedzi spokojnie na parkanie, oddzielającym podwórze od sąsiedniego domu.

Franek aż ręce złożył do niej, wszystko zależało przecież od niej. Bo on nie może wejść na tak wysoki parkan.

Wszystko zależało od niej...

Franek nie śmiał jej nawet wołać. Patrzał tylko na nią wzrokiem tak czułym, tak błagalnym. A ona, krowa holenderska, zmęczona fruwaniem, sapie, jak gdyby wahając się, czy zejść, czy nie zejść?

— Boże drogi!

Frankowi wobec jego rozpaczy wydawało się to wahanie nielitosnemi drwinami.

A ona w końcu zdobyła się na postanowienie, zdając się mówić:

— Eh, lepiej sobie pójdę...

Zatrzepotała niezgrabnie skrzydłami i nie spojrzawszy już na niego, odleciała do sąsiedniego podwórza.

Franek uchwycił się obiema wychudłemi piąstkami za gołą głowę. Pojął, że teraz wszystko się skończyło. Nie było już na to rady, nie miał już co robić na podwórzu. I pobiegł pędem na górę, jak gdyby go kto gonił. Zasiadł samotny w swoim kącie i czekał, aby matka jak najprędzej wróciła. Niech się dzieje, co chce... I zaledwie drzwi kuchni się otworzyły, zerwał się drżący z kąta i nerwowo rzucił matce:

— Mamo, kura uciekła!

Katarzyna tylko co dowiedziała się od kumoszek na targu, że Łukasz nietylko jest żonaty, lecz nadto od kilku dni spędza wieczory u kucharki z sąsiedniego domu.

Teraz jeszcze ta kura... Nie, tego już stanowczo zanadto, jak na jeden dzień.

— Kto ją wypuścił? — huknęła grzmiącym głosem.

— Sama — ratował się gorączkowo, czując, że tonie — sama, samiutka. Usiadła na okno — tu przełknął ślinę, która mu w gardle zawadzała — usiadła na okno i... i... i uciekła.

— Uciekła? Ja ci tu zaraz dam: uciekła.

I jak nie zacznie krzyczeć: ty taki, ty owaki, jak nie położy go na kolana...

A Franek urywanym głosikiem wykrzykuje tylko żałośnie:

— Oj mamo, oj, oj mamo, oj mamo!

A Katarzyna wciąż go dalej bije, bije, bije, jak gdyby chcąc tem ulżyć sobie za wszystkie zawody, wszyskie cierpienia, jakie przechodziła w życiu przez jego ojca i przez ojca jego braciszka i przez Łukasza, przez nich wszystkich, wszystkich, wszystkich...

Wreszcie zmęczona, zziajana, wypuściła go i, sapiąc tylko, zajęta teraz rozniecaniem ognia na kominie, wykrzykiwała jeszcze bez końca:

— Dam ja tobie! Ach! ty taki, ty owaki, żeby cię...

Franek stulony, w kłębek prawie zwinięty, siedział w swoim kącie. A na jego skrzywionej od płaczu twarzyczce ciche, wielkie łzy jedna za drugą spływają.

Dostał wały, ech! to nic. Matka jest od tego, aby biła. Martwiło go więcej, że kury już nigdy nie zobaczy.

Lecz ponad wszystkiem rozdzierał mu serce i dusił go niewypowiedziany, nie jasno sformułowany, lecz nie mniej głęboki, głęboki żal do niej.

Co było między nim a nią, to było. Bywało raz tak, raz owak. Lecz ona, jako porządna kura, w każdym razie nie powinna, nie powinna mu była *tego* wyrządzić.

Warszawa. *Alfred Konar.*

TERAŹNIEJSZOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ GMINY.

Współczesny rozwój gminy daje nam ciekawy i pouczający zarazem obraz walki wszechwładzy państwa z autonomją miejscową.

Na początku bieżącego stulecia i w pierwszej jego połowie spotykamy się zaledwie z *cieniem* samorządu gminnego. Państwo, poniekąd do tego zniewolone, gwoli własnym celom i interesom, nadaje niejaką władzę samym mieszkańcom, lecz sprawując ścisłą nad nią kontrolę, każdy objaw działalności gminy pod mikroskopem nieledwie rozbiera i sprawdza. Widzimy tu ciągłą obawę, aby gmina nie uszczupliła w czemkolwiek potęgi państwa, aby urok jego siły najmniejszego nie doznał szwanku. Aczkolwiek w drugiej połowie bieżącego stulecia wychodzą na światło dzienne liberalniejsze prawa we Francji, Niemczech, Austrji, Belgji, to jednak istotny i prawdziwy samorząd spotykamy w jednej tylko Anglji. Tam tylko może być mowa o niezależnej gminie w całem tego słowa znaczeniu. Nie należy jednak Wielkiej Brytanji za sprawdzian w tej mierze poczytywać. Samorząd tam powstały — to płonka na czysto miejscowej zrodzona glebie. O przeniesieniu jej na grunt europejski, a tem mniej o porównaniu z nią, nie może być mowy. Natomiast liczyć się możemy z niewątpliwym faktem, że do ostatnich czasów w całej niemal Europie gmina zostaje pod ścisłą kontrolą państwa. Widzimy tu i owdzie większą lub mniejszą samodzielność w wyborze władz miejscowych, napotykamy większy lub mniejszy zakres samodzielności w spełnianiu przez gminę powierzonych jej czynności, lecz zawsze i wszędzie przeważa w niej pierwiastek czysto administracyjny. Choćbyśmy nie wiedzieć jak rozbierali i analizowali szereg nadanych gminie praw, choćby nawet uznać było można, iż w gminie wolno zabierać głos we wszystkich sprawach życia społecznego, toć zawsze opieka państwa usiłuje tu tamować wszelkie swobodniejsze porywy. Codziennie czytamy w pismach to o rozwiązaniu tej lub owej rady municypalnej, to o niezatwierdzeniu wybranego burmistrza, to o czasowem oddaniu gminy pod władzę komisarzy państwowych i t. p. Dzieje się to wszędzie, tak dobrze w rzeczypospolitej francuskiej, jak i w cesarstwie niemieckiem,

a wogóle rzeczy biorąc, będzie to zawsze choć bez krwawych utarczek i waśni, dawna walka municypjów z władzą centralną. W wiekach średnich szło o pozbawienie szerokich przywilejów, o upokorzenie damnych rajców miejskich, dziś dobro państwa jest tą nicią przewodnią, około której obraca się wszystko, dziś szczęśliwość powszechna, której grozi rozkiełzana rzekomo wolność danego związku gminnego, tłómaczy i usprawiedliwia nieograniczoną ingerencję państwa.

Lecz gdybyśmy, codziennym nauczeni przykładem, nie mogli wątpić o stosunkowej niemocy dzisiejszej gminy, gdybyśmy, dalej, przyglądając się krociowym armjom, z trudnością uwierzyć zdołali w rozwój samorządu gminnego, to jednak każdy badacz bezstronny w tej pokojowej walce dziejowej zarodki lepsze ujrzeć będzie w możności.

Centralizacja, potrzebna na razie dla zespolenia wątłych cząstek organizmu państwowego, na długą metę nie może wystarczyć. Bezpośrednie potrzeby miejscowe, z dnia na dzień się rozwijające, muszą i mogą być tylko przez samych mieszkańców zaspakajane. Dobrze zorganizowane państwo musi całe kategorje potrzeb umysłowych i moralnych, dziś pieczy władzy centralnej pozostawionych, przelać na gminę. A jeśli dotychczasowe gałęzie administracji, dla wszechstronnego i należytego ich rozwoju, w ręce gminy oddane być muszą, to cóż dopiero mówić o otwierającem się nowem polu działalności wobec grożącej wybuchem kwestji socjalnej? Tu gminę czeka ogromna przyszłość, a jeśli dziś jednak pod wpływem najróżnorodniejszych okoliczności państwo, ujmując tę sprawę w swe ręce, samo usiłuje nadać jej ten lub inny kierunek, to niewątpimy, że w niedalekiej może przyszłości na gminę spadnie brzemię tych wszystkich trudów, które podjąć tu wypadnie. Jesteśmy najmocniej przekonami, że tylko samorząd gminy będzie mógł zabrać tu głos stanowczy i skuteczny.

Niedalekim jest może czas, że parlamentaryzm dzisiejszy przeleje na gminę cały szereg spraw, będących obecnie na porządku dziennym europejskich reprezentacji ludowych. Kto wie, czy nie w taki sposób przeobrażone zostaną teraźniejsze obrady rozlicznych izb, a setki kwestji, rozpalających głowy prawodawców, będą może z większym spokojem na posiedzeniach organów gminnych rozstrzygane. Mniejszy zakres działania, co do miejsca i czasu, da pole do mniejszej liczby rozpraw teoretycznych. Do mniejszych sprowadzona rozmiarów każda sprawa pozytywniejsze przybierze kształty. Parlamentom pozostaną się kwestje najogólniejsze, a cały szereg spraw, niepotrzebnie dziś czas im zabierających, przejdzie pod władzę rozrzuconych po całym kraju władz autonomicznych. Niejeden wzruszy zapewne ramionami na cały ten obraz przyszłości. Nazwie go płodem wybujałej wyobraźni, teoretycznem rojeniem na temat szczęśliwości powszechnej.

Niechaj i tak będzie. Niechaj miljony bagnetów, broniących siły i potęgi państwa starczą za argument skuteczny dla naszych przeciwników. My zrobimy tylko skromną uwagę, że militaryzm, do niebywałych doprowadzony rozmiarów, że armje, gotowe na każde wezwanie ujarzmić wszelki objaw samodzielności nie przeszkadzają, iż państwo bierze pod opiekę bezbronnych robotników, iż, porzucając bankrutującą zasadę „laissez faire, laissez passer" zaczyna myśleć o tych, których głos daleko się nie rozchodzi... Choć to pozorna może sprzeczność, lecz moloch państwowy sam mimowoli dla przyszłego rozwoju gminy pracuje. On sam przygotowuje materjał do rozkwitu jej działalności i w dali pozwala dojrzeć jutrznią lepszej przyszłości...

Warszawa. *Henryk Konic.*

CZEM JEST,

A CZEM POWINNO BYĆ WYKSZTAŁCENIE.

Dążność do kształcenia się jest w naszych czasach tak powszechną, że niema prawie rodziny, któraby, mając jakąkolwiek możność po temu, nie oddała dzieci do szkół, lub nie zapewniła im nauki w domu. Możnaby stąd wnieść, że ukształcenie jest u nas rzeczą dość pospolitą. Jakoż wielu jest, którzy niemałym kosztem i kilkoletniem wyłączeniem z interesów i zajęć rodziny zdobywają pewien zapas wiadomości, opatrzony patentem. Te odkładają się potem na stronę, jako nic wspólnego z życiem niemające. Są inni, którzy wynieśli z nauk zasób praktyczny: gruntowną znajomość arytmetyki, ortografji i kaligrafji, jednego lub dwu języków obcych. Można z tem dostać posadę w biurze albo sklepie, mieć kawałek chleba, a o to głównie chodzi. Ale na cóż w takim razie przydały się historja, literatura i inne przedmioty, niemające bezpośredniego, praktycznego zastosowania? Istotnie znajdują się tacy, coby je chętnie z programatu szkolnego wykreślili. Dlaczego przecież nie nazywamy ukształconym człowieka, zawodową tylko posiadającego wiedzę? Dlaczego śmiesznieby brzmiało: „to człowiek ukształcony, ślicznie robić umie sprzęty, piec bułki i t. p.?“. Czy dlatego, że ta umiejętność w rękach siedzi, nie w głowie? Bynajmniej, każde rzemiosło głowy potrzebuje i zamiłowania pewnego, t. j. oddania i wytężenia sił umysłowych, inaczej partactwem będzie. Dlaczegoż? Niech odpowie sama etymologja wyrazu: *ukształcenie*. Posiada człowiek zarodki różnych zdolności, różnych sił duszy i ciała, ale trzeba rozwinąć je, aby istota niemi obdarzona przybrała kształt człowieka, odpowiadała w zupełności pojęciu zawartemu w tej nazwie. Słowem, ukształcenie ma stworzyć ideał człowieka. Nie będzie tego, jeśli któregokolwiek z pomienionych zarodków zaniedbamy; jeśli inne wybujają, będziemy mieli wykształcenie skrzywione, jednostronne, jak to n. p. widzimy u bokserów angielskich, co tylko siłę mię-

śniową rozwijają, u muzyków, tylko w swej sztuce biegłych, którym zdarza się być wielkimi na koncercie, a mniej niż miernymi po za tem.

U nas dotąd siły duszy i ciała bardzo nierównomiernie bywają traktowane; drugie puszcza się najczęściej *per non sunt*, i stąd takie mnóstwo roznerwowanych, rozpieszczonych, fizycznie słabych, nieumiejących posługiwać się własnemi rękami. Na wykształceniu umysłu cała waga. Rozmaicie je pojmują; większość może zgodziłaby się, że jest to zasób wiadomości, dających, o ile można, jasne pojęcie o naturze i człowieku, o stosunku ich do siebie i o stosunku człowieka do innych ludzi; zasób, mogący służyć za podstawę do dalszego samodzielnego rozwoju umysłowego. To bardzo wiele, tylko, żeby te wiadomości nie pozostały bezużytecznemi i martwemi, trzeba wziąć w rachunek wpływ ich na umysł: niech przez nie rozwiną się i wzmocnią: zdolność spostrzegawcza, rozum i wola, trzy jego zasadnicze władze.

Co do pierwszej, trzeba się nauczyć obserwować z uwagą i zajęciem zjawiska tak wewnętrznego, jak i zewnętrznego świata i zdawać sobie z nich dokładnie sprawę. Tym sposobem zdobywa się pojęcia daleko realniejsze i barwniejsze, niż papierowe cienie, pochodzące z książek, owszem tym ostatnim nadaje się życie i związek z rzeczywistością. Wielu patrzy, nie widząc, słucha, nie słysząc. Dla nich w świecie otaczającym istnieją tylko rysy tak wydatne, właściwości tak uderzające, że ich przeoczyć nie sposób. Więc i połowa bogactwa językowego dla nich stracona, dokładność myśli niepodobna. Oczywiście, nikt nie jest zupełnie pozbawiony bystrości spostrzegawczej; każde dziecko posiada ją w wysokim stopniu, chodzi tylko o to, aby ją wzmocnić i nie dać jej się skrzywić lub zacieśnić jednostronnie. Nauki przyrodzone znakomicie tu posłużą w swej dziedzinie zjawisk i kształtów dotykalnych; sztuka otworzy oczy na piękno; historja nareszcie, filozofja i psychologja zwracają uwagę na zjawiska jeszcze wyższego rzędu.

Co obserwacja zgromadziła, to rozum, refleksja porządkuje. On zestawia, porównywa, klasyfikuje, łącząc rozpierzchłe szczegóły w jednę całość; on stawia pytania, na które, bądź sam odpowiada, bądź żąda odpowiedzi od obserwacji. Jak tej dziedziną, świat zjawisk, tak do niego należą wnioski i prawa. Nawyknąć powinien do ścisłości i prawdy. W tym celu unikać należy powierzchownego czytania, powtarzania zdań i używania wyrazów nawpół zrozumianych, a szukać zwięzłości i dokładności w wyrażeniu. Nie umie ten myśleć porządnie, kto swych myśli jasno wyrazić nie zdoła, a pisanie tu próbą ostateczną. Niemałe w tym względzie usługi odda nauka języka ojczystego, ucząc rozróżniać pojęcia pokrewne, rozpoznawać, co treścią myśli, a co dodatkiem, rozbierać ją z powłoki retorycznej i poetycznej; korzystne też jest i wczytywanie się w autorów, dobrze rozumujących i zwięźle wyrażających swe myśli, zwłaszcza starożytnych. Matematyka ma także pewną wartość, że do ścisłości przyucza, ale zakres jej zbyt ciasny, że nie powiem techniczny, aby kształcić bardzo mogła. Więcej ma znaczenia logika i nakoniec filozofja. Ale co pomoże by największa ścisłość i biegłość w rozumowaniu, jeśli rozum nieświadomie lub półświadomie siebie okłamuje, jeśli inną miarką mierzy, co miłe, a co nie miłe. Pod wpływem miłości własnej, lenistwa, różnych zachcianek rzeczy przedstawiają się nieraz w fałszywem świetle. Otóż rozum powinien bacznie kontrolować wrażenia, w jego sądach nie mają mieć udziału względy osobiste, ani skojarzenie pojęć. To ostatnie sprawia, że dobre, spotykane w połączeniu ze złem, samo złem się wydaje i *vice versa*: n. p. niechętnie przyjmuje się prawdę z ust osoby antypatycznej; wada, często towarzysząca przymiotom, zlewa się z niemi, przy-

bierając pozory przymiotu. Więc rozum ukształcony pytać powinien zawsze, jeśli mu się podoba, albo go odtrąca: dlaczego to jest tak? Sądząc o osobach, stawiać się na ich miejscu, sądząc o rzeczach i faktach, uważać, czy nie są one w jakimkolwiek stosunku do własnej osoby. Przy wyciąganiu wniosków niech będzie ostrożnym w przyjmowaniu miłych i odrzucaniu niemiłych. Nareszcie, gdy mowa ściśle z myślą złączona, i tu strzedz prawdy.

Ukształcenie woli polega na nadaniu jej należytego kierunku i niezłomnego hartu. Niech ona umiłuje prawdę, dobro i piękno i dąży do nich. Otoczmy więc młody umysł dobremi przykładami; niech poezja, historja, biografje sławnych i świętych mężów stawią mu na oczy ideał piękna, bohaterstwo i wzniosłe a pokorne spełnianie obowiązku, poświęcenie dla prawdy; niech widzi idee religji i moralności wcielone w czynach i postaciach.

Obok woli świadomej, rozumnej, ma człowiek drugą. Doskonale to rozróżniamy, mówiąc czasem: *chcę* a czasem *chce mi się*. Otóż *chce się* bywa czasem bardzo silne, opanowuje wolę rozumną i samemu rozumowi służyć sobie każe. Nie dawać mu tedy wzmocnić się, ćwiczyć wolę rozumną przez zadawanie sobie przymusu, jak ćwiczymy ciało przez gimnastykę. Pilnować jej w małych rzeczach, aby wielkim podołać mogła. Niech ma za święte słowo dane, czy to innym, czy sobie, nie zmienia zamiaru dlatego tylko, że chęć odpadła, niech dąży do celu raz wytkniętego, przyczem rozum ma wprzódy dobrze zważyć, czy cel ów rozsądny. Niech się nałamie zamłodu do posłuszeństwa, bo kto starszych nie słuchał w dzieciństwie, później głosu rozumu i obowiązku słuchać nie będzie. Przedewszystkiem niech się uczy odmawiać sobie przyjemności, znosić przykrość. Kto sam siebie łamie, tego nie złamią okoliczności zewnętrzne.

U nas woli nigdy nie kształcą, o kontroli samego siebie niema mowy, ścisłości rozumowania wymaga się tylko w matematyce, ze wszystkich władz umysłu uwzględniamy jedynie pamięć, rozum potrosze i ostatniemi czasy zdolność spostrzegawczą. Wychodzą też ludzie niecali, co ani chcieć umieją, ani wiedzieć, czego chcą. A jak na tem społeczeństwo cierpi i co się z niem dzieje — zgadnąć łatwo.

Kijów. *Wiktoryna Korwinówna.*

SŁOWKO OD HISTORYKA.

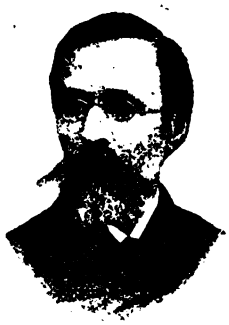

Raz ktoś w urzędowej kwalifikacji określił zajęcie moje wyrazem: *Romanschreiber*. Możnaby się domyśleć w tym zaszczytnym, lecz niezwykłym dla mnie tytule jakiejś ironji subtelnej, lub ukrytego zarzutu, że moje badania historyczne nie są wiarogodne. Przypuszczam, że tenże kwalifikator mógłby Elizie Orzeszkowej nadać tytuł: *Geschichtforscherin*. Czyliż dopuściłby się przeto grzechu śmiertelnego wobec wiedzy i sztuki? Bądźmy na chwilę optymistami. Może ów pan chciał nam nasunąć głębszy pogląd na tajemnice twórczości dziejopisarskiej i powieściopisarskiej.

Bo niezawodnie istnieje powinowactwo co do treści i celu pomiędzy temi dwoma rodzajami pracy. Badamy oboje uczucia i myśli człowieka, *homo sapiens* Orzeszkowa na żywych okazach w chwili działania, ja na martwych zabytkach, szczątkach i śladach działalności minionej. Trudność skompletowania materjału jest zapewne jednakowa: historyk musi dużo czasu poświęcić na heurystykę, na wyszukanie wszystkich dokumentów, tekstów, fragmentów, czasem pojedyńczych nazw lub wyrazów i znaków, jakie się z odległej przyszłości przechowały; powieściopisarz musi rejestrować w umyśle szeregi czynów, ruchów, sposobów wysłowienia, wyrazów oblicza i wszelkich niezliczonych objawów zagadkowej zwykle jaźni człowieka. Krytyka zarówno jest potrzebna dla obu, żeby dotrzeć do rzeczywistości szczerej, a odrzucić blichtry i fałsze. A gdy po tej przygotowawczej pracy przyjdzie chwila odtwarzania lub tworzenia czy to pojedyńczych bohaterów, czy społeczeństw całych, historyk i powieściopisarz zarówno muszą powołać wyobraźnię do roboty. Jakżeż bowiem inna władza umysłowa zdołałaby ulepić z mnóstwa drobiazgowych spostrzeżeń żywe, lub raczej do życia zdolne osobniki i masy?

Ta jednak zachodzi różnica, że w nauce musimy ustawicznie powściągać porywy twórcze za pomocą chłodnej abstrakcji; sztuka zaś, pozostawiając fantazji całą swobodę aż do swawoli, podnosi jej czarodziejstwo, ogrzewając ciepłem uczucia. Wynika stąd różnica skutków praktycznych: historycy zarabiają sobie u nielicznych, częstokroć poziewających, czytelników zaledwo na szacunek, gdy my Was, mistrze i mistrzynie sztuki, wszyscy masami, tłumnie uwielbiamy i kochamy.

Warszawa. *Tadeusz Korzon.*

PROTHESMIA.

(BAJKA).

„Dobremi bądźcie dla mnie, wy,
co po mnie przyjdziecie".
(Z egipskiego nagrobka).

Dawno! przedawno!...

Minął wiek złoty Hellady i sto lat mijało, odkąd jej słońce zaszło za starej Ery skłonami. Astrea, Zeusa i Temidy córka, z wysoka przyglądała się złościom i niedolom ludzkim, a na Helesponcie było tak, jak zwykle bywa o zmroku, gdy Proktus z Leukadji, sławnych ojców syn niesławny, przedwczesnym zgonem zamknął ród jaśniejący niegdyś śród eupatrydów. W żywocie jego, próżnym chwały i zasług, goryczy bywało wiele, a jeszcze więcej grzechów i upadków, gdyż taka już bywa kolej gasnących rodów — bodaj Heraklidów!

Za pogrzebowym rydwanem same najemne zawodziły płaczki. Prochy zabrała chłodna dłoń dalekiego spadkobiercy. Nie grzebano Proktusa na Ceramice, lecz za cmentarną Pisensu bramą; na białym epitamie nie wypisano nic oprócz nazwiska rodu głośnego i cichego imienia tego, co głośne to nosił nazwisko. Przyznać też trzeba, że Proktus na ziemi żadnej po sobie nie zostawił próżni: był, nie był... jednym Grekiem mniej, a było już ich niewielu.

Cień Proktusa w Erebu wkroczył progi. Hermes wiódł go przed Hadesu kratki. Lekką stopą i z lekkiem szedł Proktus sercem: o nieśmiertelności nie myślał wcale, doczesności nie żałował, dni i lata życia przemknęły mu puste, chociaż ciemne i ciężkie... I jakieżby tam pozagrobowe ściągać zeń miano rachunki?

Gdy stanął nad siedmiopierściennej rzeki brzegami, zakłóciło ciszę wołanie Wielebnej, na której imię same przysięgają bogi. Wyłaniając się zza srebrnej, mieszkalną jej grotę podtrzymującej kolumnady, głośno przyzywało swe córki, chcąc im zapewne mężnego pokazać przechodnia. Spłonęło młodzieńcze Proktusa czoło! Wiedział, że ojcowie jego znali się zblizka z temi pięknemi

lecz on nie spotykał się z niemi nigdy, nigdzie, ani nawet na wązkich, a każdemu dostępnych ścieżkach, gdzie się zwycięstwo nad samym sobą odnosi, siła ducha brutalną siłę przemocy łamie, a zapał wszelkie rozwidnia mroki.

Teraz, gdy wkroczył na Erebu ciemne chodniki, oddechy ohydnych, niewidzialnych lecz wszędzie obecnych damji paliły mu czoło wspomnieniem chwil ubiegłych. Wycie psów sześcioramiennej Hekaty wskazywało drogi, kędy nie chadzał i tropiło czyny, których nie spełnił, a błyskawiczny błysk pochodni tych, których imienia żywe nie wymawiają usta, rozjaśniał mroki jego sumienia.

— Ha! niechże i tak będzie — myślał — niech mię Hadesu sądzą sędziowie! Wszak winy można zmazać skoro sami Alkmenidzi...

— Alkmenidzi! — zaszeleściały nad nim przelatujących Harpji skrzydła! — wielcy grzesznicy, lecz i wielkie położyli zasługi...

— Gdzie przez cię wzniesione świątynie i ołtarze? — syczały węże, opasujące strasznych czoła.

Proktus spuścił w ziemię wzrok zasępiony, a stanąwszy przed sądem, przekonał się, że świadczyć przeciw niemu będą wszystkie, piekielne, ziemskie i niebieskie moce, — wszystkie! przeciw jednemu wygasających eupatrydów potomkowi.

Otuchy mu dodało wnijście trzech najnadobniejszych Erebu mieszkanek. O! te spokojne! słodkie, jasne wstawią się za nim chyba? Wszak mogły zostać jego życia towarzyszkami? Czemuż mu teraz nie zwracają uśmiechu? Czyżby i one przyszły tu ściągać rachunek z ubiegłych godzin i pór jego wieku?

— Gdzie dni twych i nocy spokój — szeptały słodkie Ireny usta, a niewzruszona jej siostra pytała go: czy wrogom i przyjaciołom jak przystało sprawiedliwość mierzył?

— A mnie czy ją mierzono? — bronił się, a zwracając do Ireny, pytał nawzajem:

— Czemuż, słodka, nie liczysz trosk, co mi dni zatruwały, w nocy spocząć nie dając?

— Czemuś próby pracą nie skracał, i byłże ład w wieczorach i porankach twoich? — zarzuciła mu Eunomija, gdy Plutus napadł nań z wysokości piekielnego swego rydwanu:

— Nędzarzu! z próżnemi przychodzisz rękoma tam, gdzie i w Charonową łódź wkupić się trzeba!

— Amalthea! — ofuknął oskarżony — do warg mi nie chyliła obfitości rogu... wyzuto mię z dziedzictwa...

— Skarbem nad skarby młodość — zaśpiewała z pełną czarą śpiesząca gdzieś Hebe.

— I miłość! — zaszczebiotała Afrodite.

Niewdzięczna! Że się od niego odwracała Heste, twarz surową zasłaniając, to Proktus rozumiał. Ale ta, z piany morskiej, przez Zeusa wydmuchnięta boginka, Erosów płocha rodzicielka, Hefajtosa wiarołomna małżonka...

A właśnie Hefajtos młot podnosił, a Prometej krwią własnych rozdartych piersi rozżarzał bogom wykradzioną i na ziemię przeniesioną iskrę.

Nie! Młota takiego nie udźwigną zniewieściałe Proktusa dłonie. Nie! Iskry takiej nie rozdmuchiwało tchnienie jego piersi. Kurczyły się one i zamykały w samolubnym bólu.

— Hojnie-śmy go jednak obdarzyły, — uniewinniały się przed wielkim budowniczym Olimpu na świadectwo wezwane mary.

— Ażaliż nie byłem Grekiem? — z dumą pytał oskarżony.

— To jest najmędrszym, najlepszym, najpiękniejszym! — śmiał się sprośny Satyr, a Ares dorzucił wzgardliwie:

— Ba! Grek moim winien być sługą. Rozbrojonego Greka nie znam.

Zdziwił się bardzo Proktus.

— Azaliż na Olimp nie doszła — spytał — azaliż do Erebu nie przeniknęła wieść, że od bitwy pod Cheroneą, Grecja Grecją zwać się przestała. Zaledwie nam Achajów zachowano miano.

Bogowie obojętnie wzruszyli ramionami. Cóż to ich obchodzić mogło? Zbyt dawno opuścili ziemię, minęły czasy homerowskie, kiedy w jednych z bohaterami walczyli szrankach, i chociaż Olimpu chwiały się posady, nie miałoż u stóp jego wszystko w niewzruszonym, hieratycznym pozostać porządku?

Cekrops i Deukaljon zdawali się lepiej poinformowanymi — pierwszy zagaił rzecz o lemieszu, o kielni drugi — i już Ikar nowe sobie, do nowych słońc lepił wzloty.

Widok lemiesza pobudził pamięć Proktusa o ojczystych, chwastami porastających zagonach. Ze smętnym, bo skeptycznym uśmiechem spoglądał na rosnące w pierze, nowe skrzydła Ikara, a do Deukaljona mówił:

— Czy znasz murarzy, co na gruzach domu mego stanęli? Miałżebym dłoń szlachetną przykładać do barbarzyńców dzieła?

Na wzmiankę o barbarzyńcach Herakles wstrząsł mściwą maczugą.

— Ha! mój zuchu! — boleśnie uśmiechnął się podsądny! — Wlejże mi w ramiona siłę, co węże dusi i lwom paszczęki rozdziera, Chimerę strzałą przeszywa i Augiaszowe czyści stajnie.

Cierpliwość jego u kresu była. Wszyscy przeciw niemu powstali. Penaty oskarżały go, że domowych nie pilnował progów, Dionyzos nazywał go „wielkich ojców niedołężnym synem", Hermes twierdził, że skalał złotoustych mowę, Helios, sam Helios! zarzucał wzrok łzawy i chmurny, co się do jego ożywczych przestał uśmiechać promieni. Czarna Nyx gotową była pochłonąć go i opasać zapomnienia siecią, a przez niewiasty rok rocznie opłakiwany Adonis, skarżył się — i to najcięższym snadź było grzechem — że w zmartwychstanie wierzyć przestał.

Oburzył się Proktus i wybuchnął:

— Azaliż w Arkadji żyłem! — i raz już popuściwszy wodze, mówił rozżalony:

— Trudno uśmiechać się do słońca, co nad naszemi nie wschodzi drogami i o śmiertelnej nocnej dobie w zmartwychwstań wpatrywać się brzaski. O! bogowie! Mały byłem i słaby, lecz na Prokrustowem wyrastałem łożu, do karła wykoszlawionej miary. Próżny i pusty wiodłem żywot, i nawet hojne dary pań z Parnasu na marne mi poszły, lecz o! bogowie! zważcie, co mi wzloty ducha podcięło i w niemoc spętało ramiona. Wszak Grekiem zwać mię przestano, zpod Cheronei mogilnym cieniem w bezkształtnych Achajczyków wtłoczono tłokę. Palące mi piersi pragnienia gasić musiałem ciężką Lety wodą, a gdy mi głód we wnętrznościach krzyczał, Harpje podobne tym, co ślepego karmią, Fineasza zepsute lub zatrute podsuwały mi jadło. Córy Przewielebnej, co wrót Erebu strzeże, nie wołały na mnie brata imieniem. Heste kwiatami domowych nie słała progów, Atropos złych losów oplątywała siecią, Pito kładła w uszy poziomych chuci namowy, Kloto próżnych dni szarą snuła przędzę, a okrutna jej siostra przerzynała ją bezowocnych ofiar nożycami...

— Cóż wam o! bogowie! więcej powiedzieć zdołam? — kończył. — O! Apollinie! natchnij wieszcza, co wypłakać zdołał losy tych, dla których cnota sama w pół cnotę się zmienia!

Milczeli bogowie, boginie milczały! I tylko Pallas-Atene, wieszczów mistrzyni, Aten orędowniczka, ciche dotąd rozwarła wargi.

— Gdy wolną wolę obuzda niewola, poziomym namiętnościom nic nie ściąga wędzideł i dłoń skrępowana steru udzierżyć nie zdoła.

Ale sędziowie nieubłagani byli. Z pokolenia na pokolenie rosły ubytki i szkody wykolejonym i zmarniałym żywotem każdego pojedyńczego męża przynoszone, nietylko już okrainie nad którą Olimp niegdyś panował, lecz het, precz, po za Heraklesowe Słupy, precz, ku hyperborejskim granicom. Coraz cięższe w Hadesie przychodziło sprawować roki. Trzeba raz było koniec temu położyć, bo ludzie gotowi znów się zmienić w kamienie, a wówczas rozzuchwalone Tytany nowe na Olimp przypuszczą szturmy.

Drżyj Proktusie! kar i odpowiedzialności spada na cię więcej, niż cień twój blady udźwignąć ich zdoła!

Proktus wzniósł oczy i ramiona w górę! Ha! Twarde Erebu sklepienie, błagalnym go nie przebić wzrokiem! Ciężkie Erebu wrzeciądze: rozkrzyżowanemi nie odwalić ich ramiony! Zpod niezbłaganych zębów czasu nie wykupić się męką pokoleń całych!

Oparta o ramię męża, dobra Persefona ze współczuciem przypatrywała się nieszczęśliwemu. Blask bił od jej czoła, gdyż ona sama tylko znała śmierci i zmartwychwstań tajemnicę. Proktus, nazywając ją „śmierci pogromicielką cichą“, wezwał na świadectwo jedynej cnoty, którą się szczycił, sądząc, że nią okupić zdoła wszelkie swe grzechy. Matkę Persefony Limię swą ojczystą całem kochał sercem, kochaniu temu nie przeniewierzył się nigdy.

— Cóż po miłości bezowocnej! — smutnie zauważyła Demeter.

— O miedzę graniczy ze zdradą! — zawołał zapalczywy Ares.

Wtem Klijo, uważnie rozwijając zwoje giętkiego pod jej dotknięciem spiżu, przyzwała Temidę. Temis rozwiesiła szale. Tu kładła, tam zdejmowała, a wagą jej były słowa Mwemozyny córy; Klijo mówiła rozważnie:

— W grzechach synów tkwią ojców winy.

— Ha! prawda! — zawołali, w czoło uderzając się sędziowie! — o małośmy nie zapomnieli! Proktusie! przysługuje ci stare prawo zawezwania przed sąd potomnych cieni ojców i praojców twoich. Z prawa tego bracia twoi korzystali, a nieraz zwalając na ojców odpowiedzialność wszelką, usiłowali wyjść z Hadesu biali jako kwiat mirtowy. Chcesz, powołamy ojców twoich, a chociażby stokrotnie przebiegli katusz koło i w zapomnienia legli otchłani, nową za grzechy twe naznaczym im pokutę.

. . . . . .

Zaszeleściało w Erebu ciemnościach. Śmiali się Satyrowie, złe tytany zgrzytały zębami: „Dajcie tu nam ich, dajcie, wielkich, sławnych! Ze sławy obierzem, wielkości ujmiem, na pal wbijem, na krzyżu rozciągniem, obnażymy i wzgardą oplwamy“.

Harpje porwały się, bijąc skrzydłami jako ptactwo nocne. Jak na obławę, zagrały psy Hekaty. Wyciem im odpowiedział trzygłowy pomiot Tyfaomesa. Po czasów ciemnej kniei łowcze rozbiegły się furje, budząc, śpiące mogiły roztrącając, i wkrótce do sądowej sali Hadesu napłynął tłum nikłych cieni, gnany i smagany Eumenid wężami.

Byli tam obry stare, pół bogi, bogowie omal, bo ci sami, co bogów i olbrzymów wymyślili. Byliby odpowiedzialnymi za opuszczenia i omyłki przy zakładaniu podwalin gmachu, co stał tak szczytny, runął z tak wysoka?

Widok ich wzruszył Modro-oką.

— Nie masz litości — szepnęła z wyrzutem do córy Mnemozyny, lecz ta odparła surowo:

— Pamiętam, spisuję, czytam.

Tymczasem nowe napływały cienie a biło od nich światło, jak od obłoków otaczających Heliosa rydwan. Bogowie z miejsc powstali, sam Ares zdjął szyszak z głowy a boginki oczy, olśnione blaskiem tych śmiertelników, płowemi zasłoniły warkoczami. To Argaunotów towarzysze, z pod Troi bojownicy, Solona doradcy, Anakreonta uczniowie. Ci pod Maratonem, u Salaminy, pod Platejami wawrzyny zbierali, tamci z Platonem, Pythagorasem, Eschylosem — ducha a z Fidjaszem — kształty Hellady wzbili na niedościgłe losów i przemian szczyty. A ci? Widzicie ich, nagich i krwawych, śród świetlanych najjaśniejszych: Leonidasa to towarzysze!

Tych, chociażby tysiąckrotnie zgrzeszyli i potomności brzemię grzechów swych przekazali, jakiż śmiałek oskarżać potrafi?

Proktusowi gięły się ze czcią kolana a jednocześnie podnosiło czoło. Czuł się dumnym z odblasku spływającego nań w czasie i przestrzeni ze świetlanych ojców zastępu.

Lecz już po za temi słonecznemi zakłębiły się chmury jak na burzę ciężkie, a tu i owdzie podszyte niepewnemi lub i całkiem złowrogiemi blaski. Z mgławic tych wyłaniające się cienie zapalały się i gasły, jak zapalają się i gasną ogniki błędne. Inne połyskiwały, jak połyskują próchniejących pni fosfory. Na skroniach tych, co się za Antalkidasa kryli plecami, płonęły hańby pożary. Wszystko kłębiło się ciżbą butną, ruchliwą, niesforną, a każdy pchał się naprzód, w ustawicznem wrzeniu rozterek i niezgód. Dopiero gdzieś, na końcu szarej chmury padały dalekie przedświty, w których brzasku przepływały cienie z pod Lamii i Cheronei.

Ze złowrogiej chmury wyciągały się do Proktusa pokutnicze, błagalne ramiona. Cienie te dźwigały na sobie już tyle łez, krwi i błota! Tyle już na nie padło zaskarżeń i przekleństw! Tylokrotnie opłakany korowód przeciągał przed kratkami sądu potomnych! Klijo raz wraz rozwijała dziejów zwoje, Nemezys stare wywoływała grzechy i zapomniane imiona, a w szalę Temidy rzucane praojców winy, nie zmiejszały, co prawda, ciężącej na potomnych katuszy... Skargi uschły na spalonych od skarg wargach. Łzy skrzepły na wybladłych źrenicach wpatrzonych w beznadziejnej wiekustości kręgi. Ze znużenia omdlałe opadły ramiona.

W Erebie zaległa cisza. Proktus praojców oskarżać będzie, a cisza była tak wielka, że słychać było uderzenie jego serca. Wrzała w nim krew Eupatrydów, krew wielkich i dzielnych, grzesznych a rozgrzeszonych. Niedola całego jego marnego żywota była dziełem ojców jego! Winni ci butni i ci lekkomyślni! Winni! lecz... czemuż to własne sądzić rodzice?... że własne, czuł po serca biciu i aż po grzechach i niedolach własnego żywota...

Podniósł czoło. Jakiebądź będą srogich sędziów wyroki, on, Proktus, sam podźwignie ich brzemię, odpowiedzialności nie zrzuci na przeciężone praojców barki. Niech im ziemia lekką będzie, bo chociaż grzeszyli bardzo, cierpieli i kochali.

W Erebie wielka zapanowała cisza. Cienie stały zdumione, bogowie spoglądali po sobie, do stóp sześcioramiennej tuliły się psy jej gończe. Umilkł Cerberus. Harpje nad długo włosemi głowy ptasie stuliły skrzydła. Węże skostniały w Eumenid rękach, na ich powiekach zaskrzepły łzy rubinowe i tylko het! precz! po za czarną, siedmiopierścienną rzeką rozlegał się głos Wielebnej, na

której imię same przysięgają bogi, a imiona cór jej biły niby hasła w nową rzucane Erę.

Z otchłani wynurzyły się mgławe cienie jasnych i ciemnych, złych i dobrych. Ci nawet, co pod Maratonem, Platejami, u Salaminy wawrzyny zbierali i ci, co gienjusz Hellady wzbili na niedostępne zmianom i pogromom losu wyżyny, w Proktusie rodzonego, chociaż marnotrawnego, uznawali syna. Przez chwilę szala przestała się wahać w Temidy ręku. Klijo śpiesznie po spiżowych tablicach przesuwała rylec. Uśmiechała się Modrooka! Uśmiechały się po przez łzy rzewne boginie i boginki, uśmiechał się sam Prometej, tuląc do zbolałej piersi iskrę niewygasłą... Bogowie z uznaniem pochylili czoło, a sędziowie, z miejsc powstawszy, rzekli:

— Odtąd każdy za własne, tylko odpowiadać będzie grzechy — rzekli i wyroczne zamknęli księgi.

. . . . . .

Na jaką i jak długą karę Proktusa skazali, milczy podanie. Ciężko zawinił, więc i ciężko pokutował, zresztą... było to tak dawno! Było... nie było... To tylko pewne, że jeśliby słońce Hellady nie gasło właśnie na starej Ery skłonach, gienjusz grecki uczciłby w skazańcu synowskiej miłości gwiazdę, tę, co rozświeca mroki i zapładnia popioły. Twierdzą też niektórzy, jakoby dzielny Botsarys z Missolungi był Proktusa spadkobiercą.

Grodno. *Wila Zyndram Kościałkowska.*

Z ETYKI PRAKTYCZNEJ.

Chociaż dużo wyrzekano u nas na rozkładające działanie pesymizmu, ma on jednak swoje dobre strony. Ukazując niezłomną i nielitościwą konsekwencję życia, odsłaniając aż do najskrytszych pobudek grę egoizmów ludzkich, roztwiera on oczy na sposoby utrzymania energji własnej wśród walki o byt. Pewna doza zdrowego pesymizmu w ocenie ludzi uchronić nas może od ważnych błędów, zapobiedz niejednemu rozczarowaniu, zdjąć z oczu kataraktę złudzenia. Chociaż ludzkość postępuje i rozwija się, jest to smutną prawdą, którą wykazał Letourneau w swoim „Rozwoju moralności", że popędy egoistyczne decydują o znakomitej większości czynów ludzi i gromad społecznych. W dzisiejszej dobie moralności merkantylnej, w epoce panowania bezimiennych pieniędzy, wśród szalonego wzrostu działalności przemysłowej, handlowej, wśród potwornych objawów współzawodnictwa — trzeba z należytą ostrożnością oceniać wartość ludzi i stosunków, w jakich działamy. Człowiek, mający zwłaszcza przed sobą zadanie życia, które przekracza zakres zwykłej, mało-odpowiedzialnej pracy, człowiek, który musi działać przez innych i za pomocą innych, powinien bez złudzenia oceniać przymioty i wartość każdego osobnika swego gatunku, który wogóle zachwytu we mnie nie budzi.

Optymizm, skłonny do przypuszczania dodatnich pobudek ludzkich czynów, zbiera często kwaśne owoce tam, gdzie zasiał zdrowe i szlachetne ziarna. Bezwątpienia bez pewnej dozy optymizmu nie byłoby na świecie działaczów podniosłych, którzy, wyrastając po nad płaskość interesów powszednich, chcą zrobić coś dla bratnich gromad małych lub większych, albo dla całej ludzkości. Ale na dnie najszlachetniejszych dążeń i działań, natchnionych miłością bliźniego, przezwaną dziś altruizmem, dadzą się wyśledzić także egoistyczne pobudki. Nawet dodatnia ambicja płynie potroszę z egoizmu, z chęci podniesienia się samego osobnika za pomocą działań korzystnych dla gromady.

Wogóle typem normalnego pod względem etycznym działania jednostek jest zjednoczenie celów osobistych z dobrem ogólnem. Egoizm bywa potężną dźwignią pracy, ambicja ostrogą podniecającą energję, którą same tylko względy dobra bliźnich nie zawsze mogą wytężyć. Wprawdzie chrześćjańska

doktryna „niech nie wie lewica, co czyni prawica“ jest bardzo piękną, wprawdzie są natury idealne i ascetyczne, które dla ludzi gotowe są ponosić największe ofiary, obedrzeć się z resztek mienia, zaprzepaścić własną pomyślność, szczęście i spokój rodziny; ale i wtedy nawet w ich postępowaniu można dotrzeć do pobudek egoistycznych, podyktowanych nadzieją poza ziemskiego szczęścia. Taką zapewne pobudkę na dnie duszy ma Ksieni w „Ascetce“ Orzeszkowej, mówiąc do bohaterki powieści te słowa iście Chrystusowe: „Bądź, siostro, wyrazem miłosierdzia życia, stojącego naprzeciw jego okrucieństwu i od srogiej boleści usiłuj uchronić tych, którzy ci zadali najsroższą boleść“. Taka jednak maksyma dobrą jest dla duszy wyjątkowo szlachetnej, dla takiej, co wedle słów poety: „w ziemskiem nieskalana błocie, natchnieniem mija ścieżki błędu kręte“.

Moralność chrześcijańska w swym podniosłym idealizmie, niezna szkopułów i raf podwodnych sobkowstwa, które jeżą się tak obficie pod falami żywota. Miłuj nieprzyjacioły swoje — to brzmi bardzo wzniośle, ale bardzo niepraktycznie. Dobrze byśmy wyszli, kochając nieprzyjaciół, którzy nas obdzierają nikczemnie ze czci lub mienia, którzy poczciwą pracę obniżają kłamliwie i bezczelnie, którzy dla własnej korzyści nie wahają się krzywdzić nas, rozbijać w proch pracowicie zdobytej lepianki pomyślności!

„Miłujcie nieprzyjacioły swoje“ — tak mógł powiedzieć ten tylko, którego „królestwo nie jest z tego świata“, którego najpiękniejsze hasła obłudnie wywieszają na swych sztandarach najwięksi mordercy ludzkiego szczęścia, wyznawcy religji brutalnej siły, kierownicy wielkich łotrowstw wedle znanego określenia Śgo Augustyna.

W tem znaczeniu pojęty dogmat miłości musi być czczą jedynie formułą, dopóki tylko podłość, gwałt, bezprawie wszelkiego rodzaju będą hydrami wznoszącemi ku górze głowy strojne w blaski ziemskiej wielkości. Najszlachetniejsze serca, największe umysły usprawiedliwiały nawet nienawiść, płynącą z pobudek szlachetnych, nie egoistycznych.

W stosunkach codziennych nienawiść, która wynika z małych osobistych pobudek, może być szpetną, jak rosnąca w rowach wilgotnych pokrzywa. Można zresztą nieczuć złości w sercu dla wrogów swoich, ale nie należy pozwalać, aby się niesłusznie tuczyli naszą krzywdą albo rośli w dumę z naszego poniżenia. Kochać ich? Niech to czyni, kto ma serce zajęcze i brak zupełnie żółci, jak powiada duński królewicz, który był ofiarą podłości i zbrodni. Czy można kochać żmiję, która trującym zębem szarpie stopy nasze, wściekłego wilka, który kły nam zatapia w ciało, czy można kochać ludzi, z których duchowego oblicza przezierają pyski niedźwiedzi, tygrysów lub szakali?

I to prawda jednak, że natury najszlachetniejsze, wyjątkowe odznaczają się przewagą uczuć przyjaznych dla ludzi; natury niższego rzędu żyją często poruszane przeważnie przez popędy nienawistne. Jedną z najniższych odmian moralnych gatunku naszego są tacy ludzie, dla których sobkowstwo jest prawem naczelnem. Dla własnego interesu popełnią oni każdą podłość, łotrowstwo, szwindel, podstawią nogę człowiekowi najzacniejszemu, utuczą się łakomie cudzą krzywdą lub nieszczęściem. Ale są gorsi jeszcze od nich: istnieje inny jeszcze najniższy gatunek dusz małych, robaczych, które lubią szkodzić bez przyczyny, trują dla tego, żeby truć, nawet, gdy im to najmniejszej nie przynosi korzyści. Są natury zawistne, pełzające, które kosem okiem patrzą na cudze szczęście, nie mogą znieść cudzego powodzenia, zielenieją ze złości na widok czoła, strojnego urokiem godności moralnej.

Wrodzona nizkim duszom niechęć do umysłów i charakterów podnio-

ślejszych, w niektórych, co prawda, wyjątkowo złych ludziach potęguje się potwornie, staje się na pozór bezprzyczynową, trwałą siłą niechęci i nienawiści, tlejącą niby siarka w zaduchu podziemnej pieczary. Rozumie się, że na dnie takich natur doszukać się można zboczeń potwornie rozrosłego sobkowstwa i prożności. Widzimy takich chorowicie złych ludzi, czasem nawet obdarzonych inteligencją, wyniesionych na stanowiska przez dziwną ironję losu — widzimy jak rozpościerają się wśród stosunków nienormalnych i niezdrowych.

Niestety, wyznać to trzeba z bólem, że nastrój etyczny społeczeństwa naszego sprzyja raczej rozrostowi i powodzeniu takich ludzi, aniżeli go hamuje. Żyjemy w epoce zaćmienia ideałów i upadku charakterów.

Nie jesteśmy społeczeństwem bez ideałów, zwłaszcza na odleglejszą metę. Owszem szlachetne uczucia krążą w żyłach narodu i wykwitają czasem na jego obliczu rumieńcem. Ale w układzie bieżących spraw i stosunków widzimy objawy indyferentyzmu moralnego i apatji, które nie świadczą o zdrowiu i czerstwości ducha. Hasła pracy organicznej, zwrot ku utylitaryzmowi zrobiły swoje. Dając korzystne owoce, zaprowadziły atmosferę właściwą dobie moralności merkantylnej. Skurczenie dusz ma inne jeszcze przyczyny, takie same, jak skurczenie i zanik mięśni małoczynnych. W stojącej wodzie łatwo się krzewią brudne zielska, powstają zgniłe wyziewy. Walka o byt na szerokiej arenie wymaga odpowiednich wysiłków, szerszego rzutu energji; taka walka, prowadzona w cieśniejszym zakresie, wymaga drobniejszych środków, obiecuje powodzenie w niektórych sferach działania ludziom nizkim lub lichym moralnie i umysłowo. Niepodobna zresztą wskazać dokładnie wszystkich przyczyn, które sprzyjają u nas powiększaniu się moralnego indyferentyzmu, ale to pewna, że jest on jednem z głównych znamion słabości i wyczerpania duchowego naszej doby.

Opinja nasza zwątlała, straciła pod wieloma względami siłę widomego sumienia ogółu.

W sferze zwykłej moralności umiemy jeszcze rzucać klątwy, mamy rzeczywiście nawet pewną dozę rozumnej odporności i rygoru, który nie pozwala się panoszyć bezwstydowi. Ale brak nam często zdrowego entuzjazmu dla ludzi dobrych i szlachetnych, brak bezinteresownego zapału dla dobrej sprawy. Ludzie z charakterem czystym, nieznający kompromisu z lichotą i podłością, mają za mało energji, stanowczości, cofają się w głąb cichego życia. Prawda, że natrętne weredyctwo, rzucające się w oczy z prawdą nieproszoną lub niesłusznym monitem, jest rzeczą w codziennem życiu nieznośną. Ale zbytnia lękliwość, usuwanie się od dawania świadectwa prawdzie i słuszności w razie potrzeby, jest błędem obyczajowym, pomaganiem do wzrostu obłudy i siły fałszu, na których, niestety, opiera się tyle dzisiaj stosunków obyczajowych i społecznych. Mądrze mówi stary Mefistofel do Fausta: „że ludziom na wpół z ciemnością światło przeznaczone“. Prawda bezwzględna jest owem niedocieczonem „słowem“, które było na początku, które jest tak głęboko i tak wysoko, że go do uszu i oczu ludzkich ściągnąć nie podobna. Na codzienną potrzebę ludzkość karmić się musi znaczną ilością prawd względnych a większą jeszcze ilością fałszów i ułud. Wskutek dziwnej ironji losu człowieka fałsze te często bywają pożyteczne, bywają środkami do moralnego doskonalenia się i postępu. Ale są pewne fałsze wstrętne, chociaż mające prawo obiegu, są, co gorsza, pewne fałsze uświęcone przez nałóg bezwładności moralnej, fałsze silne i szanowane pomimo przeświadczenia o ich nicości. Okazywanie im tolerancji jest małoduszną lichotą.

Z rozmaitych przyczyn chwilę dzisiejszą cechuje pewien zamęt i niepo-

rządek moralny, dlatego zapewne, że jest ona dobą zaniku starych ideałów i początkiem dopiero wytworzenia się nowych sił, nowych prądów, które może zmienią układ moralny świata. Ten stan odbija się potrosze w dynamice moralnej naszego społeczeństwa; i przesyca atmosferę naszego życia pewnym duszącym niesmakiem.

W skutek tych i innych przyczyn niema u nas miejsca dla ludzi szerszego oddechu „z piersią na miarę Fidjasza", dla charakterów, idących prosto przed siebie, ufnych w siłę naturalną, gardzących dreptaniem po manowcach albo marnemi sztuczkami. Po za sferą pewnych gałęzi sztuki i literatury, która trzyma jeszcze dosyć wysoko sztandar godności zbiorowej, w najbliższym odłamie społeczeństwa naszego niema miejsca dla błysków potężnej, oryginalnej myśli, dla charakterów czynnych i twórczych w szerszem tego słowa znaczeniu.

Na tronie naszej kultury zasiadła obecnie mierność, która niewiele wymaga i zadowalnia się pospolitemi płodami ducha. W życiu ekonomicznem ta małoduszna pani nie troszczy się o szerszą inicjatywę, o rzutkość przemysłową, o wytwarzanie nowych gałęzi produkcji, o wyzyskanie leżących jak na dłoni dobrych interesów, na których obcy robią krocie. Niech się uda jaka mała spekulacja, jaki lilipuci geszefcik akcyjny, czegóż więcej potrzeba? W dziedzinie naukowej mało wie ona o nielicznych płodach oryginalnych badaczy lub myślicieli, ale zadawalnia się umiarkowaną porcją przekładów dzieł popularnych, streszczeń i artykułów dziennikarskich. W literaturze nadobnej daleko bardziej lubi nowelki, szkice, drobiazgi, aniżeli utwory głębszych i szerszych talentów, które chcą nietylko zająć, ale i zmusić do myślenia.

W sztuce plastycznej zadawalnia się produkcją rzeczy drobnych, pokupnych robót, patrzy obojętnie na brak kompozycji większych i prawdziwie artystycznych. W teatrze forytuje głupią operetkę, lekceważy poważny dramat, lubi rzeczy banalne, sztuki filisterskie o zdawkowym morale, zżyma się czasem na przedstawienia wielkich arcydzieł poezji. Nawet w prassie perjodycznej sprzyja wodnistym gawędziarzom i reporterom, którzy nierzadko udają augurów.

Nic dziwnego, że w świątyni cywilizacji, w której ta mierność jest boginią, uwijają się szybko i rzutnie ludzie, nieprzerastający ulubionej przez nią miary. Wprawdzie są gromadki, kupiące się około innych ołtarzy, na których większe siedzą bogi, ale główna rzesza czcicieli mierności, najruchliwsza, najbardziej głośna, najufniejsza w powodzenie. Z jej gwaru słychać okrzyki: niech żyją sprytni!

Spryt — to u nas wielkie słowo! Na nic wiedza, zdolności, nauka, energja, pracowitość, sumienność, na nic śmiałość przekonań, niepodległość charakteru, gdy niema sprytu. Wielki talent w sferze umysłowej czasami sobie bez niego poradzi, gdyż działa nieprzeparcie, podbijająco. Wielki pieniądz w sferze ekonomicznej ma siłę, więc sam przez się dużo znaczy. Ale można nie mieć ani wielkiego talentu, ani charakteru, ani nadzwyczajnej inteligencji, a z pomocą sprytu pływać szczęśliwie po zwierzchniej fali życia.

Wielką zaprawdę potęgą jest u nas ten najniższy gatunek praktycznego rozumu. Na całym świecie dobrze jest ludziom sprytnym, ale na szerokiej widowni działania spryt może być pomocnikiem drugorzędnym i niewiele zrobi bez rzeczywistej wartości człowieka. U nas tymczasem jest on darem nieocenionym: uczy jak należy chować pod korzec własne przekonania, handlować pokupnym fałszem, jak się wywinąć i podejść, gdzie przejść nie można, jak schlebiać nałogom i przesądom gromad lub silnych jednostek, jak mierność umysłową maskować pozą powagi, jak rzucać w oczy piaskiem frazesów, jak

fuszerkę podnosić do wartości porządnej pracy, jak fałszować opinję dla własnego interesu lub kaprysu, jak zniżać wartość porządnej pracy, jak tandetę sprzedawać za świeży towar w różnych gałęziach produkcji, jak drobnemi zabiegami zdobywać stanowiska, albo nikczemną, krecią robotą obalać uczciwych współzawodników.

Ma się rozumieć, że na scenie życia spryt nie występuje z miną chytrą i krętemi manjerami czarnego charakteru; umie on przewrotność nawet pokryć dobroduszną maską, umie być przyjemnym, eleganckim, wytwornym, albo zwijać się wśród gwaru z ruchliwością giełdowego agenta. Czasem przybiera poważniejsze miny, wierząc tylko w swoje maluczkie *ja*, udaje apostoła cnoty, moralności, prawi z namaszczoną miną komunały, na które się łapią naiwni, okłamani szelestem frazesów. I rośnie to plemię sprytnych pigmejów, włazi na szczudła, udaje olbrzymów bezkarnie, bo nie ma takich, coby je przepędzili „jak Eumenida przez wężowe rózgi".

W sferze artystycznej mamy dosyć nerwowego hyperkrytycyzmu, który roznamiętnia się z powodu drobiazgów. Mamy dość tendencjnej szykany w jednym lub drugiem piśmie, trochę zamaszystego rąbania *quand-même* dla efektu, ale za mało krytyki zdrowej, spokojnej, silnej i trzeźwej, za mało zwłaszcza samo-krytyki społecznej. Wyleczyliśmy się, co prawda, z dawnych panegirycznych skłonności, potrafimy się szarpać i kąsać, gdy idzie o sprawy osobiste, potrafimy prywatą zakwaszać robotę publiczną, rzadko kiedy jednak umiemy sobie, jako społeczeństwo, powiedzieć cierpką ale posilną, prawdę. Podobni jesteśmy czasem do chorego dziecka, które nie umie przełknąć gorzkiego, ale zdrowego lekarstwa. Tłómaczy się to jasno różnemi przyczynami, ale wyjaśniając takie zjawiska, czujemy ich nienormalność społeczną.

Szczególniej nieprzyjemnie uderza u nas bezkarność moralna pewnych sposobów działania, które należałoby słusznie dotknąć karą dyscyplinarną opinji — bezkarność ludzi, którzy nie tracą swej siły, chociaż etycznie i umysłowo są skompromitowani.

W takim nastroju potrzeba siły ducha, poczucia obowiązku, aby nie poddać się apatji i zachować energję do pracy, mającej na celu szersze widoki. Indyferentyzm i apatja nie dają podniety do działania, obcinają skrzydła, wiążą ciężary u nóg i rąk ludzi, którzy mają dość siły, aby żwawiej się ruszać. Najwygodniej zapewne zamknąć się w ciasnem kółku własnych interesów, zadowolnić się pracą dla własnej korzyści, zostawiając zabiegi na szerszych i wpływowych polach tym, co umieją sprytniej na nich się krzątać. Trudno, zaprawdę, ludziom z charakterem czystszym i szlachetniejszym stawać do współzawodnictwa z tymi, co używają lichych środków lub kojarzą zręczność z brakiem moralnych podstaw działania. To bieda również, że charaktery zacniejsze i głębsze w małym stopniu posiadają dar praktyczności i umiejętnego używania godziwych środków walki o byt. Nie umieją one wysuwać się naprzód, szybko zajmować opróżnionych placówek, chwytać w lot powodzenia, wyzyskiwać umiejętnie dogodnych dla siebie momentów, popierać swej wartości pozą i reklamą. Nie mają tej rzutkości, inicjatywy tak potrzebnej wśród trudnych warunków dla zdobycia karjery lub stanowiska. Niejeden wreszcie w obecnych czasach wpada w pesymizm, macha ręką na marny bieg świata i pogrąża się w bezwładności.

Ze stanowiska społecznego taki kwietyzm jest ciężkim grzechem, dezercją z placówki. Nie ma tak ciężkich okoliczności, w którychby czegoś nie można zrobić. Natura ludzka jest dziwnie giętką, umie się przystosować do wielu trudności i braków, umie i może prowadzić walkę o byt w warunkach niemożliwych

dla każdego innego gatunku. Jedną z naczelnych zasad etyki nowszej jest samozachowanie jednostek oraz ich potomstwa i rodzaju. Jeżeli w danych warunkach praca jednostkowa lub zbiorowa może osiągnąć rezultaty połowiczne albo tylko częściowe w stosunku do napięcia swej siły, zawsze to będzie przyrostem korzyści, krokiem rozwoju lub postępu, na który nie zdobędzie się kwietyzm. Nawet w tych razach, gdy robota nie wydaje pozornie żadnych skutków, może być ona środkiem podtrzymania energji lub aktem tej baczności, która nie spuszcza z oka rwącego biegu wypadków, nie chce ominąć pomyślnej dla siebie chwili.

Wobec tego obowiązkiem jest ludzi zdrowych i szlachetniejszych, aby starali się nabywać tych przymiotów praktycznych, któreby pomnażały ich siłę, dając oręż do walki o byt. Im więcej będzie przy robocie sił dodatnich, ludzi, łączących własne dobro z poczuciem szerszych obowiązków, z umiłowaniem szlachetniejszych ideałów, tem lepiej będzie dla społecznego zdrowia, dla podniesienia moralnego poziomu i ukrzepienia samowiedzy. Tacy tylko ludzie mogą ograniczać proces moralnego rozkładu do możliwego minimum, mogą wprowadzać normalny układ różnych stosunków społecznych, dawać przykład i pobudzać sumienie zbiorowe w charakterach stępiałych lub obrosłych tłuszczem sobkowstwa.

Dla swojego więc i ogólnego dobra powinni brać pod uwagę, na czem polega trudna sztuka życia i praktyczna polityka, powinni krzątać się, zabiegać, wyzyskiwać stosunki przyjazne, jednać sobie zwolenników, oceniać wartość ludzi, paraliżować zabiegi intrygantów. Czasami potrzebny bywa w tym celu pewien praktyczny oportunizm, byle tylko nie kłamał prawdzie przekonań, nie abdykował z własnej godności. Potrzebną jest wytrwałość i krytyczny pogląd na życie, który nie pozwoli się zrażać chwilowemi niepowodzeniami, który ze spokojem patrzy na sztucznie wyszrubowaną miernotę, na tryumfy nicości, otrębywanej przez reklamę, lub chwilowo wydętej przez szczęśliwy bieg wypadków. Na każdej niwie szerszego działania potrzeba robotę jednostkową i społeczną prowadzić z poczuciem szerszych obowiązków a zgodnie z nielitościwą logiką życia, trzeba dobrze sobie zdać sprawę z tego, co należy i można zrobić w danych warunkach, obliczać możliwe widoki powodzenia. Nie trzeba dobrej roboty narażać na klęskę działaniem, podjętem niewłaściwie lub nie w porę. Trzeba jednem słowem, aby ludzie głębsi, szlachetni zdobywali pewną sumę przymiotów *praktycznych,* które nie zmniejszą ich wartości idealnej a pomnożą wartość czynną.

Ludzie niepraktyczni mogą być bardzo szanowni, godni podziwu i uwielbienia, mogą zrobić dużo w dziedzinie pracy umysłowej, jeżeli znajdą dla niej przyjazne warunki — ale sami tych warunków nie polepszą, a co więcej, łatwo popełniają mimowoli błędy, szkodzące nietylko ich powodzeniu, ale robocie zbiorowej. Wiadomo, że najlepsi ludzie pokutują czasem za drobne błędy, gdy tymczasem szubrawcom i łotrom uchodzą nieraz ciężkie grzechy. Kwaśny owoc doświadczenia po czasie nie jest pożywny, gdy złe odrobić się nie da. Praktyczna mądrość ma wielu na świecie mentorów, ale nabywa się nie łatwo. Jedynym uniwersytetem, który w niej kształci, jest twarda szkoła doświadczenia. Dobre rady mają czasem znaczenie, ale najczęściej bywają liczmanem, który chce uchodzić za dobrą monetę.

Łatwiej zresztą dostrzedz błędy ludzkie i zboczenia społeczne, aniżeli dać stosowne na nie lekarstwo, łatwiej krytykować, niż wskazać środki poprawy, łatwiej dawać rady, aniżeli świecić przykładem. Terapja bezsilności i błędów społecznych nie może być nigdy doraźną, ale działać musi długo i stopniowo. Moralny rozwój społeczeństwa odbywa się powoli, albowiem siła zachowawcza, tak ko-

rzystna pod względem bijologicznym, dąży do utrwalenia nabytych właściwości osobników i gatunków.

Jeżeli etyczne osłabienie społeczeństwa sięga do głębi jego organizmu, wtenczas choroba moralna się przewleka i ustępuje w miarę nabywania sił nowych, czerpanych z podstaw rodzimego bytu. Ale stany podobne bywają także chwilowe, bywają wynikiem działania przyczyn, nieleżących w naturze wewnętrznej ustroju społecznego. Nasze społeczeństwo ma naturę wrażliwą i giętką, z apatji moralnej łatwo się otrząsa. Zahartowane w szkole doświadczenie może i powinno zużytkować wszystkie swe siły, jakie zużytkować należy w danych warunkach, zachowując jeszcze rezerwowy zapas energji cywilizacyjnej.

Do takiej pracy potrzeba ludzi, łączących charakter z ruchliwością praktyczną. Pokrzepiać ich winna ta myśl, że obowiązkiem naszym jest praca nietylko dla współczesnych, że zasada utrzymania energji przeciąga się poza najbliższą metę chwili obecnej. Dzieje uczą, że działanie wielkiej siły zachowawczej nie słabnie, że wśród ludów wysoko ucywilizowanych coraz większej nabiera trwałości.

Dzisiejsza nauka, głosząc zasadę niezniszczzalności siły, wskazuje, że każde dodatnie usiłowanie, choćby nie miało widocznego skutku, nie ginie marnie, ale pomnaża zasady energji utajonej. Wbrew ponurym wizjom pesymistów trzeźwi myśliciele stawiają ludzkości dobre horoskopy. Pomimo okrutnego i nielitościwego działania praw natury, pomimo przewagi uczuć egoistycznych, wskazują oni na ciągły wzrost lepszości, na siłę altruizmu, rosnącą w ogólnej sumie życia ludów. Jestto jedna z najlepszych zdobyczy wiedzy dzisiejszej, która dostarcza lekarstwa na apatję i kwietyzm. Starajmy się więc o zdrowie ducha, jeżeli chcemy wykazać prawo do bytu. Świat dzisiejszy nie jest dla ospalców, wizjonerów i rozczarowanych, ale dla tych, co mają w sobie żywą wiarę, pragnienie twórczej pracy i bohaterstwo cierpliwości.

Warszawa. *Józef Kotarbiński.*

ROBOTNICA.

Od początku roboczego dnia stanęła odważnie na zagonie. Rzucała ziarno śmiało, ale siew jej był nierówny, ręka niewprawna, kroki niepewne.

Czy więc wytrwa, czy nabędzie zręczności, czy ziarno jej coraz bujniejszem, coraz dorodniejszem się stanie?

Tylu siewców ustaje w drodze z braku sił, z braku ziarna... Zamknięta ich historja nauką zwątpienia być może! Mało takich, którzy w grobie pozostali żywymi. Jeszcze mniej tych, których ręka nabierała stopniowo siły, umiejętności, doświadczenia. Pod wieczór często siali gorzej, niż u słońca wschodu.

Więc co będzie z jej pracą? Czy ziarno jej wszędzie tak bujnie i tak głęboko zapuści korzenie, że go z niwy swojskiej już nic nie wypleni? Jest kobietą i staje do pracy z mniejszym sił zasobem, bo jej siać nie uczono, ani roli jej zagonu nie pogłębiono. Więc się prędko znuży, ziarno jej pozostanie mieszaniną różnych zbóż, a siew nigdy się nie wyrówna... Bo nawet gdy rzucała pierwsze garści, nie zdawała się obdarzoną ani tą siłą, którą człowiek otrzymuje z bożej łaski, ani nie niosła od razu tej gwiazdy na czole, którą gienjusz wrzuca dzieciom do kolebki. Ustanie więc w drodze, albo ją przebiegać będzie do końca niepewnym krokiem.

Siała wciąż wytrwale. Słońce jej dnia w górę się wzbijało, a krok jej stawał się coraz pewniejszym; postać zamiast się zginać pod ciężarem zmęczenia, prostowała się w poczuciu siły i dojrzałości. Gdy zbliżało się południe, ujrzano ze zdziwieniem i niedowierzaniem, że u jej ramion poczęły wyrastać skrzydła, że na jej czole zapalał się powoli płomyk, którego z początku na niem nie dostrzegano. Powątpiewano jeszcze, ale skrzydła rosły, potężniały... światełko na czole prawdziwą gwiazdą się stawało... Ziarno niedorodne pozostawało za nią daleko na zagonie... rzucała teraz bujną złotą pszenicą bez pośladu ni kąkolu...

skarbnica jej widocznie coraz obfitszą się stawała, bo czerpała pełną dłonią, sypała dokoła bez rachunku, jak bogacz... Kroki jej szły ścieżką prosto wytkniętą; oczy patrzały tak trzeźwo i przenikliwie, że zdawały się dostrzegać głąb samą... tę, gdzie jej ziarno miało zapuścić korzenie, ręka wprawiła się tak, że praca jej mistrzowstwem się stawała. A gdy się patrzącym zdawało, że doszła już do ostatecznie możliwego dla niej rozwinięcia skrzydeł, że gwiazda na jej czole daje wszystek blask swój, nagle skrzydła potężniały jeszcze... gwiazda zapalała się światłem żywszem, które nie bladło, ale w swej sile trwało.

Trwa dotąd stale, żywe, spokojne, lejące promienie jasne i ciepłe, a za siejącą zagon już się złoci kłosami, które zbierają wszyscy... Chleb z ziarna jej jest pożywny, zdrowy i piękny. Matka może go podać dziecięciu bez trwogi... nie zbrudzi on rąk jego, ani ust jego wykrzywi niesmakiem... na stole rodziny ulubionym staje się pokarmem. Dzielimy się nim, patrząc z wdzięcznością na zagon, którego plon go nam daje.

Ale właśnie ta różnica dorodności i bujności zboża u początku zagona a u jego środka sprawia, że do składanych przez siewczynię laurów, dorzucamy kwiat mały, skromny, ale może od lauru milszy, kwiat sympatji i przywiązania za to, że do tego, co dał Bóg, z czem ją dziecięciem na świat przysłał, ona dołożyła wytrwałą pracę, wielką siłę woli i wielką energję.

Za talent płacimy podziwem, za pracę — miłością.

Józwów pod Kraśnikiem. *Zofja Kowerska.*

Z LITERATURY DRAMATYCZNEJ.

Ciekawym to i charakterystycznym objawem tak w naszem piśmiennictwie, jak w piśmiennictwie wszystkich narodów, jak mało jest piór kobiecych, które się poświęcają literaturze dramatycznej. W wielu gałęziach literatury nadobnej zpod piór kobiecych wyszły dzieła trwałej wartości, które rozszerzają poczucie piękna i prawdy, są ozdobą piśmiennictwa; wiele z tych dzieł urąga zwycięsko prądom czasu i ma zapewnione zaszczytne miejsce w dziejach literatury, ale na polu dramatycznem żadne nazwisko kobiety w żadnym narodzie nie wybiło się dotąd na wyższe stanowisko, które w dziejach piśmiennictwa niezatarte pozostawia ślady. Naturalnem jest, iż w przeszłości, kiedy charakter i stosunki teatru były inne, kiedy zakres jego działalności był mniejszym, kiedy rozwój jego był ograniczonym, interes, jaki budził, mniej powszechnym, a do tego, jeżeli dodamy i odmienne z wielu względów stanowisko, jakie kobieta zajmowała w społeczeństwie, to może nie trudną będzie do wytłómaczenia ta wstrzemięźliwość, to pomijanie wyjątkowego, rzec można, piśmiennictwa, do którego ani dostęp był łatwym i zachęcającym, ani łatwe w on czas warunki twórcze.

Ale obecnie wszystkie te stosunki zmieniły się stanowczo, teatr obecnie wyłamał się z ciasnego zakresu, jaki miał za czasów Shakespeare'a, lub Moliera, stał się instytucją popularną, zeszedł do mas, jest potrzebą i zajęciem ogółu, budzi interes powszechny, pociągnął ku sobie wszystkie warstwy społeczne, rozszerzył granice swojego wpływu i objął w zakres swój całą szeroką dziedzinę życia społecznego, starając się, nietylko odzwierciadlać to życie, lecz i roztrząsać najwyższe jego zagadnienia. A jednak pomimo tych zmian, pomimo tego rozległego obszaru, na którym twórczość swobodnie bujać może, literatura dramatyczna piór kobiecych nie nęci.

Weźmy na dowód Francją, tę ziemię klasyczną produkcji dramatycznej, której utwory zapełniają wszystkie sceny całego świata, lecz, co ważniejsza, stanowczy wpływ wywierają na piśmiennictwo dramatyczne obecnej epoki.

Od początku tego wieku produkcja tam jest obfitą, jak nigdzie, i ciągłe poszukiwanie nowych kierunków, ciągłe ewolucje, które jeżeli, nie zawsze miały

na celu sztukę i piękno, to świadczą o gorączkowej pracy umysłów, o tej potrzebie ciągłego postępu w dziedzinie twórczości, która granic nie ma.

I ewolucje te były wielce doniosłe i ciekawe. Po klasycyzmie Arnoulta i Kazimierza Delavigne i tej walki dramatu klasycznego z dramatem romantycznym, którego przedstawicielami byli: Wiktor Hugo i Aleksander Dumas, przychodzi następnie dłuższa epoka mieszczańskiej komedji, a raczej panowanie wodwilu, mistrza i niewątpliwie ojca dzisiejszej mechaniki scenicznej Scribego, potem następuje chwilowo Ponsard i jego szkoła zdrowego rozsądku i przepyszne fantazje sceniczne Alfreda Musseta, i targające nerwy szerokiej publiczności melodramata d'Ennerego i farsy pełne śmiechu i prawdziwej galickiej werwy, Lamberta, Thiboust i Labicha, aż w końcu realizm opanowuje scenę, a na jego czele stoją Augier, Dumas syn, Sardou, Berier, Meilhac i Halévy.

I dokoła tej tak znacznej liczby przewódców grupują się, naturalnie, dziesiątki adeptów, tak, iż Francja w bieżącym wieku liczy około czterystu pisarzy dramatycznych i całą bibljotekę dzieł scenicznych; a jednak pośród tej liczby piszących, nazwisk kobiecych zaledwie odszukać można. Zauważyć potrzeba, iż jeżeli jaka gałąź piśmiennictwa we Francji talenta ku sobie pociągnąć może i pociąga, to niewątpliwie teatr.

Wszystko się ku temu składa: i to świetne, staranne wykonanie dzieł scenicznych przez umiejętną reżyserją i odpowiednich artystów, i to zamiłowanie publiczności do teatru, i to powszechne zajęcie, jakie teatr budzi, i ta sława, i popularność, jaką autorowie dramatyczni są otoczeni, a w końcu i te niezwykłe korzyści materjalne, jakie dzieła sceniczne przynoszą.

Autor dramatyczny we Francji zdobywa wszystko, co zdobyć można, bo i sławę i popularność i bogactwo — i to zadowolenie bezpośrednie, które daje wyborne wykonanie swej pracy; a jednak wszystkie te świetne warunki nie są widocznie zdolne silniej przyciągnąć piór kobiecych do sceny, ani obudzić w nich zachęty do współzawodnictwa.

Wyjątki, bo wyjątkiem nazwać to potrzeba, są utwory sceniczne pani George Sand, która jednak sławę swoją nie tym pracom zawdzięcza. Z dwudziestu jej sztuk teatralnych, które napisała, zaledwie kilka, jak Mauprat, François de Champi, Le mariage de Victorine, a szczególniej Le Marquis de Villemer, miały dłuższy trochę żywot sceniczny; kilka utworów pani Girardin nie o wiele były szczęśliwsze, wyjąwszy komedje „Lady Tartuffe“ i „La joie fait peur“, które dzięki popisowym rolom zjawiają się czasem na repertuarze komedji francuskiej. I to wszystko! Na tych dwóch nazwiskach początek i koniec.

I u nas dzieje się nie inaczej, chociaż w ostatnich dziesiątkach lat literatura dramatyczna ożywiła się znacznie, powstał cały szereg pisarzy wybitnych zdolności, którzy pracami swojemi zdołali opanować repertuar scen krajowych i, co nie mniej ważne, potrafili pracami temi wzbudzić zajęcie i uznanie pośród ogółu dla rodzinnej literatury dramatycznej, a równocześnie na rozmaitych niwach piśmiennictwa naszego powstał cały liczny szereg wysoko utalentowanych, a nawet niezwykle wybitnych pierwszorzędnych zdolności kobiecych, które świetne zajęły stanowisko nietylko w naszej, lecz i w powszechnej literaturze.

I znów zapisać można ten sam objaw ciekawy, iż z tego licznego grona piszących kobiet, z grona tylu różnorodnych talentów, ku scenie zwracają się tylko dwa pióra: tylko z pracami pani Mellerowej i pseudonimu Anny z Poradowa na scenach krajowych spotkać się można.

A więc w tem wszystkiem musi być jakaś przyczyna, jest jakiś niewątpliwie dowód, który pióra kobiece do tej abstencji zniewala. Czy usposobienie

duchowe kobiet, czy ich psychiczny nastrój nie odpowiadałby warunkom i istocie utworów dramatycznych?

Teatr wymaga przedewszystkiem jędrnie kreślonych charakterów, szybkiej akcji i żywych dramatycznych sytuacji... Ależ w dziełach naszych powieściopisarek i nowelistek nieraz z tem wszystkiem spotkać się można. Weźmy, naprzykład, prace najdostojniejszej naszej Jubilatki. W jej powieściach spotkać można często charaktery a nawet typy skreślone tak świetnie, iż dopominają się tylko sceny, są sytuacje tak wysoko dramatyczne, iż tylko żywcem przenieść je na deski teatralne.

A więc to nie jest przyczyna, przynajmniej nie jest wyłączna. Czyby szkopułem tutaj miała być dykcja przedewszystkiem zwięzła, charakterystyczna, ta miara, ta wstrzemięźliwość w wypowiedzeniu wszystkiego, ten podział stosowny między słowo a akcję, to wypośrodkowanie odpowiednie między twórczością myśli, a plastyką sceny, czego mistrzami są pisarze dramatyczni francuscy, a co tak często rozstrzyga o powodzeniu sztuki.

Ależ to wszystko niezawodnie, jeżeli jest do pewnego stopnia przymiotem wrodzonym, to również pewno i przez wprawę, praktykę, z-życie się niejako ze sceną, z teatrem, z jego warunkami, nabyć można. Ale ze sceną trzeba żyć, ale teatr trzeba śledzić pilnie, jego mechanizm, jego technikę, jego warunki — trzeba poznać dokładnie te wszystkie tajemnicze sprężyny, te wszelkie subtelne nici, które wiążą ten świat iluzji, który na chwilę dla widzów ma być i powinien być światem rzeczywistości prawdy i życia.

A pod tym względem i sama intuicja nic nie pomoże, nie będzie nigdy wystarczającą. Tutaj, jak w żadnej innej gałęzi piśmiennictwa, trzeba koniecznie poznać, że się tak wyrażę, rzemiosło sztuki.

A czy to właśnie nie jest może powodem najgłówniejszym, dlaczego talenta kobiet z natury swego usposobienia i z wielu istniejących stosunków od piśmiennictwa tego się wstrzymują?

Nie chcę kwestji tej rozstrzygać, bo zbyt jest obszerną, podnoszę tylko fakt, gdyż jest ciekawy i charakterystyczny. A dla nas w znaczeniu, jakie teatr u nas posiada, w doniosłości jego wyjątkowej, czyż to omijanie piśmiennictwa dramatycznego przez znakomite talenty kobiece nie jest stratą i dla piśmiennictwa i dla sceny?

Chłopice pod Jarosławiem. *Władysław hr. Koziebrodzki.*

INDUKCJA A DEDUKCJA.

Do niedawna jeszcze trwał zacięty spór między zwolennikami indukcji a dedukcji. Empiryści, wyprowadzający z doświadczenia całą wiedzę ludzką, uznawali deukcję jako metodę, która w dochodzeniu prawdy, żadnej nie ma wartości i tylko obsłamuca umysły swą formalistyką, mającą pozór głębokości, chociaż w gruncie rzeczy czczą i pustą. Przeciwnie idealiści, przyjmując za źródło wiedzy prawdy a *priori*, zarzucali indukcji brak pewności i utrzymywali, że sama tylko dedukcja jest naturalnym kierunkiem myślenia, doprowadzającym nas do wniosków koniecznych i bezwzględnie prawdziwych. Spór ten obecnie przycichł znacznie, z tem wszystkiem nie zupełnie jeszcze ustał. Do dziś dnia jeszcze dają się słyszeć głosy, które przyznają pierwszeństwo już-to indukcji już dedukcji, powtarzając przytem oklepane argumenty, niczego zgoła nie dowodzące, chyba tego jednego, że wyznawcy wyłącznie jednej tylko z owych dwóch metod o żadnej nie mają dostatecznego pojęcia.

Nie ulega wątpliwości, że tylko indukcja prowadzi do wykrycia nowych prawd, gdyż tylko za jej pomocą możemy dochodzić do uogólnień, obejmujących wszystkie fakty pewnego rodzaju, pomimo, że tylko niektóre z nich bywają zbadane. Kto jednakże gruntownie obeznał się z drogami, jakiemi umysł dochodzi do uogólnień w jakimkolwiekbądź zakresie wiedzy ludzkiej, ten łatwo się przekonał, że indukcja bez dedukcji jest niemożliwą, że bez jej współudziału żadnego kroku zrobić-by nie mogła. Indukcja nie jest prostem gromadzeniem faktów, lecz ich wyjaśnianiem. Wyjaśnianie to polega na wykazaniu ich wzajemnych stosunków do siebie, na wykrywaniu związków z całością przyrody. Badając fakty pewnego rodzaju, nie może umysł zacieśniać się w wyłącznej sferze danej wiadomości, lecz musi czerpać prawdy z innych gałęzi wiedzy; fakty bowiem każdego rodzaju, wiążąc się z innemi, nastręczają względy, do których wyroznmienia dochodzi się przez stosowanie do nich prawd, skąd-inąd zaczer-

pniętych. Kto bada zjawiska życiowe, ten musi dla ich wyjaśnienia uciekać się do uogólnień mechaniki, fizyki i chemji, zastosowując je zapomocą dedukcji do faktów biologicznych, które tylko na tej drodze znajdują zadowalające tłómaczenie; kto pragnie zrozumieć zjawiska duchowe, poznać warunki myślenia, naturę uczucia i zakres woli, ten musi stosować do nich prawdy wykryte przez fizjologję i w ten sposób uzupełniać indukcję dedukcją. Dedukcja nie jest niczem innem, jeno stosowaniem prawd ogólnych do poszczególnych faktów. Za jej pomocą podciągamy fakty pojedyńcze, niezbadane pod ogólne prawdy i w ten sposób rozszerzamy zakres wiedzy. Znaczenie jej nie ogranicza się do samych tylko badań naukowych. Odgrywa ona również ważną rolę w życiu praktycznem. Wszelkie działanie nasze tak w życiu publicznem, jak i prywatnem nie jest niczem innem, jeno stosowaniem prawd ogólnych do szczególnych wypadków. Za pomocą dedukcji znajdują zastosowanie swe w praktyce zasady polityki, ekonomji politycznej, etyki. Na niej nareszcie opieramy się w swych przewidywaniach, wnioskując z tego, co się działo w przeszłości, o tem, co się w przyszłości zdarzyć może. Słowem: tak indukcja, jak i dedukcja, każda w swoim zakresie, jest pożyteczna i konieczna; szkodliwemi stają się one tylko w swej wyłączności.

Lwów. *Władysław Kozłowski.*

ALCHEMJA I SPIRYTYZM.

Gdzie Rzym, gdzie Krym?

Co alchemja, a co spirytyzm? Jaka łączność pomiędzy robieniem złota a wywoływaniem duchów? Zapewne, nie jednoczą się obie te sprawy przedmiotem wspólnym, ani sprzęgają celem pokrewnym; splatają się wszakże jednym węzłem kłamstwa, fałszu, obłędu, a za ten właśnie węzeł razem uchwycić je można. Ilekroć narzuca mi się zagadka: jak to się dziać mogło, że rojenia alchemiczne utrzymywały się przez ciąg stuleci, staje mi przed oczyma spirytyzm dzisiejszy; gdy ze zdumieniem widzę, jak śród pokolenia obecnego szerzą się wierzenia spirytystyczne, na tle dziejów nauki wybija mi się obraz alchemji.

Jako żywo, nikt przecież nigdy nie widział zamiany cyny w srebro, ani srebra w złoto, a pomimo to tak długo budziło ufność i znajdowało wiarę doświadczenie, które się nigdy nie powiodło. I dziś wprawdzie jeszcze napotkać można sądy, że nie wszystko to było błędem i kłamstwem. Tacy przecież mędrcy, tacy potentaci, ludzie nieposzlakowanej prawości, szukali i zdobywali kamień filozoficzny, posiadali tynkturę białą i tynkturę czerwoną, robili projekcje, otrzymywali złoto, transmutację metali widzieli. Coś chyba w tem być musi.

Ale pogląd ten taką ma wartość, jak twierdzenie, że owczarze znają zioła i tajemne ich własności, o jakich nie wiedzą botanicy i lekarze. Środki, które są dziś w naszej mocy, dały nam nad przyrodą władzę, o jakiej marzyć nawet nie mogli alchemicy; stawiamy jej pytania według planu obmyślanego i znaglamy ją do odpowiedzi, przeobrażamy substancje w najrozmaitszy sposób, budujemy związki i rozbijamy je na części składowe, ale przy tych wszystkich zmianach, przeobrażeniach, przeinaczeniach, metale zachowują swą naturę i swój ciężar, ze wszystkich prób wychodzą cało, każdy zostaje czem był. Czy są one rzeczywiście pierwiastkami, czy też stanowią tylko pewne kombinacje, pewne objawy jakiejś substancji pierwotnej, tego nikt teraz nie rozstrzygnie; ale skoro chemik dzisiejszy żadnego metalu rozłożyć nie zdoła, nie mógł go niewątpliwie przetworzyć i alchemik dawny w skromnych i słabych swych operacjach.

Niedołężne tylko, niedokładne, niedostateczne sposoby badania ciał i odróżniania jednych od drugich podtrzymywać mogły wiarę w transmutację metali. Szkła zielone brano za szmaragdy, za pomocą szkieł zabarwionych i emalji naśladowano minerały drogie, już gorzej, już lepiej, pojęcie więc tej możebności rozciągano i do innych ciał. Stopy metaliczne posiadają także własności różne i zbliżają się mniej lub więcej do metali istotnych, za tem poszło wyobrażenie o metalach niedoskonałych i sztucznych, które posiadają barwę, twardość i inne cechy metali naturalnych i doskonałych, chociaż nie dostępują do nich zupełnie. Stopy miedzi, zbliżające się barwą do złota, uważano za przejście do samego złota, trzeba było tylko pewnego uzupełnienia, by otrzymać istotne złoto, złoto naturalne.

Ufność adeptów podsycały poglądy ich teoretyczne, utajone w zawiłości ich określeń i w osłonie ich alegorji; wyodrębniali oni materję od jej własności, które pojmowali jako istoty odrębne, które tedy można było do materji dodawać lub od niej odejmować. Posiadano już bronz barwy złota, trzeba więc było tylko o krok jeszcze postąpić, dodać tę, a ująć inną własność, jedno jeszcze tylko przeprowadzić działanie, by osiągnąć transmutację zupełną. Są to pojęcia różne zgoła od naszych; niemniej wszakże stanowiły one pewną całość logiczną, lubo fantastyczną, opartą na spostrzeżeniach pobieżnych i błędnych; teorje zaś, z któremi wzrastamy, z któremi się oswajamy, lgną do umysłu silnie i ledwie po długich i mozolnych walkach w gruzy się rozsypują, odsłaniając nam widok jaśniejszy. W dziełach hermeutycznych, t. j. alchemicznych, plącze się osobliwa gmatwanina przepisów rzetelnych i pozytywnych co do wyrobu szkieł i stopów z metodami urojonemi o transmutacji metali.

Jeżeli zaś uczeni tak łatwo ulegali pozorom zwodniczym, tem snadniej dawał się ogół łudzić doświadczeniami podstępnemi, a dla oszustów wystarczały środki bardzo proste. Złoto pobielone rtęcią przedstawiali oni jąko srebro lub cynę, po wyżarzeniu zaś, złoto to odzyskiwało oczywiście swą barwę; rtęć obładowana cynkiem i wprowadzona na miedź nadawała jej barwę złota. Ciecze używane do doświadczeń zawierały już w roztworze sole złota i srebra; roztworami temi napajali alchemicy węgiel, proszkowali go i proszku tego używali do projekcji, na przedmioty poddawane transmutacji. Ułudne te doświadczenia zdobywały ufność tem łatwiej, że schlebiały namiętnościom, budząc nadzieje potęgi i bogactw. Tłum dawał się łowić na wędkę łatwowierności, adepci lgnęli do teorji, która im wzrok mroczyła.

Gdy od dawnej alchemji zwracamy się do spirytyzmu dzisiejszego, odnajdujemy w nim też same rysy wybitne. I spirytyzm posiada swe fakty i swe teorje, ma swych adeptów i swych szarlatanów.

Jak alchemja żywotność swą opierała na chciwości ludzkiej, tak spirytyzm potrąca o struny serca naszego, łudząc, że obcują z nami jeszcze ci, co nas już opuścili, a byli nam tak drodzy: są to gmachy na słabościach ducha ludzkiego fundowane.

Coś jednak w tem być musi — mówią nam — przecież spirytyści przytaczają fakty, na które się powołują. A czyż brakło faktów alchemikom?

Ale fakty te były pozorne, ułudne, często kuglarstwa jedynie. Fakt, zapewne, jest to dla nauki skarb wieczny i klejnot drogi, jest to argument nad wszelkie rozumowania mocniejszy; aby wszakże został uznanym, winien być należycie stwierdzonym i zbadanym. Fakty nasze, mówią spirytyści, są zarówno pozytywne, jak obserwacja astronomiczna albo fizyczna. Ależ objaw rzeczywisty dla każdego jest dostępny, doświadczenie fizyczne każdy powtórzyć może.

Jakżeż obok nich mieścić stare bajki, gdzieś wyczytane lub zasłyszane, przywidzenia, marzenia senne. A dowody, świadectwa? Masz, cyganie, świadki? — mam żonę i dziatki.

Ależ, mówią nam jeszcze, są i uczeni głośnego nawet nazwiska, którzy w spirytyzm wierzyli i w szeregach spirytystów stanęli. Argument ten imponuje ogółowi najsilniej, chociaż w istocie rzeczy jest błahy.

Alboż alchemja nie pociągała ku sobie i głów silnych, alboż nie odrywała ich od nauki rzetelnej, która się dokoła niej rozwijała! I uczeni ulegać mogą omyłkom i błędom i wielkie nawet umysły nie są wolne od słabości i ułomności ludzkich.

I nad Platona droższa jest prawda.

A obok tych kilku uczonych, których nazwiskami wojują spirytyści, jakiż zastęp szarlatanów i oszustów! Iluż to już zdemaskowano i schwytano na nędznych podstępach, a co jako cudowne objawy duchów przedstawiali, toż samo kuglarze w budach jarmarcznych potrafią. Z szarlatanizmem splątał się spirytyzm, równie silnie, jak niegdyś alchemja, i to jedna jeszcze między niemi analogja.

Alchemja i spirytyzm nie są to wszakże jedyne nauki kłamane, rzekome, które zdołały sobie zdobyć tłumy stronników. Z przeszłości znów wyziera astrologja, która tak długo przytłumiała astronomję rzetelną; a dziś dziwić się trzeba, jak głos fałszywego proroka pogody i trzęsień ziemi rozlega się i znajduje wiarę, przecząc wszelkiej sumiennej meteorologji.

Na gruzach kłamstwa dawnego nowe się wznosi; gdy się jedno wypleni, drugie wyrasta. Tak było i tak będzie, jak to już odgadł poeta rzymski swojem: „Mundus vult decipi“.

„O gdybyś wiedział, synu mój, jak mało rozumu wystarcza do rządzenia światem — wyrzekł stary kanclerz szwedzki. — A jak wiele kłamstwa nim rządzi!“ — powiemy za nim, na sprawy ludzkie patrząc.

Pociecha wszakże w rezygnacji tylko:

„Mundus vult decipi ... ergo decipiatur“.

Warszawa. *Stanisław Kramsztyk.*

Z TEJ STRONY TATR I Z TAMTEJ.

Znużeni ciężkiem i sztucznem życiem, zdenerwowani, uciekają dziś ludzie, kto tylko może, od zajęć codziennych i powszednich widoków, gdzie ich odmienna natura niezwykłemi nęci urokami. Brzegi mórz i gór podnóża roją się od „letników“. I Tatry coraz silniejszy, magnetyczny wpływ wywierają, coraz więcej ludzi ciągną latem ku sobie. Od południa i od północy zjawiają się i rozszerzają rozmaite „stacje klimatyczne“ a tu i tam całkiem odmienne, inne zwyczaje, inne potrzeby, świat inny.

Od strony węgierskiej Tatry są literalnie obstawione hotelami i zakładami, które zjawiają się niespodzianie i rosną, jak grzyby po deszczu, a wszystkie jeden mają charakter i, jak bliźnięta, podobne są do siebie. Więc przedewszyskiem każdy zakład stosunkowo małą przestrzeń zajmuje, kilka, albo kilkadziesiąt domów większych i mniejszych na wspólne wielu ludzi przeznaczonych mieszkanie, restauracje i kawiarnie. W około tych domów drogi gładkie, równe i oświetlone, nie zapomniano o krokiecie i kręglach; gdzieś blizko wodotrysk i drągi, ozdobione kulami ze szkła zabarwionego. W około wskazane drogi dla blizkich wycieczek — to do strumienia jakiegoś, to do skały, lub większego drzewa. I życie w tych zakładach płynie jednostajnie. Znaczną część dnia spędzają ludzie strojnie, za strojnie ubrani, w kawiarni i restauracji, gdzie im we frakach kelnerzy usługują i cygańska muzyka przygrywa. Czas pozostały schodzi na wycieczkach lub wiejskich zabawach. Wygody i komfortu tu dużo. Dla wygody cisną się ludzie na niewielkiej przestrzeni, dla wygody po hotelach się tłoczą i, uciekając od miast, tworzą sobie nowe miasteczka.

Na północnym stoku zamiast tych licznych zakładów rozsiadło się Zakopane w olbrzymiej dolinie. Ludzie nie po hotelach, ale przeważnie w oddzielnych domach mieszkają i raczej ekscentryczny panuje tu kierunek, bo po całej dolinie rozproszyły się domy dla „gości.“ Stroje tu bez porównania skromniejsze, po kawiarniach i restauracjach mniej ludzi, bo się w domu stołują; dalekie górskie wycieczki stanowią główne zajęcie i główny powab letniego pobytu; wreszcie ogólnej charakterystyki życia podać nie można, bo każdy żyje inaczej, każdy po swojemu.

Zakopane jest jedyną miejscowością na letni odpoczynek przeznaczoną, która na tak wielkiej rozsiadła się przestrzeni i gdzie życie hotelowe tak podrzędną gra rolę; dlatego Zakopane ani dróg wygodnych, ani wygód domowych nie posiada tyle, co inne zakłady i dopóki dzisiejszy charakter swój zachowa, nigdy wygód takich nie zdobędzie. Pominąwszy tę okoliczność, dla bardzo wielu pobyt w Zakopanem bez porównania jest przyjemniejszy, niż w zakładach węgierskich. Inna też klasa ludzi tu, a inna tam lato przepędza, zdaje się, że w węgierskich hotelach osiadają głównie finansiści, których najmniej właśnie widać w Zakopanem.

Ale nietylko rozległość jest przyczyną, że Zakopane mniej ma komfortu i wygód. Zakłady węgierskie są własnością bankierów i banków; Zakopane, wraz z domami dla gości, jest prawie wyłącznie własnością górali. Tamte zakłady przygotowały naprzód wszystko, co ludzi ściągać może, gazda zakopiański, zbierając co rok trochę „papierków", powoli, zbyt powoli, swój dom przyozdabia i w wygody zaopatruje.

Łatwo zrozumieć, jak rozmaicie oddziaływać muszą te rozmaite zakłady na lud okoliczny. W miejscowościach węgierskich kupiec, restaurator, kelner, wszyscy od właściciela zależą, jemu się opłacają, to wszystko mieszczanie, którzy z procederem swoim przenieśli się na lato do stacji klimatycznej. Lud słowacki, furmani, prowadzi na wycieczki, niektórych produktów dostarcza i wogóle bardzo podrzędną gra rolę. Wewnętrz zakładu nie widać górala; zbliża się do kraty hotelu i czeka pokornie na wezwanie, na wschodach czapkę zdejmuje, a w sali restauracyjnej wyobrazić go sobie nie można.

W Zakopanem zupełnie inaczej stosunki się ułożyły. Tam domy dla gości stoją tuż obok chat góralskich i jak stacja klimatyczna z wsią się zmieszała, tak goście z góralami przez letnie miesiące do pewnego stopnia wspólne prowadzą życie. Góral wchodzi do domu śmiało, siada i rozmawia; w wycieczkach pomiędzy turystami a przewodnikami zawiązują się węzły towarzyskie. Z wielkim taktem umieli górale utrafić we właściwy stosunek, jaki ich z gośćmi łączyć powinien; są zarazem usłużni i niezależni i godność swoją zachować umieją.

Wygoda stanowi dziś bożyszcze dla wielu, prawie dla wszystkich, i Zakopane pomyśleć o niej musi. Wielu widziałoby najchętniej zmianę Zakopanego na zakład o schematycznym, zwykłym charakterze stacji klimatycznych, to jest zmianę życia domkowego na hotelowe i ograniczenie zakładu do niewielkiej przestrzeni. Przez zamianę taką Zakopane straciłoby właściwy sobie urok, a lud miejscowy straciłby podwójnie, bo i dochody najważniejsze przeszłyby do rąk przedsiębiorców i, co gorsza, podrzędne stanowisko na charakter ich mogłoby ujemnie oddziaływać.

Jeżeli Zakopane ma swe dotychczasowe oryginalne zachować cechy, jeżeli Tatry mają być nadal źródłem dochodu wyłącznie, czy przeważnie dla górali, jeżeli lud tatrzański, tak zdolny, tak odrębny i tak sympatyczny, nie ma się zmienić w pokornych i nieśmiałych posługaczy, jak ich blizcy od południa sąsiedzi, to górale sami powinni wszystkie, od najwyższych do najniższych, zająć posterunki. Ale tego wszystkiego nauczyć się muszą, i to nie u siebie w domu, jeno po wielkich miastach, i muszą własne zebrać kapitały, lub się o nie postarać.

Górale i ich najbliżsi doradcy powinni to wziąć na uwagę, bo w przeciwnym razie, ze szkodą dla nich i dla dzisiejszego Zakopanego wyręczą ich inni.

Warszawa. *Zygmunt Kramsztyk.*

GAWĘDA STAREGO KSIĘGARZA.

Znikają zwolna z widowni ulicznej Warszawy charakterystyczne typy handlarzy starych książek, którym, niezdarnie malowane szyldy nad drzwiami ciemnych i brudnych sklepików szumne *antykwarjuszów* nadawały miano.

Jeszcze niezbyt dawno temu główny handel staremi książkami ogniskował się w Warszawie, bądź w zwalonych murach dawnego Teatru Narodowego, przy placu Krasińskich, lub też na ulicy Nowiniarskiej, gdzie rzędem obok siebie, mieściły się przed laty owe trupiarnie twórczości ludzkiej, nęcąc ku sobie uczniów szkół publicznych nadzieją pozbycia się, za kilkanaście groszy starych podręczników szkolnych, i kusząc amatorów — zbieraczy zawsze zawodną żądzą odnalezienia jakiego białego, lub też na biało ufarbowanego, kruka bibliotecznego.

Powoli, owe Ghetto książkowe, zaczęło niknąć w oczach żyjących bibljomanów. Na dawnem targowisku pozostały zaledwie okruchy antykwarskich składów, a ożywiony ongi handel zadrukowaną bibułą rozlał się po innych zaułkach miasta, utraciwszy z czasem charakterystyczną swoją cechę.

Wiedziony przyzwyczajeniem i tradycją lat młodości, lubię niekiedy zaglądać do owych sklepików księgarskich, nęcących wzrok przechodnia wystawą kilku zbrukanych tomików *Rinaldinicgo*, *Izabelli hiszpańskiej* i *Czterdziestu Zbójców*.

Przebierając między papierzyskami staremi, odnajduję czasami głośniejszego ongi, a dziś już zupełnie zapomnianego autora i przypominają mi się tutaj na widok nierozciętych kartek jakiej broszury, fakta i okoliczności z lat dawnych, które owym drukom dały życie, a o których dzisiaj nikt już nie pamięta.

Najbardziej wszakże w owych wędrówkach bez celu zajmującym widokiem są typy właścicieli owej starzyzny, ludzi, nieposiadających częstokroć pierwszych nocji liter alfabetu, a mimo to, oceniających instynktowo wartość książek, często według ilości kartek, gatunku papieru i ornamentacji okładek.

Z rozmów z takiego gatunku znawcami książek niewiele dowiedzieć się można; a jednak zdarzyło się, że gawęda przygodna z jednym z takich antykwarjuszów obudziła we mnie wiele wspomnień z lat ubiegłych i nasunęła uwagi o znikomości owych prądów upodobań umysłowych ludzkich, które żywiąc daną karmią pewne pokolenie, giną w otchłani niepamięci, aby ustąpić miejsca innym, również jak i poprzednie, znikomym.

— Widzi tu pan przed sobą stosy książek, — mówił do mnie ów antykwarjusz — mózg ludzki wysilał się na ich utworzenie. Dawały one przez czas jakiś utrzymanie księgarzom, a może i autorom ... a dziś nikt się o nie nie pyta... Idą koleją czasu na masło, o ile ich papier nie jest sztywny, lub na makulaturę, o ile szczęśliwym wypadkiem można z nich tworzyć arkusze formatu większego.

Przewinęło się przez moje ręce dużo, dużo książek. Zapełniają one wszystkie kąty mego sklepu, a wszystko to próżny ciężar, którego pozbyć się trudno.

Spójrz pan na te górne półki. Stoją tam defekta rozmaitych tomów *Tysiąca i jednej nocy*. Świetne to były czasy dla księgarzy, gdy mali studenci łapczywie domagali się tych bajek. Brało się po kilkanaście groszy od przeczytania tomu jednego, a taki obrót nieustanny dawał na życie całej rodzinie, przez długie lata. Nastały potem czasy *Dumasa* i *Eugeniusza Sue*. Prawdziwe to było żniwo dla księgarzy! Zaczytywano się owemi romansami. Nikt innej książki nie brał do ręki, tylko *Monte Christo* i *Muszkieterów*. Sam płaciłem po kilkanaście złotych za tłómaczenie tych dzieł, a wszystko mi się opłacało. I trwało to przez parę lat dziesiątków, aż tu naraz nazwiska: *Kraszewskiego*, *Korzeniowskiego*, *Kaczkowskiego*, *Rzewuskiego* i *Chodźki* i wielu innych zaczęły wypierać romanse francuskie i długie lata nie słyszało się nic innego w księgarni, tylko: Masz pan *Dziwadła? Poetę i świat? Powieść bez tytułu? Murdeliona? Listopad?*

Musiałem wszystkich *Żydów wiecznych tułaczy* i *Muszkieterów* zapakować na górne półki i postawić w ich miejsce ulubionych autorów polskich. Za nimi poszli nudni bardzo, ale bardzo poszukiwani, pisarze *dziejów krajowych* i rozmaite zbiory wypisów ze starych książek, których może ludzie nie czytali, ale które kupowali do swoich bibljotek.

Taki np. *Bartoszewicz*, *Maciejowski* i *Wójcicki* stosy całe zapisali, zanim ich *Szajnocha* wyparł ze stanowiska.

Ale młodzież ma zmienne gusta. Ni stąd, ni zowąd zaczęła się bawić w poezje i natarczywie domagać gawęd wierszowanych. Co kilka miesięcy ukazywały się gawędy *Syrokomli*, a szło to wszystko na wagę złota. Kto u nas dostał przypadkiem *Margiera*, albo *Dęboroga*, albo Improwizacje *Deotymy*, ten uważał się za bogacza między antykwarjuszami. A kiedy pojawił się Wincenty Pol z *Przygodami Winnickiego*, *Mohortem* i *Stryjanką* trzeba było znowu Syrokomlę na wyższe przetransportować półki. Trwało to czas jakiś, gdy znowu młodzież zaczęła tęsknić za *Mickiewiczem* i *Słowackim*, zaczęła domagać się *Przedświtu* i wzbogacać lipskich księgarzy, którzy bez pytania drukowali dzieła polskich pisarzy.

Nagle, ni stąd ni zowąd, rozwielmożniło się na bruku warszawskim gazeciarstwo i tygodniki, a te ostatnie zaczęły wymyślać od idjotów na tych, co się czytaniem rymów zajmowali... W kąt poszli wszyscy bajarze, co się w przeszłości grzebali. Nazywano ich niedołęgami i watowanemi mózgownicami... Trzeba było na strych wypędzić wszystkich staruszków i prosić natomiast w gościnę *naturalistów*, *pozytywistów*, *Darwinistów* w towarzystwie jakiegoś *Bucklea*, który najbardziej między umysłami młodzieży hałasował.

Zaczęła się powódź książek *o wodzie, o powietrzu, o ruchu, o energji, o lodowcach*... W książkach liter już nie znajdywałeś, tylko same cyfry, a cyfry, aż się w oczach ćmiło... Wszystko to było arcynudne, ale ludzie mówili, że to bardzo uczone, i kto Darwina nie czyta, ten nie ma prawa głosu.

Dzienniki i broszury tak zaczęły zalewać mózgi artykułami uczonemi i polemikami z jakimś *obozem starych*, żem już na prawdę zaczął myśleć o obróceniu całego kramu na makulaturę i o utworzeniu składu numerów *Przeglądu Tygodniowego* i umiłowanej przez młodzież *Prawdy*.

Nie sądź pan, aby i ten gust trwał długo. Powieść znowu do tego stopnia zawładnęła rynkiem księgarskim, że dziś już ludzie naukowych dzieł po polsku pisanych, ani nie tworzą, ani nie kupują.

Sienkiewicz, *Okoński* i *Orzeszkowa* stali się panami placu, ale i ich wyrugował zastęp więcej, lub mniej utalentowanych kobiet, piszących nowelle i powieści, które ludzie bardzo chciwie czytają i chętnie kupują. To, proszę pana, zupełnie nowy zwrot w literaturze, choć, jeśli mam prawdę powiedzieć, to *Orzeszkową* niesłusznie do kobiecych piór zaliczają, bo to umysł zupełnie męzki...

Warszawa. *Alexander Kraushar.*

Z DUMAŃ.

Bezbolesność — to piekło boleści.

Zyg. Krasiński.

...Uczucia nasze i czyny, a nawet wzruszenia, są prostem złudzeniem serca i umysłów i dopiero, gdy usuwają się w głąb' przeszłości, stając się przedmiotem myśli i wspomnień, nabierają dla nas konturów ścisłych, barw określonych i gorących, kształtów jasnych i wypukłych — rzeczywistości. A chociaż życie goni za nowem źniwem wrażeń i złudzeń, człowiek nie upaja się rozkoszą dni teraźniejszych, ani przywdziewa żałoby po świeżo rozwianych snach i wierzeniach, lecz nurza się, z uporczywą a gorzką namiętnością w przezroczej otchłani wspomnienia, kędy roją się — w żywe formy wcielone, wszystkie jego marzenia, sny, prace i miłości, kędy, w gorączkowym zamęcie, snują się wyraziste i barwne, zniszczone jego nadzieje i podeptane ideały, przytulone do serca nędze i rzucone na wiatr z bezsilnych lotów skrzydła, kędy groby, zimnym głazem przywalone, wznoszą się obok łąk, wiosennemi fiołkami umajonych, a niewidzialne chóry serafinów i demonów zawodzą na przemian hymny niebiańskiej litości i wrzawę piekielnego szyderstwa...

Życie płynie wartkim biegiem, a człowiek chwyta z przeszłości echa wielkich rozkoszy, które w nim tęsknotę jedynie wzbudzają, lub wspomnienia wielkich cierpień, które mu obecny stan spokoju mącą. Żal, co się wżłobił w duszę, nierównie jest zjadliwszy od boleści, która nam na razie łzy wyciska, a szczęście, spotęgowane siłą i czarem drobiazgowej analizy, rozgrzewa nas wyższem nad chwilowe zachwyty upojeniem.

Ale wśród hałaśliwej i natrętnej rzeszy wspomnień istnieje jedno, które nigdy żalu za sobą nie wywołuje, ani nam chwil spokoju nie zakłóca; jest to pamięć wyświadczonego dobra, które nam się na złe obróciło, pamięć niwy ziarnem szlachetnym obsianej, która nam kamienie wydała; bo gdy nam serce bije żywszem tętnem na myśl o spełnionym obowiązku, o podjętej pracy spo-

łecznej, o oddanej komuś najlepszej cząstce naszej istoty, łzą krwawą natomiast nabiega źrenica z żalu nad zmarnowanemi i zbezczeszczonemi uczuciami i czynami naszemi. Ból niszczy widzenia szczęścia i zadowolenia, rozkosz zagłusza cierpienie, i w tej przelotnej teraźniejszości, która się przemyka, niepochwytna, między czarodziejskim światem wspomnień, a ciemną i nieodgadnioną przyszłością, ginie w bezbolesnem zapomnieniu — święta ofiara miłości — nieprzyjęta lub zdeptana.

A jednak dla tych nawet, co stąpają po drodze życia, już bez pragnień i nadziei, z sercem poddanem pod najcichsze, najpokorniejsze obowiązki, chwile, które nie zostawiają wspomnień żadnych, są może najcięższe, bo wtedy, jak mówi poeta nasz, serce staje się „trumną bezdenną...“

...Kędy nie mieszka już siła
Dawnych przywiązań — i najgorzej rani
Mnie, że ran dawnych nie ma w tej otchłani.

Warszawa. *Jadwiga Krausharowa.*

DOBRA CÓRKA.

...Wszedłem. Ubogie wnętrze pokoju było przybrane świątecznie mnóstwem zieleni i kwiatów. W blaskach świec i dużej lampy, płonącej na środku, lśniały bronzy staroświeckich mebli i złocone ramy portretów rodzinnych. Surowe, poważne oblicza naddziadów zdawały się dzisiaj uśmiechać pogodnie. Portrety te i kilka staroświeckich zabytków to były jedyne pozostałości dawnych, lepszych czasów. Zresztą nie zostało nic... prócz dobrego wspomnienia u ludzi poczciwych...

Głowa domu, podpora rodziny — ojciec — umarł oddawna. Zawikłanym interesom nie mogła podołać wdowa. Klęska spadała po klęsce, aż wreszcie przyszła ostatnia: choroba matki, paraliż, który pozbawił ją władzy, a nawet odjął jej mowę. Na czele domu, na czele licznego rodzeństwa została najstarsza córka — Klara. Była wówczas piękną nad wyraz. Wysoka, smukła jej postać miała dziwną powagę. Z jej dużych, ciemnych oczu patrzyła rozumna dusza. I była taką istotnie. A prócz rozumu, prócz niezwykłych zdolności i talentu, miałą ową poświęceń siłę, która wszelkim opiera się ciosom.

Mogła zostawić za sobą to ubóstwo, przekroczyć próg nędznego dworku i pójść w świat za szczęściem; sposobności nie brakło, czekała ją świetna karjera artystyczna za granicą. Ale potrzeba było odstąpić matkę, opuścić rodzeństwo, które domagało się wychowania, kierunku, opieki...

Klara odrzuciła wszystko, wyrzekła się obcych hołdów i sławy, a została na czele rodziny swej, w ubóstwie; i była odtąd piastunką, nauczycielką tej gromadki, która, dziś już dorosła, skupiała się w koło niej, w hołdzie uwielbienia i wdzięczności. Było to bowiem święto Klary, obchód jej imienin.

Wszedłem i spojrzałem na nią. Stała obok matki, spoczywającej nieruchomo w głębi fotela. Na jej czole białem i jak marmur gładkiem snuła się myśl smutna a głęboka. W oczach, zawsze pięknych, lśniła jakby łza — rzewne wspomnienie minionej przeszłości, a usta uśmiech rozchylał; uśmiech rezygnacj

spokojnej, odblask wewnętrznego zadowolenia, że twardy obowiązek spełniony... Postać jej wyniosła, poważna nosiła odważnie brzemię trosk i trudów, które zaledwie gdzieniegdzie nitką srebrną przeplotły jej bujne włosy.

W podziwie patrzyłem na nią. Cała gromadka jej rodzeństwa, wychowanego przez nią, wypielęgnowanego jej słowem żywem, zbliżała się teraz ku niej, przynosząc jej życzenia i wyrazy hołdu. To wszystko, co przynieść mogła. Klara przyjmowała je serdecznie, z tym zawsze pogodnym na ustach uśmiechem, który zdawał się opromieniać ją całą. Od czasu do czasu zwracała się ku matce chorej, jakby te wszystkie życzenia i słowa wdzięczności odnosiła ku niej i jej oddać chciała.

A biedna matka zdawała się także odzywać w tej chwili. Z trudnością dźwigała głowę i załzawionemi oczyma spoglądała na dobrą córkę. Wyrazy błogosławieństwa wybiegały na jej usta i skrępowane — milkły; drżąca, znieczulona ręka podnosiła się nieco i niewyraźnie kreśliła krzyż na pochylonem czole Klary.

Uroczysta cisza zaległa. Wszyscy obecni potłumili oddech w piersi. A mnie się zdało, że w tym momencie, na wezwanie tej matki, straszną niemocą dotkniętej, schodził anioł z nieba i przynosił dobrej córce najwyższą pociechę i pokrzepienie; zdało mi się, że słyszę szelest anielskich skrzydeł, które swym orzeźwiającym powiewem trącały struny lutni eolskiej — przynosiły echo rozkosznych pieśni... Zdało mi się, że w tej chwili blaski świec spłynęły w jeden olbrzymi płomień, który to ubogie mieszkanie czynił ogniskiem wszelkich dobrych wierzeń, wszelkich nadziei niezłudnych, wszelkich miłości świętych... Zdało mi się, że z tych ścian ciasnych wypływają strugi ożywczego światła na zewnątrz i rozlewają się daleko... daleko na pokolenia i czasy odległe.

Złudzenie pierzchło, ale zrozumiałem wówczas zadanie pracy i poświęceń człowieka.

Klara zbliżyła się do mnie i podała mi rękę.

— Dziękuję, żeś przyszedł — przemówiła — Nie zgadzałeś się nieraz ze mną, a przyszedłeś...

— I wzruszenia potłumić nie mogę... — przemówiłem. Mogłem być innych przekonań, nie zgadzać się czasem na szczegóły, na jakiś kierunek pracy, ale hołd składam poświęceniu, wielkim zdolnościom, zacnemu sercu i myśli głębokiej... Uznaję pracę życia zmudną, ciężką, a wynagrodzoną tak mało...

Klara przerwała mi gestem. Wskazała na matkę, która, widocznie w dniu tym silniejsza, dźwigała ku niej niemocne swe dłonie.

— Oto moja nagroda!... szepnęła odchodząc.

Opuszczałem ubogi dworek z bijącem mocno sercem. Na progu obróciłem się jeszcze i w dali, na tle zieleni i kwiatów, w jaskrawych świec blaskach, ujrzałem dwie postacie: schorzałą matkę, patrzącą przed siebie zamglonemi łzawo oczyma, i dobrą córkę, klęczącą przy niej, ze wzrokiem utkwionym w oblicze ukochanej.

Dosłyszałem, jak pochylona ku matce, wymawiała z cicha słowa najszczytniejszej modlitwy:

— Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech!

Lwów. *Adam Krechowiecki.*

HISTORJA A LINGWISTYKA.

Od wieków umysł ludzki, w rozmyślaniu nad licznemi zagadnieniami życia człowieka, usiłował także zdjąć i tę grubą zasłonę, dla której nietylko początek człowieka, ale i stan pierwotnej kultury ludzkiej przedstawia się ciemnym, w szczegółach mało zrozumiałym i niedokładnym. Dla skrzesania i w tej dziedzinie badań jakiej takiej iskierki wiedzy, dla oświetlenia tak ciemnego a tak odległego okresu przedhistorycznego życia ludzkiego, człowiek myślący stosował dotychczas metodę badania indukcyjnego, i w dalszym ciągu indukcję swej myśli zasila wszelkiemi materjałami, jakie na tem cmentarzysku przeszłości, przysypanem grubemi warstwami stuleci, odnaleźć mu się udaje.

Ze wszystkich jednak przedmiotów, jako świadectw niewątpliwych życia i pewnego stopnia kultury ludzkiej, do najwiarogodniejszych i zarazem najwymowniejszych należy język, owo nad wyraz dzielne, rzec można, cudowne narzędzie ducha ludzkiego. Oczywista, iż język istnieje o tyle, o ile żyją osobniki nim mówiące, nim się posługujące; a zmienia się również ze zmianą czasu, okoliczności i stopnia cywilizacji. Ta nierozerwalna łączność języka z narodem, ten stały charakter każdego języka, jako atrybutu życia narodu, tym językiem mówiącego, upoważniają do wniosku, że w wyrazach danego języka zawarte są świadectwa praktyki życiowej jego przedstawicieli, że pod tą zewnętrzną szatą języka ukryte są wymowne kroniki tegoż życia, że zatem w języku odzwierciedla się w znacznym stopniu życie narodu i jego cywilizacja. Z niemniejszą słusznością rzec można, że każdy lingwista, każdy badacz języków jest zarazem badaczem cywilizacji człowieka.

Badania porównawcze języków rozmaitych narodów zdobyły już dla wiedzy historycznej i antropologicznej niejedną prawdę, rozjaśniającą zacieniony wiekową pomroką obraz pierwotny życia ludzkiego. Dość wspomnieć, że badania te dowiodły blizkiego pokrewieństwa wielu tak różniących się dziś od siebie plemion i ludów, wykazując wspólne ich przed wiekami pochodzenie. Tymto badaniom zawdzięczamy pewnik, że takie gromady ludzkie, jak: indyjska, zendzka,

armeńska, grecka, łacińska, litewska, słowiańska, germańska i celtycka mają wspólny początek, jakby jednorodne ze wspólnego pnia wyrosłe konary. Dziś wiemy, że wszystkie te ludy jednoszczepowe, zwane indoeuropejskiemi, miały jedną wspólną kolebkę i, jako członkowie jednej rodziny, jednej wspólnej używały mowy. Oczywiście, istnienie tego prastarego ludu, tej wspólnej macierzy indoeuropejskiej, odnosi się do zamierzchłej starożytności, stojącej poza granicami wszelkiej tradycji historycznej, czyli, jak się zwykło mówić, do epoki przedhistorycznej. A jednak o ludzie tym, o tem społeczeństwie, o jego rozwoju umysłowem, o jego kulturze posiadamy pewne dokładne wiadomości.

Zawdzięczamy zaś tę wiedzę lingwistyce porównawczej. Jakoż, badania porównawcze języków należących do jednego szczepu, dokonane przy pomocy ścisłej metody naukowej, doprowadzają nas do wykrycia pewnej ilości wyrazów, w jakie obfitował ten pierwotny język indoeuropejski. Doszedłszy do tych wyrazów i zebrawszy ich znaczenia, mamy jednocześnie odpowiedni zakres pojęć i wyobrażeń, właściwych owemu narodowi pierwotnemu. Z materjału zaś tego jesteśmy w możności utworzyć zarys stanu umysłowego, moralnego i społecznego tegoż narodu; zarys może niezupełny, któremu nawet zbywać może na niejednym rysie charakterystycznym, ale zato w przedstawionych szczegółach oparty na faktach językowych, dowiedzionych, niewątpliwych. Drogą takiego badania osiągnąć się dały, między innemi, następujące np. pewniki.

Ów naród pierwotny miał *rodzinę* i w niej odróżniał członków pojedyńczych i różne stopnie pokrewieństwa; dowodzą tego wyrazy na oznaczenie pojęcia *ojca*, jako obrońcy i pana, we wszystkich prawie językach indoeuropejskich, wyrazy na oddanie pojęć: *matki, syna, córki, brata, siostry, świekry, dziewierza, wdowy* i innych. Rodziny te żyły *w domach* i wiodły w nich życie osiadłe; domy opatrzonę były drzwiami. Tenże naród miał pojęcie własności, zajmował się chowem *bydła*, jak tego dowodzą nazwy wołu, krowy, konia, owcy, świni, kozy, gęsi, psa itd.

Użycie *miodu* znane było wśród niego powszechnie. Obsiewał pola, *uprawiał rolę*, zbierał zboże, przerabiał je na mąkę, wyrabiał chleb, używał ognia itp. Prócz tego lud ten oddawał cześć *bóstwom*, przedewszystkiem światłu i niebu. Liczył systemem dziesiątkowym, czego dowodzą *nazwy liczb* od 1 do 10-ciu. Takie i tym podobne fakta oparte są na dowodach niewątpliwych, jakich lingwiście dostarcza archiwum językowe owego nieznanego ludu pierwotnego.

Jeżeli przyblakłe wśród wieków przesądy, bezkształtne rzeźby kamienne, różne narzędzia krzemienne i wyroby kościane przedstawiają dla umysłu badawczego cenne środki, przy których pomocy może on już zapuszczać się w ciemną głębinę historji człowieka, to materjały, zaczerpnięte z języka, nietylko nie ustępują tamtym pod względem wartości naukowej, ale je znacznie przewyższają; cenniejszemi są zaś dlatego, że dostarczają faktów z historji człowieka znacznie dawniejszej, z epoki, która wszelkie inne wynalazki poprzedziła. Zadaniem nauki jest skrzętne zbieranie tego materjału, rozpatrywanie jego i należyte grupowanie, aby z czasem, drogą takiej pracowitej indukcji można było dokładnie skreślić pierwszą kartę historji cywilizacji człowieka.

Warszawa. *Adam Antoni Kryński.*

SALTARELLO.

W czasach, gdy literaturę nawołują do wesołości, trochę nieliterackiego smutku; na słowicze trele — zgrzyty: złoży się harmonja. A zgrzytów nie braknie: niedoli wszystkich nie zliczyć, smutkom się nie opędzić. Od wieków już wije się szlachetniejsza cząstka ludzkości w myślach i cierpieniach nad światem, od wieków wytwarza doskonalszą formę dla lepszej treści i szuka doskonalszej treści dla lepszej formy, i od wieków rozbija się o to właśnie, co ukochała, co podnieść, rozpromienić, zbawić by pragnęła. Na obszarach bytu ogólnego ciągłe mroki i jęki, i szczęśliwymi są tylko ciemiężcy i głupcy. Droga myśli przez ten świat krzyżową jest drogą. Ile wycierpieć musi rozum w mocowaniu się z ciemnotą, nędzą i występkiem, z tą trwałą rzeczywistością świata — pojąć mogą i odczuć tylko ci, którzy młodości swojej nie spędzili w pasterskiej Arkadji osobistego szczęścia, ale duszy młodej zostawili boską jej swobodę: pozwalali jej rwać się do słońca prawdy i sprawiedliwości, a po znoju odpoczywać pod gwiaździstem niebem ideałów, wyższych jeszcze nad prawdę i sprawiedliwość. Myślenie takie to męczeństwo, tem sroższe, im większą niemotą artystyczną dotknięte, bo sztuka męki nawet na rozkosze przetwarzać umie — to jej *sztuka*.

Wiek dzisiejszy jest od poprzedników swych nieszczęśliwszym, bo ma więcej światłości i prawdy w umysłach, dotkliwiej zatem odczuwa ciemnotę i fałsz w rzeczywistości gnębiącej umysł. Im więcej dostrzega człowiek tego dobra, które być by mogło, a nie jest, tem jaśniej też widzi przekleństwo własnej swej natury. Ta natura staje się dla niego palącą Dejaniry koszulą. Zadanie postępu w doskonałości, nie rozum dziś formułuje, ale rozpacz. Umysły błądzą w zaklętem kole: do nowej treści potrzeba nowej formy, a formy nowej nie będzie bez nowej treści — i tak wiecznie: brak zawsze jednej danej do wynalezienia niewiadomej, która może być dopiero wypadkową wszystkich.

Gdybyż myśl mędrca mogła być wprost już twórczą formą rzeczywistości! Ale formę taką z człowieka tylko brać można: bez człowieka pełnego, żywego, żyjącego — nic. Człowiek-myśl potyka się wiekuiście o człowieka-rzeczy-

wistość; marzenie szuka materji i siły. Temu, kto tylu odkryć i wynalazków już dokonał, najtrudniej jest odkryć samego siebie.

Kto go ma szukać, tego człowieka przyszłości? Uczony, filozof, statysta, polityk gabinetowy, państwowiec, któremu idzie tylko o podatki i zewnętrzny policyjny porządek? Zanim nauka lub filozofja działać zacznie, człowiek stoi już gotowy, w latach i żądzach swoich już dojrzały. Trzeba dojrzałość uprzedzić. Tylko praca nad młodością może nie opłacić się goryczą i zwątpieniem, ale praca rzetelna, nie ta, co się dziś wychowaniem rodu ludzkiego nazywa. Nie ma bardziej lekceważonego i zaniedbanego zadania, nie ma sprawy okrutniej na wichry losu puszczonej, nad dzisiejsze wychowanie: nadęta blaga, pijana gnuśność lub grzeszne krótkowidztwo. O trzodę chlewną, o woły opasowe i cielęta dbamy wytrwalej, racjonalniej niż o człowieka. Szkoły na całym Zachodzie są jednym wielkim humbugiem, o ile mają kształcić ludzi, a nie same tylko umysły. Nie przyświeca tym trudom kształcącym żaden blask ideału moralnego. Trud sam jest bez miłości, a przecież życie wszelkie z miłości tylko i w miłości poczynać się może. Państwo chowa jedynie posłusznych żołnierzy do cywilnych i wojskowych swych armji. Rodzice kochają dzieci swe tylko przez siebie, a siebie w dzieciach. W iluż to domach rodzicielskich dziecko uczy się nieprawości myślą i sercem, przywyka do występku, wtłacza się w małość i marność, karleje i nikczemnieje? W domu czy w państwie, w państwie czy w szkole, zawsze, zawsze wyciągamy ręce do cienia.

Ratunek tylko w szkole przyszłej, tej, która będzie kiedyś, gdy jej pozwolą być dla samej siebie, dla człowieczeństwa i ludzkości, nie dla państwa. Z takiej samodzielnej szkoły będzie już musiało wyjść i wyjdzie słowo potężne dla przyszłości świata. Szkoła taka będzie pracownią odrodzenia, świątynią modlitw, polem zdobyczy największych i przybytkiem najwyższych też uciech. Daleko jeszcze do niej — daleko...

Ale to nic. Wiara w jutro powinna być szczęściem dnia dzisiejszego. Smutnym zostawił Lessing modlitwę: „Idź dalej niewidzialnym krokiem swoim, idź dalej, wiekuista Opatrzności! Nie pozwalaj mi wątpić, żeś jest, dlatego tylko, iż cię dotykalnie nie widzę. Nie pozwalaj mi rozpaczać nawet wtedy, gdy zdawać mi się będzie, że w twym pochodzie zwracasz się wstecz".

Warszawa. *Stanisław Krzemiński.*

IDEA.

Idea spała, zmęczona walką, w której uległa. Spokój jednak jaśniał na jej obliczu i pewność siebie. Ktokolwiek spojrzałby na nią, uwierzyłby w opowieści krążące o jej pochodzeniu wśród mistyków czynu. Niegdyś cały wszechświat był jednem żyjącem jestestwem, olbrzymim Biosem, który z upływem wieków rozpadł się na byty najrozmaitsze indywidualne, aż do zupełnie nieżywionych. Najlepsze jednako, bo najbardziej myślące i najbardziej buntownicze pierwiastki tego Biosu zbiegły się z sobą i w zjednoczeniu dały *Idei* życie.

A tymczasem pomiędzy ludźmi zapanowała cisza ponura i mroki zaległy nad światem, ku wielkiej uciesze niewielu. Jedni z nich rośli w brzuchy, inni tarzali się w nadmiarze użycia, jeszcze inni w bydlęcej bezmyślności, o której powiadali, że bez niej nie ma po śmierci zbawienia. Pośród ciemności, gdzieś w oddaleniu, zamajaczyło niekiedy światło czerwone i gasło znowu. Wtedy posiadaczom brzucha i wychwalaczom bezmyślności robiło się nieprzyjemnie, a na zapytanie dzieci swoich, co to za łuna, odpowiadali, że tam goreje ognisko nieszczęścia ludzkiego i człowieka, który puści się w drogę ku niemu, oczekuje los ćmy, latającej nad lampą. W ciemnościach tych tłoczyły się jeszcze tłumy a inne a liczne, bezmyślne od pracy nadmiernej, wynędzniałe od głodu, bojące się nawet przed sobą zdradzać się z niektóremi swojemi myślami. Pomiędzy nimi błąkało się podanie, że niegdyś żyła *Idea*, która głośno marzyła o szczęściu powszechnem i prowadziła ludzi ku owym światłom czerwonym, które są łuną od ogniska braterstwa wzajemnego. Zgładzono ją jednak ze świata. Teraz obawiano się nawet mówić o niej. Ludzie brzuchaci poznawali takich marzycieli o dawnej przeszłości po hardem obejściu i kłanianiu się nie dość pokornem, i jako złoczyńców usuwali ze świata.

Jedynie śmiech złych chochlików rozlegał się głośno wśród uczt jednych i głodu innych.

* * *

A *Idea* wciąż spała! Cień jej, przyzwyczajony do nieustającego ruchu, niecierpliwił się w tej bezczynności. Zrobił krok jeden, potem drugi i ze zdziwieniem ujrzał, że jest wolny. Odbiegł nieco dalej, jeszcze dalej, i wzięła go chęć pójścia samemu w ów świat ludzki, po którym niegdyś kroczył za Ideą. Zląkł się własnej śmiałości z początku, później nabrał odwagi. Oczy zaiskrzyły się blaskiem gorączkowym, na policzki wystąpił rumieniec suchotniczy, z gardła wydobywał się okrzyk chrapliwy i nieregularny: Naprzód! Z pajęczyny ulepił sztandar i na nim wypisał to hasło.

I poszedł krokiem nierównym w świat jęków ludzkich, tam gdzie *Idea* zawsze go wiodła.

W pośród mroków serca zadrgały. Nędzarze, przykuci do taczek troski codziennej, podnieśli głowę, przysłuchując się chciwie dolatującemu głosowi. Czyżby *Idea* żyła jeszcze? I hardziej spojrzeli na posiadaczy brzucha, którzy z nienawiścią i trwogą witali rozlegające się nawoływanie. Nawet chochliki nie wiedzieli, czy śmiać się dalej, czy smucić. Wszak Ideę trzymali na uwięzi. Skąd miałaby chodzić po świecie?

Ten i ów począł porzucać taczkę, którą ciągnął, i szedł na spotkanie dolatującego głosu. Zwolna dokoła mniemanej *Idei* tworzył się orszak coraz liczniejszy, a rumieniec suchotniczy udzielał się całemu zbiegowisku. Okrzyk: Naprzód, nie ustawał, a kiedy pytano się cienia, dokąd to iść należy, czynił kilka kroków w jednym kierunku, później zataczał się w innym. Niekiedy, gdy światło czerwone zamigotało, rzucał się gorączkowo ku niemu poprzez przepaści, tracił swój orszak w nurtach, sam ledwie wydostawał się, lecz niebawem nowe zastępy garnęły się do niego. Kiedy światło zagasło, błąkał się wraz z orszakiem i zarażał go zarazkiem suchotniczym.

Chochliki poznali, że to tylko cień *Idei*. Zwołali do zabawy dziatwę tłustych policzków i myśli ślimaczych i jęli rozniecać sztucznie światło czerwone tu i owdzie poprzez otchłanie. Wtedy cień *Idei* rzucał się w stronę, gdzie łuna występowała, a orszak jej życiem to przypłacał. Zarazem od niego suchotnicy snuli teorję takiego postępowania i miotanie się ku wszelkiemu światłu czerwonemu zwali szumnie syntezą, wszelkie zaś powątpiewanie o tem, czerstwością umysłu i poniewieraniem idei. Chochliki głośno przyklaskiwali tym mądrym wywodom orszaku suchotniczego.

* * *

Idea zbudziła się ze snu długiego. Poszła w świat, a krok jej był spokojny, wzrok pewny. Nie wydawała hałaśliwych okrzyków, nie lepiła sztandarów, a mimo to każdy czuł, kim jest ona i z czem przychodzi. Na padole płaczu i pracy rozniosła się wieść, że idzie prawdziwa *Idea*. Cień jej zadrżał: czy ma iść sam i dalej, czy wróci na swoje właściwe stanowisko, śmiałość go opuszczała, rumieńce zbiegały z policzków, okrzyk stawał się cichszym, tylko niektórzy z orszaku złorzeczyli prawdziwej *Idei* i jej spokojowi, a inni dowodzili, że jest ona przybłędą, bo nie zwraca się ku każdemu błędnemu ognikowi, rozżarzonemu przez chochlików.

Idea wciąż szła w kierunku, gdzie od czasu do czasu majaczyła łuna czerwona od ogniska braterstwa wzajemnego, nawet kiedy światło gasło i wszystko tonęło w powodzi mroków. Niekiedy po drodze otchłań otwierała paszczękę swoją. Idea wtedy zatrzymywała się, ten i ów z jej orszaku rzucał się w ziejącą

przepaść, póki nie powstał most i inni po nim nie przeszli. Teraz znowu chochliki usiłowali w rozwścieczeniu zbłąkać ją na manowce, rozniecali ogniska, *Idea* wtedy przystawała na chwilę, rozglądała się i szła dawną drogą. Zastępy jej rosły, łuna od ogniska solidarności biła jaśniej. I cień zajął dawne miejsce i kroczył w spokoju za panią swoją. Tylko garstka zarażonych suchotników miotała się ku wszelkiemu światłu i nazywała takie podrygi bezmyślne pojmowaniem Idei, rozjaśniając zrozpaczone oblicza chochlików.

Warszawa. *Ludwik Krzywicki.*

POSŁANNICTWO.

Zwycięscy pruscy oblegli Paryż.

Był to po Sedanie i Metzu cios spodziewany, a jednak tak straszny, iż żałobą okrył kraj cały. Pierwsza pikielhauba ujrzana tu, u serca Francji, stawała się obelgą, hańbiącym policzkiem, wymierzonym zgnębionemu narodowi. W mieście też olbrzymiem, wrzącem i kipiącem od skoncentrowanego życia, czułeś ruch taki, jaki widuje się na wielkich pogrzebach. Przy ponurym marszu, przez świst niemieckich kul wygrywanym, chowano chwałę, jedność i dumę narodu; szary całun smutku pokrył wszystkie oblicza, w mieszkaniach zaś i na ulicy wstrząsające rozgrywały się sceny. Nędzarze i bogaci bratali się dnia tego w poczuciu wspólnej krzywdy i niedoli, w świadomości obowiązku, jaki ona im nakazywała.

W jednym z wytwornych domów przy Faubourg St. Antoine, kołyska niemowlęcia zgromadziła po raz ostatni całą rodzinę.

Na miękkim puchu i koronkach spało delikatne różowe maleństwo, nie przeczuwając, iż nad drobną jego główką i buzią do listka róży podobną, łączyły się w tej szczytnej chwili wiekuistego może rozstania wszystkie nadzieje i marzenia dwóch pokoleń. Po lewej stronie kołyski pochylał się krzepki jeszcze, 60-cio letni mężczyzna, w mundur gwardji narodowej przybrany, po prawej stała córka jego, a matka dziecięcia, wsparta o ramię męża, gwardzisty również, który wraz z teściem miał za chwilę iść na plac boju. Czekający opodal, a w takiżsam mundur przybrany stary sługa, szedł razem z panami walczyć za wolność i jedność Francji.

— Męstwa, odwagi — mówił młody człowiek, tuląc płaczącą żonę do piersi — odwagi, najdroższa! Wrócimy zwycięscami. Dziś pierwsza wycieczka przeciw butnym Niemcom. Pomnij, żeś żoną żołnierza, który za kraj swój ukochany bić się idzie.

Vive la France! dobiegł w tej chwili z ulicy okrzyk pełen zapału.

— Niech żyje Francja, wolna i niepodległa! — powtórzył z ogniem starzec, stojący po drugiej stronie kołyski. — Czy słyszysz, Susette, wszak hasło to łzy twe wstrzymać powinno.

— Bądź zdrowa, ukochana! — mówił mąż, wśród gorących pocałunków. — Bądź zdrowa, dzielna i odważna, jak na żonę Francuza przystało. Wszak i dla nas jeszcze dni tryumfu, dni szczęścia powrócą. Tymczasem zaś strzeż naszego dziecięcia, a gdybym zginął, pomnij miłość Francji wszczepić w jego serce, pomnij, że idea, za którą krew przelewamy, ma być pierwszym celem w jego życiu. Bądź mu mistrzynią, najdroższa, jak mnie nią byłaś, bądź nie matką, lecz przedewszystkiem Francuzką, nienawidzącą Prusaków...

Mówił z takim ogniem, że zapał ten i ją uniósł, miejsce zaś rozpaczy, wiara i ufność zajęły.

Kilka pocałunków, jeszcze jeden okrzyk: *Vive la France!* i młoda kobieta sama pozostała.

Nie, nie sama. W kołysce spało jej dziecię.

Była mężną i Francuzką, po upływie godziny też łzy jej obeschły prawie. Wierzyła już, że mąż i ojciec powrócą sławą okryci, że najezdca, mężnie odparty, pierzchnie, że nad słoneczną jej ojczyzną, wolność, swoboda i szczęście zajaśnieją na nowo. Rozmarzona, wpatrzona w dziecinę swoją, słyszała wciąż jednak słowa męża, który jej kazał miłość i dobro Francji, jako cel najwyższy wpoić w młodziutkie serce. Tak, ale wszak Renée jest dziewczynką. Jakżeż więc może życie swe krajowi poświęcić, jak będzie prowadzić dzieło ojca? On mężczyzna walczy za wolność Francji, ona, kobieta, krwi za nią przelać nie może. Chcąc więc dalej dzieło ojca prowadzić, będzie chyba idee jego tak rozpowszechniać, by do rdzenia narodu doszły.

Rozmarzona, pochyliła się nad śpiącem maleństwem.

— Czy słyszysz, Renée, jak trudną ojciec wyznaczył ci rolę? Masz miłość ojczyzny, masz upajającą go ideę wolności, równości i braterstwa, tak z czasem rozszerzać, by objąwszy najszersze koła, ciemne nawet przeniknęła masy, Francji naszej sławę i wielkość zapewniając. I matka upojona, snuła dalej złotą przędzę marzeń o przyszłości dzieciny.

— Apostolstwa dziś nie ma — mówiła. — Nauczycielstwo małą tylko garstkę da jej adeptów. A więc, Renée moja, pisarką, wielką pisarką będziesz.

Maleństwo otworzyło w tej chwili szafirowe oczęta i uśmiechnęło się rozkosznie. Zuzanna pochwyciła je w objęcia.

— Będziesz autorką, wielką, szlachetną, rozumną, szerzącą cześć dla wszystkiego, co zacne, co Francją, za którą ojciec twój i dziad krew oddają, podnieść i uszczęśliwić może. Cały ich zapał, cały ogień święty, w ciebie przeleję. Wszak ludzie mówią, że talent jest owocem długiej cierpliwości, zresztą ja go wymodlę dla ciebie!

— *Vive la France!* — rozległ się w tej chwili, z hukiem bomb zmieszany, okrzyk na ulicy.

Kobieta dziecinę do piersi przytuliła.

— Renée moja, oni tam śmierci zaglądają w oczy, a ja tu siedzę bezczynnie. O, dziecię, ja cię od takiego ocalę losu. Ty bić się za ojczyznę nie możesz, lecz możesz walczyć za nią. Pióro, to służba publiczna, to szeregi wojskowe dla kobiety. Pisarką będziesz!

Wtem dzwi szarpnięto gwałtownie, na progu zaś stanął stary sługa, z włosem rozwianym i okiem błędnem. W ręku jego widniała miniatura kobiety i chustka krwią zbroczona. Portret ten, Raul miał na piersiach. Zginął! Zginęli obaj, mąż jej i ojciec, pierwszy kartacz zabił ich razem. Konał po bohatersku, zalecając, by dziecię jego w miłości dla Francji chowała. Poczem z okrzykiem: *Vive la France!* ostatnie wydał tchnienie.

Blada, z bólu skamieniała, patrzy na posła, hiobowe niosącego wieści. Pruski najezdca wydarł jej wszystko: męża, ojca, świat cały! Żołnierz tymczasem, miniaturę i chustkę w krwi zbroczoną, wyciąga z jękiem ku niej. Ten jęk, ta krew, jak uderzenie piorunu, lwicę mścicielkę w niej budzą. Chwyta portrecik i, osunąwszy się przy kołysce, palce dzieciny na świeżej jeszcze krwi opiera.

— To twoje krzyżmo — woła — twoje namaszczenie! Ty pomścisz umarłych, kończąc, co oni zaczęli. On chciał, byś życie Francji poświęciła. Pamiętaj, że palce twe, krwią ojców namaszczone, zamienią pióro w oręż, którym pomścisz śmierć ich, niecąc w piersiach miljonów miłości do świętej sprawy i wywołując na ich usta okrzyk: Niech żyje Francja, wolna i niepodległa! Jasnowidzeniem tem, czy wysiłkiem woli wyczerpana, młoda kobieta bez zmysłów runęła na podłogę.

Warszawa. *Anatol Krzyżanowski. (Natalja Krzyżanowska).*

Z CZASÓW PAŃSZCZYZNY.

(WSPOMNIENIE).

1.

NA WSI.

„Niegodziwy ten Kirkor[1]), w tak ponętny sposób zmusza prawie do kupienia „Mizerablów", a do Wilna 12 mil zakazanej drogi! Za dziesięć dni moje imieniny, goście się zjadą, będą rozmawiali o literaturze, o nowych dziełach, a ja nieszczęśliwa nie będę umiała ust otworzyć o najnowszym utworze Wiktora Hugo" — i drąc z gniewu chusteczkę i nieszczęsnego „Kurjera Wileńskiego", rozpłakała się panna Jadwiga, rozpieszczona jedynaczka pani sędziny, właścicielki dóbr Grzybowskich.

Głośny płacz, któremu towarzyszyło silne tupanie obu stopami (a wiadomo, że Litwinki mimo piękność twarzy, cudny wyraz oczu, i kształtną kibić, małością stóp nie grzeszą!) przywołał przestraszoną panią sędzinę.

— Cóż ci, kochanie? — pytała, głaszcząc Jadwisię, stroskana matka.

— Och! ten Kirkor! chcę mieć „Mizerablów", a do Wilna tak daleko.

— Nie rozumiem, musi, że będzie, chcesz co z Wilna kupić, ta i poszlij Pawluka, zalega z pańszczyzną — ciągnęła z litewska pani sędzina.

— To chłop silny zdrowy, za 5 dni wróci, a konia szkoda, mogliby go ochwacić, przepędzić.

Rozpromieniła się Jadwisia, siadła do biurka napisać zamówienie do księgarni Zawadzkiego, a tymczasem zwołano Pawluka.

W siwą ubrany sukmanę, wszedł Pawluk do pokoju, a dowiedziawszy się, iż ma natychmiast ruszać w drogę, zbladł jak chusta, ukląkł przed sędziną i załamując ręce, błagał: Jaśnie Pani, poślijcie tą razą innego, mnie żona ciężko chora, może i jutra nie dożyje, pańszczyznę później odrobię, ale teraz Jaśnie Pani...

[1]) Redaktor i wydawca ówczesnego „Kurjera Wileńskiego".

— Ot! durny, zwarjował — przerwała sędzina — oddam cię do stanowego, to bunt! Żona mu chora! dzisiaj i chłopi już chcą chorować! Zresztą tem lepiej, pospieszysz się, prędzej wrócisz.

Chciał Pawluk, biedny poddany, prosić, lecz u sędziny niktby nic nie wyprosił; trudno: zabrał list i pieniądze, wstąpił do chaty po kij, czystą bieliznę i wojłok, wejrzał na leżącą bez przytomności żonę, na drobne dzieci, a zdając wszystko na boską opiekę i pomoc starej babki, ruszył do Wilna.

Nawiasem powiem czytelnikom, iż Jadwisia, mimo wiedzy matki, pospieszyła z pomocą do tej chaty.

2.

W KSIĘGARNI.

W przeciągu 24 godzin, korzystając częściowo z łaskawości litościwych, dążących wozem również ku Wilnu, stanął Pawluk głodny, zbity forsowną drogą, w starej księgarni Zawadzkiego, w pałacu biskupa Krasińskiego. Drżącą ręką zdjął czapkę, oddał list i pieniądze w ręce kasjera Downarowicza, lecz zgięły się pod nim nogi i prawie bezwładny padł na podłogę.

Poczciwy Downarowicz orzeźwił go wodą i tabaką, a mnie oddał list do ekspedycji. Ponieważ to była książka francuska, a dzieła zagraniczne sprzedawano tylko w nowej księgarni, przeto wypisałem karteczkę i wysłałem z nią służącego księgarni, Emeryka Zaleskiego.

Była to prawie lekkomyślność z mej strony przerywać *dolce farniente* herbowemu Emerykowi, i to dla chama; ale słuchać musiał.

Downarowicz tymczasem wypytywał Pawluka o wszystko, o stosunki w Grzybowie, o powód osłabienia, o chorobę żony.

Przysłuchiwałem się temu ciekawie i sądziłem, iż najstosowniejszem dla chorej lekarstwem byłaby, prócz środków przeczyszczających, chinina, lecz bez recepty chininy w aptece nie wydanoby. Rozmyślając, jak temu zaradzić, spostrzegłem przechodzącego mimo księgarni Podbereskiego. Niegdyś bogacz, znany i w literaturze (więcej przez brata), wówczas jednak nędzarz, zaledwie lichym, podartym okryty łachmanem, dumny, jak na ex-magnata przystało, groźny i wzrostem i dziadowskim koszturem, rezydent OO. Bernardynów, u których miał swoją celę, kęs strawy, kielich nalewki albo węgrzyna — to jego fotografja.

Znałem go dobrze, bo czasami raczył do mnie zaglądać na kawior i herbatkę z rumem, poprosiłem go przeto, by kupił dla mnie chininy.

— C-o-o-o? ja, ja, mam tobie kupować? — pytał z oburzeniem Podbereski.

— Nie gniewaj się, książę, — szepnąłem błagalnie — to dla ładnej kobiety.

Uderzyłem w najsłabszą stronę Podbereskiego; nie badał więcej, lecz ochotnie przyniósł żądane lekarstwo — jemu wydanoby w aptece chociażby strychniny.

Pouczyłem Pawluka, ile ma dać pigułek, w jakim czasie proszek; nadto dał mu Downarowicz na koszt handlu złotówkę i wyprawiliśmy nędzarza razem z paczką „Nędzników".

3.

REZUREKCJA.

Z kościołów wileńskich najsolenniej dla prostaczków obchodzono uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego u OO. Bernardynów. Tłumy pielgrzymów aż ze Żmujdzi zbierały się na ten dzień do Wilna. Nabożni pielgrzymi zalegali z jednej strony ulicę Ostrobramską, z drugiej Snipiszki, a nad wieczorem mały plac między kościołkiem Ś-tej Anny a Bernardyńskim trudno było przebyć. Żmujdzkie: „ir pogarbiutas Josusas Christusas“ krzyżowało się z naszem „na wieki wieków“.

Niepodobnem było przecisnąć się przez tłum, lecz obeznany z miejscowością, obszedłem przez ogród botaniczny i maleńką furtką pod górą Batorego wszedłem do ogrodu Bernardyńskiego, stamtąd zaś przez klasztor do kościoła, a raczej do kaplicy, na prawo od wielkiego ołtarza.

Uroczyste nabożeństwo przerwało nagłe, rozmyślne zagaszenie światła; z poza ołtarza, nad grobem Chrystusa Pana, rozległ się odgłos grzmotu wywołanego blachami, a ciemność ogólną przenikały sztuczne błyskawice. Przestraszony gmin rzucił się na kolana; płacz, jęk powstał nie do opisania; grzmot nie ustawał, błyskawica goniła za błyskawicą. Przez klęczący ten tłum kroczył pospiesznie jakiś wieśniak, wskazując na mnie towarzyszącej mu kobiecie palcem.

Sądziłem, iż chcą mi wymierzyć doraźną egzekucję za nieokazaną obawę przed sztucznym grzmotem, chciałem uciec, lecz z pod ściany ruszyć się nie mogłem, skamieniałem prawie; lecz, mój Boże, jakżeż się pomyliłem! Ów wieśniak rzuca mi się do nóg, kobieta całuje ręce: „Paniczu, to żona, co ją od śmierci uratowałeś“.

Poznałem, to był ów Pawluk ze swoją żoną.

W tej chwili rozpalono na nowo światła, ruszyła procesja, a ja korzystając z niej, wycisnąłem się z kościoła, za mną obydwaj Pawlukowie.

Przybyli oni umyślnie 12 mil, by podziękować za proszek chininy! W podarunku przynieśli mi garnuszek miodu i 2 mendle jajek, które Emeryk łaskawie przyjął.

W październiku tegosamego roku, na kilka dni przed Św. Jadwigą, przysłano Pawluka po dwie pary rękawiczek; odwiedził mnie znowu, a w dowód pamięci przyniósł garnuszek miodu i dwie kopy świeżych orzechów. Zaprosiłem Podbereskiego na orzechy z miodem, lecz skoro się wygadałem, że to remuneracja za ową chininę, nie chciał jeść i przez cały miesiąc srożył się na mnie, iż śmiałem jego, — „księcia“ — użyć za posłańca dla chłopki!

Stracił do mnie zaufanie, nie pomogła ani nalewka, ani świeży kawior. Dopiero w styczniu 1863 r., na wyjezdnem w strony rodzinne, pogodził się ze mną i nawet na dworzec mnie odprowadził.

Poznań. *Maksymiljan Leitgeber.*

WYCIECZKA DO KLETKI CZERNEGO BOGA.

Było to w roku 1849, w czerwcu, o świcie dnia najpiękniej się zapowiadającego, kiedy powodowany okolicznościami, o których na innem miejscu będzie mowa, lekko, bez mantelzaka, z kijem tylko w ręku i dwoma, wyraźnie dwoma, talarami w kieszeni, wsiadłem na łódkę, niosącą podróżujących z Pirna do Königstein, Bastei, Kuhstall, lubowników pięknej przyrody, żołnierzy oraz księdza spowiednika królewskiego, pobożny albowiem król saski spowiadać się miał tego poranku za grzechy dni, które tylko co przeleciały, a w których dużo było hałasu.

Byli tam i przekupnie i babina, uwożąca przed bacznością pruską myśliwskie statki, starannie jak drzewo w grubym upowite worku, były i dzieci i ojciec, opłakujący nagłą śmierć ośmnastoletniego syna i różni, różni ludzie, nad którymi jeśli się zbyt nie zastanawiałem, przyczyna do zrozumienia łatwa, bo myślałem o sobie: gdzie to ja moje kroki obrócę i ile pięknych widoków podziwiać będę, zwłaszcza tak suto opatrzony w niezbędne do wszelkich dalszych wycieczek pobrzękacze? Przy pierwszym tedy brzegu, do którego po błękitnej Elbie przybiła łódka, pożegnałem miłych towarzyszy i pobrzeżem rzeki słowiańskiej puściłem się ku Bastei, dokąd kiedy zaszedłem, zegar z wieży kościelnej dwunastą godzinę wydzwaniał tak pogrzebowym jękiem, jak dzwon Frauenkirche temu dni kilka.

Celem wędrówki mojej, właściwie mówiąc, nie była Szwajcarja Saska, lecz Budyszyn, gwoli rozpatrzeniu się po granicach Słowieńskich i poznaniu dobrych ludzi, o których już coś nie coś w Dreźnie zasłyszałem; jakoż pierwszą rzeczą, o którą rozpytywałem się oberżysty niemca, stawiającego przedemną kufel piwa, ser i chleb, było: jak daleko do Budyszyna i jakąby najkrótszą drogą przebrać się doń można?

— Pójdziesz na lewo, tam będzie las niewielki i równina, na której bydło nasze się pasie, potem weźmiesz się na prawo, potem znowu na lewo i dalej górami aż do młyna, na którym dobry człowiek siedzi; u tego młynarza będziesz mógł dostać koni i bryki, jest bowiem zasobny i gościnny, a osobliwie dla młodych studentów, jak ty, bo widzę po czapce niebieskiej z białym ob-

szlagiem, że student jesteś; stary jest, a jak wander studenta zobaczy, zdaje mu się, że młody i śmieje się bardzo; już on ciebie do Lobau wyprawi; w dodatku i piwa, a ma dobre, nie pożałuje.

Rozumie się, że, otrzymawszy takie objaśnienie, uczułem jakieś ciepło około serca. Ej, wszystko pójdzie dobrze i wszędzie się znajdą poczciwi ludzie, cała rzecz, żeby o tem nie wątpić. Obejrzałem skałę Bastei, od góry do dołu okrytą imionami podróżników na wieczną pamiątkę bytowania swego na ziemi zapisujących nazwiska, które, jeśli zwrócą uwagę przechodnia, wywietrzeją z głowy; chyba jaki student kolega pokiwa głową i powie: „A djabliż go aż tam nosili na wierzchołek Bastei, i jakim sposobem wdarł się tak wysoko, żeby swoje głupie imię „Gottlieb Schmidt" namazać".

Rzuciłem wzrokiem po bożym świecie: piękny poetom do opisywania, malarzom do malowania, do których odsyłam łaskawego czytelnika; oni to wdzięczniej opowiedzą i odmalują odemnie, nie myślącego o poezji w owym czasie, raczej o życiu biednego człowieka, którego owszem każda piękność razi i radby nad zachmurzoną duszę ściągnąć szarą mgłę i deszczowe obłoki, z któremi na jedną nutę myślby się toczyła, a słowo szemrało albo huczało, jak wiatr po wierzchołkach sosen.

Addio — brzegi Elby czy Głubi, Łaby, *Łobjo,* jak ją Łużyczanie nazywają! hufce zwycięzkie królów słowiańskich, słupy żelazne, gdzie wy?... Czas wszystko zagarnął pod siebie, jednego tylko zniszczyć nie mocen: *słowa*, które tu po staremu pobrzmiewa, nie zagłuszone niemczyzną: *„pokwaleny Jezus Krystus — do wiecznosti — i nasz Serbski kraj, rjany kraj"*... Po odpoczynku dalej w drogę; o godzinie 4-tej powitałem młynarza i wszystko się ułożyło podług przewidzeń oberżysty; dwa dzielne konie, na którychby kropla wody nie ostała, zaprzężono do wózka, poczęstunek pokrzepił wędrowca, dziarski parobek zaciął konie i popędziliśmy do Lubij (Löbau) a *notabene,* za furmankę zapłaciłem dwa złote, czyli dwanaście srebnych groszy, które nie bez żalu odrachowałem.

Na dworcu kolei żelaznej obliczyłem moją kasę, a znalazłszy w niej coś około talara, zakupiłem bilet za dwa złote i ufny w przyszłość, rzekłem sam do siebie: *ergo*, nie jesteśmy jeszcze tak źle...

Na kolei pruskich konstablerów pełno, ruch wielki, za kwadrans przychodzi pociąg; kwadrans ten zdawał mi się długim jak wieczność, nie byłem albowiem legalnie zaopatrzony w pewne papiery, a karta studenta uniwersytetu lipskiego u Prusaków nie była dostateczną do swobodnego krążenia, jak się Francuzi wyrażają; co bądź, nie tracąc miny, zbliżyłem się do stróża porządku publicznego, prosząc o ogień do cygara, którego mi z największą przyjemnością udzielił. Brawo! pod szczęśliwą gwiazdą urodzony chowanku mazowiecki!

W Budyszynie, gdzie się obejrzę, wszędzie lute niemcy; jakże ja się tu o swoich dopytam; ale od czegóż fortuna? Idzie jakiś człowiek... Hej! panie obywatelu, a gdzie tu żyją Słowianie? jako ja też Słowianin jestem? — Bratczyku, to ja ciebie powiodę. — Wiedź; wszystkim dobrym Słowianom daj Boże zdrowie.

Wiedziałem, że tu przebywał poeta Zmorski, wydawca pisma *Stadło*, (w którem Lelewel rzecz swoją o utraconem obywatelstwie kmieci drukował) znajomy z Warszawy, towarzysz w peregrynacjach, miłośnik Słowiańszczyzny, którą nam głowę nabił naprzód Zorjan Chodakowski, dalej Lelewel, a po nim Juljusz Słowacki, autor „Lilli Wenedy", i że u miejscowych wielkie ma zachowanie. Rozpatrzmy się, poradźmy, a może tym czasem i sukurs nadejdzie; gościnnego kąta chyba mi nie poskąpią...

Zacni ludzie, czy też z was który doczekał takiego wieku, jak ów chudy, i, zdawało się, nie długowieczny wędrowiec; żyjeż tam jeszcze *Imisz Broszka, Hiczka, Michał Cyż?* Najzasłużeńszy, wiem, że zakończył życie, I. Smoler, istny typ literata, dziennikarza, wydawcy książek ludowych, współpracownik Maticy Czeskiej i „Slavische Jahrbücher", zbieracz starych powieści i podań. Żyjąż tam jeszcze wszyscy, których wdzięczną ogarniam pamięcią? Pracowali oni zgodnie nad zachowaniem jedynej po ojcach spuścizny: języka, obyczajów i uczciwego postępowania jednych względem drugich, śpiewając stare i nowe pieśni, które im ksiądz poeta — imienia jego sobie nie przypominam — na niedzielne biesiady układał; w pieśniach tych coś się tam i o Wielkim Bolesławie zasłyszało i o rycerzach śpiących, którzy, zbudzeni, mają kiedyś Niemców aż na sam koniec świata przepędzić, zredukowanych do ilości, mogącej zmieścić się pod jedną gruszkę.

Nie wiem, jak żyją ze sobą literaci dni dzisiejszych; o dawniejszych powiedzieć mogę, że była to konfraternia chudopachołków, do której zachodząc z jakiemi takiemi zdolnościami, witany byłeś radośnie, a jeśli cię ścigały przeciwności, mogłeś być pewnym, że cię koledzy przygarną i trudności ułatwią, a rozradują cię wiarą nie w dukata holenderskiego, lecz w napis na nim: *concordia res parvae crescunt.*

Imisz tedy, nauczyciel dzieci, otworzył mi na spanie alkierz, a nakarmiwszy i napoiwszy podróżnego, który od kilku dni porządnego noclegu nie zaznał, nazajutrz poprowadził do Romana Zmorskiego i Smolera... no, i było nam, jakby to powiedzieć, dobrze, nie, ale znośnie, a i to już dość.

Z Budyszyna, gdzie znowu okoliczności, a wyraźnie mówiąc, złośliwość pruska zachmurzała dni moje, wyniosłem się w okolicę Bischofswerda najpierw do wioski, w której gospodarzył ojciec przyjaciela mego Cyża, kmieć bogaty, istny Piast-pasiecznik, Panie, świeć nad jego duszą, a następnie aż do stóp Kerkonoszów, gór pogranicznych między Czechami a Saksonją.

U starego Cyża rozkwaterowałem się w izdebce syna, w której znalazłem wszystkie wydania Maticy Czeskiej, Biblję Łużycką i różnych innych ksiąg zasób. Czytałem tedy po całych dniach, oczekując na tak zwaną flotę, gwoli rozwinięciu żagli w świat niegościnny, szeroki, nieznany. Spostrzegałem gospodarstwo i wzorowe życie tych patrjarchalnych rodów... praca — ale jaka! od dnia do nocy, a wesoło, bo na własnej roli i około dobytku. Do dziś dnia pamiętam tego starca pasiecznika (posiadacza około trzechset ulów), prostującego się przy stole i uroczyście głosem podniesionym wzywającego błogosławieństwa bożego dla swojej rodziny; przez ciąg mojej bytności nigdy w chacie tej nie usłyszałem lekkiego słowa. Niewiasty z powodu suszy letniej nosiły wiadrami wodę do polewania podrosłych jarzyn, pszenica, gęsta jak las, powijała się pod wiatrem, bydło spaśne radowało oko, a kiedy pod wieczór ludzie wracali z pola wesoło, było to coś tak cichego, jak słońce i tak pogodnego, jak ten zachód pogodny.

Dnie więc, jak dnie, przechodziły mi spokojnie i nie bez pożytku, ale noce, ale sny po nocach... sen od powiek ucieka...

Coś wygania z chaty — dalej panie Ahasweruś!

Lesław Łukaszewicz, najczcigodniejszy przyjaciel, pisze list z *dodatkiem* oczekiwanym. Co za radość! Żegnam wieśniaczą zagrodę i izdebkę syna gospodarza, a mojego przyjaciela, ucznia filozofji i prawa w Lipsku, zostawiam karteczkę z nazwiskiem na pamiątkę — i oto z powrotem na dzień jeden jestem w Budyszynie u Romana Zmorskiego, z którym, jako zawsze gotowym towarzyszem do pieszych wędrówek, puszczam się nieco dalej, aż do stóp Kerkonoszów.

Roman przez całą drogę z zapałem prawił o swojej „Wieży siedmiu wodzów", którą wówczas budował, w interwalach cmokając ustami, albo pośpiewując:

Pójdź, kochanko, pójdź na morze,
Wiatr żaglami dmie!...

piosnkę Lucjana Siemieńskiego. A oryginalna to była natura: duch starego Słowianina rozkwitł na tem drzewie, które się nazywało Roman Zmorski; żył, oddychał, czuł tylko w swoim świecie; drewniane jego bogi, z wywieszonemi po pas językami, wróżby wieszczów, dumy rycerskie, nachodziły nań, nie jak przyzwane siłą imaginacji poetycznej, ale niby chmury, napływające ze światów pomarłych.

„Kairbarze, uwolnij Bardów, oni są synami przyszłego czasu, głos ich odezwie się w innych latach, kiedy królowie Temory przeminą; małe dusze są parą, która się rozpościera po bagnistem jeziorze. Nigdy one nie wstąpią na zielone wzgórza, by je wiatry spotkały".

Słowa te z Ossjanowej pieśni najzupełniej odnosiły się do niego: on szukał wichrów i mroku, albo gwiazd roziskrzonego nad lasami nieba, jak własnego domu; zacisze domowe było mu więzieniem; zostawiał najprzywiązańszą żonę i dzieci i wybiegał, przywykły od lat najmłodszych, na wędrówki po lasach, wierzył w zaklęcia, w runy skandynawskie, w potęgę pieśni, jak wielu innych z owego czasu... Byłoż to wdzieranie się w przeszłość, w Anglji Celtyckiej (Irlandji), w Niemczech, Skandynawji i całej Słowiańszczyźnie, badanie indyjskiego pochodzenia plemion, zwrot do literatury indyjskiej i pojęć o najpoważniejszych zadaniach — byłoż tylko i jest dotąd oryginalnością poetyckiej fantazji i dziwactwem uczonych, powiewem wiatru, chmurą, przelatującą nad ziemią, czy też walką w sferze idei z pojęciami semickiemi, niech o tem wyrokują ci, którzy z pewnością o wszystkiem wiedzą i nigdy się nie mylą. Co do mnie, ja myślę, że jakiekolwiek kwestje były do rozwiązania, kierunek ten przywrócił godność poezji, której koryfeusze poczynają nazywać się Prometeuszami, jak Byron, Shelley, Goethe, Quinet i nasi wielcy poeci. Prometeusz Arjon, to równoważy coś z prorokiem Semitów, a jeden jak drugi z wyższych przeznaczeń ma zadanie rozjaśniać ogniem niebieskim ziemskie drogi naszego żywota.

Roman, trudny w pożyciu, nie mógł znosić idealności; jego Lesław do ziemskiego szczęścia z rozkoszą ucieka do piekła, jego Anioł niszczyciel sypie iskry pożarów. Kain Byrona był pokrewnym jego młodzieńczej muzy, jeśli nie ojcem.

Romana znałem młodym i przypominam sobie dwie stancyjki w klasztorze Dominikanów w Warszawie przy ulicy Freta, w których się z ojcem mieścił; tam jego pierwsze utwory powstawały, z któremi krył się przed ojcem, równie jak i przyjacielem jego, pułkownikiem Haselkwistem, snadź niedowierzając ich estetycznemu znawstwu, jak i brata starszego, który był urzędnikiem sądowym.

Znajomość języka niemieckiego wtajemniczyła go w utwory pierwszorzędnych poetów: Goethe, Zacharjasz Werner, Izajasz Tegner, Manfred i Kain Byrona stali u kolebki *Lesława;* później zbliżony z ludem, a mianowicie serbskim, którego pieśni tłumaczył, przeszedł z pod pierwszej zawieruchy pod pogodniejsze niebo; czytałem nawet jego hymn religijny do Matki Bożej, ale wówczas, w Łużycach, był takim, jakim go tutaj wspominam.

Było to najzupełniejsze przeciwieństwo z poważającym go i do wszystkich przywiązującym się towarzyszem drogi na Kerkonosze, który, jeśli marzył, to jak Symonowicz, Gawiński, jak Brodziński, Pol Wincenty, a rwał się do lotu pod słońce porankowe, muskając z lekka klawisze liry ślepca na włóczędze, od chaty do chaty, od omokłego deszczem modrzewiowego kościoła, do drugiego, od jednej kołyski, do drugiej.

— Znużyłem się, Romanie, siadaj...

— Chcesz pożywienia?

— Chcę.

— To masz chleba ze smalcem *zuchelek*, jedz, pomazańcze pomazańca, kiedyś głodzien, — i na nowo:

Pójdź, kochanko, pójdź na morze,
Wiatr żaglami dmie!...

począł nucić niebardzo melodyjnie, nie miał bowiem talentu do śpiewania, jakkolwiek był przekonany, że śpiewa z *przejęciem*, nie chcąc powiedzieć „z uczuciem", którego to słowa zarzekał się wymawiać, słuchacze zaś byli zdania, że głos ten przypominał im wilka za górami.

— Idźmy...

— Idźmy...

Pola rozległe, świetne obiecujące żniwa, świat aż miło wystrojony, jak od wielkiego dzwonu; góry błękitnieją w odległości. Roman znał wszystkich nauczycieli ludowych, wstąpiliśmy więc do jednego, który nas przyjął gościnnie, podziękowaliśmy pięknie, pożegnaliśmy w Boże imię i nad wieczorem ujrzeliśmy niewielki dom pod górami, z którego dolatywała nas piosenka, znana w całych Łużycach górnych:

Rychło śniki najdu,
Liczka zoże znidu,
Roża niewinnostie,
Wicznie zarza kcze (kwitnie),

którą mi towarzysz powtarzał, intonując własnego układu piosenkę:

W wieńcu z gwiazd,
w płaszczu z chmur
cicha noc
schodzi z gór...

Jakoż bo wiele gwiazd weszło było na niebo.

Stary Broszka, Farar miejscowy, kiedyśmy weszli do domu, siedział przy klawikordzie, na którym uczeń jego niegdyś, a dziś sługa boży, wygrywał ową piosenkę, a córka gospodarza śpiewała. Widząc nas wchodzących, ruszył się z miejsca. Roman zaprezentował nieznajomego, któremu wszyscy obecni uprzejmie i życzliwie podali rękę.

— Siedajte, to moja żona, to córka Laura, a to nasz bratczyk, który jutro udaje się na misję do Ameryki, jako duchowny, niosąc słowo boże pomiędzy ludzi dobrej woli; a no, jemu tam iść...

Wieczór zeszedł nam błogo, a po skromnej wieczerzy i pożegnaniu misjonarza, gospodarz powiódł nas na spoczynek do stancyjki na górze.

Nazajutrz jak świt w przyległej obórce dał się słyszeć głos dziewczyny. Wyjrzałem dymnikiem: piękna Laura niosła skopek mleka, a za nią kroczył pies, czyli koń niemiecki, który, kiedy weszła do sieni, przysiadł przy wózku, ze szlejkami, poczuwając się do obowiązku ciągnienia mleka do miasta. Panna Laura Broszka, wczorajsza śpiewaczka, skinęła nam głową poważnie, jak na córkę pastora przystało, na który to ukłon również uroczyście odpowiedzieliśmy.

Przy śniadaniu ojciec prawi:

— Zostańcie z nami parę dni — i dalej rozpytywać się: co ja myślę robić? A ba, zgadnij że — co można, co się da, aby na życie zapracować.

— Tu, w Saksonji, możesz znaleźć zatrudnienie pomiędzy nami. Imisz mówił o tobie; poczekaj, niechno ja się zawinę a załatwię twoje pasportowe trudności, a tymczasem zjedzcie co Bóg dał.

Po śniadaniu Roman do mnie prawi: wiesz li, że tu niedaleko w górach są pamiątki słowiańskie: kletka (mównica) Czarnego Boga i ołtarze, na których krwawe odprawiano ofiary. Na co ja: *Niemieckie to Bożę*, jak utrzymuje uczony Wacław Aleksander Maciejowski. — Nie wadzi, idźmy! — i dalej do Czarnego Boga nie wiedzieć po co.

Oj ten Czarny Bóg! byłby on nam narobił biedy, gdyby nie Biały Bóg, który się nami w tej przygodzie widocznie opiekował.

Droga do Czertowskiej Kletki, czyli Ucha Bożego wiodła przez las sosnowy, gęsty, w którym od miejsca do miejsca zauważyliśmy kamienie omszone, kołem poukładane, odwieczne świadki dziejów zamierzchłych; na tych kamieniach wyobraźnia wracała nam siedzących starych wodzów Lutyków, Wilków, z drewnianemi tarczami, w hełmach o dziczych i wilczych łbach, z oszczepami w szerokich dłoniach, radzących jakby stawić czoło zagonom niemieckim. Tu siedzieli twoi wodzowie, Romanie, kiedy moi Mazurowie ciemni tańcowali tam gdzieś przed jakimś łacińskim królem, — cur-że im i pek za to!

— Masz prawdę, cur im, a za uczucie godne przyjmuję cię do mojego herbu — dwie dudy na krzyż.

I nuż mi cudną swoją baśń opowiadać o śpiących rycerzach i o siedmiu wodzach, o których i Bohdan Zaleski coś zasłyszał, wspominając:

Gdzie to naszych dum połowa:
O trzech zorzach, trzech krynicach,
Siedmiu wodzach, stu dziewicach?
Z ludźmi głuchną gdzieś w mogile.

Otóż, braciszku, my te stare dumy pobudzimy z grobowców, — hę! Co mówisz? A co myślisz o Pieśni Zaboja, o Pułku Igora, o Henryku pobożnym, o Trąbach w Dnieprze i o mojej Wieży siedmiu wodzów, co o Juljusza Lilli Wenedzie i Balladynie?

— Myślę, że się różnią od romantycznych brzęków, dzwoniąc w kamienie brzeżne falą burzliwą naszych Dunajów; te bajki są czemś, co się życia doprasza.

Na to on:

— A co chce żyć, to żyć musi...

— Amen.

— Rycerską pieśń roznoszą oddalone echa:

Gdzie starość, zapatrzona w bezchmurne lazury,
Duma o dawnych czasach, przewiduje młode,

Dziady nasze, Lirniki, stron tych augury,
Którym wicher kudłatą rozgartywa brodę,
A sznur na biodrach ściąga płótno białej szaty,
Drewianie, Lachy, Serby, Bohemi, Kroaty...

— Amen, wstają, wstają stare dumy.

— No, idźmy... Juljusz Słowacki niech żyje! Pamiętasz u księdza Glinki piliśmy zdrowie Kura i Tęsknoty; ty się mażesz, a ja pieję.

Bo pieśni wieszczów są tak w narodzie,
Jako w człowieku silne serca bicie.

Napij się wyczynu żytniego i zakąś przysuchy, rzecz błoga i uzdrawiająca, jak mówi Dziekan (Dziekoński)[1]) do siebie.

— Gól.

Po godzinie drogi dobrym krokiem stanęliśmy na miejscu, na którem wznosi się czarna skała, otoczona sosnami. Otóż i Ucho Czertowskie, na którem żadne imię śmiertelne się nie zapisało.

Otwór z boku, zwany uchem, był zda się ze strony, po której stawali starzy Słowianie, wypowiadając żądania swoje, albo zagadując o los, jaki czeka pokolenie, śpieszące do boju, na które siedzący w podziemiu Żerca, kapłan odpowiadał, kamienie zaś w pobliżu znajdujące się, podłużne, na których znajdują się wydziobane serca z rowkami do wsiąkania krwi w ziemię, widocznie służyły do ofiar.

— A co? niewarto było ściągać? Zda mi się widzieć złotowłosego Germana, jak go tu do tego kamyczka taszczą... Bracie, zaśpiewajmy chór Druwidów i zatoczmy kołem — tu chwycił się za głowę — co za wyborny pomysł, zapalimy sobótkę ku czci starych bogów i starej wiary.

Głód, powietrze, ogień, woda
I wszelaka zła pogoda
Będzie temu, ktoby starą
Ojców swoich gardził wiarą[2]).

Juljusz Słowacki, Mickiewicz, Berwa, Bielowski, Lelewel, Szafarzyk i my, dwaj pacholiki, tobie, stary czarny Boże, gnębicielu Niemców, i drugiemu bożkowi Flinsowi, który z nich jednego co roku regularnie sobie na dno Elby zabiera, zapalamy dziękczynną sobótkę — i dalejże zbierać gałęzie a na kupę układać i otóż suche jak pieprz palić się poczynają.

„Głód, powietrze, ogień woda..." — zaczynam i ja zawodzić, kiedy nagle zapala się tuż stojąca sosna smolna i ogromny płomień a dym wali w górę.

Tu, o czytelniku, jeżeliś kiedy wątpił o zgodzie dwóch literatów, zadziwiłbyś się, jak jedno spojrzenie wystarczyło, żeby się porozumieć i zdecydować: będzie źle... no, i zamiast improwizacji, którąśmy wygłaszać zamierzali, urządzamy odwrót, jakiego żaden Ksenofont, ani Mahomet nie pomyślał. Krzyki: a hu! a hu! pastuchów, i ryk bydła poczęły się rozlegać nad naszemi głowami.

[1]) Józef Dziekoński, od którego przybycia z Dorpatu rozpoczęło się owo burszowstwo literackie, niewłaściwie nazwane Cyganerją.

[2]) Berwińskiego Ryszarda.

— Słyszysz, Roman, uznają w nas starych Lutyków i Wilków i jak na wilków wrzeszczą, a czy tylko nie ścigają na oko i czy przypadkiem jadowite bestje, czyli psy nie podążą za nami.

— Daj mi pokój, bożę leśne *Gonidło* z nami... — na co ja:

— Pędź, wiatronoga zmoro, a schowanek mazowiecki nie ustąpi w niczem koledze złej doli, ale, jeśli popadniesz w łapy Königliche-e-e... milczenie! pędź, pędź, chmury z drogi, lasy z drogi, nie czas na refleksje.

Przepyszny las, zdawało nam się, że się już płachtą ognia cały okrywa, że nam dymy pożaru drogę zastępują, że chłopy czeskie (sedlaki) tuż, tuż doganiają nas, uzbrojeni, jak za czasu Taborytów, w cepy żelazne... Nic z tego, las się przerzedza, cisza... młode krzewy wietrzyk, poruszony naszemi sukmany, potrąca, niebo takie ojcowskie i jesteśmy zdala od niebezpieczeństwa, spojrzymy za siebie: nic niema. Ugasili, czy samo zgasło?...

Twój Biały Bóg zwyciężył, — prawi Roman — sława ci, Światowidzie, i tobie, Jesse, i tobie przyjacielu Sielan, Gonidło! Ku czci waszej gotowi byliśmy zarznąć kurą i kurzycę i upiekłszy schrupać w pokorze.

Co to wielkość... Mahometanie liczą lata od podobnej fugi, uczeni podziwiają odwrót Greków z Babilonu; o nas nikt nie wspomniał i choćbyśmy karki połamali, głuche milczenie pokryłoby naszą słowiańską wyprawę. Tak to zawsze dzieje się na tej biednej ziemi: ileż to mrówek stacza boje, zdobywa, kopie, znosi z pola bitwy swoich czarnych, czy czerwonych poległych bohaterów, i sza, cicho... a co się dzieje w państwie skrzydlaczy, w walkach żórawi z orłami, jakie mądre parlamenta odbywają się co wieczór w narodzie szpaków i wróbli! Uczeni świata kiedyś zajrzą w te sfery i już nawet głosy w Niemczech dają się słyszeć w tej materji.

Przyznam się, że nie lubię smętnych ludzi, bądź co bądź, w każdym czasie za świętość niedostępną albo djabelstwo uchodzić chcących i dlatego najwyższe uwielbienia mam dla poetów jak Goethe, Mickiewicz, Szekspir, Cerwantes, w których łza miesza się z uśmiechem, pustota a często i słabość z powagą, bólem, wytrwałością, hymn religijny i rycerska duma z piosenką, wiara zwyciężająca z przelotnemi chmurami zwątpienia; tacy są, jakimi są: ludźmi, z którymi, daj Boże, spotykać się, od djabłów zaś i doskonałych (we własnem o sobie rozumieniu) zachowaj, Panie! Co my wiemy, czytelnicy tysiąca ksiąg, dzieci złośliwe albo łagodne? Wiemy, że się rodzimy dziećmi do kolebki życia i w starości dziecinniejemy do kolebki śmierci.

Czytelniku mój, nie posądzaj mnie o wygodną filozofję optymistyczną: To inna rzecz. Cierpliwie znoszę optymistów, kwietystów, pesymistów i wszystkich „istów" w jednem zamkniętych zaczarowanem kole, ale szanuję każdego, którego przewodnią ideą w życiu była jedna z tych; niech się to z prac twoich wyświeca, nie kryj się, nie udawaj, jednego tylko strzeż się: złośliwości reptilitów bo ta do zwycięstwa idei twojej nie dopomoże, a człowieka zniża do bestji drapieżnej. Najwyższa idea górą, a kto jej wiecznie służy, ten wiele przebacza, wiele znosi i dla wielu rzeczy spokojne ma wyrozumienie. Ale na co ja to wszystko piszę? a to chyba na to: żeby coś wspomnieć, iż dwaj wędrowcy do Kletki Czartowskiej, obok zabawnych wydarzeń, przebyli w życiu bogdaj cięższe od włoskiego poety i od niejednego polskiego może, udręczenia, nie posiadając za przewodnika ani Wirgilego, ani Śgo Bernarda, ani Beatrycy.

Było to w 25 roku ich życia, a więc w młodości jeszcze, niech więc nam wybaczą smętni, równie jak straszliwe zuchy.

Z powrotem do domu Farara zachowaliśmy najgłębszą tajemnicę tego,

co się nam przydarzyło. Po obiedzie Roman wyruszył do Budyszyna, ja zaś pozostałem proszony ną gościnę przez dni kilka, w których co zaszło, jakie były projekta najczcigodniejszego księdza i jego małżonki, jaka uprzejmość dobrej pięknej Laury, jak wszystkie mi powiodły się szczęśliwie czy nieszczęśliwie, jak od urzeczywistnienia myśli gościnnego słowianina zależała cała moja przyszłość, być może użyteczniejsza dla społeczeństwa niż ta doświadczona później — o tem będzie mowa w następującym rozdziale. (NB. jeśli go kiedy napiszę).

Florencja. *Teofil Lenartowicz.*

URYWEK

Z OPOWIADANIA MEGO PRZYJACIELA.

— Po kilkonastoletniej wędrówce po rozmaitych krajach wróciłem znowu do roli, na której, skończywszy szkołę rolnictwa, zacząłem już był pracować, i której odbiegłem, porwany wraz z wielu innemi nadzieją i wiarą, że nadeszła chwila ziszczenia tego, o czem marzyliśmy i czegośmy pragnęli gorąco. Los wypadł mnie ciężki. Zabrano ojcowiznę moją, i zmuszony, jako prosty robotnik pracować na własne życie, wycierałem rozmaite kąty i nie z jednego pieca chleb jadłem. Poznałem wówczas z doświadczenia czarną stronę życia ludzkiego i stosunków społecznych.

Wróciłem do roli dlatego, że otrzymawszy po ciotce mały spadek pieniężny, mogłem na nowo zająć się samodzielnie rolnictwem, do którego czułem i upodobanie i uzdolnienie. Upatrzywszy więc w podkarpackich stronach mały folwark odpowiedni, ułożyłem się z właścicielami onego o długoletnią jego dzierżawę.

Miałem w tym czasie lat około czterdziestu, byłem więc — jak mówiono — w sile wieku. Mniemano też powszechnie w okolicy, że pójdę za przykładem innych dzierżawców kawalerów, którym dzierżawa służyła za szyld jeno, a którzy zajmowali się właściwie poszukiwaniem panien posażnych, ażeby w ten łatwy sposób zostać *obywatelami* — jak się wyrażali — to jest właścicielami większych dóbr ziemskich. Panny okoliczne, zwłaszcza zbliżające się do mego wieku, cieszyły się, że przybył jeszcze jeden konkurent. Zawiodłem jednak te rachuby. Wprawdzie chciałem być także obywatelem, ale obywatelstwo pojmowałem inaczej, niż sąsiedzi moi: uważałem je jako służbę publiczną, która wymaga pracy istotnej, wytwórczej i pożytecznej dla ogółu. W mojem przekonaniu taka praca tylko mogła się nazywać pracą obywatelską, i ona tylko dawała prawo do obywatelstwa.

Przybywając do mego folwarku i obejmując w nim zarząd, miałem już plan gotowy. W kilka dni po przyjeździe, kiedy rozpatrzyłem się dostatecznie w interesach i gospodarstwie i poznałem ludzi otaczających, zwołałem wszystkich, co pracowali na moim folwarku, i rzekłem do nich mniej więcej w te słowa:

— Wy potrzebujecie żyć, i ja potrzebuję żyć. Ażeby żyć, musimy pracować. Niezawodnie moje położenie jest lepsze od waszego i moja praca jest lżejsza i przyjemniejsza od waszej. Nie chcę jednak was krzywdzić i korzystać z tego, że skutkiem przypadku mam więcej od was nauki i majątku. Obmyśliłem więc taki sposób urządzenia się, ażeby wam było lepiej, mnie było także dobrze, gospodarstwo nic na tem nie traciło i nikomu nie działa się krzywda. Sposób to łatwy. Otrzymywać będziecie i dalej takie zasługi, jakie dotychczas otrzymywaliście. Ordynarję powiększę wam, bo kto pracuje dobrze, ten musi także i dobrze jeść. Sobie wyznaczam takie zasługi i taką ordynarję, jakie ekonom w sąsiedztwie bierze. I dalej pracować będziemy wszyscy tak, jakbyśmy na swojem własnem pracowali. Ażeby wiedzieć, jaki będzie czysty dochód z gospodarstwa, i ile każdy z nas po roku jeszcze dostanie, ja będę prowadził rachunki i wszystko akuratnie spisywał. Wy wybierzecie zpomiędzy siebie więcej piśmiennego, i niech on przegląda, czy wszystko, jak się należy, bywa zapisane. W gospodarstwie są wydatki i dochody, które oddzielnie spisywać będę. Do wydatków należą: dzierżawa, którą trzeba zapłacić, rozmaite podatki, zasługi wasze i moje, wreszcie wszystko, co trzeba będzie kupić lub sprawić dla gospodarstwa. To, co kupimy, będzie nasze wspólne. Kupimy, naprzykład, konia, to ten koń nie będzie do mnie tylko należał, ale będzie koniem naszym. Po roku zrobię obrachunek. Zaliczę wszystkie wydatki i wszystkie dochody i odciągnę jedne od drugich. To, co zostanie, będzie naszym zyskiem. Ponieważ do gospodarstwa wkładam kapitał, więc słuszna, ażebym wziął od niego procent. Zrzekam się jednak tego procentu na rzecz ogólną: na lekarstwa i lekarza, w razie gdyby kto z nas zachorował. Po odciągnięciu procentu, resztę zysku podzielimy pomiędzy siebie na równe części.

Przez pierwszych kilka miesięcy z podejrzliwością na mnie patrzano i jakby probowano, czy na prawdę myślę być innym od reszty dzierżawców i właścicieli ziemskich. Kiedy jednak z powodu pewnych wykroczeń i nadużyć ograniczyłem się tylko na tem, że spokojnie i bez gniewu wytłómaczyłem, jaką stratę z tego powodu wszyscy ponosimy, zachowanie się robotników widocznie zmieniać się poczęło. Jeden drugiego pilnował i wstydził. „Może pan i bzdurzy — powiadali — ale dobry i przychylny jest dla człowieka“. Widziano bowiem, żem się starał o ich dobro. Jedzenie mieli dobre, bieliznę czystą, odzież całą i przyzwoitą. Starałem się o to, aby mieszkanie — o ile można — było dogodne, suche, przewietrzone i zimową porą ciepłe. Każdy miał własne łóżko i pościel. Słowem: warunki życia polepszyły się. Kiedy więc po rocznym obrachunku, pokazało się, że na każdego przypadło po kilkadziesiąt guldenów, radość była wielka, zadowolenie powszechne i chęć do pracy stała się szczerą.

Zjednawszy przychylność i zaufanie robotników, przedstawiłem im potrzebę szkółki dla dzieci, w gminie bowiem naszej nie mieliśmy jeszcze rządowej szkoły, a właśnie mieliśmy w okolicy dobrą nauczycielkę, która i z przekonania i z zamiłowania zajmowała się kształceniem dziatwy wiejskiej. Uprosiliśmy więc ją, by się przeniosła na mieszkanie do naszego folwarku i wyznaczyliśmy jej ordynarję i małą pensyjkę z ogólnego dochodu. Włościanie okoliczni przysyłali także swoje dzieci do niej na naukę. Powaga jej, zdobyta

wielką dobrocią i szczerą pracą, była ogromna. Kochali ją wszyscy, i ja ją pokochałem, i po roku została żoną moją.

Kiedy nadeszły jesienne długie wieczory, umówiliśmy się zgromadzać do izby szkolnej, na którą przeznaczyłem największy pokój w mojem mieszkaniu. Każdy przychodził z jakąś robotą: kobiety zwykle szyły, mężczyźni coś strugali. Czytano tam jaką książkę lub gazetę głośno, opowiadano ciekawe rzeczy, zadawano sobie zagadki, żartowano, śpiewano, wreszcie grano, mieliśmy bowiem pomiędzy sobą skrzypka, który wcale nie źle grywał i basistę. Moja przyszła żona zręcznie kierowała całą zabawą, tak, że wszyscy byli zadowoleni i chętnie się zgromadzali. Przyznam się szczerze, że i ja znajdowałem wielkie upodobanie w tem towarzystwie i innego sobie nie życzyłem; co prawda, przyczyniała się do tego obecność osoby, która podzielała moje zasadnicze przekonania i poglądy i do której skłonność sercowa wraz z większą znajomością wzrastała. Czasami urządzaliśmy tańce. Wreszcie powstał projekt odegrania teatru. Rozpoczęły się więc przygotowania i próby. Z początku szło wszystko jak z kamienia: ruchy były niezgrabne, mowa sztywna, jedni drugim wciąż przeszkadzali. Żona moja przyszła jednak tak gorliwie pracowała nad ociosaniem i okrzesaniem kloców wiejskich, że pierwsze przedstawienie, na które zgromadziło się mnóstwo gości z sąsiednich wiosek, udało się lepiej, aniżeli tego spodziewać się było można. Powodzenie to zachęciło młodzież wiejską do tego rodzaju zabawy, i następnie pod kierownictwem żony mojej urządzano po kilka razy na rok przedstawienia teatralne.

Wieczory, spędzane wspólnie w izbie szkolnej, sprawiając prawdziwą uciechę młodym, a nawet i starszym osobom, wywierały korzystny wpływ moralny i umysłowy na ludność folwarczną i wogóle na okoliczną ludność wiejską. Karczma straciła swój dawny pociąg i coraz mniej do niej uczęszczano. Zachowanie się stawało obyczajniejszem i przybierało formy więcej gładkie. Rozwinęła się chęć do czytania. Prenumerowaliśmy więc parę dzienników. Ażeby zebrać pieniądze na prenumeratę, urządzaliśmy loterję, która zawsze miała ogromne powodzenie. Żona moja udawała się w tym celu do miasta i stamtąd od antykwarjusza przywoziła sporą liczbę pożytecznych książek. Kupowała także obrazki, ołówki, pióra, kajety z czystego papieru i sprowadzała ze Lwowa lub Krakowa dobre, popularne książeczki i kalendarze. Biletów więc wygrywających było dużo, i bilet kosztował wszystkiego 10 centów. Na loterję zgromadzano się licznie z całego sąsiedztwa. Uciecha była wielka. Każdy chciał próbować szczęścia. Ci, co wyciągali bilet wygrywający, chociażby ten dawał im tylko ołówek lub pióro, cieszyli się szczerze i żartowali z tych, którym los nie sprzyjał. Korzyść zawsze jednak bywała ogólna; książka, bowiem wygrana przez jednego, przechodziła następnie z rąk do rąk, i każdy, co chciał, mógł ją przeczytać.

Poznajomiwszy się z włościanami okolicznemi, wykazałem im korzyści, jakie przynosi braterska łączność interesów, i w przeciągu kilku lat zawiązaliśmy towarzystwo wzajemnej pomocy, założyliśmy kasę pożyczkową i otworzyliśmy wspólny kramik. Żona bardzo skuteczną w tem wszystkiem okazywała mnie pomoc.

Szlachta dziedziczna, nazywająca się obywatelstwem, mniej zajęta rolnictwem, aniżeli kartami, kieliszkiem i polowaniem, gorszyła się mocno z mego zachowania się. Mówiła, że jestem bez wykształcenia, że gustuję w prostaczem towarzystwie, że robię konkurencję karczmarzowi i pod pozorem loterji i temu podobnych głupstw wyłudzam od robotników moich na-

leżne im zasługi. — Panie mój, dobrodzieju — mówił jeden do drugiego — jest to socjalista!

Gadania te szlacheckie, na które nie zwracałem żadnej uwagi, wyrządziły mnie w późniejszym czasie wielką krzywdę, ale o tem opowiem przy innej sposobności.

* * *

Przyjaciel mój umarł na obczyźnie, zmuszony do przerwania swej pracy obywatelskiej. Opowiadanie jego, które w głównej treści w swoim czasie spisałem, podaję obecnie do druku.

Paryż. *Bolesław Limanowski.*

O LITWIE I ŻMUDZI.

(WYJĄTKI Z KSIĄŻKI ETNOGRAFICZNEJ Z XVI WIEKU).

W wieku XVI i następnych dość rozpowszechnionem było dziełko etnograficzne p. n. „*Mores, leges et ritus omnium gentium per Joannem Boëmum Aubanum, Teutonicum, ex multis clarissimis rerum scriptoribus electi*“. Mamy pod ręką dwa wydania tej książeczki: z r. 1541 i 1582 w Lionie, a nadto wiemy o wydaniu z r. 1540 i przekładach niemieckim i włoskim, co zdaje się świadczyć dostatecznie o poczytności książki. Nie trudno byłoby dowieść, że współczesna Europa z książeczki Boëmusa czerpała wiadomości o mniej znanych narodach, i inni pisarze powtarzali za Boëmus'em, o osobistości którego nic powiedzieć nie umiemy, zdania o narodach przezeń opisanych. Do rozdziałów bliżej nas interesujących należą w książeczce tej opowiadania o Polsce, Rusi, Litwie, Inflantach, Prusakach i Krzyżakach i wreszcie o Czechach. Bardzo wiele z podawanych przez naszego autora wiadomości są wprost dziwolągami, wiele pochodzi z nieświadomości pisarzy, z których Boëmus korzystał. Dla dzisiejszego zaś czytelnika o tyle są ciekawemi, o ile dają pojęcie, jakie to szerzyły się zdania o narodach ówczesnych pomiędzy czytającą publicznością. Na tem miejscu podajemy w dosłownym przekładzie cały prawie rozdział VII „*De Lithuania et Lithuanorum vita*“ — „o Litwie i życiu Litwinów“ i wyjątki z rozd. VIII „*De Livonia, Prussia et militibus Marianis*“ — „o Liwonji (Inflantach), Prusach i rycerzach Marji (Krzyżakach)“, gdyż w rozdziale tym o Żmudzi wzmianki się znalazły. Nie wdajemy się w krytykę opowieści Boëma, gdyż każdy czytelnik łatwo osądzi, jaką mają wartość podane przez niego wiadomości.

Rozdział VII. „O Litwie i życiu Litwinów“. — „Litwa przylega do wschodnich granic Polski; graniczna jej linja 90.000 kroków wynosi; jest to kraj w znacznej swej części błotnisty i bardzo lesisty; stąd ma trudny, a do pewnego stopnia nawet niemożliwy przystęp, ponieważ wszędzie bagna się rozciągają. Podczas zimy stosunki handlowe z Litwą są ułatwione, ponieważ błota i jeziora pokrywa gruba warstwa lodu i śniegu, staje się więc cała dla kupców dostępną; tu podobnie, jak na morzu otwartem, że niema dróg pewnych, ani ścieżyn, gwiazdy wskazują drogę. Rzadkie są na Litwie miasta, a i ludność wsi nieliczna.

Bogactwem mieszkańców jest bydło, są futra zwierząt różnorodnych, np. gronostajowe i sobolowe, bo kraj bardzo obfituje w te zwierzęta; wosku i miodu zbytek mają. Pieniędzy nie używają wcale. Mężatki otwarcie, za pozwoleniem mężów, mają kochanków, których nazywają „pomocnikami“ małżeństwa; naodwrót jednak za hańbę jest uważane złamanie wiary małżeńskiej przez męża. Małżonkowie łatwo się rozwodzą za zgodą zobopólną, coraz to nowe zawierając związki“...

„Wino bardzo mało jest używane. Chleb jedzą czarny, razowy. Napoju dostarcza bydło, bo mleko w powszechnem jest użyciu. Naród językiem mówi słowiańskim, jak Polacy(!); język ten bowiem (t. j. słowiański) bardzo rozległe ma granice i wspólny jest wielu bardzo narodom“. Tu wylicza Boëmus ludy słowiańskie i wskazuje, jaką wiarę wyznawały. „Niektóre z tych ludów (t. j. słowiańskich według B.) wreszcie aż dotąd trwają w zaślepieniu pogańskiem, czczą bałwany, jak to czyni wielu z pomiędzy Litwinów“.

Hieromin Praski, który za papieztwa Eugienjusza IV [1]) w kraju tym ewangelję opowiadał i który dla wiadomości współczesnych opisał obrzędy i zwyczaje narodu tego, mniej przedtem znane, mówi, że niektórzy z pomiędzy Litwinów, do których najpierw przyszedł, mieli po domach węże, i każdy z nich składał im ofiary, niby bóstwom domowym, że wreszcie on (t. j. Hieromin) dokazał tego, iż węże pozabijane zostały przez własnych ich czcicieli oprócz jednego, którego nie można było spalić.(?) Inni czczą ogień i czerpią z niego przepowiednie. Niektórzy ubóstwiają słońce pod postacią młota żelaznego ogromnej wielkości. Litwini mają księcia własnego, którego wielkim zowią, często jednak bardzo królowi polskiemu podlegają. Stolicą kraju jest Wilno, rezydencja biskupa, wielkością równa się Krakowu ze wszystkiemi jego przedmieściami; nie ma w niem domów, ciągnących się jednym rzędem, lecz, podobnie jak po wsiach, przegradzają je ogrody i sady. Dwa są w Wilnie bardzo obronne zamki; jeden z nich wznosi się na górze, niżej, na równinie, drugi“...

„W okolicy Wilna mieszkają, w wyznaczonych wsiach, Tatarzy, którzy według naszego zwyczaju zajmują się uprawą roli i handlem; językiem mówią tatarskim, wierzą w Mahometa, trzymając się sekty Saracenów“.

W rozdz. VIII o Żmudzi tak Boëmus prawi: „Z Prusami i Litwą graniczy kraik, Żmudzią zwany, lasami i rzekami otoczony, którego długość 50 mil wynosi. Zamieszkuje go lud rosły i piękny, ale dziki i obyczajów nieokrzesanych. Panuje tu wielożeństwo i pomimo pokrewieństwa po śmierci ojca syn żeni się z macochą, po śmierci brata — brat z bratową. Kruszców nie posiadają wcale. Domy budują nizkie, chaty z płótna (lnu — *ex lino*?) i słomy na podobieństwo spodniej części okrętu lub hełmu; zamiast okien na szczycie chat robią jeden, ale tak obszerny otwór, że ten oświeca cały dom z góry. W każdej chacie jest jedno ognisko z nieustannym ogniem, a naokoło niego siedzi cała rodzina i nie tylko warzy przy nim pożywienie, ale nadto grzeje się podczas silnych mrozów, z powodu których ziemia większą część roku jest zmarzłą. Łaźni parowych wcale nie mają. Lud ten chętnie wierzy w przepowiednie i wieszczby. Bóstwem najważniejszem był ogień, który uważali za święty i wieczny, ponieważ na wzgórzu wysokiem nad rzeką Niewiażą (Neyasa) ciągłem dodawaniem drzewa kapłan go podsycał. Władysław, król polski, który Żmudź na wiarę chrześcijańską nawrócił, rozkazał zagasić go, a wieżę, na której go podtrzymywano, zbu-

[1]) Myli się Boëmus, gdyż Eugieniusz IV papieżem był od roku 1431—1447, Hieronim Praski zaś spalonym został w r. 1416.

rzyć, i wyciąć lasy, które z takąż pobożnością, jak ogień, czcili Sarmaci, uważając je za przybytek bogów (zgodnie ze znanem wyrażeniem poety: „Nawet bogowie w lasach zamieszkiwali“...[1]). A nietylko lasy, ale wszystko, cokolwiek w nich się kryło, za święte i nietykalne uważali, jako to: ptaki i zwierzęta. Tym zaś, którzy krzywdę im czynili, przez czary złych duchów w tejże chwili ręce i nogi się kurczyły. W tych lasach każda rodzina urządzała sobie ognisko i dom święty, w którym było we zwyczaju palić ciała zmarłych krewnych wraz z końmi, siodłami i lepszą ich odzieżą. Wreszcie wierzono, że zmarli w nocy się zbierają i dlatego rozstawiano tam ławki dębowe; na nich zawsze w obfitości zastawiano miód najlepszy i jedzenie z ciasta nakształt sera, aby tem się żywili. Dnia pierwszego października w tych lasach wielką obchodzili uroczystość: zbierał się naród wszystek z całego kraju, każda rodzina w swojej chatce jedząc i pijąc, o ile tylko mogła najlepiej, wykonywała zwyczaj od ojców przyjęty[2]); wtedy przy ogniskach libacje czyniono bogom, a głównie temu, którego Perkumo, tj. piorunem, nazywano. Z Litwinami i Polakami Żmudzini język mają wspólny(!), bo nawet w języku polskim księża kazania im prawią“... W końcu tego rozdziału, w którym o bardzo wielu plemionach słowiańskich i niesłowiańskich mówi Boëmus, czytamy wzmiankę i o sławnem Krywe i Romowe w tych słowach: „W czasach bałwochwalstwa jednego mieli arcykapłana, którego Crive nazywali; mieszkał w mieście Romowe (od Roma — Rzym tak nazywanem)“. Wzmianka ta u Boëmusa ma się stosować do Rusi moskiewskiej, którą „Moscovia“ nazywano.

[1] Sielanki Wergiljusza II. 60.

[2] Uroczystość ta „Dziadami“ się zowie i 4 razy do roku się odbywa. Datę 1 października podaje Boëmus mylnie zamiast 1 listopada. Porównaj co o tej uroczystości mówi Mickiewicz we wstępie napisanym prozą do II. części „Dziadów“.

Lublin. *Rafał Lubicz.*

Z KSIĄŻECZKI PAMIĄTKOWEJ.

Życie trwarde i okrutne tak się dziś samo układa, że prawie cały ogół zaczyna się stawać pesymistą w pospolitem tego słowa znaczeniu. Ale to, co w przeciętnych jest tylko wyrazem, oznaką chwilowego usposobienia, to w literaturze — jeżeli pesymizm jest szczery i prawdziwy — pochodzi z głębokiego cierpienia, z odczucia wielu krzywd i bólów moralnych, i jeżeli paradoksem, a raczej przesadą, nazwać można zdanie, że życie z gruntu jest złem, to nie mniejszym paradoksem nazwać trzeba zdanie, że życie z gruntu jest dobrem. Następstwa bowiem pesymizmu są niezawodnie smutne, ale następstwa optymizmu — chyba stokroć gorsze, gdyż, jeżeli życie jest dobre, w takim razie w dalszej konsekwencji, jest ono samo dla siebie celem, a więc i wszystkie sposoby życia i użycia muszą być dobre, czyli, że wszelkie nasze zakusy naturalne, mają prawo szukać urzeczywistnienia... W zakresie estetycznym, nie bez słuszności ktoś się wyraził, że tak jak gienjusz nacechowany jest czasem pewnym odcieniem szału, tak i zgoła niema talentu bez kropli goryczy, a więc i pesymizmu i pewnej niezmiernie czułej wrażliwości. Ta wrażliwość może sprawia, że ci, co ją odczuwają, są *artystami*... Bądźcobądź, bezstronnego, niefrazeologicznego a najzupełniej szczerego ocenienia pesymizmu w naszej literaturze nie doczekaliśmy się jeszcze.

Warszawa. *Edward Lubowski.*

PARJASY.

Czy w sprawie oświaty ludu wszystko robimy, co możemy? Podobno odpowiedź wypadnie przecząco, mimo to, że się widzi coraz więcej gorących i wytrwałych na tej niwie pracowników. Dla udowodnienia swego przeczucia, dotknę tu parę szczegółów.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, że sprawa szerzenia oświaty cierpi na tem zawsze, jeśli nie sięga do podstaw, do dzieci. Nie stanie się potrzebą duchową książka dla tego, kto od lat dziecinnych do niej nie nawykł. A wszak prawdą jest, że gdy dla dorosłych stosunkowo obfitą jest już literatura, dla dzieci ludu zaledwie parę książeczek mamy, i do tego ceny ich dość wysokie.

Niezaprzeczoną jest też rzeczą, że bezpośrednim krzewicielem oświaty jest nauczyciel ludowy, że od niego — ilość jej i jakość tak bardzo zależy. A czyż się nim zajmujemy? O wszystkiem już nasi powieściopisarze i moraliści pisali, tylko nauczyciel ludowy był zawsze u nas jako parjas traktowany. Powie się, że on na to nie zasłużył, że on nie wytworzył typu, lub wytworzył typ ujemny. Naprzód, nic o nim nie wiemy, bo nań uwagi nie zwracano nigdy u nas na serjo; powtóre, czyż to tylko o typach się pisze? Kto wie jednak, czy tacy Leszewscy, Letynowicze, Sołtykowscy i t. d. nie przedstawiali oryginalnego, a wdzięcznego typu? Postać Leszewskiego np. rysuje mi się tak jasno na tle mieszczańskiego i urzędniczego światka niegdyś w małem miasteczku, a dzisiaj osadzie: widzę go, jak w wiecznie granatowym surducie bez plamki, w chustce batystowej, jak śnieg białej, siedzi w oddzielnej ławce pod chórem, zatopiony w cichej modlitwie; widzę go, jak o późnej godzinie, schylony nad stoliczkiem, na którym pali się jedna świeca łojowa, ze skupionym duchem pracuje; pamiętam, jak ze łzą w oku słucha użaleń na los biednych sąsiadów i pociesza, jeśli pomódz nie może. Była to postać najcichsza i najczystsza z całego otoczenia, a tak użyteczna...

Albo ów Batorski ze starannie wygoloną, o regularnych rysach z zawsze pogodną twarzą? Z jakimże zapałem, stojąc na środku izby szkolnej, opowiadał o Batorym, a my, zachwyceni, pytaliśmy się: czy on był blizkim krewnym pana profesora? Kiedy wykładał naukę moralności, biły nam serca z niepokoju, bo, jakkolwiek łagodnie, ale nieco i złośliwie, dawał przykłady cnót i występków z naszych własnych czynów. A znał nas, jak własne dzieci, a pamiętał doskonale każdy nasz postępek od samego początku roku.

Sołtykowski znowu, wysoki, chudy, wiecznie w granatowym fraku i z zieloną umbrelką nad oczami w szkole, a na ulicy z ogromnym daszkiem u kaszkietu. Nie mówiono wtedy jeszcze u nas tak wiele, jak dzisiaj o „metodzie poglądowej", a przecież tak poglądowo uczył wszystkiego, tak jasno tłómaczył wszystko, że — doprawdy — nie wiem, czy ta szkółka elementarna nie przygotowała mię więcej do życia, niż prelekcje uniwersyteckie...

Prawda, pamiętam i paru innych, co niezbyt byli godni pamięci; ale wiem, że nie wszyscy byli takimi.

Jeżeli jednak literatura o tych poczciwych pracownikach nie wiedziała, to otoczenie przynajmniej wiedziało o nich; lekceważyło ich najczęściej, ale nie stroniło od nich.

Dzisiejsze atoli losy nauczyciela początkowego, szczególniej wiejskiego, są nader ciężkie. Pomijam wszelkie inne okoliczności, a zwracam tylko uwagę na stosunek jego do najbliższego otoczenia.

Niedawno, będąc na wsi, mogłem to zaobserwować. Po sumie w parafialnym kościołku, widziałeś, jak zwykle, gawędzące gromadki osób na cmentarzu kościelnym: tu obywatele okoliczni gawędzili swobodnie, tam gromadka jedna i druga oficjalistów, tam służba dworska, tam włościanie. Zauważyłem na uboczu samotnie stojącego młodzieńca: do żadnej grupy się nie przyłączał, nikt go też ku sobie nie garnął. Był to nauczyciel wiejski. Swój do swego dąży: zabrałem też z nim bliższą znajomość. Dowiedziałem się od niego, że napróżno starał się o przypuszczenie do towarzystwa, że przyczyną główną niechęci ku niemu jest pamięć, jaka pozostała po niecnym jego poprzedniku, oraz opinja o jego kolegach z gmin sąsiednich. Sprawdziłem potem słuszność jego spostrzeżeń; zrozumiałem i słuszność względną, dla której mój młody znajomy podejrzliwie był traktowany. Ale, z podobnego postępowania, jakie skutki wypłyną dla sprawy oświaty ludowej? Wobec takiego położenia lękam się, czy młody krzewiciel światła nie zgorzknieje, czy zamiast pożywnego pokarmu — trucizną dziatwy poić nie zacznie?

Czyżby zatem kwestji nie należało inaczej stawiać? I bezwątpienia, tak; należy do tych ludzi się zbliżać, krzepić ich na duchu, pracować nad nimi: z obojętnych robią się gorliwi, ba, ze złych dobrzy — i przeciwnie — najlepsi mogą upadać na duchu. Zamykanie zaś oczu, odsuwanie się, zawsze szkodliwe tylko wyda owoce.

Nie miałem tu zamiaru pisać rozprawy wyczerpującej: pragnąłem tylko zwrócić uwagę przyjaciół oświaty ludu na okoliczności niezawodnie ważne, zabiegów godne, a pomijane.

Warszawa. *Florjan Łagowski.*

SPRZECZNOŚCI SPOŁECZNO-EKONOMICZNE.

Żadna gałąź tak zwanej wiedzy ludzkiej nie nastręcza z pewnością tylu powodów do sprzeczności, nawet wewnątrz oddzielnych obozów literackich, ile ich dostarcza najmłodsza rzekoma nauka — której przyjęte już i upowszechnione miano „Ekonomja powszechna".

Weźmy choćby dwie najbardziej krzyczące a więc z jednej strony: zawziętą walkę przeciw tak zwanemu socjalizmowi państwowemu, w imię wielkiej jakoby dźwigni i siły złożonej w inicjatywie prywatnej i samopomocy (rzeczywiście syndykaty napełniają silnym kieszenie, strejki ubogim często głód przynoszą), a z drugiej zaś, wołanie o „reglementację i pomoc państwa, tam, gdzie zgodna z interesem doktryna, wygłaszając pewne postulaty, nie znajduje sposobu o własnych siłach ich urzeczywistnić.

Sypały się tedy wyrażenia najdosadniejsze, przezwiska najzjadliwsze, na człowieka, co miał odwagę i śmiałość przeprowadzić w prawodawstwie państwowem prawo zabezpieczenia przeciw śmierci głodowej lub obowiązkowej żebraninie, niedołężnego i pozbawionego sił wyrobnika. Była to rzekomo straszna uzurpacja w dziedzinie swobody indywidualnej, skoro rzecz sama powinna się była rozwiązać przy pomocy inicjatywy prywatnej, lub zasad chrześcijańskich (jedno z dwojga, stosownie do usposobień piszącego).

Co jednak zrobiły dotąd owe czynniki od czasu wystąpienia na scenę kwestji proletarjatu (?), na to nikt nie odpowiada, a odpowiedź chyba się znajdzie w awanturach belgijskich i wykrętnej polityce, panującej tam w parlamencie burżuazji.

Otóż w opinji rzeczników owej mniemanej swobody została ona podeptaną przez polityka bezwzględnego, człowieka krwi i żelaza i gwałciciela wszelkiego prawa. I zrobił to ów bezwzględny polityk, rzekomo nie ze względów ludzkości, nie ze względów częściowego chociaż rozzbrojenia zapędów socjalnych,

lecz jedynie jakoby, ażeby rzucić całe rzesze, a więc siłę ogromną, pod nogę państwowego „Molocha". Za gwałt podobny, zadany mniemanej swobodzie, jej rzekomy gwałciciel i po śmierci politycznej jest jeszcze zawzięcie ścigany przez naszych polityków i gazeciarzy.

To jedna strona medalu; zobaczmy teraz odwrotną. Jeżeli ludzie tego samego, co i poprzedni publicyści, obozu, domagają się uregulowania w drodze przymusowej służebności przysługujących włościanom na dworskich obszarach, to, jakkolwiek wymagania te są w wyraźnej sprzeczności z poglądami cytowanemi wyżej, mogą mieć wszakże niejakie uzasadnienie, zarówno, w wyraźnie wypowiedzianych zamiarach samego prawodawstwa, jak i w praktykowanem w sąsiednich krajach prawodawstwie agrarnem.

Mniej konsekwentnym wydaje się okrzyk na cła zbożowe niemieckie, obok radosnego przyklaskiwania każdemu podniesieniu ceł krajowych, potrzebnych jakoby dla ochrony krajowego przemysłu, który przecie, jako kapitalistyczny, zdolniejszym jest chyba do samoobrony, niż rozproszony i ubogi proletarjat. Niekonsekwencja jednak, polegająca na stosowaniu różnych miar do jednorodnych rzeczy, występuje daleko jaskrawiej w kwestji dalszego rozwoju drobnej własności ziemskiej.

Zaledwie się pojawił zarys ustawy Banku włościańskiego dla Królestwa, zaraz zaczęto wygłaszać rozmaite pobożne życzenia, co do dróg i kierunków, jakiemi Bank, w celach dobra polityki ekonomicznej, kroczyć powinien. Zabrano się więc podług doktryn ekonomicznych, do segregacji gospodarstw na wielkie, średnie i małe. Uznano, że średnie są najbardziej pożądane, małe zaś czyli „*Karłowe*" są nie produkcyjne, a nawet *szkodliwe* jako nie produkujące na sprzedaż i odciągające jakoby posiadaczy od zarobkowania na polach folwarcznych. Uznano więc, że nie należałoby udzielać pożyczek na kupno drobnych parceli, zachęcając jedynie zamożniejszych do zaokrąglania swoich posiadłości, i ułatwiając im komasację, czyli przejście do osad kolonjalnych.

Projekty podobne, oprócz niejakiej niekonsekwencji wobec sprzecznych idei, samopomocy i interwencji państwowej w prywatne ekonomiczne stosunki, rozmijają się niemniej z praktyczną możliwością. Bank, jako taki, nie może zajmować się żadną czynnością administracyjną, mając za jedyne zadanie udzielanie pożyczek potrzebującym, z dostatecznem tych pożyczek zabezpieczeniem. To narzucanie bankowi zadań, graniczących z socjalizmem państwowym, trudno daje się pogodzić z głosami tegoż samego obozu o projekcie ochrony lasów prywatnych, który był poczytywany jako niepotrzebne ścieśnienie praw własności, oraz oddanie właścicieli na łaskę i niełaskę biurokracji; a jednak ten ostatni projekt zawierał w sobie więcej warunków ekonomiczno-społecznych, dążąc do zabezpieczenia kraju od przypadłości stepowego klimatu i do zapewnienia, dla zdrowia ludzi nieodbitych, opału i dachu, przed lekkomyślnem i samowolnem tępieniem wszelkich drzewostanów. Lecz co najbardziej razi w tych pobożnych, skierowanych do banku życzeniach, to ta niesprawiedliwość w chęciach pozbawienia biedaków pomocy w nabyciu pożądanego skrawka ziemi.

Mylnem jest mniemanie, że posiadanie małego kawałka ziemi, nie tworzącego samoistnego gospodarstwa, odrywa posiadacza od korzystnego zarobkowania, choćby na polach folwarcznych. Nie opuści on z pewnością zarobku, który mu już raz dostarczył zadatku do zostania właścicielem; jest i to dla niego szczęściem, jeśli podczas zarobkowej posuchy znajdzie w domu własny kartofel i choćby łyżkę kaszy jęczmiennej: żaden bowiem z większych właścicieli nie będzie twierdził, że jakiekolwiek gospodarstwo folwarczne jest w stanie

wszystkim bezrolnym na swojem terytorjum zapewnić całoroczne utrzymanie skoro tesame gospodarstwa, przez lato i część jesieni potrzebujące ich dużo, w innych częściach roku, mogą tylko minimalną liczbę robotników zatrudnić.

Nie mieszkał chyba na wsi i nie obcował z ludem, kto nie zna tego zapału, z jakim pracowity i trzeźwy wyrobnik ciuła zwolna grosze, daje je i na pożyczki je oddaje, dostając w procencie staje lub dwa ziemi, gorliwie ją uprawia, ażeby zdobyć pożywienie, a gotówkę oszczędzić i przyjść do posiadania choćby chałupy i ogrodu. Gdy zaś dojdzie do urzeczywistnienia tych marzeń, jakże jest z tego dumny, że ma swoje, że nikt go nie wyrzuci i że choć w czasie odpoczynku po pracy dla innych, czuje się panem u siebie!

Nic tak nie uszlachetnia człowieka, jak dojście do własności o własnych siłach. Taki, nie tylko gruntu nabytego nie straci, lecz go z pewnością przyspoży; traci się nieraz dziedzictwo, lecz prawie nigdy to co się nabyło. Tacy właściciele są bezwątpienia jedną z mocniejszych podpór konserwatyzmu; ich dążności, to ujście moralne wszelkich pożądań, które broni proletarjat wiejski od podmuchów rewolucyjnego socjalizmu, i tłómaczy przyczynę, dla której ten socjalizm na wsi nie znajduje gruntu.

A jednak nie kto inny, tylko rzecznicy konserwatyzmu odsądzają biedaków od prawa posiadania własnego kąta, na mocy suchej i pedantycznej doktryny o większej lub mniejszej intensywności siły produkcyjnej, tak jakby człowiek miał być wyłącznie maszyną, a cel jego jedyny: największa ilość produkcji. Innych moralnych, a częstokroć wyższych nad produkcję potrzeb, doktrynerzy nie widzą.

Gidle, gub. piotrkowska. *Juljan Łapicki.*

NAJAZD W LITERATURZE NADOBNEJ.

Jak ongi tatarskie najazdy na kresy, tak na naszą literaturę nadobną, rozpoczynają się dokonywać najazdy ze stepów realizmu, naturalizmu, pozytywizmu i jak się tam nazywają, wszystkie te nowożytne *izmy*.

Opłakiwano tamte; można ubolewać i nad tym najazdem moralnym. Pesymiści upatrują w nim objawy rozkładu, zepsucia, moralnej gangreny. Ale są dwa rodzaje pesymizmu. Jeden bezbronny, lamentujący; drugi od stóp do głów zbrojny w krytyczne przybory myśli i woli, dążącej ku lepszemu. Taki pesymizm uznaje i wypowiada co jest czarne i złe, ale zarazem wnikając w istotę rzeczy, przez rozpoznanie złego, dąży do naprawy. Jest to pesymizm ochronny.

W danym razie nie ograniczy się on na stwierdzeniu objawów i złych skutków rozpoczętego najazdu nowożytnej sofistyki na naszą literaturę nadobną, nie ulubuje sobie tragiczności jej stanu bezbronnego, lecz wobec faktu, pocieszy się rozpoznaniem niezbadanych dróg ducha. Słowem, dla myśliciela najazd ów niczem innem nie jest, jeno reakcją duchową przeciwko zakorzenionemu nałogowi, który ducha literatury naszej nadobnej trzyma na uwięzi zaczarowanego koła. Reakcja ta będzie może brutalną, ale bywa to i po drogach ducha, że przez kałuże i błota brnąć trzeba na równą i bitą drogę.

Cała nasza nowożytna literatura nadobna — z wyjątków arcydzieł ducha — a więc zwłaszcza masa tej literatury, ów chleb powszedni, kręci się około oklepanego, a niewyczerpanego sentymentu. On jest osią, wytyczną, celem i środkiem; a wszystko co człowiek wie, umie, nad czem zdolen rozmyślać, badać, stawiać wnioski, problemata, to wszystko z literatury tej poniekąd jest wykluczone, albo w niej zepchnięte na szary koniec powszedniej encyklopedyczności.

Nie tak bywało ongi w epokach poprzedzających bezwzględne rozpanoszenie się sensualizmu i sentymentalizmu. W całej, oczywiście, mało jeszcze rozwi-

niętej i stąd jednostronnej literaturze naszej zygmuntowskiej, pozygmuntowskiej, nas, dzieci innej epoki, aż razi niedostatek w objawach uczucia, a zwłaszcza zupełny prawie brak sentymentalizmu. Jeżeli się nie mylę, to pierwszy Jan Chryzostom Pasek uznał za stosowne, w pamiętnikach swych, wspomnieć na swój sposób o zalotach do podżyłej wdowy. Znać tu może w nim już wpływ niezdrowego romansu, przebytego w duńskiej Kapui Czarniecczyków. Lecz i ten objaw pierwszy, wyraźniejszego sensualizmu i sentymentalizmu w naszej literaturze nadobnej, jakże jest dziwnie skromnym! Opisując oświadczyny swe, wyjawia przed czytelnikiem wszystko, co powiedział wedle swych pojęć o przykładności *pracowitego* stadła, a zaledwie okolicznie wspomina, że także była mowa „o afektach". Albo afekta te w ludziach onego wieku nie były jeszcze rozwinięte, albo też, co słusznie przypuszczać należy, drobiazgowe i ckliwe spowiadanie się z nich, owa „analiza duszy ludzkiej" w tym kierunku nie zdawała się dla nich ciekawą i właściwą.

Już nieco mniej dyskretnym był pod tym względem drugi bohater z owej, czyli raczej następnej, epoki: król Jan III. Ale i on, gdyby był przewidywał, że listy jego do Marysienki staną kiedyś przed publicznością następnych pokoleń, łaknących sentymentalnej obrazowości, byłby zapewne wstrzemięźliwszym w wyrażeniach i tęsknotach...

Nie może być zadaniem chwili wykazywanie, jak się u nas sensualizm i sentymentalizm rozwinął w obyczajach i odbiciu ich literackiem. Fakt tylko nagi stwierdziło się z góry, jako to doszliśmy do stanu, w którym prawie cała masa literatury nadobnej, kręci się jakoby około ptasiego śpiewu. O tym zaś sławny podróżnik i zoolog Brahm powiada, że czy to u słowika naszego, czy u któregokolwiek złotopiórego mieszkańca podzwrotnikowej puszczy, nie oznacza i on nic więcej, jeno zawsze ten jeden temat: „kocham cię, kochaj mnie".

Barbarzyńcem byłby, ktoby z literatury nadobnej, wypędzić chciał temat tak piękny i miły. Bynajmniej! Mówi się tylko o niezdrowej, zachwaszczającej przewadze, jaką zyskał; że aż wywołuje — a to jest fakt drugi — ów rozpoczęty najazd brutalny tatarskiego żywiołu, najazd, który jest przykrym i groźnym, ale w gruncie rzeczy niczem innem nie jest, jeno palcem bożym. Wskazuje on, że step literatury naszej nadobnej jest po trosze pustym i zachwaszczonym, otwartym na najazdy i że go wziąć należy pod oprawę racjonalną, ochronną.

Sprawa zupełnie nie przegrana. Razem z najazdem duchowych ord, zbudzili się ze snu kresowi obrońcy. Świetnie się już rozwinęła powieść historyczna. Niechajby jej koryfeusze wytrwali w ochronnej drodze, a nieciekawą „analizę" powszedniej duszy tuzinkowego człowieka, za przykładem pana Paska, zawiesili gdzieś w ostatnich trokach literackiego rynsztunku.

Tak się powiedziało: może choć źdźbło w tem prawdy.

Poznań. *Dr. Władysław Łebiński.*

DZIENNIKARZ.

Z uderzeniem godziny trzeciej po południu otwierające się drzwi od handlu Stępkowskiego na placu Teatralnym, wyrzuciły na ulicę młodzieńca lat trzydziestu, który wyglądał, jak gdyby dopiero co wychylił ostatni kieliszek, zalewającego wyśmienite śniadanie burgunda.

Spieszyło mu się i biegł przez ulice, nie zatrzymując się nigdzie, aż w bramie domu, nad którym była ogromna tablica z napisem: „Redakcja".

Minął kilka sieni i zakrętów i uchylił drzwi, nad któremi też widniał mniejszych rozmiarów napis „Redakcja".

Wszedł. Trzy nizkie i zadymione pokoiki były w tej chwili puste i mieściły w sobie tylko stoły i biura, zawalone dziennikami i papierami, książkami i popielniczkami. Okopcone ściany, przykrywały mapy i olejodruki, drzeworyty powycinane z pism, przeróżne obrazki.

Zrzucił ze siebie palto ruchem pełnym znudzenia i spojrzał na zegar, którego wskazówki dochodziły do wpół do czwartej. Ziewnął przeciągle i usiadł przy biurze, w jednę rękę uchwycił dziennik, noszący napis „Figaro", a w drugą ołowek. Czytał.... Ale to czytanie mu nie szło, bo co chwila przeciągał się na krześle, to ziewał, to wzdychał ciężko, jak skazaniec, to przerabiał nogami, jak zniecierpliwiony siedzeniem student, to się poprawiał w siedzeniu, jak człowiek, broniący się gwałtownie od ogarniającej go senności. Wreszcie przeczytał całą jednę czwartą część kolumny, zatytułowanej „Chronique mondaine", rzucił pismo z furją za siebie i napisał na leżącej przed nim ćwiartce białego papieru z ośmnaście wierszy.

Straszliwie westchnął, ziewnął i zerwał się. Podbiegł do tuby, umieszczonej w kącie pokoju.

— Jest tam chłopieeec?

W odpowiedzi coś zaszumiało w rurze i młodzieniec w nią dodał:

— Niech tu przychodzi.

Sam zaczął chodzić po pokoju.

— Co za wściekła robota... zabijatyka! — mruczał.

W tem wyrostek, jakich zawsze kilku w redakcjach do posyłek, wpadł do pokoju.

— Co pan każe?

— Dmuchaj i przynoś mi czarnej kawy!

Chłopak pobiegł, a młodzieniec upadł na fotel.

— Tak mi się nie chce, tak mi się nie chceee... zawołał, wyciągając się, jak długi.

Ale się przemógł i uchwycił dziennik „Le Temps". Przerzucał go, gdzieniegdzie zatrzymując się oczami.

— Nic niema w tych bibułach! — mruknął z niezadowoleniem — i on mi z tego każe zrobić sto pięćdziesiąt rubli miesięcznie... osioł!.. niech spróbuje! Katorżna robota...

Czytał... Wtem chłopak wpadł z kawą i postawił ją przed zaczytanym. Młodzieniec z pośpiechem jednakże zaczął pisać w dalszym ciągu swych ośmnastu wierszy, zacząwszy *a capite* i od słów „Straszny skandal", które dwa razy podkreślił. Napisał znów wierszy piętnaście i rzucił dziennik, a kartę papieru odsunął z przed siebie gestem pełnym utrudzenia. Wypił kawę dwoma haustami, oparł się o poręcz krzesła, zasłonił twarz dłonią i zaczął mruczeć:

— Czemu ja taki niewyspany? Wczoraj żegnaliśmy Julka; to węgierskie — to djabła warte... przedwczoraj... raut u Frania... niegdyś posiedzenie „Gwiazdy", urznął się też ten Oleś... hi hi hi...

Długo dumał, by nagle się zerwać i uchwycić nowy dziennik, noszący tytuł „Le journal des débats".

— Aaa... ta dziennikarska robota... katorżna robota... siedzę tu trzy godziny i kilkanaście wierszy...

Zaczął rachować wiersze...

— Trzydzieści i trzy! po cztery kopiejki... jeden rubel i coś — ot zarobek! pióro! pracuj!! jak wół! u licha...

Wtem drzwi się otworzyły, wpadł do pokoju młody mężczyzna.

— Jesteś? — zawołał — to dobrze!..

Siedzący przy biurze podchwycił, podając gościowi rękę:

— Siadaj i nie przeszkadzaj mi... mam kupę roboty... za godzinę muszę oddać do drukarni... która tam?

— Wpół do piątej.

Gość usiadł, a młodzieniec zaczął wertować trzymany dziennik. Nagle ziewnął i zawołał:

— Wściekła praca! mówię ci — to dziennikarstwo... siedzę tu już pięć godzin.

— Pięć godzin? Przed chwilą widziałem cię na mieście.

— Aaa...

Ucichło. Jeden czyta, drugi notuje coś przy swem biurze. Naraz ten ostatni znów się zerwał i pobiegł do tuby, w którą dmuchnął:

— Przysłać mi tu chłopaka!

Odwrócił się do gościa.

— Zaprosił mnie na śniadanie ten Władzio... za dużo piłem... ja nie znoszę wina...

Zwrócił się do chłopaka.

— Herbaty!

Upadł na kanapę i mówił:

— Nie uwierzysz, jak nas ci redaktorowie wyzyskują. Za pół dnia takiej wściekłej, szalonej pracy, pobieram sto pięćdziesiąt... to jest gwarantuje mi tyle, ale gdzieby człowiek zdołał tyle zarobić! Siedzę tu sześć godzin i mam zaledwie trzydzieści i kilka wierszy...

Po ustach gościa przebiegł niedostrzegalny uśmiech, a dziennikarz dalej prawił:

— Człowiek się zapracowuje... trzeba przejrzeć kilkanaście dzienników, wyciągnąć co warto, a wszystko prędko... zaraz... bo już nad tobą stoją z drukarni. Podła robota! Ja się z redaktorem muszę rozmówić. Nie podobna się tak zabijać. Ot... Aaaaa... Haaaa... Uuuuu... jakie ziewanie, takie nerwowe ziewanie z nadmiaru pracy! Nie masz pojęcia, jak to dziennikarstwo wycieńcza...

Przyniesiono herbatę.

Wstał, znów usiadł przy biurze i, popijając herbatą, to przeglądał dziennik, to pisał w dalszym ciągu swych trzydziestu i kilku wierszy, a pisząc, mruczał:

— Nic w tej bibule niema... marna robota... Sara Bernhardt... to dobre... hahaha!.. trzeba napisać... katorżna praca... Aa! jak mi się też nie chce... niech jasne pioruny!

Rzucił pióro i wstał, chwytając za papier:

— Ot i masz! nie zarobiłem na obiad, ledwo na tę herbatę! a siedzę tu... która godzina?

— Kwadrans po piątej.

— Od dwunastej! pięć godzin! czterdzieści wierszy, rubel sześćdziesiąt! to mi zarobek!! bo też i w tych dziennikach nic niema. Powiedz! czy to możliwe? Siedzieć tu codzień, jak zegarek, od południa, pół dnia za taki marny pieniądz. Aż dreszcze ze zmęczenia przebiegają po ciele i takie nerwowe wycieńczenie...

Zaczął znów straszliwie ziewać, a ziewając zawezwał chłopaka i kazał mu odnieść papier do drukarni.

— Cóż tak dziś ziewasz? — zapytał gość.

— Ot, bo, widzisz, szedłem do redakcji i spotkałem tego Felka... naturalnie, poszliśmy do Stępka... burgund mi nie służy... Ledwie się wytrzeźwiłem.

— Tą herbatą?

— Ba! piłem i kawę! i zdrzemnąłem się chwilę...

— Gdzie?

— Ano tutaj! Od czegóż redakcja!

Włożyli paltoty na ramiona i wyszli.

— Brrr... — zamruczał dziennikarz, gdy go owiało mroźne powietrze — aż lepiej w mózgu po takiej pracy. Ta dziennikarska robota — to zabijatyka... kilka godzin — kilkanaście wierszy i tak człowieka z nóg zwali... Już nic nie będę mógł dziś robić, tylko spać!..

Ożarów. *Wincenty hr. Łoś.*

NIEWŁAŚCIWOŚĆ OBAWY ŚMIERCI.

Śmierć — to najstraszniejsze dla człowieka słowo! to najcięższe ze wszystkich na świecie nieszczęść, to przekleństwo, przed którem drży zarówno żebrak, jak monarcha. Śmierć czeka wszystkich i przeraża wszystkich, bo raz tylko spotyka każdego, ale niszczy wszystko bezpowrotnie, zrywa wszelakie węzły, wszelką ze światem i ludźmi łączność, której nikt, nic i nigdy znowu nawiązać, ni zbliżyć nie zdoła!

Tak pojęta śmierć może, a nawet musi w rzeczy samej, nabawiać najwyższą trwogą, rozpaczliwym strachem przed ową wszechwładną siłą, której żadna potęga fizyczna, ni moralna oprzeć się, ani uniknąć nie jest zdolną. Wszelako, bliższe zastanowienie się nad rzeczą nasuwa uwagę: kto właściwie *ma powód*, przestraszać się owej wszechniszczącej siły? Czy wszyscy? bynajmniej! chyba tylko ten, komu życie płynie w dostatku i przyjemnościach światowych i kto w dwóch tych warunkach pokłada *jedyny* cel życia. Pospolicie atoli dzieje się inaczej: przeważająca większość pędzi życie w niedostatku, a dla lepszej właściwie ludzkiej części żyjących, przyjemność nie jest warunkiem, a tem mniej celem życia; nawet majętni spotykają się z tylu przykrościami, że często życie mniej ma dla nich powabu, niż dla wyrobnika. Kto więc i *dlaczego* ma tak strasznie przerażać się czekającą go śmiercią? nie pojmujemy. Świat jest wprawdzie piękny, ale zły; jest *człowiek* dobry, zato *ludzie* nie dobrzy; nadzieji dużo, ale zawodów więcej; rozkosz chwilowa, a troska wieczna; usiłowań mnóstwo, skutków maluczko; praca żmudna i nieustająca; wiadomości mało, pewności żadnej.

Oto bilans życia, — zaprawdę, nie ponętny! Dlaczegóż zresztą rozpaczać i dręczyć się myślą o śmierci, jeżeli wiemy, że ona *nieunikniona*, dlaczego przeklinać i narzekać na to, czego niczem odwrócić nie zdołamy, dlaczego bać się tego, co jest nieodwołalnem? Co żyje, umierać musi; jest to jedyna pewność na świecie, jedyne oczekiwanie, które nie zawodzi: zatem każdy i zawsze spokojnie na śmierć przygotowanym być winien, bez trwogi i żalu, bez radości ni smutku, gdyż ona jest koniecznem, *fizjologicznem* następstwem życia. W ciągu życia zużywa się organizm, a zużyty przestaje istnieć. Jak noc zapada po dniu,

tak też śmierć po życiu. O ile noc jest pożyteczną, dostarczając nam przez rośliny niezbędnego do życia tlenu, tak znowu śmierć jednego człowieka, ustępuje miejsca drugiemu, a ponieważ nic na świecie nie ginie marnie, gdyż nawet zeschły liść służy za pokarm dla kiełkującej nowej rośliny, więc też i Pan stworzenia nie może znikać bez śladu — musi istnieć, chociaż w innej postaci.

Owa przecież spokojna, beznamiętna obojętność dla świata i spraw jego, z jaką umierający odchodzi z padołu płaczu, owo poczucie bezwzględnej prawdy, zniewalające go do wyznania win, grzechów i zbrodni w chwili konania, owa nareszcie pewność cichego spoczynku na wieki, bez troski, obok zupełnego *zapomnienia* walki życiowej, niby w śnie łagodnym, nigdy nie przerwanym, a często nadzieja lepszego życia, — mają w sobie coś tak wzniosłego, z czem nic za życia porównać się nie daje. Jeżeli więc ktoś jest wobec śmierci godnym politowania i żal wzbudzającym, to, zaiste, nie umierający, ale osoby pozostałe, które tracą go niepowrotnie! Cóż zatem przeraża ludzi w akcie śmierci? Objaśnia to *Seneka*, mówiąc: „Nie straszną jest śmierć, będąca zjawiskiem naturalnem, ale strasznym jest *wstęp* do niej".

Owóż tym „wstępem" jest *choroba*, zgon poprzedzająca. Śmierci, jak powiedzieliśmy, uniknąć nie możemy, zato obowiązkiem i głównem zadaniem każdego człowieka być winno: chronić się wszystkiemi siłami od choroby, która, łącząc się z dokuczliwem cierpieniem, przeraża obawą wzmagania się dolegliwości, prowadzących do śmierci. Zapobieganie chorobom leży najczęściej w mocy naszej, albowiem choroba jest nieprawidłowym objawem życiowym w następstwie szkodliwych zdrowiu warunków i zboczenia stąd czynności organicznych. Znając naturę czynności naszego ustroju i potrzebnych do tego warunków, możemy snadnie uchronić się od szkodliwości, zatem od choroby. Zasady prawidłowego życia i wiadomość o wszelakich szkodliwościach dla zdrowia podaje hygjena, z czego wynika, że *powinnością człowieka jest dokładne zapoznanie się z prawidłościami hygjenicznemi dla uchronienia się od choroby*, a wtedy możemy spokojnie, bez obawy, wyczekiwać kresu życia, którym jest *śmierć*.

Warszawa. *Dr. Henryk Łuczkiewicz*[1]).

[1]) Zmarł w Warszawie d. 6-go kwietnia 1891 r.

PRZYPOMNIENIE.

W roku 1861 byłam po raz pierwszy w życiu przy zgonie człowieka. A był to człowiek wszechstronnie nie zwykłej miary:

Przebiegł długą przestrzeń życia — lat przeszło dziewięćdziesięciu.

Miał wielkie imię z rodu i z czynów, był jednem z ogniw łańcucha dziejowego, na którem zaznaczono stulecie narodu.

O nim to Słowacki powiedział niegdyś: „Jednego tylko znałem szlachcica“...

Nazywał się Adam Jerzy książę Czartoryski, syn generała ziem podolskich. Umarł zdala od kraju, na ziemi francuskiej; ale umierał wśród rodziny, przyjaciół, wielbicieli i sędziów, wytworzywszy na około siebie duchem i otoczeniem, obyczajem i pamiątkami, odłamek ziemi rodzinnej.

Los zbliżył mnie do tego wielkiego starca w ostatnim roku jego życia, i parę wspomnień odnoszących się do tej chwili, ślę do księgi pamiątkowej, przeznaczonej na cześć serdeczną dla znakomitej rodaczki. Zobaczyłam go po raz pierwszy w hotelu Lambert, śród wieczornych świateł salonu, otoczonego orszakiem mężów z przeszłości. Każde wymienione nazwisko wprowadzało mnie w zachwyt, w zdumienie... Świeżo przybyła z kraju, wychowana w twardych tradycjach, byłam pod urokiem. W żywych ciałach stali przedemną ludzie, którzy w młodzieńczej wyobraźni należeli już tylko do świata moich książek, czytywanych nocami, do powieści ojca przy ogniu domowym, do piosnek matki mojej! Po wieczerzy w pięknej galerji, zdobnej pędzlem Le Brun'a i Lesueur'a, gdym stała pod wrażeniem myśli nowych, książę Adam podszedł do mnie wolniutko i z właściwym sobie uśmiechem dobroci i uprzejmości powiedział:

— Co pani myśli sobie o nas, że my tu na obczyźnie tacy gwarni, często weseli i śmiejący się...

Spojrzałam z uczuciem szacunku na tę piękną, szlachetną, dumną, choć śród trosk schyloną głowę, podobną do ziemskiego globu, oznaczonego bruz-

dami całowiekowych linji granicznych, zmian, cierpień, tęsknot, strat i zawodów, i rzekłam po chwili:

— Tem większą jest zasługą zachować śród przeciwności pogodne czoło.

Odtąd był dla mnie przedmiotem serdecznej uwagi, tem rzewniejszej, że dni jego zwolna zbliżały się do kresu i że każdy z nich miał cenę pożegnania.

Wzywał mnie czasem do pomocy przy porządkowaniu dawnych papierów, kazał odczytywać sobie dawne swoje mowy i pisma i wpisywać poprawki i zmiany, które czynił do następnych wydań. Wtedy to widziałam spokojne, świadome celu, rozmyślne przygotowanie się do wielkiej podróży... do śmierci! Dla mnie, młodej, był to widok niezwykły i imponujący! To codzienne w formie rozkazów, poleceń, urządzeń, upomnień, krzątanie się jak około wyjazdu pewnego i blizkiego, miało w sobie coś wielkiego i jest jednem z silniejszych wrażeń z owej chwili.

Książę chodził, pracował, wyjeżdżał, łączył się z towarzystwem domowem i chętnie przypuszczał do siebie gości, interesował się wszystkiem, wsłuchiwał się wytężonem uchem i sercem w każdą wieść z kraju wstrząsającą podówczas, a jednak gasł i dogasał widocznie.

Lekarze zalecili świeże powietrze i 20 czerwca wyjechaliśmy do zamku Montfermeil, parę mil od Paryża na koleji strasburskiej położonego, tuż przy stacji Gagny.

Cała rodzina wyjechała już zrana, aby przygotować przyjęcie i oczekiwać na miejscu, po południu zaś zaszła poczwórna kareta, którą książę, z nieodstępną przy swym boku córką, miał odbyć podróż nie daleką.

W tej uroczystej chwili wyjazdu patryjarchy rodziny z domu, do którego już nie miał wrócić za życia, Hotel wydał mi się dziwnie opustoszałym.. Pozostali domownicy i słudzy wybiegli na pożegnanie z tajoną żałością i łzą w oku; dobry pan i opiekun żegnał z czułością każdego, smutna powaga i życzliwość była na obliczu jego... Przed samą podróżą wypił kieliszek starego wina z piwnicy króla Jana III., które się przechowało w familji Wąsowiczów pod nazwą *sukcesor* i którego parę butelek pani Wąsowiczowa, blizka krewna księcia Józefa Poniatowskiego, podarowała choremu; poczem konie ruszyły, wszyscy skłonili się, tłumiąc smutne przeczucia, a dwa wielkie psy, *Sułtany*, odprowadziły nas do bramy.

Droga była prześliczna; zamki gotyckie, parki wspaniałe i obfite plantacje brzoskwini, przewijały nam się przed oczyma; wiosna w całej pełni kwiatów i zieleni stroiła wszystko, zacierając obrazy smutnego pożegnania i wywołując uśmiech na sędziwe usta chorego.

Drogą wspaniałego *Avenu* zajechaliśmy przed ganek, gdzie cała rodzina oczekiwała podróżnego. Zamek Montfermeil jest podobno dosyć dawny i za wielkiej rewolucji francuskiej Szwajcarzy na jego dziedzińcach rezydowali. Należy do Markiza de Nicalay i od niego księstwo zamek wynajęli jako obfitujący w wyborne powietrze, przynoszone z parku i z sąsiedniego lasu Bondit, gdzie jeszcze za Karola X. gnieździli się rozbójnicy, aż do barjery Paryża podchodząc. Urządzenie wewnętrzne zamku dosyć zaniedbane, meble stare i niedostateczne trzeba było uzupełniać; malowideł mało, parę posągów w jadalnej sali i dwa staroświeckie zegary, były jej główną ozdobą. Ale salony wielkie, pokoji dużo do rozmieszczenia licznych gości, którzy tu codzienną odprawiali pielgrzymkę z zapytaniem o zdrowie, dla spojrzenia raz jeszcze w oblicze dogasającego męża. Wielu z nich nie mogło się pogodzić z Paryżem bez obecności tej rodziny, tyle lat garnącej około siebie tych, co tęsknili na obczyźnie.

Jak w panoramie, coraz inni przemijali się ludzie; nietylko Polacy, bywali i znakomici cudzoziemcy.

Montalembert, ksiądz Quatry, byli dziś jednocześnie z jenerałem hrabią Z. i z Andrzejem Koźmianem, synem gorącego klasyka, Kajetana, co to w Puławach gościł niegdyś. Koźmian nocował tu nawet i nazajutrz opowiadał, że wielkie było jego złudzenie, gdy zrana do pokoju przynieśli mu kawę, imbryczki z herbami dobrze mu znanemi...

— Istne Puławy — szepnął ze wzruszeniem, z którego wywiązało się pasmo wspomnień niegdyś tak drogich dla księstwa. Książę używa czasem małym wózkiem po parku przejażdżki; a całe towarzystwo towarzyszy mu piechotą; uśmiecha się wtedy do orszaku swojego z dobrocią, a chociaż siły coraz słabsze i łzą oko zachodzi, duch ciągle czujny, wszelkie fałszywe zdanie zawsze zbić i skarcić gotowy, zawsze najlżejszą nadzieję ogólnego dobra radośnie witający. Jak tylko jest silniejszy, zaraz chce pracować, każe sobie czytać, w ostatnich dniach pomiędzy innemi czytywano mu pamiętniki Guizot'a, czasopisma poznańskie i „Głos lwowski", każdy pragnie mu usłużyć, wszyscy się cisną, ale dalszym docisnąć się trudno, bo najbliższa rodzina, bezustannie pełni służbę około chorego.

A taki wdzięczny za wszystko, z takiem wzruszeniem wita i żegna przyjaciół, przybywających w odwiedziny! A jak tęskni za Paryżem, tęskni jak za miejscem, którego nie spodziewa się już zobaczyć... Ile razy stamtąd przyjeżdżam, pyta mnie; czy byłam w jego gabinecie, czy widziałam jego pokój... Przywiozłam mu też jednego dnia z jego stolika nóż do przecinania stronnic i lupę; on tak czule oglądał te drobnostki! Od 13 lipca zaczęły się dni najsmutniejsze: upadek sił, puchlina coraz dokuczliwsza, duszenie coraz częstsze; siostra zakonna ze zgromadzenia *de bon secours*, imieniem Katarzyna, wielce inteligentna, kochająca i przezorna, czuwa wraz z rodziną nocami.

Nadszedł stanowczy dzień 15 lipca.

Sypialnia księcia zamieniła się jakoby w kaplicę... Tutaj książę w gronie całego otoczenia, przyjął ŚŚ. Sakramenta; wszyscy do niego się cisną... Przejmujący to widok i niezwykły!.. Wszystkie drzwi w książęcej rezydencji otwarte na oścież, kto chce wchodzi, słudzy, przyjaciele, goście, przechodnie... obcy zupełnie, garną się na ostatnie modły i błogosławieństwa... Wszyscy klęczą... Po modlitwie umierający błogosławi, zaczynając od ziemi rodzinnej... Poczem siostra Katarzyna wymienia mu z koleji wszystkich czekających błogosławieństwa. Starzec nie zapomina nikogo, ma obfitość błogosławieństw i spuściznę miłości dla wszystkich! Widząc zbliżający się koniec, siostra Katarzyna podała mu w rękę gromnicę i rzekła: — *voici la lumiere de la foi...*

A po chwili dodała:

— *Courage... encore quelques minutes et vous serez le plus heureux.*

Za chwilę nie żył. Głośne łkania żalu ozwały się naokoło. Na jego czole tylko majestatyczny był spokój: potęga ducha, w sprawach życia ziemskiego niegdyś tak wielka, okazała się równie wielką w sprawach wiekuistego żywota i wygrała bitwę w ostatniej, ale najtrudniejszej walce.

Siostra Katarzyna, sama spłakana i strudzona, wyprowadzając smutnych z żałobnej komnaty, mówiła młodym tę piękną naukę: „Kto choć raz jeden w życiu śmierć dobrą widział, powinien się nauczyć tak żyć, aby umiał również w zgodzie z Bogiem i z ludźmi umierać".

Lwów. *Antonina Machczyńska.*

ANTEK.

— Jasiek od cugowych zachorował, głowa go okrutnie boli, że jej *udźwigać* nie może, a pan musi *stajać* w sądzie na termin — mówili parobcy przed stajniami.

— Któż pojedzie?

— A pan czy już wie o Jaśku?

— Wie, mówił mu na ugorze karbowy.

Pan wracał z pola, parobcy się cofnęli do stajni, a w tej chwili na kasztanie „Jacku“, prowadząc skarogniadą „Kaśkę“, wyjechał Antek... Pan popatrzał na zgrabnego dwunastoletniego chłopaka i przywołał go do siebie.

Antek zawrócił kasztana, podjechał rączo i stanął.

— Jakże się ma Jasiek?

— Chory, proszę pana.

— Jutro nie będzie mógł jechać?

— Pono, że nie.

— Pojedziesz ze mną.

Na chłopaka buchnęły ognie, nie mógł mówić ze wzruszenia.

— Cóż, kiedy się ciebie konie nie boją?

— Ale mnie okrutnie lubią, proszę pana, to i słuchają. Na Jacka jak inó zawołam Jacuś, Jacuś, Jacuś, zaraz-ci do mnie leci, choćby nie wiem jak był rozbrykany.

— A umiesz powozić?

— A ino, i jak!

— Nie będziesz się bał?

— A czego? ja do koni *nauczny* od maleńkości. Lubię je okrutnie.

— Krakuskę masz?

— Mam, czerwoną z czarnym barankiem.

— A piórko?

— Jest panie, latałem-ci po nie aż do samej Nagawczyny.

— Trzy mile!

— To i cóż... Ale piórko ma siwe oko... W skrzyni leży bielutka płótnianka.

— Jutro rano ubierz się i przychodź. Konie wyczyść, napaś, napój i zajeżdżaj. Niech ci Marcin pomoże zaprzęgać.

— Potrafię sam — zawołał takim głosem, jakby mu radość rozsadzała płuca, zawrócił i kłusował do wody.

Konie piły, „Jacek" parskał, „Kaśka" *grymasowała,* co się trochę napiła, patrzała głupia przed siebie i myślała. Antek mało się zajmował w tej chwili głupotą Kaśki. Odprowadził konie, uwiązał, zarzucił im koniczyny za drabinę, pieścił, klepał i radował się.

— Jutro ja wami pojadę, moje złociste. Tylo, Jacek, nie *fanaberuj,* bo jak cię batem *zdzielę,* będziesz wiedział! Jakżem ci zły, to nie żartuję. A ty Kaśka, ino się nie obzieraj na Jacka, żeby on za ciebie ciągnął, bo ja mu nie dam krzywdy zrobić, rozumiesz? Moje koniusie, nie zróbcie mi też wstydu przed ludźmi i panem! — Wycałował „Jacka" po szyi, „Kaśkę" poklepał, Jaśka przykrył derką, popatrzał na niego... Spał.

— I on się srogo zdziwi, jak ujrzy, że koni niema, a powiedzą mu, że ja niemi pojechał...

— Żeby to jutro jaknajprędzej przyleciało.

Stanął we drzwiach stajni i czekał na ludzi, odbierających we dworze kwitki za robotę.

Wysypała się cała gromada, Antek przypadł do niej.

— Wiecie — zawołał — że jutro „Jackiem" i „Kaśką" jadę z panem do Ropczyc?

— Gadali o tem w kuchni i dziwowali się.

— Patrzcie! gadali? a ja myślałem, że sobie pan ino tak ze mnie kpinkuje.

— Głupi, z takiego durnia pan by sobie kpinkował!

— Maryna, — szepnął Antek do siostry — lećmy naprzód.

— Leć *se* sam.

— Boję się *bez* las, a dużo do gadania i do roboty.

— Patrzcie, Antek radby ze skóry wyskoczyć z wielkiej radości, że z panem pojedzie. Mało co się nie *zagubi* za temi końmi. Nic nie ma u niego na świecie, ino te konie. Czekaj, jeszcze ty od nich padniesz!

Chłopaki zazdrościli Antkowi i dokuczali mu.

— Zobaczysz — wołali za nim, — czy ci Helina wyda odświętny bat.

— Musi! a nie, to powiem panu.

— A cobyś ty głupi z takim *wielgim* batem robił? Ani go *umisz* w garści utrzymać, ani nim śmignąć.

— Trzymałem go już ze sto razy!

Nie chcąc słuchać więcej żartów, szarpiących mu serce, pomknął naprzód, a gdy tylko minęli las, pognał do domu jak strzała.

— Matusiu! jutro jadę z panem do miasta, będę powoził „Jackiem" i „Kaśką".

— A cóż się stało z Jaśkiem?

— Jaśka głowa boli jak zwykle; niech się Matusia nie boi, nic mu nie będzie.

— Ty „Jackiem" i „Kaśką?"

— Jak Boga kocham! Maryna idzie, to powie. Pan kazał przyjść w krakusce i płótniance. Płótniankę trzeba gwałtem prać.

— Idź, idź głupi; nie będzie tygodnia, jakiem ci ją prała.

— Nie jest *galanta* jak się patrzy.

— *Kiejby* ci wyschła?

— Nim dolecę do dworu, wyschnie na mnie. Moja Matusiu złocista!

Nadeszła Maryna.

— Niech go matka nie słucha, on już tym wyjazdem na piękne zgłupiał.

— Co ty wiesz! — odparł z butą chłopak.

Obydwie, matka z córką, oglądały Antkową płótniankę i uradziły, że czyściuśka.

Antek wyjął ze skrzynki czerwoną krakuskę, otrzepał ją i oczyścił, piórko przypiął, nasadził na głowę i przejrzał się w Maryny lusterku. Uśmiech łagodnej radości przesunął się po jego twarzy.

— Żeby tak wąsy! — pomyślał. Bał się Maryny powiedzieć głośno.

— A to cię *wielgie* szczęście, mój Anteczku, spotkało, — ozwała się matka, głaszcząc go po głowie.

— W kuchni już o tem mówili. Zobaczy mnie cała wieś, ludzie w mieście, wszyscy! — Pocałował matkę w rękę. — Pojadę tym żółtym wózkiem o dużych kołach, z latarniami. Będę siedział wysoko jak król.

— A co ty *se* biedaku poczniesz, jak „Jacek“ zacznie chimerować? Jasiek mówi, że wtedy bić nie można.

— Matusiu, „Jacek“ mnie strasznie lubi, to mi nie będzie chciał *na despet* robić.

Upalił garstkę słomy, matka mu dała odrobinę tłustości, umieszał, wytarł buty i postawił je na kominie.

Jakoś przy wieczerzy nie miał apetytu, chociaż były ziemniaki z kwaśnem mlekiem.

— Jemu się z *wielgiej* uciechy nawet jeść odechciało — zauważyła Maryna.

— Bo ma z czego — odezwała się matka, mrugając na córkę, aby chłopcu nie dokuczała.

Po wieczerzy Antek ledwo się przeżegnał, padł na słomę.

— A nie podziękujesz to Panu Bogu?

— Jak wrócę, odpowiedział. Może się jeszcze co stać... Usnął.

Zaraz po drugiem pianiu kogutów zerwał się, pomyślał, podszedł do matki, obudził ją.

— Matusiu! a jak Helina nie będzie mi chciała bata dać?

— Dajże mi się wyspać! — ofuknęła go matka.

— Antek, jak *bedziesz* po nocy *sberesił*, to cię tak *lune*, że popamiętasz! — zawołała Maryna.

Antek zamilkł, ale się już nie położył. Omackiem znalazł buty, ozuł się, poszedł do studni, nalał wody do koryta, głowę zmaczał, twarz i ręce umył, uczesał sobie włosy palcem, wrócił do izby, zapalił szczypkę.

— A ty gdzie? — zapytała go matka, budząc się.

— Konie paść.

— Głupi, — powiedziała Maryna, — odwróciła się do ściany i zachrapała. Matka zrobiła to samo.

Antek oblókł czystą koszulę, wyjął ze skrzynki czerwoną wstążeczkę Maryny i zawiązał ją sobie u kołnierza. Czapkę z pawiem piórkiem nasadził na

głowę, wdział płótnianką, zapiął się, szczypkę wrzucił w popiół i wyszedł, zapierając cicho drzwi.

— Co tam „Jacek“ i „Kaśka“ robią? *cnie* im się o głodzie stać. Biegł w górę. Zatrzymał się przed lasem. Czarny był i ciemny.

Gdyby mu nie chodziło o „Jacka“ nie wszedłby w niego za nic na świecie. Miłość do „Jacka“ przemogła, przeżegnał się, oczy zmróżył, żeby ino drogę dojrzeć i pomknął.

— Byleby go przelecieć, reszta *fracha*!

Leciał bez wytchnienia; las się przerzedzał, gwiazdy świeciły, oczy szeroko otworzył, przed nim kładło się wielkie pole. Dopadł do zabudowań dworskich, otworzył bramę, zawołał na psy, a dobrze się z niemi znał, wszedł do stajni. „Jacek“ zarżał, „Kaśka“ mu zawtórowała.

— Jak ci mnie to witają! Jak się macie moje koniki? Głodneście pewno? — Pomacał za drabiną. — Koniczyna wyjedzona *do kszty*. Chodźcie, kiejjeście pod moją ręką, biedy nie zaznacie.

Wyprowadził je ze stajni, wdrapał się na Jacka i pojechał.

Na świtaniu zerwał się karbowy, ludzi budził, wszedł do stajni... Stanął jak wryty. Zatrząsł Jaśkiem.

— Koni cugowych niema.

Jasiek usiadł, popatrzał, pomyślał...

— Antek je pasie — zawołał i zwalił się na posłanie.

— Okrutnie ci chłopak do koni *ciekawy*. — Takie wypowiedział zdanie karbowy, Marcin, o Antku.

Gdy słonko wynurzyło się za lasem, pijąc zimną rosę, ptaszki witały jasność niebieską, a wszelaki twór radował się bożemu dniowi, Antek wjechał w bramę.

Karbowy wydał mu dwa garnce owsa. Oczy się chłopcu zaśmiały, jakby go sam miał jeść.

— Pani pono nie zezwala, aby taki głupiec miał pana wieść.

— Mój Marcinie, — pocałował go w rękę, — dajcie pokój, nic się nam nie stanie. „Jacek“ mnie lubi. Pani śpi, nie budźcie jej.

— No, no, ale pamiętaj sobie!

Wyciągnęli wózek z wozowni, Antek go czyścił, trzepał.

Poleciał do kuchni.

— Panienko, bat! — odezwał się stanowczo do Heleny.

— Bat? ty głupcze, chcesz go brać, bat, co go pani z Krakowa przywiozła? Jeszczem nie oszalała!

— Bez bata przecie nie pojadę.

— Jest w stajni stary. Tobie się na piękne w głowie przewróciło. Bata mu się zachciewa ze srebrnemi skówkami!

Chłopak wyszedł, postał, za chwilę wrócił.

— Panienko! karbowa woła panienkę co tchu, bardzo jej pilno!

Ciekawa Helena wybiegła, Antek wsunął się do jej pokoju. Za szafą stał bat, owinięty w papier. Pochwycił go, papier zdarł, z batem uciekł do stajni i schował go do żłobu.

Za chwilę wpadła Helena.

— Ty łajdaku! oddasz bat? ja ci dam ze starszych żartować! Oddasz bat, bo obudzę panią i powiem, że ty jedziesz „Jackiem“ z panem! Niech tylko pani wstanie, to zobaczysz, czy na takie głupstwa pozwoli.

Za Heleną wpadł Adam.

— Panienko, samowar kipi, pan woła o kawę! — zwrócił się do Antka: — A ty zaprzęgaj i zajeżdżaj. Ale cię „Jacek“ nauczy rozumu.

Helena wybiegła ze stajni, Adam za nią. Antek z karbowym ubrali konie i założyli do wózka.

Antkowi serce biło, gdy miał siadać na kozioł. Przepowiednie Adama, groźby Heleny napełniały go strachem.

— Popieść się z Jackiem, nim siądziesz, radził mu Marcin, trzeba go udobruchać i rozradować.

Antek usłuchał, głaskał Jacka, całował, zaklinał i prosił, a Jacek ze swywoli chciał mu wargami ściągnąć czapkę z głowy.

— Wybiegł z ganku Adam, ręką dał znać. Nie wolno było przy Jacku krzyczeć, aby go nie zestraszyć.

— Siadaj, rzekł karbowy i ruszaj w imię Boże! — Podał mu bat.

„Jacek“ galopkiem z prawej nogi pomknął, obok niego „Kaśka“. Antek, siedząc na wysokim koźle, blady, uroczysty, trzymał się prosto. Objechał gazon dokoła i stanął. Pan czekał na ganku.

— Antek, uciekajmy, bo jak się pani zbudzi, przepadło, nie pojedziesz.

Wskoczył na wózek. „Jacek“ zachrapał, dał dwa razy dęba, szarpnął i poszedł galopem.

Służba z Heleną i Adamem wybiegła patrzeć jak Antek powozi.

— Patrzajcie, smarkacz ten jedzie jak stary!

— „Jacek“, „Jacek“, jakiżeć głupi, że go słuchasz! — odezwał się Adam. — Gdybym ja był na twojem miejscu, dałbym mu!...

— Byłbyś głupszy od „Jacka“, bo tu nie o Antka idzie, tylko o pana, rozumiesz?

Helena, zadowolona ze swego przemówienia, dumnie patrzała; kucharka ją poparła potokiem słów; Adam, zawstydzony, milczał.

Jechali przez wieś, „Jacek“ zmęczył się galopem i szedł wraz z Kaśką kłusa. Ludzie powybiegali z chat popatrzeć na młodego chłopaka, przywitać pana. Antek wyprostowany trzymał w jednej ręce odświętny bat, w drugiej lejce, patrzał to na Jacka, to na Kaśkę, duma i radość rozsadzała mu serce... Widzą go wszyscy.

— Antek! przez most wolno.

— Wiem — odpowiedział spokojnie, pewny siebie.

Zajechali przed samem południem do miasta.

Pan kazał dać karczmarzowi porcję siana dla koni i dwa garnce owsa.

— Jadłeś śniadanie? — spytał Antka.

— Jeszcze nic w ustach nie miałem. Wyleciałem z domu po północku konie paść.

— Nie mogłeś poprosić Heleny?

— Helena była na mnie zła, bom jej porwał odświętny bat. Nie chciała mi go dać.

Pan się uśmiechnął, wyjął z portmonetki dwie szóstki i dał je chłopcu.

— Każ sobie uwarzyć mleka, wdrób chleba i jedz. Pilnuj koni i odświętnego bata. Poszedł do sądu.

Antek raz tylko, na weselu starszej siostry pił piwo, ale już zapomniał jego smaku. A że wiedział od Jaśka, iż wszyscy fornale od cugowych koni piją piwo, kazał sobie podać kufelek i do tego bułkę.

Pokrzepił się należycie, piwo zaczęło mu igrać po głowie, czapkę nasunął na ucho, chodził po stajni, gwizdał, i odświętnym batem śmigał.

Jeden z mieszczan wpadł do karczmy, kupił papierosa, zapalił i poszedł. Antek sobie przypomniał, że fornale od cugowych koni *ćmią papirusy*, położył dwa centy na szynkwasie i zawołał ostro:

— Żydzie, dawaj *papirusa!*

Żyd mu podał z uśmiechem, który oburzył Antka. Zapalił i wyszedł przed karczmę, aby go ludzie widzieli.

Przechodził *policjan*, patrząc surowo na chłopca.

— Koci ogon w gębę! jeszcze mi ogień gdzie, bębnie, zapuścisz.

Antek, co w nim piwo igrało, miał wielką ochotę *zdzielić* go batem (parobcy od cugowych nie żartują), ale nie śmiał, *policjan* miał *straszeczną* minę, *pałantarz* i z czerwonym lampasem czapkę. Odwrócił się i poszedł do stajni.

Spać mu się zachciało, ale bał się o konie, zasypany owies i bat... Oka nie zmrużył.

W dwie godziny pan wrócił.

— Antek! zaprzęgaj, jedziemy. Przyprowadź konie; pomogę ci.

— Ja sam! — zawołał, — ja sam potrafię!...

— Jadłeś mleko?

— Gdzieby taki wielki fornal — odezwał się karczmarz — jadł mleko. Kazał sobie piwa podać, a potem *papirusa ćmił.*

— Widzisz, mój Aronku, — odpowiedział pan — wszyscy fornale od cugowych koni piją piwo i *ćmią papirusy:* Antek nie chciał być od nich gorszym. Prawda?

Chłopak popatrzał na pana i nie mógł zmiarkować, czy mówi prawdę, czy se z niego kpi.

Wyjechali. „Jacek" szedł jak dziecko. Antek wołał zdaleka na fury i bryczki:

— Z drogi! — i mijał je.

Pani, niespokojna o pana, wyszła naprzeciwko i wsiadła do wózka. Antek ich oboje wiózł, chociaż pani okrutnie się boi.

Wrócili szczęśliwie. Pan przywołał Antka.

— Antek! kiedyś taki zuch i kochasz konie, od dziś zostawiam cię przy cugowych. A jak panienka przyjedzie, będziesz na „Jacku" za nią jeździł.

— Na siodle? — spytał na pół nieprzytomnie.

— A jakżeś chciał! oklep?

Chłopakowi wargi drżały, oczy zaszły łzami. Zdjął czapkę, miął w rękach, potem nasadził ją na głowę, odwrócił się, biegnąc ku stajni.

Marcin konie odkładał.

— To moje konie! — krzyknął Antek, odsuwając Marcina.

— Chłopak! tyś na piękne sfiksował.

— Niech tam, ale od teraz zostaję przy cugowych i już! A na „Jacku" i na siodle będę jeździł za panienką... Oddawajcie „Jacka"!...

Pogwara szeroko się rozeszła o wielkiem stanowisku Antka. Wieczorem wpadł zdyszany do matki.

— Matusiu! dawajcie mi moje łachy i włóżcie je do Maryniny skrzynki.

— A to na co?

— Jestem przy cugowych! za panienką będę jeździł na siodle i na „Jacku"!...

— A Jasiek?

— Ja przy nim. Matusiu, takiem ci rad, że aż mnie mroczy. Jacek *zawdy* ze mną, *zawdy* przy mnie!...

— Odpocznij, wyśpij się, jutro cię sama odprowadzę do dworu.

— Nie, nie! bo pan powiedział, że od dziś.

— No, to od dziś, ale *se* spocznij, napij się mleka. Jakże ci się tam wiodło, moje dziecko?

— „Jacek“ był grzeczny jak panienka. Ale com go się nie *namolestował!*...

Położył się, napił mleka i zdrzemał.

— Matusiu, — odezwał się za chwilę — rzućcie co na mnie, bo mi jakoś zimno.

Matka go przykryła złożoną we czworo płachtą i rozpaliła w izbie ogień.

Gdy Maryna przyszła z roboty, chłopak leżał w gorączce.

— Nic matusiu; *tylo* z tej uciechy. Karbowego pchnął, gdy się przysunął do „Jacka“.

— Patrzajcie, jaki zuchwały!...

Nazajutrz rano Adam powiedział panu, że matka Antka czeka w kuchni.

— Zawołaj ją tu na ganek.

Kobieta w odświętnej chustce stanęła.

— A gdzież Antek?

— Chory leży, a to wszystko z *wielgiego* ukontentowania. Wciąż mu się ino *zwiduje*, że na „Jacku“ lata po polach za panienką. *Haniebsko* rozpalony.

Pan przywołał Jaśka.

— Wózek wysłać słomą, założyć do niego cugowe i przywieść Antka.

Helenie kazał przygotować w stajni posłanie dla chłopca.

— Będzie patrzał na konie i prędzej otrzeźwieje, zdecydowała Helena, uchodząca w kuchni za wyrocznię.

— Z pana, — gadali ludzie — doktór, że drugiego szukać. Antka z biedy wyciągnie. I wygadali.

Przyszedł, wziął go za rękę, rachował, posłał Helenę po biały proszek, dał raz, potem drugi, trzeci i chłopak otrzeźwiał.

Nazajutrz przyniósł posłaniec telegram, a po tem ludzie mówili w kuchni, że wielka pani zjechała z za Warszawy do Krakowa i państwo jadą ją witać.

Przed wieczorem szedł pan do stajni.

— Widzisz Antek, słabyś i dlatego nie możesz jechać ze mną do Dembicy.

— A czy ta wielga pani przyjedzie tu do nas?

— Dlaczego się pytasz?

— Bo możebym i ja na „Jacku“ w białej świtce i krakusce wyjechał za drugimi na przywitanie?

— Dobrze... A wiesz, jak się ta pani nazywa?

— Helina mówiła i ludzie mówili, ale sobie przepomniałem... Jakoś miło, od... od orzeszka... Orzeszkowa.

Braciejowa pod Krakowem. *Ignacy (Sewer) Maciejowski.*

IDEAŁY.

W rzeczywistości pozapodmiotowej tak samo nie możemy stwierdzić istnienia ideałów, jak wyobrażeń, obaw, lub nadziei. Dopóki w świecie nie powstał duch, zdolny czuć, postrzegać, wyobrażać, pożądać, dopóty nie było w nim, ani mądrości i głupoty, ani dobrego i złego, ani piękna i brzydoty, bo nie było nikogo, ktoby oceniał rzeczy i w postępowaniu swojem kierował się wynikami tej oceny. Każdy nowy twór przyrody, jako wypadkowa wzajemnych działań i oddziaływań jej składowych pierwiastków, z koleji staje się nowym czynnikiem, który w odrębny sposób oddziaływa na otoczenie i wywołuje w niem zmiany. Jak i kiedy powstały jestestwa życiem duchowem obdarzone, t. j. zdolne czuć, wyobrażać i pożądać — nie wiemy, ale przypuszczać musimy, że powstały one tak samo, jak wszystko inne, gdy z przebiegu zmian kolejnych wynurzyły się odpowiednie po temu warunki. Wtedy duch wystąpił jako odrębny czynnik, który zaczął za pośrednictwem ciała w odpowiedni sobie sposób przepostaciowywać otoczenie swoje, jak głaz w poprzek łożyska rzeki rzucony zmienia jej prąd i wytwarza wiry, których przedtem nie było.

Duch postrzega rzeczywistość i z materjału, którego doświadczenie dostarcza, tworzy własne normy oceny rzeczy i motywy działań ku ich przyobrażeniu skierowanych. Tym sposobem wszelkie wytwory ducha są także rzeczywistością: stanowią one czynniki niemniej w świecie potężne jak siły podziemne, które łańcuchy gór dźwigają, jak powietrze, woda i ciepło, które opoki kruszą i przerabiają na glebę.

Dwa są skrajne poglądy na znaczenie ideałów. Tak zwani ludzie praktyczni pobłażliwie machają ręką na sam dźwięk tego wyrazu, utrzymują bowiem, że „nie z tego chleb“, że wreszcie, o ile to nie nudne i niezbyt ryzykowne, dobre to na wety w chwilach uroczystszych, gdy się człek namozolił i przyzwoicie zaspokoił głód natarczywych potrzeb swoich. Ludzie znów o po-

dnioślejszem, bardziej idealnem usposobieniu, prawią, nie bez pewnej przesady kaznodziejskiej, że ideały są nieodzowną karmią ducha w więzy ciała zaklętego, że duch ten pod ich tchnieniem skrzydeł dostaje, zrywa pęta rzeczywistości ziemskiej i, jak ptak na wolność puszczony, szybuje w nad-i poza ziemskie okręgi,

„W rajską dziedzinę ułudy,
„Kędy zapał tworzy cudy,
„Nowości potrząsa kwiatem
„I obleka nadzieje w złote malowidła",

by tam odetchnąć atmosferą bardziej sobie właściwą, niż duszne ziemi opary; ideały podnoszą ducha, uszlachetniają go, zdobią barwnem kwieciem ten szary padół, do którego jesteśmy przykuci i, jak manna z lepszego świata, sączą słodkie krople nektaru do cierpkiego kielicha doczesności. Są i tacy, co pragnęliby w rozmaitych proporcjach stopić Sancho Pansę z Don Quixotem tak, iżby się jedno równoważyło z drugiem; są to zwolennicy złotego środka, nieśmiertelni politycy umiarkowania pośród prawicy i lewicy.

Ilekroć słyszę lub odczytuję podniosłe upomnienia na temat potrzeby ideałów i zgubnych następstw ich lekceważenia lub upadku, doznaję wrażenia, jakby ludzie sami nie wierzyli w realną potęgę tych wytworów ducha, jakoby chodziło o to tylko, by na chwilę oderwać uwagę człowieka, zbyt sprawami powszedniości pochłoniętą, i przykuć ją do jakichś widm świetlanych przez wyobraźnią stworzonych, które go pocieszą, jak się nieuleczalnie-chorego pociesza; pozwolą mu zapomnieć, że jest z prochu, i uczuć się duchem, nieba obywatelem. I myślę sobie: skoro ideały są rzeczywiście tak doniosłe, dlaczegóż nie mówią nam o nich, jak się mówi o uprawie roli, o pielęgnowaniu zdrowia? Skoro one powstają, trwają wieki, doskonalą się, wypaczają i upadają, czemuż nie mówią nam, skąd one powstają, jak się rozwijają, jakie być powinny i jakie nie powinny, jak się mówi o dziełach przemysłu, o budowlach, narzędziach, pokarmach? Skoro one stanowią siłę w rękach człowieka, dlaczegoż nie badamy, jak należy stosować i regulować tę siłę, dlaczego nie stworzymy jej teorji, jak mamy teorję dźwigni lub ciepła?

Być może to niemożliwa? Nie wiem dlaczego.

Weźmy dla przykładu pojęcie linji prostej. Przyglądając się krawędziom przedmiotów, ścieżkom, które wiodą z jednego miejsca na drugie, niciom wątku, umysł ludzki z pośród mnóstwa tłoczących się do świadomości czuć i wyobrażeń może takie lub inne wyodrębniać, n. p. długość lub kierunek krawędzi, ścieżki, nici; odrzuca on szerokość, nie dostrzega drobniejszych wygięć i lekceważy obojętnemi, pomija grubość nici lub warstwy, znaczącej na pewnem tle kresę. Tym sposobem wytwarza sobie pojęcie linji czyli kierunku o jednym wymiarze długości. Linji jednak, zmierzających od jednego punktu do drugiego można wytknąć ile się podoba; w dalszym więc ciągu umysł zwraca uwagę na względną długość linji łączących dwa punkty i przekonywa się, że usuwając krzywizny wszelkie, skracamy odległość, że im mniej jest wygięć, tem linja jest krótszą, że jedna tylko linja pomiędzy dwoma punktami da się pomyśleć, która będzie najkrótszą, która żadnych wygięć posiadać nie będzie, tak, iż każda jej część dowolna nałożona na inną jej część jakąkolwiek, przystaje do niej we wszystkich punktach, jeżeli przystaje w dwóch tylko.

Tak jesteśmy zdolni wydzielić z świata konkretnego dowolne rysy jego, pojedyńcze cechy, typy, procesy, które w oderwaniu od rzeczywistości nie

istnieją. Tak wytworzyliśmy sobie ideę prostokreślności, jako pojęcie graniczne, wykluczające szerokość, grubość, krzywizny, a następnie możemy mówić o linji prostej, jako linji nieskończenie węższej, cieńszej i mniej powyginanej, niż każda dowolna kresa rzeczywista.

Linji prostych niema w przyrodzie, a gdyby nawet istniały, nie bylibyśmy w stanie postrzegać ich w tym charakterze dla nieuniknionych błędów obserwacji. Każda, chociażby nastaranniej i najsubtelniej nakreślona, posiada pewną szerokość, grubość, wygięcia. Prostokreślność istnieje tylko w umyśle naszym, jako idea, którąśmy sami sobie wytworzyli. A wytworzyliśmy ją dzięki pewnym zasadniczym cechom świadomości naszej: 1) świadomość nasza nie jest ciągłą, jak konkretny świat rzeczy, który nas otacza, *świadomość jest czynnością przerywaną*: albo dlatego, że pewne działania z zewnątrz do niej nie dochodzą, albo, że się skupia, ogranicza na pewnych tylko stanach swoich, wobec czego wszelkie inne możliwe stany wyklucza; albo, że się perjodycznie zawiesza; 2) *świadomość jest czynnością odtwarzającą*, t. j. stany, raz doznane w pewnym związku następstwa, może odtwarzać w tym samym związku, chociażby pobudki zewnętrzne, które je niegdyś wywołały, były obecne w innym układzie lub wcale nieobecne; 3) *świadomość jest czynnością sumującą*, co znaczy, że nowe czucia, wywołane przez podniety zewnętrzne, wznawiają stany świadomości odpowiadające czuciom tegoż rodzaju w poprzedniem doświadczeniu doznanym, i zlewają się z niemi w jeden akt psychiczny, w jednolity stan, który podmiotowo symbolizuje całe mnóstwo jednostajnych szczegółów. Tak z różnolitego materjału, danego nam pod postacią czuć, zrodzonych pod wpływem oddziaływań świata zewnętrznego, tworzymy sobie idee, które poza obrębem świadomości naszej nie istnieją.

Idea, jestto symbol podmiotowy, oznaczający stosunek do siebie pewnej ilości cech oderwanych lub wyobrażeń uogólnionych. Taką jest idea dobra oznaczająca pewien stosunek jednych istot do interesów innych istot; idea doskonałości, oznaczająca stosunek zupełnej odpowiedniości pomiędzy cechami jakiejś rzeczy i celem, do którego ona ma służyć; tak samo rzecz ma się z ideą sprawiedliwości, piękna i t. d. Sama przez się jednak idea jest wytworem kontemplacyjnym, teoretycznym; oznacza ona oderwany stosunek rzeczy oderwanych; może być motywem tylko w zakresie teoretycznej działalności umysłu i po za tem nie posiada w sobie siły rzutu, parcia do czynu na zewnątrz. Dopiero wtedy staje się ona dźwignią czynów, gdy ją wcielimy w formę ideału.

Ideałem nazywam wyobrażenie jakiegokolwiek przedmiotu konkretnego, który iści w sobie treść idei pewnej; ideałem dobrego człowieka jest wyobrażenie człowieka, któryby iścił w sobie ideę dobra; ideałem dobrego obywatela jest wyobrażenie człowieka, któryby iścił w sobie ideę dobra społecznego; ideałem doskonałej machiny jest wyobrażenie takiej machiny, którąby całą siłę do niej stosowaną oddawała pod postacią pracy wartościowej, czyli iściła w odpowiedni sobie sposób ideę doskonałości. Ponieważ rzeczy i istoty, w które takie lub inne idee wcielamy, nie są dla nas obojętne, i gdy bywają wcieleniem idei dodatnej, są przyjemne i pożądane, gdy zaś bywają wcieleniem idei ujemnej, są przykre i niepożądane, więc tym sposobem ideał nie jest już pomysłem, jak idea, czysto teoretycznym, lecz staje się motywem woli, dźwignią postępowania ku urzeczywistnieniu ideału zmierzającego. Ale ideału urzeczywistnić nie można, znaczyłoby to bowiem tyle, co objektywnie w jakiejś rzeczy lub istocie urzeczywistnić treść idei pewnej. Na czemże więc polega ta przez kontemplacją ideałów umotywowana dążność człowieka do urzeczywistniania tego, co urzeczywistnionem być nie może?

Na uznaniu realnej wartości osiąganych przybliżeń. Zamieniając ułamek zwyczajny $^1/_3$ na dziesiętny, otrzymamy 0·333... do nieskończoności. Jakkolwiek dobrze wiemy, że 0·333... = $^1/_3$, to wszakże nigdy nie zdołamy osiągnąć takiego skończonego szeregu znaków dziesiętnych, któryby wynosił $^1/_3$. A zatem $^1/_3$ stanowi tu granicę idealną, do której dążymy; znamy kres ostateczny i drogę czyli metodę, jaką doń zmierzać mamy. Wobec tego możemy się dowolnie zbliżać do kresu idealnego, stosownie do danych potrzeb i wymagań ścisłości, przyczem w każdej chwili możemy ocenić, o ileśmy się doń zbliżyli. To samo dotyczy ideałów wszelkich; wszystko, co praktyczne, rozumne, dobre, piękne, jest mniejszem lub większem przybliżeniem do ideału jakiegoś, w umyśle naszym tkwiącego.

Występuje tu nowa czynność ducha, objawiająca się w ustawicznych usiłowaniach, by tak przeobrażać rzeczywistość, iżby się ona możliwie do ideałów zbliżała. Nazwano ją już nawet *asymptotyczną czynnością ducha*, powołując się na analogją asymptoty, która się w nieskończoności z hyperbolą styka. Tym sposobem ideał staje się *normą regulującą*, gdy chodzi o postępowanie celowe, i *normą probierczą*, gdy chodzi o ocenę rzeczywistości lub skutków postępowania. W rzeczywistości otaczającej szukamy możliwych przybliżeń do ideału; skoro zaś te przybliżenia, które znajdujemy, wydają się nam zbyt jeszcze dalekiemi, natenczas tak oddziaływamy na rzeczywistość, aby ją przeobrazić w kierunku możliwego przybliżenia jej do ideału. Ideał jest to wyobrażany kres, cel, granica usiłowań naszych. Przeobrażając rzeczywistość, możemy osiągać coraz większe przybliżenia, nigdy ideału nie osiągając; mamy za to wyraźny punkt wytyczny, do którego zmierzamy, kierunek dążeń jasno wytknięty, modłę, według której oceniamy rzeczywistość i dzieła swoje. Gdy ideał jest ujemny, mamy także wyraźnie drogę wytkniętą: przeobrażamy rzeczywistość w kierunku możliwych oddaleń od niego. Ideał dodatni i ujemny, są to dwa bieguny postępowania naszego; oddalając się możliwie od jednego, widzimy, w którą się stronę posuwać należy: w kierunku przybliżeń do wprost mu przeciwnego. Widzimy tedy jak błędnem jest często powtarzane twierdzenie, że, ponieważ ideały nigdy się w rzeczywistości osiągać nie dają, zatem wszelkie w tym kierunku zwrócone usiłowania są ułudą, pogonią za mrzonkami. Trudno nawet wyobrazić sobie, co pozostałoby z cywilizacji i kultury naszej, gdybyśmy nie wytworzyli sobie n. p. idei prostokreślności i ideału linji prostej, który się nigdy urzeczywistnić nie da. Szukając przybliżeń jego, ludzkość biła drogi, znosiła góry, wierciła skały, budowała gmachy, przyrządy i t. p., a zawsze w tem słusznem przekonaniu, że *wszystkie własności ideału o tyle się sprawdzą we własnościach zrealizowanego przybliżenia, o ile to ostatnie zbliżonem jest do ideału.* Jest to zasadnicze prawo idealizowania rzeczywistości przez przybliżone realizowanie ideałów. Jest to także zasadnicze prawo wszelkich zastosowań matematyki i wogóle teorji do praktyki i rzeczywistości. Wiele rzeczy na świecie przedstawia, być może, większe przybliżenia do idealnej linji prostej, niż te, które człowiek osiągnąć zdoła; ale u człowieka tylko idealna linja prosta stała się normą oceny i postępowania, dzięki czemu stosuje on tę normę, ilekroć zechce, wszędzie, gdzie utrzymuje, iż ją stosować powinien.

Stąd, że idealnie prostych ścieżek osiągnąć niepodobna, nie wysnuwa on wniosku, że musi chodzić po krzywych, lecz niezmordowanie niedokładności usuwa, przeszkody zwalcza, by tam, gdzie zechce, możliwie się do ideału przybliżyć. Tak przeobraża rzeczywistość, idealizując ją stopniowo.

Przybliżenia te nie są ułudą; są to realne wielkości, które nie istnia-

łyby lub nie zostałyby ocenione i wyzyskane, gdyby nie ideały, które wytyczą kierunek postępowania i służą za normy oceny. Na tem właśnie polega realna funkcja ideałów w życiu naszem.

Ludzkość w wiecznym pościgu za ideałami nie jest podobna do osła, który raźno ciągnie swój ciężki wózek w płonnej nadziei, że dogoni wiązkę siana na końcu dyszla zawieszoną; nie, ona mozolną drogą przybliżeń zawsze nieskończenie dalekich wzbogaca skarbnicę swoją użyteczności, prawdy, dobra, piękna, a więc szczęścia, którego przyrost każdy posiada skończoną wartość realną. Tak, ideały, pojawiając się na pewnym szczeblu rozwoju przyrody, jako jej wytwór z ducha poczęty, stają się z kolei czynnikiem, który potężnie na rzeczywistość oddziaływa. Żadne postępowanie celowe, żadna ocena bez tych norm probierczych i regulujących obyć się nie może. Tylko, że ideały mogą być chybione, spaczone, fałszywe. Skorośmy wytworzyli sobie pojęcie machiny, jako układu materjalnego, przenoszącego siłę pod dowolną postacią i w dowolnym kierunku, natenczas możemy wytworzyć sobie ideał machiny doskonałej, którąby oddawała wszystką zastosowaną do niej siłę pod postacią pracy wartościowej. Takiej machiny nie posiadamy i nigdy jej posiadać nie będziemy, ale ustawiczne udoskonalenia machin w tym kierunku dowodzą, że się do ideału tego przybliżać możemy. Gdybyśmy jednak uroili sobie ideał machiny, którąby dawała pracy wartościowej więcej, niż zastosowana ilość siły wydać jej może, wpadlibyśmy oczywiście na bezdroża i marnowali usiłowania swoje w pogoni za *perpetuum mobile*. Ideał bezwzględnie wolnego obywatela byłby błędnym, bo wolność bezwzględna nie da się pogodzić z obowiązkami obywatelskiemi. W obu wypadkach mamy niewłaściwe powiązanie idei z formą. Można więc opaczne ideały prostować przez rozważanie o ile treść idei, które wcielamy, odpowiada naturze przedmiotów, obieranych za formy tych wcieleń, albo o ile same idee wcielane są prawdziwe.

Słowem, ideały mogą być nietylko przedmiotem zachwytów i kaznodziejstwa budującego, lecz także przedmiotem pozytywnych badań naukowych. Być może dziś już nawet dałyby się zbadać warunki ich powstawania i rozwoju, prawa ich oddziaływania na rzeczywistość i krytyczne zasady ich oceny.

Byłby to zawiązek teorji, którąby się potem rozwinąć i udoskonalić mogła, jak wszystko na świecie.

Sądzę, że tak jest nawet, ale nie tu na to miejsce.

Warszawa. *Adam Mahrburg.*

DWIE UWAGI W SPRAWIE KAŻENIA JĘZYKA.

Wielokrotnie zwracano na to uwagę, jak dalece język nasz zeszpeca się i wyradza, bądź skutkiem obcych wpływów, bądź własnej naszej nieuwagi. Przestrogi czynione w tej mierze pochodziły od prawdziwych miłośników języka, mających poczucie jego właściwości, ile mi jednak wiadomo, nie oddających się jego umiejętnemu badaniu, będącemu zadaniem lingwistów z zawodu. Cześć wszelka tym ostatnim, jak każdemu sumiennemu w ścisłych naukach badaczowi! Niemniej jednak słuszne uznanie zasługi tych, którzy, acz nie zapuszczają się w subtelności budowy języka, zwracają uwagę na to, co mu nadaje cechę tak dalece obcą, że już dziś w wielu razach robi go dla Polaka niezrozumiałym. Uchybienia pod pierwszym względem potępia nauka; wszakże pod drugim, szkodliwość ich występuje widoczniej, bo, że tak powiem, w praktyce codziennej. Źle np. pod względem djalektologicznym, gdy kto nie rozróżnia *a* otwartego i pochylonego, czy jednak napisze *pan* czy *pàn*, to póki starczy języka polskiego, każdy zrozumie, co ten wyraz znaczy; jeżeli jednak napotkam np. wyrażenie: *„poświęcony we wszystkie sprawy“*, to już nie po stu latach, lecz dziś, nie wiem czy setny odgadnie, że to ma znaczyć: *wtajemniczony!* Nie wszystkie wprawdzie skazy języka są do tego stopnia niedorzeczne, wszystkie jednak mniej więcej przyczyniają się do pozbawiania go właściwego charakteru a nadawania tak dalece obcego, że nieraz, chcąc wyrozumieć o co chodzi, trzeba szukać pomocy w języku innym, a nadewszystko w niemieckim, albo francuskim.

Tego to rodzaju uchybień, mniej więcej dla języka szkodliwych, zebrano już pokaźne wiązanki. Wszakże pomimo przestróg szerzą się one jak gdyby zaraza, a co gorsza, niemal z każdym dniem przybywają nowe.

Nie jest tu moim zamiarem rozbierać je systematycznie, ani poprostu wyliczać lęgnące się codzień szkodliwe dla języka mikroby. Ograniczony miejscem, zwracam się tylko do nowego, bo ledwie kilka lat liczącego wynalazku dwóch znakomitych przymiotników: *życiowy* i *narodowościowy*.

Temu, kto wynalazł przymiotnik „*życiowy*“ musiało się wydawać, że albo w głowach ludzkich nie było dotąd odpowiedniego temu wyrażeniu pojęcia, albo też, że pojęciu temu brakowało dotąd odpowiedniego wyrażenia, bo inaczej na cóż byłby potrzebny jego wynalazek? Ponieważ przymiotnik „*żywotny*“ dawno był w użyciu, przypuszczam zatem, że mógł się zdarzyć przypadek, w którym do wyrażenia pewnej myśli, niezupełnie się nadawał. Krótka więc była rada: skoro nie nadaje się „*żywotny*“ niech go zastąpi „życiowy“. Wszakże godziło się pamiętać o tem, że gdzie z jakiego bądź powodu nie nadaje się przymiotnik, tam, w miejsce tworzenia dziwoląga, można go zastąpić drugim przypadkiem odpowiedniego rzeczownika. Jest naprzykład w Krakowie ulica Florjańska, Mikołajska, ale jest też ulica Ś. Anny, Ś. Ducha. Cóż więc było prostszego jak gdyby ten, co np. uskarżał się na „*zawody życiowe*“ był wyrzekał na „*zawody życia*“; kto pisał o „*warunkach życiowych*“, był to wyraził przez „*warunki życia*“? Ale byłoby to wyrażenie stare, za proste, nie uderzające nowością pomysłu, wobec którego przymiotnik „*żywotny*“, dziś prawie zapomniany, mógłby odzyskać prawo bytu w właściwym zakresie.

Jeżeli wreszcie twórcy przymiotnika „*życiowy*“ i jego bezmyślnych naśladowców nie raziło podobieństwo brzmienia z innym, zupełnie prawidłowym, ale wcale nie estetycznym przymiotnikiem, to dziwna, że im nie przyszło do głowy, jakby też wyglądały utworzone na obraz i podobieństwo *życiowego*, przymiotniki: *myciowy, szyciowy* i inne tym podobne? Popuśćmy tylko wodze dowolności, a może i tego rychło się doczekamy i będzie się to nazywało wzbogaceniem języka. Taką zasługę może sobie też przypisać i ten, który, jak to świeżo czytać mi się zdarzyło użył wyrażenia: „przedsiębiorca *ogłoszeniowy*“! a za którem rychło pójdzie przedsiębiorca „*czyszczeniowy*“ miasta!

Gorszym jednak, bo nielogiczniejszym, jest przymiotnik *narodowościowy*. Wszak narodowość jest rzeczownikiem przymiotnym, wskazującym w oderwaniu ogół cech właściwych jakiemuś narodowi; więc przymiotnik *narodowościowy*, miałby takie prawo bytu, jak każdy inny, utworzony w ten sposób z rzeczowników na *ość*, jak np. *wojskowościowy, pięknościowy* i t. p. Jak tu oderwanym pojęciom: *wojskowość, piękność*, odpowiadają w zastosowaniu: *wojskowy, piękny*, tak tam nie może być co innego, jak tylko: *narodowy*. Największa więc nielogiczność w wyrażeniu: *opór narodowościowy*; bo skoro narodowość nie jest sama narodem lecz zbiorem cech jemu właściwych, to więc nie ludy stanowiące naród, lecz ich właściwości, spierałyby się tu ze sobą. Spierają się o swoje prawa narody nie narodowości, a więc są spory narodowe, nie narodowościowe, tak jak np. byłyby zatargi „wojskowe“, a nie „wojskowościowe“.

Kraków. *Dr. Józef Majer.*

ŻYDZI INFLANCCY.

Przypatrzywszy się bacznie twarzom żydów inflanckich, można wyraźnie rozróżnić dwie odmienne rasy. U jednej widzimy cienki, ostry, mocno zagięty nos, regularne rysy, delikatną skórę, kolor zaś twarzy środkuje pomiędzy rumieńcem zdrowia a chorobliwie siną bladością. Dziewczęta tej rasy są niemal zawsze obdarowane prawdziwą pięknością, budowa ich ciała jednak jest za delikatną na ciężką pracę, do jakiej są przeznaczone. Troska, pełne kłopotów i nędzy życie, ryją na licach młodej jeszcze kobiety głębokie ślady. Kwiat młodości trwa krótko. W zaczerwienionych, w załzawionych oczach starców, w ich stwardniałych i tępych rysach, zaledwie można tych samych ludzi rozeznać. Druga rasa przypomina murzynów; szeroki i spłaszczony nos, szeroko wywinięte i mocno wystające sinawe wargi, płaskie, bez wyraźnych załomów u muszli uszy zdają się być krwi pozbawione. Barwa twarzy szara, albo szaro-brunatna, skóra i rysy grube i surowe. Miedziany kolor twarzy w późnym wieku nie jest skutkiem niewstrzemięźliwości. Tej drugiej rasy żydzi są szkaradni, zwłaszcza tak stare jako i młode kobiety; otyłość w późnym wieku rzadko się przytrafia. Wszystko, co etnograf Kohl w opisie Galicji o tamecznych żydach powiada, da się zastosować i do żydów tutejszych, próżnują i... oszukują. Krawcy, szewcy, blacharze, zegarmistrze, szklarze i rzeźnicy próżniaczo i niedbale rzemiosłem swojem zajmują się i nic zaoszczędzić nie mogą. Żydzi powszechnie jako kramarze snują się po kraju, oszukując łotewskiego chłopa, albo utrzymując w miastach i miasteczkach sklepy z nędznemi, łokciowemi towarami, rzadziej z kolonjalnemi, i o ile się uda, oszukują biednych konsumentów. Niektórzy z nich atoli, skutkiem szachrajstwa i lichwy, a następnie handlu bydłem, zbożem i drzewem, do tak znacznej doszli zamożności, że od lat wielu sami tylko zajmują się wielkiemi spekulacjami, pochwycili w swe ręce cały ruch handlowy i tak umieją nim obracać, iż naprzód już oznaczają ceny zboża i innych produktów. Obok znacznych na miejscu wyzyskanych kapitałów, nie mało im jeszcze dopomagają ułatwione środki komunikacyjne, jak koleje żelazne, telefony i telegrafy, łączące Inflanty ze wszystkiemi znaczniejszemi punktami kraju i zagranicy.

W charakterze żydów inflanckich, obok wstrętu do wszelkiej cięższej pracy, który uniemożliwia każde usiłowanie rządu, zachęcające ich do rolnictwa, głównie jeszcze dopatrzyć można: podstęp, chciwość, skłonność do oszustwa. Niemile uderza w oko bezustanne krzątanie się i pośpiech żydów, kręcących się po błotnistych ulicach miasteczek od rana do nocy. Nie widać w nich wewnętrznego spokoju. Chodzą zawsze pojedyńczo, nigdy po dwóch. Nie słychać spokojnie prowadzonej rozmowy. W żywych ich i błyszczących oczach, odmiennych i nienaturalnych rysach twarzy przebija dobroduszność i zaufanie, ale tylko dopóki niema mowy o handlu i szacherce. Wielu z pomiędzy nich u właścicieli ziemskich spełnia obowiązki faktorów. Skoro podróżni (goście) do miasteczek przybędą, zaraz się oni zjawiają i w oberżach miejsce gospodarzy zastępują. Zapobiegliwość i ruchliwość takiego faktora z niczem nie da się porównać. Przez szczególną giętkość, potulność i pośpiech załatwiają najtrudniejsze sprawy. Przedmiot jakiś, który życzy sobie ktoś wyszukać i nabyć, chociażby jak najbardziej był ukrytym i trudnym do dostania, z pomocą faktora żyda w nader krótkim czasie sam nabywcy przedstawi się i to ze stron rozmaitych. Każdy chce być pierwszym do interesu. Czynni, grzeczni, niczem nie zrażający się, powiększają w swoim rodzaju ci szachraje i handlarze ruch i życie; gdzie widzą chociażby najmniejszy zarobek, nie żałują największych wysileń i zabiegów. Pomiędzy żydami Dynaburga, Rzeżycy i Lucyna, szczególnie wyróżniają się tacy faktorzy. Skoro żyd przedstawi się jako faktor, można być pewnym, że się w nim znajdzie zręcznego, roztropnego i niezmordowanego sługę, który nie lęka się ani nienawiści, ani wzgardy, i do którego w każdym interesie śmiało udać się można. Umieją odpowiedzieć na pytanie po polsku, po łotewsku, po rosyjsku, po niemiecku, a w Dynaburgu nawet i po francusku; po ukończonym zaś interesie, przemyślność takiego żyda, jego chyżość, jego milczenie, jego cierpliwość i wymowa, słowem: wszystkie jego cnoty kupują się za jakie parę złotówek. „Jeżeliś kiedy do jakiej drobnej sprawy użył żyda faktora“ — pisaliśmy przed laty na innem miejscu — „już trudno ci się go pozbyć, odtąd należy on do ciebie, albo raczej ty do niego; na ulicy idzie za tobą o 20 kroków, a o 10 odgadnie czego ci potrzeba. Siedzi na progu domu, do którego wszedłeś, przy wyjściu spotykasz się z jego wzrokiem pełnym szacunku, który doprasza się jakiego rozkazu; śpi na twoich schodach, pod twoim powozem, usługuje twoim ludziom, kłania się twemu psu na ulicy. Wszędzie go pełno; dwadzieścia razy wyłajesz go i odpędzisz, zniesie to i powróci. Chociaż się go usunie, zawsze nadejdzie dzień taki, taka chwila, taka okoliczność, że żyd będzie potrzebnym. Zaledwieś o tem pomyślał, już zjawia się jakby z pod ziemi, uniżenie zgięty, w postaci prawdziwie żydowskiej, którą nazwać można na pół stojącą, na pół klęczącą, — mina jego pokorna, ucho natężone. Jest to chwila tryumfu dla faktora; poświęcił on dla niej może jakie dwie doby, przez które uniżał się, męczył i czuwał. Zaledwieś przemówił, będziesz zaraz usłuchanym, i to z akuratnością, uszanowaniem, a kiedy nakoniec, po tylu trudach i ofiarach, ubogi ten brodaty sługa upragnioną odbiera nagrodę, ów pieniądz, na który z taką wytrwałością przez dni kilka pracował, dostrzeżesz w jego wdzięcznem wejrzeniu, że cię poleca łasce Abrahama i Izaaka, i gotów jest taką samą pracę za takąż małą nagrodę na nowo rozpocząć“.

Ponieważ zajęcie tego rodzaju nie wymaga zbyt wielkiej fizycznej pracy, przeto każdy żyd stara się, o ile możności, zostać w domu zajezdnym takiem *factotum* czyli faktorem. Cała umiejętność zasadza się na tem, aby mówić jak najwięcej, działać śpiesznie i zręcznie, chodzić na posyłki, wszystko to wyko-

nywać chętnie i wytrwale, a za to niewielką pobierać nagrodę. Inni żydzi znowu kręcą się po mieście z najrozmaitszemi towarami, roznoszą stare suknie, nowe czapki, kurczęta, owoce, pierniki, ryby, grzyby, jarzyny, zapałki i t. p., drudzy mają większe lub mniejsze sklepiki, inni znowu, zwłaszcza w Dynaburgu, siedzą podedrzwiami, albo na rynkach i ulicach przy małym wekslarskim stoliku, zaledwo dwie kwadratowe stopy powierzchni mającym, na nim układają rzędem różnego rodzaju monety; rzadko cały zapas sto rubli wynosi, często zaledwie 20 rubli w miedzianych się znajdzie monetach. Nie podobna zrozumieć, jakim sposobem taki handel człowieka, a nawet często całą rodzinę, wyżywić może.

Niektórzy żydzi u polskich jednodworców, albo u rosyjskich starowierców służą za furmanów i doróżkarzy, są posłańcami bogatych żydowskich spekulantów, a nakoniec zajmują się przepędzaniem bydła i wyrobnictwem. Żydzi żebracy, a zwłaszcza dzieci żebracze, roją się w małych żydowskich miasteczkach Inflant. W żadnym kraju pomiędzy żydami niema tylu koszlawych i ułomnych. Jaka bieda u nich panuje, ile chorób, jaki głód, jaka nędza w zapowietrzonych wilgotnych mieszkaniach o niedostatecznem cieple i świetle, jak często pół tuzinem dzieci obdarzona rodzina mieścić się musi w jednej obrzydliwej izbie, w której łachmany, brud i choroby z każdego wyglądają kąta, — o tem trudno wytworzyć sobie jasne pojęcie. Ten tylko wyobrazić sobie może owe nędzne postacie, owe różnobarwnemi kawałami łatane płaszcze żebracze, godne przechowania w etnograficznem muzeum, a które na rynkach i targach żydowskich tu widzieć można, kto dobrze poznał stan Eskimosów, mieszkańców Nowej Holandji lub Ziemi Ognistej. Każdy powinien badać ową nędzę, a zwłaszcza ten, któremu zależy na wiadomości, do jakiego *minimum* dojść można w używaniu pokarmów, albo jak długo da się przygotowywać odzież z gałganów, jak długo żyć można w zapowietrzonem mieszkaniu, jak nakoniec wychowują się dzieci bez ubrania, bez bielizny, bez grzebienia, bez mydła, bez opieki, lekarstwa i nauki, przy samej tylko pomocy wytrwałej ludzkiej przyrody, która umie przeprowadzać człowieka przez choroby i nędzę. Jeden z miejscowych lekarzy, Dr. A. Brandt w Zalmujży, podając nam charakterystykę tych żydów, między innemi ciekawemi szczegółami utrzymuje, że mocno korzenne potrawy, wczesne żenienie się, jako też przeładowywanie pokarmem dzieci zgłodniałych, są główną przyczyną chorób i przedwczesnej śmierci. Lubo prawo krajowe surowo wzbrania zawierać wczesnych związków małżeńskich, żydzi zawsze przecie umieją znaleść sposoby przekroczenia rozporządzeń rządowych. Zwyczaj przedwczesnych pogrzebów, również przykrywania poduszkami głowy i ust umierającym, aby się nie męczyli, stał się, wedle tegoż lekarza, powodem nie jednej śmierci.

Znajdują się atoli zwyczaje, które utrzymane być winny. Każdy, kto umie wniknąć w myśl i pojęcie owej nieporównanej wierności, z jaką żydzi trzymają się świętych swoich zwyczajów, oprzeć się nie zdoła szczególnemu urokowi, gdy się w wigiliją sabatu znajdzie wieczorem w części miasteczka inflanckiego, przez samych starozakonnych zamieszkałego. Każde okno najuboższej nawet chatki rzuca jasną smugę światła, wychodzącą z trójramiennego srebrnego świecznika, na około którego zebrała się cała rodzina, aby spożyć chleb biały i koguta, którego gospodyni, stosując się do odwiecznego zwyczaju, przed gospodarzem postawiła. Czysto odziana żona i dzieci okrążają w pełnem uszanowania milczeniu ojca rodziny, ubranego w czarny połyskujący płaszcz jedwabny. Biedny kramarz, który przez sześć dni nosząc na plecach ciężar, włóczył się, znosząc żarty łotewskiego chłopa, przekleństwa i złorzeczenia żołnierzy, w dniu poświęconym czci Jehowy, czuje, że na nim spoczywają przedwieczne

obietnice. Tutaj w Inflantach, jak i w innych częściach kraju, zachowały jeszcze znaczenie prawowierne zasady Myszny i Gemary w całej swej pierwotnej surowości. Skoro się skończy uczta, ojciec rodziny zwraca się ku wschodowi i odmawia modlitwę. Żonaty żyd odwiedza tu synagogę nie inaczej jak odziany w skrojoną na sposób wschodni śmiertelną koszulę, a do uszu podróżnego, jadącego w piątek wieczorem przez ulicę żydowskiej mieściny, w uroczystej ciszy dolatują z ust najbardziej uciśnionego ludu dumne zwycięskie słowa Machabeuszów: „*Mi kummocho boëllim Adonaj!* (Któż między bogami podobny Jehowie“)?

Ryga. *Gustaw Manteuffel.*

BIEDNY TADZIO.

Tadzio miał wiele zmartwienia.

Nie napadał nań lada kto, ale ludzie poważani, wybitni w pośród inteligencji, ludzie mający dobrze zagospodarowane folwarki, kapitały po bankach, albo akcje przynoszące dywidendy, wcale pokaźne. Napadały nań przybytki cnót wszelkich, damy wysokie i nizkie, otyłe i chude, brunetki i blondynki... napadał sam pan Cymbalski, jeden z głębszych myślicieli w swej wiosce, napadał poważny i poważany pan Zakutowicz, naradziwszy się poprzednio z żoną, ciotką i gajowym, bardzo poczciwym człowiekiem. Napadano ciągle, wszędzie bez wytchnienia, za oczy i w oczy, zasięgano zdań ober-konduktorów w pociągach pośpiesznych i powolnych... wszyscy jednogłośnie mówili, że Tadzio pisze rzeczy niemoralne.

Biedny Tadzio zgryzł się okropnie. Myślał, że pisząc pod naciskiem silnego wzruszenia, że wytykając wady, chcąc wykorzenić fałsz, nieprawości, na które nie zwracano uwagi, które wyrobiwszy sobie w społeczeństwie prawa obywatelstwa niemal uchodziły za cnoty, myślał, że był pisarzem moralnym. Chwała go nie nęciła, a pisał tak wolno, że trudno go było posądzić o to, iż mu chodziło o zyski pieniężne. Pragnął tylko być pożytecznym w skromnych granicach, jakie mu były zakreślone, chciał jaknajlepiej swój zapasik zdolności wyzyskać, nie dbając o nic innego. Drukowane krytyki pozostawiały go obojętnym, każdemu przyznawał prawo rozbierania jego książek i osądzania ich artystycznej albo literackiej wartości. Wady ich i niedokładności widział nieraz wyraźniej od krytyków.

Ale zarzut niemoralności oburzał go.

— To polski Zola! — powtarzał każdy, składając tem przedewszystkiem świadectwo, że albo Zoli nie czytał, albo też chciał udawać, że go nie znał.

Pocieszałem go, jak umiałem. Pewnego dnia, widząc jak był przybity i smutny, począłem go namawiać, aby swoje książki przerobił.

— Niewielka to będzie praca, — dodałem, — tych książek tak nie wiele!...

Tadzio obruszył się.

— Ależ mój drogi! — zawołał. — Jak pozmieniam typy, to nie zostanie nic!

— Typy możesz zostawić, ale pozmieniaj zakończenia, które u ciebie szwankują. Każdy z twoich bohaterów kończy fatalnie. Na co? Trzeba pozmieniać to wszystko. Niechaj się żenią w ostatnim rozdziale, niech osiadają na wsi i gospodarują poczciwie pod okiem Cymbalskich i Zakutowiczów, niech dużo mają pieniędzy i jeszcze więcej dzieci, a te, niechaj im tylko przynoszą pociechę, bez zmartwień, bez jednej łzy, nawet w chwili rodzenia, bo i ta chwila powinna być rozkoszną.

Tadzio na mnie ze zdumieniem popatrzył.

— Ależ moje typy ujemne? — zawołał — Jakże więc chcesz, aby zamiast w upadku kończyły w błogosławieństwie i powodzeniu?

— Nic to... pozyskasz pokój i pochwały.

— Nie mogę — rzekł Tadzio kręcąc głową — nie mogę.

— Ha!... to cię będą szarpali.

— Ale za cóż... za cóż... Czy za to, że zamiast do złego zachęcać, pokazuję je, piętnuję, ostrzegam, i staram się je w najgorszem świetle wystawić? Czyż oni myślą, że ja się w niem lubuję, że mnie ono nie boli, że nad niem nie płaczę?... Ale gdybyż było inaczej, nie pisałbym, po co... Czyż zresztą nie jestem szeregowcem w sprawie, w której występują z ambony księża, występowali apostołowie, sam Pan Jezus, Bóg?...

— Pana Jezusa ukrzyżowano, — odrzekłem — apostołowie, uczniowie ich wyznawcy umierali śmiercią męczeńską...

— Prawda! — zawołał Tadzio i nagle się uspokoił, — prawda!

— Jako prosty szeregowiec umrzesz zapewne w łóżku., bo trudno żołnierza karać tak jak wodzów. Ale jeżeli twoje łóżko niemiłe ci, spróbuj tylko na serjo wziąć się za barki ze złem i głosić prawdę, a zobaczysz...

— Spróbuję! — zawołał Tadzio z zapałem.

Odesa. *Aleksander Mańkowski.*

MIAŁA SERCE.

(OBRAZEK SŁONECZNY).

Spotkali się po kilku latach.

W mogile składano jedyne dziecię, zrodzone z krótkotrwałego małżeństwa. Dziecię to wydzierali sobie wzajem, targali, nie jego sercem, było na to zbyt maleńkiem, ale ciałkiem tego zawiązku człowieka, aż śmierć zlitowała się i uchroniła je przed dalszym losem, który się źle zapowiadał. Śmierć nie zawsze bywa tak miłosierną.

Nad trumienką dziecka ojciec i matka stanęli naprzeciwko siebie, zapewne po raz ostatni. Wszak teraz nie wiązało ich nic już, nic wcale, a nienawidzili się wzajemnie, dali tego tysiące dowodów. Majowa zieleń uczyniła podobnym cmentarz wiejski do ogrodu. Przez młode liście akacji, brzóz, kalin, jarzębin, ocieniających mogiły, słońce rozścielało ruchome światła, migające za podmuchem wiatru. Co chwila zabłysnął śród trawy jaskier żywą barwą, błękitniała modra sasanka, zabieliły się płatki rumianku, kropla rosy zamigotała barwami tęczy, jak brylant w trawę rzucony, i w cień zapadała. W powietrzu unosiła się woń bzów rozkwitłych, mieszających się z miodowym zapachem rzepakowego łanu, który rozciągał się żółtym kobiercem, tuż za nizkim murem cmentarza. Wśród zieleni świegotały ptaki, brzęczały owady, kukułka odzywała się wesołą nutą.

Był to rozkoszny poranek, niebo bez chmury nie miało jeszcze letniej spiekoty, promienie słońca nie paliły południowym żarem, lekkie powietrze rozszerzało piersi. W taki poranek śmierć zdaje się anomalją, wierzyć nie można, że ona istnieje, a jednak — stali na cmentarzu, ziemia z głuchym łoskotem spadała na trumnę ich dziecięcia...

On stał surowy, blady, z brwią ściągniętą. Może teraz żałował zatargów, co skończyły się tak tragicznie. Czy mieli dla dziecka rodzicielskie uczucia? Wszakże w ich to imieniu wydzierali je sobie wzajem. „Taki ojciec“! „Taka matka“! — odzywało się z oburzeniem każde z osobna. „Albo on wie o tem, że ma dziecko“? — dodawała kobieta, przygryzając wązkie wargi. „Zwierzę każde więcej dba o swoje małe“, — mówił mężczyzna z wściekłością.

Z powodu tego przekonania, on wśród zimowej zamieci podjechał pod mieszkanie żony i wykradł dziecię z mamką podczas jej nieobecności. Mówił, iż miał do tego prawo, wszakże matka nie czuwała nad niem. Potem ona przez policję odbierała mamkę, która, jak twierdziła, zbiegła samowolnie. I tak było dalej aż do śmierci maleństwa.

Może on pomyślał teraz, że dziecię w innych warunkach rozwijałoby się i żyło. Może odzywały się w nim chóry wspomnień i sięgały w przeszłość daleką?.. Usiłował odwrócić oczy od tej kobiety, którą niegdyś kochał... Otulona czarnemi krepami, wspierała się o pień brzozy. Nie mógł widzieć jej twarzy, widział tylko wysmukłą kibić. Słońce rzucało snop promieni na gruby, kasztanowaty zwój włosów, zwinięty nad karkiem, i wydobywało z nich rudo-złote odblaski. Włosy te miał zawsze przed oczyma, pamiętał ich miękkość, pamiętał woń, gdy tonął w nich ustami, a gdy rozplatał je, pamiętał tę kaskadę przyćmionego złota, przejmującą go dreszczem rozkoszy. Pod koroną włosów było czoło białe jak śniegi, brew gęsta i oczy nieokreślonego koloru. On wpatrywał się w nie miesiące i lata, dostrzegał kolejno iskry gniewu i rozkoszy, blask dumy, radości, szyderstwa, ale nie dostrzegł nigdy serdecznego promienia, coby zmiękczył ogień źrenic, rzucił na nie łzawą zasłonę i dał im ciepło tkliwości. Ileż razy próbował wszystkich strun jej duszy po koleji! Ta nie oddźwiękła mu nigdy. Łudził się długo, chciał się łudzić: ta kobieta nie była w stanie kochać. Przekonał się o tem i miłość jego przeszła w nienawiść.

Są chwile, w których z szybkością błyskawicy snują się w myśli obrazy. Tak było z nim teraz. Źrenice jego, zamiast zwracać się ku trumnie, utkwione były w gruby splot włosów pochylonej przed nim kobiety, a przed nimi przesuwały się tłumnie widziadła dni minionych, kiedy spotkał ją po raz pierwszy i odczuł odrazu ten dreszcz tajemniczy, przejmujący całą istność ludzką, gdy ją owładnie nowa potęga. Od tej chwili należał do niej.

Potem, przypomniał sobie pierwszy uśmiech odnaleziony na jej ustach, uścisk miękkiej dłoni drżącej w jego ujęciu, zamienione wyznania. Szczęście...

Mówiono mu, że to zimna zalotnica, że szuka bogatego męża, że przed nim zarzucała sieci na bogatszego jeszcze, chciano dawać dowody. Nie słuchał. Czy kiedy kochający podobnym oskarżeniom uwierzył? Szalony — szalony! Nastąpiły dni rozkoszy i dni wściekłości. Nie chciał a musiał dostrzedz, że wzrok żony ścigał innego, że ten inny stanął pomiędzy nimi, a wówczas widział go, zawsze przed sobą, zawsze i wszędzie, chociażby o setki mil był oddalony. Odtrącił ją wreszcie, a ona rozwinęła skrzydła jak rozpętany ptak ku swobodzie. Teraz nic już nie stało pomiędzy nią a ukochanym. Nie spojrzała nawet na męża, nie domyślała się, że trawiła go dzika żądza zemsty, że zapaliło się w nim pragnienie zadania jej choć części cierpień, jakich przez nią doświadczył, że nienawidził ją tyle przynajmniej, ile kochał niegdyś.

Czy wykradł to dziecię, które teraz grzebali z miłości ojcowskiej? Nie, nie. On szukał tylko zemsty, on chciał jej wydrzeć to, co ukochała, jak ona wydarła mu siebie. Wet za wet, rana za ranę, a może był to sposób jak inny wrażenia się w jej pamięć, może tylko pozór myślenia o niej, zajmowania się nią.

Teraz zrozumiał to dobrze wobec tej mogiłki rosnącej mu pod stopami. Przejrzał jasno we własnem sercu. Dziecię, cóż mu dziecię? Alboż obejrzał się za niem, alboż serce jego się ściskało? Zamiast sinej i martwej twarzyczki, on widział przed sobą zwój tylko kasztanowatych włosów, ocieniający kark puszysty, cały złotym meszkiem osnuty, i postać smukłą, gnącą się pod nadmiarem boleści.

To sprawiało mu dziką rozkosz, ha! więc cierpiała ona także, nareszcie! Wiedział, gdzie ugodzić, kiedy jej dziecię wykradał. Każda matka dziecko swoje kocha: to prawo natury. Zapomniał, iż odsądzał ją niegdyś od tego prawa, dowodził, iż zwierzę więcej od niej dba o swoje małe...

Mogiła była już prawie zasypaną, w miarę jak rosła, kobieta pochylała się nad nią, głuche łkanie wstrząsało jej piersi i widać było pod czarną tkaniną sukni, drganie ramion, co chwila ściągających się spazmatycznie.

Łkania jej dziwiły go, uspakajały. Nie sądził, aby mogła tak bardzo odczuwać jakąkolwiek stratę. Więc ona jednak ma coś nakształt serca! I nagle ta kobieta przedstawiła mu się w odmiennem świetle. Może to on nie zdołał serca jej rozbudzić? Może to był kwiat mimozy, który się zamknął pod szorstkiem dotknięciem? Dokonywała się w nim przemiana dziwna. Całe życie był człowiekiem gwałtownych uczuć i gwałtownych zwrotów. Nienawiść jego pierzchała nagle, budziły się zapomniane uczucia, nadzieje, dawne pragnienia młodzieńcze, rozwijała się znowu nić marzeń, taka, jaka snuła się przed nim w dniach wiośnianych.

Marzenia te nie sięgały niepodobieństw: nie szukał zaczarowanych dziewic na sobotnich górach, nie pragnął tajemniczego kwiatu paproci, ani skarbów zaklętych, jakie on odkrywa. Zwyczajne ludzkie życie, pełne prostych uciech, a chociażby i trosk prostych, towarzyszka dobrej i złej doli, dzieci, w którychby się odrodził, które dalej rozwijałyby jego myśli, prowadziły pracę. Czy nie miał prawa sądzić, iż los spełni te skromne żądania? Zapomniał tylko w rachunku swoim, że los ma ludzką naturę i źle obchodzi się ze skromnymi. Im kto mniej pragnie, tem mniej otrzymuje.

Te wszystkie marzenia powracały mu do myśli. Czy przynosiła mu je woń wiośniana, czy ta postać kobieca pochylona w łkaniach, czy też ten pogrzeb krwi jego? W miarę jak matka oczyszczała się w jego pamięci, i dziecię odzyskiwało pierwotne miejsce w jego sercu, zaleciały je miększe uczucia, budził się przestrach i wyrzut. Po raz pierwszy zapytał sam siebie: czy spełniał obowiązki ojca względem tego dziecięcia, czy wydzierał je matce z miłości czy też z nienawiści?

Ona niezawodnie kochała je lepiej od niego, skoro odbyła długą podróż, ażeby choć zwłoki jego zobaczyć, oddać ostatnią posługę. W jej rękach ono może nie byłoby umarło? Kto wie, czy nie ta myśl przygniatała ją teraz, czyniła bardziej gorzkiemi łzy, żal mieniła w rozpacz?

Gdyby spojrzeć w jej oczy i wyczytać... Zapomniał, że tego, czego pragnął, nie wyczytał w nich nigdy w żadnej chwili wspólnego życia. Zapomniał o zawodach swego małżeństwa, widział ją tylko leżącą twarzą do ziemi w pognębieniu ostatecznem. Smukła, bezsilna kibić, obciśnięta czarną szatą, rysowała się na bladej żółtości piasku świeżej mogiły, ciężkie sploty włosów brały w siebie słońce, drżały złotem światłem, a lekkie tchnienie wiatru rozwiewało wkoło nich złote włoski wymykające się wielkim szyldkretowym szpilkom, które całego ich bogactwa utrzymać nie mogły.

— Omyliłem się. Ona ma serce, — powtarzał sobie uparcie jak lunatyk, krążący około jednej myśli. Gdybym do tego serca przemówił? To było już proste następstwo poprzednich myśli. Jak przemówić? Rozeszli się od tak dawna, tyle nienawiści, obelg, złorzeczeń, nagromadziło się między nimi, iż żadne słowo nie przychodziło mu na usta. A jednak zdawało mu się rzeczą prostą, wziąć ją w objęcia, złożyć tysiące pocałunków na tych włosach, których woń subtelną miał w pamięci, tak żywo, jak gdyby ją czuł w tej chwili, i unieść jak swoją.

Ona miała serce; jak mógł tego nie widzieć, jak mógł o tem wątpić, brać na serjo żarty z tym drugim, posądzić ją... alboż nie oddała mu swej ręki dobrowolnie, alboż nie ukochała go od pierwszego spojrzenia, jak on ją? Ten drugi mógł wszakże dawno zbliżyć się do niej. Więzy, które wiązały męża z żoną były tak nikłe, ten drugi zerwać je mógł z łatwością, on, co był tak bogaty, gdyby zechciał tylko? Nie, ta miłość istniała jedynie w jego chorobliwej wyobraźni. Gdzież on miał zmysły, kiedy ją posądzał? Ona wówczas nie broniła się nawet, rzuciła mu w oczy urąganie. Czy mogła inaczej postąpić?.. A on w tem urąganiu niewinnej widział dowód winy. Szalony! szalony!

Zdejmowała go litość, trwoga nawet, gdy patrzał na piękną postać kobiety, której łkania wzmagały się zamiast uspokajać. Była samą, chociażby ją nienawidził nawet, powinien był pomódz. Bezsilność jej dodała mu odwagi.

— Marjo — wyrzekł zdławionym głosem, pochylając się nad nią.

Nie usłyszała go, może nawet usłyszeć nie mogła. Duch jej zapewne przebywał z duchem dziecięcia.

On pochylił się więcej jeszcze.

— Marjo! — powtórzył.

I znów głos jego cichy przebrzmiał daremnie.

Wówczas rękoma ujął ją za ramiona i usiłował podnieść, ale ręce jego drżały tak bardzo, iż nie był w stanie dźwignąć wiotkiego ciała.

Zwróciła ku niemu głowę. Zamiast gniewnego spojrzenia okazała mu oczy przymknięte, z których spływały dwa strumienie łez. Ujrzał znowu to czoło białe jak śnieg, brwi gęste i drobne usta, to oblicze, które miał w oczach ciągle, nieustannie zarówno w chwilach gniewu, nienawiści jak żalu. Fala wspomnień uderzyła w niego z taką mocą, iż świat cały zawirował mu w oczach. Nie spostrzegł jak przez firankę rzęs, przez łzawe krople, źrenice jej słały ku niemu badawcze spojrzenia, jak spojrzenie to sprzeczało się z wybuchami żalu, z łkaniem, z omdleniem, i świadczyło o zupełnej świadomości i zawładnięciu sobą.

Była to tylko chwila, mgnienie powieki, coś na kształt drgnienia światła, co przebiega burzliwą chmurę, on nic nie zauważył, czuł tylko jej kibić przy piersi, czuł tylko jej głowę na ramieniu i ten zwój włosów miękki i ciężki, którego woń przenikała go jak niegdyś.

— Marjo — wyrzekł znowu, teraz już z prośbą i zapytaniem, tak wyraźnem, iż trzeba było tylko odrobiny dobrej woli, ażeby go zrozumieć i jednego słówka, jednego śmiechu, ażeby przeszłość pierzchła jak zły sen i rozpoczęło się znowu dawne życie.

Czyż ona nie zrozumiała? Ona, co umyślnie obwinęła się w krepy żałobne, przybrała pozór matki bolejącej, by to zapytanie usłyszeć?

Była panią położenia, zrozumiała jednem błyskawicznem spojrzeniem, i dlatego wyzyskać je chciała.

Usta jej nie otwarły się, oczy nie przestały tonąć we łzach. Może też łzy te nie były udane? Wszak zawiodły ją świetne plany przyszłości, wszak poza sobą zostawiła nadzieje wszelkie i teraz nie miała już innej drogi, jak zdobyć znowu człowieka, którym wzgardziła niegdyś, z którym toczyła przez lat parę walkę zażartą.

Boleść jej miała wymowę, którejby żadne słowa nie dorównały. Gdy głowę wspierała na jego ramieniu, przypadkiem wypadła szpilka, utrzymująca węzeł włosów, które złoto-brunatną falą spłynęły ku ziemi. Machinalnie zanurzył w nie rękę i czuł znowu ich jedwabistą miękkość. Niezawodnie ona miała serce! Teraz znikły wszelkie wątpliwości...

Wobec samego siebie przyznał się do winy, trzeba było winę odpokutować. Ta kobieta została ciężko znieważoną. Serce teraz, to zaprzeczone serce, skłaniało ją do wspaniałomyślności; zbyt szlachetna, by pastwić się nad pognębionym, musiała jednak odczuwać żal ciężki. Czy miał tej szlachetności nadużywać? Należał do ludzi, którzy nic nie robią połowicznie.

— Marjo, przebacz, zawołał cisnąc ją do siebie, jak odzyskane dobro. Przebacz, zapomnij, daruj!

Na usta jego cisnęło się inne jeszcze słowo. Ona to zrozumiała, uczuł znowu jej serce na swem sercu i tulące się do niego ramiona.

Warszawa. *Walerja Marrené.*

FILOZOFJA JASEŁEK.

(FRAGMENT KRYTYCZNO-HISTORYCZNY).

„Chcąc wykazać całą śmieszność ludzkiego bytu, dowcip wymyślił widowisko marjonetek, którego główny aktor jest warjatem". Czyżby Swift miał słuszność? Czyż rzeczywiście pod drewnianą maską jasełkowego bufona kryje się tylko szaleństwo i pustota? Prawda, że na zachodzie Europy teatr ruchomych lalek zadawalniał potrzebę zabawy: królowie posiadali turnieje i balety, lud miał figurki skaczące; monarchowie utrzymywali na swoim żołdzie Triboulet'ów i Chicotów, nadworne błazny tłumu noszą niemniej głośne i sławne imiona: Poliszyneli, Hanswurstów i Punchów. Jak wesołkowie książąt, tak i trefnisie ludowi mieli pewne przywileje, pewną swobodę myśli i języka. Żartownisiom ludowym wolno nawet było daleko więcej, bo, jako figury fantastyczne, stali oni ponad rzeczywistością, a zatem i ponad słuchaczami, których mogli bezkarnie wyszydzać. Łatwiej zresztą obrzucać obelgami stugłową bezimienną hydrę tłumu, niżeli osobę pojedyńczą, a w dodatku potężną. By mieć atoli prawo do mówienia komuś gorzkich słów prawdy, należy dowieść, że się go kocha, że się go gryzie *sercem*, nie *wątrobą*.

Takim bywał stosunek trefnisiów do królów w dziejach i poezji. Dość wspomnieć cesarza Maksa i wiernego a dowcipnego Kunza von Rosen, Zygmunta Augusta i Stańczyka i t. p. Z kreacji poetycznych zasługują na uwagę błazen w „Królu Lirze", oraz Nik w „Marji Stuart". Każdy z nich kocha swego pana do tego stopnia, że utożsamia się z jego osobą, żyje jego życiem i gotów jest umrzeć za niego. Stosunek błaznów ludowych do ich władcy, tłumu, jest w istocie swojej ten sam. Nie ma tu, naturalnie, mowy o rzeczywistej miłości, boć drewniana figurka, poruszana palcami chciwego na grosze szarlatana, kochać i poświęcać się nie może; pomiędzy postaciami jasełkowemi a ludem, który je stworzył i któremu one, szydząc zeń, przypodobać się pragnęły,

istniał jednak silny węzeł idealnej sympatji. Patrząc na zabawne skoki i słuchając drwin, wygłaszanych przez marjonetki, lud odczuwał instyktownie, że te ruchome karykatury, to krew z krwi, a duch z ducha jego. Był to stosunek twórcy do stworzonego przedmiotu, ojca-prostaczka, do dowcipnego syna urwisa, który, aczkolwiek mądrzejszy od wyśmiewanego rodzica, przypominał go charakterem, oraz ogólnym nastrojem i kierunkiem umysłu. Syn ten nie wyparł się nigdy swego nieokrzesanego życiodawcy i zawsze bronił spraw jego w walce z wyższemi stanami. Nie mamy tu na myśli walki bezpośredniej, w formie otwartej satyry i krytyki, chociaż i to wielką w dziejach marjonetek odegrało rolę i niemało im przysporzyło sympatji, pragniemy sięgnąć nieco głębiej, do samego jądra charakterów jasełkowych, które u wszystkich typów, począwszy od włoskiego Pulcinelli, a skończywszy na perskim Keczel-Pehlewanie i Ranginie indyjskim, jest jedno i to samo. W głębi każdego z tych charakterów tkwi, ujawniając się mniej lub więcej silnie, nienawiść do więzów, narzuconych jednostce przez społeczeństwo. Cokolwiekbądź bowiem uczeni powiedzą o naturze i pożytku społeczeństwa, faktem jest jednak, że człowiek, zwłaszcza ubogi, należąc do danej gromady socjalnej, dość drogo opłaca korzyści, jakie od niej w zamian otrzymuje.

Dzisiaj cała ta kwestja sprowadza się głównie do podległości ekonomicznej, dawniej atoli dołączało się do tego wiele jeszcze innych czynników. Krępowany tysiącem przepisów i postrachów przez kościół, ugniatany przez panów, wyzyskiwany przez zwierzchność, lud, aczkolwiek pobożny i lojalny, musiał instyktownie nienawidzieć społeczeństwa, które go traktowało gorzej, niż roboczego wołu. Że uczucie podobne wrzało zawsze w sercu tłumów, świadczą perjodyczne bunty, żakerje, wojny chłopskie i inne, tak częste na Zachodzie wybuchy, dążące do zupełnego zerwania wszelkich, nietylko państwowych i kościelnych, ale i najpierwotniejszych społecznych więzów. Ta rzesza maluczkich, nienawidząca wielkich tego świata i usposobiona wrogo względem wszystkiego, co przez nich i ich przodków ustanowionem zostało, musiała się cieszyć, widząc, jak Punch, lub Poliszynel drwił sobie z praw i instytucji społecznych, tłukł kijem przedstawicieli władzy i sprawiedliwości, a wieszał katów. Był to odwet *in effigie*, symboliczna żakerja, której widok uspakajał naprężone nerwy plebejusza, i, za pomocą wybuchów śmiechu, uwalniał zbolałe serce jego od nadmiaru nienawiści i goryczy. Panowie trzymali błaznów, by odpędzać przesyt i nudę, lud zaś szukał u swoich trefnisiów pociechy w strapieniu. Jeżeli go dręczyły kłopoty domowe, jeśli miał długi, lub był przykuty nierozerwalnym łańcuchem sakramentu do niedobranej i kłótliwej towarzyszki życia; gdy mnich go straszył ogniem wieczystym, a państwo łucznikami i torturą: biedny nędzarz pocieszał się, patrząc, z jakim humorem, werwą i łatwością rozwiązuje Poliszynel kwestje pieniężne, rodzinne i społeczne i jak sobie daje radę nawet z odwiecznym wrogiem rodzaju ludzkiego, szatanem. Czem jest Faust w zakresie wyższego duchowego życia, a Don Juan w dziedzinie gwałtownych uczuć i namiętności, tem był Poliszynel w sferze niższych, zwierzęco-ludzkich instynktów w kole zwykłego, powszedniego bytu wraz z jego miljonem drobnych, codziennych, głupich, ale zabijających swą masą trosk i kłopotów. Jak tamci tytani, dążąc do ideału bezwzględnej swobody myśli i serca, starali się skruszyć szranki krępujące ludzkość, tak karykaturalny ich kolega z budy jarmarcznej pragnął rozluźnić, za pomocą śmiechu i pałki sękatej, ciasny okrąg warunków nędznego mieszczańskiego żywota. Na jednym punkcie nawet humorystyczny bohater jasełek przewyższał poważnych herosów tragedji i opery, gdy ci ostatni bowiem,

nie dopiąwszy celu swych dążeń, ginęli, zgnieceni żelazną dłonią konieczności, Poliszynel, obrzuciwszy ludzi i djabła gradem obelg i razów, wychodził z walki zwycięsko, nie tracąc ani na chwilę fantazji i dobrego humoru. Im stosunki pomiędzy społeczeństwem a ubogą jednostką mniej były naprężone, t. j. im mniejsze potrzeby posiadał człowiek i im łatwiej je zadawalniał, tem łagodniejszym charakterem odznaczał się marjonetkowy jego ulubieniec. Neapolitański Pulcinella np., bohater zadowolonych z życia lazaronów, jest tylko wesołym egoistą, nic więcej. Bardziej na północ, gdzie warunki klimatyczne utrudniają bytowanie, charakter głównych jasełkowych typów staje się coraz złośliwszym, dosięgając wreszcie szczytu w postaci okrutnego, jak Ryszard III, a rozpustnego, jak Falstaf, Puncha angielskiego. To nie szaleniec, jak mniemał Swift, lecz uosobienie destrukcyjnych żywiołów, drzemiących w łonie mas.

U nas takie typy powstać nie mogły, bo nie miał ich kto tworzyć. Stan trzeci nie istniał prawie wcale, lud wiejski zaś, który się głównie jasełkami zajmował, zbyt był oddalony od ognisk oświaty i ruchu politycznego, zbyt przygnieciony poddaństwem, by śmiał i mógł oponować satyrą i humorem przeciwko ustalonemu porządkowi rzeczy. To też polski teatr lalek, wziąwszy początek w tem samem, co każdy dramat, t. j. liturgicznem źródle, zatrzymał się na przejściowem, świecko-religijnem stadjum „szopki“, i żadnych wybitnych typów nie wytworzył, poprzestając na naiwnem wyśmiewaniu chłopskiej głupoty, babskiej kłótliwości i żydowskiego żargonu.

Warszawa. *Ignacy Matuszewski.*

ZYGMUNT KRASIŃSKI O SZEKSPIRZE.

... „and by a sleep to say we end
The heart-ache, and the thousand natural shocks
That flesh is heir to, — 'tis a consummation
Devoutly to be wish'd".

Słowa te, wypowiedziane przez Hamleta w słynnym monologu, są wyrazem powątpiewania, azali istnieje poza kresem życiowej wędrówki świat inny i życie nowe, czyli też po tylu walkach i cierpieniach doczesnych, oczekuje nas próżnia i nicość? Myśl tę uważać można za podstawę filozofji Szekspira. Twórczość jego czerpie materjał z życia ludzkiego, okazując nam jego niedolę i rozczarowania, łzy i szydercze śmiechy, namiętną miłość i szaloną zazdrość, nie mające się ziścić nadzieje i ponure zwątpienia; spotyka się tu wprawdzie idealną cnotę, wzniosłą szlachetność serca, uczucia czyste, rzekłbyś, bez przymieszki zmysłowych mętów, ale w tragicznej walce z poziomą rzeczywistością, więdną one, jak kwiaty na skwarnem słońcu. I gdyby na jedną paletę zebrać wszystkie barwy Szekspirowskich obrazów, to pewnie przeważyłyby nie światła lecz cienie. Jak wielki poganin rzymski z czasów cesarstwa, spogląda on spokojnie na życie i wyższości swego gienjuszu, widzi w niem wiekuistą walkę Ormuzda z Arymanem, przyznaje większą potęgę bóstwu ciemności, ale nie sięga więcej poza dziedziny znanego świata, nie stara się dociec tajemnic pozagrobowych, i bez wiary, bez domysłów, przyjmuje rzeczy jak są, układając je wedle miary życiowych stosunków. H. Taine nazywa go największym twórcą dusz *(faiseur d' âmes)*. Tworzy on istotnie dusze, uderzające, niby posągi mistrzów, swoją monumentalnością, ale marmur, z którego je wykuwa, nie ma w sobie nic niebiańskiego: wszystko wedle Szekspira poczyna się i kończy na ziemi.

Nic dziwnego, że romantycy nasi zachwycali się Szyllerem, uwielbiali Goethego, naśladowali Byrona, a najmniej oddziaływał na nich wielki realista XVI wieku. W życiu umysłowem Krasińskiego, tego najszlachetniejszej krwi romantyka, były chwile, kiedy się skłonniejszym okazywał do poprzestania na tem, co mu ziemia dać może: wówczas i dla poezji nie szukał dróg pozaświatowych. Ale chwile te trwały krótko i ostateczny system filozoficzny Krasińskiego przedstawia się prawie jako antyteza poglądów Szekspira. Nazywa on

stanowisko Szekspira względem świata „dzikiem i dziecinnem“ (Listy, t. III, 1887, str. 13). Streszcza je w ten sposób: „Ty płaczesz, tobie serce pęka! ty krzyczysz: ja nieszczęśliwy! Spojrzyj, proszę cię, alboż to ty jeden? Patrz-no: i tam łzy płyną i ówdzie, serca pękają wszędzie i zawsze; taki życia tryb od kolebki urodzenia do trumny zapomnienia, wszyscy się zżymają i płaczą i cierpią. Pomyśl-no, czy to nie wielka buffonada tak rodzić się, nie wiedzieć skąd, tak żyć nie wiedzieć czemu i tak sobie odchodzić, nie wiedzieć gdzie? Ja bym ci radził, wszystko to za żart jeden przykry uważać; a kiedy żartują z siebie, nie wiem kto, czy los, czy Bóg, czy djabeł, czy traf, ej, wierz mi ty i zażartuj z nich, kpiną płać kpinę, bądź aktorem komicznym, ty dotąd tragiczny aktorze na teatrze świata“. (listy t. III. 1887, 11).

Stanowisko to jest złem, wedle Krasińskiego. Każde cierpienie ma swój cel wyższy: zbliża człowieka ku Bogu, służy ku temu, aby kiedyś w pozagrobowem życiu zajaśniał wiekuisty błękit pogody. Śmierć i ból o tyle są momentami tragicznemi, o ile noszą w sobie zaród zmartwychwstania; śmierć zaś absolutna jest niczem, głupstwem, rzeczą nie duchową, i kto ją za ostateczny cel postawi, ten odejmie całości prawdę, a jej samej, właściwą jej tragiczność. Jakaż jest owa tragiczność?

Człowiek zbliża się ku Bogu, nieustannie poznając siebie i przerabiając. W Bogu jesteśmy piękni, na świecie zaś szpetni i brudni, gdy szukając samych siebie, stopniowo tylko odkrywać się możemy. Ten brud i szpetność wszakże, to tylko złudzenie. Musimy przejść przez hie koniecznie, aby odzyskać za grobem swą piękną i czystą całość.

„W duchu masz Boga, za sobą Boga, przed sobą w dniach przyszłości Boga, wierzysz w to, czujesz to, a dziś i jutro i przez cały ciąg dni twoich ziemskich będziesz człowiekiem, to jest aniołem, walczącym z przeznaczeniem wszechmocnem na dzisiaj“. (T. III., 23). Taka konieczność walki ze samym sobą, w celu pozyskania wiecznego spokoju poza grobem, jest właśnie w najwyższym stopniu tragiczną. Punktem wyjścia dla Krasińskiego w tem rozumowaniu jest wiara, celem życia — zbawienie; punktem wyjścia Szekspira — sceptycyzm, celem — życie samo. Krasiński nazywa go przeto materjalistą, empirykiem, i wróży poezji przyszłej odmienne kierunki. „Już słyszę, jak ptaszęta paranku gwarzą i jak kwiaty o wschodzie słońca wonieją... W tej nowej poezji będzie i człowiek i ta ziemia i niebo i Bóg razem“...

Pół wieku minęło od czasu tej wróżby; ptaszęta poranku milkną coraz bardziej, kwiaty woń swą tracą, a słońce nowe nie wschodzi. Poezja gaśnie, wiara Krasińskiego nie podnosi już ludzkości na skrzydłach swych ku niebu, a człowieka coraz mocniejsze więzy łączą z ziemią. Czy jednak stąd wynika, że sceptyzm Szekspira jest prawdą, a żywot Krasińskiego zgoła bezpodstawny? Nie sądzę. Pierwszy stanowi w życiu ludzkiem siłę dośrodkową, której podstawą egoizm, drugi siłę odśrodkową, której zasadą poświęcenie: oba te czynniki są potrzebne i pożyteczne. Pięknie powiedział jeden ze znakomitych pisarzy, Turgeniew: „Chodzi tu głównie o szczerość i moc samego przekonania, prawda zaś w ręku losu. Los pokaże, czyśmy walczyli ze złudzeniem, czy z wrogiem rzeczywistym, i jakim orężem uzbroiliśmy swe głowy. Naszem zadaniem — uzbroić się i walczyć“.

Warszawa. *Antoni Mazanowski.*

SCENA ZE SZTUKI: »HRABINA TEA«.

(Rzecz dzieje się w willi hrabiego, pod Neapolem).

HRABIA. HRABINA. PAOLO. RAFAEL.

PAOLO.

Pozwolisz, stryju, przedstawić sobie kolegę biurowego i zarazem przyjaciela, Rafaela Panormo. (Rafael podaje rękę hrabiemu, głęboki ukłon składając hrabinie). Ferje spędził u krewnych w Sycylji, obecnie w powrocie...

RAFAEL (kończąc).

Ośmieliłem się najechać ustroń szanownych państwa, by złożyć powinne uszanowanie, oraz zabrać ze sobą tego... (wskazując na Paola).

HRABIA.

Melancholika.

HRABINA.

Zabrać!

RAFAEL.

Jednocześnie z moim i Paola urlop dobiega kresu. Za parę dni winniśmy obaj znaleść się na stanowisku.

HRABIA (do Rafaela).

Czy pan przypadkiem nie jesteś powinowatym barona Panormo z Rzymu?

RAFAEL.

Na szczęście ani w najdalszej linji, hrabio. Moja familja jest niezamożną, zaś Panormo Rzymski — bogacz ogromny.

PAOLO (lekceważąco).

Ph! zrobił majątek na dostawach.

RAFAEL (ze śmiechem).

Po prostu: ukradł sto tysięcy lirów.

HRABIA.

Bajki, wierutne bajki! Gdyby postąpił, jak pan utrzymujesz, żaden szanujący się człowiek nie podałby mu ręki. Tymczasem cała śmietanka wiecznego miasta salony jego zapełnia. On skradł — miljon lirów! *Corpo di Dio!* i to mu ocaliło honor!

RAFAEL (ironicznie).

Miljon! Aaa, to przepraszam! Omyliłem się i wracam mu czołobitność!

HRABIA.

Kiedy kraść, to korcami. Drobnostką człowiek się kompromituje zanadto!

HRABINA.

Kiedyż to odjechać zamierzacie panowie?

RAFAEL.

Dziś wieczorem, pani hrabino.

HRABINA.

Naturalnie! Spieszcie, spieszcie! Walczcie, dobijajcie się o awans, o fortunę, po to, byście pod wieczór żywota spostrzegli zabiegów onych marność ba, egzystencji samej marność!

RAFAEL.

Cóż czynić?

HRABIA.

W tem sęk!... Nie rodzić się, byłoby najskuteczniej.

RAFAEL.

Niestety, raz wszakże spełniwszy tę niedorzeczność...

HRABIA.

Brnąć dalej, brnąć do końca, nieprawdaż? Otóż to logika wartogłowów!

RAFAEL.

Logika świata.

HRABIA.

Na jedno wynosi.

RAFAEL.

Istniałżeby inaczej?

HRABIA.

At! mała szkoda.

RAFAEL.

No jakże!

RAFAEL.

Co do mnie, żałuję jedynie, że nie będę przy jego skonaniu. Widok byłby wspaniały!... Obecnie na globie ziemskim daleko do przepełnienia, miej-

sca dla wszystkich aż za wiele... Spójrz pan jednak co za walka! jak się gryzą, tępią, niszczą na każdym punkcie!... Skoro nastąpi przeludnienie, *Santo Dio!* już nie bliźni przeciw bliźniemu, miasto przeciw miastu, kraj przeciw krajowi, lecz część świata naprzeciw części świata zerwie się do boju!... i póty mordować, zjadać, rznąć, strzelać, bombardować się będą, póki pod niebem nie zostanie nic, absolutnie nic, krom... ogonów! (śmieje się z gorzką ironją) He, he, he... Wszelkie jestestwo żyjące, zredukowane do... kupy ogonów!... *Corpo di...* to można umrzeć ze śmiechu! Tylko, że wówczas nie będzie już komu ani śmiać się, ani umierać... Ogony zostaną bez historjografów!... Co za los! co za strata! Niestety, niestety, he, he, he!

RAFAEL (do Paola na stronie).

Czy twój stryjaszek zawsze tak wesoło dowcipkuje!

HRABIA.

Dalej w drogę co żywo, jedź, spiesz się, kop dołki pod kolegami, schlebiaj zwierzchnikom, depcz podwładnych, kłam, blaguj, drwij z sumienia i godności, a awanse, zaszczyty, gradem spadną na ciebie. Nic tak nie popłaca, jak łotrostwo.

PAOLO.

Stryj wie, że ja tego czynić nie będę.

HRABIA.

Tem gorzej, niedołęgo. Wyręczą cię inni i wygrają. Ty zaś wrócisz do Monte Olivetto głodny i obdarty, fi!

PAOLO.

Tak źle nie będzie.

HRABIA.

A niechaj raz jeden tylko zobaczą cię obdartym — amen! po tobie! Świat łacniej przebacza wytarte czoło niż wytartą odzież: zapisz to w pamięci.

PAOLO (żartobliwie).

Od tej doby nie zrzucam z siebie szat odświętnych.

HRABIA.

Widzisz, dziś nawet moje psy mnie zdradziły na łowach. Nie wspominam już o dzierżawcach, oszukujących mnie, kradnących przy każdej i bez sposobności, ale psy! psy! koniec świata!... Dotąd przynajmniej na psią wierność liczyłeś spokojny, teraz i te zacne czworonogi zawodzą! Bywaj zdrów, żyć nie warto! amen. (Do Rafaela) Pójdź pan, pokażę ci jedyną istotę godną zaufania, na tym nędznym padole, niedźwiedzia... wypchanego. Nieboszczycy tylko bowiem są nieszkodliwi i to usmażeni w crematorjum lub... wypchani, w przeciwnym razie i oni truciznę sieją, jak za życia! *Corpo di...*

RAFAEL (idąc za hrabią).

Brrr! słodki staruszek, ani słowa!

(Hrabia, za nim Rafael, odchodzą).

Warszawa. *Zofja Mellerowa.*

RÓŻNE DROGI.

Nauka bezwątpienia postępuje naprzód. Gdy przebiegniemy myślą wieki dzielące nas od Arystotelesa, widzimy, jak się doskonaliło i doskonali wszystko: i metody badania, i sposób stawiania wniosków, i same wnioski. Nauka współczesna stworzyła *doświadczenie*, którego nie znali starożytni. Zjawisko badane stawiamy w naszych pracowniach w takich warunkach, w jakich je właśnie badać chcemy; usuwamy wszystkie oddziaływania postronne, któreby obraz zjawiska skomplikować mogły. Drogą tak postawionych doświadczeń, dzięki także nadzwyczajnemu udoskonaleniu przyrządów pomocniczych, zgromadziła ludzkość przez ostatnich wieków kilka ogromny materjał *faktów*, z których następnie przy pomocy nowych metod logicznych i matematycznych można już było zbudować wielkie syntezy wiedzy, wyprowadzić *prawa* rządzące miljonami zjawisk. Indukcja logiczna i analiza matematyczna podały sobie ręce, by z chaosu faktów wysnuć nici czerwone, postawić wielkie uogólnienia, do których wszystkie zjawiska sprowadzićby się dały. Takiemi uogólnieniami były: prawo ciążenia (Newton, w. XVII), prawo niezniszczalności materji (Lavoisier w. XVIII), prawo zachowania siły (właściwie energji — Helmholtz, Thomson, Mayer, Joule, 1840—1850). Dalej, już za naszej pamięci Karol Darwin i Herbert Spencer drogą indukcji doszli do wspaniałego prawa rozwoju, które pierwszy zastosował do świata organizmów, a drugi do wszechogółu zjawisk. Nakoniec dziś, o ile się zdaje, jesteśmy obecni przy narodzinach nowej wielkiej syntezy, którąby nazwać można syntezą eteru. To, co przed ćwierć wiekiem duchowem okiem analizy matematycznej przewidział wielki umysł Jamesa Clerka, Maxwella, znalazło obecnie potwierdzenie doświadczalne; światło i elektryczność okazały się być objawami jednakiego ruchu falowego w tajemniczym ośrodku, eterze, który zapełnia cały wszechświat i drga tak samo w naszym mózgu, jak i na najodleglejszych mgławicach.

Tyle zdziałała nauka.

Lecz świat zewnętrzny nie wyczerpuje sobą obszaru poznania ludzkiego. W każdym z nas istnieje nasze *ja* człowiecze, które czuje, myśli, cierpi, *żyje*.

Badanie naukowe tego *ja* jest nadzwyczaj utrudnione, gdyż przedmiot badania zlewa się tutaj z podmiotem. Psychologija doświadczalna znajduje się jeszcze w kolebce. Lecz podług słów Goethego:

„Grau, theurer Freund, ist alle Theorie,
„Grün nur des Lebens goldener Baum".

Tutaj właśnie zaczyna się wdzięczne zadanie powieściopisarza. Nie może on czynić doświadczeń naukowych, jak uczony w swej pracowni, gdyż duchowe tętno serc człowieczych nie daje się obserwować tak, jak wahania igły galwanometru, ale zato *życie* ludzkie w tysiącznych swych formach roztacza się przed badaczem; i jeżeli tylko ma on dar spostrzegania, umie uchwycić związki przyczynowe w zewnętrznych objawach, „ja" ludzkiego, albo przynajmniej odmalować nam człowieka jako indywiduum w głębi jego istoty i jako „zwierzę towarzyskie", ζῶον πολιτικὸν Arystotelesa, w stosunku do innych ludzi i całego społeczeństwa, to może spełnić piękne, wielkie i zacne zadanie. I wtedy chętnie myślą mu towarzyszymy, gdy nam, jako „Kameleona", maluje serce kobiety, gdy nas wiedzie w swe rodzinne „Nad Niemnem" strony, lub gdy na widnokręgu społecznym czarne nam „Widma" wskazuje.

Życie jest faktem. *Cogito ergo sum.* Lecz poza tem jesteśmy pogrążeni w oceanie nieświadomości. Największe, najwspanialsze, najwyższe uogólnienia nauki — im lepiej je poznamy, tem prędzej wyrabiamy sobie przekonanie, iż wewnętrzna istota wszechrzeczy i „rzecz sama w sobie" wiecznie dla nas pozostaną zakryte. Wszystkie zdobycze wiedzy ani na krok nie zbliżają nas do poznania Wielkiego. Niepoznawalnego, od odpowiedzi na odwieczne pytania o początku, przyczynie, końcu, o bycie, o ja i nie ja, o złem i dobrem... To samo i w życiu. Skąd, dokąd, po co idziemy, nauka żadnej nie daje odpowiedzi, nic nie wiadomo.

Ale życie jest faktem. Po tych, kogo ono ze złudzeń obdarło, następują inni, co jeszcze w nie wierzą. Wiosna ciągle powraca.

„Solvitur acris hiems grata vice veris et Favoni".

I tu leży jeszcze jedno wdzięczne zadanie powieściopisarza-artysty. Malując życie, maluje on i jego wiosnę i niejednemu choć w myśli ją na nowo odtwarza.

„W czarownym miesiącu maju
„Gdy pierwszy pączek rozkwita...

A każdemu z nas choć raz w życiu kwitną róże...

Petersburg. *Henryk Merczyng.*

W MASCE.

1.

Dusze ludzkie bywają zamknięte w sobie i milczące jak grób; ciekawe jak tytułem i treścią nęcąca książka nieczytana. Przesuwają się przez życie lękliwie, czasem z szyderczym, czasem z fałszywym uśmiechem, a często ze spokojnym, marmurowym wyrazem twarzy.

Z tym wyrazem tak zgodnym z jego wyniosłą postawą, tak przyrosłym do myślącego oblicza, błąkał się wśród ludzi od lat dziecięcych. Nie pamiętał pieszczot matki, tylko poważną i smutną twarz ojca. Gdy pytał o nią, całowano go w czoło i z tłumionem westchnieniem mówiono, że umarła.

Nie rozumiał wówczas tego słowa, tak jak potem nie wiedział, co znaczy, że zmarła tylko dla świata, a gdy pojął wielki dramat rodzinny, ona w zimnym legła grobie.

Ojciec zagrodził przed nim świat cały, pragnąc wszystkie wrażenia duszy chłopięcej stopić w uczuciu własnego smutku i przygnębienia. Jad ze swego serca szczepił w młode serce dziecka, tłumił w niem każde żywsze uczucie, każde rwanie się do tego, co lepsze, niepowszednie w życiu.

Wcześnie też zatruł w nim wiarę w dobroć ludzką, w sprawiedliwość losu. On uwierzył w te nauki jak w przykazanie boże, bo gdy czytać począł w książce, zwanej prozą życia, doświadczył tych prawd na sobie samym.

Wadliwa wymowa, której pozbył się później, narażała go w szkole na szyderczy śmiech kolegów. Poznał, jak wygląda zdrada w przyjaźni i co to jest pierwsza, gorąca, zawodna miłość kobiety, ciągnącej ku sobie wszystkiemi powabami i nieprzebranem bogactwem wdzięków niewieścich.

To wszystko stworzyło w nim lękliwość i wrażliwość nadmierną, serce przed czułością ludzką zamknęło na silne zamki, a twarzy nadało spokój, przerywany czasami bajrońskim uśmiechem ironji.

I mówili o nim jedni, że chodzi w masce, którą uważa za tarczę przed

głupotą ludzką i pociskiem szyderców, inni wzruszali ramionami i zwali go ironicznie sfinksem lub mumją.

Niewielu jednak było takich, którym ten ciągły spokój oblicza wydawał się podejrzanym, marmurowa maska przejrzystą, kryjącą błyski tłumionego żaru uczucia.

Od pewnego czasu spotykała go, a potem śledziła bacznie młoda i rozumna kobieta. Z początku nie zwróciła na niego szczególniejszej uwagi; nie znała nawet jego nazwiska, które jej się zdało trudnem do spamiętania. Lecz w ożywionej rozmowie towarzyskiej uderzył ją oryginalny i śmiały sąd tego milczącego często człowieka. W trakcie pogawędki dowiedziała się zdziwiona, że skończył dwa uniwersytety i poświęcał się obok obowiązkowych zajęć poważnej pracy naukowej. A gdy znienacka spytała go z uśmiechem:

— Co też pan umie najlepiej?

— Pływać — odrzekł z nieudaną szczerością.

— Co? — rzekła zdziwiona.

— Tak pani! Otrzymałem nagrodę na dwóch konkursach pływackich.

Nie zwątpiła o tem, spojrzawszy na jego szerokie piersi i muskularne ramiona, lecz poczęła przypatrywać mu się bliżej. Dostrzegła to, co tylu innych przed nią: spokojny i zimny wyraz twarzy, matowe spojrzenie głęboko osadzonych oczu, a czasem tylko uśmiech łagodny, który krasił jego pełne, różowe usta.

Zaciekawiał ją z początku trochę, potem więcej, tak, że rada była zawsze, gdy zbliżał się do niej na dłuższą pogawędkę. Podziwiała jego wiedzę wszechstronną i umysł lotny, więziony w niesympatycznej skorupie.

Nareszcie odezwała się w niej kobieta, która poczęła rozwijać przed nim stopniowo cały zasób wdzięków niewieścich, darzyć go wymownem spojrzeniem bardzo pięknych oczu i pełnym powabu uśmiechem... Lecz żadna struna nie zadrgała na tym niemym instrumencie, żadna kropla krwi nie zawrzała w jego sercu zamkniętem; nawet lekki rumieniec nie pokrasił bladej twarzy...

A ludziom się zdawało, że nastąpiła w nim zmiana, i że pod blaskiem pięknych oczu topniał lód serca, że nawet drgnął raz silnie, gdy ona wesoła, świeża i jak kwiat wonna niespodzianie weszła do pokoju. Ona jednak nie była pewną, czy wyróżnia ją z pośród kobiet innych, chociaż coraz częściej bywał w jej domu.

Częściej przebywali też z sobą, tak, że mogła poznać go bliżej. Mimo to wydał jej się do poznania trudnym, a nawet po upływie sporego czasu nie znała go jeszcze, nie znała myśli, które wirowały w jego zatroskanej głowie, nie znała pragnień duszy rwącej się do serdecznych objęć życia, nie słyszała westchnień często głośnych, jak krzyk rozpaczny, często tłumionych niewiarą we wszystkie lepsze uczucia...

Poczęła jednak czuć do niego sympatję, która tylko skutkiem dziwnego, czy niepojętego dla niej postępowania, przeradzała się nagle w gniew starannie ukrywany.

Było to na jednym z zimowych wieczorów, gdy na ulicach szalał wicher mroźny, a oni z wyborem najlepszego towarzystwa spotkali się na raucie, wśród zbytkownych i z przepychem urządzonych salonów.

W buduarze, kilkanaście osób żywo rozprawiało o przeczytanym w „Gazecie Wieczornej“ fakcie, wstrząsającym duszę i nerwy. Był to opis nędzy, nędzy największej, gnieżdżącej się w brudnej, wilgotnej suterynie opustoszałego domu. Dwoje staruszków, z których on był ślepy, a ona dawno tknięta paraliżem, zmnszonych było opiekować się dwojgiem drobnych, niedołężnych sierot.

Była to spuścizna po zmarłej na tyfus przed kilku dniami córce, która, praniem zarabiała na życie, żywiła i opiekowała się tym rojem biedaków.

Łzy zakręciły się w oczach młodej panny. Nie ukrywała ich, tylko wstawszy czemprędzej z miejsca, poczęła rozglądać się po pokoju. Ze stojącego na stoliku koszyka wyjęła kwiaty i wsypała tam wszystkie drobne i papierki ze swej portmonetki. Poczem, wziąwszy pod rękę jednego z panów, poczęła na serjo kwestować.

— *Bis dat, qui cito dat* — lecz i datek musi być znaczny! — rzekła kłaniając się nizko gospodarzowi domu i podsuwając koszyk z prośbą błagalną w oczach.

W ten sposób obeszła wszystkich w salonie, a w koszyku poczęła się gromadzić coraz większa ilość pieniędzy. Nieśmiało jednak zbliżyła się do niego, gdy stał przy oknie, obojętnie przypatrując się wszystkiemu.

Podała mu koszyk, nie rzekłszy ani słowa. Spojrzał na nią uważnie i przecząco poruszył głową.

Przywykła do hołdów młodzieży, do spełniania wszystkich swych zachceń i marzeń, cofnęła się przerażona, ze zdziwieniem patrząc na niego.

— Pan mi odmawia?

— Tak, pani...

— Niepodobna! Czemże to wytłómaczyć? Czy pan naprawdę nie masz ani krzty dla nikogo miłosierdzia, czy tylko w tym wypadku chcesz być oryginalnym?..

— Proszę to sobie tłómaczyć wedle swego uznania; ja czynię tak, jak uważam za właściwe...

— Więc ci nędzarze nie warci pomocy bliźniego?

— Nie wiem... nie myślałem o tem.

— Czy może być nędza większa od tej, której opis przerażający czytaliśmy przed chwilą? — zapytała gniewna i wzruszona.

— Bywa stokroć większa: bywa taka, która nie trafia do reporterów, nie chce dać znać o sobie światu i nie odezwie się nigdy żadnym jękiem skargi lub rozpaczy. Bywają tragedje rozgrywające się w głębi duszy, gdy tylko w oczach głównego aktora dojrzeć można coś zaledwie jak w kawałku zwierciadła.

Zamyśliła się i milcząc spuściła głowę.

— Nie tu pora i miejsce dla takiej dyskusji. Powiem panu tylko, że nie znam dla nieszczęść kategorji i stopniowań. Wszystkie są sobie równe. Skoro wiemy wszystko jasno — rzekła wkrótce z dawnym zapałem — pomódz choć w tym wypadku jest naszym świętym obowiązkiem.

— Proszę, niech pani pomaga: lecz czy pomyślisz o ich dalszym losie, dasz im dziś, a co się z nimi jutro stanie?...

— Nie wierzę, byś pan był taki straszny, za jakiego chcesz uchodzić — rzekła ukłoniwszy się nizko i odeszła nie zamieniwszy z nim przez cały wieczór ani słowa.

Nazajutrz jak najwcześniej pobiegła do owych suteryn pod wskazanym w gazecie adresem. Ze zdumieniem jednak dowiedziała się, że przyszła zapóźno. Ktoś uprzedził ją, wczesnym bardzo rankiem przewiózł staruszków i sieroty do ciepłego mieszkania i miał zaopiekować się nimi stale.

Nie chciała wierzyć słowom stróża tego domu, póki nie zobaczyła opuszczonego przerażającego siedliska tych biedaków.

Upokorzona wybiegła czemprędzej na ulicę z silnym rumieńcem na twa-

rzy od ognia dziwnych uczuć, które miotały jej duszą. Przed oczyma jej stał spotęgowany obraz strasznej nędzy, której ulżyć nie zdążyła. W głowie powstał zamęt i zahuczała fala gniewu. Dopiero myśl pewna, jak błyskawica nagle rozświeciła ciemności, zwolna wróciła spokój.

Gdy przyszedł do niej, przywitała go chłodno, mówiła z nim mało, lecz przypatrywała mu się tak uważnie, jak gdyby wracał z tamtego świata.

Rzecz dziwna! Dziś wydał jej się innym zupełnie. Szukała marmurowej maski, przyrosłej do oblicza, i nie widziała jej wcale. Na twarzy pogodnej widniała szczerość, w spojrzeniu tkwiła dobroć bezgranic. Stawiała sobie pytanie: czy on zawsze był takim, czy też ona patrzeć nie umiała...

Usiadł przy niej i począł mówić jak zwykle, a jej się zdawało, że mówi pięknie, z niebywałym zapałem. Zgadzała się z nim we wszystkiem, jak nigdy, i zapanowała między nimi harmonja, jak gdyby nareszcie odnaleźli nić serdeczną, której szukali tak długo...

Wszelkie uprzedzenia zniknęły, jak sen męczący i dziwić się poczęła zarzutom, któremi obarczano go tak niesłusznie. W pamięci jej jednak, jak przez mgłę, przesuwało się jego zimne, martwe oblicze; że zaś pragnęła wyjaśnić wiele niezrozumiałych dla siebie rzeczy, więc, zboczywszy od głównego wątku rozmowy, powiedziała nagle:

— Zaciekawia mnie coś bardzo i sądzę, że otrzymam szczerą odpowiedź.

— Czy pani wiele na tem zależy?..

— Bardzo wiele... Dlaczego pan odmówił mi datku dla owych biedaków?... Czy dlatego, by ich samemu stokroć hojniej wesprzeć? Czy pan się wstydził dobrego uczynku, czy tylko mnie chciał ubiedz i zrobić mi na przekór?

— Nie wiem, o jakim uczynku pani mówi? — odrzekł zdziwiony.

— Brawo! Nie wychodzisz pan z swej roli ani na chwilę. Lecz czy to nie pan wydobył tych biedaków z wilgotnej piwnicy?..

— Ja? — zawołał coraz bardziej zdziwiony. Zapewniam, że jesteś pani w błędzie...

Wyrzekł to tonem tak stanowczym, że zachwiała się w domysłach; lecz, popatrzywszy na niego badawczo, poczęła mówić z błyskiem radosnym w oczach:

— Pan, nikt inny, tylko pan! Gdybyś się sto razy, stokroć silniej zapierał, to ja sto razy panu nie uwierzę!.. Tak! to byłeś pan! Mówi mi to dobre przeczucie kobiecego serca, które rzadko zawodzi. Odwracasz pan głowę... nie śmiesz mi spojrzeć teraz w oczy... I po cóż się tego wypierać? I po cóż dla swoich myśli, uczuć i czynów przywdziałeś pan maskę, z którą jak upiór błądzisz wśród ludzi? Może panu z nią wygodnie, lecz czy da ona kiedy to ciepłe uczucie, które się zowie szczęściem?

— Wątpię o tem — odrzekł poważnie. Szukałem szczęścia, nie znalazłem go nigdy... W zaraniu życia poznałem, co jest sieroctwo i niedostatek, a potem ot... — dodał machnąwszy ręką — niech śpi straszna zmora przeszłości... Dziś nie szukam szczęścia nigdzie; wiem, że go nie znajdę, bo go nie mogłem znaleść w sobie samym...

Zamilkł na chwilę, a ona zasłuchaną była w jego dźwięcznym, drżącym od wzruszenia głosie.

— To, co pani mówisz o mnie, jest przywidzeniem, niesprawiedliwością, jak tyle innych w życiu. Niechętnie wprawdzie biorę świat na świadka uczuć, co wrą we mnie silnie; nie cierpię pochwał dla moich czynów, ani współczucia dla mej niedoli i często kładę na twarz maskę, pod którą kryje się dusza dla

wybranych. Tę maskę zimną, martwą widzą na mej twarzy ci tylko, co patrzeć nie potrafią, co nie mogą lub nie chcą zajrzeć w głąb własnej istności i szukają wygodnych dla siebie pozorów. I mają mi za złe, że w niej chodzę, a przecież oni wszyscy biorą udział w tej uczcie, gdzie się egoizm z fałszem i obłuda z podłością w wieczną maskaradę bawi!..

— Prawda, — odrzekła z uśmiechem — lecz świat już taki, a my go nie przerobim. Kto zaś widzi rzeczy tak jasno jak pan, nie powinien ich brać tak tragicznie, ludzi zaś winien brać takimi, jakimi są, a nie jakimi być powinni. Lecz dlaczego nie szukałeś pan szczęścia wśród ludzi? Wszak łatwiej było z przysłoniętą przyłbicą?.. Czy zna pan uczucie, które, jak złoty blask słońca, wdziera się do ostatnich szczelin samotnej duszy, oświeca ją i zapala ogniem szlachetnym? Czy zna pan dziwną tęsknotę, ciągły niepokój serca; czy zna pan taką chwilę, w której widok otwierających się wrót niebiańskich znajdziesz w oczach ukochanej... Gdy chwilę taką przeżyjesz, znajdziesz szczęście w samym sobie.

Zarumieniła się, a oczy jej rzucały blaski złote, jak promienie tego słońca, o którem mówiła.

Słuchał ją uważnie, z rosnącem coraz bardziej zdziwieniem, które przechodziło w zapał niezwykły, jak gdyby dusza jego zapłonęła onym ogniem szlachetnym. Na twarzy zawitał gość rzadki: uśmiech niespodzianego szczęścia i rozkoszy, który jej nadał inny wcale wyraz. Ona na twarz tę patrzała ze zdumieniem i oczom nie mogła dać wiary: promieniała bowiem urokiem męskiej piękności...

A on stracił nagle ów spokój i krew zimną, której nie brakło mu nigdy i coś zawrzało w jego duszy.

W drżące ręce ujął jej dłoń miękką i patrzał w oczy, które obiecywały wiele...

— Chciałbym przeżyć chwilę taką, o której wspomniała pani, lecz czy na pustyni mojego życia temu uczuciu odpowie jakiekolwiek echo?..

— Należy mieć trochę wiary, trochę więcej zaufania w siebie — rzekła drżącym głosem, pozostawiając rękę w jego dłoni.

— Czy podobna? — zawołał z radosnem uniesieniem — dajesz mi nadzieję, pani, która jesteś najpiękniejszym snem mojego życia!..

I ręce jej do ust przycisnął i patrzał w oczy, które mu otworzyły do niebios drogę...

. . . . . .

2.

Podawszy sobie z ufnością dłonie, poczęli iść śmiało nowym gościńcem życia. Promień szczęścia, jak blask wiosennego słońca, zajrzał i świecił w ich ognisku domowem.

Pożycie to było dla wielu ciekawem zjawiskiem. Nie sądzono, by ów człowiek mógł w darze przynieść miłość i by ją znalazł u tej, z którą los swój wiązał.

Oni nie dbali o ludzkie sądy i było im dobrze, błogo, póki wśród nich nie zagościło widmo zapomniane, widmo niepokoju. Wprowadziła je w dom ich plotka ludzka, dowodząca, że małżeństwo szczęścia mu nie dało.

I w jej mózgu, jak w ciemni optycznej, rysować się począł wizerunek

marmurowej maski męża. Odpędzała od siebie to straszne widziadło, lecz ono wracało z zapewnieniem, że pod dzisiejszym pozorem szczęścia, kryje się dawna niewiara. To przywidzenie było chmurą żałobną na lazurowem tle jej życia, odbierało sen i spokój, oczy zwilżało łzami...

Spostrzegła raz otwartą szufladę biurka, której zamknąć zapomniał. Ciekawością zdjęta, poruszyła stos listów i papierów. Znalazła „Pamiętnik“ spisywany ze wspomnień i wrażeń; przewracała szybko karty, pragnąc go jednym tchem przeczytać.

„Uginam się pod brzemieniem życia — czytała, — nogi dalej iść nie chcą, głowa cięży jak ołów, krew leniwie krąży w żyłach... Może to wszystko skończy się niezadługo... Bardzo często jedynem pragnieniem życia bywa wypoczynek wieczny... Tyle na świecie jest cierpień: boli i to, co swoje, i to co cudze, i to, co ludzkie, i to, co cały świat boli... Ręce opadają, ochota ustaje do wszelkiej pracy, gdy myślę o tem wszystkiem... A tymczasem twarde obowiązki przywołują cię do porządku i krzyczą nad uchem: pracuj, pracuj! Nic nie otrzymasz w zamian, a chcą, byśmy wyrzekli się wszystkiego i ciągle szli naprzód, choćby w duszy targały się wszystkie struny, choćby ustawały siły, a na usta wciąż wyrywało się pytanie: na co i po co to wszystko?!... Nawet najmniejszej przyjemności odmówić sobie trzeba. Widziałem wczoraj kwiaty górskie... Ja tak kocham góry i te kwiatki skromne. Chciałem je kupić wszystkie, lecz odstąpiła mnie ochota, gdym pomyślał, że one zwiędną wkrótce, że wszak ja sam w życiu kwiatów z gór szukałem napróżno, żem się pjął po nie na wysokości a pozostałem na nizinach, gdzie rosną i parzą pokrzywy“...

Westchnęła ciężko i zbladła: mimo to chciała czytać dalej, lecz, posłyszawszy kroki w przedpokoju, zamknęła biurko i z dziecięciem na ręku wybiegła naprzeciw niemu, gdy wracał do domu po trudach dnia całego. Spojrzała w jego twarz, która nosiła ślady zmęczenia i stanęła jak wryta.

— Przebóg! co tobie? — krzyknęła.

— Nic, moja droga — odrzekł zdziwiony.

— Ty mnie tak nie witasz jak dawniej, silisz się na uśmiech, ty nie jesteś szczęśliwym!..

— Przywidzenie — przerwał, zbliżając się do niej...

— Więc dla czegóż, widzę znowu na twej twarzy tę maskę nieszczęsną, która kryje zapewne wiele dla ludzi tajemnic nieznanych, lecz ja wiem, że na dnie twej duszy spoczywa niechęć ku mnie i niezadowolenie.

— Maskę widzisz, aniele mój drogi! — wyrzekł z jękiem serdecznym, — tyś ją wszak na zawsze zdjęła z mej twarzy przy pierwszym pocałunku, który z twoich ust spłynął! Klnę ci się na wszystko, że tak jest w istocie; sama stwarzasz sobie męczarnie...

Wziął dziecię z rąk jej i całował długo; potem pochwycił ją w ramiona i do piersi przycisnął.

Ona jednak od tej chwili ciągle widziała go w masce, a z nią jak dawniej widzieli też ludzie, chociaż on chciał być i pewnym był, że zrzucił ją dawno. Nawet po latach wielu śmierć nie zdarła jej z jego twarzy, bo gdy leżał w trumnie, jakby tylko snem spokojnym uśpiony, szeptano między sobą, że spoczywa w letargu...

Warszawa. *Leopold Méyet.*

AFORYZMY.

Pół życia człowiek trawi na przyswojenie sobie różnych wad, a drugą połowę na ich pomnożenie pod pozorem poprawy.

Wśród wielkich łatwo być małym, wśród małych trudniej być wielkim.

Świat nie zmienił się, niestety! od czasów króla Heroda, bo ciągle niewiniątka masakruje.

Ileż na świecie Kapitolów ginie z braku gęsi!

To co wielkie, składa się zwykle z bardzo drobnych rzeczy.

Pochlebiać próżności ludzkiej, to sztuka może niemoralna, lecz korzystna; czynić przeciwnie, to tyle, co dać świadectwo naszej, jeszcze większej, próżności.

Na zgniecenie małych duży siły traci.

Kraków. *Juljusz Mien.*

TALIZMAN.

— Jak ci na imię? — pytała dumna z siebie próżność szarej postaci, co w znoju walczyła o chleb czarny.

— Na imię mi praca — odrzekła.

Próżność wzrokiem szyderskim obrzuciła bladą, ale szlachetną postać i zaśmiała się złośliwie.

— A to pięknie wygląda wasza osławiona praca, skoro na ramiona zamiast szaty złocistej, kładzie brudny łachman nędzy.

— Mylisz się pani! — z godnością odpowiedziała Praca. — Suknia moja, chociaż nie przetykana złotem, jest mi droższą od świecących i łatwo zdobytych djamentów, sprawiona za grosz ciężko uzbierany, przystaje do mnie jak własność, której mi nikt nie odbierze, z której przed nikim rachunku zdawać nie będę.

Próżność spojrzała dumnie, ale o krok zbliżyła się do szarej postaci.

— Zaciekawiasz mnie, a ciekawość moja, to litość nad tobą. Jesteś młodą i piękną. Z takim talizmanem świat stoi otworem, kwiaty ścielą się do stóp. Zamiast chodzić piechotą w mróz i słotę za codziennym zarobkiem, mogłabyś, jak czarodziejska królewna, mieszkać w konsze perłowej, pić z kryształowej czary, w zimie otulać się edredonem, lato piekące spędzać w komnacie, gdzie marmur i szemrząca fontanna kroplami wonnego deszczu orzeźwia lice.

Szara postać podniosła zadziwione oczy i z uśmiechem pogodnym patrzyła na mówiącą. Spokój przebijał w jej wzroku, pokusa nie mąciła jej duszy.

— Jest mi dobrze — odrzekła, świat, w którym żyję, wedle mnie piękniejszy od twego, myśl moja, rozbudzona pracą, wybiega ku niej, daje zadowolenie i wdzięczność dla tych, którzy na jej polu świecą przykładem. Z dala od zgiełku życia uwielbiam piękne dzieła mistrzów, w arcydziełach ich, w księgach, w tchnieniu każdej szlachetnej myśli, krzepię siły własne; duch ich wstępuje we mnie, uszlachetnia i rozświeca drogi ciemne.

— Ha! ha! ha! — zaśmiała się próżność — Mówisz jak mądrość okryta

dziurawą togą, przez którą świeci golizna, a której uczeni słowa nawet okrycia sprawić nie mogą. Patrz na mnie i porównaj nas obie — czem ty, a czem ja jestem.

— Jesteś piękną, widzę to, odrzekła szara postać. Blask twój działa na mój wzrok, patrząc na ciebie, muszę zakrywać oczy, bo mnie razi gorzej od palących promieni słońca; — lecz blask ten nie pochodzi ze źródła wielkości twojej, on jest sztuczny, migotliwy, ale, niestety, krótkotrwały. Gdy zniknie, pozostaniesz cieniem okryta, którego już nikt z ciebie nie zdejmie; wieczna noc owinie cię zwojami swojemi, wsród których największy nawet mistrz rysów twych nie rozpozna.

Próżność z obrazą spojrzała w jasne źrenice szarej postaci.

— Mówisz jak Sybilla, która przepowiada zagładę, ale dla równowagi może zechcesz wyśpiewać własne, oczekujące cię, losy, a może chcesz, żebym ci wdzięczną wróżką została?

— Nie żądam tego, nie ze strachu, ale z tej przyczyny, że losy moje znane mi są.

— Idę przez życie nieraz z cierni i głogów usłane, gdy mogę, omijam je, bo nikt dobrowolnie stóp swych nie rani; ale, dążąc do zamierzonego celu, nawet rada jestem, że często napotykam przeszkody, które, choć bolą, pomnażają siłę i moc. Ta siła i moc to wielkość obowiązku, a spełnienie go, to rezultat, to liczba zamykająca rachunki ze społeczeństwem, co podpis swój kładzie na wielkiej księdze, która się życiem nazywa.

— Co cię mogą obchodzić podpisy, albo wyroki, których już czytać nie zdążysz, ten istny stół anatomiczny, na którym krają nic już nie czującego trupa?

— Źle sądzisz! sofizmat twój nie przeżyje dnia dzisiejszego, nie wsiąknie w umysł myślący. Moraliści, którymi świat zasiany jest, staną, jak anioł boży, na straży dusz i pokuszeń ludzkich, oni, namaszczeni wolą wyższą na apostołów prawdy, będą prowadzili ludzkość po szerokich szlakach pracy, która wtedy nawet świecić będzie przykładem, kiedy z naszej kruchej formy cielesnej i śladu nie będzie.

— A zatem praca jest hasłem twojem, jest tarczą, którą zakrywasz się przed goniącym złym duchem, boisz się go, nie masz więc dość siły w sobie samej, potrzebujesz talizmanu?

— Tak zgadłaś! — praca jest hasłem, talizmanem przeszłych i przyszłych pokoleń, praca i jej pragnienie dane nam są jako szczęście najwyższe.

— Nauka, wiedza, talent nawet, to spuścizna pracy, którą wedle sił służy się społeczeństwu, wnikając w jego potrzeby, dotykając lekką ręką ran bolących.

Taki talizman, to jedyne lekarstwo na wypędzenie szatana występku, to zasługa tych, którzy ćwierćwiekowem usiłowaniem nie jedną niedolę osłodzili, nie jedną myśl żywotną podnieśli, a w niejedno serce wleli ukochanie obowiązku.

Warszawa. *Cecylja Miklaszewska (Celja).*

»NIEDOLE DZIECIĘCE«

Młodość, to przyszłość, a przeto praca dla młodzieży, to wznoszenie fundamentów dla następnych pokoleń.

Nie dla wszystkich jednak młodość, opromieniona ciepłem wiosennego słońca, ubarwiona kwieciem i rozkwilona śpiewem słowika, dostarcza skarbów wiedzy i doświadczenia poprzednich pokoleń, nie wszyscy w młodości mogą gromadzić niezbędne zasoby do niesienia sztandaru postępu. Liczne „Niedole dziecięce“ pozbawiają młodzież możności korzystania ze skarbów wiedzy, a opuszczona i zaniedbana dziatwa, to istoty najgodniejsze politowania, najbardziej potrzebujące pomocy i żądne iście chrześcijańskiej miłości, bo zwykle pozbawione poczucia ciepła rodzinnego.

Praca dla młodzieży, ulegającej „Niedolom dziecięcym“, to już nietylko budowanie fundamentów dla przyszłych pokoleń: to umacnianie gruntu, aby fundamenta były stałe i niewzruszalne, aby gmach postępu nie zrysował się podminowującemi go żywiołami rozkładu, aby był trwały.

Cześć autorce „Niedoli dziecięcych“.

Warszawa. *Dr. Walenty Miklaszewski.*

KRÓLOWA.

Bawiono ją i bawiono się nią, gdy była dzieckiem, gdy podrosła, odebrano zabawki, a włożono w rękę książkę z całym szeregiem liczb, nazwisk i niezrozumiałych wyrażeń, zasłaniając świat rzeczywisty, jasny, ze słońcem i cieniem, z radością i bólem. Starano się też przedłużyć jej dzieciństwo i znów ją bawiono, bawiąc się jej naiwnością, wypowiedzianym cudzoziemską mową frazesem, krępując przytem modą i światowemi formułkami, a nazywając królową.

Tym sposobem wychowano na *pannę*, osobny gatunek kręcący się po świecie, z którego wyrasta odmiana zwana *panią*, różniąca się tem, że nosi strojniejsze kapelusze i suknie, mówi swobodniej, nie rumieni się i oczu nie spuszcza, na balach zaś ukazuje się, nie pod opieką mamy i papy, lecz w towarzystwie męża.

Z takiemi pojęciami poczęła rozglądać się po świecie, stąpając po nim ze wzniesioną głową jako królowa.

Naraz, miasto oczekiwanych hołdów i pochwalnego szumu, usłyszała twardy wyraz „pracuj!“

Co to jest, co za przewrót?

Czyż ona należy do rzędu tych istot upośledzonych, które ze zgrubiałemi dłońmi, spalonem od słońca licem widziała schylone na łanie? czy do tych, które z zaczerwienionemi oczami i pokłótemi od igły palcami, pracowały nad jej odzieniem? czy do tych, co spełniały drobne w domu posługi i traktowane były zawsze z wysoka, z litośnem uśmiechem? Czy wreszcie do tych, które kładąc w jej rękę książkę, zasłaniały przed nią świat boży, tchnący życiem i prawdą, a same uważając pracę za pokutę i skazanie, budziły w niej wstręt do wszystkiego, co drukowane.

Nie, ona żadną z nich nie zostanie; drogi nikomu zaciemniać nie będzie, bo wie, jak jej samej straszno na tej drodze.

Nie, stokroć nie!

A jednak pracować musi; ziemia zpod nóg jej się usunęła, nie ma gdzie złożyć głowy, a każdy kęs chleba bez pracy byłby żebraczym.

Wychowywana na królową, nie będzie niewolnicą nędzy. Nikt inaczej nie poda jej dłoni, nie uchyli z szacunkiem skroni.

Młodą jest, ma siły.

To jej jedyne bogactwo.

Nad siłą materji, ciała, góruje w niej jakaś inna: to duch. On każe jej szukać wiedzy wśród owej księgi, którą zasłaniano przed nią w dzieciństwie księgi żyjącego świata. Ona stać się musi pożyteczną jego jednostką, jako wszelkie krzątające się około swego bytu stworzenie. Lecz byt jej to nietylko dach nad głową i kęs chleba, nietylko potrzeby jej zewnętrznej powłoki; duch jej pragnie stokroć innych, takich, któremi mogłaby badać i przenikać nieznane jej a otaczające ją zewsząd zjawiska, jak również swoje własne „ja", które rwie się na wyżyny tak dla niej niedoścignie. Nie, praca nie będzie dla niej niewolą i skazaniem: owszem, ona będzie jej wyzwoleniem.

Karty drukowane, które budziły w niej wstręt niegdyś, stanęły teraz szeregiem czarnym, po których muskały świetlane barwy. Utkwiły one w jej mózgu zagadką i dziś, przewiercając go na wskróś, domagają się rozjaśnienia.

Zagadki te, zestawione ze światem żyjącym, powinny jej dać wskazówkę pracy.

— Rozwikłam tę zagadkę — zawołała.

Wszak mała ptaszyna budując sobie gniazdko, wkłada w tę pracę całą swoję umiejętność; ja, budując sobie przyszłość, powinnam poruszyć wszystkie zakątki myśli moich i skierować je do jedynego celu.

— Nie chcę być niewolnicą pracy, lecz jej królową.

I myśl koniecznością rozbudzona, coraz więcej rozwijać się poczęła i kierowana siłą woli, dążyła do światła. Zastanowiła się więc nad tem, co widziała ongi, nad czarnemi znakami w księgach i nad teraźniejszością, która prądem szybkim porywała ją za sobą.

Droga ciemna stawała się jej coraz jaśniejszą, własną myślą rozświetlała ją sobie i innym, wskazując cały szereg prac, po które należało wyciągnąć nieprzywykłe do tego dłonie.

I odtąd znikać poczęły „panny i panie", na miejscu ich wyrosła kobieta-człowiek, świadomie pracą dążący do celu. Znikł wprawdzie ołtarz pogańskiego bożyszcza, jaki dla niej stawiano, spadła z jej czoła fałszywa korona królowej, lecz praca postawiła ją na piedestale doskonałej cząstki społeczeństwa i skroń jej otoczyła szlachetną aureolą.

Warszawa. *Zuzanna Morawska.*

BIEDNY MIRO.

Miałem wtedy podobno lat dziewięć i byłem szczupłym, bladym, brzydkim dzieciakiem. Wiedziałem, że jestem bardzo brzydki, bo mi to po sto razy na dzień mówiła moja druga mama; powtarzały służące i niańka i zaczynała mówić nawet moja trzyletnia siostrzyczka, która się dopiero uczyła wymawiać rozmaite słowa i składać zdania. Powtarzał mi to również nauczyciel, nazywając często osłem w dodatku, i ubolewając nad przyszłością, gdy do mojej brzydoty przyłączy się nieuctwo i ociężałość. Ja też codzień prawie, myśląc o mojej smutnej przyszłości, zalewałem się gorzkiemi łzami, ale, mimo wytężanej uwagi, mimo najszczerszej chęci, nie mogłem nigdy zadowolnić pana nauczyciela.

Najwięcej jednak moję brzydotę i złe skłonności wyrzucał mi pan Henryk, kuzyn i serdeczny przyjaciel mojej drugiej mamy, który od jakiegoś czasu bywał u nas codziennym gościem; ja go się jak ognia bałem. Usłyszawszy dobrze znane kroki, chowałem się w najgłębszy, najciemniejszy kąt z całego domu. Z góry przekonany byłem, że gdy mu się nawinę na oczy, wujcio, jak kazano mi go nazywać, oburknie mnie, złaje, a nawet, gdy będzie w złym humorze, białą, wypieszczoną ręką boleśnie wytarga za uszy. Zdarzało się też, gdy niepotrzebnie znalazłem się na jego drodze, że elegancka, giętka laseczka wujcia spadała na moje dziecinne plecy...

Czyż nie miałem powodu ukrywać się przed nim?

— Jak ten chłopiec zawsze się dziczy — mawiała moja druga mama — wtedy, gdym się od herbaty wypraszał.

— Daj mu spokój, — mówił wtedy wujcio — gdy mam jego twarz przed oczami, nie mogę nic do ust włożyć...

Dziwną sprzeczność ze mną stanowiła moja trzyletnia siostrzyczka. Ja byłem brzydki, nieśmiały i dziki; ona ładna, śmiała i pewna siebie. Ja miałem zawsze nos i oczy od płaczu czerwone; ona zaś srebrnym śmiechem od rana

do nocy się śmiała. To też za nią wszyscy szaleli i pieścili: mama, wujcio, niańka, służba, jednem słowem: wszyscy, odemnie zaś odwracano się za wstrętem.

Ojca widywaliśmy rzadko. Był przedsiębiorcą i ciągle na roboty wyjeżdżał, wpadał na parę dni do Warszawy, cały dzień za interesami biegał i ledwie miał czas popieścić się z moją drugą mamą i z małą Janką. Ze mną nie pieścił się nigdy. Spytał nauczyciela: czy robię postępy, czy zdam egzamin, wypytał mamę o moje sprawowanie, a otrzymawszy zewsząd niekorzystną wiadomość, kiwał głową i smutnie odwracał się odemnie.

— Kara boska... — szeptał — a mnie serce się rwało.

Chciałem przyrzec poprawę, prosić ojca, aby mnie trochę popieścił, czasem zabrał z sobą na przejażdżkę, bo te moje spacery z nauczycielem tak szalenie były nudne! a Janka opowiadała cuda o przejażdżkach z tatusiem i mamusią; lecz cóż, kiedy nie miałem odwagi.

Dawniej, gdy moja prawdziwa mama żyła, miałem bardzo dużo zabawek. Ale z czasem jedne się połamały, drugie pozabierała Janka, inne mię bawić przestały. O tej porze jakoś nic już nie miałem, oprócz paru książeczek z powiastkami.

Miałem też jednę, jedyną istotę na świecie, która mnie całem sercem kochała. Był to duży, czarny *terre-neuve* ze ślicznemi łagodnemi oczami, z jedwabnym falującym się włosem, Miro zwany. Był to pies mojej prawdziwej mamy, jej wychowanek i ulubieniec. Rzecz dziwna! on jeden wolał mnie, niż moję siostrzyczkę, a nawet jej nie lubił zupełnie... Gdy mu przynosiła ciastka, nie chciał ich nawet skosztować, a z mojej ręki tak smacznie zjadał kawałek suchego chleba, od obiadu schowany! Nie chciał się też nigdy z nią bawić.

Nie ugryzł jej ani razu, ale gdy go zaczepiała, figlując i dokazując, Miro obojętnie zwijał się w kłębek na swym dywaniku, zamykał oczy i udawał, że śpi.

Mama chciała Jankę fotografować razem z Mirem.

Rzeczywiście ślicznie wyglądała nasza jasnowłosa dziewczynka, biała i różowa, w białe koronki spowita, na ogromnym czarnym psie, obejmująca jego szyję rączkami. Ale cóż, kiedy Miro żadnym sposobem nie chciał pojechać, a gdy go siłą do karety wsadzono, u fotografa nie chciał się położyć, tylko wyszukał drzwi otwarte i pędem powrócił do mnie. Musiała mama drugi raz pojechać i mnie zabrać ze sobą. Wtedy wszystko poszło jak z płatka. Na mój rozkaz Miro ułożył się, jak chciał fotograf, pozwolił się objąć Jance za szyję, trzymał głowę, jak mu kazano, i fotografja wyszła doskonale. Ale też od tej chwili wujcio znienawidził Mira, i to było pierwszym początkiem nieszczęścia.

Od tej pory też Miro zawsze przeszkadzał. Choć spokojnie, nie podnosząc głowy, leżał zawsze na tym samym dywaniku, zawsze wujcio musiał przejść koło niego, spędzić go, lub uderzyć. Już teraz psu nie było wolno przy herbacie wieczornej koło mego krzesła stanąć i czekać, aż się z nim podzielę bułką, rozmoczoną w mleku, szynką, serdelkiem. Wujcio krzywo nawet patrzył, gdy ja coś przy herbacie brałem dla Mira; mówił, że pies się bałamuci, że go lepiej w kuchni kazać nakarmić. Cóż, kiedy Mirowi nie smakowało nic, jeśli ja mu tego nie podałem.

Widziałem, że to wujcia drażni i zrozumiałem dlaczego. Zazdrosny był, zazdrosny nawet o psa, co mnie kochał. Dlatego, że mnie sam nie lubił, chciał aby wszystko, co żyje, usuwało się odemnie... O jakże mnie to oburzyło!

Mogłem być brzydki, wstrętny — mówili mi to w domu wszyscy, a okazywali bardziej jeszcze; więc dobrze, niechaj się mnie brzydzą. I ja też nie gar-

nałem się do nich. Ale Miro mojej brzydoty nie widział; przeciwnie, byłem dla niego ładny, ładniejszy od mojej pięknej mamy, ładniejszy od ślicznej siostrzyczki. Cóż to mogło wujciowi przeszkadzać, że mnie chociaż jedna żywa istota na całym świecie kocha... A jednak przeszkadzało, choć tą istotą był tylko duży, czarny pies... I psa tego również znienawidził elegancki mój wujcio, znienawidził tak samo, jak mnie...

Przypomniałem sobie, że od czasu, gdy pan Henryk zaczął bywać u nas codziennie, przybierając rolę gospodarza domu, rozkazując służbie i rządząc wszystkiem, przyszły na mnie ciężkie bardzo chwile; przedtem zostawiali mnie w spokoju. Nikt nie pieścił, ale też i nie dokuczał. Żyłem sobie na uboczu, odsunięty w parze z moim kochanym Mirem, i nikomuśmy nie zawadzali. Wolno było nam żyć dla siebie. Z początku moja druga mama także chciała, aby Miro z nią chodził po ulicy; ale gdy on od niej uciekał i do mnie wracał, zobojętniała dla niego i przestała nań zwracać uwagę, tak jak na mnie. A teraz czuliśmy obaj nad sobą wroga: ciężką rękę nienawistego nam wujcia. Bo też Miro nie lubił go również. Łagodne dla wszystkich zwierzę wujciowi nieraz pokazało zęby, warknęło na niego głucho... Zdarzało się to najczęściej, gdy wujcio zaczynał mnie łajać... Serce mi w piersi skakało z radości, że ktoś wtedy ujmuje się za mną, a zarazem zamierało ze strachu, abyśmy obaj drogo nie przypłacili tego... I biegłem do Mira, obejmowałem drobnemi rękami jego mordę, aby w niej stłumić warczenie, które przejmowało mnie naprzemian strachem i radością...

— Cicho, cicho, Miruś, cicho, bo on ci jeszcze co zrobi — szeptałem psu do ucha, a mądre zwierzę patrzyło mi w oczy, radośnie kręcąc ogonem, jakby mnie uspokoić chciało...

Z każdym dniem rosła moja nienawiść. Wyobraziłem sobie, że wujcio jest moim złym duchem, że wszystko, co mnie spotyka przykrego, z jego zawsze ręki pochodzi, że wszyscy, którzy mnie nazywają brzydkim, wstrętnym, nieznośnym, niezdarą, robią to dla przypodobania się jemu. Do tej pory byłem bardzo nieśmiały: stałem się posępnym; byłem zahukany: stałem się krnąbrnym, niesfornym. A wszystko dlatego, że w moję duszę dziecinną wkradło się poczucie doznawanej niesprawiedliwości, bezlitosnego znęcania się nademną. Ludzie byli źli dla mnie, bom ja był bezbronny. Domowi zobaczyli zmianę, lecz nie dojrzeli powodu. Podwojono surowe środki: te mnie rozjątrzały coraz bardziej... W mojej dziecinnej duszy, jak w wulkanie, wrzały skłócone uczucia, które prędzej czy później, do wybuchu doprowadzić musiały...

Niezbyt długo na to czekać trzeba było. Raz, na obiad przyszła do nas ciotka. Mela, której mama nie lubiła nigdy, nazywając ją czarownicą. Podobno była także bardzo brzydką, tak przynajmniej utrzymywał wujcio, z którym była w wiecznej wojnie. Z tego powodu od niej jednej nie uciekałem nigdy i z nią byłem śmiały zupełnie.

Otóż, tego dnia pamiętnego siedzieliśmy wszyscy przy stole, gdy Janince zachciało się nagle puścić po gładkiej posadzce swoję kolej żelazną. Zabawka ta była moją niegdyś, ale mi ją odebrano, mówiąc, że za kosztowna do ciągłego użycia. Schowano ją tedy do szafy i miałem czasami nią się bawić, „gdy będę grzeczny". Ale, widać, nigdy grzecznym nie byłem, bo kosztownej, a ciekawej zabawki ani razu mi nie dano; a teraz... teraz bawiła się nią trzyletnia Janka. Jej, widać, wolno było ją zepsuć... Za każdym razem oburzała mnie ta niesprawiedliwość. Przecie to była *moja* kolej, którą kupił mi ojciec chrzestny i nikt na świecie nie miał prawa mi jej odbierać...

Poszedłem, bo mi kazano, ale rozkaz spełniłem niechętnie, a ustawiając

zabawkę, niby, niechcący, upuściłem ją na ziemię. Spirytus z rezerwuaru się wylał, woda popłynęła strugą po szklistej posadzce, a Janka rozkrzyczała się na dobre.

— Jakiś ty niezdara, Władziu — zawołała z gniewem mama. — takiego niezgrabjasza niema chyba na całym świecie...

To było ostatnią kroplą. Wybuchnąłem... Czegom ja nie nagadał wtedy! Wszystko, com dotąd tłumił, całą żółć, którą było przepełnione biedne moje serce dziecinne, wyrzuciłem ze siebie odrazu... Powiedziałem, co ja czuję dla wszystkich, jak mną wszyscy poniewierają... a mama chyba najbardziej, aby się przypodobać wujciowi, który mnie, jak zły duch, nienawidzi i z pewnością własną ręką zabije...

Nagle potok moich gorzkich zarzutów przerwano. Silna, a od gniewu drżąca ręka za kark mnie chwyciła i jak kocię małe przerzuciła o kilka kroków. To pan Henryk postawił mnie przed matką, skamieniałą z gniewu, czy też zadziwienia...

— Przeproś matkę! — zabrzmiał mi nad głową groźnie głos nienawistny.

Jam się zaciął.

— Nie mam za co, bo com mówił, to prawda! Niech przed ciocią mama w oczy zaprzeczy!

— Przeproś matkę! — zabrzmiał głos groźniej jeszcze.

— Nie przeproszę, bo nie mam za co!

Ciężka ręka podniosła się nademną... Mimowoli zamknąłem oczy... Wtem rozległo się gwałtowne warknięcie i czarna masa przeleciała przez salon.

To Miro, mój jedyny przyjaciel, skoczył do gardła wrogowi, mnie broniąc...

Krzyk przestrachu zdławiony, chrapliwy wydarł się z ust wujcia, który zwalił się na ziemię, jak długi. Czy go Miro swym napadem nastraszył? Ale pies na mój głos odbiegł zaraz, i warcząc z podełba zaczął się o mnie ocierać...

Mama poskoczyła do wujcia, podniosła go i posadziła w fotelu. Nic mu się nie stało, a jednak był blady, jak płótno, i zęby mu szczękały, jak w febrze.

— To przeklęte zwierzę się wściekło! — zawołał, gdy tylko mógł przemówić.

— To nie prawda! — rzekła ciotka Mela; ono tylko ma więcej serca od was!

— Wolno, pani sądzić, jak się podoba, a ja wiem, co uczynię!

Zadzwonił i wydał rozkaz, aby dano znać do policji i psa uprzątnięto natychmiast...

Zdrętwiałem... Rzuciłem się do mamy... Ale ta była zmieszana i na wujcia patrzyła nieśmiało... Wtedy zacząłem go błagać, całując po rękach i nogach, ale on mnie odepchnął od siebie i wyszedł z pokoju, drzwi zamykając za sobą. Daremnie dobijałem się do niego... Mama weszła i coś z sobą mówili.. Wpadłem wtedy w rozpacz tak straszną, że straciłem przytomność... Daremnie ciotka Mela zaręczała mi uroczyście, że Mirowi włos jeden nie spadnie, że ona go zabierze do siebie i tam będę mógł go codzień odwiedzać; ja słów jej nie rozumiałem...

Wreszcie straszna chwila nadeszła... Przyszli oprawcy z policjantem... przyszli, wzięli mego Mira na powróz. Wyszedł do nich pan Henryk, przylgnąłem do rąk jego ustami, ale on mnie znowu odepchnął... Mama była bardzo blada, prosiła go: również — odmówił... Mego Mira pociągnęli na sznurze...

On zpoczątku dał się prowadzić, lecz gdy go z kuchni wywlekli, zaskomlał tak strasznie, tak ponuro, tak boleśnie, że ja całkiem głowę straciłem i na oślep pobiegłem w tę stronę, skąd mię dochodziły jęki psa wiernego, psa-przyjaciela, jęki, króre słyszeć będę pewno nawet w chwili skonania.

Potem jakaś błyskawica ognista, co mię oślepiła zupełnie, przemknęła przed oczami... Jakaś przepaść się otwarła przedemną, ogarnął mię ból jakiś straszny i już nic nie pamiętam, co się dalej stało.

. . . . . .

Gdym przyszedł do siebie, zdawało mi się, że wracam z innego świata. Byłem w jakiemś obcem miejscu, w dużem wygodnem łóżku... Głowę miałem obwiązaną i obwiązki jakieś na nogach, ręku i piersi. Nie mogłem sobie nic przypomnieć. Chiałem wołać — głos odmówił posłuszeństwa... chciałem się ruszyć — ból straszny nie pozwolił na to...

Wiele czasu w tym męczącym przeleżałem stanie? nie wiem. Godziny, dnie, czy minuty? powiedzieć nie umiem... Nagle błyskawica ognista tę czarną chmurę rozdarła, przypomniałem sobie wszystko...

— Miro! — zawołałem z rozpaczą.

I oto mój Miro śliczny, przyjaciel jedyny, obie łapy na łóżku położył i, głowę olbrzymią kładąc na poduszce, zaczął, lizać mnie, skamląc radośnie...

Ruszyć się nie mogłem, nie rozumiałem, jakim cudem Miro żywy znajduje się przy mnie, ale miałem go — to było dosyć... płakałem i śmiałem się, obsypując go najczulszemi nazwami...

W tejże chwili we drzwiach ukazała się ciocia Mela. Widząc, że jestem przytomny, że się pieszczę z Mirem, z okrzykiem radości do mnie przybiegła. Zaraz za nią ukazał się ojciec blady, zmieniony... Oboje zaczęli mnie pieścić, zabraniając mówić, pytać o cośkolwiek. „Potem — mówili — potem“, i potem dopiero dowiedziałem się, że Mira oprawcy odwieźli prosto do cioci Meli, która zostawiła swój adres w cyrkule, i sprowadzili weterynarza; pies, rozumie się, był zdrów zupełnie...

Ja tymczasem bezprzytomny biegłem i jak w przepaść spadłem na głowę ze schodów. Pokaleczyłem się strasznie, co, wespół z wrażeniem doznanem przyprawiło mnie o ciężką chorobę. Trzy tygodnie byłem między życiem a śmiercią. Ciotka Mela zabrała mnie do siebie, mimo oporu, i natychmiast zatelegrafowała do ojca.

Do dziś dnia nie wiem, co się stało z panem Henrykiem, którego nie widziałem już nigdy. Pozostałem u ciotki Meli. Ona przywiązała się do mnie, a ja za uratowanie Mira byłbym za nią w ogień skoczył. Przy niej nie byłem nieśmiały, dla niej również nie byłem brzydki... A może, jak mówił pan Henryk, oboje brzydcy tacy jesteśmy i dlatego nam tak dobrze ze sobą...

Och! jak dobrze! z Mirem, zawsze razem we troje! Z początku, niby zmora ciężka, dusiła mię obawa przed moim eleganckim wujciem. W nocy budziłem się z krzykiem, zimnym potem oblany, bo mi się wróg nasz śnił, równie jak na jawie straszny. Ale powoli przyszedłem do siebie i sny takie przestały mię trapić.

Dziś już nic mi nie brakuje do szczęścia. Nie wiem, czy ciotka Mela brzydka, czy ładna, ale wiem, że chyba nigdy pies, dziecko i stara kobieta tak gorąco nie kochali się, jak nas troje.

Warszawa. *Juljan Morosz (Celina z Wołowskich Gładkowska*).*

*) Zmarła w Warszawie dnia 17 Grudnia 1892 r.

EXCELSIOR.

Burza niszczy i odświeża, wiatr sieje i łamie, ogień oczyszcza i przemienia, woda chłonie i buduje. Działanie wszystkich sił przyrody chrzcimy nazwą złego i dobrego.

W świecie ducha mądrość, drżącemi od wahań rękoma, stawia i wywraca pomniki myśli ludzkiej, nauka przedmiotom wciąż nowe nadaje miana, wszechświat barwi nam tęcza miłości.

I wszędzie panują owe siły, i wszędzie pod ich wpływem ludzkość płacze i drży, śmieje się i wielbi, walczy i szuka.

Szuka tej miary tylokrotnie kurczonej, obcinanej, krzywionej, miary zwanej *sprawiedliwością*.

Miljardy płyną skarg, miljony śmierć ponoszą, a miara wciąż niedościgła, wciąż nowe pociąga ofiary. Na gruzach piętrzą się gruzy, karla piramida rośnie i dosięgnąć nie może niezmiennego celu.

A gdy harmonja równomiernie rozłożonych sił zapanuje, wówczas roztoczy się widnokrąg biblijnemu niebu podobny, uszom i oczom naszym nieznany.

Czy tu koniec walk i usiłowań? Nie, bo na jego krańcu zabłyśnie nowy cel walki, i znów popłyną miljardy skarg, miljony śmierć poniosą, na gruzach spiętrzą się gruzy.

Czy karla piramida dosięgnie nowego celu zagadki życia — *Prawdy?*

Tak czy nie — Excelsior.

Warszawa. *Antonina Morzkowska.*

KIEDY WIERZYĆ?

— Dlaczego pani odwraca się tak zawzięcie od tej pary narzeczonych?

— Bo mi drażnią nerwy.

— Czemże? oboje młodzi, przystojni, zakochani...

— Właśnie dlatego; nie znoszę takiego zakochania i tych wszystkich manifestacji, myślę, że można umrzeć z nudów lub oszaleć z rozdrażnienia, będąc pod ustawiczną kontrolą takich błogich, słodkich, rozpromienionych spojrzeń. Brr!

— Panna Stefanja jednak nie wydaje się blizką śmierci ani szaleństwa; rumieni się, uśmiecha i nawzajem rzuca spojrzenia błogie, słodkie, rozpromienione.

— Cóż pan chce! taka szesnastoletnia nowicjuszka, zaręczam panu, że oblała łzami wzruszenia chwilę oświadczyn i zasuszyła w pamiętniku kwiatek, który dnia tego miała we włosach.

— Co podług pani zapewne jest zbrodnią, wołającą o pomstę do Pana Boga...

Ton pana Zygmunta był żartobliwy, ale, wymawiając ostatnie słowa, spojrzał w oczy swej towarzyszki poważnie, przenikliwie, jak gdyby chciał wyczytać coś w tych czarnych źrenicach, które zpod długich rzęs patrzyły na świat z jednakową zawsze obojętnością i jakby lekceważeniem.

— Zbrodnią? nie, ale śmiesznością, bo się równa, podług mnie, oświadczynom na klęczkach u mężczyzny.

— Ach, więc klękanie także potępia się stanowczo. Czy nie byłaby pani tak dobrą powiedzieć mi, jaki sposób oświadczania się jest podług pani najodpowiedniejszy?

— Wszystko jedno, byle bez wykrzykników: „Mam dla pani szacunek i sympatją, stosunki nasze materjalne pozwalają nam się połączyć: czy przystajesz pani?“ i — koniec. Czegóż tu więcej potrzeba?

— Niczego, rzeczywiście; kwestja postawiona nadzwyczaj jasno. Choć pani nie wymienia właściwie przyczyn, dla których z rozmowy takiej mają być wykluczone wykrzykniki i klękania?

— Bo w błąd wprowadzają. Niech pan sam powie, czy my kiedykolwiek w późniejszem życiu widujemy panów na klęczkach? dlaczego zaraz w pierwszej chwili łudzić nas?

— Pani, jak widzę, postanowiła nie dać się już złudzić?

Klara uśmiechnęła się trochę gorzko.

— Nie moja wina... jeśli pan chce wzdychać na temat miłości, wspominając woń róż, śpiew słowików, błękit nieba i wszystkie dekoracje zużywane i nicowane przez poetów, to nie trzeba się z tą rozmową udawać do byłej rozwódki, a dziś wdowy, dla której „Veni Creator“ nie jest już znakiem zapytania, sięgającym gdzieś w siódme niebo.

Umilkła; blade zazwyczaj jej policzki zarumieniły się żywo i usta drżały, gdy domawiała ostatnich słów, siląc się na głos swobodny.

On nie odwracał od niej spojrzenia i ręka jego wyciągnęła się mimowolnie, jakby chciał ująć i utulić w ciepłym uścisku te drobne paluszki, szarpiące tak niespokojnie złoty brelok bransoletki.

— Pani pamięta jeszcze?.— szepnął nieśmiało, ale tak jakoś chciwie, jak gdyby wszystkiemi siłami duszy pragnął wyrwać jej z serca szczerą, prawdziwą odpowiedź na te dwa słowa.

Klara dumnie podniosła główkę i lekceważący uśmiech powrócił znowu na jej usta.

— Pamiętam — cóż z tego? Niechże pan tylko nie poczuwa się do obowiązku ubolewania nademną. Pamiętam, bo nie w mocy mojej zapomnieć, bo mam pamięć taką doskonałą, że wszystkie daty z wojen perskich i punickich tkwią w niej jak przybite ćwiekami; tembardziej więc historja mego własnego życia nie chce „zatonąć w zapomnienia fali“, ale zaręczam panu, że mi z tem bardzo dobrze.

— Tak dobrze, że nie zgodziłaby się pani na żadną zmianę?

— O czem pan chce mówić?

— O drugiem zamążpójściu.

— Ja... nie rozumiem pana.

Nie rozumiała, ale jednak żywy rumieniec oblał jej twarz i w oczach, zamiast wiekuistego uśmiechu, zjawiła się iskierka jakaś, jeszcze drżąca, zamglona, ale rzucająca na całą twarz czarujący odblask wzruszenia i niepewności.

Zygmunt przez chwilę patrzył na nią w milczeniu i usta otwierał kilkakrotnie, jak gdyby nie wiedział, jakiemi słowami się odezwać; nareszcie przemówił.

— Wytłómaczę się pani w krótkich słowach: jeżeli odzyskana przed rokiem wolność nie jest pani tak drogą, żebyś się jej wyrzec nie mogła, to oddaj mi pani swą rękę; proszę o nią i obiecuję robić co będzie w mej mocy, ażeby pani nie żałowała tego kroku.

Mówił dość prędko, ale spokojnie; głos jego nie zadrżał ani razu i oczy patrzyły teraz prosto w twarz pani Klary spojrzeniem pewnem i poważnem, bez gorętszych odbłysków. A jednak za każdem jego słowem policzki Klary bladły coraz, to mocniej i na czole jej zbierała się chmura gotowa wybuchnąć piorunami gromadzącemi się już jak błyskawice w ciemnych jej źrenicach.

— Moja wolność jest mi rzeczywiście bardzo drogą — odparła gwałtownie — wątpię, ażebym mogła w drugiem małżeństwie znaleść szczęście lub

przynieść je komu: więc czy to bezpiecznie dla nas obojga narażać się na taką próbę?... i niech mi pan powie, po co właściwie łączyć się mamy? po co?!...

W głosie jej, oprócz widocznego rozdrażnienia, drgała ciekawość gorąca jakaś, błagalna, która rozbijała się o chłodny spokój Zygmunta jak kawałek kryształu, rzucony o kamienną tarczę.

— Po co? ażeby żyć razem. Pani wątpi, czy damy sobie szczęście? ja jestem tego prawie pewny. Znamy się już tak dawno, usposobienia nasze odpowiadają sobie; ja mam dla pani najwyższy szacunek; co do sympatji!...

— Co do sympatji, wiem już, wiem, co mi pan powie: obecność moja nie sprawia panu przykrości i nawet podejmuje się pan znosić ją do końca życia, ale ja nie przystaję na ten układ, ja nie chcę zawierać spółki, której dodatnie strony składa pan na szali życia drobne jak ziarnka maku, a kto wie jakie będą ujemne?... Pan ma dla mnie najwyższy szacunek... ale to dla mnie ciężar tylko, który dźwigać będę musiała jak żelazną koronę ugniatającą i ziębiącą mi czoło; nie rozsieje ona słonecznych blasków na nasze wspólne życie, nie ubarwi nam ani jednej chwilki szarej i smutnej.

— Więc pani odmawia?...

— Odrzucam propozycją pana — ten wspólny „interes“ nie wydaje mi się dla żadnego z nas korzystnym.

— Szkoda...

Nie powiedział nic więcej... i to jedno słowo nawet wybiegło mu na usta, jakby mimowoli razem ze spojrzeniem smutnem, które spotkawszy się z oczyma Klary, osunęło się prędko po jej twarzy i uciekło gdzieś w dal.

— Szkoda? dlaczego? gdy żadne z nas nie zaryzykowało jeszcze swojej stawki... cofamy się w porę.

— Myli się pani; ja zaryzykowałem pierwsze i ostatnie marzenie mego życia; zaryzykowałem serce, które dziewczynką jeszcze zdobyłaś pani jednem spojrzeniem, kilku serdecznemi słowami i uściśnieniem ręki... Gdy nas życie rozdzieliło, długo nosiłem się w duszy z tem wspomnieniem, jak z relikwją, obok której nie śmiałem postawić w sercu żadnej już innej postaci. Wspomnienie to nie bladło; wieści o postępowaniu męża pani, o rozpoczętym procesie rozwodowym, rzuciły na nie nowy blask nadziei. Przez wszystkie te lata, choć oddalony, kochałem panią każdą myślą, każdem uderzeniem serca.

— Pan?!...

— Ja... Wiem, że pani uśmiechnie się na to z lekceważeniem; miłość, gdy nie budzi echa we własnem sercu, jest zawsze dla wszystkich tylko pustym dźwiękiem, dla pani gorzej jeszcze — dzieciństwem, śmiesznością... przysięgałem sobie tysiąc razy, że nie wystawię mego uczucia pod krytyczny przegląd pani; ale dziś już mi to wszystko jedno i tak za chwilę usunę się z przed oczu pani może na zawsze. W tej ostatniej chwili z dumą podnoszę głowę i przyznaję się, iż jestem taki śmieszny, że panią kocham, że mam łzy w oczach na myśl o rozłączeniu, że gotówbym uklęknąć i prosić o odwołanie tego słowa, choć wiem, że pani dla klęczących ma tylko litośne wzruszenie ramion.

— Panie Zygmuncie!...

Obie jej ręce wyciągnęły się ku niemu błagalnie, jak gdyby powstrzymać chciały na jego ustach ten potok słów raniących i gorzkich, oczy zalśniły się blaskiem wilgotnym a gorącym, ale on w tej chwili nic nie widział i nie słyszał oprócz echa własnych słów, któremi wyrzucał z serca ciężar gniotący je przez lat tyle.

— Patrz pani, poniżę się zupełnie w jej oczach — zawołał nagle, wyj-

mując z bocznej kieszeni ubrania drobny, w białą bibułę owinięty przedmiot — czy pani poznaje ten kwiat?... pierwszą różę, którą pani wpięto we włosy, gdy skończyłaś lat siedemnaście... Zgubiłaś ją pani, a ja podniosłem i schowałem... Nic dziwnego, byłem nowicjuszem, mającym lat dwadzieścia, i pani także byłabyś może wtenczas oblała łzami miłosne oświadczyny, ale dziś jesteś już osobą mądrą i poważną, a ja pozostałem takim szaleńcem, że różę tę dotąd nosiłem na piersi... Oddaję ją pani jako hołd dla jej rozsądku i wyższości umysłowej, jak rozdarty projekt tej „spółki", którą pani odrzuciłaś tak pogardliwie.

— Och, panie Zygmuncie, nie chcę, nie chcę, zatrzymaj pan ten kwiat! nie zrozumieliśmy się oboje. Pan, ofiarując mi złoto, wmawiałeś we mnie, że podajesz mi tylko miedzianą zdawkową monetę, ja odtrąciłam ją, bo wierzyłam, że dajesz mi tak mało, a pragnęłam posiąść wszystko.

— I oddać w zamian?...

— Wszystko także.

Tym razem ręce ich spoiły się naprawdę długim gorącym uściskiem i oczy zatonęły w sobie, szukając potwierdzenia tej prawdy, w którą oboje uwierzyć jeszcze nie śmieli.

— Kocham panią — wyszeptał Zygmunt — dlaczego nie powiedziałem ci tego już dawno? A dlaczego pani swoim obojętnym uśmiechem wstrzymywałaś mi to słowo na ustach przez rok cały?

Klara spuściła głowę.

— Nie wiedziałam, że to tak brzmi — rzekła cicho — bałam się, żeby mnie świat nie posądził o zawiedzioną miłość i nie obarczył litością. Dlatego wmawiałam w siebie i drugich, że lekceważę sobie to, co stanowi całą treść, całe szczęście życia.

— Wmawiałaś pani tak zawzięcie: czyż ja mogłem jej nie uwierzyć?...

Klara uśmiechnęła się.

— Widać, że pozostałeś pan do dziś dnia niedoświadczonym nowicjuszem; my kobiety mówimy tysiące rzeczy umyślnie po to tylko, aby nam nie wierzono.

Lwów. *Nagoda.*

ZE WSPOMNIEŃ UNIWERSYTECKICH.

Każdy, kto sięgnie pamięcią w czasy uniwersyteckie, przypomni sobie bez wątpienia wielu towarzyszy przedwcześnie zmarłych, lub zwichniętych, którzy przymiotami umysłu, serca i charakteru przewyższali przeciętny poziom swego otoczenia, na których zakładano wielkie nadzieje, którzy jednak nadziei tych, lub całkiem nie urzeczywistnili, lub też zaświecili tylko na chwilę, jak lampa gasnąca, ostatnim rozpacznym błyskiem sił wyczerpanych. Są to ludzie, o których „towarzysze wiedzą, czem być mogli, o których nieznajomi wiedzą, że nie byli niczem", ludzie, których życie jest bolesnem igrzyskiem losu, a raczej stosunków społecznych, urągowiskiem z najsilniejszej woli, najszlachetniejszych dążeń, — *ludzie zmarnowani.*

Przeglądając dawne notatki moje, spotkałem się ze szkicem, skreślonym pod wrażeniem śmierci jednego właśnie z takich zmarnowanych kolegów moich, Stanisława D. A ponieważ marnowanie się ludzi jest u nas, niestety! zbyt częstym a doniosłym objawem społecznym, to rysy z życia jednego z takich ludzi wychodzą z ciasnej sfery koleżeńskich wspomnień i nabierają znaczenia typu pewnej strony społecznego życia.

Stanisław D. po świetnem ukończeniu gimnazjum został porwany przez powszechną zawieruchę i uniesiony w stronę daleką, w krainę Anhellego, „gdzie marzną łzy i westchnienia". Nie stał się tam przedsiębiorcą, handlarzem, jak wielu, pracował, jak prosty robotnik, nie powrócił kapitalistą. Po powrocie do kraju, postanowił, mimo podupadłego zdrowia, iść dalej obraną koleją, z której został wytrącony, i postanowił dalej się kształcić. Nie posiadał jednak żadnych ku temu środków materjalnych: trzeba było je zdobyć; z nędznego tedy zarobku, po części przepisywaniem, po części lekcjami prywatnemi, zaoszczędza, żywiąc się byle jak, kilkadziesiąt rubli i z tym skromnym zapasem przybywa do Krakowa na technikę. Tu rozpoczyna się drugi akt walki, bezwąt-

pienia cięższy, przykrzejszy, bardziej wyczerpujący, niż na dalekiej północy, walki nie z tą skupioną w sobie, określoną, momentalną potęgą lwa w zapasach, z którą odrazu ginie się, gdy się jest słabym, albo zwycięża, gdy się jest silnym, lecz z ową rozproszoną, niepochwytną, a bezustanną potęgą miazmatów, co długo, zwolna, ale bez przerwy, kropla po kropli wysączają krew i zniszczą w końcu najwytrwalszy organizm. Mimo to Stanisław D. kończy chlubnie technikę, ale i teraz położenie jego zrazu nie polepsza się bynajmniej: „obcokrajowiec", nie giętki w karku, nie umiejący szukać innej protekcji nad własną pracę i uzdolnienie, pozostaje lat kilka bez odpowiedniego swemu zawodowi zajęcia. Wreszcie, po długich walkach, wyczerpany fizycznie i duchowo, otrzymuje przy koleji w Krakowie, jakąś skromną posadę, która pozwala mu urzeczywistnić ideał, już nie człowieka nauki, lecz jedynie ideał owego hugonowskiego żebraka: „codziennie jadać". W każdym razie zdawało się, iż człowiek ten skołatany znalazł przynajmniej spokój po tylu walkach; tak, rzeczywiście, spokój, bo oto pewnego dnia można było w kronikach dzienników miejscowych wyczytać, co następuje: „Wczoraj urzędnik techniczny Stanisław D., pełniący służbę przy pociągach, został wskutek własnej nieostrożności, przejechany przez lokomotywę, która zgruchotała mu obydwie nogi powyżej kolan. Odwieziono go do szpitala, gdzie w parę godzin skonał".

Nigdy nie zapomnę chwili, gdym przybiegł odwiedzić trupa, jak dniem wprzód odwiedziłem żywego. Leżał w szpitalnej trupiarni, okryty prześcieradłem. Dziecinna krótkość pozbawionego nóg korpusu stanowiła straszliwy kontrast z twarzą zestarzałą przedwcześnie, nacechowaną niewymownem cierpieniem. Obok niego leżały pogruchotane nogi, kilka trupów innych uzupełniało ten okropny widok; o jednego z nich kłócili się posługacze szpitalni względem jego kwalifikacji na stół sekcyjny i wydzierali go sobie wzajemnie. Była to scena pełna szekspirowskiej grozy! Gdym przebiegał myślą całą skalę ideałów, pragnień, uczuć i cierpień tego człowieka, który teraz leżał przedemną, jakby straszliwe świadectwo ironji losu, marności ludzkich usiłowań, gdy umysł mój, niezdolny w tej chwili do chłodnej analizy, powtarzał pytania: „czy tysiące ludzi krzyczących ratunku nie są tylko zawiłem zrównaniem rachunku? czy przymioty umysłu, serca i charakteru, jakie posiadał zmarły, są na coś na tym świecie potrzebne, czy nie są to tylko omyłki liczebne?" — wtedy obok mnie stanął jakiś dobrze wypasiony krakowski filister i, założywszy monokl, przypatrywał się również zmarłemu; znać jednak inne myśli w głowie jego krążyły, bo skrzywiwszy się, wyraził niezadowolenie, że w porze letniej trupiarnia nie jest dezinficjowana. Ten z pewnością nie popełniał w życiu „omyłek liczebnych".

Śmierć Stanisława D., jakkolwiek gwałtowna i przerażająca, była tylko zapuszczeniem kurtyny nad właściwym dramatem życia, była straszliwie sformułowanym wyrazem tego, co już poprzednio się stało. Dwa są bowiem rodzaje ludzi zmarnowanych: jedni, szczęśliwsi, marnują się przez śmierć, inni — jeszcze przed śmiercią. Ta druga forma zmarnowania, mniej na pozór określona, jest jednak w rzeczy samej tragiczniejsza: ona to stanowi typ człowieka, ruiny. Ludzie przeciętni, ślizgający się po powierzchni życia, filistrzy, karjerowicze sprytni, łotry życiowi różnego gatunku nie są w stanie poznać się na tych ludziach — ruinach: biorą ich oni zwykle protekcjonalnie albo za dobrodusznych facecjonistów, albo za dziwaków, niedołęgów, nawet głupców, a to stosownie do zewnętrznej formy, pod jaką każda z takich ruin się przedstawia, a raczej stosownie do gatunku mchu, jaki na niej wyrósł. Dopiero głęboki znawca serca i duszy ludzkiej z jednego przelotnego spojrzenia, z myśli błyskającej niekiedy

z pod śmiertelnego całuna apatji, z rozpaczliwej chwilowej energji, zwykle nieoczekiwanej, zrozumie, czem był taki człowiek, czem mógłby był zostać... Tak uczony podróżnik, stojąc śród mchem lub pyłem pokrytych odwiecznych ruin, po których drapieżny syn pustyni, niewolniczy Fellah lub obojętny potomek Inkasów, depcą bezmyślnie, potrafi z ułamka muru, z zatartego napisu poznać i odtworzyć tę budowlę, co niegdyś wznosiła się dumnie ku obłokom, zanim zębem czasu, ręką złych ludzi lub kulami wroga została w dół strącona.

Stanisław D. należał właśnie do tego drugiego rodzaju zmarnowanych: był już trupem duchowym, zanim stał się fizycznym. Wykształcony nietylko zawodowo, ale i wszechstronnie, miewał chwile ożywienia, w których objawiał głębokie poglądy i niepospolitą erudycję; posiadał wiele luźnych notat i prac pozaczynanych, lecz na radę, by się wziął do ich opracowania, wykończenia, odpowiadał zwykle ze smutkiem: „Eh! już zapóźno, przepadło!... Brakło mu już sił do kroczenia dalej; olbrzymi niegdyś zapas energji życiowej, którym możnaby było obdzielić obficie dziesiątki, zwycięzkich jednak, filistrów, już był wyczerpany. Dla obcych przedstawiał się on czasem „niezdarą", częściej wesołym facecjonistą, niewyczerpanym w dykteryjkach; trzymał się zasady, że „żółcią pojąc się własną, trzeba twarz zachować jasną". Jednak gdy uwolnił się od obcego sobie towarzystwa i znalazł się sam lub w kółku blizkich, wtedy wpadał często w smutną zadumę o strasznych bólach przebytych, o przeciwnościach, które nie dozwoliły mu zająć się ulubionemi studjami naukowemi i znękały jego umysł, o młodości przedwcześnie zwiędłej, nieopromienionej blaskiem jasnych chwil, o całym szeregu bezustannych gwałtów, jakie musiał zadawać swym pragnieniom, uczuciom, ambicjom... życie napełniało go wstrętem. Czasami, uniesiony siłą jakiejś reakcji organizmu przeciw bólom moralnym, rzucał się całem ciałem o ścianę pokoju i padał wyczerpany na podłogę, poczem wpadał znowu w stan zadumy. Biada ludziom, co wpadają w zadumę: wskutek takiej zadumy, a może i wskutek bolesnej świadomości zmarnowania się w życiu znalazł Stanisław śmierć pod kołami parowego potwora.

Wypadek powyższy stanowi jeden z bardzo licznych przykładów marnowania się najlepszych sił wśród naszej młodzieży: niektórzy wprawdzie unikają zmarnowania w ten sposób, że ofiarują swe siły umysłowe, swą działalność na usługi obcych, ale i wtedy dla nas są oni straceni. W ten sposób dokonywa się z przerażającą bystrością ujemne wybrakowywanie wśród naszego społeczeństwa; giną szlachetni, pozostają filistrzy. Dawniej już zwrócono uwagę, że militaryzm wpływa na fizyczną degenerację rodu ludzkiego, wyrywając rodzinie i społeczeństwu najzdrowsze, najsilniejsze jednostki, które giną na polach bitew, lub marnieją bezprodukcyjnie. Powyżej ilustrowany objaw wpływa w podobny sposób na degenerację duchową. Częste powtarzanie się tego objawu stępiło naszę wrażliwość nań: student, zdobywający wiedzę o chłodzie i głodzie wśród materjalnych, fizycznych i moralnych katuszy, więcej jest u nas przedmiotem humoreski, niż dramatu.

Pragnąłbym, ażeby powyższych słów kilka mogło pobudzić naszę wrażliwość w tym kierunku, uświadomić grożące nam stąd niebezpieczeństwo i skłonić nas do stawienia mu czoła.

Niech to będzie nasze *suprema lex.*

Warszawa. *Wacław Nałkowski.*

MAREK W PIEKLE.

Mówią u nas: „Tłucze się, jak marek po piekle“, a przysłowie to krąży w następujących odmianach. Wogóle w Małorosji mówią: „Jak didko po pekłu szibajetsia“; na Rusi: „Chodit, jak did'ko po pekłu“, albo „Skacze, wereszczit, jak didko“; na Ukrainie zaś: „Piszczit, jak didko w gradowij chmari“, „żene (goni), jak didko witry“. To zestawienie daje nam możność rozwiązania zagadki: kogo tu lud nazywa *markiem*. Didko w języku Rusinów oznacza domowe bóstwo opiekuńcze tak, jak czeskie didky, białoruskie *dzicdy*, nasze *dziady*, rosyjskie *bogi, bożynki*, odpowiadające rzymskim penatom, którymi zostawali zwykle zmarli członkowie rodziny. Ludy bowiem, u których rozwinęła się cześć zmarłych, pomieszały pamięć przodków z bóstwami: Kreteńczykowie pokazywali grób Jowisza; Focejczykowie na grobach swych krewnych przelewali krew ofiar; Hotentoci modlą się na mogiłach rodziców, prosząc ich o pomoc (Lang „La Mythologie“ przekł. franc. Parmentiera). U Rzymian zmarli przodkowie nazywali się *dii Manes*.

Według Indusów, zmarli unoszą się, jako duchy obłoczne, *maruty* pod przewodnictwem Varuny, ciągnąc w burzę zastępami, wśród jej świstu i wichru. Toż samo ma się z niemieckiemi *marami*. U Słowian dusze zmarłych błyszczą w przestrzeni, jako gwiazdki, lub wogóle (dusze niechrzczonych dzieci) błądzą po powietrzu, a świst wichru lud przyjmuje za ich łkania. Mieszkańcy nadmorscy w wichrze słyszą jęki i płacz topielców [1]). Elfy i koboldy, odpowiadające słowiańskim dziadom, didkom, są także istotami obłocznemi.

Jeżeli więc didko unosi się w burzy, jako jeden z jej demonów, to jasnem jest, dlaczego „piszczy w gradowej chmurze“, i dlaczego „pędza wiatry“.

Ponieważ przed wieki palono nieboszczyków, przeto sądzono, że prze-

[1]) Afanasjew „Poetyczne poglądy człowieka na przyrodę“. III, 211.

bywają oni w popielniach, co niewątpliwie było powodem, dla którego penaty pomieszczano w popiele lub na ognisku, z początku tem, na którem płonął nieboszczyk, a następnie domowem. To też piec u Słowian doznaje jeszcze i dziś poszanowania (u nas ważne zdarzenia zapisują się „węglem w kominie"). Tą drogą na oznaczenie miejsca pobytu nieboszczyków przybywa wyraz *piekło* (pierw. piek), przypominający komin, ognisko. Wyraża on u Słowian i roztopioną siarkę i smołę (Linde), na Szląsku zaś sklepy z urnami pogrzebowemi (groby rodzinne), a zgodnie z tem *pikuljk* oznacza u Słowaków, nie potępieńca, ale nieboszczyka wogóle. Według Długosza, pogańscy Polacy modlili się do bóstwa podziemnego o lepsze miejsca w piekle, które zatem pojmowali jako mieszkanie wszelkich, tak złych, jak i dobrych nieboszczyków.

Chrześcijaństwo potępiło to wszystko, co ludy wyniosły z pogaństwa, a więc i piekło otrzymało dzisiejsze znaczenie, dotychczasowi zaś piekielnicy, jako istoty nadludzkie (bóstwa pogańskie) pozostali i nadal panami piekła. To też *didko* oznacza dziś i djabła. Piekło stało się odtąd jednem z miejsc pozagrobowych dla jednej tylko kategorji zmarłych, t. j. dla potępionych, tych zaś dręczą tutejsi autochtoni. Tu najlepiej wykazuje się różnica pomiędzy pogańskiem piekłem, jako miejscem swobodnego pobytu zmarłych przodków, a chrześcijańską krainą udręczeń. Zrozumiemy teraz, dlaczego djabeł (zdegradowany penat) chętnie przebywa w kominie: spuszcza się on kominem, siaduje na nim w postaci czarnego kota i ma tu swój wizerunek („Nie taki djabeł straszny, jak go malują węglem w kominie").

Kiedy pogański ubóstwiony nieboszczyk był niespokojny, uważano to za jego wybryki; kiedy dziś nieboszczyk niepokoi ludzi, mówią, że jego dusza pokutuje. Te dwie rzeczy pomieszano ze sobą i dawne objawy gniewu lub niepokoju boga-nieboszczyka służą dziś za znaki, jakie daje *pokutująca* dusza. Didko gniewa się wtenczas, kiedy w pozostałej po nim rodzinie nie idzie coś podług jego myśli. Nie rozstaje się on ze swojem ogniskiem domowem i dlatego, kiedy rodzina przenosi się do nowego domu „w starym piecu (i nadal) djabeł pali" (w starij peczi didko topit), to jest „przeszkadza" w opuszczonem domostwie. Jeżeli wiatr wyje w kominie, Słowianie utrzymują, że w nim, „dusza pokutuje". Słowiańskie penaty tak, jak i koboldy, stukają w ściany i po schodach, trzaskają drzwiami, rzucają w przechodzących cegłami i kamieniami, jeżdżą, skaczą, krzyczą po nocach, ściągają przykrycie ze śpiących, gaszą sługom świece, wybuchają złowrogim śmiechem i t. d. Kiedy kto z domowników umiera, wyją w nocy, a przed śmiercią gospodarza wzdychają ciężko i płaczą. Przed zarazą, wojną, pożarem, wychodzą ze wsi i wyją na wygonach [1]). Niemieckie nazwy penatów: *klepfer, poltergeist, bullerman*, zawierają w sobie pojęcie hałasu. Duchy domowe pojawiają się i w postaci widm. U Czechów, są to *obludy, noční preluda, pristrachy, strašidla;* polskie *strachy, straszydła;* serbskie *strasziła*. Nakoniec pojawiają się one i w postaci *zmor, kikimor, strzyg, upiorów, djabłów i t. d.* Najczęściej psoci duch domowy w końcu marca, kiedy „zmienia skórę i chce się żenić z wiedźmą". To też czytamy u Lindego (patrz: mara) zdanie, że *marzec straszył ludzi marami.*

Nasz wyraz „marek" pochodzi od indoeuropejskiego pierwiastku *mr*, dającego od siebie pochodne z pojęciem *śmierci*, jak słowiańskie i germańskie *mary*, induskie *maruty*. Jest to widocznie forma męska od *mara*. U Łużyczan znajdujemy wyraz *merek*, znaczący djabła i boginię śmierci i chorób. Nasz wy-

[1]) Ib. II, 88—89.

raz *marek* utworzony został widocznie przy pomocy imienia własnego, a to wskutek tożsamości brzmienia przy następującem pomieszaniu pojęć. W dzień św. Marka wychodzi za wieś procesja (przełożona na ten dzień w r. 802 z września) dla odwrócenia klęsk powszechnych, jak nieurodzaj, zaraza, susza. Na czas wiosenny przypadały również pogańskie pochody w pole w tymże celu, t. j. topienie Marzanny, oborywanie wsi od gradu lub zarazy, pochody do poblizkich krynic, w celu uproszenia ich pomocy przeciw suszy i t. d. Takie klęski uważano za sprawę „nieczystej siły“, djabła, w którego postaci wyobrażano je sobie nawet. A że djabły były to, jakeśmy widzieli, dusze, błądzące po za chrześcijańskiem niebem, czyli „pokutujące“, obchody więc podobne odbywały się w celu uczynienia owych *mar* nieszkodliwemi; ponieważ zaś wzmiankowane procesje, jako odbywające się w dzień św. Marka, uważano za poświęcone jego czci, w celu uwolnienia ludzi od takichże klęsk, przeto Marek chrześcijański nasuwał na myśl pogańską marę. Zmarli Grecy i Rzymianie, nie otrzymawszy pogrzebu lub należnych sobie ofiar, błądzili jako larwy i zsyłali na potomków nieurodzaj i chorobę. To też św. Marek, na równi z innymi ewangelistami, odgrywa ważną rolę w zażegnywaniach siły nieczystej. Podobnych pomieszań świętych chrześcijańskich z istotami pogańskiemi spotyka się mnóstwo w podaniach i zabobonach pogańskich z zabarwieniem chrześcijańskiem.

Warszawa. *Władysław Niedźwiedzki.*

O CIERPIENIU.

(URYWEK Z WIĘKSZEJ CAŁOŚCI).

. . . . . .

...Jeżeli słusznie człowiek upokorzonym się czuje z powodu znikomości swojej, z powodu ograniczenia swoich władz umysłowych i tego przygnębiającego przeświadczenia, iż otoczony jest nieprzeniknioną zagadką bytu i celu własnego istnienia, jeśli człowiek słusznie upokorzonym się czuje z powodu licznych ułomności ciała i duszy, z powodu słabości swej woli, zdrożności pragnień i czynów, to jednak, w głębi tej słusznej pokory, ma prawo być z siebie dumnym, święcić tryumfy, wysoce cenić ważność swojego istnienia, gdy przyczynić się zdołał do usunięcia pewnej summy cierpień bliźniego.

Najpiękniejszym kwiatem oświaty i cywilizacji, najprawdziwszem dziecięciem myśli rozumnej, jest bezwątpienia współczucie dla doli bliźniego. A jednak, tak mało i w dzisiejszych jeszcze społeczeństwach tego najpiękniejszego klejnotu ducha ludzkiego. Nadto jeszcze płynie żużli w rudzie barbarzyństwa, dotąd nie przetopionej na czysty metal *ludzkości*.

Bo też człowiek, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, do danej chwili kłem cierpienia nie zadraśnięty, albo nawet tylko w danej chwili od cierpienia wolny, nie zdaje sobie najczęściej sprawy z doniosłości tego zjawiska.

A wszakże najpotężniejszem zjawiskiem przyrody nie jest żar atmosfery słonecznej, który na miljony mil odległej ziemi jeszcze podzwrotnikowe wywołuje gorąco, ani wielość nieskończona ciał niebieskich w dziwnej harmonji krążących śród przestrzeni, ani szybkość światła, które w sekundę każdą przebiega wiele mil dziesiątków, nie tajemniczy atom chemiczny, który, pomnożony przez nieskończoność stanowi treść materji wszechświata, nie siła ciążenia powszechnego, która świat cały dźwiga i kojarzy: dla nas, ludzi maluczkich, najpotężniejszem w przyrodzie zjawiskiem jest *cierpienie*.

. . . . . .

Rozpatrzenie się po dolach ludzkich, wniknięcie okiem i myślą w ten ocean ludzkich bólów, wyrycie nagromadzonych bez liczby smutnych i ponurych obrazów w wyobraźni, łatwo poprowadzić może do zrozpaczonej, zgorzkniałej apatji, lub do nihilizmu etycznego. Pierwsza tak rozumuje: złego jest moc tak wielka na ziemi, że wszystkie usiłowania moje, dążące do zmniejszenia jego ilości, podobne są do gąbki, którą zanurzamy w morze, by zmniejszyć jego objętość, małą gąbkę słonogorzka woda nawskroś przeniknie, a przepaści morza, jak były, tak będą. Zresztą, gdybym nawet uwierzył, że po długich wieków szeregach, dzięki nieustannym usiłowaniom miłości, osiągnie się nareszcie chwilę zupełnego urzeczywistnienia ideału dobra, to cóż to za zwycięstwo, które sprawiedliwości zadość uczynić nie jest w stanie?! Któż bowiem nagrodzi cierpienia i rozpacze tysiącom pokoleń, które od kolebki ludzkości do owej wielkiej chwili zwycięstwa rzeki łez wylewały? A nihilizm etyczny tu dodaje: w każdym razie, nierówność doli ludzkiej nieodwołalnie istnieć będzie, wszystko jedno czy przedział między szczęśliwymi i nieszczęśliwymi biedz będzie wzdłuż czy w poprzek dziejów ludzkości. Czy w każdej dobie życia społeczeństwa ludzkiego mają istnieć obok siebie szczęśliwi i nieszczęśliwi, czy też żywot jego cały rozdzielonym być ma na dobę cierpień i idącą po niej dobę szczęścia? A gdy nieodwołalnym porządkiem natury musi istnieć rozkosz i cierpienie, gdy jedno musi być udziałem jednych, drugie, udziałem innych, to byłoby bezcelowem sprzeciwianie się prawom natury i słusznem czerpanie, jeżeli można, przez życie całe z kielicha szczęścia i rozkoszy, bez oglądania się na łzy krwawe, na bezbrzeżne rozpacze. Poco żal, poco współczucie? Gdybym ja był w liczbie płaczących, byłoby inne „ja“ w liczbie śmiejących się.

Zarówno nihilizm etyczny, jak pesymistyczna apatja są błędnej logiki owocem. Czas jest tylko pojęciem subjektywnem, abstrakcją. W istocie rzeczy niema przeszłości i przyszłości, istnieje tylko trwała teraźniejszość, w której łonie odbywa się nieustanny ruch i przemiana form. To nie jest prawdą, że dzieje przeszłe i pokolenia, które udział w nich brały, to byty skończone, zamknięte w sobie, złożone w archiwach przeszłości lub w nicość zupełną rozwiane. Ów byt przeszłości zamierzchłej jest bytem chwili teraźniejszej, tylko składniki jego inaczej są względem siebie rozstawione, równie byt przyszłości zamglonej, będzie dzisiejszą w odmiennym układzie teraźniejszością. Teorja jestestw organicznych Jędrzeja Sniadeckiego już nauczała, iż garść materji, służącej za materjał budowlany dla całego świata ożywionego była, jest i będzie zawsze tąż samą, tylko atomy ją składające w ciągłej są wędrówce, coraz to inaczej względem siebie się ustawiają, nowe tworząc ugrupowania. My, którzy w tej chwili stanowimy świadomą siebie ludzkość i prapraojcowie nasi, którzy w nas energją życia swojego przeleli, i potomność odległa, wobec której my będziemy rozwianą niby przeszłością, stanowimy wszyscy jedno ciało i jednego ducha. Związani wstecz dziejową pamięcią, naprzód aspiracjami lepszej przyszłości, jesteśmy zawsze jedną ludzkością, jednym pniem olbrzymim, na którego konarach co wiosna wprawdzie nowe się liście zielenią, ale liście te wszystkie zawsze z tej samej ziemi, jednakie ciągną soki.

Nie jest krzywdą przeszłości lepsza dola pokoleń przyszłych; osiąganie ideału dobra tak samo wynagradza ludzkości wieki cierpień, jak lepsze *dziś* wynagradza jednostce smutne *wczoraj*. Jeżeli tylko gorsze na lepsze zmienić się może, nie ma racji, która przeczyć by mogła konieczności jak najusilniejszego udziału świadomej woli ludzkości w przyśpieszeniu tej lepszej doli, doby zmniejszonego cierpienia.

Takie jednoczące, utożsamiające pokolenia rodu ludzkiego pojmowanie ludzkości, można sobie do takiego stopnia przyswoić, że staje się ono konieczną postacią naszej świadomości. Uwalnia ono nas od przygnębiającego przeświadczenia o naszej osobowej znikomości, osłabia w nas poczucie rozpowszechnione egoizmu indywidualnego, pobudza społeczeństwo do troski o daleką nawet przyszłość, wiąże nas współczuciem z przeszłością i przyszłością, interes bytu naszego rozciąga do dziejów całych ludzkości, której losy zmienne i rozwój ciągły stanowią ruch wspaniały, dla naszego umysłu bardziej przystępny przez podział na teraźniejszość, przeszłość i przyszłość.

Wymówka więc filozofującego nihilizmu etycznego, że godzi się zupełnie czerpać z kielicha rozkoszy, nie mącąc nektaru szczęścia goryczą natężonego współczucia dla cierpień współczesności, a tem mniej przyszłości, nie wytrzymuje krytyki, a twierdzenie pesymistycznej apatji o mikroskopijnej wielkości wpływu naszego na zmniejszenie morza cierpień ludzkich zbija i wzgląd następujący:

Jakkolwiek nieprzejrzane są rozmiary cierpienia i niezliczona ilość jego ofiar, jakkolwiek więc jednostka wybawiona, stanowi zaledwie nikły ułamek olbrzymiej rzeszy łzawej, to jednak każde cierpienie pojedyńcze stanowi samo w sobie zjawisko tak potężne, taką głębię nieskończoną treści w sobie zawiera, że wybawienie jednostki od cierpienia, zwolnienie jej od jednego choćby bólu, już jest czynem wielkim, celem godnym najbardziej wytężonych zabiegów i usiłowań.

. . . . . .

Warszawa. *Dr. Henryk Nusbaum.*

BADANIE NAUKOWE I POPULARYZACJA.

Wskutek niedostatecznej ilości odpowiednio przygotowanych kierowników i trudności technicznych, a głównie wskutek tego, że w naszych warunkach specjalne prace naukowe (nie popularne) nie zapewniają katedr i nie dają żadnych zysków, ani nawet sławy wśród społeczeństwa (gdyż ogół najczęściej nic o nich nie wie), ludzie stojący u nas na czele ruchu naukowego niechętnie oddają się samodzielnej pracy badawczej, a głównie lub wyłącznie rzucają się na popularyzowanie wiedzy, co zapewnia im byt i rozgłos.

Niema wątpliwości, że warunki pracy naukowej są u nas niezmiernie trudne, że ta ostatnia pochłania u nas więcej, niż gdzieindziej, czasu, zużywa więcej energji, jest bardziej męczącą i cięższą: nie mniej przeto przy dobrych chęciach, energji i wytrwałości można temu choć w części zaradzić i badaniom naukowym się oddawać.

Absolutne pasorzytnictwo naukowe prowadzi do spaczenia myśli i utraty pewnych ideałów duchowych. Nie korzystajmy wyłącznie z cudzych odkryć, z cudzych badań, z cudzych poszukiwań, nie przyjmujmy wszystkich faktów i zdobyczy naukowych z drugiej ręki, na dobrą wiarę, nie bądźmy, słowem, pasorzytami, pochłaniającymi w dziedzinie wiedzy jedynie cudze myśli i przyoblekającymi je tylko w popularną szatę.

Popularyzowanie nauki ma bezsprzecznie bardzo doniosłe znaczenie cywilizacyjne, ale biada społeczeństwu, w którem ono ma być jedynym wyrazem postępu myśli naukowej, społeczeństwu, które, gnuśniejąc, zrzeka się współudziału na arenie ogólno-światowego postępu wiedzy.

Ale zresztą i ci, którzy postawili sobie za zadanie tylko popularyzowanie wiedzy, postąpiliby o wiele słuszniej i z większym dla siebie i ogółu pożytkiem, gdyby się zaprawiali do samodzielnej pracy naukowej, albowiem tylko samodzielne poszukiwanie, borykanie się z metodami i pokonywanie trudności, nastręczających się przy ścisłych badaniach, mogą wyrobić w przyrodniku prawdziwy krytycyzm w osądzaniu faktów, przez innych zdobywanych, oraz teorji, na podstawie tych faktów wygłaszanych.

Lwów. *Dr. Józef Nusbaum.*

IDEOPLASTJA.

(Dwie zapiski czytane na posiedzeniu Towarzystwa Biologicznego w Paryżu dnia 21 i 28 czerwca 1884 roku).

PODZIAŁ ZJAWISK.

Ideoplastja [1]) znaczy dla mnie: *urzeczywistnienie* fizjologiczne *wyobrażenia;* n. p. ziewanie wywołane przez samo wyobrażenie ziewania, ból w nodze wywołany przez samo wyobrażenie bólu w nodze. Ideoplastja obejmuje wszystkie fakta znane pod nazwą suggestji (słownej), ale także i wiele innych, niewymagających udziału drugiej osoby i zaliczanych do kategorji autosuggestji albo stggestji samoistnej. Będziemy więc widzieli ideoplastję wszędzie tam, gdzie wyobrażenie wystarczyło samo do wywołania jakiejkolwiekbądź zmiany funkcjonalnej.

Zjawiska ideoplastji są tylko szczególnemi przypadkami prawa ogólnego, (które nazwałem prawem odwrotności w rozprawie „Siłą jako Ruch" drukowanej w „Ateneum" w roku 1879). Wszystkie przeobrażenia sił są odwracalne. Jeśli ciepło może wywołać ruch mechaniczny, to i ruch mechaniczny może wywołać (wytworzyć) ciepło. Jeśli prądy elektryczne mogą wywołać magnetyzm, to i magnetyzm może wywołać prądy. Jeśli głos może wytworzyć prądy faliste, (w telefonie wysyłającym) to i odwrotnie prądy faliste mogą wytworzyć głos (w telefonie odbierającym) etc. Prawo to przedstawia pierwszorzędną doniosłość filozoficzną, ponieważ pozwala *przewidywać* zamianę odwrotną, od chwili, gdy znaną jest zamiana prosta; trafia się zaś, że zamiana *a* na *b* jest dokładnie znaną, podczas gdy zamiana *b* na *a* pozostaje do odkrycia. Przykład: Fonuato-

[1]) Wyraz ten, w innem nieco znaczeniu, użyty był po raz pierwszy przez Dra Philipsa (Durand de Gros) w dziele: „Cours théorique et pratique du Braidisme". Paris 1868, str. 44 i następne.

graf Scotta (to znaczy ruch mechaniczny wywołany mową) znanym był oddawna; gdy tymczasem nikt nie podejrzywał możności zamiany odwrotnej: ruchu mechanicznego na mowę, urzeczywistnionej dopiero w *fonografie* Edisona.

Ideoplastja jest więc przypadkiem szczególnym powszechnego prawa natury. Zazwyczaj wrażenie wywołuje wyobrażenie; w ideoplastji przeciwnie wyobrażenie wywołuje wrażenie. Taką zamianę odwrotną nazywamy halucynacją, gdy jest samoistną, suggestją (wmówieniem) gdy jest narzuconą. W obu razach będzie to *ideoplastja wrażeń*, inaczej: ideoplastja bierna. Może ona być albo dodatnią albo ujemną. Jest dodatnią, gdy wywołuje percepcję bodźca nieistniejącego; jest ujemną, gdy przeszkadza percepcji bodźca istniejącego. Pierwsza klasa jest dokładnie znaną, druga znacznie mniej. Przekonałem się jednak niejednokrotnie, że możliwem jest uczynić niewidzialnemi, nawet w stanie jawy pacjenta, osoby, rzeczy lub części osób i rzeczy; siatkówka pacjenta podlegającego hypnozie może pozostać ślepą, nawet po obudzeniu, wobec pewnych tylko bodźców wzrokowych. I jeśli np. uczynimy niewidzialną osobę palącą papierosa, to osoba ta, papieros i dym papierosa pozostaną niewidzialnemi dla pacjenta, lecz skoro taż sama osoba zapali nowy papieros, nie wciągnięty w obręb ideoplastji ujemnej, halucynacji negatywnej, to pacjent zostanie przestraszony widokiem papierosa palącego się i latającego po powietrzu.

Drugą kategorję stanowi *ideoplastja ruchów*, czyli ideoplastja czynna. Podobnie jak w poprzedniej grupie może ona być i tutaj dodatnią lub ujemną. Przykłady: 1) wyobrażenie ziewania wywołuje ziewanie; opis pewnego ruchu ręki, wywołuje u uśpionego taki sam ruch ręki. W ten sposób można pacjentowi narzucić podpisanie wekslu, nakazać morderstwo, nawet samobójstwo, gdyż będą to ruchy spełniane automatycznie, w niektórych wypadkach bez żadnej opozycji. W stanie monoideicznym (gdy panuje jedno tylko wyobrażenie) przedmiot wmówienia jest obojętnym, ponieważ nie może wywołać rozwagi. 2) Podobnież można *przeszkodzić* spełnieniu się pewnych ruchów dowolnych. Nakreślam n. p. linję imaginacyjną na podłodze i pod wpływem wmówienia pacjent nie jest w stanie przekroczyć tej linji, nie dlatego, iżby stracił władzę w mięśniach, które mogą pozostać zdolnemi do ruchu, ale wskutek *chwilowej amnezji ruchów* (zapomnienia), istnieją bowiem amnezje chodu, podobnie jak amnezje słów. Będzie to ideoplastja czynna ujemna.

Istnieje jeszcze trzecia kategorya należących tu zjawisk, obejmująca najbardziej dziwne fakta. Nazwiemy ją ideoplastją materjalną lub troficzną (dotyczącą zmian w odżywianiu). Nie chodzi tu już o zmianę podmiotową czuciowo-ruchową, lecz o zmianę przedmiotową, istotną, w funkcjach żywotnych, a mianowicie w zjawiskach życia roślinnego, od woli nie zależnych.

Ideoplastja materjalna może być również dodatnią lub ujemną. Nietylko sparzenie wywołuje wyobrażenie sparzenia, ale i odwrotnie, w wyjątkowych wypadkach, samo myślenie o sparzeniu może wywołać w pewnym stopniu zmiany, właściwe sparzeniu. Udaje się to u bardzo podatnych przez wielokrotnie ponawianą suggestję; dany punkt ciała nabiega krwią, czerwienieje i zaczyna ze swej strony budzić uczucie sparzenia. W podobny sposób można wywołać obrzmienia. Odwrotnie, udało mi się w jednym wypadku, w ciągu 25 minut usunąć obrzmienie twarzy spowodowane bólem zęba i trwające od dwóch dni. Ażeby uwierzyć w fakt tak szczególny, należy sobie przypomnieć obrzmienia histeryczne, występujące i znikające w ciągu paru godzin. Doświadczenia te objaśniają nam nadzwyczajne wypadki *stygmatów*, zasługują więc na powtórzenie przez innych eksperymentatorów. Można podobnież, przedłużając wmawianie,

wywołać, nietylko uczucie gorąca lub zimna, ale także powiększenie lub zmniejszenie rzeczywistej temperatury ciała. W jednym wypadku otrzymałem zniżenie gorączki o 0,9 C., trwające kilka godzin. Tą drogą również można otrzymać przyśpieszenie lub opóźnienie pulsu, wydzielin wszelkiego rodzaju i wogóle przemiany materji; można wywołać przykry głód i nasycenie rzeczywiście głodnych na kilka godzin; można określić co do minuty czas trwania snu naturalnego; można wreszcie zmieniać potrzeby i charakter moralny pacjenta na czas paru tygodni. Niepodobna mi wyliczyć tutaj wszystkich faktów przezemnie stwierdzonych; powyższe wystarczą, jak sądzę, do zwrócenia uwagi fizjologów. 2) Jeżeli z jednej strony możemy wywoływać przez ideoplastję zmiany istotne w funkcjach organizmu, to z drugiej ta siła daje nam możność psychicznego *zabezpieczania* organizmu od pewnych wpływów zewnętrznych. Będą to fakta ideoplastji materjalnej ujemnej. Możebnem jest n. p. za pomocą suggestji w stanie monoideicznym uczynić pacjenta niewrażliwym na silne dozy alkoholu, opium, morfiny. Ośmielam się nawet przypuszczać (na podstawie analogicznych wypadków), że doza śmiertelna może być, co najmniej, złagodzoną; i byłoby pożądanem spróbowanie tej metody „szczepienia psychicznego“ w wypadkach wścieklizny i cholery u osób podatnych.

Wogóle, we wszystkich trzech kategorjach ideoplastji, jeśli jest możliwem sprowadzenie pewnych zmian funkcjonalnych patologicznych, jest również częstokroć możliwem usuwanie ich, gdy są objawem choroby. Na tem to polega „leczenie psychiczne“ niesłusznie dotychczas zaniedbywane.

Osoby wrażliwe na wpływy ideoplastyczne podlegają wyraźnie działaniu hypnoskopu, o którym mówiłem w dawniejszej mojej komunikacji, przedstawionej Towarzystwu przez prof. Richet'a (ob. Comptes rendus de la Soc. de Biol. Nr 20 z r. 1884).

TEORJA ZJAWISK.

Według podziału przyjętego w poprzedniej komunikacji możemy odróżnić trzy kategorje zjawisk ideoplastycznych:

1. Ideoplastję wrażeń pozytywną i negatywną.
2. Ideoplastję ruchów pozytywną i negatywną.
3. Ideoplastję zmian materjalnych, również dodatnią i ujemną.

Pozostaje nam wyjaśnienie zjawisk.

Objaśnić — znaczy sprowadzić fakt odosobniony do warunków znanych, niezbędnych i dostatecznych. Warunki ideoplastji są dwojakie: psychiczne i fizjologiczne.

Warunki psychiczne. Wyobrażenia mogą być do pewnego stopnia uważane jako siły. Łączą się one w asocjacje i działanie ich objawia się zazwyczaj tylko wewnętrznie. Ażeby mogły wywrzeć wpływ zewnętrzny, odnośnie do mózgu, potrzeba, albo pobudzenia zewnętrznego, albo też *aktu woli*. W ideoplastji dzieje się inaczej: wyobrażenie sprawia skutek bez wystarczającego bodźca zewnętrznego i niezależnie od aktu woli, niekiedy nawet wbrew bodźcom i wbrew woli. Skąd pochodzi ta samodzielność wyobrażeń? Pochodzi ze wzrostu ich siły. Wyobrażenie światła, potęgując się, staje się wrażeniem światła (halucynacją). Wyobrażenie ruchu, wzrastając w sile, wywołuje ruch i t. p. A jaka jest przyczyna tego wzrostu w sile? Następująca: w warunkach zwykłych wyobrażenie nie jest nigdy samotnem: jest ono zawsze skojarzone z grupą innych wyobra-

żeń. Myśląc o lwie, którego nie widzę, widzę papier, na którym piszę te słowa, widzę rękę, pióro, pismo, czuję układ moich członków, słyszę odgłosy z ulicy i t. p. Wszystkie te wyobrażenia i wrażenia rysują się w moim umyśle z większą lub mniejszą wyrazistością. Im większą jest ich liczba, tem mniejsza wyrazistość, ponieważ się zacierają i tłumią wzajemnie. Skupiając myśl na szmerze odległym, ujmuję lepiej ten szmer, ale zarazem staję się względnie głuchym dla innych szmerów, i trafia się, gdy z niecierpliwością oczekujemy na znak umówiony, że go słyszymy przez ideoplastją, zanim się objawi. Zatem niezwykłe wzmocnienie wyobrażenia następuje wskutek jego *odosobnienia,* wskutek braku wyobrażeń obcych. Wyobrażenie jest silniejszem, niż zwykle, ponieważ jest *samo,* ponieważ nic go nie tłumi wewnętrznie. Mogę, nie przerywając pisania, wyobrazić sobie ziewanie, ale wyobrażenie to pozostanie tylko wspomnieniem odruchu, przeciwważonem przez inne wyobrażenia; jeżeli jednak, nie mając żadnego zajęcia, patrzę biernie na osobę ziewającą, zacznę sam ziewać przez ideoplastję naśladowczą. We wszystkich wypadkach ideoplastji powyższy warunek psychiczny jest niezbędnym: potrzeba wyraźnego dążenia do *monoideizmu,* to znaczy do odosobnienia wyobrażenia panującego. W przeciwnym razie pozostanie ono „w stanie słabym“ i nie będzie mogło wyrazić się wrażeniem lub ruchem. Ideoplastja materjalna zdradza stan monoideiczny jeszcze bardziej stanowczy. Może się ona objawić tylko w pełnej hypnozie, chociażby momentalnej, i tylko przez działanie monoideiczne silne i wielokrotne. Wówczas to wyobrażenie dosięga maximum swej władzy: panuje wszechwładnie. Wszelkie wrażenia uboczne są zniesione i umysł stał się gładką tablicą (tabula rasa), na której wyobrażenie poddane odbija się z niezwykłą siłą i swobodą. Panuje ono wówczas nad całym systemem nerwowym. Jakim jednakże sposobem wyobrażenie wysięku krwi np., które jest przecież tylko wyobrażeniem, a więc czemś idealnem, podmiotowem, może wywołać sam wysięk krwi, będący faktem przedmiotowym i materjalnym? Ażeby to zrozumieć, należy się ucieć do współudziału warunków fizjologicznych.

Warunki fizjologiczne. Nie ulega kwestji, że zmiany troficzne ideoplastji materjalnej uskuteczniają się przez pośrednictwo nerwów naczynio-ruchowych. Podniecenie i sparaliżowanie tych nerwów, kombinując się w najrozmaitszy sposób, mogą nam zdać z nich sprawę mniej lub więcej wystarczająco. Lecz w jaki sposób wyobrażenie może działać na nerwy naczynio-ruchowe? Ściśle rzecz biorąc, to nie wyobrażenie samo, jako takie, sprowadza wspomniane zmiany. Jest ono tylko punktem wyjścia działania, ale nie działaniem właściwem. I tutaj to muszę położyć nacisk na fakt istnienia kategorji skojarzeń, bardzo ważnych, a bardzo mało znanych. Nie należy mniemać, że tylko *wyobrażenia* mogą się *kojarzyć* ze sobą. Istnieją także skojarzenia psycho-fizyczne między wyobrażeniem z jednej strony a pewnym stanem organicznym z drugiej. Stany te, będące kompleksami fizjologicznemi, bardzo różnorodnemi, nie dochodzą nigdy do świadomości; umiemy doskonale poruszać palcem tym lub owym, jakkolwiek nie mamy żadnej wiedzy, ani o nerwach, ani o mięśniach, ani o prądach nerwowych, które trzeba wywołać, ażeby spowodować skurcz odpowiednich mięśni. Spełnienie naszej woli bierze na siebie *skojarzenie ideo-organiczne.* Skojarzenie to jest w części dziedzicznem, ale nawet i jako nabyte pozostaje bezwiednem: tylko pierwsze jego ogniwo (wyobrażenie) dochodzi do świadomości. W ideoplastji materjalnej mamy do czynienia z takiemi właśnie skojarzeniami: z jednej strony wyobrażenie zmiany, z drugiej pewien kompleks procesów organicznych, sprowadzających tę zmianę. I podobnie jak w reprodukcji samych wyobrażeń

wyobrażenie obecne wywołuje wspomnienie wrażeń lub ruchów, tak tutaj wyobrażenie panujące wywołuje pewien stan organiczny specjalny, z którym jest bezwiednie skojarzone. Jest to także rodzaj pamięci, ale pamięci bezwiednej i zmaterjalizowanej. Jest zaś ona nielada potęgą — ta pamięć! Jeżeli z jednej strony stany patologiczne narządów mogą wywołać wyobrażenia chorobliwe w mózgu, to z drugiej strony, na mocy prawa odwrotności, wyobrażenia korzystne lub niekorzystne dla zdrowia mogą poprawić lub pogorszyć ogólny stan organizmu. Wpływ jest niewątpliwie wzajemny, ponieważ ma on miejsce *między dwoma ogniwami jednej assocjacji.* Niekiedy prosta zmiana otoczenia wystarcza, ażeby sprowadzić polepszenie, ponieważ w miejscowości danej wszystkie przedmioty, nawet obojętne, skojarzyły się bezwiednie z pewnym stanem chorobliwym i wywołują go, podtrzymują, sprzyjają mu machinalnie, siłą *skojarzenia ideo-organicznego.* Są osobniki (przykład był już cytowanym przez Boerhaave'a) u których wyobrażenie choroby, uprzytomnienie dokładne jej symptomów, wystarcza, do wywołania samej choroby, choroby całkiem realnej. Taki wypadek jest wyjątkowym, krańcowym, ale wywołujący go czynnik pozostaje tym samym. Gdy nam ktoś mówi o „wielkim upale" rozumiemy doskonale, o co chodzi, ponieważ wyobrażenie gorąca obudza w nas niedostrzegalnie stan fizjologiczny rozgrzania. Przypuśćmy wrażliwość większą, wyjątkową łatwość reprodukcji ideo-organicznych, a będziemy mieli rozgrzanie dotykalne. Jeżeli prawdą jest, jak słusznie zauważył p. Brown-Sequard, że wszystkie objawy hypnotyzmu są tylko zjawiskami *inhibicji* (przygnębienia) lub *dynamogenji* (podniecenia), to objawy ideoplastji będą tylko przygnębieniem lub podnieceniem, zawarunkowanem asocjacją ideo-organiczną, podczas gdy inne fakta inhibicji lub dynamogenji zależą od skojarzeń czysto organicznych czyli *organo-organicznych.* Jeżeli np. podrażnienie nerwu trzewiowego (plexus coeliacus) wstrzymuje ruchy kiszek, to znaczy, że dwa te fakta względnie odległe: podrażnienie zwoju nerwowego i ubezwładnienie mięśni kiszkowych są z sobą skojarzone fizjologicznie, w sposób mniej lub więcej nieznany, ale jednakże podobny do tego, w jaki pewne dane uczucie łączy się z odpowiadającym mu wyrazem twarzy. Teorja skojarzeń ideo-organicznych i organo-organicznych nie tłómaczy, coprawda, tego, co na nieszczęście w obecnym stanie wiedzy musi pozostać niewytłómaczonem, a mianowicie *przyczyn wewnętrznych* większości tych skojarzeń; ale w każdym razie pozwalam sobie mieć nadzieję, że teorja ta przyczyni się do podporządkowania faktów bardzo różnych pod jedną zasadę i sprowadzenia ich do jednego mechanizmu asocjacyjnego. Psychologja i fizjologja łączą się tym sposobem ze sobą, i można będzie obecnie wynajdywać prawa rządzące *skojarzeniami fizjologicznemi,* podobnie jak już studjowano prawa *skojarzeń psychicznych. Tracąc swoje skojarzenia psychiczne,* wyobrażenie w stanie mono-ideizmu *odnajduje swoje skojarzenia organiczne,* spaja się z niemi i wywołuje zmiany w narządach, z siłą tem bardziej stanowczą i nieprzepartą, im bardziej samo jest silnem i nieprzepartem. Zlewa się ono, iż tak powiem, ze stanem, który symbolizuje, urzeczywistnia go. Możnaby powiedzieć, że wypadki inhibicji organo-organicznej są po większej części skojarzeniami *przez kontrast,* w którym podrażnienie *a* kojarzy się z ubezwładnieniem *b*, podczas gdy dynamogenja jest skojarzeniem na zasadzie *podobieństwa,* przyczem podniecenie *b* następuje po podnieceniu *a.* Mogą zaś te skojarzenia być *przyczynowemi,* lub *przypadkowemi,* gdyż, podobnie jak między wyobrażeniami, mogą być i skojarzenia fizjologiczne przez *zetknięcie,* czyli przez proste zbliżenie w przestrzeni lub czasie. Stan patologiczny *a* kojarzy się z innym stanem patologicznym *b*, dla tej jedynie przyczyny, że wpływy uboczne wywołały

oba te stany współcześnie, albo jeden za drugim. Od tej chwili wystarcza, że zjawił się stan *a*, ażeby odnowił się i stan *b*. Trzeba więc strzedz się takich komplikacji przypadkowych i nie brać ich, jak się to często zdarza, za związki przyczynowe. Przypuszcza się n. p. (prof. Charcot), że „stan somnambuliczny wywołuje się, uciskając szczyt głowy", gdy tym czasem między uciskiem głowy a stanem somnambulicznym niema żadnego związku przyczynowego.

W krótkiej tej zapisce mogłem tylko naszkicować w grubych zarysach zasady teorji ideoplastji. Pominąłem też umyślnie rozbiór warunków fizjologicznych szczegółowych i zestawienie tych pojęć ogólnych z teorjami suggestji Braid'a, Durand'a, Charpignon'a, Liébeault'a i Bernheima.

Warszawa. *Juljan Ochorowicz.*

FILOZOFKA.

(SZKIC Z NATURY).

„Wiem, że w całodziennym repertuarze nie masz Pani ani chwilki wolnego czasu. Więc chociażbym miał Panią narazić na plotki całego miasta, muszę przyjść dziś wieczodla ostatecznego sprawozdania z powierzonej mi sprawy".

List ten otrzymała panna Karolina dziś zrana, gdy wychodziła na pierwszą lekcję. List do niej! Miły Boże! Ależ ona prawie nigdy nie otrzymywała listów. Od czasu do czasu odzywali się dwaj siostrzeńcy, niby dwa puszczyki, jeden z głębi lasów nad Białem, drugi ze stepów nad Czarnem morzem. Obaj niby z jej łaski na ludzi wyszli. Wielkie rzeczy! Stancję za nich płaciła, odziewała z większego, a jak trochę do rozumu przyszli i zrozumieli, że sierotom smutno na świecie, no, to ich tam przytuliła i popieściła, zresztą nie było czasu na czułość. Dziesięć, czasem dwanaście godzin muzyki dawała codzień! Nie lubiła przytem rozczulać się zbytecznie, przy tych pieszczotach zwykle taki ją żal ogarniał, jak gdyby to ona sama była sierotą, a ona właściwie nigdy nikogo na świecie nie miała; bo i ci siostrzeńcy, to po jakiejś cioteczno-stryjecznej siostrze; ale to wszystko jedno: każdy chłopak urwis i nic dobrego, czy to z rodzonej, czy z ciotecznej siostry na świat przyjdzie! Miała też z nimi kłopotu niemało: kryli się przed nią z dziurawemi butami, sami naprawiali ubranie, obchodzili się nawet bez książek. Musiała ich szpiegować, ukradkiem prawie zaspakajała ich potrzeby. Teraz zaledwo o swoich siłach stanęli, jeden i drugi w każdym liście do siebie ją ciągnie: jeden nad Białe, drugi nad Czarne morze, Tęsknią łotry! Z każdego listu taki smutek wieje, że ona, chociaż nigdy nie płacze, czytając, mimowoli z dziesięć razy nos wycierać musi; sami tam z życiem pogodzić się nie mogą, a jej raj obiecują! Ten z lasów szczególnie! Ha! żeby się mogła rozdwoić, nie tracąc przy tem całości, pojechałaby może, żeby zobaczyć, jak też wyglądają urwisy, dziś już niby ludzie! Dawniej, ten dzisiejszy leśniczy był wilkiem skończonym: ludzi bał się, książki pożerał, chudy był jak chart, bo nauka nie tuczy. Ten zaś, co teraz uczonego agronoma udaje, na pa-

nicza pozował! Kupiła mu raz perfum i parę rękawiczek na imieniny, uszczęśliwiony przysiągł, że jej nigdy tego nie zapomni! No i nie zapomniał! Jakie ten chłopak listy pisze! Tak umie treść ułożyć, że nawet te kilka rubli, które do listu wkłada, wyglądają, jak jedno więcej słówko serdeczne, nie zaś, jako datek, albo spłacanie starego długu! Po każdym liście panna Karolina jest prawie gotową do podróży, i gdyby jej nagle skrzydła urosły, poleciałaby na północ — prawdopodobnie ten mól książkowy więcej jej do serca przypadał. Ale ona nigdy z miasta nie wyjedzie. Przeżyła tu już lat pięćdziesiąt. Chciałaby im tylko żony miejscowego wyrobu: boi się, żeby tam z nudów głupstwa nie zrobili. Zimno jej się robi, gdy o tem pomyśli. O nie, ona zna swoich chłopców! Dla jednego ma już prawie żonę, tę swoją Antosię... to też sierota; chowa ją od piątego roku. Śliczne to, ale wątłe i niedołężne — księżniczka! Uboga, byłaby tylko ciężarem dla męża, ale na szczęście może mieć fortunę znaczną nawet. Panna Karolina myślą tą żyje od dwóch lat, t. j. od czasu, kiedy zmarł jakiś daleki dziadek Antosi. Po przeczytaniu dzisiejszej kartki adwokata jest prawie pewną, że proces wygrany!

Ten trzpiot Ławicki, to też jej uczeń dawniejszy! Zdolny był hultaj; gamy porządnie zagrać nie umiał, ale mazurki i walce na jej cześć układał... Sześć lat go uczyła po to tylko, żeby jej teraz dokuczał.

— Oddaj mi pani moich sześćset sześćdziesiąt sześć godzin, panno Karolino! — woła, ile razy ją na ulicy spotka.

Poczciwy chłopak! Kolega jej Jasia i Stasia, sam ofiarował się prowadzić proces Antosi; wprawdzie z początku drwił sobie z całej tej sprawy:

— Dudkę na kościele wygramy, panno Karolino! Rudawicki, to bodaj krewny Antosi po Adamie i Ewie, a że, jak pani wiadomo, potop powszechny przerwał wszelkie koligacje z tej oddalonej epoki, więc nie wiem, czy się uda węzeł pokrewieństwa nawiązać. Spróbuję, od tego jest prawo, żeby istniało bezprawie. Wszak i pani najprawniej w świecie okradłaś mię z sześciuset sześćdziesięciu sześciu najlepszych godzin mego życia!

Ławicki drwi sobie z całego świata, ale jest uczciwy i rozumny, ma przytem swoje dziwactwa. Kiedy pierwszy raz przyszedł do niej po dokumenta niezbędne do procesu, oglądał izdebkę jak lichwiarz albo komornik.

— I w tej ciupie znalazłaś pani miejsce dla sieroty! — rzekł w końcu. Doprawdy, panno Karolino, chęć mię bierze darować pani moje sześćset sześćdziesiąt sześć godzin. Niech już będzie między nami kwita!

Pannie Karolinie spadł kamień z serca, gdy sprawę w jego ręce oddała; wiedziała bowiem, że będzie jej bronił jak swojej własnej. Sprawa była zawikłaną, proces mógł potrwać lat kilka.

Żebym przynajmniej mogła umrzeć spokojnie — powtarzała w duchu panna Karolina.

Rozpieściła tę dziewczynkę, zmarnowała ją prawie dobrowolnie, pielęgnowała, jak cieplarną roślinę. W przeciągu pięciu lat dla niej pięć razy zmieniała mieszkanie, aż w końcu znalazła suchą, ciepłą izbę na przedmieściu z oknami na ogrody i pola; stąd trochę nieba, drzew i słońca widać było. Dziewczyna rosła, wyładniała, miała lat czternaście i dotąd zaledwo nauczyła się czytać i pisać; do roboty i do nauki sił brakło...

Warto ją było od śmierci ratować! — powtarzała w duszy panna Karolina. Miała żal do siebie, że nic więcej nad to, co robiła, zrobić nie mogła.

— Żeby jeszcze chociaż lat kilka przetrwać... ale tej sztuki bodaj już nie dokażę.

Nogi puchły, z sercem było coraz gorzej; wprawdzie z jednego końca miasta na drugi przerzucała się prawie bez zmęczenia, ale na schody wchodziła z coraz większą trudnością. Tylko cera wciąż kwitła, niebieskie oczy śmiały się wesoło, a w jasnych włosach siwizny ani śladu! I energja nie upadała. Dziś jeszcze, jak przed trzydziestu laty, mogła pracować od rana do nocy. Na wszelkie mniej lub więcej wyraźne oznaki współczucia podrzucała ramionami z wesołym uśmiechem. Głupi ludzie! Ona by tylko swoje spuchnięte nogi i chore serce zamieniła chętnie, ale więcej nic! Żeby znowu zaczęła żyć od początku, żyłaby tak samo, jak teraz żyje!

Dziś nawet bólu w nogach nie czuła, biegała z lekcji na lekcję, jak w gorączce; serce to zamierało, to znów biło jak młotem, na policzkach miała silne rumieńce, oczy błyszczały, w roztargnieniu nie słyszała prawie ani jednej nuty.

— Czyżby to była prawda? czyżbym ja dziś jeszcze mogła być tak szczęśliwą? — powtarzała w duszy, licząc takt i wskazując nuty drżącą ręką.

Parę razy chciała zwrócić z drogi i biedz do adwokata, bała się, że go w domu nie znajdzie. Dzień był nieskończenie długi; na ostatniej lekcji miała gorączkę; żółte i czerwone nuty skakały przed oczami, serce drgało, to zamierało kolejno, ogarniał ją dręczący niepokój.

— Niema racji warjować przed czasem — szeptała drżącemi ustami — zwarjuję z radości... albo... Machnęła ręką nieznacznie; dla siebie osobiście zawiedzionej nadziei nie bała się wcale.

— Panna Karolina wygląda dziś jak narzeczona — żartował stary profesor, emeryt — spoglądając w jej twarz rozpromienioną. A cóż, może?... Ale byłby to straszny afront dla mnie! Stary żołnierz zawsze zna lepiej służbę, niż młody, no i wiary łatwiej dochowa na starość.

Zaśmiali się oboje. Ona mu zeszłej zimy zrobiła sześć par wełnianych skarpetek; odtąd żartobliwie nazywał ją swoim ideałem. Miał ośmdziesiąt lat i dwie wnuczki dorosłe.

Skończyła się ostatnia lekcja... Panna Karolina wiedziała, że Ławicki przed ósmą nie przyjdzie. Spieszyła jednak, żeby jak najprędzej dostać się do domu. Był mroźny księżycowy wieczór, na ulicach prawie pusto. Szła coraz prędzej, ale droga wydłużała się dziś jakoś bez końca. Pierwszy raz przyszło jej na myśl, że może za daleko mieszka. Nie pomyślała o tem, szukając izdebki suchej, ciepłej dla swojej dziewczyny. Na rogu ulicy oparła się plecami o ścianę.

— No, proszę, więc to tak działa nadzieja — szeptała z wesołym uśmiechem, przyciskając mocno ręce do serca. Odpoczęła chwilę i poszła dalej, zatrzymując się co kilka kroków.

— Jeden taki dzień pochłonął więcej sił i zdrowia, niż rok spokojnej, ciężkiej pracy! Głupio robię, że się poddaję wrażeniom. Ale jeżeli to prawda... jeżeli moja biedna dziewczyna będzie miała zabezpieczone jutro: no, to z radości nawet umrzeć warto!

Reflektowała się chwilami, ale raz rozbudzona nadzieja nie dała się ująć w karby. U drzwi mieszkania siły ją opuściły... Z ręką na klamce stała czas jakiś, oddychając z trudnością.

W pokoju, na środku paliła się lampa na stole, samowar szumiał przy piecu; na łóżku spała Antosia, przykryta ciepłą chustką; w ciemnym kącie, przy komodzie krzątała się stróżka, przygotowując szklanki do herbaty; ujrzawszy wchodzącą pannę Karolinę, wysunęła się za drzwi cichaczem. Panna Karolina zdejmowała zwolna paltot, kapelusz; ręce i nogi ciążyły jak ołowiane. Znała

ten stan, powtarzało się to nieraz; dziś jednak zanadto ją zmęczyło wzruszenie; zataczając się, przeszła z ciemnego przedpokoju do izby.

Na stole obok lampy leżał list; od progu już wpatrzyła się w niego badawczo: poznała pismo Ławickiego. Ból, odrętwienie znikły, krew uderzyła do głowy. Otworzywszy kopertę, jednym rzutem oka przeczytała: „Nie mam czasu ani chwili, zaledwo jutro wieczorem mógłbym wpaść do pani, nie chcę jednak zwlekać z zawiadomieniem o wcale pomyślnym rezultacie naszego procesu: mała ma już w kieszeni piętnaście tysięcy rubli, a drugie tyle otrzyma po sprzedaży majątku. Ha! czasami i ślepa fortuna umie płatać mądre figle! O szczegółach jutro".

List wypadł z ręki. Panna Karolina usiadła na krzesło. Łzy miała w oczach, chciała zawołać Antosię, głos ugrzązł w gardle.

— A więc to prawda! — szepnęła w duszy — więc to prawda!...

Oparta plecami o poręcz krzesła, z rękami na kolanach siedziała nieruchoma, wpatrzona w list, leżący przed nią na stole... Więc to, o czem marzyła przez lat tyle, sprawdziło się nareszcie!... Dziwna rzecz, jak wszystko w jej życiu składało się szczęśliwie! Sierotą w dzieciństwie zaopiekowali się dobrzy ludzie... Potem odrazu dostała dużo pracy. Rok jeden był smutny, ciężki... najpiękniejszy rok w jej życiu... Świat cały uśmiechał się do niej... nazywano ją wówczas „różyczką"... kochała!... Tak to już dawno, a każdą godzinę z tego roku pamięta... Szczęście trwało kilka miesięcy. Najsmutniejszy koniec łagodziło to przekonanie, że i ona, będąc na jego miejscu, może tak samo-by postąpiła... Ożenił się z kobietą dobrą, rozumną... bogatą! Ratował rodzinę i majątek... Kiedy ból pierwszy minął, życzyła mu szczęścia... wprawdzie ze łzami w oczach!

Po tym to roku coś się tam w sercu zepsuło... Późniejszy spokój i zadowolenie już tego naprawić nie mogły... A miała tyle chwil szczęścia z powodu tych swoich chłopców! Podjęła z nędzy, niemal od śmierci głodowej uratowała, i z tych zbiedzonych, zmarniałych dzieciaków tacy ludzie wyszli! Uczciwi, pracowici, zahartowani!... Ile to razy ona łzy szczęścia miała w oczach, myśląc o swoich chłopakach!

A teraz... Oh, straszne jakieś gorąco rozlało się w piersiach, przymknęła oczy, ociężała głowa opadła na poręcz fotelu.

W ciszy słychać było lekki oddech Antosi; lampa gasła, smugi księżycowego światła, zaglądające przez okna, rysowały się na podłodze coraz wyraźniej...

Sen ją ogarniał. Z przed oczu znikał stopniowo zmrok srebrzysty, miejsce jego zajęła słoneczna przestrzeń! Uśmiech błogi zastygał na ustach... było jej tak lekko, jak tylko w śnie rozkosznym być może... Chore, sterane pracą jej ciało zostało w spokoju; młoda, silna dusza rozpłynęła się w słonecznej atmosferze.

Z takiego snu budzić się nie warto!

Warszawa. *Ostoja (Józefa Sawicka).*

JÓZEFA TURNOGRADZKA.

Jednocześnie, gdy u nas plejada entuzjastek szlachetnym świeciła blaskiem, na południu Słowiańszczyzny, w ojczyźnie Wodnika i Blajwajsa, zajaśniał niezwykły talent kobiecy. Pojawienie się wyjątkowej, w różne kierunki rostrzelonej twórczości ducha zelektryzowało Słoweńców. Wspomniany wyżej prowodyr ówczesnego narodowego ruchu, Blajwajs, redaktor słoweńskiej „Pszczoły", Janežic, poezji i polityce oddany Wawrzyniec Toman, słowem: cała garstka ówczesnych patrjotów zwróciła uwagę na utwory podpisane nazwiskiem Józefy Turnogradzkiej. Ruch wywołany działalnością Blajwajsa znalazł odbicie w sercu szlachetnie myślącej Słowenki. Patrjotyczna pobudka, porywająca swoją nutą młodzież, i ją zachęciła do pracy. Turnogradzka, właściwie Józefa Urbanczycówna, pierwszym utworem zdobyła sobie uznanie [1]). Talent niezwykły obok bogactwa i świeżości fantazji ujawniał głęboką znajomość serc i charakterów ludzkich. Nikt początkowo w zajmujących ogół powieściach i poezjach nie domyślał się wieku osiemnastoletniej autorki. Ten wonny, południowy kwiat, wyhodowany pieszczotą rozumnej i kochającej matki, wykołysany słowiańską pieśnią i legiendą, przyszedł na świat w roku 1833, w miasteczku Turno w górnej Krainie. Od nazwy rodzinnego miasta przyjęła Urbanczycówna pseudonim, pod którym znaną była wyłącznie. Zdumiewające zdolności dziecka skłoniły rodziców do oddania jej na wyższą pensję. Lecz schematyczny plan nauk nie był dostatecznym dla umysłu, który z dziwną subtelnością odczuwał piękność w klasykach starożytności, lub poił się świeżą poezją Słowian. Turnogradzka rozwiązywała najtrudniejsze zadania matematyczne, z całem zamiłowaniem studjowała nauki przyrodzone, języki słowiańskie, a przytem słynęła jako biegła pianistka i kompozytorka pieśni. Z wiedzą, nabytą w krótkiej, gorączkowej pracy, z wrodzonym darem poezji, łączyła wszystkie cnoty i powaby niewieście. Piękna, wyniosłej postaci, jak pisali o niej współcześni, wdziękiem i dobrocią ujmowała wszystkich. W osiem-

[1]) Drukowany w wychodzącej w Celowcu słoweńskiej „Pszczole".

nastym roku życia wyszła za mąż, za poetę i patrjotę słoweńskiego, Wawrzyńca Tomana. Najczystsza, najszlachetniejsza miłość połączyła dwa, w jednym kierunku i dla wspólnych celów bijące serca. Gdy mąż, oddany polityce, kruszył kopję w obronie praw i swobód Słoweńców, żona pieśnią lub powieścią entuzjazmowała czytelników. Analiza serca ludzkiego, dzisiaj specjalność powieści, już przed czterdziestu laty zajmowała umysł słoweńskiej pisarki. Jakby w przeczuciu rychłej śmierci, Turnogradzka tworzyła gorączkowo, z jednej pracy przerzucała się w drugą. Stąd wiele powieści i poezji zostawiła w rękopisach, podobnie jak i tragedję oraz operę, z której pełne oryginalności melodje wysoko stawiali znawcy. Wszystko, cokolwiek wyszło zpod jej pióra, było niezwykłe, oryginalne, jak niezwykłą była cała jej organizacja, której pojawienie się jest jedną więcej psychiczną zagadką. Talent Turnogradzkiej porównać można ze zmarłą niedawno Julją Hasdeu, tylko, że echo piszącej po francusku Rumunki krytyka francuska rozniosła daleko.

Pisząca dla swoich Słowenka, wśród swoich znaną i cenioną była. Gdy śmierć w 21 roku życia wyrwała ją z objęć ukochanych, szczery żal odbił się w sercach i piśmiennictwie Słoweńców. Szkoda tylko, że na dorobku będące społeczeństwo nie miało dość zasobów i czasu zająć się jej literacką spuścizną. Mąż poetki, Wawrzyniec Toman, nosił się z tą myślą, lecz i on zawcześnie opuścił na wieki kraj i ziomków swoich. Józefa Turnogradzka jak meteor zabłysła w blizkości Sawą oblanych stóp Triglawu, i jak meteor zgasła w Gracu.

Kalisz. *Melanja Parczewska.*

KALECY.

Pogodny dzień lata, czyste powietrze, pełne woni kwiatów, dalekie widne horyzonty. Rozmawiając z mędrcem, wyszliśmy za bramę ogrodu. I oto u bramy ujrzeliśmy człowieka, który, pozbawiony nóg od urodzenia, rączo posunął się ku nam, opierając się naprzemian, to na dłoniach, to na tułowiu.

Bodajeście przepadli! — wołał ze złością, — wspomóżcie biednego kalekę!

Zadziwiły nas te słowa i prośba połączona z przekleństwem. Niektórzy poczytali go za warjata lub idjotę. A jednemu z nas przyszły na myśl słowa mędrca, dopiero co usłyszane, że wszelka wiedza i świadomość jest owocem porównania, chcąc więc sprawdzić, czy to twierdzenie nie poda klucza do rozwiązania zagadki, zapytał żebrzącego człowieka:

— Czemu prosisz złorzecząc? porównaj słowa twoje.

— Bodaj was, że was widzę! — odrzekł tenże; — gdybym znał tylko brata i siostrę, którzy także są bez nóg, jak ja, to-bym o kalectwie naszem nie wiedział. Ale widzę was, i wiem teraz, żem kaleka, wiem, niestety!

I przy tych słowach zasępił się i smutnie zwiesił głowę.

— Pociesz się — rzekł mu wtedy Mędrzec, — pociesz się i nie złorzecz nam, bo ty, ujrzawszy nas, kalectwo twoje przynajmniej poznałeś, a my naszego poznać nie możemy. Nie możemy poznać w czem ono polega, bośmy nie spotkali człowieka, któryby odeń był wolnym. Nie brak nam nogi ani ręki, nie brak wzroku i słuchu i wszystkich pięciu zmysłów: toż nie wiemy, że na innych gwiazdach żyjące istoty mieć mogą członki o tyle doskonalsze od naszych, jak nasze od twoich, i że zamiast naszych pięciu, dziesięć zmysłów mieć mogą, a każdy z tych zmysłów odsłania im światy tak osobne, jak nam wzrok i słuch i powonienie i smak i dotykanie...

I zapytał jeden z nas Mędrca, niedowierzając: — Jakież zjawisk światy ogarniałyby te istoty swemi dziesięciu zmysłami, skoro naszych pięć wystarcza, aby wszystkie ogarnąć zjawiska?

A Mędrzec odrzekł mu wtedy: — Czy wiedziałbyś, ty, kaleko, że róża pachnie, gdybyś nie miał powonienia? a róża pachniałaby przecie. Czy wiedziałbyś co o świetle, gdybyś był ślepym, a światło jednak świeciłoby, jak świeci. Pięciu zmysłami swemi ogarniasz te tylko zjawiska, do których odczucia te zmysły sposobne. O innych nie wiesz wcale, nie usłyszysz okiem, ani uchem nie ujrzysz. A więc nie mów, że po za światami tych zmysłów, już innych zjawisk i światów niema; dla ciebie ich tylko niema, boś ty kaleką...

A gdy to mówił Mędrzec, żebrak podniósł z ziemi kamień i rzucił w krzaki poblizkie. Zerwało się z krzaków ptactwo i, fruwając nad naszemi głowami, wzleciało w górę. A żebrak zwrócił się ku nam ze śmiechem:

— Ulećcie za niemi, kalecy!

Kraków. *Mieczysław Pawlikowski.*

* * *

Porządek, ład, są podstawą wszelkiego dobra i piękna, rękojmią ich trwałości; bo niczem nauka, niczem talenta, niczem najwznioślejsze porywy... gdzie niema ładu; bo tylko ładem dźwignąć się zdoła, co nieładem padło.

Lwów. *Edward Pawłowicz.*

EPILOG.

— „Syn Jerzego?“

— „Tego samego, który z bratem pańskim w jednej mogile spoczywa!“

Po ćwierćwiekowem rozproszeniu stanęli znów obok siebie, złączeni jednych pamiątek i uczuć pierścieniem. Zdało mi się, iż widzę obrazy nowego lat szeregu, lat ciężkiej pracy, znoju, cierpień gorzkich nieraz zawodów, zawsze promieniami nadziei ozłoconych...

Znalazłem się wśród piaszczystego rozłogu, ujętego w ciemne boru półkole... Poznałem to miejsce, choć teraz wielce zmienione. Pagórki nie świeciły już, jak dawniej, nagiemi czołami; darnina, zioła i kwiaty maiły je barwną zielonością; tu i owdzie oko spoczęło na wieńcu z dębowych liści lub krzyżu z nieśmiertelników. Wydeptane gęsto ścieżki, gdzieniegdzie rzucone wiązanki leśnych, polnych i ogrodowych kwiatów, świadczyły, że pustka ta bywa życia przybytkiem.

Nie omyliły mię przeczucia, zdala bowiem lekkie podmuchy wiatru donosiły urywane, a coraz częściej w melodję zlewające się dźwięki. Od rzeki i ciemnego wianka sosen ukazały się zastępy Korczyńskich, Bohatyrowiczów, Jaśmuntów, Zaniewskich, Obuchowiczów, Łosiewickich, Dowmuntów, Różyców, Giecołdów, Strzałkowskich, Glindyczów, Kirłów, Starzyńskich, Darzeckich. Szli poważni, z opromienionem obliczem, a gdy zatrzymywali się, każdy z nich miał postawę człowieka, co stanął w progu kościoła i wpatruje się w ołtarz. „Przy nich żony i matki, jak anioły ich dziatki i jak róże nadobne dziewoje“.

Z męskich piersi zabrzmiał hymn potężny:

„Wiecznotrwały ten na ziemi,
„Kto swą śmiercią życie pleni!...

a echo niosło śpiew ten po szerokim świecie.

Umilkli... Gromadki rozsypały się między wzgórkami. Nikt tam bardzo

głośno nie mówił, ale wszyscy rozmawiali, i zrobił się taki gwar, jak kiedy wiele razem rojów brzęczy.

Przy jednym ze wzgórków stanęły dwie dobrze mi znane postacie... Wyniosła, choć lat brzemieniem pochylona, niewiasta i piękny, w sile wieku, mężczyzna. Ten, uginając kolana, mówił:

— Matko moja! w chwilowem odrętwieniu jam święte lekceważył węzły — jam was opuścił, wzgardził, lecz Tyś nie zwątpiła o synu Andrzeja! Po wszechziemiach, po wszechwodach, na skał wyżynach, na fal błękitach, wszędzie czytałem Twe słowa: „jak tchórz uciekasz z szeregów... jak samolub nie chcesz łamać się chlebem cierpienia... kawał Chrystusowej szaty rzucasz za srebrnik!“... Matko, oto wracam! przychodzę temu samemu bóstwu, na którego ołtarzu zgorzał ojciec mój, z życia mojego złożyć ofiarę!...

— Zygmuncie! wyszeptała kobieta — jam tak gorąco błagała Boga, by ojca twego duch wskrzesnął w tobie! Zygmuncie! Ty pomnik ojcu dźwigniesz niespożyty!

Przy innym znowu wzgórku poznałem Witolda, w towarzystwie dwu nieznanych mi młodzieńców. Jeden z nich, cisnąc dłoń jego, przemawiał!

— Myśmy nie mogli pozostać obcymi, nie mogli zerwać tej spójni!

— Bracia moi! odrzekł Witold — potężna burza ojca waszego na obce rzuciła brzegi! Chwilę zdawało mu się, że pokój znalazł trwały! Nie! Siła większa oczy jego ku mogile Andrzeja zwracała! Dziś odrodzony mój ojciec ma obok siebie brata Dominika, wy jego synowie, w nas rodzinę znajdujecie! Więc ramię do ramienia! Janku! — zawołał — Janku! powtórz nam znowu, powtórz raz jeszcze swego dzieciństwa drogie wspomnienia! Zygmuncie! do nas! tu do nas tu bądźmy razem! Twój i Janka ojciec w tem miejscu po raz ostatni, błogosławiąc, rozstawali się z wami! tu razem wszyscy oddajmy cześć ich pamięci!...

. . . . . .

Wzniosłego umysłu, wielkiego serca, nieugiętego hartu kobieto! Cześć Ci!

Warszawa. *Adolf Popłowski.*

MIŁOŚĆ W PIEŚNIACH LUDU SIERADZKIEGO.

Charakter ludu jest przedmiotem tak mało jeszcze badanym, że w istocie można go nazwać polem leżącem bez żadnej uprawy; pieśni bowiem, obrzędy, baśni i podania są to rzeczy często spisywane i opisywane, charakter wszakże ludu, jego uczucia i poglądy stanowiły dotąd pewną tajemnicę dla badacza; wielu bowiem, mimo, że ceniło wytwory poetyczne ludu, do wieśniaków wogólności miało pewne uprzedzenie. Dziś wiemy już w części, iż wieśniak posiada uczucia nam podobne, że poetyczność jego, chociaż czasem szorstka, płynie z serca, a miłość, uczucie owo, które przez wszystkie wieki było przedmiotem marzeń młodzieńczych, jest także własnością i wieśniaka. Kocha on całą potęgą uczucia, kocha prawdziwie, a miłość swoją upamiętnia w piosnce. I cóż w tem dziwnego? wszakże miłość jest poematem wszechludzkim. Kto jednak pragnie poznać miłość naszego ludu, musi wprzód poznać przedmiot jego miłości, więc spojrzeć na dzieweczkę wiejską.

Nie sądźmy, aby wieśniak w wyborze piękności był wybredny; hoże, rumiane lica są bodaj największą ozdobą wieśniaczki, a Parys wioskowy pewnoby berło pierwszeństwa przyznał najrumieńszej i najsilniejszej z grona. Posłuchajmy pieśni:

Marysia z sieni wybiegła,
Pod nią ziemia drży,
Na niej suknie szeleszczą,
Koło pasa dźwięczą klucze,
Koło pasa zielonego złote klucze.

Rzadko która dziewczyna chce poprzestać na swym losie; każda z nich ma nadzieję, że, jak w bajce, prędzej czy później spotka ją jaki królewicz i ofiaruje jej rękę; być może, iż tym zamkom na lodzie niejedna wiejska pię-

kność zawdzięcza smutną dolę Halki; to też pieśni tutejsze często wspominają o miłości kończącej się tragicznie.

Gdy dziewczęciu minie szesnasta wiosna, gwałtem pragnie ono wyjść za mąż; oto parę piosenek, malujących chęć pokochania, a także pragnienie zamążpójścia:

Nie uważaj, Zosiu, chociaż w piekle parzy,
Kochaj młodych chłopców, ilu ci się zdarzy.

Nie dbam ja o pałac, choćby malowany,
Byle mnie poślubił mój Jasio kochany.

Uderzył koniczek nóżką o podłogę;
Tyś o mnie zapomniał, ja ciebie nie mogę!

Z góry woda idzie, na dół się obraca;
Nauczyć się kochać, to najmniejsza praca.

W każdym razie dola dziewczyny wiejskiej jest najwdzięczniejszą i najszczęśliwszą zarazem; naturalnie, mowa tu tylko o dziewczęciu żyjącem u rodzonej matki, ale nie u macochy; od piętnastego roku życia wiochna zaczyna pracę około lnu; pracy się tej wszakże nie lęka, a z przędziwem łączą się najmilsze wspomnienia wieśniaczki.

Koło zapalonego łuczywa zbierają się dziewki z kilku chat z kądzielami, przyłączy się do nich kilku parobków, i oto szereg śmiechów, gawęd, pieśni; starzy gderają niby z kąta, że robota leniwo idzie, lecz sami radzi wmieszać się do gawędy i odświeżyć jakiemś miłem wspomnieniem. A żniwa letnie, dożynki, zbiór siana, to znowu cały raj uciech, któremi się poi nierozgorączkowane chorobliwie serce dziewczyny. Wszystko to wiochnę naszą bawi i cieszy, a jednak w skrytości tęskni ona za chłopcem i marzy o wianku i koronie ślubnej. Dlaczego? Od dziecka mówiono jej, iż wyjść powinna za mąż tak samo, jak uczyniła to babka jej i matka, a może już niejedna jej rówieśnica; pragnie więc zajrzeć w świat ten nowy, nęcący, jak wszystko nieznane; a zresztą kto wie, może to konieczna potrzeba serca, jednaka dla wszystkich klas społeczeństwa. Wszak mówią: „miłość, to prawo boże; mężczyzna może żyć, nie kochając, lecz kobieta musi chociaż raz w życiu pokochać".

Dudni woda, dudni w murowanej studni;
Pokochać się łatwo, lecz odkochać trudniéj.

Kto miłości nie zna, staje się szczęśliwy:
I noc ma spokojną i dzień nie tęskliwy.

Kochanie, kochanie gorzej jak więzienie;
Z więzienia wyzwolą, z kochania nie zdolą.

Miłość ludowa nie lubi słów pieszczotliwych, nie karmi się komplimentami; a jednak lud, jak wspomniałam wyżej, kochać silnie potrafi. Bez „miłego", pieśń wspomina, ciężko żyć nawet i w rodzinnych stronach". A wiemy, czem jest rodzinne miejsce dla naszego wieśniaka. Kochance, opłakującej lubego,

smutno żyć na świecie; porównywa się ona do „bylicy, rosnącej samotnie wśród pola, bez rosy i słońca".

Wieśniak nie zapomina o świecie zewnętrznym w swej pieśni, nawet miłosnej; zwierzęta niemałą w niej rolę grają, a przed wszystkiemi koń; to też z lubością o nim nuci:

Cisawy koniczek na nogi skaleczał;
Już ci się nie będę, dziewczyno, zalecał.

Siwy konik, siwy, zielone popręgi;
Kochajcie mnie dziewki, bom ja chłopiec tęgi.

Czasem luby obiecuje dziewczęciu z pola bitwy przez konia przysłać wiadomość o sobie; innym razem dziewczę, ujrzawszy przed chatą konia, powracającego bez pana, umiera z rozpaczy.

Kogut zaś, to zegar i pobudka do pracy lub spoczynku wieśniaka; również pewne znaczenie posiadają: skowronek, sroka i inny rodzaj ptasząt, o których wieśniak często w miłosnych piosnkach śpiewa:

Luba kukaweczka smutnie wykukała,
Żeś ty, Jasiu, zwodził, jam ciebie kochała.

Na zielonej łączce skacze sobie sroczka;
Spodobały mi się u Marysi oczka.

Szczebiocze skowronek, jak w górę wyleci;
Ja cię, Janku, kocham przeszło roczek trzeci.

Śpiewają słowiki, chociaż w mrocznej nocy;
Kochaj mnie, dziewczyno, bo to w twojej mocy.

Śpiewa słowik, śpiewa, gdy w leszczynie siada;
Rumieni się dziewka, gdy z chłopczyną gada.

Na wysokiej jodle gołąbeczek siedział;
Jabym cię kochała, aby nikt nie wiedział.

Prócz zwierząt, rośliny, a głównie drzewa, posiadają u ludzi każde legiendę swego powstania oraz związek z wypadkami przeszłości; nie powinno nas to jednak dziwić; legiendy te bowiem pozostały, jako wspomnienie dawnej mitologji Słowian; w jednej pieśni lud śpiewa, jako piorun uderzył w serce dębu i krew zeń popłynęła; jodłę nazywają wieśniacy zwiastunką ziemi; w gęstych wierzchołkach klonu kryją się duchy łagodne. Mężczyzna opiewa zwykle drzewa, kobieta — kwiaty i zioła. Ruta jest godłem dziewictwa, a róża, stokrotki, niezabudki, lilje wodne, to wszystko ukochane rośliny dziewczęcia wiejskiego, bo bez kwiatów nie pojmuje ona życia, bez kwiatów nie pojmuje miłości. Mnóstwo też w ogrodzie rozsiewa roślin, a stroi niemi ołtarze, chatę własną i siebie, a także obdarza niemi miłego.

Myliłby się, ktokolwiekby mniemał, że dziewczę północy silnie, tak jak córa południa, czuć nie umie; przeciwnie, tęskne marzenia naszej wiochny śmiało

mogą współubiegać się z najsilniejszym przejawem uczuć mieszkańców stref południowych. A nie rzadko w piosence odnajdujemy tak gorące słowa miłości, jakby z ust Romea i Julji płynęły. Posłuchajmy, co mówi piosnka:

Leć, głosie, po rosie, prosto ku traktowi,
Powiedz dobry wieczór memu kochankowi;
Powiedz dobry wieczór, kłaniaj się odemnie;
Zali on mnie kocha, ja jego wzajemnie.
Widzę ja zdaleka siwego konika:
Pamiętaj, pamiętaj, ja dla ciebie żyję,
Ja dla ciebie żyję, dla ciebie umieram,
Dla cię świat zamykam, grób sobie otwieram.

Jako humorystykę miłosną ludu przytoczyć-by można tysiączne odmiany pieśni; parę ich tu podaję:

Pani matka zakazała,
Żebym chłopców nie kochała;
A ja się w tem nie poprawię,
Bo się z nimi rada bawię!

Wody nie przepłyną,
Dziewczęta nie zginą;
Zawsze będzie taka,
Co mi da buziaka.

Góry się rozpadną,
Chłopcy nie przepadną;
Zawsze się narodzą
I dziewczęta zwodzą.

Świeci miesiąc, świeci,
Świecą też i gwiazdy;
Każdy się zaleci,
Nie ożeni każdy.

Na zakończenie nie mogę się powstrzymać od skreślenia uroczego podania, zasłyszanego z ust ludu; odszuka w niem badacz śladów mitologji, a przynajmniej pozna, chociaż w części, bujną a poetyczną naturę naszego wieśniaka.

Leśny strzelec biegł lasem i nagle, znalazłszy się w oddalonej puszczy usłyszał kwilenie dziecięcia; ogląda się dokoła i spostrzega nareszcie na niewielkiej wysokości związane wierzchołki dwóch brzóz, a w nich uwite gniazdko, gdzie leżała płacząca dziecina; przestrach ogarnął człowieka, ale żałość przewyższyła to uczucie: zbliżył się do gniazdka i ujrzał wyskakującą z niego wiewiórkę, która widocznie spała obok leżącego niemowlęcia; strzelec domyślił się, że jest to czarownica, przemieniona w wiewiórkę, aby schwycone ludziom dziecko wychować między niebem a ziemią, na wierzchołku drzewa. Wieczór się zbliżał: oznaczywszy tedy toporkiem, gdzie spotkał tajemnicze gniazdko, powrócił i opowiedział zdarzenie to żonie; ta, ponieważ nie miała dzieci, postanowiła na drugi dzień rano zabrać do chaty dziecinę, bo wiedziała od dziadów,

że kto sierotę przygarnie do siebie, temu błogosławieństwo dom nawiedzi, a za dziecięciem zjawi się nieznacznie jędza, która przysporzy dostatków i dobrobytu w domu. Była to wigilja św. Jana; małżeństwo poszło do lasu i postanowiło zabrać niemowlę; kiedy dochodzili wiadomego miejsca, doleciało ich uszu straszne syczenie i kipienie wężów, a skoro strzelec rozgarnął gałęzie dla wydobycia dzieciny, z przestrachem ujrzał wielki kłąb wężów, wijących się gromadnie; kłąb ten był tak wysoki, jak dobra kopa siana i wił się tuż pod gniazdeczkiem dziecięcia tak, że czasem otaczały całe gniazdo węże. Król wężów, w złocistej koronie, przewijał się w tym kłębie, a kiedy się posunął, to cały kłąb toczył się za nim z przeraźliwm sykiem. — Uciekajmy, zawołał po chwili strzelec do żony; znać król wężów odbierze jędzy dziecko; nie dla nas sierotka. — Czekajmy, rzekła żona, dziecię pozostać tu nie może. — Przesiedzieli tedy w ogromnym strachu do północy; skoro nadeszła, błyskawice rozświetliły niebo, pioruny poczęły uderzać, wkońcu wszystko ucichło; z trwogą w sercu małżeństwo przybliżyło się znów do gniazdeczka i ze zdziwieniem ujrzało, że wężów już nie było, a tylko wiewiórka chyżo skakała niedaleko gniazdeczka, a w niem leżało prześliczne dziecię z otwartemi oczkami i rozkosznie uśmiechało się do siebie; dobrze znać mu jędza wysłała gniazdeczko, mchy były miękkie i suche ziółka wonne, a jakie puchy ciepłe i rozkoszne! żaden ptaszek nie uściele piękniej pisklęcia. Żona strzelca, ujrzawszy urocze zjawisko, rozpłakała się, bo tylko w kościele na ołtarzu widzieć można tak piękne aniołki, takie to było białe, śliczne, a włosięta kręcone, że tylko się chciało patrzeć i patrzeć nieustannie. Odtąd dziewczynka rosła swobodnie w chacie, cudna i mądra; oczy miała czarne, niby węgle płomieniste, włos falujący, jasny, a wszyscy ją kochali i każdy słuchał, choć była młoda; dziecię przyniosło w dom błogosławieństwo, oraz dobytek i szczęście. Smutny wszakże był koniec dziewczyny. Kiedy dorosła lat szesnastu, nie wiedząc, że kochać jej nie wolno, polubiła całą duszą młodzieńca, a on nawzajem odpłacał jej gorącem uczuciem. Pewnego letniego poranku biegli razem, snując cudną przędzę marzeń; nad strumykiem rosły lilje wodne; dziewczę chciało sięgnąć po kwiatek; nagle ziemia się pod nią osunęła, plusk dał się słyszeć; młodzieniec wskoczył do wody, chcąc ratować ukochaną; daremnie, dziewczę przepadło bez wieści; tylko, wydostawszy się z wody, chłopiec usłyszał w przepaści szum straszny, niby syk wężów, a potem przeciągły śmiech, głośny a dziki. Odtąd co roku w wigilję św. Jana ujrzeć można płynącego wieczorem po strumieniu łabędzia i takie słychać słowa oddalonej piosenki:

Ha, przez ciemny bór,
A na biały dwór
Ptaszyna leciała;
A mnie Bóg nie dał
Tego, co mnie znał,
Com go pokochała!

Marnie ze świata
Zeszły me lata
I z krasotą moją!
Nie z wieńcem jadą,
Nie w trumnę kładą,
Lecz w zimną wodę.

Smardzew pod Sieradzem. *Ignacja Piątkowska.*

TACZKA LITERACKA.

My, publicyści, odczuwamy każde tętno życia społecznego, ubolewamy nad chorobliwemi jego objawami, gardłujemy za ośmiogodzinnym dniem roboczym, chwytamy w lot wszystkie projekty, mogące być w przyszłości przyczynkiem do ulżenia niedoli ludzkiej, oświetlamy je i rozwijamy, piętnujemy wszystko, co nosi na sobie dewizę: *homo homini lupus est.* Słowem jesteśmy rzecznikami niedoli i potrzeb wszech ludzkich. Tylko apatyczni jesteśmy dla siebie. Praca nasza w rozmiarach uciążliwości w niczem nie ustępuje pracy robotników w kopalniach węgla, fabrykach żelaza, zapałek, przędzalniach, tkalniach i t. d. Pracujemy po 12, 14 a nawet 18 godzin dziennie t. j. tyle, co najbardziej ograniczony w owych prawach robotnik prosty pracować może; zachodzi tylko ta różnica, że mięśniowa praca nie tak prędko wyczerpuje siły żywotne, jak umysłowa, pomimo, że organizm tej ostatniej kategorji ludzi lepiej jest odżywiany, niż pierwszej. Społeczeństwo nasze, jako zbyt mało rozwinięte intelektualnie i w ciężkich warunkach będące, nie może odczuwać potrzeb umysłowych w takim stosunku, jak społeczeństwa zachodnie.

Dlatego tam literaci opływają w dostatki i są nawet rentierami; my zaś nawet ich pachołkom pod tym względem dorównać nie możemy. Nie marzę, abyśmy byli rentierami, gdyż to się nie zgadza z mojem pojęciem o urządzeniach społecznych; pragnę tylko zabezpieczenia bytu tych pracowników na równi z polepszeniem warunków istnienia innych, żebyśmy się mogli tym sposobem ustrzedz wyrobnictwa, haniebnie zalewającego całą prasę i zniżającego jej poziom; żeby powieściopisarz nie był referentem działu politycznego lub sprawozdawcą z posiedzeń Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, historyk recenzentem teatralnym, estetyk kronikarzem; żeby pisarzowi poważnemu robota mechaniczna, jak wyciągi i przeróbki z pism obcych, nie pochłaniała wszystkiego czasu; żeby głębokie studja społeczne, filozoficzne, ekonomiczne, historyczne lub

z dziedziny nauk ścisłych, na które się składają długie szeregi dni i nocy bezsennych oraz kosztowne środki pomocnicze, były opłacane przynajmniej tak samo, jak wiadomości reporterskie (mamy szczodrą Kasę Mianowskiego, ta jednak daje tylko pożyczki lub niewielkie zapomogi na samo wydawnictwo dzieł naukowych, ale nie może wnikać w to, czy autor przez czas swoich studjów będzie miał co jeść). Mamy wprawdzie jeszcze kasę literacką, dającą pożyczki na dogodnych warunkach, ale nie mamy ani emerytury, ani tem samem kasy emerytalnej. Z chwilą choroby pracownika jego dochody ustają; literat płatny od wiersza w gorszem jest położeniu, niż ślusarz płatny od sztuki; bo ten ma kasę, z której dostanie zapomogę na doktora, lekarstwa i czas kuracji, a literat, przy dobrych stosunkach z pracodawcą, zaliczkę, której amortyzacja srodze się odbija na budżecie w przyszłości; dodajmy jeszcze „niezależne okoliczności“, które urywają często pracownikowi pióra 20—30 rs. miesięcznie i oto obraz niepewnego bytu. Stanowimy dziś poważną już liczbę, zajmujemy wybitne miejsce w społeczeństwie, a nie możemy swemi wpływami i zabiegami stworzyć instytucji finansowej, któraby podniosła wartość naszej pracy, ochroniła nas od wyrobnictwa i przyszłość nam zabezpieczyła. Ofiary systematyczne z naszej strony i udział pracodawców byłyby potężnym kamieniem węgielnym takiej instytucji.

Warszawa. *Zenon Pietkiewicz.*

NIECO O ISTOCIE KWESTJI KOBIECEJ.

Dużo u nas się mówiło i pisało o tak zwanej „kwestji kobiecej“ i sporo pod jej adresem naplotło się koszałek-opałek, a jednak pomimo, iż źródło jej wogóle tkwi w rozwoju społecznym okresu dzisiejszego, mało kto dotąd jeszcze rozumie u nas właściwą jej istotę, chociaż i nasze życie jest nieodłączną cząstką tego rozwoju. Zbliżano się do prawdy, łapano ją za ogon, czego rzeczowym dowodem może być niejedna powieść naszych wybitniejszych autorek, budzicielek „samodzielności kobiecej“. I przyznać im trzeba, że dając w ideałach powieściowych wyraz wymaganiom chwili, łapały istotnie prawdę za omyk, ale pomimo ich całej spostrzegawczości, on się wymykał, w palcach zostawało kilka strzępków sierści, z której trudno zgadnąć, co to za zwierzę? Pochodziło to stąd, że albo ręce były za krótkie, albo oko ćmiło się łzą starej sielankowości, albo nareszcie stąd, że chociaż ręka sięgająca kwestji kobiecej była dość długa, ale dłoń krępowała rękawiczka uszyta ze skórki różowo-błękitnych ekonomistów i socjologów. „Kwestję kobiecą“ zacieśniono więc do obrębu saloników drobnoziemiańskich i drobnomieszczańskich, nie wiedząc o tem, że ona w rzeczywistości jest czemś rozleglejszem; daje się porównać do rośliny niepodzielnej, mającej nietylko kwiat o tak ckliwej woni, jak „feminizm“ z p. Szeligą, jego kielichem, ale i łodygę, bujnie już rozrosłą na gruncie naszego życia, i liście, aż pożółkłe z dojrzałości. Jest rośliną, wijącą się nieprzerwanie po przez wszystkie piętra gmachu społecznego.

Zrodziła się ona u nas razem z upadkiem pańszczyzny i wtargnięciem w nasz organizm gospodarczy pieniądza, jako jedynego bodźca i kierownika wytwarzania, a maszyny, jako nieodzownego narzędzia produkcji towarowej, obliczonej na szybsze i rozleglejsze zaspokojenie spożywczości krajowej i rynków dalej leżących. Od lat trzydziestu, na wszystkich szczeblach społecznych, trwa proces rozkładu naszej „jednostki ekonomicznej“, t. j. rodziny, zarówno chłopskiej, jak rzemieślniczej, małomieszczańskiej itd. Cicha dotychczas i ustronna „komórka“ społeczna, wystawiona na potężne wpływy nowoczesnej gospodarki, przestaje być tem, czem dawniej była: skarbnicą cnót domowych, uprawianych

przez niewiastę-kapłankę. Darzono ją — a filisterstwo i obecnie darzy hojnie — zaszczytem kapłaństwa, ale ono miało i dziś jeszcze miewa inny sens życiowy: było zręczną hypnotyzacją mężczyzny-władcy, usiłującego odciągnąć uwagę swojej poddanki od jej właściwej roli. Rola ta zaś polegała na tem, że kobieta między jednym porodem a drugim pielęgnowała dzieci albo na wyłącznie domowy użytek: przędła, tkała, cerowała, szyła, chleb piekła, prała i pilnowała garnków. Dziś jeszcze większość naszych kobiet, zwłaszcza w sferze chłopskiej i małomieszczańskiej, pędzi żywot nałożnic, nianiek i kucharek.

Pierwotność techniki wytwórczej domowego przemysłu, obliczonego tylko na potrzeby członków rodziny, czyniła pracę kobiet mało wydajną, a więc przewlekłą, żmudną, mozolną. Nic przeto dziwnego, że póki życie kobiety upływało przy kołowrotku, krosnach, stępie, dzieży i w dreptaniu około statków kuchennych, żeby temu wszystkiemu podołać, musiała ona wytężać wszystkie swoje siły. Nic też dziwnego, że całkiem pochłonięta tak pracowitem „kapłaństwem", tem samem nie mogła swoim bytem nastręczyć realnego wątku do tak zwanej „kwestji kobiecej".

Ta „kwestja" — powtarzam raz jeszcze — zjawia się u nas w związku z dokonaniem reformy włościańskiej i rozkwitem produkcji wielkoprzemysłowej, jest więc z istoty swej najczystszym wytworem stosunków ekonomicznych, podległych ogólnym prawom rozwoju cywilizacyi tegoczesnej. To zaś, co o niej mówi się w piśmiennictwie naszem, jest tylko wtórnem, idejowem, lecz, niestety! półświadomem dopiero odbiciem. Przebieg jej dziejowy, przedmiotowo pojęty, odbywa się w następujący sposób: Zniesienie pańszczyźnianej zawisłości chłopa wciągnęło nasze rolnictwo w wir gospodarki pieniężnej i przywróciło setkom tysięcy bezrolnej ludności wiejskiej prawo swobody osobistej. Wraz z tem zapanowała era pracy najemnej i produkcji rolniczo-towarowej. Życie ziemiańsko-chłopskie, skostniałe ongi w powijakach patryarchalnego feudalizmu, zadrgało i potoczyło się szlakiem namiętnych wyścigów i walk zażartych o pieniądz. Pod jego wszechwładną dyktaturą musiały nastąpić głębokie zmiany i w cichej, ustronnej komórce społecznej — w rodzinie.

Pogoń za pieniądzem, jako jedynym środkiem gromadzenia zasobów na jutro, i zaspakajania potrzeb codziennych, wysunęła na pierwszy plan, z małemi wyjątkami, u nas prawie wszędzie, produkcję na sprzedaż. Ta zaś wywarła potężny wpływ, na społeczny podział pracy. Domowy przemysł kobiecy, uprawiany za czasów pańszczyźnianych pod strzechą kmiecą dla bezpośredniego spożycia i dziesięciny dworskiej, uległ także ogólnemu prądowi: przedzierzgnął się na równi z chłopskiem rolnictwem w wytwarzanie towarowe. Jednocześnie, z początku sztucznie, zawdzięczając bodźcom polityki protekcyjnej, później i organicznie, w następstwie rozpętania mocą aktu prawodawczego miljonowej rzeszy bezrolnej, która skutkiem tego stała się cennem zbiorowiskiem siły roboczej, zakwitnął u nas wielki przemysł maszynowy. Jednocześnie też z drugiej strony wysiliła się, również w kierunku produkcji towarowej, wielka i średnia uprawa roli. A punktem zbornym dla wytworów naszego przemysłu i rolnictwa bez różnicy jego kalibru wciąż jest rynek krajowy, wcale nie osamotniony, lecz stanowiący integralną cząstkę wymiany wszechświatowej i wywierającej na nią nacisk bardzo doniosły w następstwa. Kogo raz ten nurt zdradziecki porwie, ten tańczyć musi iście tańcem djabelskim: zręczność i siła przemódz muszą nieudolność i słabość.

Patrzmyż, co się dzieje.

W starciach współzawodniczych ziarna ziemiańskiego na rynkach krajowych z chłopskiem, a z amerykańskiem, indyjskiem, australijskiem i t. p. na ryn-

kach światowych, nieruchome dotąd majątki zaczęły żywo przebiegać z rąk do rąk. To gospodarcze trzęsienie ziemi zburzyło setki tysięcy „cichych“ komórek rodzinnych i przerzuciło je na bruk miejski, pomnażając niemi szeregi różnych warstw społecznych, najwięcej zaś urzędniczą. Chłopska rodzina zachwiała się także w posadach swoich. Przemysł kobiecy, tak pochłaniający swą wytwórczynię, o ile napotkał przyjazne warunki rozwoju, urósł w zyskowe źródło zarobku, o ile zaś nie mógł sprostać potędze wielkiego przemysłu, zniknął bezpowrotnie. Okazało się chłopu zbyt kosztownem odziewać się w samodział, kożuchy i płótno wyrobu domowego, od kiedy Łódź z Białymstokiem i t. d., taniemi tkaninami, a wielcy przedsiębiorcy wytworami kuśmierskiemi nawodnili jarmarki mało-miasteczkowe. Prastare krosna i kołowrotki ustąpiły miejsca tkalniom i przędzalniom parowym. Żarna i stępa także przestały więzić w domu kobietę, odkiedy przekupki jarmarczne zaczęły sprzedawać po cenach dość przystępnych t. zw. „legominy“ i mąki z młynów parowych lub wiatraków, kierowanych ręką męską. Tu i owdzie w okolicach podmiejskich nawet dzieża zamienia się w szaflik na pomyje dla trzody chlewnej i krów, od kiedy tuczenie wieprzów, wyrabianie nabiału i uprawa warzyw na potrzeby miasta rozwinęły się w korzystniejsze gospodarstwo kobiece, niżeli wypiekanie chleba prostackiego, który wybornie dziś zastępują piekarnie parowe pieczywem nierównie delikatniejszem. Zresztą zboże hoduje się także wyłącznie na sprzedaż, dla pokrycia ciężarów publicznych i długów lichwiarskich. Ku ostatecznemu utrapieniu sielankowych obrońców starodawnej roli kobiet, maszyna wielkiego przemysłu nietylko zdruzgotała krosna i kołowrotek, ale ręce obsługujące je dotąd wprzęgła do warsztatów przędzalniczo-tkackich. Co gorsza, ręce te, okrzyczane za nieudolniejsze i mniej wydajne od męskich, okazały się dla celów wielkiej produkcji maszynowej daleko pożądańszemi. Fabryki Łodzi, Tomaszowa, Pabjanic, Żyrardowa i Zgierza zatrudniają obecnie prawie tyle kobiet, co i mężczyzn. Istnieje w kraju naszym prócz tkacko-przędzalnianego, wiele innych jeszcze gałęzi przemysłu, gdzie praca kobiet znalazła lub wciąż znajduje szerokie zastosowanie. Dość nadmienić ceglarstwo, roboty budowlane i t. p., gdzie siła robocza niespecjalna kobiet, dostarczana przez włościaństwo upadające, jest bardzo poszukiwaną.

A kobiety klasy średniej niemajętnej, w znacznej swej części stanowiącej żywioł zrujnowanych ziemian i małomieszczan (córek majstrów, srednich kupców)? One także musiały wkroczyć do królestwa mężczyzny, stanąć na jego polach zarobkowych. Pod tym względem dokonały one szerokiego podboju. Telefonja, telegrafja, buchalterja, pedagogja, medycyna, a nawet piśmiennictwo i sztuka należą już u nas do posterunków dawno przez nie zdobytych.

Ma się rozumieć, że wobec tego nie może już dziś być mowy o powrocie naszych kobiet do dawnego trybu życia, jakkolwiek mocno to byłoby pożądanem przez niejednego filistra. Nowe siły społeczne, raz je wyrwawszy z ciasnoty ogniska domowego, poprowadzą je po drodze dalszego wyzwolenia. Ale ono stanie się całkowitem nie wcześniej, aż kwestja społeczna, której „sprawa kobieca“ jest tylko cząstką organiczną, zostanie rozwiązaną, nie w myśl wstecznictwa, usiłującego odwrócić lub powstrzymać logiczny bieg dziejów, lecz w myśl postępu socjologicznego, który pcha ludzkość ku ideałowi największej sprawiedliwości, zapewniającej jednostce ludzkiej na ziemi najszerszy, najpełniejszy rozwój ducha.

Warszawa. *Zygmunt Atanazy Pietkiewicz.*

TARANTULA-TARANTELLA.

Z niezliczonej ilości tańców religijnych, rycerskich, towarzyskich i obrzędowych, jakie w ciągu wieków padały kolejno pod ciosami groźnej królowej mody, kilka zaledwie powszechnej zdołały ujść zagłady. Większa ich cząstka, własną wyrobiwszy sobie formę muzyczną, uzyskała tem samem prawo obywatelstwa w literaturze muzycznej, która pamięć o nich późnemu przekaże pokoleniu; mniejsza zaś (tańce charakterystyczne, narodowe) dotychczas żyje zarówno w literaturze muzycznej, jak i w powszechnem jeszcze znajduje się użyciu.

Do rzędu tego rodzaju zabytków archeologji muzycznej należy i Tarantella, taniec ludowy włoski parzysty — pochodzenia neapolitańskiego — szczególniejszą posiadający historją:

W XV w. rozgłośnej na całym półwyspie apenińskim dobiła się sławy dziwna choroba zwana „tarantyzmem", o której Nicolo Perotti (XV w.) w dziele „Cornu copiae" a za nim wielu innych pisarzy włoskich, bliższe podają szczegóły. Według ich relacji, ukąszenie pająka ziemnego, zwanego *tarantula (tarantula aranea)* miało wywoływać objawy tarantyzmu, który dał się leczyć jedynie za pomocą specjalnej muzyki i tańca specjalnego. Człowiek ukąszony przez tarantulę mówił mało, tracił apetyt, sen i wesołość, stawał się ociężałym, melancholicznym i niezdolnym do pracy. W lecie, zwykle w czerwcu, gdy objawy tarantyzmu kolosalne już przybierały rozmiary, przywoływano grajków, lekarzy i opiece ich powierzano chorego. Grajkowie z namaszczeniem chwytali za bębny, dudy, lutnie lub piszczele i osobliwą wygrywali melodję ochrzczoną tytułem tarantelli. Potęga tej melodji, stanowiącej — jak powszechnie mniemano — jedyne „antidotum tarantulae", była tak wielką, czy też tak ponętną, że nawet starcy na odgłos jej dźwięków ochoczo rzucali się, wraz z chorymi i całą gromadą współmieszkańców, w wir szalonego tańca. Z początku tancerz (chory) nie przekraczał granic przyzwoitości, w końcu jednak pod wpływem paroksyzmu rzucał się w tańcu jak opętany, coraz szybciej, coraz gwałtowniej, dopóki bezsilny, na wpół martwy, nie runął na ziemię. Wówczas kładziono go do łóżka na

kilka godzin; poczem, po silnych potach — podbudzanych użyciem wina — następowało zwykle wyzdrowienie. Nie każda jednak melodja miała siłę pobudzania chorych do tańca; zdarzało się, że biedny grajek często kilka tuzinów przegrał i prześpiewał melodji, zanim natrafił na taką, która bardziej odpowiadała charakterowi lub indywidualnemu usposobieniu chorego, bądź też rodzajowi objawów samej choroby.

Bo i te różne bywały: u niektórych n. p. chorych, widok morza zwiększał szaleństwo tarantyzmu, u innych znów niektóre kolory silniejszy paroksyzm wywoływały. Stąd i różne były rodzaje tarantelli. Jeden zwał się *panno rosa* (chustka czerwona), drugi *panno verde* (chustka zielona) i t. d. których używano stosownie do rodzaju objawów choroby.

Słowa starych pieśni tarantelli nie doszły — niestety — do naszych czasów, równie jak i melodje ówczesne z wyjątkiem ułamków dawnej pieśni: *Allu mari mi portati*, oraz melodji z XVII w., przechowanej w dziele Athanasius'a Kircher'a: „*Magnes sive de arte magnetica*“ (Rzym, 1654 r.), znacznie różniącej się w takcie i rytmie od dzisiejszej tarantelli.

Aż do 1690 r. nikt nie wątpił, że na tarantyzm jedynem lekarstwem jest taniec i muzyka. Dopiero w tym roku znaleźli się lekarze, którzy usiłowali dowieść, że tarantula nie ma wcale jadu. Odtąd medycy europejscy zaciętą z sobą prowadzili polemikę w tej kwestji. Ostatecznie jednak nikt nikogo nie zwalczył; jak bowiem w XVI, równie i w wieku obecnym, jedni (n. p. Dr. Renzi w 1834 r.) uważają tarantulę za owad rzeczywiście jadowity, a tarantellę za skuteczne antidotum przeciw tarantyzmowi, drudzy zaś za najniewinniejszego pod słońcem pająka, za najpoczciwszego z podziemnych obywateli gorącej Apulji.

Dwie Tarantelle z XVI wieku.

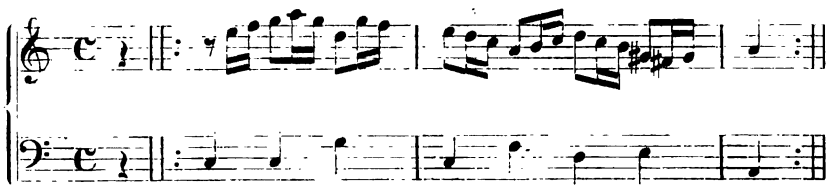

Antidotum Tarantulae.

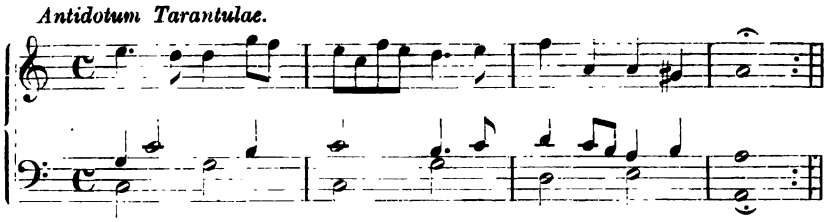

Warszawa. *Aleksander Poliński.*

INDYWIDUALIZM.

(Z CYKLU „ZŁUDZENIE NASZYCH CZASÓW").

W krytyce ustroju współdzielczego jednym z najczęściej powtarzających się zarzutów jest: „skrępowanie ludzkiej indywidualności". Zarzut ten, jak wiele innych, zdradza tylko chroniczną niemoc naszego umysłu w uwalnianiu się od uświęconych wiekami wyobrażeń, świadczy o niepojmowaniu tak warunków rozwoju naszej indywidualności, jak i zakresu jej działania. To też bezpośrednie obalenie jego wymagałoby długich rozumowań przygotowawczych — zadanie, którego podejmować tu nie będziemy. Pośrednio jednak można bronić swego stanowiska, wykazując chwiejność podstawy przeciwników.

W zarzucie „skrępowania indywidualności" przez ustrój współdzielczy tkwi domyślnie twierdzenie, iż w obecnym ustroju współzawodniczym indywidualność ludzka znajduje dla siebie grunt jaknajbardziej przyjazny, i tego też domyślać się pozwala nazwa, jaką mu nadajemy niekiedy, „ustrój indywidualistyczny". Ile jest prawdy w tem twierdzeniu domyślnem? Postaram się w krótkich słowach wykazać całą jego błędność.

Wielokrotnie wskazywano już, do czego doprowadziła tak zwana wolna konkurencja w sferze stosunków przemysłowo-handlowych: nieograniczona prawie wolność niewielu jest w niej tylko równoważnikiem faktycznej niewoli wielu; potrzeba skrajnej specjalizacyi zajęć ujednostronniła rozwój mnóstwa osobników, czyniąc ich prawie automatami. Trudne warunki współzawodnictwa sprawiły, iż częstokroć w walce o życie utrzymać się może najłatwiej jednostka o potrzebach najskromniejszych, a więc taka, której indywidualność jest najuboższą. Istnienie przywilejów faktycznych, pomimo zniesienia prawnych przywilejów, faworyzuje jednostki mierne kosztem silniejszych indywidualności.

Nakoniec z pomiędzy indywidualności najsilniejszych ustrój obecny sprzyja szczególnie najgorszym etycznie jednostkom, gdyż przyjęcie współzawodnictwa nie zaś współdziałania, za podstawę bytu, w logicznem następstwie swojem prowadzi do przewagi tych, którzy w wyborze oręża walki są jak najmniej skrupulatnymi.

Słowem t. zw. ustroj indywidualistyczny wspiera się na gwałceniu i krępowaniu mnóstwa indywidualności ku pożytkowi niewielu, na zubożaniu indywidualności przez jednostronność rozwoju, na forytowaniu licznych indywidualności kosztem wybitniejszych, zarówno w sferze faktycznego przywileju (bogactwo), jak i w dziedzinie potrzeb najskromniejszych, nakoniec na — sprzyjaniu, z pomiędzy najsilniejszych, indywidualnościom najgorszym etycznie. Czy nie należałoby przeto ustroju tego nazywać anti-indywidualistycznym?

Warszawa. *Józef K. Potocki.*

Z DZIEJÓW POWIEŚCI.

W dobie młodości ludów, w ludu fantazji poczęta, w krainie słonecznego wschodu zrodzona, ucieczką była z objęć powszedniości, bawidełkiem od śmierci Szecherezady broniącem. Z państwa cudowności niewyczerpanem pomysłów płynąc źródłem, żeniła heraje z dziwożonami, ziemiankom tytany, a boginiom w objęcia rzucała potwory i gromy lub gienjusze z takiego małżeństwa zrodzone, cudotwórczą obdarzywszy mocą, kazała im głazy wskrzydlać, ptaki w skałę a bogi w bestje dzikie obracać, lub falę płynną stężać w kształt ludzki, co z oczu płomieniem, z ust wymowy ciska piorunem. Zaklęć czary, przeobrażeń cuda miała sobie za chleb powszedni i do syta nim nakarmiona wzrastała rozłożysta i krzepka, zwikłana a bujna, jak lianów podzwrotnikowych gąszcze.

Prawd przyrody, zarówno jak i prawd serca nieświadoma, oglądaniem się na prawdopodobieństwo niekrępowana; *psychofizjo-* ani *patologji* z imienia nawet nie znająca, bynajmniej się tem nie czuła upokorzoną. Posiadała świat swój własny, strzeżony przez Gryfy, Centaury, król-żmije i lisy-duchy, a nawet i przez tych jaskółek girlandy, co uśpione pod lodu zwierciadłem zimują, świat kryształowemi góry garbaty, lasem dziewic w laury przemienionych szumiący, umajony kwieciem paproci, listowiem pokrzywu i trójziela, oblany wodą mórz martwych, zaklętych jezior i śpiewających krynic, kędy gaszą pragnienie Anteusze i Wyrwibęby, Cyklopy i Sylfy, a przeglądają się Świtezianki, Syreny i Loreleye.

Szeptana u łoża młodych matek, wypoczywających po trudzie macierzyństwa, prawiona u wezgłowia zestarzałych wojowników, wrażana w pamięć chłopiąt, chciwie w dziwy jej zasłuchanych, przechodziła tak z pokolenia w pokolenie, żyła na ustach wszech ludów, coraz to niby inna, a zawsze jednakowo od prawdy daleka. Potwornie bajeczna i tej właśnie potworności urokiem zwy-

cięska, schlebiała ona niegasnącym po wsze czasy w piersi ludzkiej tęsknicom za czemś innem, nieznanem, dalekiem, co ciągnie Kolumba, przez ocean a w kmiecej chacie siódmą górą i dziesiątą rzeką majaczy za czemś nadludzkiem i nieludzkiem, co nimfy straszy Satyrem a wiejskie dziewczęta latawcem, co ofiary pod wóz Jagernauta rzuca a Kupałę dorocznemi święci ogniami.

Mytem, *Baśnią*, wędrownych arjdów *Rapsodem*, indyjskich *Kawyâs* pieśniami, płynęła przez świat Powieść pierwotna, ulubiona Fikcji córa, z Poezją epopejami spokrewniona. Czarodziejka! Szarą prozę powszedniości w złocony kształt Ideału rzeźbiąca, oswobadzała twory z pod prawd stworzenia, rojeń i snów o nadprzyrodzonym świecie wymowną stawała się rzeczniczką, oraczom życia kołysanki nuciła wczasu chwilą. Czcicieli Brahmy, uczni Zoroastra nieprzepartym podbijała wdziękiem, przed oczyma wpatrzonych w gwiazdy magów chaldejskich bałamutnym błyskała meteorem, pod namiotem koczujących na pustyni Semitów, jak gość mile podejmowany bawiła, aż wreszcie z klasycznego gruntu Hellady polnym wyskoczywszy konikiem, rozbiegła się po Europie całej, wiodąc za sobą dziwotworów hufiec ogromny, lud, któremu rodzicielką była i królową...

Na równinach brzegami Tanaisu rozesłanych, nad Istrem błękitnym, wśród mgieł co nad puszczami Germanji i nad Brytanją wisiały, na śnieżnym płaszczu Alp Gallijskich, na dalekich krańcach Iberji zdawało się, że przepadła gdzieś bez śladu... Zaćmiła ją powieść *Ewangelji*.

Cóż bowiem znaczyło tęcz jej i ogników migotanie wobec blasku, co bił od słońca „*dobrej nowiny*“, prawiącej o tym Galilejczyku, któremu świadectwo zwycięstwa Cezar Apostata krwią podpisał, i o tym krzyżu kalwaryjskim, hańby znaku, przed którym starły się w prochu korony?

Zamilkła więc poganka zawstydzona, trwożna i bytu swego niepewna, lecz tęsknotą wszech ludów przywołana, znów nieśmiało odezwała się w *Legiendach*. O! z jakąż rozkoszą piły podawany przez nią nektar rzesze, od tak dawna surową, choć wzniosłą prawdą karmione! jak się do niej garnęły narody zwycięzców i zwyciężonych, ludy, pogodzone u kolan złotoustej.

Wtedy dobrego już pewna przyjęcia do roboty się porwała przodownica... Z rozświtu dreszczów i znojnych razów południa, z szeptów boru i rytmicznego mórz huku, z kryształowej rzek antyfony i ros brylantowego różańca, ze srebrnej tarczy miesiąca i złotego komet warkocza, z wężów jadu i ptasiej rzeszy klejnotu, ze wszystkiego co grzmi, śpiewa, drży gwiazdą, deszczami iskier sypie, co ciemności tumanem się słania i z aksamitnych łon kwiatu w górę ku słońcu się pręży, snuć poczęła tkanki swej przędzy, rozwiewną a barwną i plątać ją w majaki wzorzyste, lotnym rojem na przestwory rzucone, widm zastępem na ród ludzki bijące...

Od niebios stropu aż po czeluście podziemne zaludniła świat koboldów i chochlików mrowiem, strzyg i rusałek orszakiem, a potem sięgnąwszy do niewyczerpanej skarbnicy swojej, wydobyła z niej *Skaski* odwieczne, *Sagi* stare i *Spruchy* i *Favole* i *Romance*, a żyć i poruszać kazała krwawym Nibelungom, dzielnym Golonda i Ladbroga towarzyszom, Lwa i Okrągłego stołu rycerzom, niewiernych Maurów i wawelskiego smoka pogromcom, św. Graala służebnikom, Reinekemu i Róży, całemu tłumowi postaci, którym wyobraźnia średnich wieków stosowną była piastunką. I szła tak przez dzieje wyśnionych mar korowodem, uśmiechniona lub groźna, rozmarzona lub swawolna, bezcielesnych ideałów orędowniczka lub rozwiązłości stugębna mistrzyni, czasem krwawa satyra rzeczywistości lub mglista jej apoteoza, fantastyczne o przeszłości bajanie lub na tle teraźniejszości osnuta alegorja.

Paszkwil czy panegiryk, parabola czy parodja, *Romans rycerski* czy *nowella*, „*Don-Kiszot*“ czy „*Dekameron*“, nigdy nie była powieść wiernym społeczeństwa obrazem, nigdy chwili bieżącej odbiciem, zawsze tylko rozbujałej wyobraźni igraszką i bezmyślnej ciekawości mamidłem, a często i trunkiem ognistym, co krew w kipiątek zamienia. Długo tak błądziła, długo, od ideału zarówno od rzeczywistości daleka, celu swego niepewna, zadania nieświadoma, a środkami nieumiejętnie władnąca. Kolejno moralności lub szałów zmysłowych nauczycielka, filozofująca doktrynerka albo pedantka sentymentalna, zwiastunką tylko była i zapowiedzią tej, której mistrz z Weimaru *epopeją* przykazał stać się „*domową*“.

Ale i wtedy jeszcze mrzonki i aspiracje za prawdę biorąc istotną, szkice i karykatury za podobiznę, ruń kiełkujących w niej przymiotów za gotowy już chleb doskonałości, długo najwłaściwszej dla siebie drogi szukała, nigdy znaleść nie mogąc „złotej miary“, co artystycznego piękna jest wspólniczką a prawdy podwaliną i rękojmią. Na przemian nużąco tendencyjna, lub ckliwie bezcelowa, zawrotnych sensacji szafarka, lub nudów kwintesencją usypiająca gaduła, nie prędko się nauczyła zwierciadłem być, co kształty prawdy do wymogów optyki estetycznej przystosowywa, nie odrazu pojąć zdołała, że kwiaty życia, czy to na niwie serca, czy na glebie codziennego bytu wyrosłe, przesadzać należy w kraj pod jej panowanie oddany, na stycznym punkcie ideału z rzeczywistością leżący, kędy nie rozłączne z prawdą piękno za towarzysza mieć jest godna.

U nas do kraju tego zdobyć już wejście potrafiła. Pamięcią przeszłości zapłodniona, duchem czasu brzemienna, mocarką w świecie słowa króluje, klejnotem jest cudnie przez myśl twórczą z „dokumentu ludzkiego“ wyrzezanym, gorejącym serdecznych ogni łuną...

Nad Gopłem „*Starą Baśnią*“, jak śpiewnem echem, pobrzmiewa, ponaddnieprzańskich równinach „*Ogniem i mieczem*“ z bojowym szumem przeciąga, „*Nad Niemnem*“ z pól i lasów, z ludzi i podań, z pamiątek i pragnień miłością spajanej mozaiki malowidła układa, prądami myśli tętniące, „*Placówką*“ na straży zagonu stawa, „*Wnuczęta*“, „*Rozbitków*“, „*Branek w jasyrze*“ żałosne opowiada nam losy, „*w Niziny*“ schodzi społeczne, z „*Uskokami*“ na południe Słowiańszczyzny, z „*Mirtalą*“ nad Tybru wody sięga, z „*Latarnikiem*“ tułaczą dzieli dolę... Ideałów i walk społeczeństwa stawszy się wyrazem i obrazem życia, w tysiącznych jego przejawach odtworzeniem, — na powieść wyrosła *Dzisiejszą!*

Warszawa. *Teresa Prażmowska (Wołowska).*

PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚC.

Ktoś z naszych wspólnych znajomych chlubi się tem, że pochodzi w prostej linji od wspomnianego przez dziejopisów bohatera z przed lat półtysiąca. Czy słuszna jego chluba? Odpowiedź każdy sam sobie znajdzie, ale przedewszystkiem niech rozważy: co to jest owa prosta linja w pochodzeniu i dziedzictwie? Jestże ona czemś istotnem, czy tylko urojeniem, rzeczą nieistniejącą?

Syn pochodzi w najprostszej linji od ojca, ale cóż po nim odziedzicza? Czasem mienie, daleko częściej nazwisko, ale i jedno i drugie są to rzeczy odrębne od istoty człowieka. Natura, krew, właściwości fizyczne i duchowe, wszystko co stanowi istotę człowieka, pochodzi w prostej linji, nietylko od ojca, ale również i od matki. Człowiek cieleśnie i duchowo jest połowicznym dziedzicem każdej z tych dwóch osób. Ojciec i matka są znów dziećmi dwóch par ludzi, więc wspólny ów nasz znajomy jest w trzeciem pokoleniu potomkiem czterech osób, każdej zaś z nich jest przedstawicielem tylko w czwartej części. Sięgając o stopień dalej wstecz, zobaczym, że wspólny nasz znajomy miał tam przodków ośmioro i jest dziedzicem w ósmej ledwie cząstce po każdym ze swych przodków. Gdy zaś sięgniemy do dwudziestego pokolenia jego antenatów, żyjących przed półtysiącem lat, przekonamy się, że było ich ni mniej, ni więcej tylko 1,073.152. Zatem znajomy nasz nosi w sobie nie całą miljonową cząsteczkę dziedzictwa po swym przodku, owym sławnym bohaterze. Że zaś naród nasz za czasów tego bohatera miał zapewne niewiele więcej nad miljon ludzi, więc nietylko nasz wspólny znajomy, ale i my wszyscy jesteśmy w równej mierze i w równie prostej linji potomkami tych samych antenatów, mając też w istocie równe prawa i powody do chluby z pochodzenia od owego bohatera.

Proste linje pochodzenia i dziedzictwa istnieją, ale plączą się w sieć nieprzejrzaną, której wszystkie strzępy na cały naród w teraźniejszości i przeszłości się rozszczepiają. Dzieje jednostki z przed półtysiąca lat są zarodkiem dziejów całego dziś narodu; dzieje zaś całego narodu w owych czasach są bezpośrednio dziejami każdego z nas żyjących. To jest prawidło ogólne. Są wprawdzie i wyjątki, ponieważ w skład narodu różne obce pierwiastki w różnych czasach wchodziły i ciągle wchodzą; ale, powtarzam, wyjątki tylko, które prawidła nie zmieniają.

Warszawa. *Konrad Prószyński.*

POWIEŚĆ U NAS PRZED TRZYSTU LATY.

(NOTATKA BIBLJOGRAFICZNA).

Chcesz godnie trzymać berło krytyki w prawicy,
Szukaj ziarna i w plewach, nie plewy w pszenicy.
Bis. S. A. Krasiński.

Znanem jest dobrze twierdzenie Schlossera, że dzieje narodu można napisać na podstawie jego powieści. Dziś tak u nas, jak gdzieindziej, powieść góruje nad innemi rodzajami literatury i trzyma prym w całej literaturze nadobnej. Dziś i my oddajemy pierwszeństwo temu rodzajowi literatury. Powieść i u nas mile jest widzianą, nietylko pod strzechą dworków wiejskich, lecz wciska się i do eleganckich buduarów i jest tematem studjów mężów wielkiej nauki.

Powieść i u nas może być zwierciadłem naszego rozwoju umysłowego; według tego co czytamy, mogą i inni nas ocenić. Choćby już z tych względów, należałoby zrobić przegląd, nietylko tego, co czytamy dziś, lecz i tego, co zajmowało naszych pra-pra-dziadów. Taki przegląd wielceby nam pomógł do ułożenia prawdziwego obrazu naszej przeszłości. Dotąd jednak nie mamy, nietylko dziejów całkowitego rozwoju powieści naszej, lecz nie wiemy dokładnie od czego rozpoczęła się u nas literatura powieściowa, nie mamy już nie oceny ale choćby dokładnego spisu tych powieści, które się u nas zjawiły w zaraniu rozkwitu literatury. Praca ta wielce jest utrudnioną z powodu niezwykłej rzadkości drukowanych powieści z wieku XVI.

Dla odczytania tej lub owej powieści trzeba jeździć od jednej bibljoteki do drugiej i korzystać nietylko z uprzejmych względów bibljotek publicznych, lecz i z gościnności właścicieli zbiorów prywatnych. Zamierzając dać kiedyś szczegółowy przegląd starej powieści naszej, obecnie podajemy tu krótką notatkę o tych utworach wieku XVI, które udało nam się zebrać i przejrzeć; wyrażamy przytem wielką wdzięczność właścicielom tych białych kruków za uprzejmość okazaną nam podczas korzystania ze zbiorów.

Kiedy na początku XVI wieku drukarz Hieronim Wietor do Polski przybył i według własnych słów umyślił księgi polskie wybijać, litery i wszystkie potrzeby ku pisaniu zgotował, zamyślił wtedy naprzód wybijać coś krotochwilnego i wydał „śmiesznego a krotochwilnego *Marchołta gadanie*“, które na polski z łaciny przełożył Jan Bakałarz z Koszyczek. Wydawca nie szczędził nakładu, ozdobił książeczkę drzeworytami, których klocki dochowały się do naszych czasów w bibljotece Jagiellońskiej. Powieść ta bardzo się podobała spółczesnym, została rozchwytaną o tyle, że z dwóch wydań doszło do nas tylko kilka kart i te są własnością prywatną prof. J. Przyborowskiego w Warszawie i p. Górskiego w Wilnie. W roku 1876 staraniem Dra Celichowskiego fragmenty te zostały wydane w przedruku homograficznym w Poznaniu.

Po wydaniu w roku 1521 krotochwilnego Marchołta, Wietor przygotował do druku w r. 1524 powieść dydaktyczną w przekładzie z czeskiego p. t. *Fortuny i cnoty różność w historji o niektórym młodzieńcu opowiedziana.* Do czasów naszych dochował się jedyny egzemplarz tej powieści w bibljotece Kórnickiej według którego w roku 1889 przedrukowaliśmy ją w Krakowie.

Dwa te nie wielkie co do swej objętości wydania były próbą drukarza, jakiego powodzenia doznają utwory podobnej treści. W tymże czasie w przekładzie Jana z Koszyczek tenże Wietor wydał *Historję o siedmiu mędrcach*, znaną przedtem w oryginale łacińskim w druku i w licznych odpisach. Pierwsze wydanie miało tytuł: *Historja o Poncjanie, cesarzu rzymskim.*

Nam się nie dało odnaleść ani jednego egzemplarza wydania pierwszego. Dr. Estreicher miał wiadomość, że egzemplarz dochował się w bibljotece p. Zielińskiego w Skępem, lecz już w 1888 roku Dr. Kętrzyński go tam nie znalazł. Dziełko to znanem też jest z licznych przedruków, powtarzających się aż do naszych czasów w wydaniach ludowych. Jest to zbiór nowelek, powiązanych jedną przewodnią myślą.

„Historja o siedmiu mędrcach“ z polskiego została przełożoną w wieku XVI na język ruski.

Największem powodzeniem w wiekach średnich cieszył się zbiór powieści, znanych pod nazwą ogólną: *Historje Rzymskie* (Gesta romanorum). U nas łacińskie odpisy były bardzo liczne, a przekład polski zjawił się przed rokiem 1551, o czem dowiadujemy się ze spisu dzieł, pozostałych po śmierci Unglerowej. Pierwotnego wydania dotąd nie udało się odnaleść. Znamy liczne przedruki późniejsze. Układ polski jest zupełnie niezależnym od łacińskiego, niemieckiego i czeskiego. Kiedy niemieckie i czeskie przekłady mają po 111 powieści, a łacińskie zbiory do 283, w polskim układzie mamy tylko 39 powieści. Według polskiej redakcji dokonanym został przekład ruski. Prawie każda powieść kończy się wykładem moralnym, a każdy rozdział zawiera w sobie powieść, która ma służyć za przykład moralnej tezy, postawionej w tytule.

Powieści rycerskie nie były obce literaturze polskiej. Znany Marcin Siennik przełożył z niemieckiego *Historję o pięknej Meluzynie* i wydał ją w roku 1569. Historja ta przedrukowaną była niejednokrotnie, nietylko w XVI lecz w XVII i XVIII wieku, i jeszcze w nasze czasy jest u ludu wielce poczytną. Obok Meluzyny zjawiła się w XVI w. historja o *Magielonie,* królewnie neapolitańskiej. Powieść o Magielonie najpierw była wydaną przed rokiem 1490 po francusku, po niemiecku w 1535 roku, następnie w roku 1565 po czesku, nareszcie po polsku, a z polskiego tłómaczenia dokonano przekładu na język ruski. Do tegoż cyklu należy *Historja o cesarzu rzymskim Ottonie,* który wypędził żonę swą z dwoma synami na puszczę z namowy matki swej. Historji tej nie

znamy w wydaniu z wieku XVI; zważając jednak, że przekład ruski, dokonany z polskiego, pochodzi z początku wieku XVII, musimy ten utwór zaliczyć do powieści wieku XVI. Historja o Ottonie znaną jest jeszcze pod tytułem: „Historja wielce prawdziwa o Francu czyli Florencu, królewiczu francuskim", a to ją zbliża z wydaną w Paryżu w roku 1560 „L'histoire de Florent et Lyon enfants de l'empereur de Rome". Razem z powieścią o Ottonie wydaną była powieść o *hrabinie Altdorfskiej*, która w jednym porodzie dwunastu synów porodziła. Marcin Bielski w swojej *Kronice świata* (1551) powtórzył z Boguchwała *Powieść o Walterze i Helgmundzie.*

Z powieści historycznych największe powodzenie miała *Historja o żywocie i sprawach Aleksandra Macedońskiego*, wydana po raz pierwszy w roku 1550. Jest to przekład z czeskiego, bardzo rozpowszechniony w łacińskiej przeróbce historji t. zw. „de proeliis" Aleksandra, historja ta przełożoną była w roku 1510 i rękopism jest własnością bibljoteki prywatnej w Warszawie. Pierwsze wydanie posiada bibljoteka główna w Warszawie. Mniej była znaną *Historja o zburzeniu miasta Trojańskiego*, przełożona z łacińskiego, układu Gwidona Kolumny, bardzo często napotykającego się w odpisach łacińskich, zrobionych w Polsce. Wydanie z roku 1597 posiadają bibljoteki Jagielońska i Petersburska.

Powieścią krotochwilną i dydaktyczną rozpoczęło się drukarstwo polskie. Powieść rycerska i historyczna miała wielu zwolenników i bardzo długo była niezmiernie poczytną. Ilością tytułów przewyższa jednak te rodzaje powieść z charakterem nowelli, nadanym jej przez Boccacia. Egzemplarze tych powieści są bardzo rzadkie, co świadczy, że były czytane i rozchwytywane. Nie musiały jednak być zbyt pożądane przez czytelników, gdyż mało spotykamy wydań powtórzonych. Z przeróbek Boccacia znaną jest powieść *o Gryzelli*. Petrarcha nowellę tę przerobił po łacinie, a mnich zakonu św. Augustyna, Jakób Filip Foresti Bergamensis wydał ją w roku 1497 w Ferrarze. Z tego wydania powstał przekład polski, jak o tem świadczy tłómacz. Egzemplarz wydania pierwszego dochował się w bibljotece petersburskiej. Później Morsztyn w *Antypastach małżeńskich* obok historji o Banialuce, Galerynie, podał i historję o Gryzeldzie, lecz dał jej tytuł: Historja o Przemysławie książęciu oswiecimskim i o Cecylji małżonki jego dziwnej stateczności.

Przeróbką Boccacia jest *Historja o Barnabaszu*, której wydanie z roku 1583 podaje Index liberorum prohibitorum z roku 1603; powtórnie wydaną była w roku 1615 i wydawca w dedykacji Katarzynie Amendzinej Olborniczce Olkuskiej mówi: „Ja gdy ta historja do rąk moich przyszła, która już dawno przed tym na świat była wyszła, jednak, iż jej już w kramiech nie było, i znaku nie stało. Wydać mi ją zaś na świat teraz świeżo zdało". Treścią tej historji jest opowiadanie, jak jeden kupiec założył się z drugim o cnotę swej żony, w której obronie stanął, gdy się z sobą poważnili. „Jak to rzeczy dziwne, a prawie wątpliwe, żeby żony kupieckie miały być cnotliwe". Ze szkoły Boccacia pochodzi powieść Eneasza Sylwiusza (papież Pius II), przełożona na polski przez Krzysztofa Goliasza p. t. *Historja piękna o miłości Euziala z Lukrecją.* Autor opowiada w niej przygodę prawdziwą, którą miał kanclerz cesarski Kacper Szlich w czasie pobytu swego wraz z cesarzem w Sienie. Powieść ta całkiem jest nieznaną w historji literatury naszej. Wydania jej niezmiernie są rzadkie. Jeden egzemplarz kompletny odnalazłem w bibljotece hr. Czarneckiego w Poznańskiem; drugi, zdefektowany, wyszukał Dr. Erzepki z Poznania w bibljotece wrocławskiej.

W roku 1564 Wierzbięta wydał w wierszowym przekładzie z łacińskiego

powieść pod tytułem: *Historja bardzo cudna a przyjaźni o uprzejmej miłości Tytusa z Giżypusem* przez Jana Stoka Wąchowczyka. Treścią jest niezwykła przyjaźń dwóch młodzianów, z których jeden dla przyjaźni odstąpił drugiemu swej narzeczonej, ten zaś znów, widząc, że przyjaciel ma niesprawiedliwie być śmiercią karany za zabójstwo, wziął winę na siebie. Widząc takie poświęcenie przyjaciela, winowajca wyznał swą zbrodnię, lecz na prośby przyjaciół i tego uwolniono od kary.

Tej powieści dochował się jeden tylko egzemplarz w bibljotece Czartoryskich. Dr. Celichowski świeżo przedrukował z wydania z roku 1568 powieść, przypisywaną Rejowi, p. t. Historja która się stała w mieście Landzie.

Wiszniewski znał spis po księgarzu lwowskim Hübnerze z roku 1592, który przedrukował w roku zeszłym w kwartalniku historycznym Dr. Łoziński. Z tego spisu poznajemy kilka powieści, których ani jeden egzemplarz nie jest odnalezionym, a mianowicie: O Fortunacie, O szpetnej wdowie, O Bertolle. Jak przed pół wiekiem upraszał Wiszniewski bibliofilów o bliższą wiadomość o tych drukach, tak i my dziś prośbę powtarzamy, ogłaszając powyższą notatkę pobieżną.

Petersburg. *Stanisław Ptaszycki.*

DWIE CHWILE.

Badając przeszłość, wyrokujemy zwykle o doniosłości danej chwili na podstawie tego, jak się ona przedstawia, stawszy się ogniwem w łańcuchu dziejów. Rozważamy przeto głównie stosunek tej chwili dziejowej do czasów obecnych. Miarą wtedy jej znaczenia staje się jej ważność dla nas. Czem wszelako była dla współczesnych? Jaką ilość szczęścia lub niedoli im przynosiła? Jak oni mierzyli jej doniosłość? Czy istnienie wtedy budziło w nich zachwyt, czy też wywoływało złorzeczenie? Tych pytań wcale nie zadajemy sobie. Dla zrozumienia atoli istoty dziejów odpowiedź na nie jest konieczną.

Znam w przeszłości dwie tylko chwile takie, których ze względu na owoczesne pokolenie nazwać nie wahałbym się szczęśliwemi. Lecz, o dolo człowieczа, w obu tych chwilach źródło szczęścia dla współczesnych nie wypływało z korzystania z warunków bytu współczesnego, wręcz przeciwnie, tryskało z niezbitej pewności, że owe warunki ulegną w krótce całkowitemu przeistoczeniu. Zachwyt współczesnych chwilą tą nie pochodził z nasycania się kulturą własną, lub wiedzą osiągniętą, lecz właśnie z niezachwianej wiary, że jutro nastąpi nowa era, że nowe życie ich oczekuje. Bynajmniej nie chcieli oni z Faustem zatrzymać chwili bieżącej, lecz pragnęli jej bieg przyspieszyć, a zwłaszcza zapewnić się, że przeszłość już nie odżyje.

Warszawa. *Ignacy Radliński.*

NA CMENTARZU.

(Z ZAPISKÓW BŁĄDZĄCEGO W CIEMNOŚCIACH).

Wstąpiłem smutny i zamyślony do krainy umarłych. Rozejrzałem się dokoła po krzyżach i grobach i powiedziałem sobie: „Tu i ty spoczniesz może niedługo, tu już miejsce czeka na ciebie“. I stanęło mi przed oczyma duszy całe życie ubiegłe, a było to życie mętne i czcze, choć długie, bom widział wyraźnie cały szereg lat swych bezowocnych: ujrzałem się młodzieńcem pełnym wielkich nadziei, które spełzły na niczem, zdolności moje zamknęły się w ciasnem kole prywatnego życia, lub zmarniały wśród uciech wesołego towarzystwa; żyłem tylko dla siebie i stanąłem już prawie u kresu, nie mogąc się o nic oprzeć w przeszłości, a czasu i sił nie mając już przed sobą. Więc znękany chodziłem między grobami i czytałem na pomnikach nazwiska dobrze mi znane, albo obce, niesłyszane nigdy. Tu i owdzie klęczał ktoś u świeżej mogiły, kilka kobiet modliło się w skupieniu, tam znowu inne płakały i łkaniem przerywały ciszę cmentarną. A ja chodziłem jak niemy spostrzegacz i snułem wątek przykrych myśli. Wszyscy, których tu ziemia kryje obecnie, pełnem niegdyś żyli życiem, a któż się dziś o to zatroszczy? Kto pyta: czego zaznali, ile za kosztowali rozkoszy, z jak ciężkim trudem gonili marę zwodniczej uciechy? Może najszczęśliwsi, najwięcej używający niegdyś, najbardziej są dziś zapomnieni!... Było wokoło mnie tyle grobów samotnych i prawdziwie sierocych z porozwalanemi krzyżami; na innych kosztowne marmury mchem porosły i zielskiem... Czy kto wspomina tych opuszczonych? czy modli się kto za nimi?... I błądząc dalej, zaszedłem do wielkiej szarej mogiły, otoczonej skromną kratą żelazną, a olbrzymi głaz prosty na grobie zawierał tylko te słowa: *Karol Marcinkowski.* I nie poszedłem już dalej, bezwiednie nawet zdjąłem kapelusz i ze czcią głowę pochyliłem ku ziemi, a nie pytałem już: „Po co żyć pełnem życiem, gdy wszystko znikome, gdy legnie w ziemi i w niepamięci utonie?“ Ten

wielki filantrop i dobroczyńca społeczeństwa nie był ani bogaczem, ani dygnitarzem, ni panem znakomitego rodu: prosty nosił ubiór i żył, jak prostak, lecz duchem wyrósł ponad innych, wielkiem sercem objął tysiące, a czyny jego przeżyły go. Od lat czterdziestu kilku śpi w grobie, ale myśl jego żyje między nami, błogosławi go młodzież uboga, według jego wzoru urabiają się świeże siły w społeczeństwie, najtrwalszym pomnikiem są dla niego instytucje, których był inicjatorem, lub bezpośrednim założycielem. I znów we własne spojrzałem życie. Młodość ma dawno minęła, dziś późno się wracać, lub żyć inaczej, nieużyteczny jestem i niezdolny, czego wiek nie zabrał, to wyczerpało się w samolubnych marzeniach i rozkoszach; ale choć zawstydzony i upokorzony tą swoją miłością, doznałem dziwnego pokrzepienia na duchu, bom ujrzał w jaśniejszej przyszłości całe zastępy szlachetnej, silnej, a pracującej młodzieży, szereg prawych obywateli i dobrych ojców rodzin, widziałem kiełkujące nasienie zdrowej i pięknej myśli.

I z obcą mi dotąd pogodą w duszy opuściłem cmentarz i przypomniałem sobie, że właśnie gotujemy się do obchodzenia pięćdziesięcioletniej rocznicy założenia działalności Pomocy Naukowej imienia Karola Marcinkowskiego; zapragnąłem więc zaznaczyć choć biernie mój współudział w dobroczynnem tem dziele i udałem się wprost do mego notarjusza, gdzie na pamiątkę błogosławionej chwili spędzonej u grobu wielkiego filantropa, uczyniłem z pozostałości po sobie znaczny zapis na Pomoc Naukową. Wielkie, humanitarne idee nie giną marnie, z drugiego świata duch Marcinkowskiego podsunął mi myśl dobrą, i mam przekonanie, że w położeniu mojem nie mogłem uczcić lepiej pięćdziesięcioletniej rocznicy.

Poznań. *Teresa Radońska.*

POD ADRESEM...

— Co czytasz?

— „Meira Ezofowicza“ Orzeszkowej.

— Skądże ta mina posępna?

— Bo mnie djabli biorą, że to nie dramat.

— Wybrałeś już sobie jaką rólkę?

— Bah! byłbym w kłopocie: którą zagrać?

— Więc zdaje ci się, żeby to było sceniczne?

— Otóż to wasza piosnka. Czyby to było sceniczne? Wszystko jest sceniczne, jeżeli je zrobi człowiek ze sceną obeznany, a nie partacz jaki.

— Weź i przerób.

— Tak, żebyście mnie okrzyczeli, że się w cudze piórka stroję.

— Rzeczywiście, niewdzięczna to praca.

— U nas. A czemże żyją teatry francuskie? Wyliczę ci na palcach autorów, którzy piszą tylko dla sceny, reszta daje same przeróbki z powieści.

— Ale co to warte?

— Co to warte? Wartość leży w rzeczy i obrobieniu. Czyż komedje i dramat pani nie miały i nie mają dotąd powodzenia, a przecież wszystkie prawie powstały z powieści. A stary Dumas, a Balzac, a Hugo? A młodsi? Dumas syn, Daudet, Onet, Halevy?

— Tam są od tego specjaliści.

— A u nas ich być nie może? Nie lekceważcie tylko pracy, nie przyczepiajcie do niej pogardliwych epitetów? Czyż to nie grzech, że u nas tyle pięknych kreacji, tyle wielkich zagadnień, słowem, tyle dramatów i komedji zamknięto tylko w książce. Czyż nie przez scenę przemawia autor do tłumów? Gdyby tego „Meira Ezofowicza“ widzieć mogli Herszki, Moszki, Ruchle i Abramki, cel byłby dopięty. Książkę przeczytało takich, jak my, kilkanaście tysięcy, ale czyż ona przeniknęła tam, gdzie przeniknąć była powinna?

— Daj pokój, macie teraz grać „Uriela Acostę“ pompatyczny dramat niemiecki, gdzie słów dużo, a czynu mało. I cóż to jest w porównaniu do tętniących takiem życiem obrazów Orzeszkowej? Każda postać jej powieści warta więcej, niż dziesięć takich niemieckich dramatów... I znów obcy zbierze u nas laury.

— Naturalnie, bo my je zawsze mamy tylko dla nich.

— Eh, do krocset! otrząśnijmy się raz z tego formalizmu, tak w literaturze, jak w krytyce i starajmy się wyciągnąć jak największe korzyści z pracy naszej.

— Oh, ty materjalisto!

Uderzyłem pięścią w biurko, aż wszystkie książki na niem podskoczyły i zaczęliśmy mówić o... szachu perskim, który właśnie bawił w Warszawie.

Warszawa. *Wincenty Rapacki.*

NAGRODA.

Na jednym z folwarków pana hrabiego był osioł, zwyczajny osioł, krajowy, ani liguryjski, ani dardański, nazywał się tylko niezwykle — Amorek. Starowina ledwie nogami suwał. Miał ze dwadzieścia lat, a może i więcej. Hreszka już go dobrze obsiadła po całej skórze, a na głowie tak gęsto wykwitła, że możnaby go było wziąć za deresza. Niegdyś był piękny i siwy, bez żadnej skazy na koszulce. Teraz uszy mu się zwiesiły, gromady bąków siadywały na nich spokojnie, oczy schowały się głęboko w orbity, skóra ze starości wylazła na powiekach, słońce ją wypolerowało, więc błyszczała jak pergamin.

Miał on w swojem życiu chwile wesołych i pięknych wspomnień. Rozpoczął karjerę na dworze pana hrabiego od wożenia dzieci na spacer. Wtedy dawano mu regularnie co dzień dwa garnce owsa, masztalerz czyścił go zgrzebłem i szczotką, panienki głaskały, klepały po grzbiecie i uszach, a po każdym spacerze dostawał chleba z solą. Nikomu nie wolno go było uderzyć i skrzywdzić, o, broń Boże!

Trwało to lat kilka. Panienki dostały konie pod siodło, a Amorek poszedł do ogrodu. Gorzej mu się działo. Owsa nie jadał, ale za to zielony gazon dostarczał mu bujnej trawy, ile chciał, a kłąby angielskich drzew chroniły go od bąków, komarów i słońca. Woził jarzyny do kuchni pańskiej, nosił na grzbiecie swoim ogrodniczków i jakoś się żyło. Panienki widywały go niekiedy i przysmaczkami karmiły przez wdzięczność na dawne wspomnienia. Pewnego pięknego poranku znalazł się na folwarku. Po co? Na co? Nie mógł z początku zmiarkować, zmiarkował jednak, kiedy go nazajutrz zaprzęgli do beczki z wodą. Od tej chwili rozpoczęło się ciężkie życie. Nikt go już nie głaskał, nikt mu kromek chleba ani pęków wonnej trawy nie dawał, owsa nie powąchał nigdy, a co ważniejsza, że i siana wtedy dostał, kiedy z przed konia skubnął. Do stajni zaglądał rzadko, zimą i latem całe dnie i noce spędzał na oborze pośród bydła, które nie zawsze grzecznie z nim się obchodziło. W zimie jedynem jego pożywieniem była słoma najgorsza, bo ta, którą pod bydło ścielono na oborze.

Chłopiec przeznaczony do beczki z wodą obchodził się z nim po swojemu, jak umiał, a ślady tej umiejętności nosił Amorek na zadzie i biodrach. Cała jego skóra skrzyżowaną była we wszystkich kierunkach w grube basamany, na których niekiedy skrzepła krew zasechała i służyła za przynętę dla much, komarów i bąków, żerujących na jego ciele stadami.

Mimo to wszystko, Amorek woził wodę, wysilał się i brał cięgów tyle, ile tylko chłopiec mógł wykiwać ręką. Studnia była w dole, a osioł coraz mniej sił posiadał, ażeby ciężką beczkę wyciągnąć pod górę.

Najwięcej dostawało mu się w południe. Na folwarku musiała być świeża woda; ze wszystkich stron krzyczano: prędzej! prędzej!... a on stanie pod górą i ani rusz! W parnem, południowem powietrzu co chwila słychać świst bata, a każde uderzenie nową bruzdę na skórze jego rzeźbi. Amorek brykał z początku, potem kiwnął na wszystko ogonem i przestał.

Doświadczył, że wtedy jeszcze więcej biją. Stał więc potulny, tylko mu się uszy za każdem uderzeniem trzęsły, ogonem młynkował i błagalne spojrzenie zwracał na dręczyciela. Oczy głęboko zapadłe wychylały mu się z orbit, błyszczały niby łzami zalane i zdawały się mówić:

— Nie mogę... nie mogę...

Południe już, już dobiegało na niebie...

— A żebyś zdechł, niedołęgo! — wołał chłopiec zmęczony biciem. Odpoczął nieco i znowu smagał.

Amorek naprężył się, próbował tą lub ową zasztywniałą nogą poruszyć, a pod palącemi promieniami słońca wraz z potem ostatki sił z niego wyciekały. Natężył się wreszcie, ruszył beczkę, ale w tej chwili pękł sznurek, którym szla przywiązaną była do dyszelka, beczka przechyliła się i pociągnęła go do góry. Zrazu zdało mu się, że go ktoś dusi, brakło mu oddechu, nogami sterczącemi w powietrzu balansował chwilę, potem upadł na bok, a staczająca się w dół beczka pociągnęła go za sobą aż do studni. Uderzywszy się o cembrzynę, zatrzymała się wreszcie.

Amorek pokaleczony, przestraszony, z sił wybity, rozgrzany słońcem, niby piec jaki, leżał nieruchomy. Przybiegł chłopak. Przybiegł na jego nieszczęście. Zamiast uwolnić Amorka z uprzęży, począł go okładać kijem... aż się zmęczył nareszcie. Wtedy dopiero sznurek od dyszla przeciął. Ale i tu nie obeszło się bez kija. Amorek znękany i osłabiony nie mógł się ruszyć, więc mu chłopak kijem pomagał, aż dopomógł.

Wyprzężony stał długo i dumał nad własnym losem. Pragnienie go paliło, poszedł więc do żłobu z wodą i napił się. To go orzeźwiło, więc na miedzę zboczył i pasł się. Widział tylko zdaleka, że do beczki przyprowadzono konia.

Minął dzień, drugi, trzeci, nikt się o Amorka nie troszczył. Dnie i noce w polu spędzał, chwasty skubiąc na miedzy. Pewnego rana ledwie świt różowy błysnął na niebie, osioł przechadzał się szeroką smugą, okalającą ogród, i oskubywał zroszone bujną rosą liście dziewanny, dzikiej marchwi, krwawniku, a od czasu do czasu udało mu się napotkać gęsty pęk perzu, którym, niby przysmakiem zakąsił. Zabliźniały mu się rany od batogów, wracały siły, a świeże powietrze poranku wydawało mu się jakimś gojącym balsamem, który w płuca wciągał. Czuł, że mu jest dobrze, spokojnie, błogo na tej smudze zielonej. Sięgał pamięcią w przeszłość... dawno już takiej chwili szczęśliwej nie było!

— Doczekałem wreszcie nagrody — myślał. — O, człowiek jest sprawiedliwy!...

Marzenie Amorka przerwało wołanie:

— Hej! ty! niedołęgo stary! A chodź-no tutaj!

Był to znajomy głos stajennego chłopca. Drgnął mimowoli i w kierunku echa, które po rannej rosie płynęło, głowę odwrócił.

Chłopak szedł z tręzlą w ręku.

— Bywaj zdrowa, smugo! — pomyślał osioł — znowu do beczki z wodą pójść trzeba!...

Stanął i czekał spokojnie. Chłopak nałożył tręzlę i poprowadził go. Na oborze przywiązał do słupa.

— Co to będzie? — myślał Amorek.

Po chwili przyszedł ekonom.

— Przywiązaliście go dobrze?... Spętać mu jeszcze nogi! — rozkazał.

Spełniono rozkaz.

Parobcy od wołów, fornale, gawiedź wysypała się na oborę. Ekonom, gruby jak beczka, czerwony, w malutkiej czapeczce, która mu siedziała na głowie, niby na czubie rozkwitłej piwonji, obracał coś w ręku, coś małego, migającego do słońca... Bawił się tem, spoglądając, czy dobrze nogi wiążą Amorkowi. Co chwila słychać było pewne klaśnięcie, jakie instrument ów wydawał.

Ekonom zwrócił się do ludzi.

— Na bok psie krwie! — zawołał.

Gromadka ciekawych cofnęła się i z gapiowatą miną spoglądała to na osła, to na ekonoma.

W tej chwili podniosła się ręka jego w kierunku głowy Amorka, coś błysnęło do słońca, wreszcie dwa strzały jeden za drugim rozległy się, odbiły się echem w czystem porannem powietrzu i między budynkami skonały.

Amorek leżał na ziemi. Ani pisnął. Gwałtownie tylko drgały mu nogi, a głowa za krótko uwiązana, nie mogła dosięgnąć ziemi i w powietrzu wisiała. Krew buchała mu ze skroni, z nozdrzy, z pyska, oczy wylazły na wierzch i błyszczały białkami...

Fornale żartowali:

— Oto ci miele... o... o... o...

Amorek rzucał się gwałtownie.

— Odwiąż-że który sznura, gapie! — odezwał się baryton ekonoma — bo się przerwie.

Spojrzał na osła z pogardą.

— Należało się to dawno niedołędze! — zauważył spokojnie. Odwiązano sznura. Głowa upadła bezwładnie na słomę. Ciało drgało konwulsyjnie.

— O... o... widzita, jeszcze żyje...

— O, to psia kość kwarda!...

— O jej...

Amorek już naigrywania się nie słyszał. Konał. Zdało mu się, że jest młodym... że w piękny letni wieczór powrócił ze spaceru... zgrabny masztalerz trzyma go lekko za uzdę, a panienki dają mu chleba ze solą, głaszczą po twarzy i po grzbiecie klepią, i pęki koniczyny tak blizko do ust mu przysuwają, że czuje, zda się, jej zapach...

— Człowiek umie być przecie wdzięcznym — myślał sobie.

I z myślą tą zasnął na wieki.

Warszawa. *Franciszek Rawita (Gawroński).*

TRZY DOBY KWESTJI KOBIECEJ U NAS.

Położenie geograficzne naszego kraju, narażające go na częste wojny, oraz parlamentarny ustrój rządu w odległej przeszłości nie mało przyczyniły się do wyrobienia charakteru i umysłu kobiet i rozwinięcia w nich samodzielności. Daleko częściej bowiem, niż niewiasty innych narodów, pozostawały one pod kształcącym wpływem życia o własnych siłach, zmuszone przez długie nieraz lata wojny, sejmów, lub urzędowania, zastępować męża nietylko w zarządzie majątku i wychowaniu dzieci, ale nawet w wielu czynnościach obywatelskich, przywiązanych do posiadania dóbr ziemskich w pańszczyznianych czasach. Przymusowa samodzielność rozwijała umysł niewieści, hartowała charakter, a naturalnem prawem oddziaływania przymioty powyższe zyskiwały im poszanowanie i większą swobodę. Istotnej zatem przyczyny owego przysłowiowego u nas szacunku niewiast szukać należy w większej wartości moralnej kobiet polskich, jaką wyrobiło w nich bliższe zetknięcie się z normalnemi warunkami życia. Nauczyło je ono poważniej myśleć, oraz surowiej i szerzej pojmować ideę obowiązku, niż rozwinąć się mogą te pojęcia w ciasnym zakresie drobiazgowych zajęć domowych, pod ciągłą opieką zwierzchniczą.

Współcześnie do sądów miłości na zachodzie, w naszych kronikach zanotowany został nie jeden fakt działalności kobiecej na polu pożytku społecznego. Udzielały one nieraz pomocy wznoszącym się miasteczkom, popierały rozwój rękodzielnictwa, zakładały szpitale i t. p. Brak miejsca nie pozwala na przytoczenie licznych przykładów, świadczących, o ile już drogą wiekowej dziedziczności umysł kobiet naszych był lepiej przygotowany danemi warunkami bytu do dalszego kształcenia i racjonalnego rozwoju, niż niemki i francuski.

Pierwsze wszakże objawy, które poczytać już można za początek emancypacyjnego ruchu, pojawiły się około 1820 roku, w formie energicznego zwrotu do reform w wychowaniu kobiet i nadania mu poważniejszego i gruntowniejszego kierunku. Jakkolwiek reformy owe były na pozór dalekie od wszelkich dążeń do wyzwolenia, stawiając sobie za cel udoskonalić rzesze niewieście jedy-

nie dla pożytku i przyjemności mężczyzn, nie pozostały one bez dodatnich rezultatów. Już bowiem w kilkanaście lat potem p. Ziemięcka zażądała otwarcie równego prawa do wyższej nauki dla obu płci. Ze względu zaś na charakter podejmowanych usiłowań, pierwszy ten okres nazwać można pedagogicznym. Następnie w dalszem rozwinięciu nie zaprzestając żądać możności nabywania wiedzy, upomniała się również kobieta o większą swobodę w zakresie obyczajowym i rodzinnym, o prawo osobistego wyboru małżonka i udziału w dążeniach do wzniosłych ideałów, prawdy, dobra i piękna, bez względu na surowe przepisy etykiety salonowej. Były to hasła drażliwe, wkraczanie w dziedzinę interesów i egoizmu różnych grup: nic zatem dziwnego, iż wywołały opór, opór zaś walkę, a walka nie zawsze korzystne uniesienie i nieuniknione ofiary, tembardziej, iż jak każda idea, tak i idea wyzwolenia kobiet nie mogła zabezpieczyć się od fałszywych wyznawczyń, podsuwających własne wstrętne cele pod jej sztandar. Z tej to epoki zaostrzonej walki datuje się zdyskredytowanie określeń „emancypacja", „emancypantka". Obecny okres od lat kilkunastu już trwający, przeważnie nosi cechę ekonomiczną. Zawdzięcza zaś ją przewrotowi ekonomicznych warunków wogóle, jaki sprowadzony został u nas przez uwłaszczenie włościan. Uwłaszczenie narzucając konieczność samoistnego zarobkowania znacznym zastępom kobiet, mających dotąd byt zapewniony dzięki powinności pańszczyźnianej, oraz równie licznym szeregom dziewcząt, znajdujących dawniej utrzymanie w służbie u pierwszych, stało się potężną dźwignią sprawy wyzwolenia kobiet. Nietylko bowiem skierowało ruch na właściwe tory, gdyż ekonomiczna niezależność jest podstawą wszelkich innych, ale poddało grunt praktyczny, na jakim o wiele łatwiej uzyskać można ustępstwa. Samodzielność i swoboda towarzyska, naprzykład, takie oburzenie ogólne wywołujące w uprzednim okresie, gdy żądania jej wypływały z zasady prawa naturalnej swobody jednostki, bez względu na płeć jej, musiały zostać przyznane przez bardzo konserwatywne koła nawet, jako konsekwentny wynik warunków samoistnego zarobkowania. Obawa konkurencji, zupełnie zresztą słusznie z punktu widzenia mężczyzn, każe im usilniej bronić kobietom dostępu do wiedzy, otwierając drogę do zawodów liberalnemi zwanych; skoro jednak nadzieja załatwienia kwestji kobiecej przez skierowanie potrzebujących zarobku do rękodzielnictwa zawiodła, wyższe studja dla dziewcząt spotykają coraz mniej przeszkód w rodzinach i liczba uczęszczających do uniwersytetów pomnaża się corocznie. Nawet bolesne przejścia i twarde doświadczenia, na jakie nieodpowiednie przygotowanie naraża wiele kobiet, wywierają wpływ dodatni, przekonywając społeczeństwo nasze o konieczności rdzennych zmian w wychowaniu kobiecem i ucząc je sądzić kobiety nie wyłącznie ze stanowiska pożyteczności ich w rodzinie, lecz także jako samoistne jednostki.

W ciągu wszystkich okresów, tak pedagogicznego, jak obyczajowego i ekonomicznego, ruch emancypacyjny u nas tem się odznacza, iż czynnemi w nim były tylko kobiety. Wyjątkowo zdobyły sobie szerszy rozgłos, jako koryfeuszów tej kwestji, nazwiska panów: E. Prądzyńskiego, autora cenionej pracy „O prawach kobiety" i E. Łojki, długoletniego kierownika szkoły rękodzielniczej dla kobiet.

Jeżeli u nas mężczyzni bierniej, niż w innych krajach, zachowują się względem kwestji kobiecej, to same interesowane krzątają sie co raz gorliwiej. Między licznemi zaś w różnych kierunkach pracowniczkami, każdy okres posiada wybitny talent, będący wśród pokrewnych sobie lub równych artystyczną miarą, szczególnem wcieleniem charakterystycznem całokształtu ruchu kobiecego danej chwili.

Klementyna Tańska-Hofmanowa uosabia niepewne, nieświadome właściwego celu, lecz nie mniej ważne zasługi pierwszej pedagogicznej epoki.

Narcyza Żmichowaka odzwierciedla szlachetne i wzniosłe porywy i słuszne żądania lecz zarazem przewagę uczuciowego pierwiastku i fantazji, szkodę przynoszącą ruchowi w drugim okresie.

Eliza Orzeszkowa przedstawia racjonalny kierunek ostatnich czasów: poważnej pracy nad przystosowaniem się do obecnych warunków i wymagań chwili.

W dziełach Elizy Orzeszkowej, tych nawet, w których kwestja kobieca nie stanowi głównej tendencji, coraz to nowy punkt jej jest rozbierany i z pod mistrzowskiego pióra wychodzi z wielką trafnością sądu i plastyką, pełnią przekonywającej siły. To też wpływ utworów Orzeszkowej na kobiety jest niezwykle silny: przełożone szkół specjalnych mogłyby wyliczyć wiele uczennic, skierowanych na drogę gruntownej nauki wstrząsającą tragedją Marty. Wiedzą o tem także kierowniczki pracowni niewieścich, a „Pamiętnik Wacławy“ zwany jest przez niejedną z dziewcząt „katechizmem“. Dodatnie to oddziaływanie sięga po za kraj nawet: „Marta“ pod tytułem „Ein Frauenschicksal“ rozpowszechniana jest gorliwie przez jedno z najpostępowszych stowarzyszeń „Deutscher Frauenreform-Vereins“. Wypożycza ją ono bezpłatnie wraz z dziełem Milla „O podległości kobiet“, specjalną odezwą zalecając członkom swoim urządzanie zbiorowych czytań, w celu zapoznania jak najszerszych kół niewieścich z temi utworami.

Samo zestawienie z pracą Milla stanowi dowód wysokiej wartości „Marty“, a tem samem zasług dla sprawy kobiecej, jakie Eliza Orzeszkowa położyła napisaniem już tej jednej powieści. O ileż one podniosą się jeszcze, gdy zważymy doniosłe dla kwestji znaczenie innych jej pism! A nie najmniejszej wagi jest także wprowadzenie do literatury naszej typu kobiety żyjącej dla wzniosłej idei, opartej na gruncie rozumu, wolnej od podniet uczuciowych, którą to ideę stawia ona wyżej nad wszelkie uczucia osobiste. Typ nowy, bo poglądy podobne od niedawna kiełkują w kołach niewieścich, krystalizując je zaś w artystycznej formie, Orzeszkowa uzupełniła wszechstronność obrazu, z jaką utwory jej odpowiadają pracy przetwarzania pojęć, obecnie odbywającej się w świecie kobiecym.

Warszawa. *Paulina Kuczalska-Reinschmit.*

»MISTRZYNI ŻYCIA«.

Jeden z poważnych i zasłużonych historyków naszych (Tadeusz Korzon), wystąpił niedawno temu, z potępieniem cyceronowskiej definicji, nazywającej historję mistrzynią (magistra) życia. Niewątpliwie, powody były ku temu liczne i ważne; cyceronowskie określenie bowiem ulegało tylu naciąganym i przesadzonym interpretacjom, że istotnie powstało podejrzenie i wątpliwość: czy czasami definicja klasyczna nie jest, klasycznym wprawdzie, ale pustym dźwiękiem.

Sądzę jednakże: że nie należy historji zasadniczo spychać ze stanowiska mistrzyni życia. Dostatecznem będzie wyjaśnienie: 1) jakiemu życiu ma wiekuiście magistrować i 2) kto przedewszystkiem w jej skarbnicy winien czerpać doświadczenie i wskazówki na przyszłość. Gdy sprowadzimy kwestję sporną na ściśle ograniczony obszar, wówczas może absolutne potępienie okaże się zbytecznem a nawet krzywdzącem.

Historja odtwarza przedewszystkiem życie polityczne ludzkości, a więc tylko w sferze tegoż życia politycznego może być mistrzynią. Praktyczne wskazówki zarówno jak i wielkie zasady czerpie z jej ksiąg tylko ten, co przeważnie życiem politycznem żyje, a więc mężowie stanu wielkiego i małego stylu słowem: ci wszyscy, co nad udoskonaleniem organizmu państwowego pracowali lub czuwali nad jego prawidłowem funkcjonowaniem.

Trudno by też było doszukać się wśród szeregu politycznych mężów, takiego, któremuby historja nie była istotną i wielką mistrzynią. Mogli owi mężowie źle zrozumieć lub niewłaściwie spożytkować doświadczenie czerpane w przeszłości, ale je czerpali i dla ich czynów miało owo doświadczenie stanowić siłę ubezpieczającą w przyszłości. Wszyscy mocarze świata, pragnący pozornie samowolę gienjuszu narzucić ludzkości, korzyli się przed historją, jako swą mistrzynią: wprawdzie próbowali czasem wmówić w swą mistrzynię zasady

potrzebne dla celów bieżącej chwili, ale prędzej czy później padali ofiarą podstępu i obłuda mściła się na nich samych klęskami.

Wszakże od czasów Cezara aż do Bismarcka, i nie tylko we wszystkich wiekach, ale i we wszystkich krajach dla mężów politycznych i w zakresie życia politycznego historja była — i sądzę, iż będzie po wsze wieki — mistrzynią. Zdaje mi się, że słowa hetmana Żółkiewskiego, wypisane w jego testamencie, będą nawoływaniem nigdy nieustającem: „Historyki koniecznie czytaj! Miałem i sam nie małą wiadomość historji i w biegu spraw siłam się tem ratował, żem przeszłych wieków sprawy wiedział".

Jednak po za sferą, czysto polityczną, nazywanie historji mistrzynią życia jest nieuzasadnionem i zarzuty czynione zbytniemu rozszerzaniu definicji Cycerona w naszych czasach, wydają się nam słusznemi.

Warszawa. *Aleksander Rembowski.*

ŚWIT NOWEJ RASY.

Wśród ogólnego ruchu walki o byt, sięgającego do najdalszych punktów ziemi, nasuwa się etnografowi z dziwną siłą myśl: jakim będzie w pewnych częściach świata skład rasowy w pewnej, stosownej do przedmiotu przyszłości.

Najciekawszemi polami dla podobnych obserwacji są wyspy Oceanu Spokojnego i Afryka. Ta ostatnia staje się szczególnie interesującą przez kalejdoskopową mieszaninę i amalgamaty rasowe, jakie w niej chwile obecne n. p. wytwarzają, jakie zresztą wogóle wytwarzały systematycznie całe rzędy wieków ubiegłych.

Tu mamy przed sobą proces, który zdumiewa swą olbrzymią doniosłością.

Stara mapa lub karton kolorowany, jeden z tych, który wisi zwykle w szkółkach powiatowych lub tu, w miejach kolonjalnych (któż nie pamięta ich z lat dziecinnych!) pokazuje zwykle „5 ras ludzkich", a między nimi „czarną", którą przedstawia, czarna głowa murzyna „o spłaszczonym nosie" i wargach wydętych koloru prawie ponsowego.

Otóż rasa ta znika! Niema jej już teraz prawie w zupełnej czystości.

W Ameryce przerzedzały się rzędy autochtonów środkami gwałtownej natury. Indjanie, *wyparci* ze swych obszarów przez przybyszów innych zamorskich, musieli ustępować sile. Tu, w Afryce proces rasowy innego rodzaju: rasa *przeistacza* się przez nieustane domieszki innych żywiołów.

Kiedyindziej, w wolniejszej chwili, postaram się rozwinąć obszerniej tę metaformozę antropologiczną, jaka przez osiem lat przedemną się odsłania, przedstawiając coraz wyraźniejsze i pewniejsze kształty. Dziś, ograniczony miejscem, postaram się skreślić tylko główne jej zarysy.

Codziennie mam sposobność obserwowania zbioru typów, pochodzących z najróżniejszych części Afryki: od Przylądka Dobrej Nadziei do marokońskich brzegów; tworzy on bogaty materjał ciał i rysów ludzkich, a liczne wspomnienia z innych części tego lądu powiekszają i uzupełniają te szeregi.

I widać wyraźnie, jak owa pierwotna rasa „czarnych“ ustępuje miejsca innej, przechodząc przez stadjum rozpryskiwania się na mnóstwo odcieni czegoś, co pod względem *fizycznym* stoi *niżej*, pod względem *estetycznym* jednakże *przewyższa* ją bezwarunkowo, niejednokrotnie do wysokiego stopnia.

W 1883 roku uderzyło mnie to po raz pierwszy w stolicy afrykańskiego państwa Assini.

Piękne, owalne twarze proste, (bynajmniej nie spłaszczone) nosy, indoeuropejskie prawie rysy twarzy i najróżniejszych odcieni bronzowa karnacja ciał wytwarzały całość harmonijną, estetyczną. Widziałem czasem poprostu postacie apollińskie.

Te same spostrzeżenia (choć może nie zawsze tak silnie uwydatnione dawały rezultaty na pierwszy rzut oka) nastręczały mi się na sąsiednim *Złotym Brzegu (Aszanti),* na rzece *Niger,* w *Lagosie* (porcie etnograficznym, że tak rzekę, ludnej *Abeokuty* stolicy *Joruby* i wogóle krajów dolnego *Nigru*) *w Sierra Leone i Senegambji, w Kalabarze, Kamerunie, Gabonie*; wyspy zaś zatoki *Gwinejskiej (Fernando Poó, Principe, Sao Tomé i Annobom)* oraz kraje *Loango, Kabinda (Kongo),* a szczególniej *Angola* budzą również wielki interes pod względem owej transformacji rasowej.

Rysy twarzy stają się tu wszędzie coraz regularniejszemi. Nosów prostych, zupełnie indoeuropejskich, gdzie okiem rzucić, pełno; kości policzkowe coraz mniej uwydatnione lub nieuwydatnione zupełnie; czoła coraz bardziej dalekie od utartego pojęcia o czole murzyna. Zatraciły się też w znacznej bardzo liczbie odstające uszy, co do warg zaś, spostrzega się wielką, niekiedy nawet ujemną zmianę: stają się one bardzo szczupłe, proste, płaskie, wyglądając niejednokrotnie, jakby ich wcale nie było, kolorem zaś częstokroć odróżniają się mało od koloru twarzy. Z warg takich mówi zwykle anemja. Niezmiernie kształtnemi stają się w tych amalgamowanych „neoafrykanach“, jeżeli mogę użyć takiego wyrazu, ręce i nieraz nogi; skóra zaś bywa u nich niezmiernie delikatną, miękką, matową, przedstawiając wszystkie odcienie bronzowe od europejskiego śniadego jasno-żółtego do koloru palonej kawy. Ujawnia się w niej jednak większa niż w dawniejszej, pierwotnej rasie bezkrwistość, jak już zaznaczyłem, i skłonność do ulceracji.

Transformacja ta zaczęła się od dawnych czasów.

Starożytny Egipt, którego wpływy i ślady uderzają do dziś dnia podróżnika, nawet w oddalonych kątach lądu afrykańskiego rzucił prawdopodobnie pierwsze ziarno na polu tej rasowej przemiany.

Mahometanizm pędzący przez wieki siłą miecza swe zastępy z brzegów morza Śródziemnego przez piaski Sahary za pasmo Sudanu, a nacierający dziś już na kraje Zatoki Gwinejskiej i Górnego Kongo był innym, olbrzymim, czynnikiem; dołączyły się wreszcie i inne:

1. *Transmigracja* plemion afrykańskich jest jednym z nich. Wojny domowe zmuszają całe partje krajowców przesiedlać się w inne strony. Kilka lat temu jeszcze, n. p. mówiono w Gabonie (Zach. Afr.) o plemieniu *Mpangue* (Fanowie-identyczni prawie z Niamniamami na południu Kordofanu), jako o dzikich z wnętrza, oddzielonych długim marszem od wybrzeża. Dziś *Mpangue* (mające w sobie pierwiastki południowego Egiptu) zaludniają brzegi Gabonu i mieszają się z plemionami *Bakele i Bulu*; całe znów partje tych ostatnich przesiedliły się w głąb lądu. Podobne transmigracje mają ustawicznie miejsce w Sudanie, na Nigrze, w Jorubie, na Kongo i w częściach położonych między Transwaalem a Angolą.

2. *Niewolnictwo* stało się czynnikiem niezmiernie ważnym w tej przemianie rasy. Tak wewnętrzne, „domowe“, jak zamorskie, wlało ono najróżniejsze pierwiastki w skład obecnych mieszkańców Afryki. Całe obywatelstwo tutejszej Rzeczypospolitej Liberji (oswobodzeni niewolnicy, a głównie potomkowie ich przybyli po emancypacji murzynów z powrotem z Ameryki do lądu swych przodków, gdzie utworzyli na zachodnim brzegu Afryki rzeczpospolitą), wielka część kolonji *Sierra Leone*, *Lagos*, *Abeokuta*, *wyspy zatoki Gwinejskiej* i olbrzymia część *Angoli* mają dziś w sobie z tej przyczyny mieszaninę ras „czarnej“, amerykańskiej i indoeuropejskiej. Wpływ amerykański wytworzył okazy oryginalne, co do koloru zwykle ciemnej cery, lecz z krogulczemi poprostu nosami. We wschodniej Afryce dochodzą do tych pierwiastków jeszcze domieszki malajskie i z Indji Wschodnich pochodzące tam wytworzone mieszaniny.

3. *Kilkowiekowa styczność z białymi* jest wreszcie ostateczną sprężyną w tym procesie. On był ręką, która zatrzęsła tą puszką kalejdeskopu, zmieszała jej zawartość w amalgamujące się ciało, tworząc typ „neoafrykański“. Wiele byłoby jeszcze do powiedzenia o etycznej, psychicznej stronie tego typu, ale to nie należy już do dzisiejszej naszej wzmianki.

Sama rasa biała, jednostki jej, które bezpośrednio brały i biorą udział w tym procesie rasowym, odgrywają w nim zresztą dość smutną rolę.

„Losem naszej rasy, jak mówi R. Burton, jest tu być rodzajem guana, które pada na ląd ten i użyznia jego pola pod jakąś ludność przyszłości“.

Farnado-Poó, w Zatoce Gwinejskiej. *Stefan S. Rogoziński.*

»DOHRU SOJLEINI CZEHIRDEN KOWARŁAR«.

(PRAWDOMOWNYCH Z MIASTA WYPĘDZAJĄ).

Grudniowego słońca drżały promienie w pomarszczonej toni Złotego Rogu, nad którym, krącząc i kwiląc, chmurą latały mewy i kormorany. Tłumy nieprzejrzane na placach po obu brzegach mostu Kara-Kaja czekają na przejazd sułtana do Aja-Sofija, ś. Zofji na „selamlik".

Na stronie stambulskiej największy tłok. Morze głów w zawojach, fezach i jaszmakach, w ruchu niespokojnym, trwożnie w górę oczy zwracało. Ciszę uroczystą w tłumie przerywało sykanie na wrony, podlatujące niespokojnie ku mostowi.

Dwie ścięte głowy młodzieńcze stoją tu wysoko na oszczepach. W zeszklonych oczach głów ściętych świeci zimno śmierci, a zpod trzonów szyi, drżą długie sople krwi, groźnie trącane ostrym podmuchem wiatru. Buntowników to „softów" bujne główki wystawił padyszach łaskawy na postrach wiernym poddanym i na przynętę wronom.

— Padiszach czok jaszá! (sułtan niech żyje) — wrzasło wojsko uszykowane przed mostem.

Nadciągnął właśnie z orszakiem przedmiot oczekiwania: sułtan, kalif-padiszach, papież-cesarz, skromnie po cywilnemu ubrany, ale na pysznym „buhreimie" białym, kapiącym od złota i brylantów. Na obojętnej i znudzonej twarzy władcy wiernych piorunowym wężykiem zadowolenie łysnęło, gdy mijał ścięte głowy.

— Aman! Padyszachu, dzieci niewinne nam pomordowałeś — wrzasnęły tuż przy drodze dwie matki w czarnych zasłonach na twarzach.

Sułtan spochmurniał. Orszak porwał dwie nieszczęśliwe kobiety, a wielki wezyr, co pobożnie oczyma zawracał i tuż jechał za sułtanem, wyszeptał do policji, pokazując na matki:

— Na „siurgiun" (wygnanie) w pustynie Arabji!

Kalif-padiszach jechał dalej niewzruszony na nabożeństwo, a zastygły z przerażenia tłum nie śmiał oczu na niego podnieść i porządek uratowany zo-

stał... Orszak papieża cesarza, szczękając podkowami, jak wartki potok po kamieniach, wężem się wspinał po wązkich uliczkach w górę, aż stanął przed paskowanemi ścianami olbrzymiej Aja-Sofija. Przystęp do „dżamji", gdzie spoczywa serce islamu, usłany wzorzystemi kobiercami, by nie obrażał swej nogi dostojnej o twardy kamień kalif-padyszach.

Droga pieszczotliwego zbytku szlakami swemi puszystemi dotykała podstawy cokułu kamiennego, na którym za czasów chrześcijańskich olbrzymia stała chrzcielnica, a obecnie leżał nieruchomie, jak posąg z wosku, nagi „zahyd" pokutnik, oparty na łokciu prawej ręki z „tesbihem", różańcem u lewej dłoni i dzbankiem do ablucji w nogach. Był to „ilhamem", natchnieniem bożem obdarzony, „baba" Iblis, niegdyś możny i potężny „dere-bej". Głowę łysą, o klasycznych rysach twarzy, z białą brodą, na których osiadł już ów groźny dla śmiertelników spokój zagrobowy, miał zwróconą ku słońcu, patrząc w nie prosto zdziczałą źrenicą kruczą. W miarę przesuwanego ziarnka różańca, blademi ustami, na wpół rozwartemi, wymawiał półgłosem:

— „Allach ekber!" (Bóg wszechmocny).

Sułtan przed pokutnikiem osadził konia, i zlazłszy na ziem, zrobił przed nim „ryka" ukłon ziemny jak do modlitwy. Podszedł do cokułu i z dziecięcą czcią wyrzekł:

— „Baba" Iblisie! ja twój pan pozdrawiam cię imieniem „Allacha-el-sabur" (Boga cierpliwego).

Właśnie na minarecie ozwał się „izan". Muezzin wołał:

— „Świadczę, że niema Boga prócz Boga, a Mahomet Jego prorokiem!"

Pokutnik odpowiedział sułtanowi kiwnąwszy ku minaretowi głową:

— Tam oto mój Pan i twój zapewne. Tyś panem chwilowym mego ciała, lecz ja będę władcą twej duszy na wieki...

— Zachowajże „sofi" mnie w twej łasce — ciągnął sułtan dalej — i pobłogosław.

— Allach nienawidzi człowieka dumnego i okrutnego. Rozkaz jego taki: „kani kanlé iikamazlar, su ile iikarlar" (krew nie krwią, lecz wodą się myje) a ty po coś przelał krew dwóch uczonych i cnotliwych młodzieniaszków?

— „Baba"! (Ojcze) nie twoja to rzecz: oni na mą krew czyhali...

— A przeleliż choć jedną kroplę?... A po co trzymasz tylu próżniaków naokoło siebie? — i Iblis powiódł surowym wzrokiem po dworze sułtana — nie ich że obowiązkiem bronić cię przed napadem, jeżeli nie masz męstwa zwykłego człowieka? Błogosławić morderców Pan Światów (Mahomet) zakazuje...

Sułtan zbladł, krokiem naprzód postąpił. Cień padł na pokutnika, gdyż sułtan słońce sobą zasłonił.

— I to rada! — zawołał sułtan uśmiechnięty wymuszenie — to być może, ja ci, „sofi", mogę czem służyć?

— Dobrze... usuń się od słońca! — odpowiedział nowy Djogenes.

Rumieniec wystąpił na twarzy władcy wiernych — śpiesznie na bok się usunął.

— Jeżeli „baba" nic nie potrzebujesz — rzekł sułtan — to przynajmniej obdarz mnie jaką dobrą radą...

— Radzić ci nie będę, boś przelewcą krwi; ale powtórzę za szejchem (Saadym), grobowiec jego niech uczczony będzie! — to mądre jego zdanie:

„Bodaj nigdy król taki nie rządził,
Co nie zdolen Allacha słuchać rozkazów"!...

— Jam kalif, a tyś nie anioł Iblis, co zapisuje wyroki do księgi Siddzin (księgi więzienia piekielnego). Bluźnierco! precz z tego świętego przybytku, precz z miasta!...

— Kamień spokojny wszędzie znajdę — odpowiedział pokutnik obojętnie — ale czy ty znajdziesz kamień, pod którym-byś spoczywał spokojnie... wątpliwa to rzecz. Przyjdę i ja zobaczyć, bo naga prawda rządzić wami musi.

To rzekłszy, Iblis wstał, zabrał dzbanek i pobrnął ku mostowi Kara-Kaja. Tłum pędził za nim, dotykając rękami śladów stóp jego świętych i wołał:

— Ze świętym pokutnikiem i naga prawda z miasta odchodzi! Aman!

Zgadli wierni, bo sułtan jak tygrys osrożał od tego dnia i przelewał krew jak wodę. Aż się to wszystko sprzykrzyło jego dworakom i udusili go nielitościwie. Nowy sułtan zasiadł na tronie, a po zwyczaju w rogoży zawinięty leżał trup jego poprzednika na ziemi. Pobożne modły odbywano, tłum dworzan i straży salę napełniał. Nagle wszyscy się rozstąpili, zahyd Iblis z dzbankiem i różańcem stanął nad zwłokami zaduszonego.

— Jak ty z ludźmi — zawołał do trupa pokutnik — tak z tobą oni postąpili; nie będziesz wszakże miał spokoju pod twym kamieniem, bo go podmywać będą ciągle nurty krwi niewinnych, coś ich potracił — i raptem zwrócił się do sułtana nowego: — Pamiętaj, o! padyszachu! abyś krwi twych przeciwników nie przelewał, boć twym obowiązkiem karać tylko tych, co krzywdzą słabych i niewinnych. Tak!...

Zahyd Iblis wracał na swój kamień przed Aja-Sofją, a tłum pobożny tłoczył się za nim, wołając:

— Niema tyrana! Chwalić Allacha; naga prawda znowu do miasta wróciła...

Zahyd dobrnął do kamienia swego, legł i głośniej niż zwykle zawołał:

— „Allach ekber“!

Lwów. *Sa-hi-bej (Wacław Koszczyc).*

LALKA.

Służący wprowadził mnie do salonu już oświeconego, chociaż nikogo w nim jeszcze nie było, sam zaś zniknął cicho i dyskretnie za ciężką kotarą, przesłaniającą drzwi od przedpokoju.

Pani prawdopodobnie się ubierała. Goście czwartkowi jeszcze nie zaczęli się schodzić.

Zwykle na rautach tygodniowych zjawiam się zapóźno; tym razem, nie wiem dlaczego, przybyłem zawcześnie. Wyjść, opatrzywszy się, że jestem sam, uważałem za rzecz śmieszną; a zresztą znam siebie doskonale; gdybym wyszedł, pewnie-bym nie wrócił — postanowiłem więc czekać.

Oczekiwanie nie sprawiało mi przykrości, w mojem bowiem przekonaniu, a zdanie to podziela ze mną jeden z mędrców wschodnich, samotność bywa nieraz najmilszem towarzystwem. Proszę mi jednak wierzyć, że żaden wzgląd postronny lub wyższej natury nie skłaniał mnie do cierpliwości. Nie kochałem ubierającej się pani, chociaż słynęła z wdzięków i czaru, jaki w około siebie roztaczała. Nic mnie z nią nie łączyło: ani miłość, ani przyjaźń, ani zgodność przekonań. Obcy byliśmy dla siebie zupełnie.

Znałem niegdyś jako kolegę szkolnego jej męża nieboszczyka.

Słyszałem przed kilku laty, że się ma ze śliczną panną ożenić, że się jej oświadczył... ale że wynikły przytem jakieś nieporozumienia familijne.

Pewnego dnia, nagle i niespodzianie, wezwany zostałem przez towarzysza z ław gimnazjalnych na urzędowego świadka jego ślubu. Blizcy krewni odmówili mu drużbowania i starostowania pod pozorem, że stan zdrowia, w jakim się znajduje, na ożenienie nie pozwala, a jeśli narzeczona zgadza się na ten związek i wychodzi za niego dobrowolnie, czyni to w celu zagarnięcia po nim znacznego majątku. Już, co prawda to prawda, pan młody wyglądał na suchotnika.

Drugim, który wraz ze mną w zakrystji kościelnej położył podpis na akcie dozgonnego połączenia dwóch rąk, dwóch ciał, i jak mniemał mój kolega — dwóch dusz, był jakiś jegomość dostarczony przez zarząd parafji.

Przysługa, jaką im oddałem, wytworzyła pomiędzy nowożeńcami a mną pewien węzeł znajomości — a znajomość ta i charakter urzędowego świadka

najuroczystszej w życiu chwili narzuciły mi obowiązek odwiedzania kiedy niekiedy naprzód młodej pary... następnie młodej wdowy.

Czyniłem to, o ile wypadało, najrzadziej... dlatego też, znalazłszy się sam jeden (po dość długiem niewidzeniu) w jej salonie, a był to czwartkowy wieczór recepcyjny, nie mogłem wynieść się za drzwi jak zawstydzony student, który niezgrabnie pogwałcił zwyczaje towarzyskie, lub jak źle wychowany człowiek, nieumiejący sobie zadać przymusu wobec sytuacji, mogącej komu innemu lecz nie mnie, wydawać się drażliwą. Wszakże oddawna wyrzekłem się zaszczytnego(!) miana *homme du monde*, chociaż dotąd stoję wiernie pod sztandarem starodawnej grzeczności, niezmieniającej swej miłej istoty, swego znaczenia i uroku, nawet w tak strasznie niegrzecznych, jak dzisiejsze, czasach.

Usiadłem więc w wygodnym fotelu, z mocnem postanowieniem cierpliwego oczekiwania na przybycie pani domu lub pierwszego gościa. Położyłem klak z rękawiczkami na najbliżej stojącym stoliczku, obitym amarantowym pluszem, lśniącym jaskrawie w świetle lampy, przykrytej daszkiem z czerwonej koronki... i rozejrzałem się w około.

Całe urządzenie pokoju było zbytkowne i wytworne. Odbijał się w niem jednak ten rodzaj dobrego smaku, jaki wytwarza moda, a nie głębsze odczucie piękna, potrzebnego wszędzie, zatem i w mieszkaniach ludzi inteligentnych. Pomimo to, dla istoty, której wzrok i umysł nie sięgał po za powszedni widnokrąg życia, uorganizowanego przez modniarkę i tapicera, musiało tu być bardzo miło i ładnie, miękko i wygodnie.

Kolega mój pozostawił majątek w dobrych rękach; wdowa po nim używała go umiejętnie.

Salon jej wysprężynowany, wymateracowany, wypoduszkowany, cały jedwabny i złoty, oświecony przyćmionemi lampami, dyszał wonią francuskich aromatów i ciepłem kaloryferów.

Tak mnie to wszystko dobrze usposobiło, zwłaszcza, że byłem znużony całodzienną ciężką pracą, a idąc tu, na ulicy, mróz dochodzący osiemnastu stopni przeziębił mnie do kości — że... zdrzemnąłem.

Raptem obudził mnie jakiś łoskot.

Zerwałem się na równe nogi, przetarłem oczy i spojrzałem nieco zmieszany... Ale w salonie nie było nikogo.

Dla otrzeźwienia się ze snu, który mi jeszcze kleił powieki, przeszedłem się po pokoju. Odgłos moich kroków tłumił puszysty dywan wschodni, rozesłany na całej podłodze. Cicho więc zbliżyłem się do na wpół otwartych drzwi bocznych, teraz dopiero spostrzeżonych, bo za niemi powtórzył się łoskot podobny do tego, który mnie przed chwilą obudził. Adamaszkowa kotara zasłaniała postać moją zupełnie, mogłem zatem widzieć, co się dzieje w sąsiednim buduarze, sam niewidziany. Na posadzce leżała duża lalka paryska... w negliżu.

Nad nią schylała się dziewczynka lat siedem liczyć mogąca i z wysileniem podnosiła ciężką porcelanową głowę, która, wyśliznąwszy się z jej słabych rączek, uderzyła raz jeszcze o podłogę.

— Masz tobie — mówiło dziecko ochrypłym szeptem, — niegrzeczna jesteś... nie chcesz się ubierać... dlatego się rozbijasz!

Na kanapie siedziały trzy inne lalki, jak na bal wystrojone.

Leżąca na ziemi miała na sobie tylko koszulkę batystową, pończoszki ażurowe — przez które przeglądało rumieniące się ciało trykotów — i trzewiczki z błękitnego atłasu.

W dziewczątku, dźwigającem lalkę, poznałem córeczkę pięknej pani

i nieboszczyka. Podobną była do ojca, a na twarzyczce przedwcześnie dojrzewającej, choroba zmarłego wycisnęła dziedziczne swoje piętno.

Dwie istoty mu drogie, jakie na tym świecie pozostawił, podzieliły się po nim spadkiem. Istotnie... tak każe prawo ludzkie i prawo natury.

Żeby wyrównać sprzeczności, wytworzone przez dwa ścierające się z sobą prawa, matka dziecko swe pieściła, psuła, ubierała jak laleczkę, wychowywała na obraz i podobieństwo swoje, obdarzała najdroższemi lalkami, wypisanemi z Paryża i Londynu, sprowadzała do pieszczochy najznakomitszych lekarzy, aby ją tylko utrzymywali przy życiu, bo śmierć Mimi mogła pozbawić śliczną panią krociowego mienia, zdobytego poświęceniem kilku najpiękniejszych lat młodości. Wszakże otaczała męża pieczołowitym nadzorem dobrze płatnych najemników, wszakże nawet siostra miłosierdzia nie odstępowała go aż do zgonu. A ona, ona sama taka ładna, stworzona, żeby się bawić i być szczęśliwą, kilka razy na dzień go odwiedzała, własną ręką podawała mu lekarstwa, chusteczką woniejącą ocierała pot z czoła.

W ciągu żałoby, noszonej według przepisów mody, naprzód w barwie czarnej, potem fioletowej, w końcu lila, odzyskała dawną swobodę. Odżyła, jak kwiat zerwany i zwiędły, który dobroczynna ręka zanurzy w szklance z wodą. A kiedy smutek, zwyczajem nakazany, już minął, jakże cudnie zaczęła się ubierać i stroje swe całemu miastu pokazywać! Kostiumy jej na ulicę, toalety i fryzury balowe, obiadowe i wizytowe „robiły furorę“. Najsłynniejsze elegantki przy niej gasły, bo żadna z nich tak niepodzielnie duszy swojej nie oddawała gałgankom, żadna nie była do tego stopnia lalką.

Wszystko, co wyżej, przemknęło mi przez głowę, kiedy z poza kotary patrzyłem na jej dziecko skazane na śmierć.

Dziewczynka podniosła nareszcie lalkę i na kanapce obok innych posadziła.

— Jakaś ty niegrzeczna i niemądra... — szeptała zmęczonym głosem — dąsasz się, przewracasz... jeszcze kiedy nosek stłuczesz. Ja już miałam taką upartą. Za nic w świecie morowej białej sukni z koronkami i trenem włożyć nie chciała!... Z rąk mi się wyrywała... Nos sobie rozbiła... Wtedy mama powiedziała: „Kiedy głupia i nie chce się ubierać, kiedy zbrzydła, to niech ją wyrzucą na śmietnik!“... I bona ją wyrzuciła...

Dziecko zachichotało śmiechem do kaszlu podobnym.

Szelest jedwabnej sukni zwrócił moje oczy i uwagę w przeciwną stronę. Piękna pani, w toalecie od marzenia piękniejszej, wbiegła do salonu, wołając:

— Mimi!... córeczko moja!... czas spać!... — Spostrzegła mnie. — A! to pan... dobry wieczór... przepraszam... powrócę za chwilę.

Dziewczynka pożegnała się z lalkami. Mnie, przechodząc, kiwnęła głową, poważnie, jak starsza osoba, podała rączkę matce i mierzonym, powolnym krokiem puściła się w drogę do sypialnego pokoju i łóżeczka, przy którem na nią bona czekała.

Salon zaczął się zapełniać. Nie brakło ślicznych, strojnych lalek w gromadzącem się towarzystwie.

W dwa lata potem Mimi umarła. Krewni jej ojca odebrali pięknej pani majątek. Część z prawa jej przypadającą pochłonęły koszta procesu. Zbrzydła... Los ją, jak bona lalkę z rozbitym noskiem, wyrzucił na śmietnik.

Kraków. *Zygmunt Sarnecki.*

Z DZIEDZINY ESTETYKI.

Od trzech tysięcy lat trudzi się ludzkość badaniem piękna, a jednak dotąd nie doszła do pewników. Różnica zdań o piękności nie daje nam wcale tego spokoju, z jakim zachowujemy się wobec różnicy zdań o prawdzie n. p. matematycznego twierdzenia. Jeśli nam kto prawdy, dającej się udowodnić, nie uznaje, nie oburzamy się wcale; lecz jeśli nam zganią to, cośmy uznali za piękne, nie mamy pokoju, który jest skutkiem pewności zwycięstwa, czujemy nawet niechęć i urazę. Uznanie, że suma kątów w trójkącie równa się dwom prostym, nie rozwesela nas wcale, gdy zgodność czyjakolwiek w naszem upodobaniu sprawia nam prawdziwą rozkosz. Skąd to pochodzi, że na tem uznaniu tak zależy? Czemu tak różne jest zachowanie się nasze wobec prawdy od zachowania się wobec piękna? Czyż piękno nie jest tak oczywiste, jak prawda? Ono jest dla każdego oczywiste; pytanie tylko: czy się daje tak wydemonstrować jak prawda, inaczej: czy mamy środki, by zdobyć uznanie przeciwnika.

Jeśli nam brak tych środków, to przykrość ze sprzeczności a radość ze zgodności zdań psychicznie jest wytłómaczoną. Obadwa te uczucia bowiem płyną z jednego źródła, a mianowicie z wątpienia: czy sąd nasz o piękności zjawiska zdobędzie sobie uznanie, lub nie? Pragnienie tego uznania jest niezmiernie żywe, braknie go, to nam przykro, a jeśli je zyskamy, to arcy-miła dla nas niespodzianka.

W czem tkwi *istota* piękności? — dotąd nie wiemy. Usiłowanie zdobycia ogólnego *pojęcia* o pięknie dotąd okazało się bezowocnem, nie zdobyliśmy dotąd pewnej, wszystkich przekonywającej *miary* na jej ocenianie w zjawiskach, *przyczyny* jej dotąd dobadać się nam nie udało, a tak kiedy metafizyka, logiczna abstrakcja, olbrzymi zasób empirji i przyrodnicza metoda nas zawodzą, i nie dozwalają rozedrzeć tajemniczej przed nią zasłony, badanie *skutku*, jaki piękno wywiera, wzrasta do olbrzymiego znaczenia. Skutek ten jednak jest różny, sąd

pod jego wpływem wydany o piękności jest sądem indywidualnym, subjektywnym, a przecież, jak to widzimy z doświadczenia, żąda bezwzględnego uznania. Na jakiej podstawie rości sobie sąd estetyczny, który płynie z podmiotowego źródła, prawo do podmiotowej wartości i bezwzględnego uznania?

Dwa są tedy pytania kardynalne, które rozwiązać winna filozofja piękności, jeżeli estetyka ma być umiejętnością: jedno odnosi się do poznania *istoty* (pojęcia znamion i przyczyn) piękności, *drugie* do *wartości bezwzględnej* naszego subjektywnego o niej sądu. Wszystkie inne pytania wobec tych są drugorzędnego znaczenia, i znajdą odpowiedź w rozwiązaniu tych, jako zasadniczych.

Pierwsze z nich to Platońskie, bo u niego pierwszy raz jasno występuje; *drugie* to Kantowskie, bo przed nim nikt nawet go nie przeczuwał, a jest ono najważniejszem wydarzeniem w dziejach świadomości i filozofji piękna.

Obadwa jednak wykluczają się nawzajem. Kantowskie nie będzie miało racji bytu, jeśli Platońskie rozwiązane zostanie: zdobywszy poznanie istoty piękna, sąd nasz przestanie być subjektywnym, gdyż będzie jedynie zastosowaniem ogólnej miary do szczególnych wypadków.

Jeśli za Kantem uznamy, że piękno nie może być przedmiotem wyrozumowanego poznania, czyli, że pytanie Platona nie jest do rozwiązania, to zbadać trzeba, czy i o ile subjektywny sąd może rościć sobie prawo do powszechnego uznania?

Według Kanta pytanie Platona nie jest do rozwiązania; nigdy on też nie zapuszczał się w badanie istoty piękna; w „Krytyce czystego rozumu“ wątpi o ogólnem jego pojęciu, celu jego ani przyczyn nie śledzi, a w „krytyce rozsądku“ zastanawia się wyłącznie nad obserwującym *podmiotem:* wywody jego nie odnoszą się do jakości i natury piękna, lecz dotyczą jedynie zdolności pięknych przedmiotów do wywoływania upodobań w tych, którzy je obserwują.

Lecz przez to Kant nie usunął Platonowego zagadnienia, nie dał nam bowiem na swe pytanie tak niezbitej odpowiedzi, jak umiał je jasno postawić. Upodobania i sądu niezależnego od indywidualności w tej mierze, jak chce Kant, uznać nie podobna, a więc pytanie Platona o istocie i pojęciu piękna wysuwa się ciągle na pierwszy plan.

Czy też badacze po Kancie znaleźli podstawę w śledzeniu istoty piękna, której zbywało wszystkim od początku aż do jego czasów? Zobaczmy. Każdy z nich czuje potrzebę zaczynania swych badań od początku, zamiast budowania na tych podstawach, które założyli poprzednicy, jak to się dzieje w innych umiejętnościach. Już sama ta okoliczność świadczy, że fundamenta nauki estetyką zwanej, są bardzo chwiejne; ale, co więcej, początek jej nawet każdy badacz komu innemu przypisuje.

Arnold Ruge odnosi go do Platona, Robert Zimmermann w Baumgartenie widzi założyciela umiejętnej estytyki; filologowie dzisiejsi cofają się dalej po za Platona wstecz bo aż do Demokryta, kiedy Edward Hartman Kanta uznaje twórcą tej umiejętności; tamci do Schellinga, owi do Winkelmana przywiązują początek umiejętnej estetyki, a chwiejność ta musi znowu budzić poważne wątpliwości: czy nauka ta jest ścisłą umiętnością? Wszystko to jednak nie może zrażać badaczy, a chociażby trudy ich opłacić się miały zwątpieniem, nie byłoby ono bez korzyści, zwłaszcza dla tych, którzy, sądząc, iż wszystko w tej nauce jest w porządku, spokojnej oddają się drzemce. Ależ ta dogmatyczna drzemka, o której mówi Kant, jest i w dziedzinie estetyki równie szkodliwą, jak i w innych umiejętnościach i naukach ścisłych.

Co więc zostaje do czynienia? Skoro żadne z tych fundamentalnych

pytań estetyki dotąd nie jest rozwiązane, przystąpić należy do ich rozwiązania na nowo. Jeśli się uda rozwiązać pytanie Platona, to wszystko będzie dokonane, gdyż pytanie Kanta staje się zbytecznem; jeśliby zaś drugie rozwiązać się dało, w takim razie nad pierwszem czasu i trudu tracić nie potrzeba: ale *jedno* lub *drugie* musi być z całą ścisłością rozwiązane, jeśli dla filozofji piękna gruntowną chcemy zdobyć podstawę. Dopóki to nie stanie, wszystkie nasze sądy o piękności będą dowolne, i nic nie zdoła przeszkodzić temu, by tego, co jeden w tej mierze białem, drugi czarnem nie nazwał — szopka, która wprawdzie nie jest pozbawioną komicznego żywiołu, ale ze stanowiska nauki, a zwłaszcza ze względu na rozwój naszej świadomości, wcale nie jest zabawką.

Tarnów. *Dr. Władysław Seredyński.*

SEN.

(Z OPOWIADANIA).

Raz, w towarzystwie opowiadano wiele o cudownych zdarzeniach, przeczuciach, widzeniu osób zmarłych i tym podobnych rzeczach, które coraz bardziej zajmują obecnie umysły powołanych i niepowołanych.

Był tam także i domowy lekarz, odgrywający z urzędu rolę sceptyka, w końcu więc rozmowy jedna z pań zwróciła się do niego z zapytaniem: czy też zdarzyło mu się w życiu coś takiego, czegoby sobie wytłómaczyć nie umiał?

— Miałem w moich młodszych latach — odpowiedział doktor — sen, a raczej szereg snów, tak nadzwyczajnych, że pod względem cudowności, przechodzą one wszystko, com dopiero słyszał, i na powszechne żądanie mogę je opowiedzieć.

Powszechne żądanie nastąpiło natychmiast, więc doktor zaczął opowiadać co następuje:

— Lat temu dwanaście bawiłem w Biarritz dla kąpieli morskich. Zarazem kochałem się w pewnej angielce, która do kąpieli używała kostjumu haftowanego w łuskę rybią. Była to wielce oryginalna miss, pełna dziwacznych pomysłów. Raz przetrzymała mnie i innych swych wielbicieli do godziny trzeciej w nocy na łodzi. Patrzyliśmy w gwiazdy i rozmawiali o prawdopodobnej wędrówce dusz, z planety do planety. Wróciłem do domu wielce zmęczony i zasnąłem na fotelu, przy czytaniu jakiegoś listu, który znalazłem na biurku. Zaledwiem oczy zamknął, zdawało mi się, że w jakiemś wielkiem mieście wychodzę z nieznanego mi domu i widzę stojący przed bramą karawan. Dla objaśnienia domatorów dodam, że zagranicą nie wożą ludzi na takim rodzaju piramidy, czy katafalku, jak u nas. Karawany tamtejsze *(corbillard)* mają kształt oszklonej z boków, wydłużonej karety, z drzwiczkami z tyłu, przez które wsuwają do środka trumnę. Taki właśnie ujrzałem we śnie. Ale nie dosyć na tem. Przy ka-

rawanie stał młody chłopak, lat może piętnastu, przybrany w czarną kurtkę z wązkiemi szamerunkami i szeregiem metalowych małych guzików wzdłuż szamerunków. Ujrzawszy mnie, otworzył drzwiczki karawanu, i skłoniwszy się, dał mi uprzejmy znak ręką, bym wszedł, czy wsunął się do środka. Jakkolwiek we śnie różne nadzwyczajne rzeczy wydają się zwyczajnemi, przypominam sobie, żem się tak bardzo przestraszył i cofnąłem się tak silnie, że aż głowa moja uderzyła o poręcz fotelu. Naturalnie, zbudziłem się.

W dwa dni zapomniałem przy mojej angielce o śnie, ale trzeciej nocy powtórzył się on z zadziwiającą tożsamością. Potem powtarzał się w odstępach nieregularnych, co trzy lub cztery dni. W końcu zacząłem się tem męczyć. Co było dziwne, to właśnie owa tożsamość kamienicy, karawanu, a przedewszystkiem ubrania i twarzy chłopca, który zawsze z jednakową uprzejmością zapraszał mnie do siebie.

Zapamiętałem doskonale jego kurtkę, szamerunki, metalowe małe guziki, wreszcie jego jasne włosy i oczy siwe, daleko odsadzone od siebie, cokolwiek do rybich podobne.

Wogóle przyznacie państwo, że wobec takiego uporczywego powtarzania się snu, było się czem zaniepokoić.

Po kilku tygodniach wyjechałem do Paryża i stanąłem w tym samym co i moja angielka hotelu. Przyjechaliśmy wieczorem, mniej więcej na godzinę obiadową, w dość licznej kompanji znajomych. Przebrałem się pośpiesznie, a następnie poszedłem do windy, by zjechać nią na dół, do sali jadalnej. Na korytarzu spostrzegłem moich znajomych, dążących także do windy, zbliżyłem się jednak do drzwiczek pierwszy i nacisnąłem guzik elektryczny. Po chwili usłyszałem głuchy turkot windy, następnie drzwiczki odsunęły się, i nagle cofnąłem się, jakbym zobaczył śmierć. W otwartych drzwiczkach ukazał się piętnastoletni chłopak, o jasnych włosach i rybich oczach, przybrany w czarną kurtkę z szamerunkami i metalowemi guzikami, taki sam, jakiego widywałem we śnie.

Stał we drzwiach na chwiejącej się jeszcze windzie i uprzejmym ruchem zapraszał mnie do środka.

Wyznaję, że pierwszy raz w życiu odczułem, iż włosy mogą istotnie stanąć dębem na głowie z przerażenia. Oczywiście cofnąłem się jak nieprzytomny i pędem zleciałem po schodach na dół. Sala była na dole.

Winda czekała widocznie na większą liczbę gości, ja zaś siedziałem tymczasem w przedsionku na krześle z biegunami, starając się nieco ochłonąć, czułem bowiem, że byłem blady jak chusta.

I... nie wiem... Może upłynęło parę sekund, może parę minut, gdy nagle usłyszałem przeraźliwy krzyk, potem łoskot, i uczyniło mi się zupełnie słabo.

Gdym przyszedł do siebie, ujrzałem w przedsionku ciała ludzkie, poobwijane naprędce w skrawione prześcieradła.

Chłopiec zginął także. Dowiedziałem się o tem później.

A teraz niech kto chce, tłómaczy. Mnie słusznie nazywacie sceptykiem, bo gdyby się to komu innemu zdarzyło, nie uwierzyłbym nigdy.

Warszawa. *Henryk Sienkiewicz.*

TRZY UŚMIECHY.

— Za życie, za świat, za szczęście, które rozchylają swe zorze wobec uniesień pierwszej młodości, w jej złotej wierze we wszystko, w upojeniach, szałach i dzieciństwach bezpowrotnych, jedynych, ukochanych, — dam się, dam!

— W różowej sieci złudzeń i wrażeń, w szeleście wiosennych powiewów, w przemarzonej nocy o jutrze, w którem czeka wesołość, w cichej dumce o blaskach kradzionych z księżyca, w niewyraźnej piosence o uczuciach niezmiennych, w szepcie z przyjaciółką o skarbie niewinności nieskalanej, — dam się, dam! — wołał naiwny uśmiech rozkwitającej, jak kwiat czysty, dziewczyny.

— Za uścisk, za ten uścisk, do którego drżą ramiona, za usta pocałunkami wchłaniające w siebie żar pożądań, za spojrzenie, otwierające głębie ducha, za wyciągnięcie dłoni do puhara, z którego rozkosz wytryska, — dam się, dam!

— Za cenę zerwania z harmonją obyczajów, za odwrócenie się od czystych rodzinnych progów i ucieczkę od węzłów starganych w walce pragnień, za ból i cierpienie, nawet pochylające głowę na pierś omdlałą — dam się, dam! — wołał uśmiech grających zmysłów drugiej, upadającej kobiety.

— Za pieniądz! i tylko za to, co on dać może, w zbytku, w pewności o jutro, w zapomnieniu o nużącem życiu, w chyżości godzin ulatujących, w ustawicznej podniecie wśród sztucznych zachwytów i dźwięków pieśni bachanckiej — dam się — dam!

— W tchnieniu uczuć i chęci niesięgających po za metę zdawkowej wesołości, w kaskadzie blasków przypominających fałszywe brylanty szczęścia — dam się, dam! — wołał uśmiech trzeciej kobiety.

Świat, widząc uśmiech pierwszy, wzruszał ramionami z politowaniem, drugiego najczęściej nie rozumiał i potępiał go, za trzecim się uganiał, przyjmował go, czasem nawet pożądał, choć uśmiech ten był zdawkowy, fałszywy, obojętny, lub roztopiony w łzach.

Warszawa. *Simara (Marja Napieralska).*

Z METAFIZYKI LUDOWEJ.

...Szary, spracowany tłum wieśniaczy pochłonięty nieustannym kłopotem o chleb codzienny, ma jednak tyle siły ducha, że od czasu do czasu wybiega myślą w niewidzialne krainy, gdzieś za chmury, za gwiazdy, daleko. W tych przestrzeniach bezgranicznych, ku którym wieczyście wyrywa się dusza ludzka, stwarza on w swej wyobraźni miejsce szczęścia zagrobowego, nagrody za wszystkie cierpienia i bóle. A tam znowu kędyś, w przepaściach czarnych i strasznych, widzi duchy ciemności, znęcające się nad upadłą, sponiewieraną duszą ludzką, dla której mąk nigdy niema być końca. Oddzielony od życia przyszłego tą nadzieją wiecznej szczęśliwości, lub grozą cierpienia, wieśniak nie zdaje sobie dokładnie sprawy z doniosłości tych twierdzeń. Każdą sekundę wieczności znaczy łatwo katuszą lub szczęściem, szafując lekkomyślnie wyrazami, których głębia przeraża, albo w sposób naiwny i zmysłowy rozwiązuje najzawilsze zagadnienia.

Śmierć dla niego to nie zaspokojenie tej trwożliwéj, a palącej ciekawości ostatniego tchnienia, to nie nadzieja rozwikłania wszelkich tajemnic i zagadek, to nie wiara, że w grobie ból już nie nęka, bo cisza się koi!...

Śmierć uważa za złe konieczne, które jednak może go przenieść do nieba, gdzie spotka znowu ziemię swoją, ale piękniejszą, weselszą, gdzie zaszumią mu lasy i gaje, zaszemrzą strumienie, a cieniste ogrody będą do jego użytku.

Wieśniak nie może rozstać się z tą ziemią czarną, która często tak niegościnnie przyjmuje go przez życie; to też za grobem widzi się w posiadaniu tych wszystkich jej powabów, jakiemi nęciła go do siebie, widzi się wśród światła, ciepła i woni, przeczuwa słodki odpoczynek, a przytem słyszy szmer skrzydeł anielskich i blask otaczający Boga ogląda.

A jeżeli do piekła iść musi, gdzież dusza jego błądzić będzie? Oto jedno z podań o miejscu wiecznej męki: Gdy aniołowie wszczęli spór z Bogiem

Ojcem, utrzymując, że oni wyżsi są nad Pana Jezusa, i że nigdy Boga nie wezwą, rozgniewany Bóg Ojciec zepchnął ich w przepaść. I poczęli lecieć w próżnię bezdenną, aż zwrócili się myślą do Chrystusa i zawołali: „Jezus!“; wtedy zatrzymali się w przestrzeni — i w tem miejscu jest piekło. Ciekawa rzecz: czy w pojęciach ludu szatan cierpi nad swoim upadkiem? bo jeżeli nie, to jakąż byłoby dla niego karą zostać najwyższą, niezależną potęgą złego, nie cierpieć samemu, tylko innych w odmęt pociągać?

O nieskończenie długich mękach w piekle daje pojęcie szczegół następujący. Na tamtym świecie, mówi lud, są góry wysokie, a ptaszki je roznoszą, t. j. starają się zrównać grunt, biorąc w dzióbki po odrobinie ziemi. Jeżeli dusza jest w piekle, to prosi, żeby tyle lat pokutowała, dopóki ptaszek góry nie rozniesie, a potem, żeby była zbawioną...

Ile z dotychczasowych spostrzeżeń wnosić mogę, znany mi lud nie hołduje wiernie żadnemu systemowi religijnemu, można powiedzieć, że żyje w nim religja podwójna: jedna oparta na trzymaniu się form zewnętrznych, druga, nie ujęta żadną zgoła regułą, jest mieszaniną zasad starego zakonu, chrześcijaństwa pojętego zmysłowo, pogaństwa i fantazji. Wyjątki tylko probują wznieść się do abstrakcji.

A poglądy ludu na wszechświat? Wszechświat w umyśle jego jest tak mały, jaką wydaje się gwiazda spoglądającym ku niej mieszkańcom ziemi. Wzamian za to planeta nasza jest w wyobraźni wieśniaka olbrzymem, z którym się nic porównać nie da.

Zajmuje ona pierwsze miejsce w przyrodzie, dla niej jedynie słońce przyświeca, dla niej firmament niebieski stroi się miljonami gwiazd błyszczących, a Bóg myśli wyłącznie o szczęściu i przyszłości mieszkańców, którym ją dał do użytku. Lud jest w tem błogiem okresie zarozumiałości, który cała ludzkość przechodziła, kiedy przeceniała swoje i ziemi znaczenie w przyrodzie; ma też jeszcze przed sobą pracę olbrzymią, zanim przebędzie wszelkie stopnie zwątpienia i przesadnego pojęcia o swej nicości, aż poczuje się cząstką wielkiego, wspaniałego wszechświata.

Warszawa. *Karolina Smoleńcówna.*

FRANCISZEK BARSS.

(NOTATKA BIOGRAFICZNA).

Członkowie mieszczańskiej rodziny Barssów szukali karjery w stanie duchownym i zawodzie prawniczym. Za Stanisława Augusta ksiądz Paweł na listach pasterskich biskupa poznańskiego, Młodziejowskiego, podpisywał się jako „*Judiciorum curiae episcopi atque consistorii generalis varsaviensis notarius*“; Franciszek wybitne zajął miejsce w palestrze warszawskiej. Jako biegły prawnik i wzięty adwokat wszedł Franciszek w szeregi patrycjatu miejskiego, ożenił się nawet z córką Jędrzeja Rafałowicza, który w roku 1793 został prezydentem miasta Warszawy. Dla utorowania sobie drogi do zaszczytów państwowych ubiegał się w roku 1768 o nobilitację, blizkim był nawet otrzymania jej, lecz jakiś senator, poparty przez Repnina, wykreślił go z konstytucji. Obok zajęć zawodowych oddawał się literaturze. W roku 1775 wydał u Dufoura przełożone z francuskiego: „*Mowy za czterema stanami: kupieckim, rolniczym, żołnierskim i ludzi uczonych*“. W roku 1776 przełożone z tegoż języka: „*Zdanie moje o pojedynkach*“. W roku 1777 wyszedł jego „*Bewerley czyli gracz angielski*“, tragedja w 5 aktach. Rozleglejszą działalność rozwinął dopiero podczas sejmu wielkiego w procesie Ponińskiego i w sprawie mieszczańskiej. W procesie dopomagał instygatorom przy opracowaniu aktu oskarżenia, w którym złożył dowody wiedzy prawniczej i historycznej; w sprawie mieszczańskiej układał memorjały, agitował i polemizował. Podpisał wraz z pięciu innymi deputowanymi od miast: „*Zbiór praw, dowodów i uwag, z treści tychże wynikających, stanowi miejskiemu ex juribus municipalibus służących*“, podany w roku 1789 deputacji sejmowej, wyznaczonej do rozstrząśnięcia praw i przywilejów tego stanu. Jacka Jezierskiego, który sprzeciwiał się dopuszczeniu mieszczaństwa do spraw politycznych, zaatakował broszurą: „*Bezstronne uwagi nad mową JW... kasztelana łukowskiego dnia 15 grudnia 1789 przeciwko mieszczanom*“. Dla zamaskowania swego autorstwa i okazania bezinteresowności w popieraniu mieszczaństwa, w broszurze tej występuje jako szlachcic, przemawia jako „obywatel-filozof“, w imię prawdy i sprawiedliwości dążący do uszczęśliwienia współbraci. Uznaje zasługi Jezier-

skiego na polu przemysłowem, nie skąpi mu przecież i docinków, Kołłątaja zaś stawia obok Monteskiusza, Locke'a i Franklina. Wbrew własnej opinji, że pozyskać szlachectwo „w oczach filozofa znaczy przejść do klasy uciemiężycielów", w listopadzie roku 1790 na wniosek Skórkowskiego, posła sandomierskiego, poparty przez Adama Czartoryskiego, Cieciszowskiego biskupa kijowskiego, Kublickiego, Seweryna Potockiego i samego króla, otrzymuje nobilitację, jako nagrodę za pracę gorliwą, a bezinteresowną w procesie Ponińskiego. Opierał się nobilitacji Barssa jedynie Jacek Jezierski, z powodu, że pisał „list przeciwko stanowi szlacheckiemu, skłaniający mieszczan do buntu", a najbardziej, że pisał przeciwko niemu.

Znać Barss odznaczał się swadą, skoro z woli deputatów miejskich wygłosił na ratuszu miasta Warszawy dnia 29 kwietnia roku 1791 mowę podczas przyjmowania prawa miejskiego przez marszałka sejmowego, Stanisława Małachowskiego. Mowę tę, pełną uwielbień dla marszałka za przychylność jego dla mieszczaństwa, ogłosił drukiem (*„Głos Jegomości Pana Fr. Barssa" etc.*). Dnia 10 sierpnia 1791 roku zasiada w kościele farnym jako deputat do wyboru plenipotenta miejskiego na sejm i sędziów apelacyjnych; z koła deputackiego wychodzi jako asesor wyborów. Wygłasza mowę w materji procedury wyborów, drugą do deputatów po skończonej czynności. „Abyście, — mówił, — za powrotem do miast waszych o sposobach edukacji młodzieży niezwłocznie naradzać się nie zaniedbali. Najlepiej bić tamy, kiedy woda jest nizko: przesądy, głupstwo ludzkie zniżyły się w tym czasie; niechże nauka i oświecenie pomiędzy nami tak górę wezmą, żebyśmy się już nigdy powrotu ciemności, a zatem biedy naszej, nie obawiali".

Pomagał Barss Kołłątajowi w układaniu projektów, dotyczących nowej organizacji sądownictwa; należał wraz z Plath'em i Lubańskim do redakcji ordynacji tymczasowej (z 17 sierpnia roku 1791) sądu apelacyjnego wydziału miast wolnych księstwa mazowieckiego i województwa rawskiego, przy którym pełnił urząd pisarza. Z przekonań politycznych należał Barss do rzędu tych, którzy po dniu 3 maja roku 1791 nosili straszne dla malkontentów szarfy z napisem: „albo konstytucja, albo szyja!" Miano go za przywódcę mieszczaństwa poszlakowano o chęć wywołania rewolucji dla wytępienia szlachty zachowawczej. Niedziw, że Targowica wypłoszyła go, podobnie jak wszystkich wybitniejszych twórców nowego stanu rzeczy, z Warszawy. Pod koniec lipca roku 1792 spotyka go Kołłątaj w Krakowie; w połowie września odbiera od niego w Lipsku pierwszy list z Wiednia. W liście z 6 października roku 1792 roztacza przed nim Kołłątaj swoje widoki polityczne i daje odpowiedź na pytanie: co robić? „Znając twoje talenta, wnoszę sobie, że możebyś znalazł dla siebie miejsce w Wiedniu lub w Galicji"; to znowu nasuwa mu powrót do Warszawy, jeżeli może „przygotować się do tych zgryzot, na które poczciwi wystawieni być muszą". Utrzymywał z Kołłątajem, w Lipsku i Dreźnie bawiącym, korespodencję stałą, dopóki za radą przyjaciół nie zdecydował się wrócić do Warszawy. Powrócił do niej w listopadzie roku 1793, lecz w dalszym ciągu korespondencję z Kołłątajem prowadził. W roku 1794 wysłany został przez Kościuszkę do Paryża w charakterze agenta dyplomatycznego, dla porozumienia się z konwencją. Daremnie zabiegając około wprowadzenia sprawy polskiej do traktatu Francji z Prusami w Bazylei, doczekał się nad Sekwaną ostatniego rozbioru Rzeczypospolitej i emigrujących rodaków. Z żoną i dziećmi pędził życie w ubóstwie, lecz przez stosunki z ludźmi sfer rządzących znaczenie miał duże. Za jego wpływem Michał Ogiński otrzymał od wychodźców misję dyplomatyczną do Turcji

i listy polecające od rządu francuskiego do Verninac'a, ministra francuskiego w Konstantynopolu. Dnia 22 sierpnia roku 1795 podpisał wraz z innymi akt zawiązania deputacji polskiej w Paryżu. Po upadku Konwencji przedstawił Dyrektorjatowi projekt Wybickiego względem uformowania legjonu polskiego, któryby mógł być połączony z armią Bonapartego. Później zabiegał około ukonstytuowania sejmu polskiego w Medjolanie. Gdy po zawarciu pokoju w Campo Formio spodziewano się przybycia Bonapartego do Paryża, — „cokolwiek można było przygotować ludzi (pisał 5 grudnia roku 1797 do Wybickiego) i sposobów do skłonienia go na naszą sprawę, — przygotowałem". Liczył na kongres w Rastadt, jak niegdyś na układy w Bazylei; później wszystkie nadzieje opierał na przewrocie 18 Brumaire'a. Kościuszko po powrocie z Ameryki zamieszkał u Barssa. Radykalny odłam emigracji z kasztelanem Mniewskim i ks. Dmochowskim na czele, generałowi Dąbrowskiemu i Barssowi niechętny, pierwszego chciał pozbawić stanowiska w legjonach, drugiemu zaprzeczał charakteru agenta polskiego. Pisano do Kościuszki, że mieszka w lochu zdrajców, dowodem czego miała być okoliczność, że Barss był zięciem Rafałowicza prezydenta Warszawy za panowania Targowicy. Zarzucano Barssowi, że przywłaszczał sobie pieniądze narodowe, chociaż w ciężkich istotnie był długach. Kalumnie doprowadziły do tego, że Kościuszko dla miłego spokoju mieszkanie Barssa opuścił, lecz przyjaźni dla niego nie stracił. W roku 1799 ogłosił Barss broszurę: „*La Russie officieuse*", przygotowywał zaś materjały do dzieła o legjonach. Ostatnią wzmiankę o nim znaleźliśmy w liście Dąbrowskiego z 22 frimaire'a r. VIII (13 grudnia roku 1799).

Według tradycji rodzinnej, przepadł we Włoszech bez śladu. Zdaniem Chodźki „pod powierzchownością zimną i nieufną ukrywał ten patrjota duszę nawskroś republikańską". Weygti w liście do Wybickiego zarzuca Barssowi nieśmiałość wobec ludzi znaczniejszych, wyręczanie się w stosunkach z nimi osobami trzeciemi, co nie zawsze dobry mogło dawać rezultat. Córka jego († około roku 1850) na początku wieku XIX wróciła z matką do Warszawy i wyszła za Franciszka Potkańskiego z Potworowa [1]).

[1]) „Listy H. Kołłątaja" wyd. Siemieńskiego. — „Listy znakomitych Polaków, wyjaśniające historję legjonów polskich" (Kraków, 1831). — Chodźko: „Histoire des légions polonaises en Italie" (Paryż, 1829). — „Pamiętniki Michała Ogińskiego" (Poznań, 1870). — Korzon: „Dzieje wewnętrzne", t. I, str. 28. — „Pamiętniki Józefa Drzewieckiego" (Kraków 1891). — „Pamiętniki Wybickiego", wyd. Raczyńskiego. — „Djarjusz zgromadzeń miejscowego miasta Warszawy" (1791). „Ordynacja sądu apelacyjnego wydziału miast wolnych" (1791). — Listy do historji legjonów w archiwum hr. Potockiego w Rosi. Mowa Szadurskiego na sesji konfederackiej 15 grudnia roku 1792 w Grodnie (rękopis bibl. Ord. Krasińskich).

Warszawa. *Władysław Smoleński.*

ZE WSPOMNIEŃ WEIMARSKICH.

Latem 1881 r. spełniły się moje dawne życzenia, znalazłem się w północno niemieckich Atenach. Zrana opuściwszy Eisenach, wstąpiłem na pyszny Wartburg, pełen wspomnień Minnesingerów i Lutra, zaś o zmroku plądrowałem po parku nad Ilmem i kroczyłem po sennych i cichych ulicach małopaństewkowej stolicy. Zdziwiłem się, że więcej tam śladów Schillera, który niedługo tu mieszkał, aniżeli Goethego, który tu większą część długiego życia spędził. Obaj poeci apoteozowani są w wielkoksiężęcym pałacu w obrazach i posągach pomiędzy bogami poetycznego Olimpu, ale w muzeum mało zabytków po nich: rzymski domek Goethego w parku, niedostępny dla podróżnych, równie jak i obszerne, ciężkie, niekształtne domostwo na rynku, które było rezydencją Goethego. Tylko za progiem wita przechodnia marmurowy, siedzący, Goethe, w postaci Jowisza. Może zawód, któregom doświadczył, miał tę przyczynę, żem dnia poprzedzającego oglądał bogate, pamiątkowe muzeum Towarzystwa Goethego we Frankfurcie, mieszczące się w domu rodziców Goethego na Hirschgraben. Daleko potężniej działają w Weimarze na wyobraźnię zabytki po Schillerze i wązki a trzypiętrowy domek na Ludwigstrasse, gdzie w paru schludnych, ale bardzo ubogo ubranych pokoikach średniego piętra wszystko ustawione jak stało za życia poety, na górnem piętrze w sypialni nizkie wąziutkie łóżko, na którem skonał, a na ścianie smutna bolejąca pośmiertna maska wielkiego humanisty, z wyrazem zastygłej na wieki goryczy.

Po zgonie poety żona jego z boleści odchodziła prawie od zmysłów. Goethe ciężko i obłożnie chorował. Sprawiło pogrzeb religijno-cechowe bractwo cechu krawieckiego (maj, 1805 r). Spuszczono trumnę na sznurach do sklepu pomiędzy dziesiątek już złożonych nieboszczyków, przybyło jeszcze potem ze dwa dziesiątki takichże trumien. Gdy w 1826 r. postanowiono dać zwłokom wieszcza przyzwoitsze pomieszczenie, burmistrz Schwabe był w wielkim kłopocie, jak wynaleść szkielet Schillera pomiędzy mnóstwem ludzkich kości w masie trumien

piętrzących się w sklepie jedna na drugiej. Pracowano do późnej nocy, wreszcie wydobyto 23 czaszki, przywieziono je w worku do mieszkania burmistrza, i wybrano w końcu jedną, najbardziej pasującą do wymiarów i formy maski pośmiertnej. Czaszkę tę pomieszczono w postumencie pod popiersiem Schillera, wyrzeźbionem przez Danneckera, zanim z rozkazu W. Księcia połączono wątpliwą czaszkę z jeszcze wątpliwszym szkieletem i pochowano w dynastycznej kaplicy, w której sam Karol August spoczywa w dobrej kompanji pomiędzy Schillerem i Goethem.

Z głęboką czcią i pełen wzruszenia obszedłem dokoła świątynię sztuki, jedną z najsławniejszych w świecie, teatr wejmarski. Na placu przed nim postawiono w 1857 r. brązową grupę niemieckich braci Dioskurów roboty Rietschella. W haftowanym urzędowym dworskim fraku, wysokim halsztuku i z żabotem koronkowym podaje Goethe prawą ręką Schillerowi wieniec laurowy, a lewą zaś trzyma protekcjonalnie na jego ramieniu. Mocno ożywiony, deklamujący i gestykulujący Schiller z odłożonym kołnierzem, z obnażoną całkiem długą szyją i w długim surducie nakształt szlafroka, dotyka wahająco się wieńca, który wreszcie weźmie końcami swoich palców. Z takiego zestawienia obu, chcącego głównie uwydatnić różnice temperamentów, rodzi się mimowoli w duszy oglądającego pomnik pytanie: jak wpłynęło umysłowe małżeństwo gienjuszów na ich twórczość poetycką? jak by się dały wyrazić skutki ich dość krótko (1795—1805), bo przez lat tylko dziesięć trwającego ściślejszego obcowania, czy jak a+b czy jak a×b? Kto z nich był w tym związku męskim, zapładniającym pierwiastkiem i kto pierwiastkiem żeńskim zapłodnionym? Powiadają znawcy krytycy (n. p. Grümm), że czynna rola w tym związku przypada, nie na Goethego, lecz na Schillera. W tym końcowym życia swego okresie nie był Schiller już burszem długim i niezgrabnym, a żenowanym w wyższem towarzystwie z zarodem śmierci w płucach, mimo schorowanie i krytyczny stan interesów pieniężnych: był Schiller, głównym motorem życia literackiego w Niemczech, czułym na wszystkie potrzeby czasu, na wszystkie wzruszenia dreszczem przebiegające przez masy. Był on publicystą i dyplomatą, czynnym politykiem, porywającym przez swoją sardeczność. Jego natura sympatyzująca z każdem dobrem była tak czarującą, że kogo chciał, pociągnął, zdobył, nawrócił i służyć kazał, nie sobie, ale idei, ale dobru pospolitemu. W chwili kiedy się zbliżyli z Goethem był już Goethe po za prądem głównym, społecznym, powoli ostygała w swoich dawniejszych sympatjach ku niemu publiczność, w których to sympatjach Schiller czuł się niby w swoim żywiole. Coraz mniej pojmowano Goethego, całkiem już klasyka, zamiłowanego w antykach i mało zajmującego się resztą. Gdyby w Schillerze była odrobina zazdrości, rzuciłby kamieniem albo błotem w bożyszcza, które kopali nogami Kotzebue, a potem „Młode Niemcy“ i potrosze Heine. Ale Schiller porwał Goethego, owładnął nim i skrzesał w stygnącej jego duszy, uważanej za wygasłą, ogień twórczości. Braterstwo dusz trwało aż do śmierci Schillera, Goethe stał się popularniejszym, a i Schiller ogromnie skorzystał, czerpiąc z głębszego niż swój i o wiele gienjalniejszego umysłu. Po śmierci Schillera Goethe znów zamyka się w sobie, więcej zajmuje się nauką niż sztuką i przenosi się w kraj mistyczny symbolów i przenośni: tworzy drugą część Fausta. Kłaniają mu się wszyscy i kadzą, ale honorują go już tylko ceremonialnie. Przeszło od zejścia jednego z braci Dioskurów trzy ćwierci, od zejścia drugiego prawie pół wieku i doczekali się obaj, że ich łajano za to, iż byli zanadto ludźmi, a za mało Niemcami.

Petersburg. *Włodzimierz Spasowicz.*

FRAGMENT.

Co się stało z pieśniami waszemi piewcy Grecji: o ubóstwie, o skromności, o wiecznej wiośnie ludu waszego? Gdzie dziś wiara wasza, gdzie natchnienie? Zaklęcia wieszczów nie powstrzymały pędu życia! Szare skały wybrzeży zajaśniały śnieżnemi blaskami marmurów, z prostoty dziadów szydzono, a życie Hellady chyliło się ku wieczorowi. Liść po liściu schły i opadały gałązki oliwne i zieleń wawrzynu a wynurzały się spróchniałe szczerby ruiny. Umiano jeszcze mówić pięknie, ale już nikt radzić nie potrafił, umiano jeszcze myśleć, ale nikt już do czynu zdolnym nie był.

Na rynkach oratorzy klęli się na przeszłość promienną, a wam się zdawało, że przyszłość narodu, co w Termopilach ginąć niegdyś potrafił, z wielkich dzieł składać się musi, że skarleli synowie olbrzymów w każdej chwili zapału niebo i ziemię zadziwić zdołają roztropnością i męstwem.

Naiwni, zapomnieliście, że wśród gruzów pieśń ponurą puszczyka jedynie usłyszeć można. Dni sławy, jak zdrowie, raz utracone, wracają czasem tylko a poprzedzić je musi pokuta długa, cierpienie bez miary i poświęcenie bez granic.

Mieszkańcy Elady bogatego Kaliasa mienili mędrcem, dla którego świat nie ma tajemnic: umie zaćmienie przewidzieć, umie choremu poradzić, wie u jakich mórz jakie plemiona wyrosły z deukalionowych kamieni. Ale Kalias wstrząśnieniem głowy przeczył temu mniemaniu. Milczał i milczenia sława mu urosła. Milczał, bo w duszy jego tysiące pytań domagało się odpowiedzi, jak głodne tłumy chleba, a wiedział, że nikt ich zaspokoić nie zdoła. Uchodził w ciche ustronie na brzegi morskie, do gajów świętych, na szczyty urwisk dzikich i myślał; ale samotne dumania rozpalały tylko jak gorączka mózg jego, a głosy walki wewnętrznej stawały się coraz dokuczliwszemi.

Rzucał się w wiry narad publicznych. Dokoła rozlegał się śmiech wesołości, albo szalała zaciekłość demosu. Uniesieniem drżał głos mówców, lud pienił się i wył. Usta nastarczyć nie mogły pieśniom wezbranym, nogi unosiły się

do góry jakby je ziemia parzyła, więc gotowe były miażdżyć palce własne Kalias wzruszał ramionami. Pojąć nie mógł łatwowierności ludzkiej, zrozumieć prostoty, która bałamuci siebie i innych — krzyczy, wprzód nim pomyśli. Wszystko to już było, wszystko stare jak rodzaj człowieczy! Sto i dwieście lat temu też same sprawy wstrząsały tak samo ludzi, sto i dwieście lat potem będą też zachwyty, taż złość, toż złudzenie. A życie tymczasem jednostek i narodów pełza powoli swoją koleją! Kto myśleć potrafi, a omanień dobrowolnych unika, tym ani radość, ani gniew, ani smutek owładnąć nie jest w stanie. Początek i kres życia nieznane i niedostępne!

I coraz smutniej było Kaliasowi. Czuł się niby kropla oliwy w morskich przestworach. Nie mógł przylgnąć do żywiołu, który go otaczał. Samotność i obcość, jak pętla wisielca ściskały go coraz mocniej. Wśród ludzi tęsknił do ludzi. Zagłębiał się w pergaminy z pieśniami poetów, badał dzieje, chciał duszę swoją napoić uczuciami, któreby go połączyły z narodem jego. Naprożno! Ze wszystkich wrażeń wypełzło w końcu męczące jak zmora pytanie: cóż z tego?

Zwiedzał święte miejsca przeszłości greckiej, Maraton, Plateje, Salaminę, błąkał się wśród kolumn i posągów Akropolu. Chciał się nauczyć i podziwiać męstwo hoplitów, czcić zasługi bohaterów. Wszystkie usiłowania jego uderzały o nieubłaganą, nieugiętą wątpliwość, na co zwycięstwa: co ze sławy tryumfów? czyżby inaczej słońce świeciło, gdyby koło historji w inną stronę losy skręciły? a gdyby inaczej, co z tego? czyż znany i kierunek i kres?

Wiele minęło olimpjad, nowe pokolenia się porodziły i wiele wypadków przemknęło, jedne zapisała historja, inne przechowała pamięć ludzka, inne zginęły na wieki w zapomnieniu.

Kalias wewnętrznego wroga nie zmógł, ale czas mu krew ostudził. Pochylił się ku ziemi, broda mu zbielała, czoło się posunęło, objęło całą głowę i świeciło niby pożółkła kość słoniowa, okalał je tylko srebrzysty wieniec włosów.

Oczy mu się przyćmiły, ale patrzeć umiały tem bystrzej i dalsze ogarniać granice. Patrzył na sprawy ludzkie jak świadek bezstronny, któremu ani jednej chwili nie odjęło wzruszenie: to też przeniknął wszystkie tajniki życia.

Z twarzy, jak z marmurowego posągu, nie schodził mu nigdy uśmiech łagodny. Oddalał się coraz bardziej od świata i teraz patrzył na bieg spraw jego jak na potok, kłębiący się pod nogami, ale ani ich woda nie dosięgnie, ani piana nie obryzga.

Widział szlachetne uniesienia i niegodziwy podstęp. Widział tajne sprężyny ruchu, zbyt drobne i mizerne, by ludzie chcieli w nich uznać istotne przyczyny dziejów. Widział w sercach straszne pragnienie mordu, które jedne narody rzuca na drugie, widział słabość gnębioną przez przemoc; widział nędzę, niedolę, rozpacz, płacz i obłudę, widział głośne tryumfy potwarzy zuchwałej i tajone bóle cnoty lękliwej. Ale z twarzy nie schodził mu nigdy uśmiech łagodny.

Od wieków tak samo plącze się życie.

Aż o uszy jego odbiło się doniosłe echo głosu, który dotąd stłumiony szeptał tylko w zaułkach; potężniał, jak zbliżający się dźwięk trąb tyrseńskich, szerzył się jak płomień wśród traw wyschłych, głuszył wszystko dokoła, Kalias zadrżał po raz pierwszy w życiu: to *potwarz* tryumfowała! Przygasłe oczy starca zajaśniały łzami. Stało się, czego dokonać nie zdołały wysiłki życia całego. Nie wzruszyły go przeszłość i sława Grecji, a teraz płakał nad pewną jej zgubą.

Petersburg. *Ludwik Straszewicz.*

DYLETANTYZM I KRYTYKA.

Na żadnem polu pracy literackiej nie rozsiadł się u nas dyletantyzm z większą zarozumiałością i pewnością siebie, niż na polu krytyki literackiej i artystycznej. Większość piszących u nas krytyki nie ma nawet świadomości o tem, że krytyka stanowi specjalność, wymagającą szerokich studjów przygotowawczych i wykształcenia teoretycznego, które jedynie w sposób należyty kierować może zdolnościami krytyka i praktyczną działalnością na tem polu. Czyż szczególniej u najkrzykliwszych krytyków naszych napotykamy choćby ślady jakichkolwiek studjów poważnych nad estetyką wyjaśniającą ostateczne podstawy sądu krytycznego o tem, co należy nazwać pięknem lub szpetnem, na czem polega zadawalające wrażenie estetyczne, jakim warunkom zadość uczynić winien utwór literacki lub artystyczny, aby wywołał takie wrażenie i t. d.? Czyż dalej, owi krytycy zapoznali się z arcydziełami literatury i sztuki? Czy przestudjowali z krytycznego stanowiska utwory Szekspira, Moliera, Goethego, Mickiewicza lub Rafaela, Michała Anioła, Rubensa, Rembrandta, Delaroche'a, Corneliusa, Matejki i innych przedstawicieli twórczości literackiej i ar-artystycznej? Bynajmniej! Przeciwnie, lekceważenie estetyki i arcydzieł historji literatury i sztuki charakteryzuje na każdym kroku ów dyletantyzm krytyczny, dla którego „aktualność“, to, co ma chwilowy rozgłos, jest jedynem kryterjum przy ocenie utworów piękna. Jednym z najdziwaczniejszych objawów tego dyletantyzmu u nas jest zdanie, że poeta i artysta są zarazem i właściwymi specjalistami na polu krytyki. Według tego zdania, które naturalnie znowu tylko u nas, wygłaszają niektórzy malarze, artysta obznajomiony jako tako z techniką swej sztuki jest lepiej przygotowany do zawodu krytyka, aniżeli teoretyczny estetyk, wykształcony na rozpatrywaniu znakomitych utworów artystycznych ze stanowiska pewnych, jasno pojmowanych zasad. Dzięki takim poglądom nie można się dziwić, że ten lub ów artysta, przeczytawszy pobieżnie Taine'a, lub Verona i łącząc z ich teorjami niektóre wiadomości o kruczkach technicznych swej sztuki, wmawia w siebie, że jest znakomitym *specjalistą* na polu krytyki.

Tymczasem nie potrzeba być głębokim psychologiem, aby wiedzieć o tem, że twórczość artystyczna i krytyka są objawami zupełnie różnego nastroju władz umysłowych, zupełnie różnej działalności i bardzo rzadko ze sobą się łączą, że każdy z tych objawów pracy umysłowej wymaga odrębnego wyobrażenia i nigdy jeden funkcji drugiego spełnić nie może, że zatem artysta, jako artysta, nie jest bynajmniej specjalistą w zawodzie krytyka. Twórczość jest działalnością syntetyczną, krytyka zaś jest wynikiem analizy. Dążność prawdziwego artysty skierowana jest przedewszystkiem ku połączeniu szczegółowych czynników w jedną harmonijną całość, krytyk przeciwnie rozkłada całość na części i ocenia jej wartość i znaczenie przy pomocy ich szczegółowego rozbioru. Artysta działa zawsze pod wpływem podmiotowych motywów i wyraża w swych utworach swój nastrój subjektywny i indywidualne poglądy; prawdziwy krytyk przeciwnie wyzwala się, wedle możności z objęć subjektywizmu i posiłkuje się przedmiotowemi zasadami. Artysta pragnie swem dziełem wywołać wrażenie, zadawalające widza, przemawiające do jego uczucia i fantazji, krytyk przeciwnie ma na oku rozjaśnienie pojęć czytelnika, usprawiedliwienie sądu estetycznego ze stanowiska teoretycznego. W ten sposób artysta i krytyk rozchodzą się zasadniczo w swych zadaniach i dążnościach, w swych celach i środkach.

Niewątpliwie, zdarzają się wypadki, że poeci lub artyści są zarazem i znakomitymi krytykami, i my szczycić się możemy, jak wiadomo, niektóremi osobistościami o takiej dwoistej naturze. Ale są to naprzód rzadkie wyjątki; a nadto krytycy tacy są krytykami, nie dlatego, że są poetami i artystami, lecz *pomimo* tego i jak prawdziwi krytycy w ocenie obcych dzieł nie ufają bynajmniej swym bezpośrednim subjektywnym wrażeniom, nie podlegają swym skłonnościom artystycznym, lecz opierają swe sądy na zasadach teoretycznych, które sobie przyswoili przy pomocy specjalnych studjów.

Krytyk dyletant, natomiast z grona artystów, uznając siebie, jako artystę, za jedynie powołanego do wyrokowania w sprawach sztuki, nie czuje zazwyczaj wcale potrzeby głębszych studjów nad estetyką i historją sztuki, lecz lekceważąc talent umysłowy, idzie zawsze i wszędzie za głosem swego subjektywizmu, swego chwiejnego widzimisię.

Przyczem występuje z tem większem poczuciem swej bezwzględnej powagi, im mniej się posiłkuje niezbędnemi środkami pomocniczemi prawdziwej krytyki, im mętniejsze posiada pojęcia co do jej podstaw teorytycznych, jej zadań i celów.

Wiadomo powszechnie, że wskutek odrębnych warunków naszego bytu, produkcja umysłowa ześrodkowała się u nas przeważnie na polu poezji i sztuki pięknej. Każdy rok obdarza nas dziesiątkami wcale dobrych, a niekiedy znakomitych utworów z zakresu poezji dramatycznej, powieściopisarstwa, malarstwa, rzeźbiarstwa i muzyki; gdy tymczasem szeregi poważnych pracowników na polu filozofji i nauk specjalnych coraz bardziej się przerzedzają, a nowych sił zjawia się stosunkowo wcale nie wiele.

Z tym faktem liczyć się musimy koniecznie. Jeżeli tedy w dodatku i krytyka utraci u nas grunt naukowy pod nogami; jeżeli zamiast kierować umiejętnie produkcją poetyczną i artystyczną ku wyżynom ideału, wskutek panowania płytkiego dylentantyzmu, przyczyni się do skrzywienia i osłabienia twórczości naszej, natenczas nie wiem w istocie, z jakiego źródła w przyszłości czerpać będziemy zasoby, podtrzymujące naszą działalność umysłową i dające nam prawo do brania i nadal czynnego udziału w pochodzie cywilizacyjnym ludzkości.

Zdaje się, że wzgląd ten jest dość poważnym, aby kierownicy opinji publicznej nie lekceważyli sobie żądań krytyki, lecz zwracali baczniejszą niż dotąd uwagę na konieczną potrzebę podniesienia u nas ogólnego poziomu krytyki w ugruntowaniu na podstawach dających rękojmię jej zbawiennego wpływu na ogólny rozwój naszego życia umysłowego.

Warszawa. *Henryk Struve.*

DAFNE.

W klejnocie ziemi, w ukochanej Grecji, widział Apollo od pewnego czasu codzień wspaniałe dzieła, mądre myśli, dobre czyny i ład śród ludzi, więc chciał być dla nich łaskawym. Skoro tylko jutrzenka go zbudziła, kazał wiatrom pospędzać z nieba wszystkie chmury i zamknąć je w grotach pod widnokręgiem, ażeby nawet na krawędzie sklepienia się nie wysuwały. Kiedy już taki spokój otulił naturę, że słychać było szmery płatków w otwierających się pąkach, kiedy najlżejszy podmuch nie odrywał woni od koron kwiecia, Apollo odsłonił z mroków tarczę słońca, ujął ją w rękę, stanął w rydwanie, dał rumakom z płomienistemi grzywami znak do biegu i wyjechał na czyste, błękitne niebo. Chórem wdzięczności zachwytu powitały go na dole wszystkie żywe twory, a on, pędząc szlakiem wschodu coraz wyżej, płosząc gwiazdy i ciskając iskry w krople rosy porannej, rozglądał się po świecie z wysoka, wspaniały, dumny i radością promienny.

Już dowiózł słońce prawie do szczytu kopuły nieba, gdy nagle pohamował nieco rumaki i utkwił zdumiony wzrok na ziemi, w ustronnej kotlinie nadmorskiego gaju. Pod rozłożystem i nizko swe gałęzie zwieszającem drzewem, wśród trzciny miękką trawą podesłanej, nieopodal szumiącej kaskady strumienia, leżała czarowna nymfa, otoczona rojem motylów. Jedne, siedząc na łodyżkach, przypatrywały się jej figlarnie, inne krążyły nad nią, inne, niby kwiaty niebieskie, żółte, czerwone, białe, wpinały się w czarne jej włosy. Ona, rozbawiona niemi, co chwila przechylała swą głowę ku wciętemu w brzeg potoku zwierciadłu wody, ażeby zobaczyć, jaka barwa motylich skrzydeł, wdzięczniej ją zdobi. Pomimo, że oswoiła się ze swą pięknością, olśniona nią, znowu uśmiechała się do odbicia jej w wodnym krysztale. Podziwiała sama w sobie i białe czoło myśli pełne, i krucze piórka brwi u jego spodu przypięte, i oczy gorącem uczuciem migotliwe, i cudowny nosek, ukrytą namiętnością ruchomy, i półotwarte usta, niewyczerpaną rozkosz pocałunków obiecujące.

Apollo wpatrywał się w nią długo, a twarz jego przenikało coraz sil-

niejsze uwielbienie. Nareszcie zatrzymał rydwan, złożył na nim słońce, a sam lotem strzały spadł na ziemię.

Nymfa opędzała się dwu natrętnym motylom, które chciały jej usiąść na piersiach, gdy stanął przed nią. Spłoszone zalotniki pierzchły, i przyczepiwszy się do liści drzewa, patrzyły ze zdumieniem i zazdrością na pięknego boga; ona zaś wylękła jego nagłem zjawieniem się, wskoczyła szybkim rzutem w kaskadę i okryła się prawie po ramiona spadającym płaszczem wody. Niepokój wyglądał przez rozszerzone źrenice jej oczu, koral ust przybladł, a drżące ręce usiłowały pochwycić białe puchy spienionych fal i naciągnąć je wyżej na obnażone ciało.

— Kto jesteś? — spytał Apollo, postąpiwszy na krawędź potoku.

— Dafne — odrzekła słabym, ale dźwięcznym tonem.

— Czemu nie widziałem cię dotąd?

— Zeus stworzył mnie niedawno i kazał pomalować owady świeżemi barwami.

— Dlaczego kryjesz swą piękność? Czy ją oszpeca jaka skaza?

— Nie!

— Więc porzuć tę wodną szatę.

— Kiedy mnie wstyd w nią oblókł.

— Ja ją zdejmę.

To rzekłszy, krzyknął w las; echo pochwyciło jego głos i poniosło daleko, a wkrótce zatamowany u źródła strumień uciął swą srebrną taśmę, ostatnie fale kaskady opadły i odsłoniły nymfę zupełnie. Odurzony czarem jej wdzięków Apollo rzucił się ku niej. Ona, uprzedziwszy jego ruch, wbiegła w gęstwinę. Niby jaskółka w zwinnych wzrotach, przemykała się między drzewami, a on, jak orzeł, dościgał ją coraz bliżej. Nareszcie ujął. Ale w chwili, kiedy ją dotknął, ona, wydawszy głębokie westchnienie, zaczęła nagle przeistaczać się w krzew i pokrywać liściami. Zamiast jej ręki, Apollo trzymał gałąź, w której biło słabe tętno. Smutny i wzruszony uszczknął jedną z odrośli, które powstały z jej włosów, opasał nią swe czoło, wrócił na niebo i powiózł słońce dalej. Odtąd krzew, w który zamieniła się nymfa, nazwano jej imieniem: wawrzynem *).

* * *

Los Apollona przeszedł w dziedzictwie na jego potomków, których długi szereg wymienia i długie dzieje zapisuje Klio.

Był między nimi jeden, przez ojca szczególnie obdarowany. Niosąc przed ludźmi pochodnię swego gienjuszu, dojrzał wśród nich uroczą dziewicę, którą natura dla niego wypieściła i którą on pokochał. Kiedy wszakże sięgnął po nią, zamieniła mu się w wawrzyn i złożyła na jego głowie świeży dotąd wieniec nieśmiertelnej chwały, a w jego sercu uczucie głębokiej miłości; bo, chociaż zniknęła, natchniony tem uczuciem, wpatrzony pamięcią w jej świetlaną postać, która wszystkim jego myślom nadawała taki blask, jak gwiazda falom morza, przeszedł za nią przez piekło, czyściec i niebo, opowiedziawszy ludziom tę wędrówkę wstrząsającym językiem, którego oni dotychczas z podziwem słuchają.

Był drugi, który pobiegł za uciekającą przed nim czarodziejką, ale kiedy już miał ją pochwycić w swoje objęcia, uścisnął laur. Odtąd bowiem śpiewał tylko o niej, stał się słowikiem poezji, wydobywszy ze swej piersi najrzewniejsze dźwięki miłosnej tęsknoty.

Był trzeci, który daremnie gonił za cudowną rusałką i zamiast niej zdobył wawrzyn. Widział bowiem i malował twarz jej we wszystkich twarzach nie-

*) „Dafne" znaczy po grecku: wawrzyn, laur.

wieścich, ukryła się ona w jego pędzlu i farbach, zatarła w jego wyobraźni inne oblicza, przedziergała mu się kolejno w postacie bogiń i ziemianek, świętych i grzesznych, szczęśliwych i cierpiących, a zawsze nadawała jego gienjuszowi zdumiewającą siłę.

Był czwarty, który nigdy nie połączył się ze swą ukochaną, ale umysł jego spotężniał w odległej i radosnej rozmowie. Z bólów swego serca odgadł tajemnice życia, wydobył z nich namiętne barwy i upajające wonie uczuć, podał światu czarę prawd, roztopionych we łzach, jak perły w winie. To też kochanka-myślicięla uwieńczyły mądrość z miłością, filozofia z poezją.

Był inny, któremu raz objawiła się piękna kobieta i rzuciwszy na jego głowę splot liści laurowych, zniknęła. Uroczony, zapadł w głębokie marzenie, z którego wydobywał taką muzykę, że słysząc ją, najśpiewniejsze ptaki milkły zawstydzone, a drzewa nie śmiały powtarzać jej w odgłosach, ażeby niemi nie popsuć boskiej harmonji.

Był inny, przed którym kochanka uciekając snuła za sobą z jego serca, niby z kłębka, tęczową nić przedziwnej poezji, a on z tej przędzy układał wspaniałe obrazy, przez nikogo nie zaćmione, przez wszystkich uwielbiane, a przez wdzięcznych jego rodaków ozdobione niewiędnącym wawrzynem.

Było jeszcze wielu, bardzo wielu innych, których tylko muza historji policzyć umie.

* * *

Wszyscy oni śród hołdów, jakie im składano, śród chwały, jaka ich otaczała, nie zapominali o cierpieniach serc swoich i skarżyli się bogu, który był ich ojcem. Wzruszony temi żalami Apollo, zjechawszy wieczorem z modrego nieba, na którem pozostały tylko gwiazdy, niby szczątki żaru odpadłe w przelocie z gorejącej głowni, i owinąwszy tarczę słońca oponą nocy, zwołał do pałacu ze złocistej zorzy duchy swych wsławionych gienjuszem a zbolałych miłosną tęsknotą synów. Przebywały one w nowych, żywych wcieleniach na ziemi, ale stawiły się jako cienie z wieńcami na głowach.

— Witam was — rzekł — natchnione boskością dzieci moje. Wysłuchałem głosu ran waszych i postanowiłem je zamknąć.

Jedna ściana pałacu rozwarła się, a w oddali, na tle ciemnego granatu nieba wyraźnie odcięta od niego swą jasnością, w szacie przejrzystego obłoku ukazała się Dafne. Piękna wszakże jej twarz zaczęła co chwila zmieniać swe rysy, tak, że nie tracąc uroku, przedstawiała coraz inną postać. To też zebrane duchy wydały okrzyk z rozmaitych imion, gdyż każdy zawołał ku niej imieniem tej, którą kochał.

— Rozdzieli się ona, — przemówił Apollo, — na tyle postaci, ile w waszych sercach przebywa, i każdy otrzyma swoją. Ale wpierw zedrzyjcie wawrzyny z głów waszych i odrzućcie je ze wzgardą.

Czekał — duchy milczały. Nareszcie jeden z nich, jak gdyby myśli wszystkich w niego się zlały, odrzekł:

— Nie kochamy tych, które nam laur odbierają, lecz tylko te, które go nam na czoła kładą.

Zasunęła się ściana pałacu, widzenie znikło, a duchy łańcuchem mar uwieńczonych wróciły na ziemię. Apollo patrzał za niemi dumnie uśmiechnięty.

Odtąd już nie rozczula się, gdy widzi, jak jego synowie, ścigając Dafne, zdobywają wawrzyn.

Warszawa. *Aleksander Świętochowski.*

PESYMIZM.

Literatura pesymistyczna nie wyrosła na naszej glebie: zaaklimatyzowano obcy chwast. Działał tu i przypadek; autorowie uganiający się za skrajnym realizmem stali się pesymistami. Literatura ta jest zielem bardzo szkodliwem. Życie jest ciężkie, społeczeństwa walczą ze srogiemi przeciwnościami, więc, biorąc do ręki książkę lub dziennik, czytelnik pragnie i ma prawo znaleść w nich prawdę żywiącą, naukę, pokrzepiającą rozrywkę.

Tymczasem literatura pesymistyczna, stwarzając sytuacje bez wyjścia, postaci bez jednego jasnego promienia w duszy, mija się z prawdą, karykaturuje rzeczywistość, przygnębia umysł czytelnika, torturuje mu serce i w końcu zupełnie do czytania go zniechęca. Widziałem ludzi rozmaitych zawodów, mężczyzn i kobiety, rzucające książki ze wstrętem, lub z ponurym smutkiem; słyszałem, jak mówiono: człowiek przecie chce zaczerpnąć ufności i nadziei, a oni każą się albo żywcem parzyć w ogniu, albo pławić w kałużach, niech ich piorun trzaśnie! Mam ja za swoje własne pieniądze, dobrowolnie zażywać truciznę, trząść się febrycznie i przeklinać, to już wolę zgoła wyrzec się całej tej nowej literatury. Posągi greckie są nagie, ale nie mają ciała pokrytego wrzodami. Jeżeli społeczeństwo jest tak złe, że niema dla niego ratunku, to panowie pesymiści powinniby sobie logicznie pomyśleć, że dla tego społeczeństwa nie warto już pisać.

Wiedeń. *Alfred Szczepański.*

KRWAWICE.

(SANGUINES).

Już zdala słysząc jego kroki na wschodach, ciężkie, niepewne, i głos ochrypły, nucący jakąś piosenkę pijacką, poznała grozę nowego nieszczęścia.

Karol wracał z szynku, gdzie zapewne aż do ostatniego centyma strwonił całotygodniowy zarobek. Dreszcz przebiegł nieszczęśliwą; instynktownie obejrzała się na dwoje starszych dzieci, śpiących w łóżeczku: najmłodsze niemowlę śpiesznie do kołyski złożyła i stojąc na środku izdebki, o stół oparta, wybladła, przygnębiona, czekała.

Drzwi się otwarły z trzaskiem. Karol, z miną butną, z czapką z czoła zsuniętą, z rękami w kieszeniach, wołał już od progu:

— Babo, jeść dawaj!

— A skądże wezmę? — odparła ponuro. Czekałam, aż przyniesiesz pieniędzy. Czy nie wiesz, że w domu ani centyma nie pozostało?

— To weź na kredyt!

— Niema kredytu! — wybuchnęła. Na kredyt dają ludziom uczciwym, rzetelnym, nie takiemu, jak ty, pijakowi i marnotrawcy...

Zaklął straszliwie, przyskoczył do niej, za ramię pochwycił i nagle oczy, złością świecące, zmieniły wyraz, tryumfem błysnęły.

— A *to*, rzekł, wskazując na obrączkę złotą na jej palcu.

— To... powtórzyła, nie rozumiejąc.

— No tak, *to*. Weź i zastaw, albo sprzedaj, ale daj mi jeść, bom głodny. Tylko żwawo!

— Niedoczekanie twoje! — krzyknęła kobieta, wyrywając rękę. — Prawda, żeś nędznik ostatni i bodajem była skonała, zanim ten ślubny pierścień na palec mi włożono. Ale teraz już trudno; zastawiać go, ani sprzedawać nie będę. — choćby dla oka ludzkiego.

— Co? ty mnie, mężowi, będziesz opór stawiała? — wrzasnął pijak rozwścieczony, — za mną racja, za mną prawo! Jeszczeby tego brakowało, żeby nas baby za łeb wodziły! Daj zaraz, bo jak nie...

Schwycił ją znów za ramię. Krzyknęła przeraźliwie. Chrząstnął palec, obrączka już była w ręku pijaka.

— A milczeć mi tam! — krzyknął, zatrzaskując drzwi.

* * *

W domu zastawnym, w *Mont-de Piété*, stają długim szeregiem postacie różnego wieku i powierzchowności. Cienkie sukno tużurka i szare płótno bluzy, jedwabne i perkalowe staniki ocierają się tam o siebie nieustannie. A rząd pakietów, różnej wartości i miary, obojętny urzędnik odbiera z miną grabarza i składa, niby do wspólnego dołu, te szczęty ludzkiego dobytku.

Przy galeryjce drewnianej stoi Karol tryumfający, wesoły. Trzyma w ręku obrączkę żony i czeka kolei. Przed nim wcześniej przybyła kobieta, skromnie ale schludnie odziana, dość jeszcze młoda, dźwigająca zegar bronzowy — niespokojnemi oczyma patrzyła, rychło-li pojawi się urzędnik, odbierający zastawy.

Ukazał się nareszcie. Sięgnął po fanty, rozdał mosiężne numera.

Kobieta opuściła głowę, machinalnie numer obracając w ręku. Karol rozsiadł się na ławce, pogwizdując i spluwając na przemiany.

Po długiej chwili oczekiwania zabrzmiał nosowy głos z poza drewnianej przegrody:

— Numer 34. Dwadzieścia franków.

— Przyjmuję! — zawołała kobieta skwapliwie. Błysk zadowolenia rozjaśnił jej oczy, odetchnęła z głębi piersi.

Ale w okienku przegrody urzędnik zawołał ponownie:

— Numer 34!

— Przyjmuję.

— Nie o to idzie, — odparł niecierpliwie. — Ma pani upoważnienie?

— Upoważnienie? — powtórzyła, nie rozumiejąc.

— No, tak. Ileż razy powtarzać wam trzeba! *Upoważnienie*, od męża.

— Od męża?... ależ... zająknęła się zmieszana. Mąż... ja nie wiem... Opuścił mię od kilku miesięcy... Zostałam sama... z dzieciną... Ja... ja koniecznie (tu głos jej drżeć począł tłumionemi łzami) ja... koniecznie potrzebuję... Moi panowie...

— Od kobiet zamężnych bez upoważnienia zastawów nie przyjmujemy, wygłosił urzędnik uroczyście. — Proszę.

I pakiet jej zwracał.

Ale ona błagała dalej:

— Panie, to moje... moje własne... za mój zarobek kupione. Mąż mój, ach, gdzieby on tam kupował dla mnie zegary!... Uciekł z jakąś nędznicą. Jestem szwaczką; dotąd mi się dobrze powodziło, ale teraz dziecko chore...

— Dość, — przerwał ostro urzędnik. — Takie prawo. Trzeba upoważnienia męża.

— Numer 36. Pięć franków, — zabrzmiał nosowy organ taksatora.

— *Bon*, przyjmuję, — zawołał Karol ucieszony.

I przechodzącej obok niego kobiecie z zegarem, po której młodem licu spływały teraz łzy rzęsiste, szepnął w ucho filuternie:

— Może na kieliszek pani pójdzie ze mną? ja funduję!...

Paryż. *Marja Szeliga.*

ROWNOUPRAWNIENIE KOBIETY POLSKIEJ.

(STAN SPRAWY, PRZYCZYNY NIEPOWODZEŃ I NAJBLIŻSZE ZADANIA).

Ogólno-europejski prąd, równouprawnienie kobiet mający na celu, dotknąwszy naszego społeczeństwa, wywołał i u nas zjawiska do zachodnio-europejskich podobne: walkę starych pojęć z nowemi, krańcowe przejawy i postępowych, i wstecznych dążeń. Mieliśmy więc, i dziś mamy, nietylko potężny zastęp wsteczników, ale i kobiety „tak nawykłe do długo i cierpliwie noszonej obroży, że gotowe są kąsać rękę, co ją targa". Wszystko to są zjawiska, jakkolwiek i nie zawsze naturalne, ale zbyt wspólne wszystkim narodom, abyśmy pogodzić się z niemi nie mieli.

Jeżeli jednak, ogólnikowo rzeczy biorąc, podlegamy w tym względzie prawom powszechnym, rozpatrując szczegółowiej nasze i świadome, i bezwiedne usiłowania emancypacyjne, zauważymy, że w ostatnich szczególniej czasach usiłowania owe nie wzmagają się, lecz słabną, t. j. w porównaniu z Zachodem przedstawiają zupełnie odwrotne zjawisko.

Rzeczywiście, wtedy gdy na Zachodzie ruch ów, wytykając sobie jasno i ściśle określone cele i skupiając się pod egidą coraz świadomiej obmyślanych haseł, rozszerza się też na coraz większe masy niewieście, u nas ogół niewieści i do dziś dnia hasłom owym jest obcy, i na ruch emancypacyjny zapatruje się, jako na kaprysy rozgoryczonych, a podstarzałych panien, lub wybryki entuzjastek, ekscentrycznie na mężów polujących.

Wtedy więc, gdy na zachodzie szerokie spopularyzowanie haseł emancypacyjnych sprawiło, że dziś, szczególniej w Ameryce i Anglji, kobieta, zdobywająca sobie wiedzę, nie potrzebuje już iść przebojem, liczne bowiem stowarzyszenia, nietylko ochronią ją od głodu i chłodu, ale, co ważniejsza, podtrzymają moralnie, u nas podawnemu całą wielką sprawę wyzwolenia kobiety niosą na swych barkach jednostki, obdarzone niezwykłemi zdolnościami, wyjątkową siłą.

Chlubić się możemy, że jednostek tych mamy tyle, iż wielka ta sprawa nie zamarła zupełnie i dotychczas wśród nas się kołacze; ale jakże upokarzającem jest dla nas zestawienie rozpaczliwych, niepewnych jutra wysiłków naszych jednostek ze zbiorową, pewną swej przyszłości pracą innych społeczeństw! Oprócz kilku szkół rzemiosł, rzemiosł najnędzniejszych i kursów krakowskich z okruszynami wiedzy, nic, zdaje się, w tym względzie nie zrobiliśmy. Wytknięcie tedy najogólniejszych, wedle naszego rozumienia, przyczyn tak smutnego stanu rzeczy i wskazanie najbliższych zadań zbytecznem być nie powinno.

* * *

Wiedza wśród wszystkich zdrowych społeczeństw miała, ma i mieć będzie pewien wielki i naturalny urok. Urok, spadek czci boskiej, oddawanej pierwszym wielkim ludzkości dobroczyńcom, urok, którego rozwiać nie zdołały ani chwilowe przedstawicieli tej wiedzy zboczenia ani stosy inkwizycji. Urok ten, wyrobiony i pielęgnowany przez wieki, stał się w nas instynktem. Dziś już mimowoli, bezwiednie, uchylamy czoła przed wiedzą. Odarte chłopię, nędzny żydziak, rwący się do książki, wzbudzają ku sobie cześć i szacunek bezwiedny, jako istoty wyższe, niby urodzeni owego ognia świętego stróże i kapłani. W najczarniejszych epokach ów instynkt zbawiał ludzkość, on — zadatkiem ciągłości naszego postępu, on wykorzenionym i wyrwanym z człowieka być nie może, gdyż byłoby potrzeba na to tyle tysięcy lat, ile ich poszło na jego wyrobienie.

Nie może być wygubionym w całej ludzkości, może jednak być silnie spaczonym, prawie że zatraconym w pojedyńczych społeczeństwach. Społeczeństwom takim grozi ruina.

Kilkowiekowa, szeroka oświata, której wpływom podlegało nasze społeczeństwo, wyrobiła w nim ów instynkt do stopnia samowiedzy, ugruntowała go tak silnie, że późniejsza kilkowiekowa ciemnota, aby mogła działać na społeczeństwo, musiała przybrać na się pozory wiedzy i pod tą pokrywką siać chwasty i kąkol. Pomimo świetnych postępów czarni słudzy Lojoli nie odważali się nigdy na jawny pochód przeciwko oświacie i wiedzy, występowali przeciwko kierunkom i zasadom.

I oto teraz, w chwili, w której brak ludzi wykształconych uczuwamy w każdej sprawie, na każdym kroku, gdy ilość analfabetów wśród ludu dochodzi u nas jeszcze do 70%, a epoka, w której żyjemy, nawet chińskim mandarynom udowadnia, że wiedza wielka, wiedza szeroka i głęboka jest obecnie czynnikiem nie mniej potężnym, jak ziemia — w takiej oto chwili dotknęła nas hańba, której oszczędzili nam jezuici. Postawienie bowiem publiczne pytania o nadmiernej ilości ludzi wyżej wykształconych, postawienie i poważne omawianie w kołach szerokich jest hańbą, która nigdy nas nie dotykała. Wiedza, jako źródło doskonalenia się, jako droga do wyższego świadomego siebie istnienia, dla nas już nie istnieje. Szlachetny instynkt człowieczy w pewnych kołach naszej inteligencji paczy się i zanika. Jest to coś tak dzikiego i potwornego, że wobec udowodnionego naszego zwyrodnienia fizycznego, musimy fakt ów uznać za jaskrawy, jakkolwiek może mniej szeroki, objaw zwyrodnienia umysłowego znacznej części naszego wykształconego ogółu.

A jeżeli stoimy tak nizko, że możebną jest u nas rzeczą publiczne identyfikowanie egoistycznych, drobnych interesów jednostek z interesem publicznym, jeżeli my pozwalamy o swej męskiej wiedzy mówić, że jest zbyt szeroko rozlaną, „bo p. X., nie mogąc otrzymywać na miejscu 3.000 rubli nie może mrzeć z głodu na dziewięciuset lub sześciuset rublach, więc musi wy-

jechać z kraju", — to cóż powiedzieć możemy o tem, *jak niskiem, jak mało rozwiniętem jest wśród nas poczucie potrzeby wiedzy dla kobiet.*

Jest to pierwsza kardynalna przyczyna niepowodzenia naszych usiłowań emancypacyjnych.

Pomimo tej głównej *ogólnie rozpowszechnione mniemanie, że kobieta nasza zawsze znajdowała się w stanie prawnej i ekonomicznej zależności i bywała jednakże i zacną matką, i dzielną obywatelką kraju, jest drugą przyczyną, tamującą u nas rozwój emancypacji.*

Tymczasem rzecz się miała zupełnie odwrotnie. Była rzeczywiście niewiasta polska i zacną matką i dzielną obywatelką, jak bywa nią i teraz jeszcze, ale przygotowała ją do tego, nie niewola, ale wolność domowa, niezależność ekonomiczna, niezawisłość prawna.

Nasza nauka historyczna jest rozwinięta, ale tylko w porównaniu z innemi działami nauk, które są u nas w zupełnym zaniku lub kiełkują dopiero, w porównaniu zaś z rozwojem wiedzy historycznej na Zachodzie rozwój naszej wcale nie jest bujnym. Trudno uwierzyć, a jednakże jest faktem, że przeszłość naszych kobiet nie ma ani jednej książki, ani jednej pracy, któraby w sposób naukowy, krytyczny ją samą właśnie przedstawić się starała. Wykazywałem już raz („Tygodnik Powszechny" 1877 r.) ów wielki brak w naszej literaturze historycznej, a rozpatrując statuty wiślickie Kazimierza Wielkiego i współczesne akta grodzkie i ziemskie, dowiodłem, że wbrew utartym mniemaniom o odwiecznej zależności kobiet w Polsce, kobieta nasza w XIV i XV wieku:

1) Była mocną przelać swe prawa na czemkolwiek posiadane na osobę drugą.

2) Sama i bez asystencji męża w sądach stawać nietylko mogła, ale była obowiązaną, i mówić tamże, i bronić się mogła osobiście.

3) Dziedzicząc własność ziemską, posiadała ją ze wszystkiemi prerogatywami do prawa własności podobnej w owym czasie przywiązanemi.

4) Będąc pełnoletnią, z pod wszelkiej opieki krewnych własnych i męża wyjęta była, rządziła sobą i swym majątkiem niezależnie.

5) Prawa dziedziczenia majątków ojczystych mogła być pozbawioną tylko na mocy osobnego przywileju osobiście przez panującego na rzecz linji męskiej wydanego.

Późniejsza więc zależność kobiety polskiej jest nabytkiem epoki upadku, gdy gwałtowne zniżenie się oświaty spółdziałało w sferze stosunków prawnych wpływom wytworów tak potężnych swą konsekwencją i skończonością, jak prawa: rzymskie i kanoniczne. Wiek XVII i XVIII pozbawiły kobietę najistotniejszych praw dawniejszych. Jeżeli więc dziś przeciwnicy równouprawnienia powołują się na przeszłość, to niechże wiedzą, że odwoływać sią mogą tylko do tej przeszłości, która lepiej, aby nie istniała w życiu ojców naszych, bo to przeszłość naszej ciemnoty i zgnilizny społecznej. Jeżeli i wówczas, jak i dziś, spotykamy nierzadko kobietę człowieka, zawdzięczamy to sile opornej narodu, instynktowo przechowującego swe szlachetniejsze ideały.

Trzy stulecia praw nieprzychylnych kobiecie zrobiły jednak swoje: wykoszlawiły nasze pojęcia, wykorzeniły poczucie sprawiedliwości, i wolna niegdyś polka podziela dziś los swych siostrzyc zachodnich, z tą różnicą, że gdy dla tych ostatnich z poza chmur czarnych świeci już światłem wielkiem jutrznia lepszej doli, każda próba przychylenia tej doli i naszej niewieście wywołuje złowieszcze krzyki: „zawiele, zawiele światła"!

* * *

Jakże walczyć z tak smutnym stanem rzeczy, jak rozbudzić uśpione sumienie ogółu, jak zachęcić kobietę do upomnienia się o swe prawa?

Żywy przykład dzielnych jednostek uznajemy, naturalnie, za najsilniejszą podnietę, aby jednak pożądany skutek mógł uwieńczyć zacne usiłowania, aby siły owe nie wyczerpywały się w walce z apatją śpiącego ogółu i donkiszoterją wstecznictwa, *winny one zespolić się w to, w co zespoliły się na Zachodzie: w stowarzyszenia. Tylko stowarzyszenia mogą dalej posunąć od tak dawna już u nas w ruch wprawioną emancypację.*

Stowarzyszenia podobne pomimo wzajemnej pomocy materjalnej i moralnej: agitowania ideji emancypacyjnych, winny przedewszystkiem: 1) Raz nareszcie podnieść drażliwą kwestję zrównania cywilnych praw kobiety z prawami mężczyzn, a więc uwolnienia pełnoletniej od wszelkiej opieki męskiej, zrównania praw córek z prawami synów pod względem spadkobrania i t. d. 2) Ująć w swe ręce incjatywę w sprawie zreformowania szkolnictwa żeńskiego.

Ostatnie to zadanie, stosownie do warunków czasu i miejsca różnorodnie spełniane, wszędzie jest u nas nowiną, w której każda skiba, wspólnemi odwrócona siły, silne obiecuje plony. Potrzeb tu mnóstwo i sposobów ich zaspokojenia nie mniej zapewne, zastanowimy się więc choćby nad jedną, najważniejszą wedle naszego mniemania.

Otwarcie zreformowanej, wzorowej szkoły średniej uważamy za najpilniejszą bieżącą potrzebę naszego szkolnictwa żeńskiego.

Pod naciskiem prądów nowych bezwątpienia reformuje się potrosze i szkoła żeńska i postępów zrobiła nie mało; dotychczas jednak, zdaje się, nie mamy ani jednej szkoły żeńskiej średniej, której program odpowiadałby programowi szkół męskich. Nauka, udzielana kobiecie, udziela się jej w mierze, w jakiej żyd woźnica udziela karmi koniowi: „aby nie zdechł". I my dajemy kobiecie nauki akurat tyle, „aby zbyt mądrą nie była".

Tymczasem popyt na naukę, nieprzepuszczoną przez filtr haremowej prawomyślności, jest dziś tak wielki, że wątpić nie można, iż szkoła średnia zreformowana, t. j. szkoła nietylko całkowicie obejmująca program męskiej szkoły średniej, ale, dzięki pewnym modyfikacjom, rozszerzająca ów program, miałaby niewątpliwe powodzenie.

Szkoła taka, stosując się do wymagań współczesnych, musiałaby wprowadzić język łaciński; rozpoczęcie jednak wykładu tegoż od klasy IV i zupełne usunięcie języka greckiego, dałoby możność rozszerzenia programu historji nauk przyrodzonych i matematyki. Dążeniem szkoły byłoby nietylko przygotowanie uczennic do dalszej nauki uniwerstyteckiej, ale, i to byłoby jej głównem zadaniem, przygotowanie gruntownie, wszechstronnie i harmonijnie rozwiniętej inteligencji średniej.

Przy tak zreformowanej szkole w miarę potrzeby należałoby otwierać kursy praktyczne: jednoroczne, przedewszystkiem akuszeryjne, buchalteryjne, dwuletnie pedagogiczne i t. d. Nie mając możności, ze względu na brak miejsca, szerszego omówienia programu samej szkoły, zatrzymamy się chwilę nad owemi kursami.

Powiedzieliśmy: winny być otwarte „przedewszystkiem akuszeryjne", sądzimy bowiem, że ze wszystkich zawodów, dziś kobiecie inteligentnej dostępnych, akuszerja jest najbardziej zaniedbanem, u nas zaś ze względów, o których niżej mówić będziemy, najszlachetniejszem polem.

Nieobcą wam zapewne niedawno ujawniona, smutna dla nas sprawa fizycznego zwyrodnienia naszego plemienia — sprawa jakkolwiek lękliwie przez

nas zacierana, jednakże istniejąca i groźna. Przyczyn działających tu mnóstwo; nie wątpię jednak, że każdy kto się nad tem zastanowi, przyzna mi, że pomiędzy przyczynami temi niepoślednią rolę odgrywają i warunki, wśród których $^9/_{10}$ naszych dzieci zjawia się u nas na świat boży. Spotykałem w Rosji kobiety-doktorki, które, służąc w „ziemstwach“, miały bardzo rozległą, i to wyłącznie chłopską, przeważnie niewieścią, praktykę. Cóż się tedy okazuje? Oto wbrew również powszechnym mniemaniom o zdrowiu ludu wiejskiego wśród kobiet zamężnych znajduje się ogromna ilość chorych, dzięki... domorosłej akuszerji.

Czyż u nas jest, czy może być inaczej, wobec niewątpliwie większej materjalnej nędzy wśród ludu? Może być inaczej, ale tylko gorzej. Ile dzieci najzdrowszych ginie, ile matek skazuje się na powolne konanie, o tem nikt zapewne nie wie i wiedzieć chyba nigdy nie będzie. Bydlę cenniejsze staramy się w tym względzie postawić w lepszych warunkach, bydlęciu wreszcie nikt nie narzuca przesądów głupoty i ciemnoty, nikt nie gwałci praw mądrej natury. Co się zaś dzieje wśród ludzi — opisać dziś niepodobna. Tu dolina łez i nędzy człowieczej, jakkolwiek ujęta w ciasne ramy ścian czterech, występuje w całej swej wstrząsającej grozie. Tu, w tej dolinie, cierpiących bez winy, posterunki, na których zwartą falangą oddawna stać powinien zastęp młodej dzielnej i szlachetnej inteligencji niewieściej. A któż tu dziś stoi?

W najlepszym razie proste rzemieślniczki fachu — po miastach; baby głupie, zabobonne — po wsiach.

Niechże stanie na tem poważnem i odpowiedzialnem stanowisku wykształcona i energiczna młodzież niewieścia: chleb twardy, co prawda, ale pewny, i wielkie serdeczne „Bóg zapłać“ całego narodu będzie jej nagrodą!

Wskazując tak skromne stanowiska do zajęcia, nie wykluczamy, broń, Boże! dążenia do oświaty wyższej; przeciwnie, niech te, co mogą i mają siły po temu, kształcą się najwyżej, ze względów jednak wielu pożądanem jest, aby nabywana przez kobiety nauka mogła być natychmiast wśród społeczeństwa stosowaną. Jak wiara bowiem bez uczynków martwą, martwą jest także i nauka. Czynem żywym niech udowadnia wykształcona kobieta, że chce i umie pracować, aby zaś tak było, niech po otrzymaniu, czy to gruntownego średniego wykształcenia, czy też i wyższej wiedzy, przechodzi do zawodów, choćby i przedewszystkiem tak niesłusznie i nierozumnie upośledzonych, jak wskazane. Niech, stojąc tu, wleje otuchę w brać swą męską, skruszy kult złotego cielca, nauczy, że prawdziwa oświata nie boi się chleba twardego. I bramini, i kuglarze naszej wiedzy przypomną sobie wtedy, że, jak wielkie i szerokie dzieje ludzkości, we wszystkich niezliczonych księgach tych dziejów głoskami, krwią ludzką znaczonemi, błyszczy jedna wielka prawda: „błogosławieni szerzący wiedzę“. I ocknie się w nich zagłuszony instynkt człowieczy, otworzą się bramy wszechnic starych i plemię niewieście w tryumfie zasiędzie tam, nie do okrawków wiedzy, ale do stołów, gnących się pod ciężarem najgłębszych umysłu ludzkiego zdobyczy.

Petersburg. *Adam Szymański.*

PIEŚŃ PODSŁUCHANA.

Z wielu miłych wspomnień, jakie mi zostały z czasów mego nauczycielstwa po wsiach, gdziem naszą jasnowłosą chłopską dziatwę uczył — szczególniej jedno uwięzło silnie w mózgu i sercu. Stało się ono więcej niż pieszczotą mego życia — stało się świętością, i nic nie zdoła go zatrzeć i z niem już umrę.

Jesienią 1873 roku, gdym w okolicach Czerwińska, po długiej przyjacielskiej pogawędce z ks. Piotrem Jabłońskim, opuścił progi jego plebanji w Radzikowie, była już noc późna, ziemię zalegała gęsta mgła, i wśród majestatycznej dokoła ciszy, unosił się w przestrzeni poważny księżyc w pełni. Szedłem pieszo do odległej stąd trzy wiorsty wsi Boguszyna, gdzie miałem szkołę — i idąc z początku miedzą przez pola, potem doliną między wzgórzami, wpatrywałem się w otaczającą mnie zewsząd sinawą mgłę, którą miejscami lekko światłocienił mistrzowskim pendzlem gienjalny malarz księżyc, ów księżyc w górze zadumany.

Fantastycznych kształtów z świetlanemi rąbkami kłębiące się obłoki mgły, w których się posuwałem, oraz głęboka, pełna boskiego uroku cisza, wysoko podniosły duszę.

Wpatrywałem się w oną cudną naturę, i pieściłem ucho jej ciszy koncertem, którego huczniejsze ustępy stanowiły: stoczenie się kropli rosy z źdźbła na źdźbło trawki, lub szelest spadku zeschłego z krzaku listka... Stąpaniem mem zbudzone żabki umykały mi zpod nóg, skacząc na łąkę, i żerujące szaraki pomykały spłoszone w góry. Kiedy zaś, przerzynając się wciąż przez morze mgły, dostałem się na wynioślejsze miejsce, uderzył mnie nagle widok dziwny.

Z po za sinawej opony pary drgał zdala w nizinie krwawy słup niewyraźnego ogniska, a przy nim, gdyby widma jakie, majaczyły ciemne sylwetki ludzkie, to znów wzruszały ogień koszturami, zpod których jaskrawe płomienie i złote gwiazdy iskier wzlatywały. Byli to pasterze — strzegli pasących się obok na rżysku koni.

Zachwycony poetycznym obrazem, postąpiłem na wierzchołek góry, skąd dostrzegłem dalej i drugie podobne, omglone ognisko, z szeroką nad niem łuną, z szarą wstęgą dymu, a płynęła odeń stłumiona pieśń skrzydlata, niewysłowionego uroku... Siadłszy na wilgotnym kamieniu, wsłuchiwałem się w oną cudną melodję ludową, gdy rozległo się pienie i przy bliższem mnie ognisku, pienie z głębi serc, z całą potęgą uczucia, głosem dźwięcznym i donośnym.

I odpowiadali sobie zdaleka pastusi obydwóch ognisk na śpiew śpiewem, śpiewem tęsknym, mazurskiej, rodzinnej mej ziemi!... Ha!... pełzał on smętny po łąkach, to wybiegał przeciągły wysoko, wołając skargą jakąś, nieokreślonym bólem, a wzrastając w tempie i sile, wybuchał następnie krzepkim chórem, dziarskim rozgwarem, porywał sobą śpiewaków, i ci, ujmując się wtedy za ręce, puszczali się w taniec długim wieńcem koło ogniska... Potem znów rzewna pieśń jęczała, a gdy zmilkła przy jednem ognisku, odzywała się przy drugiem. I stojący opodal starcy, kiwając się wsparci na kijach, pochwytywali w pewnych pauzach dalszy pieśni wątek, snując go w takt nizkiemi tony, dopokąd ich znów chłopcy nie podnieśli do dźwięków wysokich. Tak mknęły tony szeroko po rosie, i bogińka odgłosu Oźwiena, kochanka Wołosa, boga pasterzy, miłośnika gędźby, powtarzała zza gór każde brzmienie wdzięcznem echem. Długo tak zawodziły one ciemne przy ogniskach widma. Słaniały się przy nich w mroku spętane konie, tentniąc kopytami po rżysku, i otulała to wszystko mgła sina, różowiona płomieniami ogni, i przypatrywał się temu z góry księżyc, owa nasza słowiańska, nadobna Nocena.

Pieśni, o której mówię, próżnoby szukać w wydanych ludowych śpiewnikach. Nie miała ona słów, była przelotnym utworem chwili, i sam już więcej nad ten raz jeden nie słyszałem jej w tych, ani innych stronach. Żadne dzieło muzyczne, żadna opera najbardziej nawet narodowych naszych kompozytorów, nie przemówiły tyle do mej duszy, co ów prostaczy, i z tą malowniczą żywej natury dekoracją — śpiew pastuszków. Stał się on dla mnie iskrą z niebios, ogniem Dyblika. Noc ową, z jej obrazem i śpiewem odczuwam dotąd w snach i na jawie. W ciężkich chwilach życia, czy zabierając się do nowej jakiej pracy literackiej, uprzytomniam ją sobie zawsze — wspomnienie jej dodaje mi sił, orzeźwia znużonego ducha.

Warszawa. *Hipolit Bogumił Tarczyński.* [1])

[1]) Zmarł w Warszawie dnia 2 listopada 1892 roku.

OŁEKSA DOWBOSZ,

WATAŻKA OPRYSZKÓW HUCULSKICH.

(Podanie o nim ludu, a fakt historyczny).

Lud huculski we wschodnich Karpatach zamieszkujący wysoko położone doliny, stoki gór i jary zapadłe, po nad górnym Czeremoszem, Prutem i obu Bystrzycami, jest jeszcze po dziś dzień najbardziej charakterystycznym ludem naszym górskim. Żaden lud nie przechował dotychczas tylu rysów znamionujących przeszłość odległą, żaden nie posiada cech tylu oryginalnych. Ponieważ Huculi zajmują oddawna strony niedostępne, graniczne dawniej między Polską, Mołdawją a Węgrami, rozwinęło się przeto u nich w przeszłych wiekach trwające nawet do trzeciego dziesiątka teraźniejszego wieku niepokojące do koła zbójnictwo. Zbójnik, zwany tu „mołodec“ albo „czarnyj chłopec“ był zawsze dla Hucuła ideałem męstwa, dzielności, a nawet i pewnej szlachetności. Do dziś dnia wspominają o nich w górach ze czcią nie małą. Zapomniane są dziś imiona watażków, rozbijających ze swemi drużynami w tych górach jak Hnata Bajuraka, Pinty, Fedja Żałuby, Iwana Piskliwego, Pyłyniaka, Petra Bednaruka i innych, ale imię Ołeksy Dowbosza góruje ponad wszystkiemi, a czyny niejednego z watażków przeszły na tego największego z pomiędzy wodzów zbójeckich.

Od granic Bukowiny, aż daleko po za granice Huculszczyzny, w krainie Bojków, żyje ciągle w tradycji u górali Ołeksa Dowbosz, o którym opowiadają, jako o człowieku nadzwyczajnym, co borykał się nieraz sam z całem wojskiem, posiadał skarby ogromne, które innym z całą rozdawał hojnością, bronił słabszych, dawał ubogim, był nawet nader nabożnym, szczodrze cerkwie obdarzając, a prócz tego postać watażki owiana była urokiem cudowności — mawiano bowiem, że się go kula nie imie.

Różne o nim słyszałem podania, w okolicach zapadłych ponad Czere-

moszem, to nad rozworami dopływów górnych Prutu, lub nareszcie w stronach zamieszkanych już przez Bojków nad dopływami Łomnicy i Swiecy.

I tak, opowiadano, że kiedy Ołeksa małym był jeszcze chłopcem, szedł sobie razu jednego ciemnym borem z „puszką“ (strzelbą u Hucułów), wówczas powstała wielka ulewa z łyskawicami, i „didko“ (djabeł) uciekał przed gromem, kryjąc się pod gałęzie gęste buku starego, a ukrywszy się „Hospodu Bohu“ w djablej swej złości pokazywał język. Chłopiec, widząc to naigrawanie się, odważył się strzelić, i krew z didka się posączyła. Wtedy zjawił się „anheł“ z nieba, zapytując się chłopca, czegoby za to od Boga zechciał... to otrzyma. „Choczu maty syłu“, — odrzekł Dowboszczuk. — Anheł kazał mu dłoń pokazać, a napluwszy w nią, jak to czynią chłopi, kazał mu teraz wyciągnąć blizko rosnący świerk niewielki. Gdy to się stało, wysłaniec niebieski zapytał: czyli teraz zadowolony? „Nie“, — mruknął chłopiec — „choczu bilszu syłu maty“. Wówczas, powtórzywszy anioł to samo, co przedtem, polecił mu grubszą wyciągnąć jodłę. Ale chłopak jeszcze nie był zadowolony. Dopiero za trzecim razem kazał mu wyciągnąć z korzeniami starego buka. Wtedy już rad był Ołeksa, że dostał taką siłę. I odtąd był najsilniejszym z ludzi: nie dziw, że później bijał się z całą sotnią i zwyciężał.

W innej znów stronie opowiadano, jak jeden z jego drużyny zbuntował się przeciw watażce: wówczas Dowbosz, chwyciwszy za topór, odrąbał mu za jednym zamachem obie nogi, a że był wspaniałym, pozostawił mu na utrzymanie dwa garnce „biłych“ (talarów lub może „srokowców“), dodawszy do tego puszkę, żeby się miał czem bronić. Dowbosz karał surowo, ale był hojnym w rozdawaniu: mówią o nim, że niejednemu dał cały „bordjuch“ (kozią skórę) „biłych“ a nawet i „żowtych“ dukatów.

Słychać też wiele o wyprawach jego na miasta podkarpackie, jak Kosów, Kałusz, Bolechów, szczególnie żydom, jako „nechrestom“ nie przepuszczał; to też pereł i łańcuchów złotych, zrabowanych u żydów, wiele było u niego.

Koniec Dowbosza był również romantycznym. Jako „łycar“ niezwykłej urody, kochał się często; krasawice i mołodyce za nim przepadały, lecz je często porzucał. Opowiadają, że żona niejakiego Dzwinki, gazdy z Kosmacza (wsi rozległej, w głębokiej między górami kotlinie, blizko źródeł Pisłyńki), z którą watażka stosunek miał miłosny, dowiedziała się razu pewnego od kochanka, iż tylko taka kula jąć go się może, nad którą wraz z dodaniem „proskurnego“ ziarna „świaszczennyk“ odprawiłby dwanaście „służb bożych“. Dowbosz, zdradzający często swoje kochanki, okazał się niewiernym i dla Stefanichy Dzwinczuczki. Wówczas ona w gniewie porozumiała się z mężem i zdradziła tajemnicę. Gazda też czemprędzej postarał się o taki nabój i zasiadł wtedy za piecem, kiedy watażka podszedł w nocy pod drzwi chaty, a chcąc się dostać do wnętrza, wyważył je, lecz w tej chwili Dzwinka strzelił, i padł straszny watażka.

Zdawaćby się mogło, iż całe podanie o Dowboszu jest tylko wymysłem bujnej fantazji ludu górskiego, jak podobne o Janoszku może, w Tatrach, lecz, na szczęście, posiadamy dokumenta piśmienne z owych czasów, kiedy żył Dowbosz.

I tak, niedawno temu odkryto w Kosmaczu u pra-prawnuka wspomnianego Dzwinki dokument przechowywany w rodzinie treści następującej:

„Józef Alex. z Prussów Xiąże na Jabłonowie y Łanowcach, Hrabia na „Lisiance y Zawałowie, Liber Baron na Podhorcach JABŁONOWSKI, Woje„woda generał Nowogrodzki y Sądowy ziemi Ruskiej, Korsuński, Wołyński, „Orysztyński, Zagościelne, Dzwinogrodzki etc. Starosta Rastanuski, Lanażyski

„(mniej czytelne) dzierżawca, kawaler orderu Rzymskiego św. Huberta woysk „koronnych Rotmistrz. Wiadomo czynię, komu o tym wiedzieć będzie należało, „osobliwie jednak Im. P. P. Komisarzom y gubernatorom klucza mego Jabło„nowskiego, teraz y na potym będącym, iż ponieważ Stefan Dzwinczuk Poddany „moy Dziedziczny ze wsi Kosmacza Olexę Dobuszczuka, Herszta wszystkich „Niecnot y zbrodni, smoka w gurach (sic) Zapruckich wychowanego, a życie „y substancyę obywatelów Pokuckich pożerającego, zniósł y zgładził z tego „świata, za co niech Bogu będzie cześć y chwała nieskończona, że ustawiczną „Boyaźń (sic) u Obywatelach kraju Pokuckiego uspokoił, y pożądane bezpie„czeństwo przywrócił, zaczym za ten dowód wierności y Życzliwości tegoż Ste„fana Dzwinczuka poddanego mego pokazany, zachęcając y innych do tych „Dzieł chwalebnych, uwalniam go do zgonu życia jego od wszelkich Danin, „Podatków, Czynszów y innych jakichkolwiek Powinności, tak Dworskich iako „y gromadzkich (Na którego nawet Herszta Opryszków woysko koronne y Lu„dzie Nadworni Imci Potockich chodzili y uporać go nie mogli do Dwóch „y półtrzecia Tysiąca w Liczbie) które to prawo dla Lepszey wiary przy zwy„kłej Pieczęci mojej Ręką moyą podpisuję".

„Datum w Jabłonowie die 20 Obris. A. 1745. J. X. z Prussów Ja„błonowski".

Pra-prawnuk żyje do dziś dnia w Kosmaczu, jest poważanym gospodarzem, i akt ten przechowuje jako świętą rodzinną pamiątkę.

Z aktu tego widać, że Dowbosz, o którym co do pobytu jego w górach pod względem chronologicznym nie umie lud powiedzieć, żył w przeszłem stuleciu, a zginąwszy w r. 1745 lub nakrótko przed tym rokiem, rozbijać musiał głównie za Augusta III. Oprócz tego, pokazuje się z tego dokumentu, że wielkie nań robiono wyprawy, i liczne oddziały wojsk nie mogły drużynie jego dać rady.

Z aktów dawnych miejskich w Stanisławowie, których część poszła do Bibljoteki Ossolińskich we Lwowie, dowiadujemy się więcej o tym strasznym watażce.

I tak wypływa z nich, iż ojciec jego, Wasyl Dowbosz, mieszkał w Peczeniżynie (miejscowości położonej na początku gór Karpackich, parę mil od Kołomyi odległej) i oprócz stadko owiec nic więcej nie posiadał. Miał dwóch synów, Ołeksę i Iwana. Ołeksie nie podobało się życie spokojne, udał się przeto w głębokie góry i już w r. 1738 stanął na czele drużyny, z którą wybierał się na dalsze wyprawy. Ojciec Dowboszów umiał nawet wyzyskać swoje stanowisko jako ojciec ogólną bojaźń wzniecającego opryszka, przybywali bowiem do niego nieraz żydzi z podarunkami, żeby im syn jego dawał spokój. Ołeksa przychodził nawet nocą do ojca, zapukawszy do okienka mieszkania. Komisarz ówczesny dóbr pańskich odzywał się do starego Wasyla, żeby syn jego porzucił zbójnictwo a wracał do domu, zapewniając, iż niczego się bać nie potrzebuje. Było to zaś daremnem. Rzuca to niejakie światło na słabe rządy ówczesne za Augusta III, jeśli takie mogły być stosunki. Drużyna Dowboszowa nieraz piła w karczmie we wsi, a popiwszy się „panowie mołodcy", w kłótni zarąbali nieraz nawet którego ze swoich druhów — mimo to nikt ich nie wyłapał. Niejeden z podstarościch wiedział, gdzie przebywa drużyna Dowboszowa, lub gdzie piją, w której gospodzie, atoli bał się ich zaczepiać. Pokazuje się nawet z aktów, iż nietylko Huculi bywali z opryszkami w zmowie, ale i żydzi, naprowadzając, gdzie opryszki zastać mogą grosz w skrzyni chowany. Akta wspominają, że nawet i żona księdza unickiego z Sopohowa, która rolę grała ich skarbnika, i druga jakaś pani, Michałowska, bywały w zmowie z opryszkami. Ostatnia otrzymała nawet od nich dziesięć sznurów korali.

Z protokółów w aktach okazuje się, że Dowbosz pod zimę rozpuszczał swoją drużynę, a na następną wiosnę zaznaczał im miejsce zejścia się, najczęściej w dalszych częściach niedostępnych łańcucha czarnohorskiego, koło góry „Stogu“ lub innej wśród dzikich wertepów blizko Bukowiny a Siedmiogrodu.

Stefan Dzwinczuk stawał 27 sierpnia r. 1745, jak widać z aktów, w ratuszu, w Stanisławowie, gdzie spisano z nim protokół, opiewający, jak następuje:

„Działo się na ratuszu miejskim Stanisławowskim die 27 Augusti, Anno „1745. Przed obopólnych urzędów sławetnymi panami Szymonem Gaczkowskim, „wójtem jurysdykcyi polskiej y Michałem Amirowiczem, wójtem jurysdykcyi „ormiańskiej i t. d. i t. d.“.

Z tych aktów pokazuje się, że Stefan Dzwinka z Kosmaczu zastrzelił Dowbosza, lecz przygoda owa z żoną Dzwinki jest utworem wyobraźni ludu, w rzeczywistości zaś był tu spór między teści a zięciem o wiano, teści w złości powiedziała Dowboszowi, że go Stefan usiłuje zabić, przez co watażka postanowił go uprzedzić, a tymczasem, gdy drzwi wyważył do chaty, padł ugodzony przez Stefana. Po śmierci zabrano ciało Dowbosza na wóz i obwożono po wsiach, żeby wszyscy naocznie przekonać się mogli, iż ten straszny watażka już nie żyje.

Stanisławów. *Juljusz Turczyński.*

»NA ODMIENNYCH NUTACH«.

W świecie fantazji ludowej są niektóre motywa tak nadzwyczaj ulubione i popularne, że i w piosnkach, i w opowiastkach, i w symbolice można się zawsze spotkać z niemi. Rzecz jednak godna uwagi, że to szerokie koło, w którem się rozbiegły, przedstawia zwykle dwa odrębne działy i potrąca o dwie różne nutki, tak, że można je bodaj jeograficznie podzielić na półkule zachodnie, gdzie odzywają się same wesołe tony, i na półkule wschodnie, w którem brzmią tony tęskne i uczuciowe. Fakt ten, który każdego etnografa zapewne nieraz już uderzyć musiał, bardzo jaskrawie występuje w motywie kukułki.

Wiadomo z zoologji, że jest to ptak stref gorących, który przylatuje do nas na wiosnę, należy do łażących i gniazda sobie nie buduje. Malutkie jaja swoje, których znosi od 2 do 4, składa na ziemi, a ponieważ niesie je w ciągu ośmiu tygodni, przez co o wysiadywaniu mowy być nie może, więc je bierze w dziób i z kolei składa po jednemu do gniazd różnych małych ptasząt. Każde z tych jaj ma coraz innego ojca i coraz inną barwę, zawsze jednak podobną do jaj tych właśnie ptasząt, w których gniazdku bywa złożone. Nic dziwnego przeto, że te szczególne obyczaje spowodowały cały szereg cudownych opowieści o kukułce.

Mazowsze, Krakowskie, Galicja zachodnia, Czechy, to owo półkole zachodnie, gdzie lekkomyślność, figlarność, płochość są jej znamionami charakterystycznemi. Litwa zaś, wraz z należącą do jej obrębu Łotwą polską i Rusią, to znowu półkole wschodnie, gdzie kukułka występuje pod postacią smętną, poetyczną a szczególnym urokiem owianą.

Niezaprzeczenie-bo w tonie majorowym trzymana jest owa opowiastka czeska, która podaje, że kukułka miała pierwotnie czubek na głowie, ale go dudkowi pożyczyła, gdy wybierał się drużbować na weselu, dudek zaś, zobaczywszy, że mu z tem ładnie, nie zwrócił go wcale. Dziś szuka go wszędzie kukułka i woła, wymyślając mu od: „kluku! kluku!“. On zaś odpowiada: „idę! idę!“ lecz wiecznie ją zwodzi i czubka dotąd nie oddał...

Nie wysiliła się też fantazja czeska przy dociekaniu jej początku, skoro widzi w niej zaklętego piekarza, który przechodzącemu Chrystusowi Panu odmówił bochenka chleba w jałmużnie i dlatego ma pióra jakby posypane mąką.

Na Mazowszu zaś w Krakowskiem, w Galicji zachodniej jest ona z panny, która tylko śmieszki miała w głowie i naigrawała się w jednem miejscu z Pana Jezusa, w innem znowu z Matki Boskiej, kryjąc się przed nimi i wołając im: „ku-ku! ku-ku!“, za co też została kukułką. Na wiosnę ledwie się zjawi w naszych gajach, a zjawia się wtedy dopiero, gdy listkiem brzozowym może już sobie zakryć oko, natychmiast zaczyna wyprawiać różne brewerje. Starym kuka, ile mają lat do śmierci, młodym wróży, jak daleko do wesela, a gdy kogo okuka *na głucho*, tj. gdy człowiek w pustej kieszeni nie ma ani złamanego szeląga, żeby jej odbrząknąć, to śmieje się do rozpuku, że mu wywróżyła na cały rok brak gotówki. Każdemu zresztą dokuczy, wiedząc bowiem, że po chałupach na przednówku zapasy zboża już się wyczerpały, kuka w ogródkach: „ku-puj! ku-puj!“ jak raz wtedy, gdy nie ma za co kupić!... I z bociana się wyśmiewa, że jest obowiązkowym zjadaczem żab, i z dzięciołem wznawia odwieczną kłótnię o trzewiki, które jej niegdyś pono obiecał kupić. „Ku-pisz? ku-pisz?“ pyta go natrętnie. A dzięcioł, który ma ją sobie za bajbardzo, kuje drzewo spokojnie tylko czasem rzuca jej odczepne: „bę-dą! bę-dą!“

Płocha ta wietrznica odrazu się jednak przeistacza i obleka się w powagę, gdy na Litwie zacznie występować, jako siostra, opłakująca brata, matka syna, lub też jako nieszczęśliwa żona, która leci ze skargą do rodziny. I rzecz szczególna: motywa te, wzięte z którejbądź miejscowości szerokiej Litwy, przedstawiają tyle wspólności i podobieństwa pomiędzy sobą, że tylko drobny rys jakiś uwydatnia czasem całą różnicę.

W piosnce ruskiej pada młody sokół, ugodzony śmiertelnie strzałą, puszczoną z nieba, a nad nim płaczą trzy siwe kukułki, jedna siedzi nad głową, — to matka, druga u nóg — to siostra, trzecia przy sercu — to kochanka. Z łez matki płynie krwawa rzeka, z łez siostry sączy się krwawe źródełko, a gdzie padają łzy kochanki, tam zostaje suchy piasek. I w piosence łotewskiej, jako też i w litewskiej trzy kukułki, opłakujące młodzieńca, to także matka, siostra i kochanka, albo też bratowa. Matka płacze do końca życia, siostra półtrzecia roku, bratowa pół miesiąca.

Druga odmiana motywu, niemniej szeroko rozpowszechniona, przedstawia nieszczęśliwą żonę, która ucieka od złego męża i w postaci kukułki przylatuje na użalenie się do ojcowskiego ogródka, liljowego na Litwie, wiśniowego na Rusi. Piosnka łotewska podaje przytem wzruszające prostotą swoją szczegóły. Matka gotuje śniadanie i w kukułce nie domyśla się córki, siostra zamiata sień i nie przeczuwa, że to głos siostry, brat starszy wygania konie i mija ją obojętnie, nareszcie młodszy bierze strzelbę i chce ją zastrzelić. Nie poznał jej nikt z rodziny własnej, więc odlatuje z płaczem i skargą.

Mówią o niej na Rusi, że to księżniczka, którą matka chciała wydać za bogatego starca, a ona przed samym ślubem stała się kukułką i pomna swego wysokiego rodu, sama jaj swoich nie wysiaduje. Mówią na Litwie, że to dziewczyna, która nie chciała wdowca, albo siostra, która na wojnie straciła trzech braci. Najszczegółowiej zaś i najdokładniej zdaje sprawę z jej pochodzenia podanie łotewskie. Ojciec miał syna i córkę a pojął był drugą żonę, która pałała nienawiścią do sierot, zwłaszcza do dziewczynki, i wciąż nalegała na męża, żeby ją gdzie podział. Nareszcie, porwawszy kiedyś nóż, zarznęła ją i ugotowała na obiad. Ojciec jadł i chwalił, nie domyślając się, co to za potrawa, macocha ja-

dła także, tylko brat nie jadł, bo wiedział, że to jego siostra. Po obiedzie zebrał kosteczki, wyniósł i położył w gęstwinie, a najmniejszy z ptaszków, mysi król, siadł na nich i wysiedział kukułkę. Kukułka przyleciała do ojcowskiego ogródka i zakukała: „Macocha mię zarznęła, ku-ku!, ojciec mię zjadł, ku-ku! brat moje kosteczki wyniósł, ku-ku! mysi królik mię wysiedział, ku-ku! przyleciałam do ojcowskiego ogródka, ku-ku!“...

Opowieść ta jest także wyrazem owego szczególnego przywiązania między rodzeństwem, które cechuje Łotyszów i które uderza też u nich i w piosnkach. Ta sama cecha występuje u Litwinów i tak samo z powodu kukułki. Prócz podania bowiem o siostrze, w kukułkę zamienionej po śmierci trzech braci zabitych na wojnie, mają oni jeszcze na tę pamiątkę zabawę, zwaną *grą kukułki*, w którą, podług opisu Jucewicza, bawią się, a przynajmniej bawili się dawniej na Wielkanoc. Dziewczyna, z zawiązanemi oczyma, musi poznawać po głosie zbliżających się ku sobie młodzieńców i trzech z nich odgadnąć, poczem tylko z temi trzema się bawi i odtąd nazywają się siostrą i braćmi i dają sobie nawzajem upominki.

Wszystko to jednak główne tylko rysy i to pobieżnie dotknięte, lecz niemniej uwydatniające tę znamienną różnicę, jaka zachodzi przy traktowaniu jednego motywu w fantazji dwu szczepów. I jak w tym razie, to fantazja litewska sięga niezaprzeczenie po tony piękniejsze i głębsze. Więc, przypomniawszy sobie słowa naszego wielkiego wieszcza, że „żadne żaby nie grają tak pięknie jak polskie“, może byłoby rzeczą słuszną powiedzieć tu także, iż *„żadne kukułki nie kukają tak rzewnie, jak litewskie!“*.

Petersburg. *Stefanja Ulanowska.*

MIŁOŚĆ KOBIETY.

(KARTKA Z PAMIĘTNIKA NIEDOSZŁEGO SAMOBÓJCY).

— O, nie mówcie mi, że miłość kobiety jest wszystkiem! nie mówcie, że dom, który ukrywa kobietę, jest domem słońca i gwiazd pełnym! nie mówcie, że człowiek, który ukochaną kobietę posiada, tytanem jest i orłem!

Raczej mówcie, że miłość kobiety jest najniklejszym kwiatem w sadzie naszych uczuć! raczej mówcie, że dom, który ukrywa kobietę, jest domem szarego mroku bez gwiazd! raczej mówcie, że człowiek, który ukochaną kobietę posiada, bezsilnym jest, bezskrzydłym.

. . . . . .

O, dlaczegóż wówczas tego nie czułem, kiedym ci me modły słał, o nienawistna żono moja?!... dlaczego sam, dobrowolnie, dałem ci się skuć w twoje pęta?... dlaczego tak nawistnie dłonie me ku więzom wyciągałem, na to, by dziś, pokrwawione, zniedołężniały na wieki?!...

Odkąd cię posiadłem, całą, taką jaką jesteś, każdą pieszczotą swoją na duszy mojej zasiewałeś jedno więcej ogniwo... zasiewałaś jedno więcej ogniwo tego strasznego łańcucha, którym dziś mnie do nizin przykułaś i obezwładniłaś!...

Czemuż na wieki, o nienawistna żono moja, nie pozostałaś dla mnie: nieznaną, tajemniczą, ubóstwianą, nietykalną, świętą?!...

Czemuż na wieki twa miłość i twój obraz nie pozostał tam, wysoko, na niebie, dokąd oczy moje słałem, i ducha mego i serce moje? czemuż zeszłaś na ziemię, tu, do mojego domu, i tak cała, byłaś moja, tylko moja?!...

. . . . . .

— O, nie mówcie mi, że miłość kobiety jest wszystkiem! nie mówcie, że dom, który ukrywa kobietę, jest domem słońca i gwiazd pełnym! nie mówcie, że człowiek, który ukochaną kobietę posiada, tytanem jest i orłem!

Mówcie raczej, że miłość kobiety jest najwonniejszym kwiatem — póki go się nie porwie dla siebie i do ust nie przytuli!... mówcie raczej, że domem gwiazd i słońca jest dom, który kryje tęskne myśli o kobiecie!... mówcie raczej, że człowiek, który ukochaną kobietę posiada, jeśli był wróblem, staje się gołębiem, jeśli był orłem — staje się wróblem!...

Warszawa. *Ursyn (Jan Zamarajew).*

PARADOKS.

Skończył poemat, napisany jednym tchem, pomyślany wczoraj dopiero, dziś już ujęty w formę.

Młody poeta opowiadał o trzech mogiłach, z których powstały trzy blade widma. Pierwsze skarżyło się, że żyło tylko uczuciem na ziemi; drugie, że brak mu było uczuć, gdyż każdą najsłabszą iskierkę, tlejącą w sercu, analizowała myśl, pytając: czem jesteś? skąd powstałeś? trzecie, miało za życia serce i mózg wydęte, jak pęcherz — nie uczuciami i nie myślą, istniało złudzeniem tylko, marami wyobraźni...

Blade widma, wypowiedziawszy w noc ciemną żal swój i bóle, cicho, bez szelestu opadły w mogiły. Kamienie nagrobków zasunęły się za niemi. Z głębi ziemi dały się słyszeć słabe jęki, które wkrótce ucichły. Z za chmur wyjrzał księżyc, obudził kwiaty, wyrosłe na mogiłach: pyłki ich zadrżały lekko; kielichy spojrzały w niebo i zanuciły pieśń choralną, w której miłość, wiedza i wyobraźnia połączyły się w jeden wszechpotężny akord...

On, poeta, podsłuchał pieśń tę i przelał ją na papier...

Był w natchnieniu. Tysiące głosów, wibrujących w powietrzu, rzucały mu wprost do ucha pełne, zaokrąglone zdania. Cienie, błądzące w przestrzeni dyktowały mu każdy wyraz: on chwytał je tylko i notował z rozognionym wzrokiem, pałającą twarzą, z dumą, uniesieniem i zachwytem rozsadzającym piersi.

Pierwszy raz w życiu pisał. Muzyka słów, grających mu w mózgu, odurzała go. Każdy atom jego istoty drgał twórczem podnieceniem.

Skończywszy poemat, odczytywał go bez końca... lub z przymkniętemi oczami głośno, na pamięć, powtarzał całe ustępy. Ambicja i duma, jak lotne ptaki, porywały go w krainę marzeń o sławie gienjusza. Czuł w piersiach swoich wibrację promiennej wiary w siebie: sądził, iż stworzył arcydzieło...

Nazajutrz, oddał poemat pod sąd surowego krytyka. Odpowiedź brzmiała: „Talent widoczny, lecz brak znajomości podstaw życia, bezcelowe błądzenie w krainie wyobraźni. Należałoby myśl zwrócić w kierunku praktycznym, a przytem wypowiadać ją jaśniej, nadawać obrazom plastykę i pracować nad formą, wskazującą brak wprawy“...

Poeta schował rękopis. Długo nie pisał; pracował, uczył się, myślał, badawczym wzrokiem śledził stosunki ludzi do siebie i ludzi do praw przyrody, rządzących nimi. Teorje i sądy jego przeobrażały się z dniem każdym. Ganił dziś to, co nazajutrz uwielbiał; deptał następnie nogami bóstwa i ideały jednej doby...

Powoli jednak przekonania jego zaczęły się krystalizować. „W to wierzę; o tem wątpię“ — mówił głosem stanowczym, pewny swego *credo*. Społeczny i nadprzyrodzony porządek świata zarysowywał się w umyśle jego jasno i trzeźwo. Uderzało go złe, jakie widział dokoła, złe, z którego jedni nie umieli, drudzy nie usiłowali zdać sobie sprawy. Uderzało go tysiące błędów, jakie należało usunąć przez jak najczęstsze ich wypominanie.

Wieczorami, po obowiązkowej pracy, zapewniającej mu chleb powszedni, lubił myśleć nad sposobem wykorzeniania niedobrych stron stosunków ludzkich. Myślał krytycznie, nie wlewając w rozumowanie swe zapału i ognia uniesień. Obrazy powstawały w mózgu jego trzeźwe i plastyczne, jasno i wyraźnie ukształtowane, jasno i wyraźnie cel zarysowywujące... Bez ognia w oczach, bez zapału w piersiach, bez rumieńców na twarzy, spisywał je tak, jak poruszały się i żyły w logicznych wnioskach jego umysłu...

Trzeźwy krytyk, ten sam, który niegdyś tak surowo osądził pierwszy utwór młodego poety, pisał, czytając późniejsze jego utwory:

„Witamy nową gwiazdę pióra. Hołd wielkiej pracy, głębokim myślom i prawdziwej wiedzy cechującej prace autora...“ —

„Hołd jemu!“ — wołał jednomyślny głos prasy.

Czytający ogół rozrywał jego pisma; uwielbiano je, uczono się ich na pamięć.

A on?

On pisał nocami całemi.

Myśli iskrzyły się pod piórem jego wykazywaniem tysiąca sprzeczności życia. Ze spokojem i wiarą w cel pracy swojej poprowadził badania. Nigdy jednak już nie doznał takiego zachwytu, szczęścia, upojenia, jak wówczas, kiedy natchnienie po raz pierwszy obudziło w nim marzenie o sławie wielkości.

Warszawa. *Cecylja Walewska.*

W KLINICE.

— Przyniesiemy panu zara gościa — mówiła pani Maciejowa, wchodząc do mojej separatki, oznaczonej Nr IV, w której już od kilku tygodni leżałem samotnie, obłożną złożony chorobą; — nie będzie panu tak markotno.

Wiadomość ta niemiłe na mnie wywarła wrażenie. Jakkolwiek bowiem nudno i smutno czas mi schodził w samotności, milszą wszakże ona mi była od jęków i kaprysów, jakiemi zapowiedziany przybysz mógł mię uraczyć.

Pani Maciejowa była w klinice chirurgicznej doktora Rydygiera naczelną pusługaczką. Od lat pięciu pracując w tym zawodzie, nabrała wielkiej umiejętności i wprawy w doglądaniu chorych. Komu chciała, to umiała we wszystkiem dogodzić, ale też potrafiła niepospolicie dokuczyć. Od samego wejścia mego do kliniki udało mi się zaskarbić jej względy i byliśmy z sobą w stosunkach nader przyjaznych.

Usłyszawszy powyższą zapowiedź, zapytałem:

— Kogoż to mi dacie za towarzysza?

— A to, proszę pana, ma być jakiś ksiądz stary; ale jeszcze nie mogę nic o nim dokumentnie powiedzieć, bom go na oczy nie widziała. Pan docent kazali mi jeno pościel przyszykować, a tymczasem jego tam chloroformują w *laparatomji.*

To powiedziawszy, ułożyła przyniesioną bieliznę czystą na oknie i wyszła z separatki, a po kilku chwilach wniosła wspólnie z Józefem, dla oczekiwanego gościa, łóżko i żelazny, o dwóch półkach, na szaro pokostowany stoliczek.

Kiedy już łóżko uścielać kończono, wszedł doktor Rościszewski i udzielił mi szczegółowych o nowym chorym wiadomości. Był to ksiądz Gorgoni Sulej, reformata, kapłan znany z wielkich cnót i pobożności, liczący 70 lat życia. Urodzony na Podlasiu, następnie przeniósł się do W. Ks. Poznańskiego, a ostate-

cznie osiadł w Galicji. Obecnie, pracując nadmiernie na misji, dostał choroby zwanej *miserere* i zaraz miano mu robić operację.

Może w jakie półtorej godziny po wyjściu doktora Rościszewskiego, wniesiono do separatki mojej na noszach człowieka na wznak leżącego, przykrytego prześcieradłem. Łysy był zupełnie, oczy miał zamknięte, był jeszcze w uśpieniu. Właśnie wtedy uderzyła piąta godzina po południu. Skoro go przełożono na łóżko i nosze wyniesiono, weszli doktorowie: Rościszewski, Gabryszewski, Łepkowski, Lange, Rosner i Bohossewicz, i zaczęli głośno dopytywać chorego, jak się czuje. Lecz ten wciąż spał jeszcze. Natenczas kazano otyłej posługaczce, Reśce, nieodstępnie czuwać przy chorym, a grono doktorów separatkę opuściło.

Takie nieruchome i bezczynne przy uśpionym chorym siedzenie dla każdego byłoby nużące: nic więc dziwnego, że zaledwo kilka minut posiedziawszy, opasła Reśka na korytarz się wymknęła.

Po niejakim czasie chory wydobył zpod prześcieradła lewą rękę i zaczął nią trzeć sobie oczy, nos i czoło. Następnie i prawą ręką wywijać począł a potem prześcieradło całe z siebie ściągnął. Widząc, że ruchy chorego stają się coraz gwałtowniejsze, lękałem się, żeby nie pozrywał sobie jakich bandażów. Nacisnąłem więc guzik dzwonka elektrycznego i może z całą minutę trzymałem go naciśniętym, aż dopóki przerażony tym hałasem nie wpadł do seperatki asystent, doktor Gabryszewski. Wskazałem mu wywijającego rękami chorego. Kilkakrotnie przez doktora zapytywany chory nic nie odpowiadał, tylko coraz niecierpliwiej rękami wywijał. Już uśpienie ustępowało, ale przytomność jeszcze nie wróciła. Nic dziwnego: operacja trwała godzinę i ośm minut, gdyż jelita były niezwykle poplątane.

Zgromiwszy Reśkę za niedbalstwo i samowolne opuszczenie chorego, dr Gabryszewski polecił p. Maciejowej czuwać nad chorym, a sam podążył do innych chorych.

Może w jaki kwadrans potem chory otworzył oczy, zaprzestał wywijania rękami i, wpatrzywszy się w siedzącą przy łóżku p. Maciejową, słábym głosem zapytał:

— Czy to ja jestem jeszcze na tym, czy już na tamtym świecie?

— Na tym, proszę księdza dobrodzieja; gdzieżby tam na tamtym! — odpowiedziała p. Maciejowa tonem przekonywującym.

— A gdzież to? czy w Wieliczce, czy może w Sączu?

— O, nie! proszę księdza dobrodzieja. To Kraków; ksiądz dobrodziej jest w nowej klinice.

— Kraków? — odezwał się tonem zdziwionym, a po chwili dodał: — Ach prawda! teraz zaczynam przypominać. Toż miano robić operacją. Czy udała się?

— Udała się dobrze. Ksiądz dobrodziej zdrów będzie.

— Ale czemuż to tak w głowie mi się mąci i nie mogę sobie dobrze przypomnieć wszystkiego?

— A to zawsze tak bywa po chloroformie, proszę księdza dobrodzieja.

— Czyż to mnie chloroformowano? A tak prosiłem, żeby tego nie robiono!

Potem chory zaczął narzekać na okropne palenie i ból w miejscu zaszytem. Prosił następnie, żeby mu pozwolono siąść i nogi spuścić, lecz p. Maciejowa stanowczo mu tego odmówiła. A kiedy zaczął uskarżać się, że go pali pragnienie, wtedy p. Maciejowa zaczęła mu co chwil kilka dawać do połykania po kawałeczku lodu.

Po niejakim czasie wszedł dr Rościszewski, powitał uprzejmie i troskli-

wie chorego, jako blizki znajomy, przyniósł mu butelkę wina starego, dał kieliszek wypić, a resztę zostawił p. Maciejowej, żeby mu potem dawała. Nadto dał mu do wypicia 20 kropel laudanum.

Po wyjściu doktora chory coraz więcej cierpiał, nieustannie dopominał się o kawałek lodu do połknięcia, niekiedy jęk stłumiony wydawał, prosił p. Maciejową, żeby go podsunęła w górę, to znowu rozpytywał ją o nabożeństwa w kościołach rozmaitych, albo o spowiedź wielkanocną, naówczas odbywaną. Głos jego stawał się coraz słabszym i znać było, że mówienie go męczy.

O godzinie 11 wieczorem powiedział:

— Uważam, że jutra już nie dożyję: trzeba z Panem Bogiem się pojednać. Nie można z tem zwlekać. Proszę mi zaraz sprowadzić księdza dla wyspowiadania.

— Ej! ksiądz dobrodziej jeszcze długo żyć będzie. To tak zawsze wszystkim po operacji się wydaje, że już zaraz umrą. A potem ni stąd ni zowąd wyzdrowieją.

— To nic nie znaczy. A ja jednak proszę o sprowadzenie księdza.

— A dobrze. Jeżeli ksiądz dobrodziej życzy, to jutro rano i księdza sprowadzimy.

— O, nie! Jutro już nie dla mnie. Ja proszę o sprowadzenie zaraz.

— Ij! Teraz już śpią wszyscy: po co ludzi ze snu turbować? Za kilka godzin dzień się pokaże, to i sprowadzimy.

— Nie, ja proszę zaraz mi księdza sprowadzić! — rzekł chory głosem stanowczym.

— A, kiedy tak już koniecznie, to i zaraz można sprowadzić.

To powiedziawszy, mrugnęła na mnie znacząco i wyszła na korytarz. Zrozumiałem to mrugnięcie. Dla uspokojenia chorego wyszła niby w celu posłania po księdza, ale w istocie uczynić tego wcale nie myślała.

— A co, posłaliście? — zapytał chory wracającą p. Maciejową.

— Już posłałam Pawła. Jeno patrzeć jak ksiądz nadejdzie.

— Niechaj Pan Jezus wam za to zapłaci.

Czas upływał powoli; p. Maciejowa siedząc na krześle drzemała, a chory jęki swoje przeplatał to westchnieniami, to wzywaniem imienia bożego.

— A która to już godzina?

— Dopiero co pierwsza wybiła, proszę księdza dobrodzieja.

— A czemuż księdza jeszcze niema? Dokądże to posłaliście?

— Do św. Mikołaja.

— Jak to być może? Toż w przeciągu dwóch godzin i ze Skałki dotychczas-by przyszedł.

— O, proszę księdza dobrodzieja, po nocy to nie tak łatwo. Póki to się dostuka, póki rozbudzi...

— A co mi tam prawicie? Toż do św. Mikołaja kilkadziesiąt kroków. I kwadransa dosyć na przyprowadzenie.

Taka sprzeczka kilkakrotnie się powtarzała. Nareszcie kiedy trzecia już wybiła, a księdza jeszcze nie było, chory zmiarkował, że go p. Maciejowa oszukuje, że wcale po księdza nie posyłała. Wtenczas z wielkim smutkiem i przygnębieniem zaczął narzekać, że poradzić sobie w tem nie może. Pomyślałem wtedy sobie, że może to i naprawdę koniec jego blizki, i umrze tak bez wiatyku. Przywołałem więc do siebie p. Maciejową i powiedziałem po cichu, żeby zaraz po księdza posłała. Próbowała mi się sprzeciwiać, ale wkońcu uległa i wyszła, żeby to spełnić.

Niespełna w pół godziny po tem, kiedy chory jęczał coraz słabszym głosem, drzwi gwałtownie się otworzyły i do separatki wbiegł zadyszany wikary od św. Mikołaja, ksiądz Ludwik Choróbski. Na szczupłej i chociaż dość jeszcze młodej, ale zwiędłej i ascetycznej twarzy znać było troskliwość i niepokój o duszę go wzywającą. Na widok jego twarz chorego się rozjaśniła i nabrała wyrazu ufności i otuchy.

Już ksiądz zabierał się do ostatniego pomazania, kiedy chory przemówił:

— Mam coś do powiedzenia na osobności.

Ksiądz skinął na obecnych i Reśka z p. Maciejową wyszły na korytarz. Ja tylko, leżąc w łóżku, pozostać musiałem. Odwróciłem się więc twarzą ku ścianie, żeby nie podsłuchiwać spowiedzi. Ale chory głośno mówił w te słowa:

— Zgrzeszyłem mocno, podejrzewając tę siostrę, która mię tu pilnowała, że nie posłała po księdza. Widzę teraz, żem niesłusznie ją posądzał, więc proszę za to o przebaczenie, bo wiem jaki to wielki grzech posądzać kogoś.

Ksiądz dał mu rozgrzeszenie, wezwał Reśkę i p. Maciejową i przystąpił do ostatniego namaszczenia, po czem ukląkłszy, rozpoczął modlitwy za konających.

Nigdym w życiu nie widział matki tak pieszczotliwie i z taką miłością dziecię swe pielęgnującej, jak ten ksiądz troskliwie wyprawiał w drogę duszę chorego. Rozczulony tak rzewnym widokiem, przy litanji i modlitwach odpowiadałem mu z pobożnym zapałem.

Po skończonych modlitwach ksiądz powiedział choremu, że pójdzie po Przenajświętszy Sakrament.

— Dobrze — odrzekł chory — tylko śpiesz, bo mi bardzo pilno.

Po wyjściu księdza chory był znacznie spokojniejszy, tylko nieustannie na drzwi poglądał.

Niespełna w pół godziny ksiądz z wijatykiem powrócił.

Oblicze chorego zajaśniało niewypowiedzianą radością i weselem. Jęczeć przestał i wytężonym wzrokiem śledził każdy ruch księdza. A kiedy wreszcie przyjął Przenajświętszy Sakrament, wtedy niespodzianie przemówił głosem donośnym, potężnym.

— No, chwała Bogu! Teraz wychodźże duszo, bo już pora!

Wszyscyśmy struchleli z przerażenia. Zdawało nam się, że natychmiast ujrzym w jakimś kształcie widzialnym duszę jego ulatującą. Żaden najmisterniej obmyślony efekt w najkunsztowniejszej scenie Szekspira nigdy nie wstrząsnął tak silnie istotą moją, jak tych słów kilka zbolałego starca.

Ksiądz wikary rzucił się ku choremu i pochylony nad nim mówił:

— A toż co? tego nie wolno. Nie masz prawa wzywać śmierci; nie wolno ci końca życia przyśpieszać! Czyż ci znane Stwórcy wyroki? A może On jeszcze długo przeznacza ci żyć na świecie...

— Prawda, zbłądziłem. *Mea culpa.* Powiedziałem to w zapomnieniu. Żałuję tego. Będę już czekał cierpliwie. Niech się dzieje wola boska! — szeptał z wysiłkiem chory. Nie chciało się wierzyć, że to on sam przed chwilą grzmiał tak piorunującym głosem.

Po odejściu księdza chory oddychał znacznie słabiej. Spostrzegłszy to, kazałem p. Maciejowej donieść o tem asystentowi, doktorowi Gabryszewskiemu. Doktor kazał dać choremu 25 kropel laudanum i pół kieliszka wina. Pomimo to, osłabienie widocznie się wzmagało. Wtedy kazałem znowu wezwać doktora Gabryszewskiego.

Zapytałem go: czy nie jest to już konanie?

Podszedł ku choremu, wpatrzył się weń uważnie i po chwili, zwróciwszy się ku mnie, kiwnął głową na znak, żem się trafnie domyślił.

Chory leżał z oczyma otwartemi, w sufit wlepionemi, oddychał głęboko, a z rzadka i za każdem odetchnieniem jęk głuchy wydawał.

Doktor Gabryszewski nie spuszczał zeń oka.

Nareszcie chory jęknął tak dosadnie i charakterystycznie, że wydało się jakby jęk ten podkreślił. Usłyszawszy to, wszyscyśmy pojęli, iż po takim jęku drugi nastąpić już nie może.

Doktor Gabryszewski szybko zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Czy widziałeś pan? widziałeś?

— Co takiego? — spytałem zdziwiony.

— A to rzecz niesłychana! Tylu konających w życiu widziałem, a nic podobnego mi się nie przytrafiło. Stałem czekając dopóki nie skona, żeby mu zamknąć powieki. A on po skonaniu sam sobie je zamknął.

W tej chwili wybiła piąta godzina rano.

Księdza Gorgoniego wyniesiono do trupiarni.

* * *

O godzinie 10 rano, otoczony sztabem młodych lekarzy, wszedł z wizytą do separatki mojej profesor Rydygier. Po zbadaniu stanu mego zdrowia i po wydaniu stosownych przepisów i rozporządzeń, prosił mię profesor, żebym mu opowiedział ostatnie chwile księdza Gorgoniego. Kiedym je opowiedział tak, jak wam tu opisałem, na pięknem a szerokiem czole uczonego profesora osiadła poważna zaduma, a jeden z młodych asystentów w te odezwał się słowa:

— O! znam podobne usposobienia: spotykałem ich niemało. Pomodlą się sobie, porozmawiają z Panem Bogiem, a potem ruszają na tamten świat z tak dobrą miną i tak ochoczo, jak na ucztę jaką.

Nieśwież. *Aleksander Walicki.*

SUPLIKACJE.

Masa pochylonych ciał ludzkich zaścielała świątynię; widać je było jeszcze przez otwarte wrota, jak niknęły w cieniu lip pod murem cmentarnym. Msza, t. z. summa, była już skończona, natomiast lud odprawiał dodatkowe nabożeństwo we własnym języku. Nieczynne już były wtedy przyrządy modlitewne: książki i paciorki. Na klęczkach w chóralnym śpiewie lud wzywał Boga słowami pieśni błagalnej:

Święty Boże, święty mocny a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!

Był to lud rolniczy podlaski, karłowaty, na nędznej ziemi zrodzony, odziany w siermięgi, wełnianki i perkaliki. Ciemnemi plamami w tej masie były ogorzałe twarze ludzi, odbijające od naszych ubrań, muślinowych czepców, i białych ścian kościoła. Nędznie złocony ołtarz, ozdobiony sztucznemi kwiatami, połyskiwał w świetle świec woskowych, wznosząc nad ludem wybladły obraz Trójcy-Boga. Ksiądz, klęczący na stopniu ołtarza, oglądał białe ręce, oczekując ze stoicyzmem końca pieśni, którą lud tak gorąco a tak wolno śpiewał. Strojne panie w woalkach przeciskały się w tłumie ku wyjściu. Mnie przykuł ten śpiew do miejsca, zahypnotyzował smutek w głosach drgający. O bezmiarze tego smutku mówił mi także stłumiony płacz kobiety, klęczącej obok ławki z niemowlęciem na ręku. Ten płacz, choć cichy, zagłuszał chóralne głosy. Zdawało mi się, że świątynię napełnia zbiorowy jęk cierpiących w smutną melodję suplikacji ujęty.

Znałem powody cierpienia tych ludzi. Niedawno widziałem ich pełnych dobrej myśli: przednówek miał się ku końcowi, a żniwa zapowiadały się świetnie. Niespełna tydzień temu brałem z nimi udział w procesji, urządzonej na pomyślność zbiorów. Szli wtedy z chorągwiami i krzyżem naokoło swych pól przez łąki i chóralnie tę samą pieśń śpiewali. Tak samo, jak teraz, błagali Boga:

Od głodu, ognia i wojny uchowaj nas, Panie!

Lecz w głosach nie było wtedy smutku. Byli pewni dobrych zbiorów; śpiewając tę pieśń dla zwyczaju, raczej wyrażali wdzięczność Bogu za urodzaje. Pamiętam, prowadził pochód organista, kudłaty, zagniewany; przypominał zupełnie psa owczarskiego; pasterz zaś o błyszczących policzkach i zaciśniętych wargach jechał na bryczce dziedzica przez wieś traktem. Widać było jego komżę, słomiany kapelusz i jasny parasol, jak migały między drzewami na tle szarych chałup. Sama natura dodawała wtedy ludziom otuchy swoim przyjacielskim uśmiechem. Słońce zlewało się ciepłem, igrało barwami chorągwi i ubrań, kwiecista łąka tchnęła aromatem ziół i kwiatów. Zdawało się, że sam Bóg przystroił naturę na tę uroczystość w odświętne szaty i z wysokości niebios słuchał pieśni, którą ci ludzie całą piersią ku niemu słali. Pozłacany posążek Chrystusa, unoszony na drążkach, kołysał się nad głowami ludzi, błogosławiąc ich wyciągniętemi rękami.

Minęło zaledwie kilka dni od czasu procesji. Chłopi zabierali się do żniw, odraczając je jak zwykle do dnia Sobotnicy, tymczasem najmowali się do żniwa dziedzicowi, który je wcześniej zaczynał, korzystając z taniości robotnika. Wielu z obecnych tutaj w kościele widziałem w piątek na polach dworskich, jak pod komendą ekonoma składali w mendle żyto. Znojne, duszne powietrze napełniało wszystkich niepokojem: przeczuwano burzę. Oblani potem pracowali na wyścigi. Dla zachęty przygrywała im muzyka: skrzypce i bęben; nikt jednak nie miał humoru, chociaż nie widziano jeszcze chmury, która za lasem w ugodę z wiatrem wchodziła. Obwieścił ją daleki odgłos grzmotu, zanim ukazała się nad lasem ciemna, ciężka, jakby przeciążona pociskami na ziemię. Zrazu zdawało się że wioskę ominie, lecz ona, jak jastrząb, zatoczyła koło, i zmieniwszy kierunek, ciągnęła ku wiosce, wreszcie kiedy skrzydłem zasłoniła słońce, świat pokrył się mrokiem, martwiały złociste pola, liście zadrżały ze strachu. Niebawem, zaledwie ludzie zdążyli się ukryć pod dachem, przeraźliwy trzask piorunów połączył się z szumem gradu. Grad! Tylko człowiek, który żywi się roślinami, z nich żyje, a tyle ich ma, wiele sam wychował, tylko taki człowiek wie, co znaczy ten złowieszczy okrzyk. Zboże, w którego każdem źdźble tkwi kropla jego potu, które mu miało rok życia przydłużyć, w ciągu minuty znika wbite w ziemię, jakby nigdy nie istniało. Po kilku minutach szalonego zgiełku i pustoszenia burza ucichła, a wtedy oczom przedstawił się smutny obraz. Ziemia, niedawno tak uśmiechnięta, teraz pod grubą warstwą lodu, sprawiała widok trupa, nakrytego białym całunem. Na białych polach czerniły się ogołocone z liści drzewa. Z raptownie ochłodzonej ziemi wzbijały się w górę białe mgły: z sadzawki w postaci słupa, z pól obłokami. Mgły te rozpłynęły się niebawem w jedną białą masę, która, niby muślinem, zasłoniła pola i lasy od oka ludzkiego. Między ludem panowało milczenie; nie słyszałem skarg, ani słów rozpaczy. Staruszek jakiś, mówiąc o wyrokach boskich, zdjął czapkę z głowy. Na polach, widziałem nazajutrz, nie pozostało całego kłosa, nawet śladu pracy ludzkiej. Wiele rodzin stało na swoich działkach w zamyśleniu i smutku. Przygnieceni cierpieniem zebrali się dzisiaj w przybytku Boga, który losami ich kieruje, zapewne szukając pocieszenia. Ksiądz miał do nich przed nabożeństwem gorzką przemowę, w której dowodził, że Bóg jest sprawiedliwy i nie bez racji klęską ich nawiedził. On, jako ksiądz wie, za jakie grzechy zostali ukarani, i wzywa ich do pokuty, do postów, do ofiar na kościół... Przerażeni byli bezmiarem grzechów, obciążających ich dusze. Zgnębieni, starci na proch w poczuciu swego sieroctwa i bezsilności, tarzają się teraz u stóp ołtarza, błagając litości:

My grzeszni, Ciebie Boga prosimy, wysłuchaj nas Panie!

Wizerunek Boga w ołtarzu ginie za obłoczkiem niebieskawego dymu kadzideł. Ksiądz obojętnie ogląda białe ręce, a kościół napełnia się jękiem:

O, Jezu, Jezu, Jezu, zmiłuj się nad nami!

A kiedy śpiewać skończyli i świece już pogaszono, lud nie ruszał się z miejsca, jakby się obawiał powrotu do pól ogołoconych.

Słychać tylko było szept modlitwy i ciche łkanie słabszych duchem.

Warszawa. *Zygmunt Wasilewski.*

ZNACZENIE WYCHOWAWCZE PISM

ELIZY ORZESZKOWEJ.

W żadnej obcej beletrystycznej literaturze nie znajdujemy tak często potrącanej kwestji wychowania, jak w naszej; najważniejsze to pytanie w innych społeczeństwach ostatecznie załatwione zostało, w naszem oczekuje jeszcze rozwiązania. Od dawna też kwestja wychowania stała się przewodniczącą myślą wielu utworów Korzeniowskiego (Podróżomanja, Krewni, Tadeusz Bezimienny i inne), Kraszewskiego (Chata za wsią, Dola i Niedola, szczególniej zaś Jasełka); nad wszystkiemi wszakże góruje Orzeszkowa, wykazując przyczynowy związek pomiędzy wychowaniem jednostek, a późniejszem ich postępowaniem w życiu.

Cały szereg jej powieści dotykalnie przedstawia wadliwość jednostronnych, naturalistycznych sposobów wychowania!

Sylwek Cmentarnik n. p. jest jedną z powieści wychowawczych *par excellence*. Spostrzegamy tu dwa typy wychowania: surowo i pieszczotliwie naturalistycznego. Przedstawicielem pierwszego jest sam Sylwek, który, jak przeciętne zdrowe dziecię wychowane w wiejskiem ustroniu, nie pamięta o wyrządzonej sobie krzywdzie, stąd też rozgoryczenie nie zagnieżdża się w jego duszy. Jedynym jego dobroczyńcą było słońce, pogoda wiosenna, drzewa, słowem: natura.

Przyzwyczajony do pracy, posług domowych, z pewnością stałby się pożytecznym członkiem społeczeństwa, gdyby jaki gienjusz opiekuńczy w 9 lub 10 roku jego życia powierzył go kierunkowi pracowitego rzemieślnika; lecz, będąc świadkiem nierzetelności swego przybranego ojca, staje się nierzetelnym. Chęć sprzedaży znalezionego na cmentarzu kosztownego przedmiotu była powodem poznania Moryca, przedstawiciela pieszczotliwie naturalistycznego wychowania. Nielitościwe, nieludzkie postępowanie z Sylwkiem budzi w każdym

współczucie, lecz ze wstrętem odwracamy się od opisu pieszczotliwego wychowania Moryca.

Matka jego widzi w nim słońce bez plamy, nie dostrzega tych zboczeń synowskiego charakteru, które każdemu w oczy się rzucają. Wszystkiego sobie odmawia, aby tylko jej jedynakowi na niczem nie zbywało. Czarna niewdzięczność syna była tą naturalną Nemezis, jaka jest nieodwołalnem następstwem wszelkiego zbytecznego rozpieszczenia. Wyrostek nie rozumiał tego, że matka poprowadziła go na tę pochyłość, u spodu której leży zupełny upadek moralny, lecz postępował tak, jak gdyby dobrze był tego świadomy. Istotnie, nierozsądna miłość matki pobudziła czternastoletniego chłopca do haniebnego oszustwa. Egoista staje się prawdziwym łotrzykiem: oszukuje kogo tylko może, uczyć się nie chce, wreszcie poluje na posag bogatej krewnej.

Z Sylwka, przy odpowiednim późniejszym kierunku, mógłby powstać dzielny przedsiębiorczy charakter, czego dowodem tysiące chłopców podobnie jak on wychowanych; z Moryca — tylko mąż bogatej panny, który bez posagu stałby się zerem towarzyskiem. Jak Sylwka Cmentarnika brak w późniejszym czasie odpowiedniego kierunku, Moryca pieszczotliwe wychowanie macierzyńskie, tak Kalińskiego (Stracony, Z różnych sfer, Nowelle i obrazki) do zguby prowadzi zły przykład rodziców i obojętność na sprawę wychowania. Dorastająca młodzież musi mieć przewodników czemkolwiek jej imponujących: szczęśliwa, jeśli znajdzie przewodniczących w dobrem, lecz biada, jeśli w braku tych ostatnich zaimponują jej źli ludzie; wówczas przy zaniedbanem poprzedniem wychowaniu niechybny czeka ją upadek. Kaliński dla ubicia nudów chodził do miasteczka, grywał tam w karty, zamiast się uczyć, pracować, i w poswarce zabił przeciwnika. Jakżeż mogło być inaczej — mówi Orzeszkowa — jeśli ojciec albo polował po całych dniach i tygodniach, albo drzemał i fajkę palił, albo z sąsiadami grywał w preferansa?

Matki i starszej siostry nigdy w domu nie było; jeździły one po sąsiedztwie, albo po krewnych, których miały bez liku, a brat starszy przestępcy, Julek, kawaler salonowy, sypiał do dwunastej, poczem fryzował się, perfumował i jechał tam, gdzie były bogate panny, bo chciał bogato się ożenić. Kaliński nigdy nie myślał o wyborze powołania. Starsi nie nasuwali mu tej myśli, że kiedyś będzie musiał stanąć o własnej sile. Charakterystyczne są jego słowa, które każda wychowywująca osoba powina mieć w pamięci: „Pal ich djabeł! tych wszystkich mądrych ludzi! mnie tej mądrości nikt nie nauczył. Leciałem, gdzie wiatr niósł i spadłem na złamanie karku". Nie każdy młody człowiek wychowany w tych samych okolicznościach stanie się Kalińskim, ale potrzeba tylko lekkiego podmuchu, podszeptów złego towarzystwa, przykładu lekkomyślności rodzicielskiej, aby się stać do niego podobnym.

Nie tak obojętnymi byli rodzice Julka (Widma). Byli oni gotowi do wszelkich poświęceń; istotnie, nawet odejmowali sobie od ust, aby w oddzielnej skarbonce składać grosz potrzebny na posłanie jedynego syna do uniwersytetu. A jednak i oni wielce zbłądzili pod względem wychowawczym. Pomiędzy nimi a synem nie istniał węzeł silniejszego porozumienia. Julek pozostawiony był samemu sobie, gdyż oprócz niezbędnej wymiany myśli o rzeczach codziennych żadna jego wyższa dążność nie znalazła oddźwięku w duszy rodziców. A chociaż nie było to ich winą jako ludzi całodziennie pochłoniętych staraniem o utrzymanie rodziny, ale na jego życiu stwierdza się znana od dawna prawda, iż dobre wychowanie, jeśli pominiemy już inne warunki, zależy od pewnej zamożności rodzicielskiej, dozwalającej wolne chwile poświęcać swym dzieciom. Julek

więc wzrastał bez żadnych bliższych stosunków umysłowych ze swymi rodzicami, nie pojmował ich i oni go nie pojmowali: to też w następstwie dał się opętać błędnym naukom, w które wierzył jak w świętą ewangielją. W imię tej idei z obojętnością rani serca ukochanych osób i z towarzyszką swej młodości, Zuzią, uchodzi z domu rodzicielskiego, aby marnie zginąć dla mniemanej wielkiej idei.

Nie od dziś uczyniono spostrzeżenie, iż pospolicie matki pieszczą synów, a dosyć surowo despotycznie nawet obchodzą się z córkami; ojcowie zaś wprost przeciwnie. Następstwem tego, pominąwszy już inne wady, bywa chęć przedwczesnego używania u synów, a rozpływanie się w marzeniach u córek. Typy pierwszych osobników przedstawia powieść *Pan Graba*, drugich *Pamiętnik Wacławy*. Obie zasługują na głębszy rozbiór pod względem psychologicznym. Żałujemy, że z powodu szczupłości miejsca uczynić tego nie możem. Najwyższym wykładnikiem towarzystwa, do którego należeli tacy ludzie jak Stan. Kloński, Jodek, Słubecki, Ordynat Zrębski i inni jest p. Graba; tak jak najwyższym wykładnikiem Zosi, Zeni, Emilki i innych w pamiętnikach Wacławy jest Rozalja. Obie te postacie w innych wychowane warunkach mogłyby się stać zaszczytem społeczeństwa; tak zaś temperament choleryczny obu tych bohaterów zamienia pierwszego na cynika, szydzącego ze wszelkiego prawa moralnego, drugą na kobietę, śmiało stawiającą czoło wszelkiej nieprawości, lecz w istocie żartującą ze złamanego przez siebie obyczaju.

Nie możemy lepiej zakończyć krótkiego przeglądu, jak przytoczeniem toastu pana Graby, a gorzkich wyrzutów Rozalji, uczynionych swej babce Hortensji:

„Panowie! niech żyją tkliwe i nerwowo kochające synów swoich matki, które przez błogi czas dzieciństwa i pierwszej młodości trzymają ich otulonych fałdami swych spódniczek, które lękają się, aby nauka nie osłabiła im zdrowia, i zakładów publicznych, aby nie zepsuły im manier. Błogosławione niech będą matki takie, albowiem ich to staraniem wielu młodzieńców umiłowywa kielich, zamiast księgi, i zielone pole stolików, zamiast pól rodzinnej gleby! Panowie! piję zdrowie matek takich".

A Rozalja mówi: „Ty babciu przestrogami swemi wlałaś mi obłudę w serce, bo kazałaś milczeć, gdy mówić chciałam, okazywać się dzieckiem, gdy byłam kobietą... myśl każdą, każde uderzenie serca miarkować i stosować do praw ścisłego konwenansu. Ty wychowaniu memu nadałaś kierunek błędny, okryłaś mnie pozorami blasku, a nie dałaś treści duchowej, co jest dla życia opoką... nauczyłaś gry na fortepianie i mówienia obcemi językami, a nie dałaś pojęcia o pracy, któraby od próżnych marzeń ognistą mą strzegła głowę. Marzyłam więc i wymarzyłam... miłość. Znalazłam jej urzeczywistnienie i do niego przykułam życie".

Warszawa. *Henryk Wernic.*

MATKA.

Dajcie nam lepsze matki, a będziemy mieli lepszych ludzi.

Jean Paul.

Matka!... Ileż tkliwych i świętych uczuć budzi to słowo w sercu każdego człowieka, a szczególniej w sercu kobiety!... To słowo przypomina pierwszą istotę na świecie, dla której serce dziecięcia, człowieka bić poczęło; to pierwszy wyraz, który dziecię niewprawnemi wargami stara się wymówić! A dla kobiety to słowo czarowne rozdziera oprócz tego całą skalę uczuć, od bólu do rozkoszy. Miłość matki dla dziecięcia to prawo natury. Spotykamy ją w świecie zwierzęcym, widzimy u najdzikszych ludów. To też *tylko* miłość nie jest jeszcze ani zasługą ludzką, ani spełnieniem obowiązku, tak jak nie jest zasługą ognia, że grzeje i pali, a lodu, że mrozi. A jednak, jak mało, niestety, jest kobiet, które na ołtarzu macierzyństwa coś więcej nad miłość w ofierze składają!

Polki mają ustaloną w świecie opinją dobrych matek, choć, wyznajmy, sławę tę zawdzięczamy bardziej dobrej woli w spełnianiu trudnych obowiązków macierzyństwa, niż przygotowaniu do niego, bardziej intuicji serca, niż dojrzałemu namysłowi i świadomemu dążeniu do celu. Przeciętna kobieta naszej cywilizacji (a zatem i przeciętna polka) uważa, że dostatecznie spełnia swój obowiązek, jeśli dzieci ładnie ubiera, dobrze odżywia, daje im zdolnych nauczycieli, a wreszcie, ulegając coraz silniejszemu naciskowi walki o byt, jeśli ich wykieruje na inżynierów, doktorów, artystów, przemysłowców, jednem słowem wogóle na jakichkolwiek „fachowców", zbrojąc ich przy tem przeciw wszelkim pokusom i wpływom życia zwyczajnym pancerzem filisterskiej uczciwości. Dlatego też nie wiele kobiet dzisiaj mogłoby, za przykładem owej rzymskiej matrony, nazwać się: „Matką Grakchów". Światu nie tyle fachowców, co ludzi potrzeba. Fachowca da byle szkoła; człowieka winna dać pierwsza wychowawczyni jego, matka.

Trudne to bardzo zadanie! Kobieta wiele bardzo musi się uczyć i pracować nad sobą, zanim mu sprosta; ale zadowolenie, zwiększające się z dniem każdym, będzie za trud zapłatą sowitą. Wiele matek powodowanych dobra wolą żąda formułek i recept pedagogicznych, mniemając w swej prostocie, że wycho-

wanie tak skomplikowanego organizmu, jakim jest człowiek, da się sprowadzić do kodeksu pewnych prawideł.

Jedna, *jedyna jest rada* dla kobiety, chcącej swe dziecko na pożytek i chwałę ludzkości wychować: *samej się doskonalić.* O ile sił starczy, *kształcić się wszechstronnie; pielęgnować w duszy ideały dobra, piękna i prawdy; wtajemniczyć się we wszystkie znane środki pedagogiczne,* aby te ideały konsekwentnie przeprowadzić w wychowaniu dziecka; wreszcie *świecić mu, nie słowem, lecz czynem.*

Niech każda matka przypatrzy się uważniej swojemu dziecięciu, a spostrzeże już w niem całego przyszłego człowieka. Niech więc jego zdolności i naturę chciwie na każdym kroku, nawet w zabawach, podpatruje i odpowiednio do uczynionych spostrzeżeń ułoży sobie plan postępowania, aby tem skuteczniej rozwinąć dobre, a wykorzenić złe skłonności. Lecz niech się strzeże zbytkiem wspomnień i kar łamać naturę dziecka, bo wtedy ono, obrażone w swej godności, zamknie się w sobie i odpowie kłamstwem.

Choćby dziecko najbardziej zasmuciło matkę swem postępowaniem, i wtedy jeszcze powinna ona panować nad sobą i zastanowić się: czy przewinienie dziecka nie wypływa czasem z jego chorobliwego stanu, lub czy też jej własne postępowanie nie popchnęło dziecka do wykroczenia. Często również dzieci zasadniczo różnią się charakterem od swych rodziców; nie należy wtedy (jak to czyni większość) zmuszać ich do ślepego naśladowania nas samych, lecz baczyć jedynie, by ich postępki były w zgodzie z prawami moralnemi ogólno-ludzkiemi.

Gdy matka pozna dostatecznie swe dziecko, niech stara się na każdym kroku rozbudzić w niem pomysłowość, samodzielność, chęć do pracy i wiedzy, oraz rozwinąć zdolności, tkwiące w niem w zarodku. A że każdy człowiek, a zatem i dziecię, ma szczególny pociąg tylko do pewnego rodzaju zajęcia, trzeba kształcić je w tym kierunku, aby nie rozproszyć sił, lecz całą energję dziecięcą zużyć w najwłaściwszy dla niego sposób; w przeciwnym razie bowiem nie wytrwa dziecko w dalszych losów kolei, lecz padnie samotnie, pomnażając szereg niezdolnych do życia indywiduów [1]).

Gdyby nasze matki chciały przyjąć głęboko do serca tych kilka uwag i zechciały zastosować się do nich na serjo, mogłyby już nasze prawnuki z dumą zawołać: „Tu stary Djogenesie! Do nas! Podnieś swoją latarnię i przypatrz się: tu wszyscy są ludźmi!

[1]) Chcąc dziecko wychować na człowieka, matka powinna w niem wyrobić takie usposobienie, ażeby nie zostało zbutwiałą jednostką, ale mężem pełnym energji, życia, silnej woli i wrażliwego sumienia, jednostką, którąby widziała w człowieku bliźniego, a dobro ludzkości miało za swój ideał.

Warszawa. *Marja Weryho.*

OPINJA PUBLICZNA.

Wszechwładna ta kapryśnica nigdy chyba nie grzeszyła stałością; w obecnych jednak czasach coraz zmienniejszą i bardziej chwiejną się staje. Nigdy tak szybko nie wznosiła swych ulubieńców, po nad poziom przeciętnych śmiertelników, i może też nigdy nie obchodziła się z nimi nielitościwiej, strącając wczorajsze bożyszcza w otchłań zapomnienia.

Szczęśliwy jeszcze, kto w tę przepsać stoczył się bez dotkliwej skazy... Szczęśliwy, komu opinja publiczna odmówiła tylko dalszych względów, w promowaniu go na wielkość lub na człowieka chwili. Jakżeż często jednak sądy ludzkie skazują wrzekomego winowajcę, ciężarem urojonych przewinień... niedowiedzionych nadużyć... ogólnikowych jakichś zboczeń... na to jedynie, by upozorować niesprawiedliwy zwrot opinji ogółu, będącego często bezwiedną igraszką w rękach kilku zręcznych intrygantów.

Tam gdzie każdy tego rodzaju pocisk może być odparty żywem, lub pisanem słowem, tam gdzie służy do obrony trybuna publiczna, lub głos nie krępowanej prasy, podziemne te roboty chybiają nieraz celu, głos ogółu bowiem, objaśnionego należycie, głos potężny i sprawiedliwy jak ów przysłowiowy *vox Dei*, druzgocze rusztowanie, zbudowane ze sztucznych lub kłamliwych zarzutów.

Gdzie jednak społeczeństwa w innych znajdują się warunkach, wystarcza nieraz jedno zręcznie puszczone słówko, jedno nic, będące pozornie niewinną jakąś aluzją, by człowieka zachwiać, lub nawet potępić w opinji publicznej.

Leży to już w naturze ludzkiej, że mniej oświecone warstwy społeczne, z małemi bardzo wyjątkami, lubują się w skandalach, cieszą skrycie ośmieszaniem lub oplwaniem jakiejś wybitniejszej jednostki, a choć niekiedy głośno i ostentacyjnie powtarzają na prawo i lewo swe niby oburzenie na niecne oszczerstwa, to częściej tkwi tam na dnie chęć nadania plotce szerszego rozgłosu, niż bratnie współczucie lub rzeczywiste potępianie faktu.

Pamiętamy wszyscy nie tak dawne jeszcze czasy, w których budząca się prawdziwa opinja zdrowe zasiewała ziarna i piękne wydawać poczęła plony.

Duch jakiś wyższy i szlachetniejszemi promienny uczuciami, duch iście Chrystusowej nauki, przenikać zaczynał społeczeństwo.

To, co było fałszem i zawiścią, milkło wobec głosu prawdy i bratniej miłości, to, co było prywatą i wyzyskiem, cofało się ze wstydem, przed poświęceniem dla ogółu. Zmaterjalizowanie i rozpusta ustępowały miejsca szlachetniejszym aspiracjom, zacofanie, głupota i siła brutalna malały wobec potęgi postępu rozumu i ducha. Głos opinji, jeżeli kogo podnosił, to w imię położonych przezeń zasług... a jeżeli potępiał to z pewnością za czyny przezeń popełnione. Wszelkie inne względy uboczne, zwolna wpływ swój tracić zaczynały... i poddawali się tej wielkiej sile opinji mocniejsi i słabsi, wielcy i maluczcy, a następstwem tak zdrowo wyrabiających się sądów, była poprawa i umoralnianie się społeczeństwa.

W ostatnich, niestety, czasach, coraz częściej spotykać się dają o ludziach i ich działalności, sądy stronnicze lub wprost spaczone, opinja publiczna, urabiająca się pod wpływem takich czynników, sprowadza zamęt w pojęciach, a zamiast poprawiać i podnosić, upadla raczej tych, którzy dla jej pozyskania robią ofiarę ze swych przekonań, sieje nienawiść i pogardę w uczuciach jednostek, niezasłużenie przez nią pokrzywdzonych, i często odbiera chęć do podjęcia nierównej z nią walki. Ujęcie steru w tej mierze przez ludzi wpływowych, i przez uczciwą prasę, skierowanie napowrót opinji publicznej na drogę prawdy i sprawiedliwości, jest bez zaprzeczenia jednem z najpilniejszych zadań społecznych.

Warszawa. *Juljusz Wieniawski.*

DZIECKO W CHOROBIE.

Znajomość charakteru dziecka zdrowego stanowi, jak wiadomo, piętę Achillesową wiadomości posiadanych przez większość ludzi. Rodzice, zazwyczaj zaślepieni co do swoich dzieci, mało zajmują się dziećmi obcemi, pedagodzy po większej części szablonowo sumiennie spełniają swe obowiązki, wytworzywszy sobie uprzednio przeciętny typ dziecka dla każdego wieku, a nie indywidualizując, t. j. nie zagłębiając się wcale, w szczególne właściwości zdrowia, temperamentu, charakteru i zdolności każdego oddzielnego osobnika. Nic w tem dziwnego, gdyż dokładne zbadanie jednego tylko dziecka wymaga ogromnego nakładu czasu i badań różnorakich, tak, iż praca ta, wobec większej ilości dzieci, staje się zupełnie niemożebną dla jednej osoby. Jednakowoż, dzięki rozszerzającym się powoli racjonalnym pojęciom o psychologji i pedagogji, wiele z dawnych pojęć utraciło już moc swoją, jak np.: surowe wychowanie dzieci, niezwracanie uwagi na ich pojęcia i rozumowania, jednakowa dla wszystkich dzieci skala wykształcenia, kształcenie nieistniejących talentów (muzyka, rysunki), nadmierne pieszczoty, bezwzględne ulegane kaprysom dziecka i t. p. i t. p.

Terren psychologji normalnego dziecka z każdym dniem staje się przystępniejszym dla ogółu, a racjonalne poglądy, szerzone przez dzieła i pisma perjodyczne, mocą swych argumentów i przekonywającą siłą uzyskanych wyników pomyślnych budzą zaufanie do tej gałęzi wiedzy, która odnośnie do rozwoju i dobrobytu społeczeństwa zasługuje na jedno z pierwszych miejsc w szeregu nauk.

Zupełnie inaczej ma się sprawa ze znajomością właściwości dziecka chorego. To terren nowy, nie uprawiany dotychczas, zapewne z tego powodu, że pedagodzy i psychologowie z zawodu nie spostrzegają chorych dzieci, zaś rodzice tychże, skłopotani smutnem zajściem, nie wiele mogą zauważyć, a le-

567

czący lekarze mało zajmują się psychologją. Faktem jest jednak, że choroba oddziaływa na charakter dziecka; nic w tem dziwnego i nowego, wiemy bowiem z doświadczeń nad dorosłymi, a choćby nad samymi sobą, w jak niekorzystny sposób działają na usposobienie, zdolności, swobodę myśli i chęć do pracy wszelkie ostre bóle (głowy, zęba, reumatyczne strzykania i t. p.); jak melancholijnie usposabia, nawet sangwinika, chroniczny katar żołądka i jak denerwują zdrową skądinąd kobietę, pewne fizjologiczne nawet sprawy, nie mówiąc już o całej serji specjalnych chorób kobiecych, doprowadzających do histerji.

Nie możemy zaprzeczyć, że i u dzieci choroby wywierają swój wpływ na charakter; zaznaczyć jednak należy pewne różnice pomiędzy dziećmi a dorosłymi. Jedną z nich jest częstsze powstawanie u dzieci chorób ostrych, krótkotrwałych, których wpływ tylko podczas przebiegu choroby i okresu rekonwalescencji zauważyć się daje, potem zaś ginie w zupełności; drugą przyczyną jest brak świadomości moralnej o znaczeniu choroby, o skutkach tejże na przyszłość, o straconym czasie, o straconych korzyściach i t. p. deprymujących myślach, działających zawsze na dorosłych chorych. Widzimy zatem, że dzieci w lepszych są warunkach, niż dorośli, pod obu względami. Zdarzają się jednak i u dzieci choroby przewlekłe, jakoto: nieżyty żołądka i kiszek i zołzy, krzywica, blednica, gruźlica, choroby mózgu i mlecza i t. p. Ogólnym wynikiem tych chorób przewlekłych u dzieci, jest smutek, odbijający się na ich twarzy, leniwość ruchów, niechęć do zabawy, nieodpowiednie dziecięcemu wiekowi zastanawianie się i zamyślanie się i, jak mówią popularnie, nad wiek dojrzałość. Ta jednak rzadko tylko objawia się lepszym rozwojem władz umysłowych, zauważyć się dającym np. u wielu dzieci gruźlicznych (suchotniczych), lecz za zwyczaj tylko brakiem szczebiotu, śmiechu z byle czego, radości z ladajakiego powodu i t. p. Choroby ostre dwojako działają na dzieci, co zależy od tego, który z dwóch objawów przeważa: ból, czy gorączka. Pierwszy rozdrażnia dziecko w najwyższym stopniu, gdyż o cierpliwości, przewyciężeniu tego tak dotkliwego objawu u dzieci mowy być nie może. Dziecko, doznające silnego bólu, płacze krzyczy, wrzeszczy, rzuca się, wije, wreszcie wpada w drgawki (konwulsje). Wysoka natomiast gorączka ubezwładnia dzieci, przygnębia je w najwyższym stopniu, sprowadza potem śpiączkę, wreszcie nieprzytomność i także drgawki, jako reakcję mózgowia na zbyt silną, nienaturalną podnietę.

W obu więc wypadkach, gdy dziecko poważnie cierpi, widzimy dwa skrajne bieguny oddziaływania: ekscytację przy bólu, depresję przy silnej gorączce. Pomiędzy zaś temi skrajnemi stanami przewija się niezliczony szereg pośrednich, których objawami psychicznemi są następujące: płaczliwość, gniewliwość, niegrzeczność, nieposłuszeństwo, kaprysy, grymasy, wymagalność, wreszcie udawanie (symulacja). Te stany pośrednie dają się do pewnego stopnia opanować przez umiejętne z dzieckiem obchodzenie się, podczas gdy poprzednio wyłuszczone dwa stany nie poddają się wcale psychicznym wpływom, lecz wymagają doraźnej pomocy lekarskiej. Umiejętność obchodzenia się z lekko cierpiącem dzieckiem polega przedewszystkiem na zrozumieniu jego stanu i odróżnieniu prawdy od symulacji, następnie zaś na indywidualizacji, opartej na znajomości charakteru danego dziecka w czasie zdrowia, a więc na łagodności i pieszczotach względem dziecka dobrego i czułego, na stanowczości względem swawolnego, na podrażnieniu ambicji u dumnego, na obietnicy nagrody u chciwego, na zagrożeniu karą lub na wywołaniu lekkiej obawy u niesfornego i t. d.

Nie mogąc się wdawać ani w zbytnie szczegóły, ani w przytaczanie przykładów w krótkiej tej notatce, rzucam jedynie tych kilka uwag, przekona-

nym będąc, że wkrótce już wobec coraz bujniej rozwijającej się pedagogji, ta nowa gałąź poszukiwań, którąbym *psychologją patologiczną* nazwał, pozyska właściwe miejsce w nauce i stanowić będzie jeden z ważniejszych rozdziałów wiedzy o chorobach dziecięcych, rozwijając w tym kierunku pojęcia, nietylko rodziców, lecz także lekarzy praktycznych, którzy po największej części z choremi dziećmi mają do czynienia.

Warszawa. *Dr. Ludwik Wolberg.*

NIEUZASADNIONE OBAWY.

Jedną z najbardziej palących spraw społecznych naszych czasów jest bezwątpienia kwestja robotnicza. W krajach najbardziej przemysłowych przechodziła już ona przez różne fazy: wzburzała tłumy, pochłaniała liczne ofiary, rozpalała uczucia filantropów, zajmowała umysły uczonych mężów stanu i panujących. Starano się ją najpierw zażegnać postronkiem, ołowiem i żelazem. Gdy to się nie powiodło, próbowano ją złagodzić cząstkowemi ustępstwami.

Środek drugi wydał lepsze owoce od pierwszego, a chociaż sprawy od razu nie rozstrzygnął, bo rozstrzygnąć jej za jednym zamachem niepodobna, to jednakże sprawił przynajmniej, że choroba ze stanu ostrego przeszła w chroniczny. Dzięki temu kuracja może się odbywać powoli, stopniowo, bez użycia zbyt radykalnych środków, niepewnych a groźnych dla istnienia dotkniętego cierpieniem organizmu.

Na czem to cierpienie polega i jakie są jego przyczyny?

Istota kwestji społecznej daje się określić krótko: to nędza i niepewność bytu miljonów ludu pracującego. *Arbeiterfrage ist eine Magenfrage* — według orzeczenia socjalistów.

Na dokładne wyłuszczenie przyczyn powstania kwestji robotniczej w dzisiejeszej jej formie brak mi tu miejsca. Ogólnie jednak jako źródło jej można wskazać nieodpowiedniość istniejących praw do potrzeb obecnego systemu produkcji i opartego na nim ustroju społecznego. Nie mam na myśli potępianią własności prywatnej, ani nie pragnąłbym jej zniesienia, jak tego domagają się socjaliści rewolucyjni. Zdaniem mojem, krok taki byłby cofnięciem cywilizacji wstecz o kilkadziesiąt wieków. Wydaje mi się jednak konieczną rzeczą zaprowadzenie wielu reform i ograniczeń, tak w obecnem prawie własności, jak również w t. zw. wolności pracy. Któż nie uzna tego za potworne nadużycie, żeby przedsiębiorcy, dla szybszego pomnażania fortuny, wolno było

skazywać robotników na powolną śmierć głodową przez odmawianie im poza skąpą płacą wszelkiego prawa do słusznego udziału w zyskach z przedsiębiorstwa kiedy ryzyko strat ponoszą oni często w większym jeszcze stopniu, niż ich prawnabywca; rozciągać długość dnia roboczego do granic, nie pozostawiających pracownikom dostatecznego czasu na odpoczynek i odnowienie sił zużytych; powoływać do fabryki kobiety zamężne i dzieci nieletnie na miejsce pozbawionych zajęcia mężczyzn; rzucać na pastwę nędzy bez żadnej pomocy i opieki długoletnich swych pracowników w razie choroby, starości, lub stagnacji przedsiębiorstwa i t. p.

Dawne prawo cechowe przewidywało wszystkie podobne wypadki, o ile się one naówczas zdarzeć mogły, i starało się zabezpieczyć od nich los ubogich pracowników. Prawo dzisiejsze, pomimo daleko bardziej naglącej potrzeby, stawia na tej drodze dopiero pierwsze, słabe i bardzo nieśmiałe kroki, a już z wielu stron odzywają się głosy wołające „gwałtu"!

Krótkowidze dzwonią na alarm, grożąc, że „hydra socjalizmu podniesie głowę", gdy choćby najmniejszej cząstce słusznych żądań, rozpiętej na krzyżu mąk głodowych i niewywczasu rzeszy ludu pracującego, stanie się zadość.

Trzeba uspakajać maniaków, o ile przez nich nie przemawia głuchy na wszelkie argumenty interes osobisty; trzeba im tłómaczyć, że ulżenie cierpieniom zrozpaczonych może się tylko przyczynić do ich uspokojenia. Rozumieją to dobrze ci, co pragną koniecznie wywołać wybuch. Zasadą ich jest: im stosunki gorsze, tem lepiej dla nas i dla naszych celów. I trzeba przyznać, że ze stanowiska tych ludzi, zasada to najzupełniej logiczna. Niema pomiędzy rewolucjonistami takiego, któryby przemawiał za cząstkowemi reformami. Kiedy w parlamencie niemieckim dyskutowano nad prawem przymusowego ubezpieczenia inwalidów pracy, wszyscy socyalisci demokraci głosowali przeciwko niemu wspólnie z pseudo-liberalnymi przedstawicielami, zaniepokojonego o swą kieszeń, bogatego mieszczaństwa. Rozumni zachowawcy, przeciwnie, domagali się podniesienia skali proponowanych emerytur i rzeczywiście ulepszyli i rozszerzyli słaby projekt pierwotny. Przykład to bardzo pouczający.

Za czasów Lassalle'a potrzeba było podobno „dopiero przekonywać robotników niemieckich, że są nieszczęśliwi". Dziś w krajach, gdzie już ziemi niezajętej brak i gdzie przemysł wielki, rozpostarwszy swoje panowanie, zrujnował spokojny choć nędzny byt drobnych rzemieślników, wydziedziczeni proletarjusze są już bez żadnych przekonywań postronnych doskonale świadomi swojego nieszczęścia. Zajęcie się więc ich losem nie doda nic do tej ponurej świadomości, lecz może tylko wlać pociechę w ich serca.

Przez tych, co się obawiają, że reformy, dążące do polepszenia bytu nędzarzy „mogą nadmiernie rozbudzić apetyt zgłodniałych tłumów", przemawia widocznie źle skrywana niechęć do należytego nakarmienia łaknących. Naturalnie, że dopóki reformy będą tylko pewnego rodzaju przekąską, dopóki, „apetyt tłumów" się nie uspokoi. Ażeby głodnego nasycić, potrzeba mu dać posilny chociaż skromny obiad, nie nikłą „przystawkę". Na to każdy szczery zwolennik reform musi być przygotowany. Szarlatanerja *á la Bismarck* nic tu z pewnością wskórać nie zdoła.

W kraju naszym, a tembardziej w Rosji, kwestja robotnicza nie przybrała jeszcze charakteru groźnego i palącego zagadnienia społecznego, jak to się dzieje w większości państw zachodnio-europejskich. Ale i u nas i w znacznej części Cesarstwa są już setki tysięcy istot interesowanych w jaknajśpieszniejszem przeprowadzeniu tych reform, które stan zapalny kwestji robotniczej postawił

na porządku dziennym na zachodzie Europy. Dlatego każdy krok prawodawstwa naprzód na tej drodze powinnibyśmy witać z radością i oddziaływać na opinję w tym kierunku, nie obawiając sią „rozbudzenia nadmiernego apetytu zgłodniałych tłumów“.

Niech się lepiej i dla nich znajdzie skromne nakrycie przy tej uczcie, jaką cywilizacja dotąd wybrańcom tylko w nadmiernej obfitości zapewniła.

Łódź. *Władysław Wścieklica.*

GŁOSY Z NIZIN.

W rozwoju naszej myśli społecznej niepospolitą odegrała rolę powieść ludowa. Siłą intuicji celniejsi powieściopisarze przeniknęli w zamknięty dotąd świat myśli i uczuć chłopskich i rozsnuli przed szerokim ogółem wątek, który dla rozmaitych powodów poznać tak trudno metodą bezpośredniej obserwacji. Utwory ich dają właściwie więcej, niżby obserwacja dać mogła. Bóle i nadzieje, krzywdy i dążenia, radość i zawody mieszkańców nizin zwołały u nas nietylko utalentowanych malarzy, ale i śmiałych rzeczników. Okoliczność powyższa stanowi o losach tego rodzaju powieści śród ludu. Popularne streszczenia powieści Orzeszkowej, Jeża, Prusa, Kraszewskiego i Dygasińskiego, które w ciągu ostatnich lat kilku wzbogaciły naszą literaturę ludową, znalazły śród włościan, wrażliwych, wdzięcznych i nie pozbawionych krytycznego zmysłu, czytelników. Dowodem żywego zajecia, jakie książeczki te budzą pod zapadłą strzechą ubogich naszych chat galicyjskich, służyć mogą poniekąd listy chłopskie, omawiające „Niziny“, z których wyjątki pozwolę sobie przytoczyć w tem miejscu, a których oryginały przesłałam Czcigodnej Jubilatce.

O psychologicznej i artystycznej prawdzie, z jaką „Niziny“ odzwierciadlają wieśniaczą niedolę, świadczy siła wrażenia, jakie ta posępna, krwią i łzami ociekająca kartka z życia ludu wywiera na czytelników-chłopów. „Czytając tę książeczkę — pisze Jan Biernat, włościanin ze wsi Mordarki — uczułem dreszcz w całem ciele, serce biło jak młotem, przejąłem się aż do śpiku treścią tej książeczki“. „Smutno i straszno się robi — skarży się żałośnie Antoni Drabik z Zabierzowa — gdy zważymy wszystkie nieszczęścia tu opisane: wydartą sławę Krystyny, jej stratę syna i całego mienia, które uzbierała, żyjąc, jak niewolnica, dalej straty chłopów milewskich i zabójstwo usłużnego doradcy. Czytanie takiej książki, z której się pije gorycz różnych niegodziwości jest wstrząśnieniem umysłu“.

Na podniesienie zasługuje pogląd włościan na główną bohaterkę powieści oraz młodszego jej syna, Antośka, rzuca on bowiem wyraźne światło na

pojęcia moralne ludu. Tragiczny los Krystyny, jej ofiarna miłość dla dzieci budzą w wiejskich czytelnikach gorące współczucie w połączeniu z szacunkiem. Wielkie jej cnoty nie okupują wszakże w ich oczach popełnianej przed laty winy, „za którą, jak powiadają, musiała pokutować całe życie". Winę ową zmniejsza, ich zdaniem, okoliczność, że „pokochała młodego ekonoma nie z lekkomyślności, lecz w nadziei, że ją poślubi". „Krystyna podobną jest do okrętu, który ginie, albowiem trudno mu ocalić się śród nawalności morskich", rozumuje Antoni Drabik, w którym liczne, a ciężkie nieszczęścia rozwinęły pewną skłonność do mistycyzmu, nauczyły go wyrażeń biblijnych, jakby żywcem wyjętych z ust Pawła w „Chamie".

Brutalne zachowanie się Antośka względem matki, którą znieważa czynną obelgą, wywołuje jednogłośne oburzenie: „bo cierpiącą matkę powinien był pocieszyć", „bo pieniądze jego nie miały tej wartości, co życie brata, a brat dla ratowania brata powinien się poświęcić".

Typ pokątnego doradcy, pijawki, tuczącej się bezbronnością i ciemnotą ludu, a znany włościanom, niestety, tak dobrze, nasuwa im na pamięć pierwowzory, spotykane w życiu. Z kilku przytoczonych w listach przykładów weźmy pierwszy lepszy: „Znałem zupełnie takiego, jak Kaprowski w Starejwsi — opowiada Michał Ociepka z Przegorzał — nazywał się Walenty Janik. Ludzie chodzili do niego z dalekich stron, jak na odpust, i prócz grubych kwot znosili mu masło, ser, bryndzę, kiełbasy, słoninę. Był za to później sądownie karany. Jest ich u nas bez liku".

Źródło nieszczęść, opisanych w „Nizinach", czytelnicy chłopi widzą w braku oświaty śród ludu i śpieszą wyrazić swój pogląd na tę kwestję: „Liczba różnego rodzaju spekulantów, którzy żyją z ciemnoty ludzkiej, jest bardzo wielka na każdym kroku, a więc potrzeba oświaty, potrzeba wiedzy, potrzeba czytania". Krystyna padła ofiarą niecnego oszusta, bo nie wiedziała, na jakiej drodze ma szukać ratunku dla syna, a nie mogła od nikogo dobrej rady zasięgnąć". „Gdyby w Milewie było więcej ludzi umiejących czytać i pisać, to Mikołaj nie mógłby był korzystać z głupoty swych sąsiadów". W tym duchu rozumują mniej więcej wszyscy z wyjątkiem jednego, który dostrzegł zarazem i głębszą przyczynę: ustrój i ustawę.

Rozbudzone poczucie estetyczne śród ludu pozwala mu zwracać uwagę, nietylko na treść czytanego utworu, lecz i na jego formę, jak to widać choćby z następującej uwagi: „Podoba mi się bardzo w tej książeczce wielkie poświęcenie się Krystyny dla dzieci i wylana jej czułość macierzyńska, ale podobają mi się również piękne wyrażenia, opisanie szczegółowe każdego przedmiotu i okoliczności czasu".

Zmysł krytyczny objawia się w danym wypadku w spostrzeżeniach, odnoszących się do drugorzędnych szegółów powieści. Jeden np., znajduje, że tytuł: „Chłopski adwokat" (taki bowiem tytuł ma popularna przeróbka „Nizin") nie odpowiada treści książeczki, i dlatego powinienby być zmienionym na „Chłopskie przygody u adwokatów"; innemu się wydaje nieprawdopodobnem, aby Kaprowski mógł tak bezkarnie i publicznie lud oszukiwać, aby do kancelarji jego schodzili się klijenci, choć nie był adwokatem, tylko pokątnym doradcą. Trzeba więc to było nie tak jasno opisać, tylko trochę zawiło". Inny znowu, przyznając autorce w gorących wyrazach „znajomość życia i krzywd ludu", zaznacza jednocześnie, że nie uszły jego uwagi pewne różnice, zachodzące między opisanemi w powieści osobami, a tymi, jakie spotyka w najbliższem swem otoczeniu i tłómaczy to faktem, że lud w każdej okolicy ma inne zwyczaje, różne poję-

cia odmienne wyrażenia w jednej okolicy jest gnuśny, — nic go nie obchodzi, w innej ma zdrowy pogląd i rozumowanie; w jednej nieporadny, w drugiej przemysłowy i sposobny".

Najgłośniej wszakże, najzgodniej i najrzewniej dźwięczy w głosach z nizin struna wdzięczności dla autorki, co potrafiła odczuć tak głęboko i ich łzy, i bóle, wziąć w obronę ich słabość i nieporadność, dla autorki, która, jak mówi, Jan Skwara z Targowisk, „na granitowej skale chłopskiego serca rzeźbi ideały niesplamione zapatrywaniami, przeciwnemi rozwojowi, wykształceniu i poznaniu samodzielności naszej". „O gdybym to ja choć pisemnie mógł poznać się z panią Orzeszkową, która nas tą książeczką nietylko ucieszyła, ale i zadziwiła, bo śmiało i otwarcie, co czuła, napisała. Daj nam, Boże, więcej takich!" — woła w naiwnem uniesieniu Maciej Szarek z Brzegów.

Wiązanki przytoczonych ustępów nie powiększam z powodu ściśle oznaczonych ramek artykułu, sądzę jednak, że i tych kilka głosów z nizin wystarczy aby zaświadczyć, „że wszelka praca, mówiąc słowami Skwary, jednego z najwybitniejszych włościan w Galicji, podjęta w kierunku oświaty ludu, mimo niego nie przejdzie, lecz przekazaną zostanie dzieciom, wnukom i prawnukom, którzy głośną ją uczynią i za nią podziwem i uznaniem wdzięczni będą".

Lwów. *Marja Wysłouchowa.*

FANTAZJA WSCHODNIA.

Gdy Allah świat stworzył, chciał wszystkich ludzi według ich upodobań na nim uszczęśliwić. Prawdziwe, wieczne szczęście miało dla nich dopiero w niebie zabłysnąć, gdzie każdy mógł do woli przebierać między huryskami i wiecznie wiecznym ich wdziękom hołdować. Aby jednak i w mozolnym pochodzie życia na ziemi mógł każdy szczęścia zakosztować, rozesłał Allah na ziemię niezliczoną liczbę niewidzialnych hurysek, rozmaitych wdzięków. Jedne czarem miłości upajały człowieka, drugie karmiły go dumą, pychą, żądzą; inne szlachetnością, poświęceniem, ofiarą, doskonaliły jego ułomną naturę — słowem: budziły w sercach ludzkich wszystkie cnoty i namiętności, w których się ludzie lubują.

Od wieku do wieku zwoływał Allah wysłane huryski do siebie, słuchając ich sprawozdania. Zapisywał do wielkiej księgi, ile złego i dobrego stało się na ziemi. Z dobrego cieszył się, a nad złem marszczył czoło i przemyśliwał, jakby temu zaradzić.

Z rozesłanych hurysek nie wszystkie na raz wracały. Jedne stawiały się prędzej, inne później, a na niektóre trzeba było długo czekać, a były takie, które wcale nie wracały, albo bardzo rzadko.

Najliczniej i najpierwej wracały huryski, utworzone z różowego eteru.

— Tak prędko i tak licznie! — zawołał Allah — a przecież taki popyt był na was!

— Wielki Allahu — odpowiadały różane dziecięta — każdy nas pragnie i woła, czasem życie dla nas na kartę stawia, ale w krótkim czasie odpędza nas od siebie! Nie długo trwa nasze panowanie. Wprawdzie, dla zwyczaju, że to tak wypada, żywią nas przy sobie, jak rezydentów bezczynnych, ale co gorsza, każą nam odgrywać fałszywe role, ukrywając brzydkie pobudki, jakim ulegają.

— Biedne dziatki miłości! — zawołał w gniewie Allah, przysięgam na mego proroka, że się zemszczę za waszą krzywdę! Myślałem, że miłość jest pierwszym klejnotem na ziemi!

— Pozakładali magazyny z „imitacją!“

— Ale w te ubierają się tylko kobiety czci pozbawione!

— Gdzie tam! Staje się to powszechną modą!

Allah targnął za brodę. Na rozognionych obłokach przypłynęły teraz w purpurowych szatach inne; miały czoła uwieńczone liściem winnym, twarze zarumienione, oczy płonące. Były to istne bachnatki.

— Na krótki czas przybywamy — rzekły chórem — bo ludzie nas lubią, bo panowanie nasze trwa dłużej od tych... eterycznych cacek!

I z pogardą zmierzyły huryski miłości.

— Więc jedzą, piją i hulają dłużej, niżeli kochają? — zawołał ze smutkiem Allah.

Przychodziły jeszcze długo różne wysłanki i zdawały sprawę z tego, co na ziemi porabiają, i jak im się tam powodzi. Były wybielone i wyróżowane, w szatach podkasanych, były zwiędłe i zżółkłe, jak zwykle dzieci nienawiści, zemsty i brzydkich żądz wszelkich, były opalone od słońca i pomarszczone jakby od ciężkich trudów.

Wreszcie były i odleciały wszelkie zastępy prócz jednego, i to najliczniejszego.

— Gdzie one są? — wołał gniewnie Allah, a gniew jego grzmiał od wschodu na zachód, — gdzie są moje najmilsze dziatki?

— Gdzie są! Gdzie się zapodziały? Zaświecić księżyc w pełni!

Zajaśniał księżyc w pełni, dziatki ulubione nie wracały!

Gniewem srogim zapłonęło oblicze Allaha.

— Wyostrzyć miecze sprawiedliwości, która karze nieposłusznych!

Zabrzęczały liczne miecze, a przed groźnem obliczem rozgniewanego Allaha ustawił się długi szereg niebieskich pachołków.

— Wyciąć wszystkie co do nogi, jak będą wracały! — grzmiał Allah — nieposłusznych nie cierpię!

Grobowe milczenie zaległo wszystkie obłoki nieba. Nikt nie poważył się zbliżyć z prośbą do zagniewanego.

I trwało milczenie, a nieposłuszne wysłanki nie wracały...

Już się dopalało światło księżyca, już ciemne chmury zasłaniały dalszy widok, gdy na szarym obłoku pojawiła się postać dziewicza. Miała szatę zieloną, włosy rozwiane i ręce jakby do modlitwy złożone. Płynęła cicho, z okiem do góry wzniesionem.

— Kto jesteś? — zawołał jeden z pachołków.

— Nadzieja — odpowiedziała zielona huryska.

— Zginiesz! — bo tak kazał Allah — ozwał się ponury głos pachołków.

— Niech stanie przedemną wprzódy!

Ona spokojnie zbliżyła się przed majestat.

— Powiedz wyrodna, skąd to wasze nieposłuszeństwo? — zagrzmiał Allah.

— Bardzo naturalne. Ludzie nas lubią, pieszczą nas i bez nas żyć nie mogą. Każdą z naszych sióstr porzucą, ale z nami chcą pozostać do śmierci!

— Jakiż mają z was pożytek?

— Byłam z kolei u różnych ludzi, a żaden nie chciał się ze mną rozstać. Młody, który kochał, bogaty, który nie wiedział co z majątkiem robić, potężny, któremu tłumy hołdowały, a nawet zbrodniarz skazany na śmierć — żaden nie chciał mnie porzucić... Raz tylko jeden opuściłam na chwilę bogacza, a zaraz popełnił samobójstwo.

— Miał przecież wszystkiego pod dostatkiem!

— Potrzebował jednak zawsze jeszcze czegoś się spodziewać!

— A teraz od kogoś odeszła?

— Był to siwy zgrzybiały staruszek.

— Czy i on jeszcze czegoś się spodziewał?

— Spodziewał się..., że dzisiaj będzie pogoda i że wyjdzie na słońce!... Pogody nie było, i umarł nad wieczorem.

Allah milczał złowrogo; zagrzmiał po chwili:

— Nieposłuszeństwo jest nieposłuszeństwem! Nie słuchałyście mojego rozkazu! Zginiesz! — I dziesięć mieczy świsnęło w powietrzu...

Zielona huryska stała cała i żywa.

— Wielki Allah! — rzekła spokojnie, gniew uniósł cię za granicę twego majestatu. Zapomniałeś, żeś nas stworzył wiecznemi i nieśmiertelnemi! Możesz nas wygnać z państwa swego, ale nas zgładzić nie zdołasz.

— Wypędzam was z państwa moich wiernych!

Zaszumiały obłoki w państwie Allaha, a szum ten był, jakoby szum skrzydeł odlatujących ptaków.

Minęło kilka wieków.

Znużony sprawami wiernych, przypomniał sobie Allah nieposłuszne dziatki.

Zawołał wielkiego proroka i rzekł:

— W państwie moich wiernych coś cichnie! Czy nie wiesz, Mohamedzie, co to być może?

Mohamed zagłębił rękę w brodę.

— Wielki Allah! — odpowiedział, wiem o tem, że cuchnie. Państwo naszych wiernych chyli się do upadku i wkrótce upadnie!

— Co mówisz! wszak zakon, który tobie podyktowałem...

— Pozbawia ich w życiu nadziei! Tak kazałeś mi napisać po wygnaniu zielonych dziewic!

Allah zmarszczył czoło, Mohamed prawił dalej:

— Wierni nasi nie żyją nadzieją, bo kazano im wierzyć w rozkaz z góry, w przeznaczenie, fatum! Po co ma wierny łudzić się nadzieją, jeżeli z góry wszystko jest przeznaczone!

— Groza posłuszeństwa i wiara w mądre z góry rozkazy, przeznaczenie powinny naród i państwo w siłę uzbroić.

— Ale każdy prawdziwy wierny nic dla siebie i za siebie nie chce robić!

— A gdzież się podziała moja nieposłuszna wygnana dziatwa?

— Rozbiegła się po ościennych nieznanych ludach i państwach. Przyjęto ją gościnnie.

— Możeby cofnąć rozkaz?

— Nie powrócą! Wszędzie przyjęto ich i nie puszczą od siebie. Nietylko szczęśliwi, ale nawet najnieszczęśliwsi żyją ich thnieniem. Nawet rozpuszczony lud Syonu, ma nadzieję, że choćby cudem odbuduje kiedyś dawną swoją świątynię!... A nasi wierni, z twego rozkazu, żyją bez nadziei!... bo co się ma stać, stanie się bez nich!

— Allah zasępił i zamyślił się i odprawił swego wielkiego proroka.

Zawinął się w szary obłok i zaczął ponuro marzyć o wygnanej dziatwie, która nietylko szczęśliwych poi nadzieją nieśmiertelnego jutra.

Krzywcza nad Sanem. *Jan Zacharjasiewicz.*

PIES-ŻEBRAK.

Pani była młoda i piękna, a i serce czułe mieć musiała, bo łzy napełniały błękitne jej oczy i spływały powolnie, leniwie, po pełnych, różowych policzkach. Widocznie rozczulał ją tak romans, który czytała z wielkiem zajęciem. Po chwili zamknęła książkę, wstała, ziewnęła głośno, wyjęła z pudełka papieros, zapaliła, snadź dla rozproszenia smutnych myśli, i wyszła. Zajrzała do kuchni, do izby czeladnej, i po kilku schodkach zeszła na podwórze.

Pora była południowa, ludzie skończyli właśnie obiadować, resztki strawy, zmieszane z rozparzoną osypką, chłopak roznosił psom podwórzowym.

— Trzem starym psom: Krukowi, Azorowi i Zagrajowi, nie dawać jeść — zawołała pani na chłopca. Niepotrzebne są, młode wystarczą do pilnowania. Szkoda żarcia dla starych niedołęgów!

Chłopak przystanął, popatrzał na panią, zdziwienie przemknęło po jego twarzy.

— Ale, proszę jaśnie pani, jakże...

Umilkł nagle, przestraszony zuchwałą myślą, która o mało co nie wyrwała mu się w słowach, i — słucham jaśnie pani — dokończył głośno.

Postawił misę na ziemi, przyniósł drugą, i gwizdnął na psy.

Pierwszy zerwał się Zagraj, który spał przed stajnią, i, snadź głodny był, bo żwawo biegł na obiad.

— Odpędź starego! — zawołała pani.

Chłopak pochwycił kij i pogroził nim kundlowi.

Pies cofnął się, chwilę stał zdumiony.

— Widocznie pomyłka jakaś, nie poznał mię, czy co? — pomyślał sobie. I śmiało szedł do misy, utkwiwszy wzrok w chłopca.

— Wszakże to ja, stary Zagraj — mówił mu tym wzrokiem. — Cóż to? nie poznałeś mię?

Ale chłopak znów skoczył do niego z kijem.

Teraz już nie rozumiał co to znaczy. Stanął z boku i patrzył i widział, że dwóch jego najstarszych towarzyszy taż sama spotkała dola, gorzej nawet, bo w poczuciu słuszności swoich praw stawiali się hardo i... zostali kijem obici.

Pani stała, dopóki młode psy wszystkiego nie zjadły, poczem zadowolona z wprowadzonej oszczędności w gospodarstwie, wróciła do eleganckiego gabinetu, zasiadła wygodnie na miękkiej, ponsowym utrechtem krytej kozetce, i, czekając na obiad, czytała w dalszym ciągu rozrzewniający romans francuski.

Chłopiec zabrał próżne, starannie wylizane miski, i pogwizdując, ustawił je pod płotem; psy się rozbiegły; pozostały tylko dwie żywe istoty: stary Zagraj, który wciąż jeszcze stał na tem samem miejscu i wzrokiem przeprowadzał chłopca i za płotem dziecko w podartej koszulinie, przepasanej wązką i krótką z sinego płótna, dobrze już wyblakłą spódniczką.

— O jaj, biedne psiska! — myślała dziewczynka — jeść nie dostaną! A to tak cości boli i ściska, jak się człowiekowi jeść bardzo chce. Jaka to niedobra ta jaśnie Pani! Co oni jej zawinili?

— Com ja im zawinił? — myślał również Zagraj, wracając powoli ze spuszczoną głową i zwieszonym ogonem na legowisko swoje przed stajnią. — Aha! już wiem, przeszłej nocy usnąłem trochę, nie tak często obiegałem dom, jak się należy: trzeba się będzie poprawić i pilniej spełniać swój obowiązek.

I nocy tej, a noc była długa jesienna, Zagraj stróżował aż nadto sumiennie. Zgłodniały, zziębnięty, drżący na całem ciele, nie kładł się prawie wcale na spoczynek, oczy mu się kleiły gwałtem, nogi się pod nim uginały, a on biegł dokoła obejścia, zaglądał w każdy kąt, żeby, broń Boże, chlebodawcom krzywda się jaka nie stała. Ile razy, zmęczony, przysiadł na chwilę i zdrzemnął się, śniło mu się zaraz, że złodzieje zakradają się do stajni, i szczekał przeraźliwym głosem. Zaalarmował cały dom.

Pan wyszedł na ganek, stróż nocny obszedł dwór i zabudowania dokoła, i nic nigdzie nie dojrzał.

— A nie pójdzież ty psia wiaro! — krzyknął na Zagraja. — Drze się bestja, sam nie wie czego!

I kopnął go nogą.

Zagraj zaskowyczał z bólu i skrył się za ścianę. Pocieszał się myślą, że jutro dostanie śniadanie i obiad. Wszakże wszyscy widzieli, że nie jest leniwy, że dobrze domu pilnuje.

Ale nazajutrz powtórzyło się toż samo, co dnia poprzedniego. Jego i dwóch jego towarzyszy odpędzono od misy.

Głodne psy zbiły się w gromadkę i naradzały się: co dalej robić? Niebawem wybiegły z dziedzińca i skierowały się drogą do poblizkiego miasteczka. Zagraj, ubiegłszy kilkanaście kroków, zaczął zwalniać, stanął. Towarzysze oglądali się za nim, czas jakiś przystawali również, wreszcie puścili się znów naprzód. Zagraj stał długo, patrzył za nimi, i powoli jakby z pewnem ociąganiem się, wrócił do domu. Nie mógł przypuścić, żeby go wypędzono nieodwołalnie z tego podwórza, na którem igrał szczenięciem, po którem gonił się swawolnie z paniątkami tego domu, którego wiernie pilnował lat tyle. Położył się na zwykłem miejscu, pod stajnią, i spał do południa. O południu zbudziło go świśnięcie zwołujące psy na obiad. Podniósł się, chciał biedz, i... zatrzymał się. Patrzył zdaleka, jak towarzysze jego pożerali lichą strawę, ale zbliżyć się już nie śmiał.

— Może co zostawią — myślał — resztek przecie zjeść mi nie zabronią.

Psy się rozeszły, Zagraj rozejrzał się bojaźliwie; chłopiec stał oparty o okno izby czeladnej żywą zajęty rozmową. Zagraj szybko dopadł do misy...

O, radości! na dnie leżała jakaś garstka strawy. Nie zdołał jej jeszcze połknąć, gdy usłyszał już głos nad sobą:

— A pójdziesz, stary! — I kij sękaty spadł mu na grzbiet.

Dwa dni przebył bez posiłku. Trzeciego dnia rano głód coraz srożej szarpał mu wnętrzności. Postanowił ratować się: wiedział dokąd pobiegli i po co jego towarzysze niedoli: pod miastem była bydłobójnia, miejsce zebrania wszystkich psów okolicznych. Wczoraj widział wprawdzie Kruka i Azora kręcących się koło domu; boki miały zapadłe od głodu.

— Nie udało się im — myślał — a jednak sprobuję, może mnie się powiedzie.

I puścił się ku miastu. Zdaleka już koło jatki dojrzał psów gromadkę. Ogarnął go strach, głód jednak wziął górę; podsuwał się coraz bliżej, powoli, nieśmiało.

Może się nad nim ulitują, może mu pozwolą choć krwi trochę polizać.

Ale psy miejskie uważały jatkę za swoją własność, i nie myślały praw swoich ustępować nikomu. Widząc zbliżającego się obcego przybysza, dwóch zaraz rzuciło się ku niemu. Zagraj uciekał. Osłabiony głodem nie dość był zwinny. Napastnicy dognali go i srodze pogryźli.

Oszalały prawie z bólu i głodu instyktownie uciekał ku domowi. Zatrzymał się dopiero przed bramą.

— I po co tam idę? kij spotka mnie tu jedynie. To już nie mój dom... wypędzają mnie stąd... jeść nie dają. I za co mnie wypędzają? Za co znęcają się tak nademną? Co ja im zawiniłem?... Powlókł się na pole. Położył się, zaczął lizać bolące rany. Z uszów poszarpanych krew ściekała kroplami.

Ochłonąwszy nieco, znów poczuł głód straszliwy.

Wstał i chwiejąc się, szedł zwolna po polu, węsząc pilnie na wszystkie strony. Zaleciał go zapach kartofli: podążył więc w tym kierunku.

Na polu, przy ognisku, siedziało trzech pastuszków; jedli pieczone kartofle.

— Ach cóż to za przysmak! Gdybyż dostać choć jeden!

Posuwał się bojaźliwie, co krok przystając.

— Widzisz go, Antek? a to ci poszarpany! Może wściekłe psisko? Jeszcze nam bydło pokąsa... Hejże, chyże, trza go odpędzić!"

Chłopcy porwali za bicze i kije, i skoczyli za uciekającym Zagrajem, strasząc go krzykiem i rzucając za nim kamieniami. Uciekając, wpadł do wsi. Chaty ciągnęły się dwoma rzędami. — Może tu się kto nad nim zlituje.

Ale psy domowe zbliżyć mu się nie dały do żadnej chałupy; rzuciły się za nim hurmem, szczekając i ujadając, i przepędziły go tak aż do dworu.

Przesunął się koło dziedzińca, okrążył ogród, i przystanął za płotem wysokim, oddzielającym ogród dworski od budynków, w których mieszkali oficjaliści, i niższa służba. — Chwilę jakąś stał z głową spuszczoną.

— A więc nikt nad nim nie ma litości! Dotąd wszyscy mu byli przyjaźni, naraz i ludzie i psy uwzięli się na niego, i ścigają go z dziwną zawziętością! Nie ma już dokąd zwrócić się po ratunek.

Położył się, nie zdając sobie sprawy, co dalej będzie? Zmęczony był, zziajany, a słaby.

Nie ochłonął jeszcze, kiedy kroki jakieś słyszeć się dały, i głos dziecinny nucił wiejską piosenkę. Zagraj obejrzał się. Ścieżką pod ogrodem szła ku niemu dziewczynka w wyblakłej z sinego płótna spódniczce i takimże kaftaniku. Pewno bić go będzie i krzyczeć na niego. Zerwał się; chciał uciekać.

Dziewczynka zlękła się zrazu, myślała, że pies się na nią rzuci.

— *Piesiuniu* — prosiła.

— Ależ to Zagraj! — zawołała po chwili, przyjrzawszy mu się lepiej. — Zagraj, nie poznałeś mnie?"

Zagraj popatrzył na nią bojaźliwie, nieufnie. Prawdaż to, że ktoś przemawia jeszcze do niego łagodnie?

Dziewczynka zbliżyła się, położyła mu rękę na głowę, pogłaskała.

— Zagraj — mówiła — Zagraj nie bój się, psisko!... Ale jak ty wyglądasz? Ty zawsze taki porządny pies, a dzisiaj taki najeżony, jakby napuchnięty, a boki zapadły się gdzie, het! Aj, a uszy jakie poszarpane! Psy cię pogryzły? Biedny Zagraj! A nie mówiłam ci to, nie wdawaj się z psami!

Zagraj łasił się dziewczęciu, tulił się do niej, ale nogi pod nim drżały, chwiał się, zataczał jak pijany, ustać dłużej nie mógł, położył się na ziemi i patrzył w oczy dziewczynki, a we wzroku jego tyle było skargi i bólu i rozpaczy...

Dziewczynka bezwiednie osunęła się przy nim na kolana. Zrozumiała go; to spojrzenie wytłómaczyło jej wszystko.

— Tyś taki głodny, biedaku! Tak, to prawda! Stałam przecie za płotem i słyszałam jak pani nie kazała wam jeść dawać! Ale to już tak dawno! Tożbyś ty od tego czasu nic nie jadł?... Poczekaj, polecę do domu, to może ci co przyniosę. Tylko nie odchodź stąd, pamiętaj!

— Hanka! Hanka! — rozległ się głos od czworaków, a gdzie ty tam leziesz, ty leniu zatracony!

— Idę, matulu, idę — odkrzyknęła dziewczynka, wybiegając z za węgła domu.

— Gdzie ty się włóczyła? Ruszajże jeść, bo zjedzą wszystko, i nic nie dostaniesz.

Hanka żywo poskoczyła do chałupy. Czworo dzieci uzbrojonych w łyżki drewniane, otaczało rydelek, na którym stały dwie miski: jedna z posolonemi kartoflami, druga z barszczem. Dla ojca, który był fornalem dworskim, i nie wrócił jeszcze z roboty, miała matka w rynce kartofle krzynkę okraszone. On pracuje, to musi lepiej zjeść, a dzieci — to odejdą się byle czem.

Hanka brała po dwa kartofle na raz, i dziwiły się dzieci, że je tak prędko zjadała, a nie spostrzegły, że nadgryzłszy zaledwie jednego, szybkim ruchem wrzucała je za pazuchę. Udało jej się tak schować pięć kartofli, sama zjadła zaledwie parę: wzruszona była, i nie chciała wreszcie krzywdzić braci i sióstr. Położyła łyżkę i czekała cierpliwie.

— Może nie zjedzą, to wezmę jeszcze — myślała.

Ale dzieci nie odstąpiły od misek, dópóki czyste dno się nie pokazało. Pyzata siedmioletnia Maryna skrobała nawet jeszcze łyżką, kiedy już nic nie było.

Hanka wyszła przed chałupę, a rozejrzawszy się, i upewniwszy, że nikt jej nie widzi, pędem pobiegła ku ogrodowi dworskiemu. Zagraj leżał na tem samem miejscu, gdzie go zostawiła. Z tryumfem położyła przed nim kartofle; Rzucił się do nich chciwie, połknął w jednej chwili, i patrzył, czy więcej nie dostanie.

— Więcej nie mam — powiedziała mu Hanka — dobrze, żem i to porwała. Ale możebyś ty wodą popił? Czekaj, ja ci przyniosę.

Pod płotem leżała skorupa z garnka: chwyciła ją, pobiegła do rzeki, i niebawem wróciła z wodą. Zagraj pił chciwie, paliło go pragnienie głodowe.

Zaledwie dzień jeden ukrywała się tajemnica Hanki, dzieci podpatrzyły ją i poskarżyły przed matką. Matka gniewała się i krzyczała.

— Będziesz ty mi tu psy obce karmić, kiedy ja was ledwie wyżywić

mogę! Patrzcie ją, psia matka! Ja sama sobie nieraz od gęby odejmuję, żeby dzieciska głodem nie marły, a ta psom strawę wynosi! Jaka mi miłosierna!

— Matulu! on taki chory i głodny! Pani nie kazała mu jeść dawać...

— A tobie co do tego? Czy to twój pies? Żebyś mi nic nie wynosiła!

Hanka tym razem nie mogła jakoś usłuchać matki, taka ją żałość brała nad biednem psiskiem. Codzień zanosiła mu coś: to chleba kawałek, który sama dostała, to parę kartofli. Mało co jednak mogła zachwycić, bo ją pilnowali.

Jednego dnia nie miała mu czego zanieść. Chleba nie było w domu ani kawałka. Z reszty mąki matka na obiad ugotowała zacierki. Zjedli co do odrobiny; w garnku zostało trochę tylko polewki.

— Zanieś to do chlewka i pokraś żarcie świniakowi — powiedziała matka.

Hance oczy zabłysły; pochwyciła garnek i szybko wybiegła z chałupy.

— Świniak może dziś jeść i niekraszone — pomyślała, a ten mój biedaczysko niech się choć tem posili.

Ledwie jednak przybiegła do Zagraja i postawiła mu polewkę, kiedy matka nadeszła. Odgadła jej myśli — śledziła ją chyba.

— Tak to ty robisz? Zamiast karmić prosiaka, psa obcego karmisz! Czekaj-no, dam ja ci psa!

Ułamała pręt z płota i w gniewie uderzyła nim parę razy Hankę po plecach. Dziewczyna nie krzyczała nawet, przyjęła karę w milczeniu, tylko Zagraj zawarczał, pokazując zęby.

Kobieta podniosła pręt na niego, ale Hanka pochwyciła ją za rękę.

— Matulu, mateńko moja, nie bijcie go! Widzicie, on taki biedny, taki chory! Już dziś nawet i polewki jeść nie chce.

Kobieta popatrzyła na psa i żal ją ogarnął.

— Biedne psisko! Taż to zdechnie z głodu! Psiawiara i taka pani! Na gości, na stroje, na wyjazdy za granicę to ma, a na wyżywienie starego psa, który jej całe swoje życie wiernie służył, to już jej nie stać!

— Trzeba go będzie wziąć do domu, niechaj tam! toć się to jakoś wyżywi. Pójdź, Zagraj, pójdź, psisko!

Ale Zagraj nie ruszał się z miejsca; spoglądał tylko na nią ponuro, oczy dziwnie mu błyszczały.

— Nie ma siły — powiedziała fornalowa, może on spragniony, i dlatego jeść nie chce... Biegnij-no i przynieś mu wody.

Zagraj, jak tylko spostrzegł wodę, wstrząsł się cały i zakręcił się w kółko.

— Jezus, Marja! wściekły — wrzasnęła fornalowa. Porwała dziecko za rękę i co sił uciekała ku domowi.

Zagraj popatrzył za niemi, potem zawrócił i zrazu zwolna, potem coraz szybciej, jakby cudem jakimś odzyskując siły, popędził na pole; i odtąd już go Hanka więcej nie widziała. Opowiadali tylko ludzie, że pokąsał dwa psy i parę sztuk pańskiego bydła, które trzeba było wystrzelać. Chłopi zabili go kijami.

Pod wieczór smutna Hanka poszła zajrzeć przez płot na pańskie podwórze i słyszała jak pani strasznie się gniewała na ludzi, że to przez ich niedbalstwo stała się taka szkoda. Czemu psu pozwolili się włóczyć koło domu, kiedy ona kazała go ze wsi wypędzić.

Hanka pokiwała głową, otarła łzy fartuszkiem, i smutniejsza jeszcze wróciła do domu.

Warszawa. *Zuzanna Zajączkowska.*

586

Z ZAGADNIEŃ

NASZEGO ROZWOJU SPOŁECZNEGO.

Kwestje, dotyczące układu i przeobrażeń stosunków rolnych w Polsce, tak ze względu na liczebność klas społecznych w rolnictwie podstawę bytu znajdujących, jako też z powodu znaczenia, które posiada produkcja rolnicza w budżecie gospodarczym kraju, naczelne zajmują miejsce w szeregu zagadnień naszego rozwoju społecznego. W szczególności zaś stan obecny i losy przyszłe gospodarstwa włościańskiego z obu względów powyższych gruntownie studjowane być winny.

Odnoszące się tu liczne kwestje szczególne dają się streścić i uogólnić w następującem pytaniu zasadniczem: czy ostoi się i utrwali gospodarstwo ludowe na drobnej własności roli oparte, czy też na szczątkach jego ma wyrosnąć kapitalizm rolniczy, a więc wielka własność i uprawa z jednej, a bezrolny proletarjat parobczany z drugiej strony?

Zagadnienie to, będąc często przedmiotem sporów i dyskusji, posiada już długi szereg argumentów teoretycznych lub z praktyki życia zaczerpniętych, które tak lub inaczej przemawiają. Powtarzać ich tu nie będziemy, bo kwestja to zbyt rozległa i od wielu zmiennych i przewidzieć się nie dających czynników zależna. Z pośród ostatnich wszakże, jeden w praktyce dotąd mało uwzględniany, znaczenie doniosłe mieć może w przyszłości.

Rzecz to zresztą nie nowa, gdzieindziej szeroko zastosowywana, a i u nas na innych polach coraz bardziej się upowszechniająca. Gospodarstwo zbiorowe, mianowicie, jest formą, przez którą ludzkość w zaraniu swojego życia cywilizacyjnego przechodziła i do której dzisiaj w przeróżnych postaciach powraca.

Zobaczmy na jakiej drodze urzeczywistnienia czynnika tego w zajmującej nas obecnie dziedzinie stosunków szukać by należało.

Podstawą spółek i stowarzyszeń wśród włościan polskich być nie może, jak u innych ludów słowiańskich, Serbów lub Wielkorusów, dotąd przechowana i do dziś potężna tradycja dawnych instytucji gromadzkich. Chłop polski jest dziś indywidualistą, w najbardziej skończonej typu tego postaci. Tam nawet, gdzie przechować się miały najdłużej starodawne urządzenia gminne — na Kurpiach, w radomskiej Jedlni — dziś już po nich śladów nie dojrzymy.

Szczątki ich na obszarze ziem polskich istnieją gdzieś zaledwie u rybaków na Heli lub juhasów tatrzańskich, w pewnych specjalnych warunkach gospodarstwa, lecz nie na roli.

Natomiast widoczne są wszędzie w kraju objawy dokonywającej się indywidualizacji gospodarstwa ludowego, które otrząsa się skwapliwie ze wszelkich z tendencją tą niezgodnych pozostałości minionej epoki. Znoszą się serwituty i używalności wspólne, dzielą się lasy i pastwiska gromadzkie; w niektórych okolicach znikają jedna po drugiej rojne i gęsto zabudowane wsi kmiece, a ludzie z nich rozchodzą się na „kolonje", budując się każdy zosobna na swoim gruncie, zaokrąglając posiadłości, ogradzając się i okopując od sąsiadów. Takim będzie układ, do którego włościaństwo nasze szybkim zmierza krokiem.

Dla spółek i towarzystw w czem innem zatem szukać należy podstawy: już nie jako forma, tradycją przekazana, na prawie obyczajowem oparta i z ducha ludu wypływająca, lecz po prostu w imię dobrze pojętego interesu praktycznego z zupełną rzeczy świadomością narodzić się ona z konieczności musi. Przykładem mogą być dla nas ludy Europy zachodniej, gdzie również na gruncie czystego indywidualizmu powstawały naprzód związki chwilowe, dla celów doraźnych zawiązywane, a następnie towarzystwa rolnicze stale działające.

Zaczątki podobnych usiłowań i u nas już gdzieniegdzie dostrzedz można: powstają spichrze gromadzkie, sklepy wspólne, młyny, spółki dla kupna maszyn, dzierżawy gromadzkie i t. d. Są to dopiero zaczątki słabe, których doniosłości przeceniać nie można; są jednak oznaką budzącej się świadomości i zrozumienia potrzeby gospodarnej akcji zbiorowej, a stopniowo wykształcić się i spotężnieć muszą. W innych warunkach w kierunku tym mogłoby okazać pomoc skuteczną państwo przez zastosowanie środków właściwej polityki ekonomicznej, popierając wszelkie instytucje pomocy wzajemnej, jak kółka rolnicze, spichrze wiejskie, ubezpieczenia rozmaite i t. d. U nas, oczywiście, liczyć na to nie można.

Trudno nawet przesądzać z góry: czy usiłowania podobne zdołają usunąć w zupełności te strony ujemne, które własność drobna, — jak i wszelkie zresztą inne formy ekonomiczne, — niewątpliwie posiada. Jakkolwiekbyśmy jednak teoretycznie formę tę oceniali, pamiętajmy, że jest to jedyna, którą lud polski zna, jedyna, na której spoczywa dziś dobrobyt większości narodu. Wyboru tu niema: rozkład jej i upadek, to ruina materjalna i moralna kilkomiljonowej rzeszy włościaństwa polskiego, dla którego ponad tę świętą ziemię nic niema droższego na świecie, które jej posiadania namiętnie pragnie. I święta to zaprawdę — a w położeniu naszem zbawienna, namiętność. Jej to zawdzięczamy często i uratowanie tej ziemi z rąk obcych... Niema prawie gminy w kraju, gdzieby w ciągu ostatniego 25-lecia ziemie chłopskie choć trochę nie urosły. I stało się to bez wszelkiej z zewnątrz pomocy, bez szkół rolniczych przy nizkim stopniu oświaty ogólnej i fachowej, bez kredytu wreszcie i wśród warun-

ków ekonomicznych najniepomyślnieszych, dzięki jedynie usilnej pracy i nadludzkiej zapobiegliwości polskiego chłopa...

Nie jest więc bezzasadną nadzieja, że gospodarstwo ludowe, przyswajając sobie czynniki, których dziś wcale nie zna, zdobędzie nowy i silny bodziec rozwoju.

Jeden z czynników tych — bodaj najważniejszy — wskazaliśmy..

Warszawa. *Adam Zakrzewski.*

SCENA Z KOMEDJI »KRÓLOWA OPINJA«.

(AKT I. — SCENA VIII).

ORECKI, KACPER, potem CHARLSTOWN.

ORECKI (dzwoni, Kacper wchodzi).

Proś ostatnich.

KACPER (meldując).

Mister Charlstown (wychodzi).

CHARLSTOWN.

John Charlstown z domu Smith and Company, New-York, Five Avenue, Hundert Twenty Three — czy pan inżynier Orecki?

ORECKI.

Tak panie, ale jak na teraz minister komunikacji.

CHARLSTOWN.

To mnie nie obchodzi: przyszedłem do inżyniera, nie do ministra, a właściwie do autora dzieła o „Turbinach".

ORECKI.

Aha.

CHARLSTOWN.

Rozumiemy się. Pan wiesz, że tam tkwi wynalazek, który może powiększyć siłę motorów o 60 na 100.

ORECKI.

Przyjmijmy czterdzieści na początek.

CHARLSTOWN.

Sześćdziesiąt! ani trochę nie ustąpię, bo przy liczniejszych doświadcze-

niach można będzie jeszcze powiększyć tę siłę. Otóż jako reprezentant domu Smith & Cy przychodzę traktować z panem o prawo eksploatacji pańskiego wynalazku. Ile pan żądasz za przywilej?

ORECKI.

Nic, bo nie jest na sprzedanie.

CHARLSTOWN.

Jakto? nie jest, kiedy ja go chcę kupić.

ORECKI.

Ale ja go nie chcę sprzedać.

CHARLSTOWN.

Ale dlaczegoż pan nie chcesz sprzedać?

ORECKI.

No, bo mi się nie podoba.

CHARLSTOWN.

Nie traćmy spokoju, nie unośmy się. Pan nie chcesz sprzedać, bo może myślisz, że propozycja nie jest dość poważna, albo firma, którą reprezentuję nie dość solidna. Co do pierwszego, stawiaj pan warunki: zobaczymy, czy będą zbyt wygórowane dla mnie, a co do domu Smith & Cy, to rozporządzam kapitałem zakładowym 10 miljonów dolarów i olbrzymim kredytem, nietylko w Stanach Zjednoczonych, ale i tutaj. Pierwsze firmy bankierskie Europy odpowiedzą za nas, nawet Baron Schwartzbild, którego tu przed chwilą widziałem.

ORECKI.

Nie kwestjonuję wcale odpowiedzialności pańskiej, ani domu, który reprezentujesz; przypuszczam, że za wynalazek mój, gdyby z dziedziny teorji w praktykę przeszedł, zapłaciłbyś mi pan nawet sumę tak znaczną, że mogłaby być dla mnie majątkiem.

CHARLSTOWN.

Pięćdziesiąt tysięcy dolarów płacę odrazu; maszyny, budowy, grunt do doświadczeń naszym kosztem, a procent w zyskach oznaczymy.

ORECKI.

Nie posuwaj się pan dalej, bo, powtarzam, rzecz nie jest na sprzedanie.

CHARLSTOWN.

Ależ do licha... nie unośmy się. Zwracam pańską uwagę, że to nie jest żadna odpowiedź, a raczej pańska odmowa musi mieć jakieś przyczyny.

ORECKI.

Prawdopodobnie.

CHARLSTOWN.

Sądząc po tem, co wiem o panu, przyczyny te muszą być logiczne.

ORECKI.

Pochlebiasz mi pan.

CHARLSTOWN.

Traktujmy rzecz po amerykańsku: krótko i dobrze. Dam na początek 60.000 dolarów.

ORECKI.

Nie mogę.

CHARLSTOWN.

70.000 dolarów — 75.000, ale to już ostatnie słowo.

ORECKI.

Widzę, z pewną dumą przyznaję, że ta licytacja mogłaby trwać jeszcze, ponieważ jednak ja nie mam na nią czasu, a za to wyrobiłem sobie już pojęcie o przybliżonej wartości mego wynalazku, więc wolę otwarcie powiedzieć panu: dlaczego sprzedać go nie myślę, niż narażać pana na trud niepotrzebnego targu. Tylko jako Amerykanin, nie wiem, czy mię pan zrozumiesz.

CHARLSTOWN.

My, panie, rozumiemy wszystko, prócz waszych europejskich przesądów.

ORECKI.

Lękam się: czy pan do tego i moich przekonań nie zaliczysz.

CHARLSTOWN.

Zobaczymy; w każdym razie mów pan, proszę.

ORECKI.

A więc nie chcę sprzedać mojego wynalazku, jakkolwiek nie jestem bogaty, za żadną cenę, a nie chcę dlatego, że pochodzę z biednego kraju, w którym żadne fabryki dotąd rozwinąć się nie mogą, bo nie wytrzymują konkurencji z innemi, już ustalonemi w innych częściach państwa. Jestem i sam biedny, ale jako minister teraz dopiero będę miał pole do wyprobowania mojego wynalazku, i dopiero zupełnie udoskonalony — gdy już jego rezultatów pewnym będę — oddam na użytek mojej ziemi rodzinnej.

CHARLSTOWN.

Która panu za niego zapłaci?

ORECKI.

Nie wiem, ale której ja w ten sposób spłacę dług dobrego syna.

CHARLSTOWN.

Wiedziałem już z pańskiego nazwiska o pańskiej narodowości, która się często u was zaciera z pozyskaniem wyższych stanowisk. Pan jednak pozostałeś jej wiernym, to nie moja rzecz. Ale za to powiem panu, że trochę się obcierałem o twoich współziomków i, ceniąc wysoko przymioty ich fizyczne, również mężczyzn jak i kobiet, bo to piękna rasa, uznając nawet wyjątkowo szlachetne instynkta, dostrzegłem w nich jednak dwie rzeczy charakterystyczne: nieporadność ogólną i brak uznania dla wszystkiego co swoje. Na takim gruncie trudno o pomyślny stan interesów, wobec braku solidarności; zaś brak uznania wyradza zniechęcenie, niewiarę, upadek inicjatywy i użytecznych myśli,

a wreszcie niewdzięczność i zapomnienie dla pionierów postępu. Wierz mi pan, ja może nawet o tem więcej wiem, niż mówię — wynalazek pański na gruncie nieodpowiednio przygotowanym nie wyda owoców, a ci, którzy go spaczą i źle zużytkują, zamiast cię błogosławić, przeklinać cię będą!

ORECKI.

Przewidziałem z góry, że mnie pan nie zrozumiesz: nie chcę i nie mogę wdawać się w dyskusję o charakterze moich ziomków, bo zaprowadziłoby mnie to za daleko, ale sprawę mego wynalazku również sądzisz pan po amerykańsku. Powiedziałem, iż nie mam go na sprzedanie, to znaczy, że nie wezmę za niego pieniędzy, choćby mi dawano miljony, a krajowi memu nie oddam go na lichwę wdzięczności, ani sławy nieśmiertelnej. Nie, panie, ja mu go oddam darmo, bez pretensji do niczego, szczęśliwy i dumny, jeżeli go przyjąć odemnie zechce. Tak rozumiem mój obowiązek obywatelski uczciwego syna mojej ziemi. No, jak pan widzisz, są to pojęcia nie amerykańskie i prawdopodobnie dla pana nie dostępne.

CHARLSTOWN.

Kto wie? może. Opowiem panu jednak historyjkę, za której autentyczność ręczę. Spotkałem przed kilku laty w Chikago, jednego z pańskich współziomków, który był tutaj obywatelem ziemskim, szlachcicem, dziedzicem dóbr, jak wy tutaj nazywacie. Miał kilka tysięcy akrów gdzieś tam w jakiejś dziurze galicyjskiej; ale, zamiast wzorem praojców, spokojnie na nich gospodarować, party instynktem i wrodzonemi zdolnościami, obmyśliwał jakieś nowe uproszczone i udoskonalone narzędzia rolnicze: grabie, kosiarki, żniwiarki. Budował coraz nowe modele i robił eksperymenta; samouczek, musiał zaczynać od elementarnych początków, aż gdy doszedł do jakich takich rezultatów swojej pracy, majątek licho wzięło i został na bruku. Wierzyciele wysubhastowali go z dóbr, ogłaszając go, nietylko za bankruta i oszusta, ale nadto za warjata. Żona, bo zapomniałem dodać, że ten poczciwiec miał żonę, piękną, młodą i utalentowaną, porzuciła go, obrzucając błotem, jak i inni, i biedaczysko znalazł się na amerykańskim rynku sam jak palec, goły jak Job, zrozpaczony i przeklinający wszystko i wszystkich.

ORECKI.

I cóż się z nim dalej stało?

CHARLSTOWN.

Spotkał się z jednym z ajentów naszego domu; ułatwiono mu zbudowanie modelu pługa, który był najpraktyczniejszym, i dobił się powoli środków do życia. Dziś jest już podobno dosyć zamożnym, wart około 100.000 dolarów

ORECKI.

I myślisz pan, że jest przy tem szczęśliwy, że nie tęskni za swoimi?

CHARLSTOWN.

Którzy mu dali upaść? i za żoną, która go porzuciła? Ha, wreszcie nie wiem: straciłem go z oczu. Opowiedziałem panu tę historję dlatego tylko, abyś porównał czem jest umysł wynalazcy u nas w Ameryce, a jak w twoim kraju marnieje często i upada, nie przynosząc pożytku ani sobie ani drugim. Pan jesteś dziś ministrem, posiadasz stanowisko wyjątkowe, ale to także kwestja: jak długo się na niem utrzymasz? W walkach parlamentarnych zużywa się na-

wet gienjalny umysł. Zły wiatr zawieje, ministerjum upadnie: a wtedy będzie pan żałował poniewczasie, że kłopoty i utarczki z opozycją wyniszczyły ci myśl, i niezdolnym do wynalazków, uczyniły. Zużyjesz się, panie ministrze, swoich „turbin“ w ruch nie wprowadzisz, wyjałowiejesz do dalszej pracy, a gdy majątku na tem wszystkiem nie zrobisz, kto wie: czy jak ów szlachcic mój znajomy, nie będziesz przeklinał złych losów, po niewczasie? Namyśl się pan; zmieniam formę mojej propozycji. Imieniem domu Smith & Cy wydzierżawię pana na przeciąg lat pięciu, ofiarując ci pensję rocznie trzy razy większą, niż dzisiejsza twoja ministerjalna. Koszta laboratorjum, warsztatów, modeli, pomocy naukowej i t. d. również my poniesiemy, zapewniając panu czwartą część dochodu zysków z twoich wynalazków — i cóż pan na to?

ORECKI.

Toż samo co poprzednio: nie przyjmuję!

CHARLSTOWN.

Jesteś pan uparty, ale i ja także. Ponieważ interesa naszego domu zatrzymają mnie tu jeszcze przez czas dłuższy, nie daję za wygraną i powrócę.

ORECKI.

Również bezskutecznie, jak dzisiaj.

CHARLSTOWN.

Zobaczymy to po pierwszej interpelacji w Izbie.

ORECKI.

Nawet przy dziesiątej.

CHARLSTOWN.

Wasze izby europejskie, jako motor do wysadzania ministrów, przewyższają nawet pomysł pańskich „turbin“. Szkoda tylko, że do tego jednego są zdolne. A więc do widzenia, — aż do skoku w powietrze!

ORECKI.

A więc do czasu, aż mnie wysadzą.

CHARLSTOWN.

Tylko ostrożnie, żeby się nie roztrząść na części lub nie upaść na głowę.

ORECKI.

O serce panu nie idzie? zawsze po amerykańsku.

CHARLSTOWN.

Zapomniałem znowu, żeś pan Polak. Zachowaj sobie swoje serce: ja tego nie kupuję, ale za głowę zapłacę; jeżeli nie straci na wartości, a będzie do kupienia, to jest „business“ a „business“ to grunt — do widzenia (wychodzi).

Warszawa. *Kazimierz Zalewski.*

STARA-MALEŃKA.

...Wyciągnęła małe wychudłe ramię. Ciężka bransoleta zwieszała się dokoła pożółkłej anemicznej skóry. Na trzecim palcu lewej ręki tkwił pierścionek pretensjonalny, długa *marquise'a* z pasterką wyemaljowaną na bladoliljowem tle nieba. Zafryzowana grzywa przysłaniała nizkie uparte czoło, oczy niespokojne, przedwcześnie zbudzone, miały chwilami wyraz właściwy kobiecie poszukującej przygód. Szyja wązka, niezdrowa, przecięta już żyłami i zżółkła, tonęła cała w koronkach, przysłonięta okrągłą brodą, zmysłową i ciągle ruchliwą. Usta duże, wilgotne, bezustannie przygryzane, czerwone były i spękane od złej, wewnętrznej gorączki, nos rozdęty, trywialny, rozkładał się wśród policzków wybladłych, z ciemnemi podkowami pod oczami zsiniałych.

W sztucznem oświetleniu wielkiej hali restauracyjnej, dziecko to — zaledwie siedmioletnie, miało w sobie już rozwiniętą całą przewrotność wyrafinowanej kokietki, biorącej chleb dwoma palcami, a trzymającej lekko w górę uniesiony piąty palec, zaostrzony długim wyszlifowanym paznokciem.

Z pod wielkich skrzydeł blado-zielonego kapelusza spoglądała na prawo i lewo, przymrużając oczy, wydymając klatkę piersiową, robiąc efekta bioder, ściśniętych w fałdy szerokiej jedwabnej szarfy.

Przegięta na krześle, na którem klęczała, miała w sobie gracją baletnicy opartej plecami o szarfę gazową, a drobne rączki wyciągnięte naprzód zdawały się szukać czegoś w przestrzeni.

Naprzeciw niej, matka, zupełnie *correcte,* ubrana czarno w ciemnej wełnie, z rękawami długiemi i w kapeluszu zeszłorocznym, jadła powoli, systematycznie, krając *petit suisse* na drobne kosteczki i obsypując je cukrem.

Tymczasem, dziecko, pod wpływem gorąca, gryzących sosów i wina nabrało sztucznych rumieńców; drobny język wśród rzadkich ząbków przesuwał się z uporem.

Stara-maleńka piła wino czyste i powoli dobierała się do karafki koniaku. Przez ten czas kokietowała zawzięcie na prawo i na lewo, poprawiając niedbałym ruchem bufy swych suto marszczonych rękawów.

Teraz już matka obiad skończyła i patrzyła w okno, na bulwary, które stały się jasno oświeconą smugą po za szklaną przegrodą. Dziewczynka kołysała się na krześle, wpatrzona, jak w tęczę, w jakąś blodynkę dzwoniącą frendzlami dżetów przy sąsiednim stole.

We wzroku tym była pożądliwość wielka, chęć dojścia jak najprędzej do wieku, w którym gorset klatkę piersiową ściskać zacznie a *souliers Molière,* nogi ugniatać będą.

Stara-maleńka jednak, skrzydeł dziecinnych się pozbywszy, uśmiechu dziecinnego nie znając, w świetle elektrycznem skąpana, powoli na krześle się kołysze i zamiast woni zdrowej pól i łąk gencjaną porosłych, zapach tłustych potraw, ostrych serów, werweny i *muguet*'u w siebie chłonie, podniecona, zgorączkowana, zestarzała u życia progu.

Paryż. *Gabrjela Zapolska.*

»JAN Dr. B... CZY Dr. JAN B«?...

Przed kilku laty wyczytałem w jednem z najpoważniejszych czasopism warszawskich w tym porządku wyrazów umieszczony pod artykułem podpis: Henryk dr. Biegeleisen. Uważając położenie tytułu akademickiego *dr.* między imieniem a nazwiskiem za pospolity błąd zecerski, byłbym może o tem zupełnie przepomniał, gdyby nie powtórne napotkanie tego samego zjawiska w tym samym tomie raz jeszcze w tekscie, a drugi raz w spisie rzeczy. Niebawem w następnym tomie znalazłem: „Michał dr. Szymanowski, Teofil dr. Ziemba, Br. dr. Łoziński". Trzy inne nazwiska autorów w podobny jak powyższy sposób opatrzone tytułem *dr.* po imieniu chrzestnem; w następnych zaś rocznikach, a zwłaszcza z roku 1885 i 1886 napotkałem podobny szyk wyrazów, nie kilka lub kilkanaście, ale kilkadziesiąt (przeszło 40), razy. Nie można było już wtedy wątpić, że się tu ma do czynienia, nie z błędem zecerskim, ale ze świadomą siebie, chociaż na błędnej asocjacji opartą, wolą autorów, czy redakcji.

Proces psychiczny, jaki się tu odbył, jest bardzo prosty. Mówimy często, a piszemy zawsze: Wojciech hr. Dzieduszycki, Aleksander hr. Przeździecki, Stanisław ks. Lubomirski, Roman ks. Sanguszko, to jest, piszemy zawsze skrócone czy pełne tytuły: *hrabia* (hr.) *książę* (ks.) między imieniem chrzestnem, a nazwiskiem. Nie podobieństwo istoty, ale podobieństwo formy, zwłaszcza w skróceniu *(hr.* a *dr.)*, stawia na równi *A. hr. B.* i *A. dr. B.*, bez głębszego wniknięcia w rzecz samą, bez zbadania takiego tych wyrazów szyku, który ma w pierwszym razie swą podstawę historyczną i gramatyczną, w drugim zaś nie ma żadnej, przez co logicznie i gramatycznie jest niewłaściwy.

Nazwiska polskie szlacheckie na *ski* i *cki* pochodzą, jak wiadomo, przeważnie od miejscowości, których dziedzicem była rodzina; jako pochodne wyrazy, na mocy przyrostka i znaczenia pierwotnego są one przymiotnikami. Dziedzice Gruszczyna n. p. zwali się panami (t. j. właścicielami) Gruszczyńskimi;

dziedzice Łysakowa, Łysakowskimi; dziedzice Szczepanowa, Szczepanowskimi i t. d. I dziś jeszcze nie rzadko daje się słyszeć z ust ludu na zapytanie: „Kto przyjechał?“ odpowiedź: „To pan Sufnarowski“ — w znaczeniu dziedzic Sufnarowej, chociaż nazwisko jego brzmi zupełnie inaczej i często się kończy nie na *ski* i *cki*, ale — niestety! — coraz częściej na *baum*, *gold* lub *münz*... Kiedy w wieku XVI tytuły „hrabiów cesarskich“ albo jak wówczas mówiono „grabiów“ do nas zawitały, a wraz z niemi i posiadłości rodzin hrabskich podniesiono do godności hrabstw, — pisali się n. p. Leszczyńscy (nie „panami“ już, ale) „hrabiami“ na Lesznie; Tęczyńscy, „hrabiami“ na Tęczynie; Kmitowie „hrabiami“ na Wiśniczu i t. d. w podobny sposób jak Radziwiłłowie pisali się książętami na Ołyce i Nieświeżu; Sanguszkowie książętami na Zasławiu i t. p. Michał hr. na Lesznie tytułował się tedy Michałem hrabią Leszczyńskim; Jan hr. na Tęczynie, Janem hr. Tęczyńskim i t. d. Jeżeli nazwisko jakie stało się już własnością rodziny przed otrzymaniem tytułu, n. p. Górka, Kmita, wtedy, naturalnie, tytuł z wymienieniem hrabstwa następował nawet po nazwisku. Nazwisko jest tedy w stosunku do imienia chrzestnego, czy do godności i tytułu, objaśniającym przymiotnikiem („przydawką“ po gramatycznemu) i tego charakteru przydawki nie powinniśmy zatracać mimo licznych nazwisk rzeczownikowych, tak swojskich, jak i obcych.

Przypatrzmy się teraz: co za znaczenie mogłoby mieć zestawienie takie: Jan dr Lipski, Michał dr. Wrocławski, Wojciech dr. Halski i t. p. Analogicznym sposobem dr Jan hr. Tęczyński nic innego oznaczać nie może, jak tylko to, że panowie Jan, Michał, Wojciech i t. d. otrzymali akademicki stopień doktora, jeden w Lipsku, drugi we Wrocławiu, trzeci w Halli i t. p. Czyż nie mówimy n. p.: „on ma doktorat hajdelberski, wiedeński, paryski“, podobnie jak: „on ma hrabstwo tarnowskie, łańcuckie, wiśnickie“ i t. p.? Jakże jednak rozumieć podobne zestawienie, jak: Wł. dr. Wicherkiewicz, albo Albert dr. Zipper?

Tu już brak konsekwencji i sensu wychodzi jaskrawo na jaw i przekonywa dobitnie, że takie zestawienie, a raczej szyk tych wyrazów jest zupełnie niewłaściwy.

Przedewszystkiem pamiętać wypada, że tytuły: książę, hrabia, baron są rodzinne i przechodzą na potomków w dalekie pokolenia, stając się integralną i nierozerwalną częścią nazwiska, bez względu na to, czy je nosi Jan, Władysław czy Tomasz. Błędny tedy jest odwrotny sposób pisania: ks. A. A. (zamiast A. ks. A.) lub hr. Z. Z. (zamiast Z. hr. Z.) ale zupełnie uzasadniony dr. B. B. (nie B. dr. B!) bo tytuł ten, chociaż równie zaszczytny, osobistą pracą i nauką zdobyty, służy *tylko* osobie, która go uzyskała, a więc osobie *tylko tego imienia i nazwiska*, bez przechodzenia na potomnych.

Rzeczy to nie nowe, i dla wielu zapewne i dziś nie obce; ale, że zatrata świadomości mogłaby przynieść uszczerbek językowi i pozacierać właściwości szyku pewnych wyrazów, uważam więc za obowiązek zwrócić na to uwagę ogółu.

Kraków. *Roman Zawiliński.*

POD WRAŻENIEM »CHAMA«.

Stworzyć charakter wielki a prawdziwy, — zadanie dla poety niezmiernie trudne, ale też najwdzięczniejsze: w uczuciu uwielbienia, które jego dzieło w nas obudzi, piękno ściśle skojarzy się z dobrem, bo tę spokojną rozkosz umysłu, którą wywołuje wierny a żywy obraz rzeczywistości, podniesie dreszcz zapału dla uczuć wielkich i czynów, skrzydlaty poryw ku słońcu, dumne wreszcie i szczęśliwe zadowolenie, żeśmy dość ognia znaleźli w sobie, by zapłonąć czcią szczytną, zarówno dla bohaterskiej postaci, która stanęła przed nami, jak i dla duszy poety, który tyle piękna duchowego odczuć, tyle w niem odcieni subtelnych i dla zwykłego oka niedostrzegalnych odkryć i odtworzyć umiał.

Zadaniu temu rzadko umieli podołać nawet wielcy mistrzowie. Tworzyli częstokroć tylko błahych pedantów, ubranych w płaszcz szumnie brzmiących zasad, albo, w najlepszym razie, postacie zbyt nadziemskie, zbyt niedostępne namiętnościom i pokusom, budzące przeto w nas chłodny podziw raczej, niż serdeczne zajęcie, — jednem słowem: nie tak wielkie, jak tego chcieli ci, co je powołali do życia. Wszak nie jest jeszcze dobrym ten — powiedział Larochefoucauld — kto nie ma siły być złym.

Cham jest wielki i prawdziwy, idealny i realny. Orzeszkowa wiedziona tem głębokiem współczuciem dla maluczkich, które ją do skreślenia jej najlepszych dzieł natchnęło, zstąpiła w głębie prostej duszy chłopskiej i wykryła w niej kwiaty, wysoko i bujnie pnące się ku niebu, bo ciepłem religijności nasycone. Paweł w *Chamie* jest wielki, bo religijny w najgłębszem znaczeniu wyrazu: żywe i ciągłe poczucie wszechobecności swego Stwórcy i Pana, surowa świadomość odpowiedzialności i obowiązku względem Niego, zrozumienie groźnej powagi życia, gdy się chce żyć, jak Bóg przykazał, wreszcie cichość jakaś i pokora, nadająca mu to piętno słowiańskiego chłopka, o którym śnił Mickiewicz, a wy-

mowniej, niż wszystko inne, świadcząca o kryształowych głębiach jego duszy — bo woń kojąca pokory tę tylko duszę napełnia, która do dna umie przejąć się nieskończonym majestatem Boga i życia w Bogu, — to wszystko stanowi istotę religijności Pawła. Lecz bohater ten, w uczuciach swoich tak doskonały, czem w życiu i czynach zdołał serca nasze porwać? Czy ogromem pokus, które miał do zwalczenia i zwalczył? Nie. Autorka obrała drogę może mniej ponętną, ale też mniej ślizką, postawiwszy Pawła wobec trudności, których on nie umie rozwikłać, nie wie, jak ma postąpić, aby surowy głos sumienia zaspokoić, — *musi* upadłą towarzyszkę swego życia pobudzić do poprawy, ale jak? W daremnych wysiłkach ku temu ugina się pod ciężarem uciśnienia swego i bólu, ale nie ją on wini i nie tych, co ją otaczają, lecz siebie tylko, nieumiejętność swą i niemoc.

Paweł jest bohaterem chrześcijańskiego obowiązku. Nietylko podziwiamy go, ale i kochamy, czując w nim brata, gdyż nie stanął on jeszcze na chłodnych wyżynach niedościgłej doskonałości, lecz wraz z nami wdziera się na nie, tylko wyprzedza nas, bo głębiej wyrył mu się w sercu obraz Boga, bo lepszy jest od nas, bo pokorniejszy.

Dodajmy jeszcze do tego tło tej szarej Nadniemeńsko-litewskiej przyrody, którą autorka tak ukochała i tak cudownie odtworzyć umie, oraz szereg postaci z ludu typowych i głęboko prawdziwych.

Cham nie dla salonów tylko jest napisany, ale dla ogółu narodu. Można zrozumieć go i znaleźć w nim pokarm dla ducha nawet pod strzechą wieśniaczą. W tem jego ogromna doniosłość. Nam, z salonu, możnym i wykształconym, zdaje się zbyt często, że stanowimy całość społeczeństwa, nie zaś drobną tylko garstkę, zapominamy, że ci, których los pozbawił możności spożywania owoców kultury, mogą nas o wiele przewyższać pod względem głębi i szlachetności swej filozofji życiowej. Może, czytając dzieje walki i bolów Chama, zadrżymy pokorą i, poczuwszy nicość naszą wobec tej prostej chłopskiej duszy, zastanowimy się: czy nie serce czyste i myśl o Bogu mają stanowić spójnię w kościele dusz wybranych, nie zaś ilość nabytej wiedzy, wspólność wychowania i opartych na tem ideałów życiowych, zawsze mniej lub więcej zabójczo denerwującym sybarytyzmem kultury zabarwionych?

Dostępny wszystkim, będąc nietylko wiernym i barwnym wizerunkiem życia, ale i wylewem wielkiego serca, *Cham*, obok rozkoszy estetycznej, daje nam dobroczynnego bodźca w znojnej ku słońcu wędrówce. W arcydziełach sztuki składa naród kwiat swego ducha: *Cham* jest jednym z najpiękniejszych kwiatów naszych, i, dzięki jemu, imię jego twórcy uwieczni się we wdzięcznej pamięci narodu.

Kraków. *Marjan Zdziechowski.*

KARTKA Z DZIEJÓW WARSZAWY.

JMCi Pan Mikołaj Kiszka, syn Wojewody Podlaskiego, dworzec swój, graniczący z domami Bartłomieja Sokołowskiego i Jana Jastrzębskiego, położony między dwiema drogami, wiodącemi ku Wiśle, tuż prawie za klasztorem OO. Bernardynów, roku 1589 odstąpił Mikołajowi Mniszchowi, Staroście Łukowskiemu.

Nowy nabywca dworca Kiszków począł sąsiednie grunta skupywać, w trakcie tego kupił także roku 1593 i sąsiadujące domy od spadkobierców Bartłomieja Sokołowskiego, a później nieco i od Jana Jastrzębskiego, z zamiarem wzniesienia tu wspaniałej rezydencji. Śmierć jednak zamiarom tym położyła tamę, a pozostała wdowa, Zofja z Działyńskich, całą posiadłość roku 1598 odstąpiła Jerzemu Mniszchowi, Wojewodzie Sandomierskiemu, który, zburzywszy sąsiednie domy i domki oraz dworzec Kiszków, zbudował sobie wśród ogrodu nowy, pokaźny dworzec drewniany.

Dworzec ten jednak niebawem wraz z całem otoczeniem roku 1611 sprzedał Andrzejowi Boboli, Podkomorzemu koronnemu. W lat sześć później po śmierci Podkomorzego spadkobiercy dworzec z otoczeniem, będące między uliczką Usilną, ciągnącą się po pod klasztorem OO. Bernardynów (dziś nieistniejącą) a uliczką Gnojową (dziś Bednarską) darowali Zygmuntowi III. Od roku 1617 począwszy, w dworcu królewskim za Bernardynami przemieszkiwali różnemi czasy do Warszawy przybywający posłowie zagraniczni i inni dygnitarze, będący gośćmi króla, aż nakoniec roku 1632 Władysław IV, za zgodą innych sukcesorów Zygmunta, dworzec ów podarował przyjacielowi swojemu, Adamowi Kazanowskiemu, Staroście Borysowskiemu. Nowy dziedzic niezwłocznie przystąpił do budowy okazałego pałacu, a raczej zamku, który około roku 1640 w zupełności już był wykończony.

Z pomiędzy istniejących w onym czasie w Warszawie gmachów magnackich pałac Kazanowskich niezaprzeczenie był najwspanialszym i budzącym podziw, nietylko we współrodakach, lecz i w przyjezdnych cudzoziemcach, którzy o tem pałacu, jak o ósmym cudzie świata w swoich relacjach pisali.

Po rogach pomienionego pałacu wznosiły się wysokie wieże, zakończone złoconemi gałkami i takiemiż chorągiewkami; sam pałac był dwupiętrowy z dwoma

skrzydłami, o wysokich śpiczastych dachach; dołem od strony Wisły szły podcienia na arkadach, sklepionych we wdzięczne łuki. Tu też były schody obszerne, całe z marmurów różnobarwnych, prowadzące na wyższe piętra i tarasy, skąd roztaczał się uroczy widok: pobrzeże Wisły i brzeg jej prawy. Między wieżami, wznoszącemi się od strony Wisły, znajdowała się duża altana przedziwnie pięknej konstrukcji, w której pobliżu stał cekhauz bardzo obszerny, a bogaty w najrozmaitszą broń, jak: armaty, falkonety, arkebuzy, hakownice, kulewryny, dalej muszkiety, saraceńskie jatagany, miecze, koncerze, puklerze, sahajdaki, kołczany, całe zbroje złotem i srebrem sadzone, i wiele innych w tym rodzaju kosztowności.

Tuż obok cekhauzu wznosiły się obszerne kuchnie, dalej śpiżarnie i mieszkania dla służby i dworzan. Były tu także i stajnie pełne hiszpańskich i tureckich koni. Po za tem wszystkiem aż nad samą Wisłę rozciągał się wspaniały ogród, zdobny w różne altany, dziwacznie strzyżone drzewa, sadzawki, po których pływało zamorskie ptactwo w kaskady i wodotryski. Były tu także pomiędzy drzewami rozstawione olbrzymie klatki ze złocistemi kratami, w których poumieszczano dzikie zwierzęta, jak: lwy, pantery i tygrysy, w innych znowu najróżnorodniejsze ptactwo zamorskie; były więc tu strusie, rajskie ptaki, różnobarwne papugi i t. d. Pałac cały otoczony był, jakby twierdza jaka, wałami i fosą, z której woda z szumem ku Wiśle spływała. Po nad fosą *alias* rowem, od strony Krakowskiego Przedmieścia, znajdował się most zwodzony, prowadzący do wysokiej bramy, zbudowanej z ciosu i zdobnej w herby Kazanowskich.

W pobliżu bramy znajdowała się łaźnia sklepista, będąca w połączeniu z pańskiemi komnatami.

Komnaty i sale, znajdujące się na piętrach pałacu a zajmowane przez właścicieli tej wspaniałej budowli, przepychem odpowiadały zupełnie całości. Drogocenne marmury, bronzy i kryształy zdobiły wnętrze komnat, gdzie na ścianach porozwieszane były obrazy holenderskich mistrzów; po rogach stały, jak żywe, z marmuru białego lub różowego kute, posągi greckich i rzymskich bogów i bohaterów. Izba stołowa, bardzo obszerna, sklepiona, zdobną była w szafy, kunsztownie rzeźbione i napełnione naczyniami srebrnemi najrozmaitszych kształtów i użytku; popod ścianami, na rzeźbionych kozłach, stały szczerosrebrne beczułki, obite złotemi obręczami, a ze stropu zwieszały się weneckie świeczniki. Komnaty starosty, starościny i jej licznego fraucymeru zapełniały przeróżne dzieła sztuki, żywe, śpiewające i kunsztownie wypchane ptactwo, różne krzewy i kwiaty. Popod całym zamkiem rozciągały się obszerne i kilka piątr liczące piwnice, a obok stajen mieściła się psiarnia i sokolarnia, gdzie podziwiać można było ze Szkocji sprowadzone białozory.

Pani de Guébriant, ochmistrzyni królowej Marji Gonzagi, małżonki Władysława IV, zwiedzając ten pałac roku 1645, widokiem nagromadzonych tu skarbów i arcydzieł była olśnioną i w relacji swej pokaźne miejsce poświęciła opisowi tego pałacu.

Po śmierci Adama Kazanowskiego, 1649 roku, w posiadanie pałacu weszła owdowiała małżonka jego, Elżbieta ze Słuszków, córka Jana Słuszki, Wojewody Trockiego, której, gdy znoszenie wdowieństwa było zbyt uciążliwem, powtórnie stanęła na ślubnym kobiercu z Hieronimem Radziejowskim, Podkanclerzym Koronnym, posiadającym również własny, acz nie tak wspaniały, pałac w pobliżu kościoła św. Krzyża (dziś ordynacji hr. Krasińskich).

Pod tę porę zasiadał już na tronie Jan Kazimierz, brat zmarłego Władysława IV, który oddziedziczył po nim koronę i ożenił się z wdową, pozo-

stałą po bracie. Pożycie tej małżeńskiej pary nie było zbyt szczęśliwe. Jan Kazimierz, wrażliwy na wdzięki niewieście, chętnie oddawał się miłostkom postronnym. Pani Podkanclerzyna, którą znał jeszcze za czasów brata swego i której urodę zawsze podziwiał, chciwa zaszczytów i hołdów, mile przyjmowała zalecanki króla, a ten jak ćma, wabiony blaskiem płomienia, leciał w jej objęcia. Wskutek tego zaczęły powstawać swary między podkanclerzowstwem, i Radziejowski, szarpany zazdrością, baczniejszą począł zwracać uwagę na postępowanie króla i swej małżonki, którą coraz śmielej o niewiarę posądzał.

Niebawem pani Podkanclerzyna, istotnie rozmiłowana w królewskim Don Juanie, w zaślepieniu sądząc, że król, niezbyt szczęśliwy w pożyciu małżeńskiem rozwiedzie się z królową Marją i ją posadzi obok siebie na tronie, rozpoczęła z mężem wielce hańbiący go proces rozwodowy.

Do pomocy w tym procesie Podkanclerzyna Radziejowska wciągnęła swojego brata Bogusława Słuszkę, Podskarbiego Wielkiego Litewskiego. W ostatnich dniach roku 1651 napadł on pod nieobecność Podkanclerzego z siłą zbrojną na oba jego pałace i w posiadanie objął, rozkwaterowawszy się w pałacu niegdyś Kazanowskich, jako najsposobniejszym do obrony przeciw Radziejowskiemu, który, jak słusznie przypuszczał, gwałt gwałtem odeprzeć był gotowy.

Powiadomiony o tem, co zaszło, Podkanclerzy, bawiący pod tę porę w Lublinie, co rychlej z licznym pocztem dworzan, stronników, szlachty i włościan, ściągniętych z licznych włości, zbrojny w samopały, a nawet i działa, przybył co rychlej do Warszawy i, nie zwracając bynajmniej uwagi na obecność króla w stolicy, jako też i sejm rozpoczynający się, przypuścił szturm do dzielnie przez Słuszkę bronionego pałacu. Działa zagrzmiały, krew się polała i mimo wysiłków ze strony broniących się pan Podkanclerzy zawładnął pałacem, wypędzając zeń najeźdźców.

Zbyt głośnem i zbyt gorszącem było całe to zajście, aby mogło być pokryte milczeniem: dlatego też Opaliński, Marszałek koronny, pozwał Hieronima Radziejowskiego przed sąd swój o gwałt i skazał go na gardło. Gdy jednak do publikacji wyroku dnia 20 stycznia 1652 r. pozwany się nie stawił, wtedy jako „infamisa“ wywołano go z kraju.

Radziejowski, pałając podwójną nienawiścią do króla i tych wszystkich, którzy przeciw niemu występowali, najpierw w Wiedniu, a potem w Sztokholmie szukał pomocy w wywarciu swej zemsty.

Zabiegi czynione w Wiedniu spełzły na niczem, lecz w Sztokholmie odniosły rezultat, pożądany przez mściwego Radziejowskiego: niebawem zagony polskie tratować poczęła rajtarja Karola Gustawa, siejąc na wszystkie strony zniszczenie i pożogę. Po krwawej trzydniowej bitwie pod Pragą, t. j. dnia 18, 19 i 20 lipca 1656 roku i świetnem zwycięstwie Karola Gustawa, Warszawa dostała się w ręce Szwedów, przyczem ci, dwukrotnie przypuszczając szturm do mężnie przez Kazimierczyków bronionego pałacu ongi Kazanowskich, zniszczyli go prawie doszczętnie, tak, że jedno tylko jego skrzydło, południowe, pozostało w całości. Tak zniszczony pałac Elżbieta Radziejowska roku 1661 sprzedała Aleksandrowi na Wiśniczu Lubomirskiemu, Koniuszemu Koronnemu i małżonce jego Helenie Tekli z Ossolińskich.

We dwa lata później, bo roku 1663, Lubomirscy ustąpili go pannom Karmelitankom Bosym, które niezwłocznie w posiadanie wprowadzono. Następnego roku Lubomirska, idąc śladami przodków swoich, od strony Krakowskiego Przedmieścia wzniosła Karmelitankom kościół (dziś stanowiący kaplicę Warsz. Tow. Dobr.) i w tym-to kościele, zaraz po jego zbudowaniu, spoczęły zwłoki Marji

Anny Izabelli, córki Władysława IV i Cecylji Renaty zmarłej 1642 r. i jedynej córki króla Jana Kazimierza, królewny Marji Anny Teresy, której trumienkę roku 1838, czasu restauracji kościoła znalezioną, złożono pod wielkim ołtarzem. Karmelitanki, osiedliwszy się w nowym klasztorze i nabyciem sąsiednich gruntów posiadłość swą rozszerzywszy, przebywały tu aż do r. 1818, w którym to czasie, z woli ówczesnego rządu, stąd ustąpiły, przenosząc się na miejsce o wiele spokojniejsze, a więc odpowiedniejsze ich regule. Budynki poklasztorne wraz z kościołem po ustąpieniu zakonnic przeszły na własność Warsz. Tow. Dobroczynności i przebudowane zostały w latach 1820—1826 wedle planów Corazziego.

Jeszcze roku 1637 Adam Kazanowski, późniejszy Marszałek koronny, rozpoczynając budowę swego pałacu, od OO. Bernardynów, sąsiadów swoich, celem rozszerzenia ogrodu, zadzierżawił grunta ich, położone między klasztorem a jego posiadłością. Dzierżawa tych gruntów oparta była na prawie emfiteutycznem, czyli wieczysto-dzierżawnem, i roku 1733 z Zahorowskich ordynatowa Zamojska, za zezwoleniem Papieża, czynsz spłaciła i grunta owe nabyła na własność. Wybudowawszy na nich pałac, niebawem wraz z gruntami darowała go tymże samym OO. Bernardynom, od których je poprzednio nabyła. Po śmierci ordynatowej pałac opuszczony stał pustkami aż do roku 1762, w którym to czasie syndyk zakonu OO. Bernardynów, Jan Małachowski, Kanclerz W. K., oddał go w dożywocie Annie z Firlejów i mężowi jej, Karolowi de Schmidt, radcy wojennemu wojsk saskich. Roku 1765 pałac pomieniony wraz gruntami znowu na prawie emfiteutycznem wziął w posiadanie ks. Andrzej Młodziejowski, Podkanclerzy W. Kor., i tegoż roku jeszcze prawa swoje ustąpił Jerzemu Flemingowi, Wojewodzie Pomorskiemu. Po śmierci jego prawa do pałacu oddziedziczyła córka Wojewody, księżna Czartoryska, Generałowa Ziem Podolskich i roku 1772 całą posiadłość sprzedała Joannie z baronów de Stein, księżnie Lubomirskiej, wdowie po Chorążym W. Litewskim.

W sześć lat później, bo roku 1778, pałac z otoczeniem nabyli na własność: Mikołaj hrabia Manuzzi z Jadwigą ze Strutyńskich *1mo voto* Janową Ciechanowiecką, Starościną Opeską, kochanką Stanisława Augusta, i matką jego syna, którego Manuzzi roku 1772 adoptował, żeniąc się z Jadwigą, za co roku 1775 otrzymał *indygenat* polski (Vol. Leg. VIII 294) i Starostwo Opeskie, odebrane Ciechanowieckim. W pałacu tym niejednokrotnie teraz bywał Stanisław August, spędzając miłe chwile w towarzystwie byłej swej kochanki i synka, wtedy już noszącego nazwisko hrabiego Manuzzi. Niedługo tu jednak zamieszkiwali Manuzzowie, bo oto już r. 1782 posiadłość cała przeszła w faktyczne posiadanie Ludwiki z Poniatowskich Zamojskiej, Wojewodziny Podolskiej, a siostry Stanisława Augusta, która, skupiwszy czynsz, dnia 9 września r. 1801, aktem sporządzonym w Wiedniu, pałac swój, nabyty od Manuzzich, dała i darowała na wieczne czasy Ludwikowi XVIII królowi francuskiemu, przebywającemu w Warszawie, a ten w pałacu tak otrzymanym wraz z ks. d'Angoulême przez lat dwa zamieszkiwał.

Roku 1805 pałac, zajmowany dotąd przez Ludwika XVIII, nabyła na własność Urszula z Zamojskich hrabina Mniszchowa po śmierci zaś jej roku 1818 w drodze działów pałac pomieniony dostał się w posiadanie Izabelli z Mniszchów Dembińskiej, od której znowu roku 1825 nabył go na własność Werner, radca stanu. Ostatecznie nabyty od Wernera pałac, po przejściu tylu rozmaitych kolei, stał się własnością Resursy Obywatelskiej, która niezwłocznie przystąpiła do budowy dzisiejszego gmachu.

Warszawa. *Władysław Korwin Zieliński.*

W OBRONIE DŻEMMY DONATI.

Ktoby nie wiedział, temu powiemy krótko, że jest to imię i rodzinne nazwisko żony *Dantego*. W poezjach wielkiego Florentczyka tyle razy powtarza się imię *Beatricze*, a o *Dżemmie* nie ma ani wzmianki. Miałżeby poeta jej nie kochać, pomimo że była ona matką jego siedmiorga dzieci? Miałażby ona naprawdę być dla niego tem, czem dla Sokratesa była Ksantypa? Jeden z najdawniejszych, choć nie bardzo wiarogodnych, biografów Dantego, puścił w świat tę pogłoskę, a ludzie uwierzyli jej i powtarzali ją przez wieki całe... Tymczasem niedawno autorowie włoscy i niemieccy wystąpili z obroną znieważonej kobiety, dowodząc, że, jeżeli nie poszła ona wraz z Dantem na wygnanie, to dlatego tylko, aby strzedz dzieci małoletnich i pilnować pozostałego mienia.

Jest w „Boskiej Komedji“ ustęp, gdzie *Cacciaguida*, wróżąc Dantemu wygnanie, powiada:

Tu lascerai ogni cosa diletta!...

Miałażby w liczbie tych „istot ukochanych“ nie być i Dżemma? — Pytanie to nastręcza się łatwo. To też pisarze zajmujący się Dantem poświęcili mu całe rozprawy, dowodząc, że Dżemma najzacniejszą i najlepszą była kobietą.

Autorka niemiecka, panna *Józefa Hoffinger*, znana z wybornego tłómaczenia „Boskiej Komedji“, poświęciła wspomnieniu Dżemmy rzewny wiersz, który pragnęliśmy jak najwierniej przełożyć, podzielając najzupełniej wyrażone w nim myśli i uczucia:

Imię „Beatrix“ świat powtarza cały;
O tobie, *Dżemmo*, pieśń wspomnieć nie raczy.
Wszakże te ciosy, co ciebie spotkały,
Były dość srogie, lecz któż na nie baczy?
Piękności sypie swe kadzidła sztuka:
Cnota nagrody niech w niebiosach szuka!

Ten, dla którego cierpiałaś wytrwale,
Nie przelał uczuć swych w obrazy słowne;
Ojczyźnie tylko brzmiały jego żale:
O tobie zmilkły usta tak wymowne.
Toż wam obojgu nie skąpi potwarzy,
Kto nie czci smutku, który się nie skarży...

Czyliż nie wiedzą ludzie obojętni,
Że w smutku sztukmistrz ma dłonie bezwładne;
Że kiedy serce boleścią zatętni,
Nie płyną z ust poety słowa żadne?
Zamiera bowiem głos w ciężkiej niedoli
I cicho płynie łza, gdy serce boli.

„Porzucić musisz najdroższe istoty!“
Oto jak wróżba złowrogo zabrzmiała.
I w dal popłynął głos pełen tęsknoty
Wiernej małżonki, co cię tak kochała;
Łzy jej, w ostatniem wylane spojrzeniu,
Zastygły w długiem, ciężkiem utęsknieniu.

Jak pielgrzym wspomni przy wieczornym dzwonie
Dzień, gdy żegnała go rodzina cała,
Tak przypomnienie tętniło w jej łonie,
Choć skarga cicho na ustach konała;
Boleść, tłumionem łkaniem przerywana,
Przeszła, przy serca biciu — niesłyszana...

Ty, biedna jego żono, matko jego dzieci,
Spełniałaś wiernie obowiązki domu;
A chociaż nieraz łza w oku zaświeci,
Ty, nie zwierzałaś swych cierpień nikomu:
Jak ty walczyłaś z troską i kłopotem,
Bóg tylko jeden wie, — pieśń nie mówi o tem!...

Kraków. *Dr. Teofil Ziemba.*

W odpowiednich miejscach zaznaczono zgon autorów zmarłych przed podaniem ich prac do druku; po nich jeszcze zmarli:

1. *Bliziński Józef*, dnia 29 kwietnia 1893 roku w Krakowie.
2. *Władysław Seredyński*, dnia 9 marca 1893 roku w Tarnowie.
3. *Władysław Kosiebrodzki*, dnia 13 lutego 1893 roku w Chłopicach.
4. *Teofil Lenartowicz*, dnia 3 lutego tegoż roku we Florencji.
5. *Jan Prusinowski*, dnia 26 listopada 1892 roku w Żytomierzu.

SPIS RZECZY.

CZĘŚĆ I.

POEZJE.

Str.

Asnyk Adam. Sonet . . . 1
Borkowski Leszek Dunin. Fraszki . . . 2
Bołydar (Edmund Bogdanowicz). Apostrofa . . . 3
— W lesie . . . 4
Budziński Stanisław. Byron . . . 6
Chłopicki Edward. Strzechy ubogich . . . 7
Chojecki Edmund. Wycinek z dawno zapomnianej powieści . . . 8
Czesław (Czesław Jankowski). Sonatina . . . 10
Dobrzański Mirosław. Krzyk Tantala . . . 12
Engeström Benzelstjerna. Do mojej lutni . . . 14
Gawalewicz Marjan. Sen o wiośnie . . . 16
Gliński Kazimierz. Z poematu: „Królewska pieśń“ . . . 17
Gostomski Walery. Wspomnienie Trok . . . 21
Grabowski Bronisław. Bezdzietni. (Ballada z końca wieku) . . . 22
Henkiel Djonisy. Widzenia. (Fragment) . . . 25
Ilnicka Marja. 1. Nadzieje młodości . . . 31
— 2. Tęsknota wędrowca . . . 30
Iza. Zwrotki . . . 32
Jasieńczyk Marjan (Wacław Karczewski). Serca jak słońca . . . 34
Kasprowicz Jan. Z cyklu: Circulus vitiosus . . . 35
Konopnicka Marja. Błogosławieństwo nizin . . . 38
Kościelski Józef. Błogosławieństwa . . . 41
Krzymuski Edmund. Smutna powieść . . . 43
Lange Antoni. Fragment . . . 45
Łaluński Józef. Z tragedji: „Bolesław Śmiały“ . . . 47
Łętowski Juljan. Powoje . . . 50
Merzbach Henryk. Elizie Orzeszkowej . . . 51
Miriam (Zenon Przesmycki). Romanca . . . 52
Niemojewski Andrzej. Parnas . . . 54
Nitowski Jan. Pytanie . . . 56
Nossig Alfred. Kobiecie . . . 58
Nowicki Franciszek Henryk. Jedyna . . . 59
Stefan z Opatowka (Stefan Giller). Romans z ideałem . . . 60
Parylak Piotr. Z nietłómaczonych poezji łacińskich Macieja Kazimierza Sarbiewskiego . . . 62
Pilecki Antoni. W albumie kobiety . . . 65
Pług Adam (Antoni Pietkiewicz). Sen . . . 67

Str.
Porębowicz Edward. Typy ludowe poezji romańskiej 70
Prusinowski Jan. Trzy polonezy 75
Rodoć M. (Mikołaj Biernacki). Znałem ją 79
Stebelski Włodzimierz. Credo 80
Stroka Wincenty. Boże ptaszki 81
Świętochowski Andrzej. Fiat justitia 83
Szczęsna (Cybulska). Serdeczna pieśń 86
Szumski Teofil. Bytu tajemnica 88
Tetmajer Kazimierz. Preludja 90
Waliszewski Kazimierz. Wiosna 91
Waśniewski Józef. Arab i wielbląd 93
Wysocki Włodzimierz. Fatyma 94
Zgliński Daniel. Z tragedji „Domicjan“ 97

CZĘŚĆ II.

PROZA.

Str.
Adalberg Samuel. Przysłowia polskie i krytyka 103
Amborski Jan. Opinja świata 107
Antoszka (Antonina z Peldów Śmiškova). 107
Askenazy Szymon. Z literatury pamiętnikowej 108
Aspis Bogumił. Z dramatu „Attyla“ 110
Bałucki Michał. Kilka słów o baranach historycznych i dzisiejszych 113
Baranowski Ignacy Dr. 114
Baudouin de Courtenay Jan. Myśli oderwane 115
Baudouin de Courtenay Janina 117
Baudouin de Courtenay Romualda 117
Bełcikowski Adam. Z pamiętników nauczyciela 118
Bem Antoni Gustaw. Najwyższe tony liryki staropolskiej 120
Bersohn Mathias. Iluminatorki rękopisów 126
Biegeleisen Henryk Dr. Pieśń ludowa na przełomie naszej poezji 129
Bieliński Józef Dr. O niewydanych listach Hetmana Żółkowskiego 134
Bliziński Józef. Urywek z niewydanej komedji 137
Boberski Władysław. Baczność 142
Bogacki Feliks. Przyszłe losy ludzkości 143
Bogusławski Władysław. Pamiętnik niemoralnej kobiety 147
Boguski Józef Jerzy. Prawo Maxwell'a 159
Bujwid Odo. Unikanie choroby zakaźnej 162
Celichowski Zygmunt Dr. Wspomnienie o J. I. Kraszewskim 163
Chlebowski Bronisław. Udział kobiet w życiu duchowem społeczeństwa naszego 165
Chmielewski Józef. Aforyzm pedagogiczny 168
Chmielowski Piotr. Naturalizm i najświeższe kierunki artystyczne 169
Ciszewski Stanisław. Spór Serbów o Polkę 172
Czarnowski Stanisław J. Wspomnienie z nad Bosforu 175
Dalecka Wanda. Ostatni 177
Daszyńska Zofja Dr. Co lepiej? 183
Dawid Jan Władysław. Kobiecość w wychowaniu 185
Dickstein Samuel. Dualizm wiedzy 186

Str.

Dobieszewska Józefa ze Śmigielskich. Z życia ludów w Austrji 189
Dobrzycki Henryk Dr. Sanatorja leśne 194
Dunin Karol. W kwestji równouprawnienia kobiety 196
Dybowski Benedykt Dr. Słówko o morfologji 198
Estęja. Święto „Wulid“ 200
Feldman Wilhelm. Myśli 204
Feldstein Herman. Aforyzm 205
Flaum Maksymiljan. Słówko o alchemji 206
Franko Iwan. Legenda o Piłacie 207
Gadomski Jan. Przebaczenie 209
Galasiewicz Jan. Ze wspomnień aktora 212
Gerson Wojciech. Fantazja czy wyobraźnia twórcza? 215
Gosiewski Władysław. Zasady mojej etyki 217
Gliński Henryk. Z dziennika przyszłej narzeczonej. (Kilka znalezionych kartek) 218
Gloger Zygmunt. Wyprawa po starożytności 224
Gumplowicz Ludwik Dr. Słówko od socjologa 228
Hajota. Król Moka 229
Hertz Karol Dr. Przyczynek do dziejów nauki 233
Heryng Zygmunt. Z „Logiki Ekonomji“ 236
Hösick Ferdynand. Noc w Sewilli z wielkiego czwartku na wielki piątek 239
Hoff Bogumił. Hala Juraszków 244
J. Antoni Dr. (Józef Rolle). Hekling czy Heiking? 246
Jabłonowski Aleksander. Dalecyśmy 248
Jankowski Edmund. Pro paupero 251
Janikowski Leopold. Urywek ze wspomnień afrykańskich 253
Jelenta Cezary. Salve natura! 256
Jelski Aleksander. Wiązanka uwag ziemianina 259
Jenike Ludwik. Wspomnienie 262
Jeske-Choiński Teodor. W wagonie 264
Jeż T. T. Wskazówki 266
Jordan. Sędziulko 267
Kaczkowski Zygmunt. Znamiona literatury 270
Kamocka Józefa. Miłość i praca 273
Karasowski Maurycy. A. B. C. 275
Karłowicz Jan. Sierota w pieśniach ludu 276
Kaszewski Kazimierz. „Historia magistra vitae“ 280
Kawczyński Maksymiljan. Do charakterystyki Jongleurów 287
Kirszrot-Prawnicki Józef. Ubezpieczenie robotników 290
Kleczkowski Kazimierz. Topografja Grecji 293
Kleczyński Józef. Czytelnictwo w Galicji 295
Kłobukowski Stanisław. Dwa żywioły narodowości 297
Konar Alfred. Franek i jego kura 298
Konic Henryk. Teraźniejszość i przyszłość gminy 304
Korwinówna Wiktoryna. Czem jest, a czem powinno być wykształcenie 306
Korzon Tadeusz. Słówko od historyka 309
Kościałkowska-Zyndram Wila. Prothesmia. (Bajka) 310
Kotarbiński Józef. Z etyki praktycznej 316
Kowerska Zofja. Robotnica 323
Koziebrodzki Władysław hr. Z literatury dramatycznej 325
Kozłowski Władysław. Indukcja a dedukcja 328
Kramsztyk Stanisław. Alchemja i spirytyzm 330
Kramsztyk Zygmunt. Z tej strony Tatr i z tamtej 333
Kraushar Aleksander. Gawęda starego księgarza 335
Krausharowa Jadwiga. Z dumań 338
Krechowiecki Adam. Dobra córka 340
Kryński Adam Antoni. Historja a lingwistyka 342
Krzemiński Stanisław. Saltarello 344
Krzywicki Ludwik. Idea 346
Anatol Krzyżanowski (Natalja Krzyżanowska). Posłannictwo 349

609

Str.
Leitgeber Maksymiljan. Z czasów pańszczyzny. (Wspomnienie) 352
Lenartowicz Teofil. Wycieczka do kletki Czernego Boga 355
Limanowski Bolesław. Urywek z opowiadania mego przyjaciela 364
Lubicz Rafał. O Litwie i Żmudzi 368
Lubowski Edward. Z książeczki pamiątkowej 371
Łagowski Florjan. Parjasy 372
Łapicki Juljan. Sprzeczności społeczno-ekonomiczne 374
Łebiński Władysław Dr. Najazd w literaturze nadobnej 377
Łoś hr. Wincenty. Dziennikarz 379
Łuczkiewicz Henryk Dr. Niewłaściwość obawy śmierci 382
Machczyńska Antonina. Przypomnienie 384
Maciejowski (Sewer) Ignacy. Antek 387
Mahrburg Adam. Ideały 394
Majer Józef Dr. Dwie uwagi w sprawie każenia języka 399
Manteuffel Gustaw. Żydzi Inflanccy 401
Mańkowski Aleksander. Biedny Tadzio 405
Marrené Walerja. Miała serce 407
Matuszewski Ignacy. Filozofja Jasełek 412
Mazanowski Antoni. Zygmunt Krasiński o Szekspirze 415
Mellerowa Zofja. Scena ze sztuki „Hrabina Tea“ 417
Merczyng Henryk. Różne drogi 420
Méyet Leopold. W masce 422
Mien Juljan. Aforyzmy 428
Miklaszewska Cecylja (Celja). Talizman 429
Miklaszewski Walenty Dr. „Niedole dziecięce“ 431
Morawska Zuzanna. Królowa 432
Morosz Juljan (Celina z Wołowskich Gładkowska). Biedny Miro 434
Morzkowska Antonina. Excelsior 439
Nagoda. Kiedy wierzyć 440
Nałkowski Wacław. Ze wspomnień uniwersyteckich 444
Niedźwiedzki Władysław. Marek w piekle 447
Nusbaum Henryk Dr. O cierpieniu 450
Nusbaum Józef Dr. Badania naukowe i popularyzacja 453
Ochorowicz Juljan. Ideoplastja 454
Ostoja (Sawicka Józefa). Filozofka. (Szkic z natury) 457
Parczewska Melanja. Józefa Turnogradzka 464
Pawlikowski Mieczysław. Kalecy 466
Pawłowicz Edward. 467
Pepłowski Adolf. Epilog 468
Piątkowska Ignacja. Miłość w pieśniach ludu sieradzkiego 470
Pietkiewicz Zenon. Taczka literacka 475
Pietkiewicz Zygmunt Atanazy. Nieco o istocie kwestji kobiecej 477
Poliński Aleksander. Tarantula-Tarantella 480
Potocki Józef K. Indywidualizm. (Z cyklu „Złudzenie naszych czasów“) 482
Prażmowska Teresa (Wołowska). Z dziejów powieści 484
Prószyński Konrad. Przeszłość i teraźniejszość 487
Ptaszycki Stanisław. Powieść u nas przed trzystu laty. (Notatka bibljograficzna) 488
Radliński Ignacy. Dwie chwile 492
Radońska Teresa. Na cmentarzu. (Z zapisków błądzącego w ciemnościach) 493
Rapacki Wincenty. Pod adresem 495
Rawita (Gawroński Franciszek). Nagroda 496
Reinschmit-Kuczalska Paulina. Trzy doby kwestji kobiecej u nas 499
Rembowski Aleksander. Mistrzyni życia 502
Rogoziński Stefan S. Świt nowej rasy 504
Sa-hi-bey (Wacław Koszczyc). „Dohru sojleïni czehirden kowarlar“. (Prawdomownych z miasta wypędzają) 507
Sarnecki Zygmunt. Lalki 510
Seredyński Władysław Dr. Z dziedziny estetyki 513
Sienkiewicz Henryk. Sen. (Z opowiadania) 516

Str.
Simara (Marja Napieralska). Trzy uśmiechy 518
Smoleńcówna Karolina. Z metafizyki ludowej 519
Smoleński Władysław. Franciszek Barss 521
Spasowicz Włodzimierz. Ze wspomnień weimarskich 524
Straszewicz Ludwik. Fragment 526
Struve Henryk. Dyletantyzm i krytyka 528
Świętochowski Aleksander. Dafne 531
Szczepański Alfred. Pesymizm 534
Szeliga Marja. Krwawice. (Sanguines) 535
Szymański Adam. Równouprawnienie kobiety polskiej. (Stan sprawy, przyczyny niepowodzeń i najbliższe zadania) 537
Tarczyński Hipolit Bogumił. Pieśń podsłuchana 542
Turczyński Juljusz. Ołeksa Dowbosz, watażka opryszków huculskich. (Podanie o nim ludu, a fakt historyczny) 544
Ulanowska Stefanja. Na odmiennych nutach 548
Ursyn (Jan Zamarajew). Miłość kobiety. (Kartka z pamiętnika niedoszłego samobójcy) . 551
Walewska Cecylja. Paradoks 552
Walicki Aleksander. W klinice 554
Wasilewski Zygmunt. Suplikacje 559
Wernic Henryk. Znaczenie wychowawcze pism Elizy Orzeszkowej 562
Weryho Marja. Matka 565
Wieniawski Juljusz. Opinja publiczna 567
Wolberg Ludwik Dr. Dziecko w chorobie 569
Wścieklica Władysław. Nieuzasadnione obawy 572
Wysłouchowa Marja. Głosy z nizin 575
Zacharjasiewicz Jan. Fantazja wschodnia 578
Zajączkowska Zuzanna. Pies Żebrak 581
Zakrzewski Adam. Z zagadnień naszego rozwoju społecznego 586
Zalewski Kazimierz. Scena z komedji „Królowa Opinja“ 589
Zapolska Gabrjela. Stara-maleńka 594
Zawiliński Roman. „Jan dr B... czy dr Jan B“?... 596
Zdziechowski Marj n. Pod wrażeniem „Chama“ 598
Zieliński Korwin Władysław. Kartka z dziejów Warszawy 600
Ziemba Teofil Dr. W obronie Dżemmy Donati 604